

edited

Emerald

#KamienieMiami

FORTUNATE EM

FortunateEm

Emerald



Prolog

Styczeń

Wlokę się przez zaplecze wolnym, beznadziejnie zmęczonym krokiem i pragnę strzelić sobie w głowę za uleganie znajomym. Mama zawsze powtarzała, że przed poranną pracą należy się porządnie wyspać. Przed szkołą, kościołem i obiadami rodzinnymi również. Nie ma nic ważniejszego niż rześki, zregenerowany przez sen organizm.

Dlaczego więc o tym zapomniałam? Dla kilku kieliszków wina? Bez sensu. Nie było warto. Zdecydowanie nie było warto. To też zawsze mówiła mama — lampka wina jest na smak, ale dwie powodują już kaca.

— Młoda! — krzyczy mój szef, Jerry, który nagle wyskakuje zza drzwi. — Gdzie jesteś, do cholery!?

— Idę — jęczę zaspanym głosem. — Mam jeszcze jakieś siedem minut do rozpoczęcia zmiany — zauważam.

Jerry staje w niewielkiej odległości ode mnie z karcącym uśmiechem. Jest ubrany w koszulę z krótkim rękawem w odcieniach żółtego i najzwyczajniejsze, czarne jeansy. Wygląda przystojnie i elegancko, głównie przez to swoje ważniackie spojrzenie, które tak lubię.

— Wiem, wiem — wzdycha. — Ale musisz się zająć tortem urodzinowym dla gościa, który lubi broń i szybkie samochody. Trzeba go skończyć do szesnastej, a na osiemnastą trzydzieści najpóźniej dostarczyć na miejsce. To poważny klient. — Gryzie nerwowo wargę, przez co lekko się spinam. — Pojedziesz i pokroisz? Byłoby niezmiernie. To jakaś konkretna imprezka, a tylko ty jesteś reprezentatywna. Walter i Joseph to pustaki i nadają się wyłącznie do noszenia talerzy. Nie umieją pokroić nawet zwykłego tortu, a co dopiero takiego wysokiego!

Monolog dobiega końca, a ja jedynie mrugam, patrząc na usta Jerry'ego. Ma pięknie wykrojoną górną wargę, co bardzo mi się podoba. W sumie cały mi się podoba, ale jest za dużym kretyńcem, by to zauważył. Och, i zdecydowanie za bardzo zadufanym w sobie.

— Co to ma być za tort? — pytam po chwili.

— Orzechowo-czekoladowy, ten z ferrero rocher. — Szczerzy się. — I zrób więcej masy, bo szalenie ją kocham. W sumie wszystko, co robisz, kocham. Twoje ręce zostały stworzone do robienia dobrze męskim i kobiecym podniebieniom — ekscytuje się.

Wzdycham i kładę dłonie na jego ramionach. Spoglądam mu prosto w oczy i uśmiecham się w najbardziej czarujący sposób, na jaki mnie stać.

— Zrób mi kawę — szepczę. — Jak zrobisz mi dobrą i mocną, to odłożę ci masy do kubeczka.

Jego oczy powiększają się dwukrotnie, a usta rozciągają w najszerszym uśmiechu, na jaki go stać. Chce mi się śmiać z jego infantylności. Jest okropnie uroczy i cholernie głupi. To złe połączenie. Ale zawsze działa na kobiety.

— To leć do kawiarki — oznajmia i całuje mnie w czoło. — A ty piecz biszkopty i rób moją kochaną masę.

Puszcza moje ramiona i kieruje się do wyjścia z zaplecza, a później najprawdopodobniej na salę. Ja w tym czasie biorę kilka głębokich wdechów i wiążę włosy w dwa wysokie kucyki. Z wieszaka zdejmuję roboczy fartuch z logo firmy i zakładam. Moje samopoczucie wcale a wcale się nie poprawia. Niestety, ale kac jest okrutną suką. Zdecydowanie się nie lubimy.

Kieruję się do mojego stanowiska pracy i pierwsze, co robię, to włączam głośnik, a następnie łączę go z telefonem. Odpalam swoją poimprezową playlistę i zabieram się do pieczenia. Na początek wyciągam trzy okrągłe blachówki.

Piętnaście po trzeciej tort stoi na tortownicy i czeka na ostatnie dodatki. Czekolada, która pięknie spływa po szczycie, zdążyła zaschnąć w chwili, gdy ja zażywałam świeżego powietrza na zewnątrz, a masa w rękawie delikatnie stężała. Łapię ją w dłonie i powoli tworzę górkę, na którą od razu kładę po jednej kulce ferrero rocher. Zajmuje mi to piętnaście minut. Mam dobry czas, więc ciasto zdąży

zastygnąć w ciągu najbliższych dwóch godzin i będzie perfekcyjne. Jestem naprawdę zadowolona z efektu. Kocham robić torty i kocham je ozdabiać. Praca marzeń to mało powiedziane.

Wsuwam tortownicę do chłodni, zamykam drzwiczki i opieram się o nie plecami. Wciąż odczuwam skutki randki z winem. Kac morderca nie ma serca. Cholera. Odpycham się od zimnej powierzchni i leniwym krokiem zmierzam do wyjścia z kuchni. Przechodzę przez drzwi i zatrzymuję się, by ogarnąć wzrokiem salę. Kilka osób stoi w kolejce do kasy, a parę innych siedzi przy stolikach i popija kawę, zjadając się moimi wypiekami. W czasie przygotowywania tortu zdążyłam upiec ciasto marchewkowe, dyniowe i sernik, który stygnie na zapleczu. Jestem beznadziejnie spowolniona.

— No! — jęczy Jerry, który ponownie pojawia się znikąd. — Dobrze, że się wykokosiłaś, pokaż się.

Łapie moją dłoń i ciągnie, żebym wyszła z za lady. Nie nadałam za nim i przez to prawie zabijam się o własne nogi. Cholerny idiota nie umie powoli? To takie trudne mieć w sobie więcej delikatności? Chyba tak.

Wybiegamy z cukierni prosto na ogródek, który świeci pustkami o tej porze roku. Zima nie sprzyja siedzeniu na zewnątrz. I mojemu kacowi również nie sprzyja, bo momentalnie przebiega mnie dreszcz.

— Co robisz? — warczę. — Gdzie mnie ciągniesz, do cholery?

— Nie przeklinaj — upomina mnie. — Bądź grzeczna, nie potrzebujemy problemów.

Krzywię się. Jakich znowu problemów? I od kiedy nie mogę przeklinać?

Zatrzymujemy się przy małej, klimatycznej altance, w której siedzi dwóch potężnych mężczyzn: brunet i szatyn, obaj przystojni. Obaj równocześnie wlepiają we mnie spojrzenia. Brunet ma głębokie, przerażająco jasnoniebieskie oczy, a szatyn zielone. Są ubrani na czarno i nie wyglądają na takich, z którymi chciałabym się umówić na kawę. Bije od nich coś niebezpiecznego, czego nie umiem zinterpretować. W sumie to nawet nie chcę podejmować próby. Życie jest mi jeszcze miłe.

— Reece — odzywa się brunet. Jego głos jest niski i chrapliwy. — O której będziesz gotowy?

— Ja zawsze jestem gotowy — śmieje się mój szef. — Poznajcie moją cukierniczkę.

Popycha mnie w ich stronę, przez co robię dwa kroki w głąb altanki i delikatnie się spinam. Ich spojrzenia mnie przerażają. A fakt, że są przynajmniej ze dwa razy więksi ode mnie, wcale nie pomaga.

— Troy — odzywa się szatyn. Jego głos w porównaniu do bruneta jest miłszy.

Wyciąga w moją stronę wytatuowaną dłoń, a ja chwilę się waham. Nie jestem pewna, czy powinnam go w ogóle dotykać. Ostatecznie jednak podaję mu palce i lekko się uśmiecham, na co odpowiada półuśmiechem. Ma bardzo surową twarz, ale jest w niej coś, co uznałabym za słodkie. Może te ogromne oczy? A może brew przedzielona dwiema niewielkimi bliznami?

— Valeria — mówię w końcu.

— Stanley.

Tym razem to ja wychodzę z inicjatywą podania mu dłoni. Przyjmuje ją z kamienną miną, ale jego oczy wydają się łagodniejsze. Jest bardzo przystojny.

— Więc takie małe kurczątko piecze te wszystkie pyszności? — pyta Troy.

Spoglądam na niego z lekkim oburzeniem, ale nie odzywam się. Rozumiem, że przez kucyki na krótkich włosach wyglądam jak dziecko, ale bez przesady. Mam dwadzieścia trzy lata, jestem dorosłą i poważną kobietą. Nie kurczątkiem!

— Tak — odpowiada Jerry. — Valeria jest najlepsza.

— Skończyłaś jakąś szkołę cukierniczą? — wtrąca się Stanley.

Kieruję spojrzenie na jego bystre oczy i zastanawiam się. Powinnam skłamać? Chyba nie.

— Nie. Dorastałam z babcią, która bardzo lubiła piec. — Uśmiecham się na myśl o starszej kobiecie. Muszę ją odwiedzić. — Jestem samoukiem.

— Gotujesz? — dopytuje.

— Jasne. — Wzruszam ramionami. — Lubię wszystko, co jest związane z kuchnią.

— I z dawaniem orgazmów podniebieniu — dodaje żartobliwie Jerry, na co Troy parska.

Stanley przewraca oczami, a ja mam ochotę przybić mu piątkę. Wydaje się poważny i naprawdę profesjonalny, to wspaniale w chwili, gdy mój szef jest idiotą. Przystojnym, ale nadal pospolitym idiotą.

— Chętnie spróbujemy tortu — odzywa się Troy.

— Nie mogę go uk... — zaczynam, ale Jerry bezczelnie mi przerywa.

— Przyniosę wam do spróbowania masy i biszkoptów, wyjdzie na to samo — oferuje.

Pragnę uderzyć go w głowę, ale za szybko odchodzi. Nie mija minuta i zostaję z dwoma podejrzanymi typkami sama. Cholera. Dłonie mi drżą, a serce automatycznie podjeżdża do gardła. Jestem mała i bezbronna przy takich dwóch wielkoludach! Na domiar złego mam dwie lewe nogi, więc podczas ucieczki najprawdopodobniej bym się potknęła sama o siebie. *Żenada* to lekkie określenie na moją ciamajdowatość.

— Nie denerwuj się. — Troy parska gromkim śmiechem, przypatrując się mojej twarzy. — Nic ci nie zrobimy.

Spoglądam na niego nieufnie, co zauważa i próbuje wykrzesać z siebie szczery uśmiech, ale nie udaje mu się to. Nie kupuję sztucznej szczerości, wolę, by mnie ktoś otwarcie nie lubił, niż udawał przyjaciela.

— Też bym mu nie ufał — stwierdza po chwili Stanley.

Uśmiecham się na jego słowa i postanawiam usiąść. Nie mam pojęcia, dlaczego decyduję się na ten ruch, ale jest za późno, by się rozmyślić. Zajmuję miejsce obok Stanleya, bo wzbudza moje zaufanie bardziej niż Troy. Szatyn wydaje się niepokojąco roztrzepany.

— Powiedz coś o sobie — odzywa się ponownie brunet.

— Po co? — Marszczę brwi.

— Skoro zabiorę cię do domu szefa, muszę wiedzieć, kim jesteś.

— Wystarczy nam, jak podasz rozmiar sukienki — dodaje od siebie Troy.

Spoglądam na niego z nieskrywanym zdziwieniem. Rozmiar sukienki?

— Reece miał cię powiadomić, że potrzebujemy kogoś, kto pokroi tort i poda go na przyjęciu. Powiedział, że nie masz nic przeciwko — tłumaczy.

— Nie mam, ale po co mi sukienka? — pytam zaskoczona. — Do krojenia tortu wystarczy nóż, szklanka i ciepła woda. Sukienkę mogę ubrudzić.

— Kochanie, nie będziesz go kroić w kuchni, tylko na przyjęciu, stojąc obok szefa.

— Czy to jest konieczne?

— Zdecydowanie tak. — Stanley wzdycha. — Szef będzie zadowolony.

— Lubi orzechy? — Śmieję się.

— Lubi. Ale ładne kurczątko lubi bardziej — parska Troy. — A ty jesteś bardzo ładnym kurczątkiem, Valerio. Masz kogoś?

— Nie, a ty, Troy? Masz kogoś? — przedrzeźniam go.

Przez jego oczy przechodzi niebezpieczny błysk, a na usta wkrada się szeroki, przerażająco niepokojący uśmiech. Cholera.

— Nie, jestem singlem.

— Tak, nie umiesz się dobrze sprzedać — prycha Stanley. — Więc jaki rozmiar sukienki mam ci przywieźć? — kieruje pytanie do mnie.

— Mogę skoczyć do domu, by się przebrać, to nie jest problem.

— Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

— To zależy — wzdycham. — Czasem S, a czasem musi to być XS.

— Jesteś taka mała? — jęczy Troy.

Jego wzrok przesuwają się po mnie bardziej nachalnie, niż bym sobie życzyła, ale nie komentuję tego. Mam na sobie spodnie, bluzę i fartuch. I tak nic nie zobaczy.

— Valeria! — krzyczy w końcu Jerry.

Spoglądam w jego stronę i uśmiecham się pod nosem. Niesie ze sobą tackę, a na niej talerz z pokrojonym biszkoptem i trzema miseczkami. Jest wyszczerzony jak skończony kretyn. Dochodzi do nas po kilku sekundach i kładzie tackę na blat.

— Częstujcie się.

— Co jest w tych miskach? — pyta Troy.

— W pierwszej jest masa orzechowa, w drugiej alkoholowa, a w trzeciej kakaowa. Polecam

próbować biszkopta z każdą po kolei, a na koniec z wszystkimi na raz — instruuję.

— Którą lubisz najbardziej?

— Orzechową.

— Więc od niej zacznę — oznajmia Stanley. — Zaserwuj mi, dziewczyno.

Parskam śmiechem na to *dziewczyno* i wstaję z miejsca. Biorę w dłoń kawałek biszkopta i rozsmarowuję na nim grubą warstwę orzechowego kremu, a następnie podaję mężczyźnie. Odbiera ode mnie smakołyk, a ja zabieram się za smarowanie reszty kawałków. Najpierw rozsmarowuję każdą z mas po kolei, a na ostatni kawałek nakładam wszystkie kremy. Mężczyźni uważnie mnie obserwują. Zupełnie jakbym właśnie była poddawana jakiemuś testowi.

— Podoba mi się twoje skupienie — mówi Stanley.

— A jak ci smakuje moje ciasto?

— Jest wyśmienite, dziewczyno.

— Cieszę się... — marszczę nos — ...chłopaku?

— Może być. — Wzrusza ramionami.

— O której ma być gotowa? — pyta zniecierpliwiony Jerry.

— O osiemnastej wystarczy. Ktoś podrzuci wam sukienkę i wszystkie potrzebne dodatki, które według uznania założę. Przyjadę o osiemnastej i oddam ją koło dwudziestej, tak sądzę. Chociaż nie obiecuję, bo nie wiem, co wymyśli szef. — Oblizuje wargę. — Może mu coś nagle strzelić.

— Jasne. — Jerry się krzywi. — Więc o osiemnastej będziemy czekać z udekorowanym tortem. Coś poza nim zamawialiście? Z tego, co pamiętam, to nie, ale może mi umknęło?

— Nie, miał być tort i ładna obsługa — parska Troy. — Wywiązałeś się, Reece.

— Jak zawsze! — Szczyrzy się.

— Nie zaprzeczę. Do zobaczenia wieczorem, Cukierku — mówi do mnie Stanley, mrugając okiem.

Następnie wstaje i wraz z wyszczerzonym od ucha do ucha Troyem oddalają się. Gdy znikają z mojego pola widzenia, kieruję przymrużone tęczołki na idiotę, którym zdecydowanie jest mój szef. Na pewno jest lekko zmieszany, ale próbuje to ukryć.

— Co to za ludzie? — pytam bez ogródek.

— Troy to mój stary kolega, chodziliśmy razem do liceum — odpowiada. — Nie widziałem go kilka lat i przez przypadek się spotkaliśmy. — Wzrusza ramionami. — A Stanley z nim pracuje jako ktoś ważny dla gościa, który ma dzisiaj urodziny. Ogółem nie jestem obeznany w tym środowisku, ale uważaj na siebie i na to, co powiesz, jak już tam będziesz. Są mili, ale wydaje mi się, że nie mają tego wpisanego w obowiązki pracy.

— Fajnie, że mnie w to wpakowałaś, Reece — wzdygam. — Jak wrócę z traumą, to następnym razem orzechy będą mieć między twoją twarzą a stołem. Tak tylko mówię.

Mężczyzna wybucha śmiechem i kręcąc głową, obejmuje mnie ramieniem. Dobrze się bawi, lecz mnie wcale nie jest do śmiechu. Jednak nie zniechęcam się. W końcu tajemniczy mężczyźni byli dla mnie mili. Pozostaje mi jedynie liczyć na to, że ich szef również się taki okaże.

Jak to mawiają — nadzieja matką głupich.

Rozdział 1

Gdy wybija osiemnasta, stoję w łazience dla personelu wciśnięta w pończochy, dziesięciocentymetrowe szpilki i czarną sukienkę. Materiał przylega do ciała, ma długie rękawy, a ramiona i dekolt są odkryte. Sukienka kończy się jakieś trzy centymetry nad kolanem, więc nie widać pończoch. Wyglądam w porządku, moja mocno wycięta talia dobrze się prezentuje w tego typu ubraniach. To dla mnie nowość, gdyż przeważnie w każdej sukience dotąd wyglądałam do dupy.

— Val? — pyta Jerry zza drzwi. — Jesteś gotowa?

— Tak — odpowiadam. — Wejdź tu.

Nie mija sekunda, a drzwi do łazienki gwałtownie się otwierają. Staje w nich mój szef i po prostu gapi się jak ciele na malowane wrota, a ja czuję zażenowanie. Nie widział mnie jeszcze w takim wydaniu. Chyba nikt mnie nie widział, bo tak obcisłe kiecki zdecydowanie nie zapełniają mojej szafy. Preferuję spodnie, najlepiej dresowe, koszulki bądź bluzy o rozmiar większe i co najważniejsze — brak biustonosza. Moje piersi są na tyle duże, bym nie czuła się jak niewyrośnięty chłopiec, i na tyle małe, by nie wyglądały wyzywająco i dziwkarsko. Wygrałam je na loterii.

— Wyglądasz jak milion dolców — komentuje mój oniemiały szef. — Jak możesz zakrywać tę talię bluzami? Jesteś psychicznie chora? Ja pierdołę, takie ciało! — ekscytuje się, wprawiając mnie w niemałe zakłopotanie.

Nie sądziłam, że będzie taki... szczerze zachwycony.

— Jesteś idiotą — mówię.

— Wiem, nie zacząłem się ślinić na twój widok w odpowiednim momencie i przegapiłem taką okazję... — wzdycha. — Zdejmij stanik.

— Co? — Unoszę brwi w zdziwieniu.

— No zdejmij. Do takiej sukienki nie pasują ramiączka. Odwróć się, a ty go zdejmij.

— Nie mam nakładek na sutki — protestuję. To, że lubię chodzić bez stanika pod bluzą lub koszulką, pod którą nic nie widać, nie znaczy, że przy takiej obcisłej sukience będę mieć tyle samo odwagi! No, szanujmy się. Nie jadę uwieść solenizanta, tylko pokroić mu tort. — Wyjdę na łatwą — dodaję z przekąsem.

Jerry patrzy na mnie z politowaniem i unosi brwi.

— Nieprawda, będą tam zdychać z podniecenia — oznajmia ze śmiechem. — Ja już zdycham.

— Lecz się.

Odwracam się do niego tyłem i bez przekonania pozbywam się stanika. Moje sutki przebijają przez dzianinowy materiał. Widać je doskonale z powodu kulek, które mam w nie wkręcone. Cholera. Odkładam stanik na półkę, gdzie leżą moją standardowe ubrania, i zrzucam z nóg szpilki. Nie mam zamiaru w nich iść. Przy mojej zabójczej koordynacji ruchowej wywaliłabym tort na solenizanta.

Drzwiczki prowadzące z zaplecza do kuchni skrzypią, więc natychmiast spoglądam w tamtym kierunku. Stanley stoi z rękami założonymi na szerokiej klatce piersiowej i uważnie przygląda się Jerry'emu. Wygląda groźnie.

— Reece? — odzywa się głębokim, ostrzegawczym tonem. — Gotowi?

Jęczę na fakt, że to już, a ja nie mam choćby nakładek na sutki, i odwracam się całym ciałem w stronę mężczyzny. Dopiero po chwili jego oczy lądują na mnie. A konkretniej na mojej głowie, gdzie wciąż sterczą dwa kucyki przypominające palemki. Uwielbiam je.

— Rozpuść włosy — mówi. — I gdzie masz buty?

— Wezmę swoje, bo w tych nie przejdę z tortem nawet kroku. — Wskazuję na niebotycznie wysokie szpilki z logo jakiejś drogiej marki na obcasie. — Jestem trochę ciamajdą — przyznaję niechętnie.

— W sumie nie są ci potrzebne — stwierdza, uśmiechając się półgębkiem. — Masz strasznie chude nogi. Cała jesteś chuda. Reece nie pozwala ci podjadać?

Przewracam oczami, na co mój szef zabiera głos, czym wywołuje rumieńce na mojej twarzy:

— Valerio, czy ty masz kolczyki w sutkach?!

Ja pierdołę. Mógłby czasem zamknąć usta na dłużej niż kilka sekund. Spoglądam na niego

morderczo, bo nie chcę, by Stanley również zwrócił uwagę na moje piersi, i unoszę rękę, żeby chlasnąć mojego szefa w głowę, ale w ostatnim momencie zaciskam dłoń w pięść. Jestem damą.

— Wychodzę — oznajmiam.

Ze zniesmaczonym wyrazem twarzy mijam Jerry'ego i wracam do kuchni, w której grzecznie stoją moje trapery. Zakładam je szybko i prostuję się, gdy Jerry gwizdże. Spoglądam na niego przez ramię i dopiero gdy dostrzegam jego wzrok, orientuję się, że widzi pończochy. Moje zażenowanie sięga zenitu. On już wcale a wcale mi się nie podoba. Jest cholernym kretyńcem i pieprzonym troglodytą.

— Włosy, dziewczyno — mówi beznamiętnie Stanley, gdy go mijam.

Łapię obie gumki, które tworzą moje palmy, i zdejmuję, a następnie stroszę włosy, by wróciły do swojej normalnej niechlujnej niechlujności. Kocham je za to, że zawsze się dobrze układają, gdy są po myciu i suszeniu bez sztucznego powietrza. Włosy też wygrałam na loterii. Szkoda, że nie szefa.

— Świetnie. Idziemy, bo mam niecałe dwadzieścia pięć minut, żeby dostarczyć cię do kuchni. Wezmę to ciasto, gdzie jest?

— Zaraz, chwila, moment. — Krzywię się.

Kieruję się do chłodni, gdzie moje ciasto grzecznie tężeje, i z lekkim uśmiechem wyciągam je na wolność. Przechodzę do swojego cukierniczego blatu i ostrożnie kładę tort na dnie pojemnika. Na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się idealne, więc skaczę w duchu. Lubię wiedzieć, że nie zawałam sprawy i mój wypiek jest perfekcyjny.

— Wygląda imponująco — komentuje Stanley.

— Dziękuję — odpowiadam, szczerząc się.

Przykrywam ciasto głębokim wieczkiem i zabezpieczam boki, by dowieźć tort w nienaruszonym stanie. Gdy jestem pewna bezpieczeństwa, przesuwam ciasto w stronę mężczyzny i z szuflady ze świeczkami wydaję dwa zimne ognie. Będą wyglądać idealnie.

— Które to są urodziny? — pytam.

— Tajemnica służbowa. — Stanley uśmiecha się. — Chodź.

Odwraca się w stronę wyjścia i wraz z moim tortem spokojnie wychodzi. Odbieram od Jerry'ego kurtkę i uśmiecham się złośliwie, bo nie może oderwać ode mnie wzroku. Zawsze traktował mnie jak młodszą siostrę, więc niech teraz sobie popatrzy. Cholerny jaskiniowiec.

— Pośliniłeś się, Reece — komentuję, unosząc kpiąco brew.

— Jestem tego w pełni świadomy. — Oblizuje wargę. — Jak to możliwe, że ukrywałaś takie ciało? Nie przeboleję tego i w nocy nie będę mógł spać. Jesteś wredna.

— A ty jesteś płytki — prychnam.

— Jestem wzrokowcem. A ty masz kolczyki w sutkach — jęczy. — To jest takie gorące! Nie wyglądasz na zadziórę, jesteś zbyt słodka na co dzień, żebym cię posądził o taką dzikość, młoda.

— Opuszczam to miejsce, Reece.

— Będę czekał, aż wrócisz w tej seksownej kiece. — Mruga zalotnie.

A mnie się robi ciepło. Niestety on nadal mi się podoba. Ugh. Zapinam kurtkę i kręcąc głową, wychodzę. Kieruję się do głównych drzwi i zaraz staję przed czarnym samochodem, który wygląda na obrzydliwie drogi. Chciałabym wiedzieć, co to za marka, ale zawsze byłam w tym słaba. Nie interesuję się motoryzacją nawet w stopniu amatora. Gdy ktoś chwali się nowym samochodem, jedyne, co mnie ciekawi, to jego kolor.

— Położyłem ciasto w bagażniku — mówi Stanley.

Otwiera mi drzwi od strony pasażera, a ja nie mam pojęcia, co powiedzieć. Luksus, który we mnie uderza, przytłacza. Całe wnętrze pojazdu wykonano z czarnej skóry, a zapach w środku jest cholernie męski. Podoba mi się, ale nie jakoś szaleńczo.

— Mogę zadać dwa pytania? — Spoglądam na mężczyznę.

— Jak wsiądziesz, zapniesz pasy i pozwolisz mi ruszyć.

— Okej. — Uśmiecham się.

Zajmuję miejsce pasażera, wykonuję resztę poleceń i czekam, aż Stanley usiądzie obok mnie. Po tym odpala silnik i delikatnie rusza. Dźwięk silnika jest niebywale przyjemny, czym jestem zaskoczona.

— Pierwsze pytanie.

— Co to za samochód?

— Bentley mulsanne. — Uśmiecha się półgębkiem.

To raczej jeden z tych uśmiechów, które mają oznaczać wyższość, ale nie oceniam.

— Jest twój?

— Nie, szefa, ale tylko ja nim jeżdżę — mówi.

— Okej. Dzięki za info.

— Proszę bardzo — wzdycha. — Zrobisz coś dla mnie?

— Nie wiem, zależy co takiego. — Unoszę brew.

— Podaj ten tort bez butów. — Spogląda na mnie kątem oka.

— Taki miałam zamiar — przyznaję. — W butach będę wyglądać jak kretynka. A bez nich jak dziwaczka. Już chyba wolę być dziwna. — Śmieję się.

— Świetnie — komentuje. Jego głos wydaje się lekko rozbawiony.

Reszta drogi mija nam w ciszy. Rozglądam się dookoła, ale niestety nie poznaję okolicy. Może to sprawa śniegu, a może faktu, że jest ciemno? Czegoś z tych dwóch na pewno. Chwilę później skręcamy w prawo, prosto w otwierającą się powoli kolosalnych rozmiarów bramę. Gdy ją mijamy, moim oczom ukazuje się oświetlona mnóstwem lamp droga, która prowadzi do... zamku? Dom, a raczej willa, wygląda jak pieprzone zamczysko. Jestem pod wrażeniem. Pod ogromnym wrażeniem, jeśli miałabym być szczerą. Aż otwieram buzię.

— Nie zaślń mi tapicerki, dziewczyno — mruczy Stanley.

— To zamek? — piszczę.

— Nie, to dom mojego szefa.

Kieruje się w stronę zjazdu w podziemia, kilka metrów przed głównym podwórkiem tej pieprzonej majestatycznej majestatyczności. Zatrzymujemy się zaraz przy wejściu, obok kilkunastu samochodów podobnych do tego, którym przyjechałam. Bogactwo wylewa się z każdego kąta i nie wiem, czy bardziej mnie to przeraża, czy jedynie przytłacza.

— To są samochody gości, tak?

— Nie, te są szefa — mówi bez żadnej emocji.

Zupełnie, jakby to było, kurwa, normalne. Jestem skonsternowana. Wokół nas jest przynajmniej dwadzieścia lśniących pojazdów. Kto kupuje tyle samochodów?!

— Kim jest twój szef?

— Tajemnica.

— Okej. — Kiwam głową. — Ale jest jakimś królem czy coś? Miasto jest jego?

— Zostaw pytania na następny raz, dziewczyno. — Śmieje się pusto. — Idziemy.

Wysiada z samochodu, a ja jestem zmuszona zrobić to samo. Wychodzę na parking i rozglądam się. Wszystkie samochody są czarne. To dziwne. Chciałabym znać wartość całego tego garażu, ale podejrzewam, że kwota by mnie poraziła. Duże liczby w matematyce zawsze przyprawiały mnie o zawrót głowy.

— Zapraszam na górę — mówi Stanley.

Z tortem w dłoniach kieruje się do wejścia, a ja idę obok niego. Otwieram drzwi i wchodzimy do... domu? Pałacu? Tak, *pałac* to dobre określenie. Więc wchodzimy do pałacu i momentalnie uderza we mnie kolejny męski zapach. Tyle że ten przyprawia mnie o gęsią skórę. Wydaje się surowy i niebezpieczny. Nie rozumiem tego dziwnego uczucia, które się we mnie rodzi. Powinnam uciekać? Cholerka.

Ruszamy po schodach na górę, gdzie zapach jest mocniejszy, i kierujemy się przez ciemne pomieszczenie prosto przed siebie. Nie mam pojęcia, co znajduje się wokół mnie, bo patrzę pod nogi, by się nie wywalić. Dopiero za drzwiami robi się jasno i widzę dość długi, gustownie urządzone korytarz. Nie mam czasu, by skupić się na detalach, ale całość bardzo imponuje. Nie ma przepychu.

Po chwili trafiamy do kuchni. Kilkadziesiąt osób biega w niej tam i z powrotem i nawet nie zwraca na nas uwagi. Stanley kładzie tort na wózku, na którego półce ułożono mnóstwo talerzy, i od razu go odkrywa. Nic mu się nie stało podczas drogi, więc oddecham z ulgą.

— Reszta należy do ciebie. — Spogląda na mnie.

Uśmiecham się z grzeczności i zdejmuję kurtkę, którą Stanley, jak na dobrze wychowanego mężczyznę przystało, odbiera ode mnie. Dziękuję cicho i zabieram się za mój tort. Wbijam odrobinę mocniej orzechowe kulki w krem i wsuwam zimne ognie w sam środek. Końcowy efekt szczerze mnie zadowala.

— No, no — jęczy Troy, który nagle wpada do pomieszczenia. — Cóż za cudenko!

Uśmiecham się na jego komentarz i robię szybki ukłon, po którym cicho chichoczę. Stanley patrzy na mnie z zaciekawieniem, a Troy gwizdże z uznaniem.

— Czyli gotowe — dodaje. — A ty masz nos czerwony z zimna.

— Wszyscy są na sali? — pyta Stanley.

— Tak, czekają na tort.

— Okej, to ty idziesz z dziewczyną, a ja ruszam do szefa.

— Spoko.

Stanley wychodzi, a ja nie zwracając uwagi na Troya, zdejmuję buty. Przygląda mi się uważnie, czuję jego oczy dosłownie wszędzie, co mnie lekko krępuje.

— Gdzie masz szpilki? — pyta w końcu.

— Nie mam?

— Pójdiesz w tym czymś, co masz na nogach? — Śmieje się głupio.

— To są pończochy. — Marszczę brwi. — I tak, to jakiś problem?

— Nie, ale jak staniesz koło solenizanta, to będziesz mu sięgała ledwo ramienia. Jesteś mała.

Przewracam oczami.

— Daj mi zapalniczkę, co?

Wyciąga przedmiot z kieszeni z cwaniackim uśmiechem, a ja ponownie przewracam oczami. Kiwam głową, by zaprowadził nas do tego tajemniczego szefa, i pragnę, żeby zamilkł. Jest cholernie rozbawiony, a ja zaczynam się bezpodstawnie stresować.

Troy kieruje się w stronę drzwi naprzeciwko tych, którymi tutaj weszłam, a ja pcham wózek z tortem. Staram się być pewna siebie, ale gdy drzwi się otwierają i dostrzegam mnóstwo facetów w garniturach, robi mi się niedobrze. Sala jest kolosalnych rozmiarów, a na samym jej środku, pod wielkim, bogato zdobionym żyrandolem, stoi barczysty mężczyzna. Goście tworzą wokół niego półokrąg i obserwują każdy mój ruch. Ja pierdołę.

— Wszystkiego najlepszego, Vincent! — krzyczy Troy zza moich pleców, na co podskakuję z przerażeniem.

Kto się drze do ucha osobie, która prowadzi tort?! Tylko skończony kretyn!

Zatrzymuję się metr od mężczyzny, któremu wszyscy biją brawo, i niepewnie spoglądam na jego twarz. Przesuwam się spokojnie wzrokiem po jego białej koszuli, kawałku tatuażu na szyi, oprószonej czarnym zarostem brodzie, pełnych ustach, nosie z kolczykiem w lewej przegrodzie i w końcu zatrzymuję się na oczach. Ogromnych, ciemnobrązowych oczach, które uważnie mnie obserwują. Zupełnie jakbym była ofiarą, a on miał się na mnie rzucić w chwili, gdy zrobię nieprzemyślany krok. Przygryzam wargę z nerwów i nie wiem, co mam robić. Jego wzrok mnie przytłacza, jest cholernie przerażający i jednocześnie magnetyzujący. Ma piękne oczy i widzę w nich coś, co wzbudza we mnie nostalgię. Mimo tej chłodnej aury i złowieszczonego dreszczyku odnoszę nieodparte wrażenie, że z kimś mi się kojarzą.

Po kilkusekundowym zawieszeniu zdaję sobie sprawę z faktu, że nie zapaliłam zimnych ogni. Mruczę pod nosem z irytacją i w końcu wracam na cholerną ziemię. Odpalam końce fontann i robię krok w tył, gdy wszyscy zgromadzeni w dalszym ciągu biją brawo. Wgapiam się w iskry idące z patyczków i walczę, by nie unieść wzroku wyżej. Czuję, jak intensywne jest jego spojrzenie, niemal wypala we mnie dziurę. To jest, kurwa, strasznie niemiłe.

Gdy iskry się kończą, robię krok w przód. Wyciągam wypalone ozdoby i kładę na talerzyku, na którym spoczywa nóż. Chwytam go i próbując się skupić, zatapiam go w szklance z ciepłą wodą. Następnie lekko nim potrząsam, pozbywając się nadmiaru wody, i przystępuję do działania. Wbijam nóż w środek tortu i ciągnę w dół, do połowy, gdzie ciasto jest połączone specjalną tacką. Odkrawam pierwszy, najgrubszy kawałek i używając łopatkę, wyciągam. Kładę go na talerzyku, który Troy

podstawia pod moje palce, i uśmiecham się do niego, bo lubię, gdy ktoś mi pomaga. Chcę ukroić kolejny kawałek i jak najszybciej się ewakuować, ale szatyn trzymający talerz kopie mnie w kostkę. Spoglądam na niego z wyrzutem, a on spojrzeniem próbuje mi przekazać, że mam podać tort... Vincentowi. Zaciskam zęby. Nie chcę tego robić. Szalenie nie chcę, ale czuję, że muszę. Jego spojrzenie jest ostrzegawcze, a ja niestety czuję zagrożenie. Odkładam więc nóż z westchnieniem, a dłonie z przyzwyczajenia ocieram o biodra i wytrzeszczam oczy, gdy orientuję się, że ubrudziłam sukienkę.

— Valerio... — parska śmiechem Troy.

— Ani słowa. — Krzywię się.

Odbieram talerz z jego rąk i zwracam się do szefa z niepewnym uśmiechem. Jego tęczywki nie opuściły mnie ani na moment. Dalej onieśmielająco mnie obserwuje. Cholera, drżą mi dłonie, gdy wyciągam je w jego stronę.

— Wszystkiego najlepszego? — mówię.

Przesuwa spojrzeniem po moim ciele w dół i zaraz wraca, zatrzymując się na moment na torcie. Patrzy na niego dosłownie kilka sekund i ponownie wbija oczy w moją twarz. Leniwie przesuwa językiem po wardze i dopiero po tym wyciąga dłoń po talerz. Nie dotyka moich palców, co lekko mnie konsternuje, ale i cieszy. Nie chcę mieć z nim żadnego kontaktu fizycznego, jest kurewsko przerażający.

— Dzięki — odzywa się w końcu.

Jego głos jest niski i powoduje szybsze bicie mojego serca. Wskaźnik bycia przerażającym przekroczył skalę.

Jestem lekko sparaliżowana, ale nie chcę się błąźnić, więc wracam do tortu. Zajmuję się krojeniem i za wszelką cenę próbuję się na tym skupić. Przeszkadzają mi w tym nachalne, brązowe tęczywki, ale udaje mi się nie odciąć żadnego palca. Tworzę równe, w miarę cienkie kawałki, a Troy podstawia mi talerze i podaje gościom. Stanley stoi obok solenizanta i prowadzi z nim rozmowę, która nie dociera do mojego mózgu, zbyt zajętego ignorowaniem ciężącego spojrzenia.

Po torcie zostają miłe wspomnienia. Wycieram ręce o siebie po raz drugi i po raz drugi pragnę uderzyć się w czoło.

— Cholera — buczę pod nosem.

Troy wybucha śmiechem na moją głupotę, a Stanley jedynie parska. Pragnę się zapaść pod ziemię, ale nie jest mi to dane. Nie zostałam stworzona do wytwornego krojenia tortów. Ja je piekę, a nie podaję. Unoszę wzrok najpierw na Troya, następnie przesuwam go na Stanleya, a na końcu zbieram się w sobie i patrzę na Vincenta. Ma uniesioną brew.

— Przepraszam, że pobrudziłam sukienkę — mówię ze skruchą. — Zaznaczałam, że jestem ciamajdą. I że nie nadaję się do przedstawień, powinnam mieć fartuch.

— Powinnaś — odzywa się swoim głębokim głosem. — Ale nie masz.

— To był błąd — zauważam i uśmiecham się.

W sumie to chce mi się śmiać. Chwilami moja głupota sięga wyżyn.

— Nie, zdecydowanie nie. — Oblizuje wargę. — Czekam na ciebie przy stoliku — oznajmia, jakby to było coś oczywistego.

Po tym oddaje talerz Stanleyowi i odchodzi. Patrzę na jego szerokie ramiona i nie wiem, co się właśnie stało. Będę się nad tym rozwodzić zaraz po tym, gdy skończę wdychać do szerokości jego ramion. Są strasznie szerokie. A jego biodra ogromnie wąskie. I jest wysoki i lekko zgarbiony. Porusza się z niebywałym wdziękiem.

— Bierz wózek i idziemy cię ogarnąć — mówi Stanley, wrywając mnie z otępienia.

Potrząsam głową, by dobrze zrozumieć jego słowa, i wykonuję polecenie. Zawracam wózkami w stronę kuchni i po prostu się tam kieruję. Brunet kroczy zaraz za mną i szepcze coś do swojego kołnierza. Wygląda jak gangster z filmu. Z tego też chce mi się śmiać.

Parkuję wózek obok dwóch innych, na których stoją brudne talerze, i opieram o niego dłonie. Jestem spięta i bardzo bym chciała być już w domu. Mam ochotę iść spać, bo w dalszym ciągu moja głowa odczuwa skutki nadmiaru alkoholu.

— Masz — mówi Stanley.

Spoglądam na niego kątem oka i widzę paczkę mokrych chusteczek, które wyciąga w moją

stronę. Uśmiecham się szeroko i biorę dwie, a następnie wycieram resztki tortu z sukienki i z dłoni. Śmieję się pod nosem z własnej głupoty, a po skończonej czynności odkładam chusteczki na talerz obok noża.

— Odwieziesz mnie do cukierni? — pytam z nadzieją.

— Nie. — Krzywi się. — Masz iść do stolika, nie słyszałaś?

— Po co?

— Nie wiem. — Wzrusza ramionami. — Powiedział, że czeka, więc idź do niego.

— To jest konieczne?

— Tak.

Bez ostrzeżenia łapie mnie za nadgarstek i ciągnie w stronę wyjścia. Jestem na tyle zaskoczona, że nie reaguję aż do drzwi. Na sali wyrywam rękę, przez co spogląda na mnie ostrzegawczo. Jego postawa jest przerażająca.

— Możesz mnie puścić, umiem sama chodzić — oznajmiam.

Bez słowa puszcza mój nadgarstek i zwalnia, bym szła obok niego. Nikt ze zgromadzonych nie zwraca na nas uwagi, to znaczy nikt poza solenizantem, który znów na mnie patrzy. Próbuję znaleźć go wzrokiem i nie okazuje się to niczym trudnym. Siedzi na środku w towarzystwie Troya, który żywo coś do niego mówi. Nie wydaje się jednak zainteresowany. Patrzy prosto w moje oczy. A ja patrzę w jego i nie mogę przestać. Zajebicie. Docieramy do nich po kilkunastu krokach. Troy bez słowa wstaje ze swojego miejsca i razem ze Stanleyem zaczynają się wycofywać.

— Hej — protestuję. — Gdzie was później znajdzie?

— Nie martw się tym — zbywa mnie brunet.

Aha. Cudownie. Odchodzą, a ja stoję jak kretyńka obok mężczyzny, który zabija mnie wzrokiem. Przenoszę na niego zdenerwowane spojrzenie i zaciskam usta. Głębia jego oczu pochłania mnie w taki sam sposób jak pięć minut temu. Co on ma w tych oczach? Mógłby przestać się na mnie gapić.

— Więc... — zaczynam.

— Usiądź.

Pragnę powiedzieć, że nie mam ochoty, ale nie mogę. Zajmuję miejsce na krześle, które dla mnie odsunął, i oddycham głęboko, zanim zbiore się na odwagę i spojrzę na jego twarz, tym razem z dołu. Jestem bliżej niż wcześniej, przez co doskonale czuję jego mocny zapach. Drażni moje nozdrza w bardzo przyjemny sposób. Tak właściwie to... Jest zaledwie pół metra ode mnie i mogę mu się dokładnie przyjrzeć. Skoro sam nic nie mówi... Cóż. Zaczynam swoją wędrówkę od jego włosów. Są kruczoczarne i lekko roztrzepane. Boki ma wygolone, a na skroni widać dość duży tatuaż przedstawiający skrzydło i nachodzący na ucho. Przenoszę zainteresowanie na brwi i automatycznie przygryzam wargę, gdy dostrzegam bliznę na jednej z nich. Nie mam pojęcia dlaczego, ale cholernie mnie pociągają takie detale. Widzę również niewielkich rozmiarów bliznę na jego czole, która wygląda na źle zszytą.

— Nie przygryzaj — mówi w końcu.

Momentalnie spoglądam w jego brązowe oczy i wypuszczam wargę spomiędzy zębów. Nie mam pojęcia, dlaczego go słucham. Nie powinien mi mówić, co mam robić. Kimkolwiek jest i skądkolwiek się wziął.

— Po co tutaj jestem? — pytam.

— Napijesz się ze mną.

Nie żeby zapytał czy coś. Po prostu mówi, że się napiję, i oczekuje, że to zrobię. Okej, jeśli chce, żebym puściła na niego pawia, to pewnie, nie odmówię.

— Na co masz ochotę?

— Na wodę. — Wydynam wargę. — Nie mogę pić alkoholu.

— Z jakiego powodu?

— Z powodu kaca. — Śmieję się.

Stres spowodowany przez niego daje mi się we znaki. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

— Jeden kieliszek cię nie zabije — stwierdza nonszalancko.

Wyciąga dłoń po dwa puste kieliszki i stawia je przed nami. Następnie sięga po kryształową butelkę wypełnioną przezroczystym płynem i nalewa do samego brzegu. Na sam zapach trunku

wnętrznosci podjeżdżają mi do gardła. Śmierdzi niemiłosiernie. Zapewne dlatego, że wódka jest obrzydliwie droga. Odstawia butelkę na stolik i delikatnie unosi kieliszki. Prawą rękę wyciąga w moją stronę, a ja wykrzywiam usta. Zwymiotuję, jeśli się tego napiję, jestem pewna.

— Muszę? — pytam.

— Zdecydowanie.

Biorę kieliszek z ociąganiem i prostuję się, przez co moje piersi zwracają jego uwagę. Nie trwa to jednak długo. Zaraz wraca do moich oczu i nic sobie nie robi z tego, że przyłapałam go gapiącego się na moje cycki.

— Twoje zdrowie — mówi tajemniczo.

— Raczej twoje. — Marszczę nos.

Stukam swoim kieliszkiem o jego i równocześnie zerujemy. Pałaca, obrzydliwa w smaku ciecz przepala moje gardło, powodując niesmak i chęć krzyku. Odstawiam kieliszek na blat i od razu chwytam szklankę wypełnioną sokiem pomarańczowym. Wypijam całą zawartość, zanim wódka zaczyna wracać, i z jękiem odkładam naczynie na stół. Mężczyzna przygląda mi się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Chciałabym stwierdzić, że jest rozbawiony, ale jego twarz nie wyraża niczego, całkowicie pozbawiona emocji. Przechyliłam głowę w prawo, przecierając usta wierzchem dłoni, i staram się walczyć z jego spojrzeniem, ale przegrywam. Parskam śmiechem i zakrywam twarz dłońmi, by na chwilę się od niego uwolnić. Nie trwa to jednak długo. Łapie moje nadgarstki w swoje duże, ciepłe dłonie i odsuwa. Paraliżują mnie dreszcze, które czuję pod wpływem jego dotyku. Nie mam pojęcia, co się dzieje.

— Nie chowaj się przede mną — mówi łagodnie.

Jego głos jest zimny, pozbawiony emocji, ale barwa działa na mnie zaskakująco dobrze. Podoba mi się, nawet bardzo, i gdyby nie pluł takim lodem, z chęcią słuchałabym, jak do mnie mówi.

— Więc które to urodziny? — pytam.

Delikatnie wyswobadzam nadgarstki z jego uścisku i kładę je na swoich udach. Pocieram je miarowo i zagryzam wargę, gdy jego milczenie zaczyna mnie frustrować. Chciałabym, żeby mówił, a nie gapił się jak psychopata. Albo seryjny morderca, który czai się na ofiarę.

— A jak ci się wydaje? — Unosi brew.

Przyglądałam się badawczo jego surowej twarzy i staram się poszukać czegoś, co zdradzałoby jego wiek. Nie ma jednak takich znaków. Zmarszczki ma jedynie na czole, gdy porusza brwiami.

— Trzydzieste?

— Dwudzieste ósme — poprawia mnie.

— Wybacz, nie chciałam cię postarzać. — Uśmiecham się lekko. — Co roku odbywa się tutaj tak kolosalne przyjęcie? W ogóle co to za część miasta? Nie widziałam nigdy tego budynku, a wydawało mi się, że zwiedziłam już każdy zakamarek. Takiego zamczyska na pewno bym nie przeoczyła.

— Zamczyska?

Bawi mnie jego mina, więc cicho się śmieję.

— Naśmiewasz się ze mnie?

Spoglądam na niego z uśmiechem, w ogóle nie przejmując się niezidentyfikowanymi, negatywnymi wibracjami jego głosu, i pochylam się nieznacznie w jego stronę. Wygląda na zdziwionego, ale nie jestem tego pewna.

— Tak, bo zrobiłeś śmieszny minę — przyznaję. — Ten dom, a raczej willa, wygląda jak zamczysko. Nie zgadzasz się z tym stwierdzeniem?

— Nie. Prędeż nazwałbym to fortecą.

Ponownie unosi brew, a ja odnoszę wrażenie, że brwi to jedyna część jego twarzy, którą ukazuje emocje. A jedyną emocją, jaką potrafi w ogóle ukazać, jest zaskoczenie. Śmieję się cicho z jego odpowiedzi i znów przygryzam wargę. Z czasem jego energia zaczyna mnie magnetyzować i jest to konsternujące.

— Skoro tak mówisz. — Wzruszam ramionami. — Mogę o coś zapytać?

— O co tylko chcesz.

— Masz tatuaż na skroni, który przechodzi na ucho i z tego, co zauważyłam, to sięga nawet szyi. A dalej się jeszcze z czymś łączy pod koszulą? I jeśli tak, to przepraszam, ale dokąd sięga? Uwielbiam

tataże — paplam. — I jestem strasznie ciekawska z natury.

— Rzeczywiście, zadajesz wiele pytań — stwierdza. — Jednak jeśli chcesz odpowiedzi na to konkretne, musisz mnie rozebrać.

Zamieram. Czuję, jak moje policzki płoną, a on upaja się faktem, że mnie zawstydził. Nienawidzę się czerwienić i nienawidzę tego rodzaju zakłopotania. A fakt, że on jest z siebie wyraźnie zadowolony, wcale mi nie pomaga.

— Nie wstydz się — mówi. — Czerwone policzki są oznaką niewinności.

— Prędej zażenowania. — Krzywię się. — Jest coś jeszcze, co miałabym dla ciebie zrobić?

— Znalazłoby się kilka rzeczy — przyznaje, oblizując wargę. — Jednak nie będę cię tym kłopotał. Możesz iść, dziękuję za tort, był imponujący.

Wstaje ze swojego miejsca i cierpliwie czeka, aż ja również podniosę swoje siedzenie w górę. Prostuję się więc bez ociągania i wbijam wzrok w jego tors. A konkretniej w kieszeń jego marynarki, na której widnieje przypinka z literą V. Uśmiecham się pod nosem. I najwidoczniej wzbudzam zainteresowanie mężczyzny, ponieważ powoli unosi dłoń do mojej twarzy i łapie mnie za brodę. Jednym ruchem zmusza mnie do spojrzenia w jego zimne oczy.

— Ile masz wzrostu? — wypalam.

A on wzdycha, wgapiając się we mnie z tej wysokości, i stara się mnie oneśmielić bardziej niż dotąd. Nie umiem jednak odwrócić wzroku. Jego tęczy są przerażające, ale mają przepiękny, brązowy odcień, który określiłabym jako barwę ciepłego miodu. Nie ma tam jednak ani odrobiny ciepła — z jego oczu wieje chłodną pustką

— Zadajesz za dużo pytań — szepcze.

— Przepraszam. — Uśmiecham się lekko.

— Nie masz za co.

Nie mam pojęcia, jak to skomentować, więc delikatnie ujmuję jego dłoń i odsuwam od swojej twarzy. Czuję, jak temperatura jego ciała miesza się z moją, która jest niska, i pragnę jęknąć. Jest gorący, a ja mam trupio zimne ręce.

— Pójdę już — mówię, ale czuję się raczej, jakbym pytała o pozwolenie.

Kiwa głową i zabiera mi dłoń, by zaraz położyć ją między moimi łopatkami. Delikatnym pchnięciem sugeruje, bym się ruszyła, i nie mija chwila, a my krocimy przez salę prosto do kuchni. Czuję, jak spojrzenia zgromadzonych kierują się na nas, ale staram się to ignorować. Skupiam się na fakcie, że jego dłoń cały czas spoczywa na moich plecach. Jest niemal parząca.

Wchodzimy do kuchni, a wszyscy, dosłownie wszyscy, którzy w niej są, nagle zamierają. Gapią się na mężczyznę obok mnie z przerażeniem, więc ja również kieruję na niego wzrok. Patrzy na mnie. Cały czas po prostu na mnie patrzy. Cholera.

— Stanley — odzywa się, nie spuszczać ze mnie wzroku.

— Słucham — odpowiada brunet.

Zjawia się obok nas w mgnieniu oka. Jestem zaskoczona tym, jak szybko to zrobił. Też chcę być jak ninja.

— Czekaj na nas w samochodzie przed domem — instruuje Vincent.

Stanley kiwa głową, kładzie moją kurtkę na wózku obok nas i odchodzi. Odprowadzam go wzrokiem aż do drzwi i niepewnie spoglądam na Vincenta. Zaciska szczękę i patrzy przed siebie. Podążam za nim wzrokiem i dostrzegam pustą przestrzeń. Wszyscy pracownicy wyparowali. Przerażające.

Odsuwam się od niego i kieruję do butów, które leżą niechlujnie obok wózka. Pochylam się do nich i powoli wsuwam je na stopy. Czuję przeszywający wzrok mężczyzny na swoich nogach, ale usilnie staram się to zignorować. Moje pończochy zapewne zerkają na niego spod tej krótkiej szmatki. Cholera. Prostuję się, gdy buty grzeją moje zmarznięte stopy, i zakładam kurtkę. Gdy jestem gotowa, odwracam się do Vincenta z przygryzioną wargą.

— Nie przygryzaj — mówi chrapliwie. — Dlaczego nie miałaś butów?

— Nie chciałam iść w traperach i tej sukience, bo wyglądałabym jak kretyka. A szpilki to nie moja bajka — przyznaję. — Chociaż gdybym je założyła, może nie byłabym przy tobie takim karłem.

— Nie, nadal byłabyś o wiele niższa. Między nami jest około dwudziestu pięciu do trzydziestu centymetrów różnicy.

Pochyla się do poziomu moich oczu i wpatruje się w nie z uciążliwą intensywnością. Odwzajemniam to zaledwie przez kilka sekund. Później przesuwam wzrokiem po całej jego twarzy.

— Szmaragdy — szepcze lekkim głosem, a jego ciepły oddech owiewa moje wargi.

Słyszę, ale nie rozumiem. Skupiam się na ruchu jego ust i kompletnie głupieję. Nie wiem, o co mu chodzi, i nawet się nie zastanawiam. Jego wargi są nieprzeciętnie magnetyzujące. Nie chcę na nie patrzeć, ale nie mogę oderwać wzroku. Coś pierwotnego ciągnie mnie do nich i wręcz pcha do tego, by się pochylić.

Uspokój się, Valerio!

— Co? — pytam wysokim głosem.

Potrząsam głową i zamykam oczy. Musimy wyglądać jak idioci, stojąc naprzeciwko z oczami utkwionymi w siebie wzajemnie. Zwłaszcza że on zgina się prawie wpół przez fakt, że jest cholernie wysoki. Albo ja cholernie niska. Jedno z dwóch.

— Szmaragdy — mruczy i zbliża się jeszcze trochę. — Twoje oczy są szmaragdowe — dodaje wprost do mojego ucha.

Jego oddech odbija się od mojej skóry i wywołuje dreszcz. Uśmiecham się i bezmyślnie przyciskam policzek do ramienia. Chcę odciąć mu dostęp do mojego wrażliwego punktu, ale zamiast tego łączę nasze twarze. Grzbiet mojego nosa przywiera do jego zarośniętej brody, na co parskam śmiechem. Czuję jego intensywny zapach dosłownie wszędzie, zupełnie jakby mnie osaczał, i jest to z jednej strony przerażające, a z drugiej cholernie pociągające. Pachnie jak kłopoty i seks. Jasna cholera.

— Mam łaskotki — tłumaczę.

Ale nie mam pojęcia, po jaką cholere.

Rozdział 2

Środowe popołudnie spędzam ubrudzona po pachy mąką gryczaną, której zapach szczerze kocham. Jak co tydzień od prawie pół roku piekę sześć okrągłych ciast czekoladowych na bazie mąki gryczanej dla znajomych Jerry'ego. Prowadzą ogromną siłownię, a raz w tygodniu robią sobie tak zwany grupowy *cheat meal* i jedzą moje wypieki. Nie potrafię pojąć, jakim cudem nie mają ich dość.

Obracam dwie ostatnie formy w piecu i wzdycham, czując potrzebę zastrzyku kofeinowego. Kieruję się więc spokojnym krokiem do drzwi prowadzących do moich dzisiejszych kawiarzy i wystawiam głowę, by któregoś zaczepić. Zauważam Waltera ostro dyskutującego z Josephem, który poleruje kubek z logo naszej kawiarni. Są tak zaaferowani, że nie zwracają uwagi na moją głowę, która wychyla się zza drzwi.

— Valeria! — dociera do mnie głos Jerry'ego. Jest dziwnie zmieszany.

Obracam głowę w jego stronę i zauważam Troya, który uśmiecha się do mnie tajemniczo. Nie mam pojęcia, dlaczego się spinam. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczę.

— Troy? — Marszczę brwi.

— We własnej osobie. Co tam, mała?

Jego głos jest beztroski, dziwnie podniecony. Nawdychał się czegoś?

— Przyjechałeś na kawę?

— Nie, przyjechałem po ciebie. — Śmieje się.

— Kto ma dzisiaj urodziny?

— Ja. — Parska śmiechem. — Tak serio to przyjechałem okazjonalnie, bo Vincent tutaj jest. Stwierdziłem, że z chęcią zjem więcej twoich wypieków.

Spinam się na myśl o ciężącym spojrzeniu wspomnianego mężczyzny i wydymam wargę, by nie jęknąć. Naprawdę nie mam ochoty na spotkanie z nim. Zwłaszcza że Jerry bez przerwy o nim mówi, bo dostał za tort o wiele więcej, niż powinien.

— Więc na co masz ochotę?

— Nie wiem, wybierz coś. — Mruga. — I przyjdź do stolika, Vincent na ciebie czeka.

— Jestem cała w mące — protestuję. — Nigdzie nie idę.

— Więc on przyjdzie do ciebie. — Wzrusza ramionami.

Kieruje się w stronę stolików, a ja jęczę. Odwracam się do mojego stanowiska pracy i podchodzę do pieca, z którego muszę wyjąć formy. Jerry idzie za mną i bełkocze coś pod nosem, ale ignoruję to. Wyjmuję ciasta i wbijam w nie wzrok. Nie chcę widzieć Vincenta. Ten facet wzbudza we mnie niepokój i jakieś chore pragnienia. Jest zbyt... rozbijający. Nie powinnam była myśleć o nim pół nocy.

— Młoda, ogarnij się i idź do nich!

Jerry łapie mnie za ramiona i odwraca w swoją stronę jednym ruchem. Przyglądam się jego twarzy z pytającą miną, ale on nie żartuje. Z tego, co pamiętam, zostałam zatrudniona na stanowisko cukiernika, więc niech sam sobie zamówienia przyjmuje i wydaje. Ja mu mogę najwyżej ukroić kawałek ciasta.

— Masz dwóch kelnerów — zauważam kąśliwie. — Ja jestem od pieczenia, nie od przyjmowania zamówień.

— Zdecydowanie jesteś twarzą tego miejsca — odzywa się głos od drzwi.

Spoglądam z przerażeniem na Stanleya, który pojawił się kompletnie z dupy, i odpycham od siebie swojego szefa. Parska śmiechem na moją gwałtowność, a brunet podchodzi na odległość metra. Staram się zgromić go wzrokiem, ale jestem przy nim jak to nieszczęsne kurczątko, którym mnie nazwali.

— Raczej ręką. — Mrużę oczy. — Zamówienia składa się przy ladzie.

— Zamawiam cukierniczkę z firmowym uśmiechem — prycha arogancko. — Idziesz ze mną do stolika.

Łapie mnie za rękę i bez mojej zgody po prostu ciągnie do wyjścia. Szarpię się, ale jedno jego spojrzenie studzi mój zapał. Jest przerażający, gdy chce, by się go bać. W co ja się wpakowałam?!

Wychodzimy na salę i kierujemy się na górne piętro, gdzie znajduje się niewielki, przeszklony

balkon z kilkoma stolikami. Zauważam Troya siedzącego przy jednym z nich i zaraz moim oczom ukazuje się Vincent. Opiera się o barierkę na samym końcu tego pseudopomieszczenia i obserwuje ludzi pod sobą. Ma na sobie czarne, przetarte spodnie zwężane w kostkach i czarną koszulę. Podwinął rękawy, przez co zwracam uwagę na umięśnione przedramiona i kawałek tatuażu, którym jest fragment gałęzi. Wygląda mrocznie i dostojnie. To niedobrze.

— Zaraz wrócę — oznajmia Stanley, co sprawia, że Vincent kieruje na nas swój znudzony wzrok.

Uścisk na moim nadgarstku znika i zaraz zostaję sama z przerażającym brunetem. Patrzy na mnie bez słowa, tak samo jak w sobotę. Jest nonszalancki i nachalny. Samym spojrzeniem daje mi do zrozumienia, że rządzi w tym miejscu, mimo że nie ma do tego żadnego prawa.

— Cześć — odzywam się w końcu, byle przerwać te milczące spojrzenia.

— Mam ci coś do powiedzenia — oznajmia, ignorując moje powitanie. — Usiądź.

Wskazuje miejsce przy stole, przy którym chwilę temu siedział Troy, i rusza w jego kierunku. Siada przy oknie, a ja podchodzę i zatrzymuję się obok niego. Nie siadam, ponieważ kanapy są obite materiałem, który łatwo się brudzi.

— Jestem cała w mące. — Marszczę nos. — Nie będę siadać. A poza tym pracuję, po co mnie tutaj zaciągnąłeś?

— Usiądź — warczy.

Jego postawa zmienia się na groźną, a ja mam ochotę uciec. Przeraza mnie wielkość jego ramion i fakt, że mimo iż siedzi, jest niewiele niższy ode mnie.

— Jestem cała w mące — powtarzam z większą złością, która ma być na pokaz.

Próbuję być twarda, ale jego mrozące krew w żyłach spojrzenie wcale mi w tym nie pomaga.

— Gówno mnie to obchodzi.

Zaciskam zęby i zapieram się całą sobą, by nie stracić zimnej krwi i nie nawrzeszczyć na niego za bycie władczyim dupkiem. Zdejmuję fartuch utyłany w mące i odkładam na stół, obok jego ręki. Następnie otrzepuję niebieskie jeansy z resztek białego proszku i po wygładzeniu koszulki zajmuję miejsce naprzeciwko niego. Jest zniecierpliwiony i wkurwiony, co wnioskuje po pulsowaniu żyły na jego szyi.

— Więc? — Unoszę brew.

— Wracam do domu w piątek, a ty jedziesz ze mną — oznajmia.

Jego głos jest szorstki, wyraźnie słyszę w nim złość spowodowaną moimi sprzeciwami i głupieję. O czym on, do cholery, do mnie mówi?

— Nie rozumiem.

— Nie obchodzi mnie to. Możesz się przygotować i zabrać potrzebne rzeczy lub zrobimy to po mojemu. W tej kwestii daję ci wybór.

Przyglądam mu się z konsternacją i próbuję zrozumieć jego słowa, ale nie mam zielonego pojęcia, o co, do cholery, chodzi. Sądzi, że kim jest, by wydawać mi polecenia? Gdzie niby mam z nim pojechać? Do jego zamczyska? Po co?

— O czym ty mówisz? — pytam.

— O twoim nowym życiu.

— Jakim nowym życiu, do cholery? — Mrużę oczy.

— Nie przeklinaj. — Zaciska zęby.

— Nie rozkazuj mi.

— Nie prowokuj mnie.

— Jesteś kurewsko frustrującym mężczyzną — zauważam. — Wracam do pracy.

Podnoszę się z miejsca z zamiarem wyjścia, ale nie robię ani kroku. Jego palce oplatają mój nadgarstek i skutecznie mnie unieruchamiają. Czuję ciepło, które bije od jego ciała, ale wcale mi to nie pomaga. Jego uścisk jest uciążliwy i przepełniony wkurwieniem, które doprowadza mnie do szewskiej pasji. Nienawidzę, gdy ktoś mi rozkazuje. Zwłaszcza ktoś, kogo nie znam.

— Miałaś nie przeklinać. — Mruży oczy.

— Możesz mnie puścić i zniknąć? Proszę.

— Nie, nie mogę. Usiądź, jeszcze nie skończyłem.

— Ale ja nie mam nic więcej do powiedzenia — burczę.

Siadam na miejscu i z irytacją wgapiam się w jego przerażające zimne oczy. Nie wiem, czy chce mnie przstraszyć, czy zamordować tym wzrokiem, ale nie łamię się. dzielnie wytrzymuję, bo widzę w nim coś, co znam. Albo tak sobie wmawiam, bo jest ode mnie dwa razy większy.

— W piątkowe popołudnie przyjedzie pod twój dom Stanley, a ty spakowana grzecznie wsiądziesz do samochodu — mówi. — Jeśli będziesz stawiała opór lub nie wyjdiesz, gdy pojedzie, osobiście wsadzę cię na tylne siedzenie.

— Kim ty jesteś, co? — Wpatruję się w niego wściekle. — Z tego, co mi wiadomo, to ani moim ojcem, ani matką.

— Moja rola w twoim życiu pozostanie na razie tajemnicą — mówi wymijająco. — Masz jakieś inne pytania? Z chęcią posłucham.

— I tak mi nie odpowiesz — pryham.

— Ale chętnie posłucham.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Więc możesz milczeć, nie przeszkadza mi to.

Nie wytrzymam.

— Kim jesteś? — Krzywię się. — Rozumiem, że masz dużo pieniędzy, ale w którym momencie ja podpisałam jakiś dokument, by się ubezwłasnowolnić? Nie znam cię i nie wydaje mi się, byśmy mogli się zaprzyjaźnić.

— Dlaczego?

— Nie lubię ludzi, którzy patrzą na mnie z chęcią mordy. — Uśmiecham się kpiąco.

— Nie zabiję cię.

— Dzięki — pryham. — To szalenie łaskawe z twojej strony.

— Nie dąsaj się, Emerald¹.

— Emerald? — Uśmiecham się głupkowato, co nie uchodzi jego uwadze. Moja złość zamienia się w zaciekawienie. — Dlaczego nie po imieniu?

Wzrusza ramionami i wydaje się w tym geście dziwnie chłopięcy. Odpuszczam i robię to wyłącznie dlatego, że słyszę w oddali głos Jerry'ego. I goryli Vincenta, ale oni obchodzą mnie w tym momencie najmniej.

— Vincent — mówię, a on przenosi spojrzenie z moich ust na oczy.

Unosi brew, oczekując na dalszą część mojej wypowiedzi, ale nie odzywam się. Jerry stawia przede mną filiżankę z białą kawą, a przed moim towarzyszem z czarną. Po chwili serwuje dwa kawałki ciasta marchewkowego przełożonego moją ulubioną masą. Uśmiecham się na widok słodczy.

— Jerry. — Spoglądam na szefa. — W małym piecu są ciastka korzenne, wyjmij je i przełóż na tacki, a później przynieś mi na spróbowanie kilka. Nie jadłam ich jeszcze.

— Jasne, młoda.

Całuje mnie w czoło i zaraz znika. Kieruję spojrzenie z powrotem na Vincenta i pierwsze, co dostrzegam, to jego pulsująca na szyi żyła. I zaciśnięta, kamienna szczęka.

— Jesteś zły? — pytam głupio.

Mruży oczy, lecz nie odpowiada. Jego ciężki wzrok spoczywa na mojej twarzy i wypala w niej dziury, ale z całych sił staram się to ignorować. Zajmuję się swoją kawą. Jest mocna, na szczęście mleko idealnie ją odciąża.

— Zaczęłaś coś mówić — warczy.

— Jak masz na nazwisko?

— Jestem Vincent, tyle ma ci wystarczyć.

— Ale nie wystarcza. — Wydymam wargę. — Dlaczego to jest tajemnica?

— Nie wiem, zapytaj mojego ojca. — Mruży oczy.

— Wolę zapytać ciebie.

— Nie odpowiem ci, niestety.

— Więc jest mi szalenie przykro — wzdycham.

Wbijam widelec w ciasto i nabieram sporą porcję, która zaraz ląduje w moich ustach. Kocham

ciasto marchewkowe, więc automatycznie uśmiech wypływa na moje wargi.

— Uśmiech nie jest znakiem przykrości — zauważa Vincent.

— Może to śmiech przez łzy?

— Nie, twoje oczy mówią co innego.

— Co? — Podnoszę wzrok na jego twarz.

— Lubisz to ciasto.

— Lubię, ty też polubisz, jest pyszne.

— Nie wątpię w to. — Unosi brew. — Wygląda imponująco.

— O torcie mówiłeś to samo — zauważam z pełną buzią. — W ogóle masz dwadzieścia osiem lat, a sprawiasz wrażenie o wiele starszego. To przez tę wyższość, która od ciebie bije? Czy może wcisnąłeś mi ściemę?

— Nigdy nie posądzaj mnie o fałsz. — Mruży oczy. — Nie toleruję kłamstwa, a każda próba oszukania mnie źle się kończy.

— Jesteś bardzo specyficznym mężczyzną — wzdycham. — Spróbuj ciasta, rozluźnisz się.

— Uważasz, że jestem spięty?

— Tak, zdecydowanie tak uważam. Jestem pewna, że masz spięte barki.

— Po czym to wnioskujesz?

— Moja kobieca intuicja nigdy się nie myli. — Mrugam.

— Sprawdź.

Krzyżuje ręce na torsie i patrzy na mnie wyzywająco. Czuję podstęp lub sobie go wmawiam, nie jestem pewna. Jednak widzę, że to pewnego rodzaju sprawdzian. Postanawiam się poddać. Wstaję z miejsca i powoli wychodzę zza stołu, a następnie stoję za nim. Kładę dłonie na jego twardych ramionach i ściskam.

— Są jak kamienie. — Śmieję się. — To mięśnie czy naprawdę jesteś aż taki spięty?

Odchyła głowę w tył i patrzy na mnie z dołu nieodgadnionym wzrokiem. Jest niemożliwie blisko, a ja znów kieruję spojrzenie na jego wargi. Są tak paskudnie magnetyzujące, że nie umiem się powstrzymać. Przesuwam dłoń z jego ramienia na szyję, a z niej po uchu aż na policzek i usta. Są takie, jak sądziłam. I nie wiem, czy mnie to bardziej podnieca, czy przeraża.

Dlaczego ja się nie hamuję przy tym człowieku?

— O czym myślisz? — mruczy nisko.

Oblizuję dolną wargę i decyduję się spojrzeć w jego oczy. Są zamglone.

— Myślę o tym, że masz miękkie usta.

— I co w związku z tym?

— Nic. — Uśmiecham się szeroko. — Po prostu chciałam to sprawdzić już w sobotę.

— Więc dlaczego nie sprawdziłaś?

— Nie miałam tyle odwagi.

— Skąd więc wzięła się teraz?

— Nie mam pojęcia. — Śmieję się. — Co to za przesłuchanie?

Odsuwam się od niego i leniwie wracam na swoje miejsce. Czuję się odrobinę pewniej po tym zbliżeniu, ale nie mam pomysłu dlaczego. Może przez fakt, że pozwolił mi się dotknąć i już nie wydaje się takim zimnym, niedostępnym głazem? W zasadzie teraz dodałabym mu jakieś dziesięć punktów do atrakcyjności.

— Czysta ciekawość.

— Ciekawość to pierwszy stopień do piekła — zauważam. — Coś jeszcze cię ciekawi?

— Wiele. Jednak to nie jest odpowiedni czas na zaspokajanie mojej ciekawości.

— Skoro tak twierdzisz.

Łapię widelec i skupiam się na cieście. Zdecydowanie jest wyśmienite, a ja jestem obrzydliwie skromna. Moje ciasta są z każdym tygodniem coraz lepsze i coraz bardziej moje. Nikt poza mną nie wtrąca się w moją pracę, ponieważ bazuję na tajnych przepisach babci i dopieszczam je według własnego uznania. Jej wypieki są, były i zawsze będą majstersztykiem.

— Valerio, przyniosłem ciastka od Jerry'ego — odzywa się Troy.

Jego głos wybudza mnie z transu. Unoszę wzrok znad ciasta i kieruję go najpierw na Vincenta, który raczy się kawą, a później na szatyna trzymającego w dłoniach ozdobny talerz z ciastkami korzennymi.

Odbieram talerz i uśmiecham się szeroko, widząc, jak pięknie wyrosły. Mimo skomplikowanego kształtu nic się nie zdeformowało.

— Próbowałaś? — pytam z ciekawością.

Troy wzrusza ramionami i usilnie próbuje ukryć cwaniacki uśmieszek, który ciśnie mu się na usta.

— Wnioskuje po twojej minie, że tak. — Demaskuję go. — I jak?

— Głupie pytanie. — Przewraca oczami. — Są świetne, pochłonęliśmy połowę tej metalowej tacki — prychnęła.

— Co?! — Podnoszę się gwałtownie.

Odkładam talerz na stół z głośnym dźwiękiem i mierzę go przerażonym spojrzeniem. Mam szczerą nadzieję, że żartował. Jeśli nie, to marny jego los.

— No co? — Parska śmiechem. — Nie mogłem się zatrzymać, powinny być większe.

— Ile ich zostało? — jęczę. — Zresztą zamknij się — syczę ze złością. — Zabiję was!

Wychodzę zza stolika i pędem ruszam w stronę schodów, z nich na salę główną, a później do mojego stanowiska pracy. Stanley z Jerryem nadal zajadają się ciastkami. Kurwa, brakuje połowy! Ja chciałam tylko kilka sztuk na spróbowanie, a nie, żeby pochłonęli pół blachy!

— Jerry, pojebało cię?! — krzyczę sfrustrowana.

Bardzo rzadko używam tak mocnych słów, ale teraz po prostu mam ochotę go udusić.

— O co ci chodzi? — Krzywi się.

A Stanley mruży ostrzegawczo oczy.

— Prosiłam, żeby kilka spróbować, a nie pochłaniać połowę pieprzonej blachy! To były ciastka na zamówienie, kretynie! — Spoglądam na zegarek i piszczę. — Na za niecałą godzinę! Jak to wytłumaczysz?!

— Jak to na zamówienie? — Wytrzeszcza oczy.

— Normalnie, kurwa!

— Nie przeklinaj — warczy Vincent, który pojawia się za mną. Zdecydowanie za blisko.

Spoglądam na niego wściekle i zaraz wracam wzrokiem do Jerry'ego. Jest sfrustrowany, bo dotarło do niego, że zamówienie było ważne. Jak każde, które realizuję!

— Won z mojej kuchni — krzyczę, wymachując rękami. — Mam mało czasu!

Jerry patrzy to na mnie, to na Vincenta i nie wie, co ma zrobić. Ja ignoruję wszystko i wszystkich i po prostu kieruję się do chłodni, w której została resztką ciasta. Nie wyjdzie mi z niej pół blachy, ale przynajmniej braki nie będą kłuć w oczy. Jestem zdesperowana.

Wracam do ogromnej stolnicy z oprószonym mąką ciastem i uśmiecham się, gdy nikogo nie ma w zasięgu mojego wzroku. Przez chwilowe ugniatanie nerwy wracają mi do normy. Skupiam się na cieście i jest to bardzo satysfakcjonujące. Kocham moją pracę.

— Nie wyglądasz na taką nieokrzesaną — szepcze Vincent do mojego ucha.

Podskakuję w miejscu, wydając z siebie przerażony pisk, i gwałtownie odwracam twarz w jego stronę. Mój nos styka się z jego zarosniętym policzkiem i doprowadza mnie to do szału. Co on, do cholery, robi? Kolejny ninja?! Zaciskam powieki. Jestem sfrustrowana sposobem poruszania się tych mężczyzn. Ja nie umiem chodzić, jakbym się unosiła nad podłożem!

— Emerald — mruży i łapie moje biodra.

Zaciska na nich palce o wiele za mocno, ale, o dziwo, wcale mnie to nie przeraża. Jego władczy dotyk działa na mnie pobudzająco i gwałtownie przyspiesza mój oddech oraz pracę serca. To niedorzeczne: ten mężczyzna się rządzi, jest onieśmielający i jeszcze mnie dotyka, a ja nie mam z tym problemu!

— Do zobaczenia w piątek — mówi spokojnym głosem, przesuwając kciukami po moich kościach biodrowych.

Po tym całuje mnie w policzek, przez dłuższy moment trzymając gorące wargi na mojej skórze,

i dopiero odchodzi.

Jestem rozpalona.

1 *Emerald* (ang.) — szmaragd.

Rozdział 3

Kończę pracę o osiemnastej. Czwartek wydaje się zaskakująco spokojnym dniem: po prostu wracam do mieszkania z torbą pełną ciastek i kilku kawałków jabłeczniaka. Mam świadomość, że Anna, moja studiująca przyjaciółka, jak co tydzień wpadnie z winem, by uczcić studencki czwartek.

Będąc w środku, zdejmuję trapery i od razu ściągam przez głowę bluzę, która jest ubrudzona mąką. W samym staniku kieruję się do kuchni i wypakowuję resztki z pracy na blat. Z szafki wyciągam płaski talerz i układam smakołyki. Mam ochotę zjeść coś konkretnego, ale w mojej lodówce nie ma nic ciekawego. Powinnam zrobić w końcu jakieś zakupy.

Gdy finalnie decyduję się na zamówienie chińczyka, do moich uszu dociera dzwonek. Krzywię się na myśl o przyjaciółce, która jak zwykle zapomniała swojego kompletu kluczy. Przekręcam zamek i zamasyście otwieram drzwi. Zamieram. Gapię się na osobę przede mną jak na pieprzonego ducha, bo nie jest to moja przyjaciółka. Zakrywam się rękami jak mogę i piorunuję Stanleya oburzonym spojrzeniem. Patrzy na mnie beznamiętnie, a ja mam ochotę wytluc go po twarzy. Skąd, do cholery, wie, gdzie mieszkam?!

— Przesuń się i wpuść mnie do środka, Cukierku — mówi. Jego głos jest wyraźnie rozbawiony.

— Ale przepraszam bardzo, co ty tu robisz?!

— Przyjechałem po ciebie — wzdycha. — Tu masz ubranie, przebieraj się i wychodzimy.

Mija mnie w wejściu, na chama wciskając mi torebkę z ubraniami, i rozgaszcza się. Trzaskam drzwiami ze złością i szybkim krokiem zmierzam za nim. Zatrzymał się w kuchni przy jabłeczniaku i właśnie go pochłania. No, miło mi szalenie, że smakuje, ale co on robi w moim mieszkaniu? Bez zaproszenia!

— Stanley — warczę.

— Mamy piętnaście minut na wyjście z tego budynku i piętnaście na dojazd, więc z łaski swojej nie warcz na mnie, tylko wciskaj tyłek w to, co masz w torbie, i nie wkurwiał mnie. Wystarczająco dużo pierdolenia już muszę wysłuchiwać. Uwierz mi, nie chcesz psuć mojego humoru.

— Wchodzisz do mojego mieszkania bez zaproszenia, dajesz mi jakieś ubrania i oczekujesz, że wsiądę z tobą do samochodu? Gdzie niby chcesz mnie wywieźć? Co to w ogóle za szopka?! Przyjechaliście tylko po tort, więc czego jeszcze szukacie w moim życiu, co? Jeśli masz urodziny, to niech Troy zamówi u Jerry'ego tort i ci go upiekę! — podnoszę głos.

— Cukierku, kieruj frustracje do Vincenta, ja tylko wykonuję polecenia. Twój czas mija, teraz masz już trzynaście minut, a jeśli nie zdążysz sama, z chęcią ci pomogę.

Uśmiecha się ironicznie i wkłada w usta pełną łyżkę ciasta. Mam ochotę go uderzyć, ale obawiam się, że może mi oddać. Nie wygląda na damskiego boksera, jednak cholera go tam wie. Lepiej nie drażnić lwa. Lew to piękne zwierzę, ale co mi z piękną, jeśli połknąłby mnie w całości? Nic.

— A mogę wiedzieć, do czego jestem zmuszona?

— Vincent kazał cię w to ubrać i dostarczyć na miejsce, nie znam szczegółów.

— Vincent to mnie może w dupę pocałować — pryham. — Powiedz mu to i wyjdź z mojego mieszkania.

— Cukierku, mogę cię zabrać nawet w tej wersji, w samym staniku na pewno bardzo przypadłabyś mu do gustu. Masz piękną talię, przyznaję.

Przewracam oczami.

— Jesteś dupkiem. — Uśmiecham się ironicznie. — I dzięki za komplement.

— Jesteś zabawną dziewczyną, wiesz? — wzdycha. — A teraz zapierdalaj się wyszykować, nie mam ochoty wysłuchiwać gróźb z powodu spóźnienia. Ruszaj się.

Przewracam oczami z wyraźnym niezadowoleniem i kieruję się do mojej sypialni. Odkładam pakunek i pędem ruszam do łazienki, w której biorę szybki prysznic. Ruszam się żwawo, żeby przypadkiem nie narazić się brunetowi i nie zastać go w pokoju, gdy wyjdę w samym ręczniku. Wolę nie ryzykować, już zdążyłam się przekonać, że nie zaznajomiono go z definicją słowa *nie*.

W torebce, którą otrzymałam, jest niewiele zasłaniający bralet, marynarka i eleganckie materiałowe spodnie, które na sto procent mocno opną moje nogi. Wzdycham z rezygnacją i po

naciągnięciu na tyłek prostych, koronkowych majtek powoli wkładam na siebie resztę rzeczy. Pasują idealnie, ale fakt, że bralet jest wykonany z cienkiej siatki z naszywkami w kształcie róż na sutkach, wcale mi się nie podoba. Czuję się naga.

Stanley pojawia się w drzwiach mojego pokoju, co zauważam w lustrze, przed którym stoję.

— Twój czas minął, Cukierku — oświadcza.

Odwracam się do niego ze złością spowodowaną jego nonszalancją, ale nie robi to na nim najmniejszego wrażenia. Pragnę mu przywalić. Tak szalenie tego pragnę! Nawet zaciskam pięści, by być w gotowości.

— Rozpuść włosy.

— Wkurzasz mnie tymi poleceniami, wiesz?

— Nie obchodzi mnie to jakoś szczególnie.

— Świetnie — pryham. — W takim razie mnie nie obchodzi to, że chcesz mnie gdzieś zabrać.

Zakładam ręce na piersi i siadam na łóżku z wrednym uśmiechem. Brunet unosi brew, podchodzi, łapie mnie w pasie, przerzuca sobie przez ramię i kieruje się do wyjścia. Jestem w takim szoku, że nawet nie reaguję. Co to, do chuja, ma znaczyć?!

— Widzisz? — Śmieje się chamsko. — Mogłaś iść w butach i zabrać potrzebne do uciezki rzeczy, takie jak telefon, zamiast się dąsać. Teraz wsadzę cię do samochodu i zawiozę do Vincenta i nikt nie będzie wiedział, gdzie jesteś, bo nie masz telefonu.

Zamyka za nami drzwi do mojego mieszkania, chowa klucz w kieszeni spodni i kieruje się na schody. Powoli, by mnie nie upuścić, schodzi na dół, a ja w dalszym ciągu nie odzywam się ani słowem. W sumie nie mam ochoty z nim rozmawiać. Skoro i tak mnie porywa, to co mam powiedzieć? Żeby mnie puścił? Dobrze sobie.

Docieramy do samochodu, którym już raz podróżowałam, i zostaję delikatnie zdjęta z ramienia, a następnie wsadzona na przednie siedzenie. Stanley obchodzi się ze mną bardzo ostrożnie, co mi się podoba, ale dziwi mnie fakt, że robi to z taką gracją. W sensie: no jednak nie jestem dzieckiem, prawda? Ważę swoje, a on nie wydaje się tym w ogóle dotknięty. Zapina mi pas, mruga zalotnie, by mnie zirytować, i zamyka drzwi. Pryham na jego zachowanie i szarpnię kławkę, ale jest zamknięte. Świetnie. Klienci ze złota, nie ma co.

— Możesz próbować wszystkiego — rzuca, zajmując swoje miejsce — ale przed Vincentem nie da się uciec, Cukierku. Już za późno.

— Co? — Krzywię się.

Nie mam pojęcia, o czym do mnie właśnie mówi, a jego postawa nie pomaga. Jest rozbawiony sytuacją, co mnie szalenie irytuje. Zmazałabym mu ten uśmiezek pięścią!

— Odpowiesz?

— Nie. — Parska śmiechem. — Jesteś śmieszna.

— A ty mnie wkurzasz.

— Ja tylko wykonuję polecenia służbowe.

— Czyli to normalne: wchodzić komuś do mieszkania, kazać mu się przebierać w jakieś dziwkarskie stroje i na chama wynosić go z mieszkania? Chyba nasze pojęcie o pracy diametralnie się różni, Stanley. Nawet nie chcę wiedzieć, co masz w umowie.

Zaplatam dłonie na piersiach i zaciskam usta, by pokazać, jak bardzo jestem obrażona jego głupim zachowaniem.

— To dobrze, Cukierku, nie powinnaś się tym interesować. Postaraj się przyzwyczaić do nowej sytuacji, to jedyne, co może ci pomóc.

Wzdycham, bo nie mam pojęcia, co jest grane, i nie wiem, co robić! A na domiar złego mam na sobie tylko bralet i marynarkę, choć jest pieprzony styczeń! Och, i nie mam butów. Ani makijażu. I nadal mam na głowie dwie palmy. Wyglądam jak kretyńka. Nerwowo rozwiązuję włosy i zakładam gumki na nadgarstek. Przeczesałam kosmyki ruchami nasączonymi złością. Jakiś obcy facet wyniósł mnie z mieszkania, żeby zawieźć mnie do kolejnego obcego faceta. Jak to, kurwa, możliwe?

— Co tym razem? — pyta brunet.

Doskonale słyszę, jak dobrze się bawi i jak bardzo powstrzymuje solidny śmiech. Gnojek. Nie

ma pojęcia, co ja przeżywam! Zostałam zmuszona do spotkania z mężczyzną, który wywołuje we mnie same sprzeczności. Podoba mi się i przeraża mnie jednocześnie. Nie wydaje się groźny, ale za grzecznego go nie mam! To zapewne jeden z tych facetów, którzy uwodzą, zaliczają i wskazują drzwi po stosunku. Tak, zdecydowanie na takiego wygląda. Przystojny, ze świetną sylwetką i z górą pieniędzy, na które wrywa naiwne idiotki. Ja taka nie jestem. Jak chce mnie przelecieć, to niech chociaż kupi mi kwiaty i zabierze do kina. Albo do teatru. Tak, niech się postara, a nie wysyła swojego goryla i już liczy, że zamoczy. Co to, to nie.

— Nie mam butów — mówię.

Przewraca oczami.

— Masz na tylnym siedzeniu. Nie zabrałbym cię do niego bez butów, oderwałby mi łeb. I płaszcz czy coś tam, co kobiety noszą, też masz, więc nie panikuj.

— Dlaczego odnoszę wrażenie, że z całej waszej trójki tylko ty jesteś w porządku? — wypalam.

— No, to znaczy pomijając fakt, że wyniosłeś mnie z mieszkania i za każdym razem na siłę ciągniesz mnie do swojego dziwnego szefa.

— Nie wiem — prycha. — Ale nie ufaj swojej intuicji odnośnie do facetów, Cukierku. Mogę być miły teraz, a za chwilę zrobisz coś, co mnie wkurwi, i przestaniemy rozmawiać.

— Co na przykład? Mogłabym dzielić cię przez łeb za to, że mnie porwałeś!

— Wiesz co? — Spogląda na mnie na moment. — Jednak cofam swoją frustrację: praca z tobą będzie wyśmienita. Jesteś słodka.

— Praca ze mną? — Krzywię się. — O czym ty mówisz? Zatrudniłeś się w cukierni? Nie dam ci nawet potrzymać mojego wałka. Kuchnia jest moja, Stanley, o nią zawsze będę walczyć, mój drogi.

— Wszystkiego się dowiesz w odpowiednim momencie — oznajmia.

I wybucha tak beztróskim śmiechem, że mimowolnie również się uśmiecham. Jego rechot jest zaraźliwy i mimo wszystko naprawdę czuję się przy nim dobrze. Może nie bezpiecznie, ale swobodnie. Gdyby ktoś chciał mnie skrzywdzić, to może by mnie obronił. Nie wygląda na takiego, który zostawiłby mnie na pastwę losu z jakimiś zbirami.

Reszta drogi mijają nam w spokoju. Ja nie komentuję, a Stanley nie zwraca na mnie uwagi. Zatrzymujemy się przed restauracją Guard&Grace i nie mam zamiaru ukrywać szoku. To jedna z najlepszych restauracji w mieście! I zdecydowanie jedna z najdroższych.

— Dobra — odzywa się w końcu brunet. — Plan wygląda tak, że ja zaraz podam ci buty, ty je grzecznie założysz i wezmę twoją kurtkę. Następnie pójdziesz ze mną do Vincenta i będziesz go słuchać.

— A ja mam coś w ogóle do powiedzenia?

— W zasadzie to nie, staraj się nie doprowadzić go do zaciśnięcia pięści na stole. — Mruga. — To delikatna sugestia, że jest wkurwiony i może zrobić coś niespodziewanego.

Po tym wychodzi z auta, zostawiając mnie w totalnej konsternacji. Mam nie denerwować Vincenta? Bo co? Bo mnie okrzyczy? Dobrze sobie.

Stanley sięga na tylne siedzenie po buty, podaje mi je i zaraz opuszcza samochód. Zakładam skórzane botki, które pasują jak ulał i wydają się szalenie wygodne. Szkoda natomiast, że nie zaopatrzyli mnie w skarpetki.

— Wsiadamy — dociera do mnie, gdy drzwi po mojej stronie gwałtownie się otwierają.

Stanley wyciąga w moim kierunku dłoń. Chwytam ją i spokojnie wychodzę na chodnik. Brunet zatrząskuje za mną drzwiami i zarzuca sobie na ramię mój płaszcz.

Wchodzimy do restauracji, milcząc. Wnętrze uderza we mnie z przeogromną mocą i muszę przyznać, że jestem oniemiała. Klimat w tym miejscu panuje niesamowity. Rozglądam się z zachwytem i beczelnie ignoruję Stanleya.

— Emerald — szepcze mi do ucha Vincent, który pojawia się dosłownie znikąd.

Podskakuję w miejscu na dźwięk jego głosu i gwałtownie się obracam. Stoi za mną w czarnych garniturowych spodniach i lekkiej błękitnej koszuli z dwoma rozpiętymi guzikami pod szyją. Widzę dalszą część tatuaży i pragnę zobaczyć więcej. Pojedyncze pióra ze skrzydła spadają po jego skórze prosto pod koszulę. Cholerka. Ma roztrzepane włosy, a wzrok równie lodowaty co ostatnio. No cóż, nie spodziewam się entuzjazmu na jego twarzy, chociaż muszę przyznać, że z taką poważną miną jest

szalenie przystojny. Kwintesencja niebezpieczeństwa i seksapilu.

Uspokój się, Val.

— Mam na imię Valeria — mówię z przekąsem.

— Wiem. Jednak dla mnie jesteś Emerald.

— Bo?

— Bo tak mi się podoba — prycha. — Jeszcze jakieś problemy?

— Kilka by się znalazło.

Przewraca oczami i bez ostrzeżenia łapie mnie za nadgarstek, a następnie ciągnie w bliżej nieokreślonym kierunku. Idzie szybko, w ogóle nie przejmując się faktem, że nie nadążam. Irytuje mnie tym niezmiernie, ale nie wyrwam się. Skoro jestem w tak ekskluzywnej restauracji, ostatecznie, czego chcę, to zrobić z siebie wariatkę. Przecież nie wywlecze mnie na tyły i nie zabije, prawda?

Zatrzymujemy się przy stoliku w kącie, który wydaje się odizolowany od reszty pomieszczenia. Raczej należy do tych prywatnych, co lekko mnie niepokoi. Wolałabym siedzieć na widoku, żeby w razie czego ktoś zwrócił uwagę na moją przerażoną minę.

— Usiądź — mówi Vincent.

Odsuwa dla mnie krzesło, więc w ciszy zajmuję miejsce i czekam, aż on usiądzie. Wlepiam pytające spojrzenie w jego ciemne tęczówki. Znów się na mnie gapi. I to tak przerażająco intensywnie, że czerwienieję.

— Z tego, co pamiętam, mówiłeś „do zobaczenia w piątek” — zauważam kąśliwie.

Lewy kącik jego ust unosi się minimalnie w górę, a przez oczy przechodzi błysk. Nie mam pojęcia, co zrobiłam, ale jego reakcja jest zaskakująco ludzka. Miło się przekonać, że jednak ma jakieś ukryte pokłady humoru i umie się uśmiechać. Z pewnością ma ładny uśmiech.

— Dobrze wiedzieć, że skupiasz się na szczegółach. Zamówiłem steki i wino — oznajmia, oblizując wargę.

— Super. — Marszczę brwi. — Co tak właściwie tutaj robisz?

— Siedzisz i oczekujesz na stek i wino.

— Bardzo zabawne. — Uśmiecham się głupkowato. — Po co mnie tutaj ściągnąłeś i kazałeś się przebrać? A dodatkowo kupiłeś to ubranie!

— Miałem taką ochotę.

— Więc zachciało ci się steka i stwierdziłeś, że chcesz go zjeść ze mną, a w dodatku zapragnąłeś, bym była w bralecie? — Marszczę czoło. — Tak?

— Dokładnie — mruczy. — Liczyłem jeszcze, że pomalujesz usta na czerwono, ale moje nadzieje umarły.

— Nie używam szminek. — Krzywię się.

— Z jakiego powodu?

— Wysuszają mi usta. A poza tym źle wyglądam z pomalowanymi na czerwono.

— Zapewne używałaś gównianych kosmetyków — stwierdza. — Jak ci minął dzień?

Okej, nie rozumiem. To po prostu zwykła wspólna kolacja? W co on gra?

— Dobrze. Dlaczego pytasz?

— Ponieważ chciałem wiedzieć. — Unosi brew.

— Więc dobrze, bardzo szybko i produktywnie. Upiekłam dwa torty, kilka rodzajów ciastek i sześć blachówek jabłecznika na zamówienie. — Uśmiecham się. — A tobie?

— W porządku.

— Czym się właściwie zajmujesz? — Przechylam głowę w prawo.

Jego wzrok łąduje na moich wargach. Mruży powieki, wpatrując się w nie intensywnie przez chwilę, i ostatecznie oblizuje swoje. Jest to dziwnie leniwy i zarazem seksowny ruch. Nie mam pojęcia, dlaczego się na tym skupiam.

— Zajmuję się wieloma rzeczami. Dzisiaj akurat spotkałem się z klientem — odpowiada. Jego głos jest lekko ochrypły.

— Masz firmę?

— Powiedzmy.

— No dobrze. — Uśmiecham się głupekowato i opieram brodę na ugiętej ręce. — A coś więcej?

Patrząc prosto w jego ciemne, lodowate oczy i usilnie próbuję się w nich doszukać jakiegokolwiek emocji. Na marne, niestety, bo jego tęczy są beznadziejnie puste. A szkoda, bo ma ogromne oczy w ciemnej oprawie, co mogłoby czynić jego twarz słodką. Jest naprawdę bardzo przystojny. I męski. Ale bezuczuciowy, przez co wydaje się niedostępny i surowy. Rany, dlaczego ja w ogóle to analizuję?

— Mam kilka firm — mówi po chwili. — Jakaś restaurację i hotel, nieistotne.

— Czyli jesteś panem biznesmenem — stwierdzam.

— Tak, a ty jesteś cukierniczką.

— O tak. — Przygryzam wargę. — Kocham moją pracę.

Prostuję się na kanapie i zaraz swobodnie opieram plecy. Siedzisko jest niebywale wygodne, a zapach, który daje świeca na naszym stole, tworzy superklimat. Skupiam się na niej na moment, by po chwili unieść wzrok prosto przed siebie. Zamieram. W stronę mojego stolika zmierza Arthur Lee, mój były chłopak. Maszeruje z szerokim uśmiechem skierowanym do swojej obecnej narzeczonej. Zdradził mnie z nią, ale to nieważne. Ważne, że moje ciało zamienia się w kamień na jego widok. Kurwa mać.

— Nie przeklinaj — upomina mnie Vincent.

Spoglądam na niego w konsternacji i dociera do mnie, że powiedziałam to na głos. Jestem zbyt spanikowana, by zwrócić uwagę na ten idiotyczny rozkaz.

— Podaj mi dłoń — szepczę.

Wystawiam swoją i gdy on z ciekawością podaje mi długie palce, od razu łapię je i kładę na stoliku. Gładzę jego dłoń najczulej, jak potrafię, i uśmiecham się sztucznie, choć szalenie miło. Jest zaskoczony moim ruchem, ale nie protestuje. Poddaje mi się bez zająknięcia, a ja dopiero po kilku sekundach zdaję sobie sprawę, jak gorąca jest jego dłoń. W porównaniu z moją parzy! I ma bardzo ładne, zadbane paznokcie. I długie, męskie palce. Cholera, jego dłonie są boleśnie seksowne.

Ogarnij się, Valerio!

— Nie wsyp mnie — mówię i unoszę wzrok na jego zdziwioną twarz.

Marszczy brwi, ale nie odmawia. Delikatnie wsuwa swoje długie palce pomiędzy moje i zaciska je. Przechodzi mnie dreszcz i mój wymuszony uśmiech zamienia się w szczyry.

Mój były przechodzi obok naszego stolika bez zerknięcia na mnie i gdy jestem pewna, że zostałam niezauważona, on rujnuje moje nadzieje. Robi dwa kroki w tył i spogląda na mnie wyzywająco.

— Val?

Unoszę na niego sztucznie znudzony wzrok i marszczę nos. Mój uśmiech zamienia się w grymas zniesmaczenia, co doskonale widzi. Lustruję go wzrokiem od stóp aż po głowę i upajam się faktem, że mój dzisiejszy partner bije go na głowę pod każdym względem. Vincent jest przystojny, zadbany i widać, że nie brakuje mu pieniędzy. Onieśmiela i działa na innych swoim chłodnym wzrokiem. Arthur z kolei to typowy wesolek, który bywa też przytłaczająco głupi i dziecinny. Ma brązowe włosy i jasnoniebieskie, niewielkie oczy.

— Cześć — mówię. — Nie zauważyłam cię — kłamię gładko.

— Za to ja ciebie tak, skarbie, kopę lat!

Pochyla się nade mną i całuje oba moje policzki. Sztynnieję, a palce Vincenta zgniatają moje. Syczę, co mój były odbiera jako sygnał, że ma się odsunąć, więc gwałtownie prostuje plecy. Na jego twarzy maluje się zmieszanie.

— Valerio. — Śmieje się nerwowo. — Pamiętasz Lucille?

Całuje swoją narzeczoną w policzek, a ja przygryzam wargę. Vincent, kurwa, miażdży mi palce. Przenoszę spojrzenie na sztuczną blondynkę, o której mówi mój były, i jeszcze bardziej się krzywię. Niełatwo wymazać z pamięci widok jej gołego, wypiętego tyłka, gdy robiła dobrze mojemu chłopakowi.

— Trudno byłoby zapomnieć — wzdycham. — Poznaj Vincenta — dodaję z uśmiechem, wskazując na mężczyznę naprzeciwko mnie, i przenoszę na niego spojrzenie.

Jego wzrok jest jak brzytwa. Mam wrażenie, że nie dość, że chce zgnieść moje palce, to jeszcze zaraz czymś we mnie rzuci.

— Kim jest Vincent? — prycha Arthur i wystawia w jego stronę dłoń.

Ten spogląda na niego przymrużonymi oczami i puszcza mnie, by podać rękę mojemu byłemu.

Wstaje przy tym z gracją i pochyla się, bo Arthur jest od niego o wiele niższy.

— Vincent jest... — zaczynam.

— ...kimś wyjątkowo złośliwym — kończy za mnie.

Krzywię się na jego odpowiedź, a Arthur unosi kpiąco brwi. Jego narzeczona z kolei wpatruje się w mojego partnera jak w obrazek. No cóż, zawsze była łatwa. Pewnie dlatego Arthur posuwał ją w tym samym czasie co mnie. Smutne, ale prawdziwe. Wierność obecnie jest czymś niezwykle rzadkim, jak się okazuje.

— A szerzej? — dopytuje Arthur.

— Bez znaczenia. Twoje imię to?

— Jestem Lucy — wcina się dziewczyna i łapie Vincenta za przedramię. — Masz szalenie długie rzęsy! — komentuje.

Unoszę oczy ku niebu i zaciskam szczękę, by się nie odezwać. Nie są warci moich nerwów. Nawet w chwili, gdy oczami wyobraźni widzę ich w łóżku, w którym sypiałam. Jestem spokojnym jeziorkiem. Bez wiatru.

— Tak, są sztuczne — oznajmia Vincent.

Spoglądam na niego momentalnie i otwieram usta ze zdziwienia. On się do niej uśmiecha. Co, kurwa?

— Serio?

Kobieta pochyla się do niego i wyciąga dłoń, by dotknąć jego twarzy, ale nie udaje jej się.

Palce Vincenta zaciskają się na jej nadgarstku z dużą mocą, jak wnioskuje po jej syknięciu. Jestem zaskoczona prędkością jego reakcji. Pieprzony ninja zareagował zdecydowanie szybciej niż przeciętny śmiertelnik! Jak?!

— Nie — prycha. — Za to twoje są.

— Och tak! — Uśmiecha się nerwowo. — Wczoraj byłam na odnowieniu.

Jak mnie to jebie! Nieprawdopodobne!

— Dobrze więc — odzywa się w końcu Arthur, a Vincent puszcza Lucy i zajmuje swoje miejsce.

— Kim jesteś dla Val? Spotykacie się?

— Wybacz, ale gówno cię to obchodzi — odpowiada złośliwie i oblizuje usta.

Nieświadomie skupiam się na ruchu jego języka. Widzę, jak leniwie wysuwa go spomiędzy warg i zwilża je w sposób, przez który robi mi się cieplej na twarzy. Dlaczego mnie to tak interesuje? To tylko usta. Mięciutkie, ale dalej tylko usta.

— Więc nie jesteś nikim ważnym — wnioskuje mój były.

Vincent zaciska pięść na stoliku. Cholera, Stanley mówił, że to niebezpieczne. To znaczy tak wywnioskowałam. Co mam teraz robić? Uciekać?

— Możliwe — warczy. — A ty kim jesteś?

— Jestem jej pierwszą prawdziwą miłością. — Arthur uśmiecha się zwycięsko.

— Cóż, Vincent jest ostatnią — pryham.

I pragnę uderzyć głową o beton. Dlaczego to powiedziałam?! Pieprzona zazdrość.

Idiotka!

— Zadzwoń — oznajmia przez zaciśnięte zęby Arthur i łapie swoją narzeczoną za rękę, a następnie ciągnie w stronę, która w ogóle mnie nie obchodzi.

Wbijam spojrzenie w wyraźnie wkurwioną twarz Vincenta i gryzę nerwowo wargę.

— Przepraszam — jęczę. — Nie chciałam cię wykorzystać, ale po prostu szczerze go nienawidzę.

— Nieistotne — warczy. — Ale gdy rzeczywiście zadzwoni, przekaż, że jeśli jeszcze raz cię dotknie, to przestrzelę mu dłoń.

Opiera się o swoją kanapę i zamyka oczy. Rozumiem, że to koniec naszej rozmowy, więc nie ciągnę tematu. Wpatruję się w jego miarowo zaciskającą się szczękę i gryzę wargę. Jest zdenerwowany. Z mojego powodu, co bardzo mnie frustruje. Chcę go przeprosić jeszcze raz, ale nagle, jak za sprawą magii, pojawia się kelner, który podaje nam najlepiej pachnące steki, jakie w życiu wahałam.

Po kolacji, która była szczerze wyśmienita, Vincent wstaje od stołu i bez słowa wystawia w moim kierunku dłoń. Patrzę na nią najpierw z szokiem, jednak po chwili podaję mu swoją. Wychodzę

posłusznie zza stołu na lekko wacianych z powodu wina nogach i dają się zaprowadzić do wyjścia, w którym stoi Stanley z moim płaszczem. Vincent odbiera go od niego bez słowa i narzuca mi na plecy. Rozmowa między nimi odbywa się za pomocą spojrzeń. Przekazują sobie coś, czego nie rozumiem, i pragnę krzyknąć, że mnie to frustruje, ale się hamuję. Nie chcę zrobić z siebie idiotki.

Po serii tych jakże wymownych spojrzeń zostaję pociągnięta na zewnątrz, prosto do samochodu, którego marki za cholerę nie znam. Jednak jak za pierwszym razem, wygląda na obrzydliwie drogi. Vincent otwiera przede mną drzwi pasażera, a potem obchodzi auto dookoła i zajmuje miejsce kierowcy.

— Pasy — warczy.

Nie rozumiem jego nastawienia, ale posłusznie się zapinam. Nie chcę go irytować czy coś. Już wystarczająco narozrabiałam i mam gówniane wyrzuty sumienia. Nie powinnam była go używać do zemsty na moim byłym.

— Dokąd jedziemy? — pytam, gdy rusza.

— Przed siebie.

— Zawieziesz mnie do domu?

— Nie.

Wzdycham. Przyklejam czoło do szyby i wpatruję się w znikający za oknem widok. Miasto jest skąpane w mroku, który przecinają uliczne lampy, billboardy i światła w oknach. Nie mam pojęcia, dokąd zmierzamy. W zasadzie po chwili nawet mnie to nie interesuje. Zamykam oczy i staram się po prostu zrelaksować.

Rozdział 4

Luty

Budzi mnie dźwięk tłuczonego szkła. Hałas rozprzestrzenia się w mojej głowie, powodując mrowienie w uszach. Jestem zdezorientowana. Leżę w łóżku.

Cholera!

Podnoszę się gwałtownie z niebywale miękkich poduszek i nerwowo rozglądam się na boki. Jest ciemno jak w dupie, a zapach, który się roznosi po pomieszczeniu, na pewno nie kojarzy mi się z moim domem. W zasadzie nie kojarzy mi się z niczym. Jest surowy, męski i dziwny. Niedobrze. Zapalam światło, które stoi na nocnej szafce, i zamieram. Dosłownie wszystko nagle we mnie po prostu zastyga. Jestem w niewielkim pomieszczeniu na łóżku z baldachimem. Otoczenie wygląda jak z pieprzonej bajki! Monumentalna, bogato zdobiona szafa, toaletka z przeogromnym lustrem, biurko, szafki i półokrągłe okiennice z balkonem. Gdzie jestem?! W jakiejś komnacie?

— Jednak żyjesz — odzywa się Troy, który nagle wyrasta po mojej prawicy.

Wbijam w niego przerażone oczy i próbuję coś powiedzieć, ale nie mogę. Słowa więzną mi w gardle i nie potrafię ich z siebie wyrzucić. Gdzie ja, kurwa, jestem?!

— No dalej, młoda, powiedz jakieś słowo. — Śmieje się kpiąco.

— Gdzie ja, kurwa, jestem?! — krzyczę w końcu.

Drżą mi dłonie, a obraz zaczyna się zamazywać przez mgłę przerażenia. Nie mam cholernego pojęcia, gdzie jestem, skąd się tu znalazłam i dlaczego stoi przede mną ten głupi mężczyzna z szaleństwem w oczach!

— Bez przekleństw. — Przewraca oczami. — Jesteś w domu Vincenta.

— Co? — Zaciskam pięści. — Gdzie?!

— No w domu Vincenta jesteś. — Siada obok mnie z głupim uśmieszkiem na twarzy. — Valerio, oddychaj, co?

— Co ja tu robię? I dlaczego jestem w łóżku? I co ty tutaj robisz? I która jest godzina?!

— Dziewiętnasta.

— Jak? Przecież wychodziliśmy z restauracji po dwudziestej!

— Jest piątek. — Parska śmiechem. — Długo spałaś.

Zamieram. Moje dłonie już nie drżą, tylko się wręcz telepią. Nie mam pojęcia, co się dzieje, i nie mam pojęcia, co powinnam robić. Jestem kurewsko przerażona, a jego kretyński uśmiech wcale nie poprawia mojej sytuacji. Chcę zniknąć. Zapaść się pod ziemię, zasnąć i obudzić się w swoim pokoju.

— Dlaczego ona, do cholery, wygląda, jakby ją pierdolnął piorun? — warczy Stanley.

Jakim cudem oni pojawiają się tak, kurwa, z dupy? Nawet nie widziałam, żeby jakieś drzwi się otworzyły! Co oni, teleportują się? Jestem tak bardzo sfrustrowana, że chce mi się płakać.

— Cukierku, oddychaj, bo zaraz zemdlejesz — parska śmiechem brunet. — Jesteś w domu.

— W domu Vincenta — piszczę.

— To od teraz również twój dom. — Uśmiecha się kpiąco.

— Co?!

Nie mam pojęcia, dlaczego nagle wybucha we mnie wściekłość, ale pieprzyć to. Jestem zdeterminowana i nie mam zamiaru tkwić tu niczym kołek! Wyskakuję z łóżka jak oparzona i mierzę w nich wskazującymi palcami. Drżącymi jak galareta, ale to nieważny szczegół.

— Co się, do cholery, dzieje!

— No nic — krzywi się Troy. — Nie drzyj się.

— Jaja sobie robisz, Troy?! Porwaliście mnie!

— No tak. — Wzrusza ramionami. — Przecież Vincent mówił, że wraca do domu, a ty z nim w piątek. Skąd ta frustracja? Powiadomił cię.

Chyba sobie kpi.

— Ty się słyszysz? — syczę.

— Tak, ale twoje wrzaski skutecznie mnie ogłuszają, więc nie wiem, jak długo jeszcze będzie mi dane cokolwiek słyszeć, wariatko.

— Jestem w Denver? — Zaciskam powieki.

Łapię się za skronie i pocieram je miarowo, by choć odrobinę się uspokoić. Nie pomaga mi to, niestety. A szkoda, bo właśnie przeżywam załamanie nerwowe.

— Nie jesteś w Denver — oznajmia jak gdyby nigdy nic Stanley. — Jesteś w innym mieście i na razie nie powinno cię interesować nic poza faktem, że masz być grzeczna. Ten pokój należy do ciebie, możesz korzystać ze wszystkiego, co jest w domu, i wolno ci wyjść na taras. Nad wodę możesz pójść jedynie ze mną lub z Troyem. Ewentualnie z Vincentem, ale wątpię, że zabierze cię na romantyczny spacer. W szafie masz komplet odzieży, która jest od dzisiaj twoja. W toalecie są kosmetyki, a za drzwiami, tymi za mną, masz łazienkę, która należy jedynie do ciebie. Za dwadzieścia minut powinnaś się pojawić piętro niżej w jadalni, do której zaprowadzi cię Troy. Przyswój sobie nową sytuację i przywołaj uśmiech na usta, bo taka przerażona wcale mi się nie podobasz. — Odwraca się w stronę wyjścia, ale jeszcze spogląda na mnie przez ramię. — Prysznic cię obudzi, polecam.

Po tych słowach on i Troy wychodzą, zostawiając mnie samą z natłokiem myśli. Zostałam porwana. Wywieziona gdzieś, cholera wie gdzie, i ubezwłasnowolniona. To sen? Może śnię, a to tylko pieprzony koszmar? No bo w końcu jacy porywacze byliby tacy... mili i spokojni? Tak, Stanley zdecydowanie był miły. Albo opanowany. Jedno z dwóch.

Kieruję się nerwowym krokiem do łazienki, a w niej szybko zdejmuję ubrania i wchodzę pod prysznic. Może rzeczywiście woda pomoże mi się ocknąć z tego tępego odrętwienia? Może się obudzę i nagle znajdę się pod własnym prysznicem? Odkręcam zimną wodę i piszczę, gdy uderza w moje ciało, wywołując pieprzony szok termiczny. Nie zniechęcam się jednak. Czekam uparcie i mam nadzieję, że zaraz się obudzę, ale nic takiego nie następuje. Nadal stoję w marmurowej łazience, całkowicie naga i sfrustrowana. Nadal jestem przerażona. Nadal jestem w domu Vincenta! Cholera. Nabieram w płuca powietrze i stopniowo zmieniam temperaturę wody. Robi się ciepła i bardzo powoli daje mi ukojenie. Po chwili wszystko wraca do normy. Mój oddech jest umiarkowany i mogę się normalnie umyć. Najpierw włosy, a potem resztę ciała. Kosmetyki pachną trawą cytrynową i doskonale odświeżają.

Po prysznicu wycieram się puchatym ręcznikiem i zrywam z wieszaka miękki szlafrok, którym okrywam szczelnie ciało. Zaparowałam całe pomieszczenie, ale mnie to nie obchodzi. Obchodzi mnie tylko to, jak to się stało, że spałam prawie dwadzieścia cztery godziny. I to, gdzie jestem.

Z szafy, którą wskazał mi Stanley, wyciągam majtki i długą do kolan koszulkę. Odpuszczam sobie biustonosz i robię to tylko dlatego, że przez materiał koszulki nie przebijają moje sutki. Na nogi wciągam długie podkolanówki w czerwonym kolorze i siadam na łóżku. Mogłabym wyjść bez Troya, ale wolę nie ryzykować, że się zgubię. Sam fakt, że jestem w obcym domu, sprawia, że czuję się beznadziejnie niepewna. Nie chcę dokładać sobie stresu.

Moją frustrację przerywa szatyn. Zamaszyście otwiera drzwi i kiwa na mnie ręką, nie racząc mnie spojrzeniem. Zrywam się z miejsca i podchodzę do niego z niepewną miną. Po mojej chwilowej determinacji zostały niestety tylko wspomnienia. Mężczyzna łapie mnie za nadgarstek i bez słowa prowadzi korytarzem, a następnie po długich, krętych schodach w dół. Dociera do mnie niesamowity zapach cynamonu i mimowolnie się uśmiecham.

Wchodzimy do pomieszczenia, w którym stoi kominek, skórzane sofy i kino domowe. Vincent siedzi wygodnie rozwalony na wiszącym fotelu i spokojnie popija alkohol. Wpatruje się przy tym w ogień, który iskrzy się w kominku. Klimat jest naprawdę niebywały, ale nie umiem się na nim skupić i przede wszystkim czerpać z tego widoku przyjemność. Jestem w ogromnym domu z trzema obcymi facetami.

— Emerald — zwraca się do mnie ochryłym głosem Vincent. — Chodź do mnie.

Jego głowa przekręca się w moją stronę w sposób żywcem jak z horroru. Robi to powoli i przerażająco, co idealnie komponuje się z jego lodowatymi tęczęwkami. Drzę na całym ciele i mam gęsią skórę.

Nie wiem, co tak właściwie o nim myślę. Z jednej strony aż mnie skręca ze złości. Z drugiej jestem przerażona. A z trzeciej to w sumie wygląda niemożliwie przystojnie z tą szklanką pełną bursztynowego alkoholu. Z takim przepitym spojrzeniem. Jest ubrany w krótkie materiałowe spodenki i bordową koszulkę, która ma odpięte dwa guziki. Naprawdę nie wiem, co myślę o tym człowieku.

— Porwałś mnie — mówię, jakby tego nie wiedział.

Jego spojrzenie jest intensywne i niemal uciążliwe, gdy mnie obserwuje. Bardzo powoli stawiam kroki w jego stronę.

— Tak, zdecydowanie to było porwanie. — Oblizuje wargę. — Jak się czujesz?

— Z tym, że mnie porwałś, czy z tym, że przespałam dobę? Wstrzyknąłeś mi coś?

— Nie. — Krzywi się. — Dosypałem do ostatniej lampki wina.

Prycham i podchodzę do niego pełna determinacji. Zatrzymuję się tuż przed nim i pochylam się z palcem wbitym w jego przystojną twarz. Ma na wpół otwarte oczy, a fakt, że jego rzęsy są niebywale długie i grube, przydaje słodkiego wyrazu jego obliczu. Nie wiem, co chcę powiedzieć, gdy tak na mnie patrzy. Jest tak beznadziejnie przystojny, że nie potrafię być przerażona swoją sytuacją. Powinam uciekać. A jednak jego oczy mnie, kurwa, uspokajają.

— Nie próbuj ze mną walczyć — mruczy niskim, ostrzegawczym głosem. — Nie jestem przeciwnikiem, któremu mogłabyś podołać, Emerald. Pogódź się ze swoim losem i współpracuj, a gwarantuję, że będziesz usatysfakcjonowana. Nigdy cię nie skrzywdzę.

— Vincent, porwałś mnie. — Wydynam wargę.

Powinam krzyżeć, zamiast zachowywać się jak mała, bezbronna dziewczynka!

— Nie wydajesz się zbyt przejęta tym faktem — zauważa z kpina.

— Prowokujesz mnie do hysterii?

— Nie, raczej upajam się tym, że się mnie nie boisz.

— Powinam się bać?

— Nie wiem, Emerald. Powinnaś? Jestem dość dużym chłopcem.

— Jesteś przerażający — komentuję. — W sensie mimiki twarzy oczywiście — dodaję, marszcząc nos.

— Dziękuję, cenię sobie komplementy.

Nie reaguję na jego atak i jedyne, na co się kuszę, to przewrócenie oczami. Dodatkowo prostuję się i spoglądam na niego z dezaprobatą. Zaplatam dłonie na piersiach, by podkreślić swoją frustrację, i czuję przez materiał kolczyki. Vincent odstawia szklankę na podłogę i gwałtownie łapie mnie za biodra, po czym pewnym ruchem ciągnie na swoje kolana. Łąduję na nim całą sobą — zaskoczył mnie swoją cholerną siłą. Jego mocny, surowy zapach obezwładnia moje zmysły w sposób, którego nie znam. Jestem... zrelaksowana? Oniemiała? Cholera. To pieprzony porywacz, nie jakiś kumpel, któremu mogłabym wskoczyć do łóżka! Chociaż gdyby się tak zastanowić... Może naprawdę jest w nim coś, co jak za mgłą uznałabym za znajome... Jezu, chyba mi odbija.

— Pachniesz jak trawa cytrynowa — mruczy wprost do mojego ucha, przerywając moje idiotyczne myśli.

— Taki żel był w łazience — wzdycham. — Czego ode mnie chcesz, co? I gdzie jesteśmy?

Odsuwam się od niego, by widzieć te puste tęczówki, i śmiało opieram dłonie o jego tors. Potrzebuję przestrzeni, którą świadomie mi zabiera poprzez dociskanie do siebie moich bioder. Osacza mnie. Ale jest tak przyjemnie twardy... *STOP*.

— Chcę wiele rzeczy. — Oblizuje wargę. — Jesteśmy w Ameryce. Następne pytanie?

— Jakie wiele rzeczy?

— Niedługo się dowiesz. Dalej.

— W jakim mieście jesteśmy?

— Nie powiem ci — wzdycha. — Inny zestaw pytań.

— Dlaczego mnie porwałś? To nie jest zabawne, teraz nie panikuję, ale jak już to do mnie dotrze, zacznę histeryzować. Nie bądź taki tajemniczy, bo doprowadzasz mnie do szału. — Zaciskam usta.

— Ty też doprowadzasz mnie do szału. — Mruży oczy. — A wcale nie narzekam.

— Obaj z Troyem jesteście jacyś pieprznięci — warczę. — Wypuść mnie po dobroci, to może nie doniosę na ciebie na policję.

Uśmiecha się. Tak kpiąco, wrednie i chamsko. Wcale mi się to nie podoba. Ani odrobinę.

— Nie żartuję.

Pochylam się nad nim z oczami wbitymi w jego tęczówki i zaciskam dłonie mocno na jego

koszuli. Mnę ją, ale wcale mnie to nie obchodzi. Chcę, żeby zobaczył we mnie godnego przeciwnika. Nie poddam się bez walki. Jego czarujące oczka w ogóle na mnie nie działają! Chyba.

— Zdecydowanie to nie są żarty, masz rację. Podać ci telefon?

— Tak.

— Dobrze, załóżmy, że dam ci telefon. Co powiesz policji?

— Że porwał mnie psychopata o imieniu Vincent — pryham.

— I co dalej?

— Biję mnie, grozi i więzi w lochu. — Unoszę prowokująco brew.

A on traci swoje czarne poczucie humoru. Momentalnie jego twarz staje się kamienna, a oczy bezdennie czarne. Nie brązowe, ale czarne. Cholera. Wbija palce w moje biodra i mruży powieki, przez co wygląda przerażająco.

— Kłamstwo w tym domu jest surowo karane — warczy.

Przechodzi mnie dreszcz na dźwięk jego głosu. Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. Jednak wolę wersję, w której jest dupkiem i dobrze się bawi, kpiąc ze mnie. Ten przerażający jest okropny.

— To była hipotetyczna koloryzacja. — Przygryzam wargę. — Nie patrz tak na mnie.

— Jednak się boisz? — prycha. — Nie przygryzaj wargi.

— Kiedy patrzysz na mnie, jakbyś chciał mnie zabić? Puść mnie.

— Nie. Będziesz tu siedzieć, dopóki nie będę miał dość twojej bliskości.

Jego gorące dłonie zaciskają się odrobinę mocniej na moich biodrach i jest to, szczerze mówiąc, szalenie nieprzyjemne. Wręcz bolesne, ale boję się zaatakować go pięścią. Jak widać, ma bardzo niski próg wkurwienia, a ja nie chcę, by zrobił mi fizyczną krzywdę.

— Vincent, puść mnie — mówię poważnie, choć głos mi drży.

— Nie.

— To przynajmniej nie rób mi siniaków — buczę.

— Boli? — I wzmacnia uścisk.

— Tak, robisz mi krzywdę!

Szarpię się, chcąc się wyrwać, ale tylko pogarszam swoją sytuację. Odpuszcza uścisk na biodrach na rzecz objęcia mojej talii i całkowitego przyciśnięcia mnie do siebie. Moje zakolczykowane sutki stykają się z jego twardym torsem, a nos z jego nosem. Jest tak blisko, że zapominam oddychać. Kurwa. Czuję jego wargi pod swoimi. Widzę głębię jego oczu. Mamo, ratuj mnie.

— Ukarzę każde twoje kłamstwo — szepcze. — I możesz być pewna, że kary nie będą tak przyjemne jak ta.

— Ta wcale nie jest przyjemna.

Chociaż muszę przyznać, że z powodu jego atrakcyjności nie jestem aż tak przerażona. To chore, że jeśli ktoś atrakcyjny robi coś złego, patrzy się na niego inaczej, niż jeśli byłaby to osoba bardziej nieprzyjemna dla oka. Jestem pieprzoną kretynką, ale naprawdę się cieszę, że jest przystojny.

Ironia losu.

— Ja nie narzekam — mówi.

Przesuwa nosem po moim policzku aż do ucha, a ja nie mogę się odsunąć. Trzyma mnie tak mocno, że nie jestem w stanie zrobić żadnego ruchu. Kurwa mać. Przeraża mnie to, że drzę przez jego dotyk. I nie jest to drżenie, z powodu którego mam ochotę uciekać. Jego bliskość... w jakiś pokręcony sposób... jest przyjemna.

— Proszę, puść mnie — jęczę.

Jestem w tak beznadziejnej sytuacji, że tłumaczę sobie jego chore zachowanie! Do jasnej cholery, zostałam przez niego porwana. PORWANA! Pieprzyć ten odurzający, męski zapach.

— Nie, dobrze mi w tej pozycji.

— Miażdżysz mi sutki.

— Trudno. — Parska nieszczerym śmiechem. Wiem, że jemu się podoba to, że moje sutki się do niego przyciskają. — Dlaczego nie masz biustonosza?

— Bo myślałam, że zaraz pójdę znów spać, skoro jest po dziewiętnastej — wzdyham.

Poddaję się i zamiast usilnie się podnosić, opadam na jego ciepłe ciało. W zasadzie dawno nie

byłam z żadnym facetem tak blisko, by po prostu leżeć w jego ramionach z nosem przy szyi, czując jego zapach i spokojne bicie serca. To cholernie intymne i przyjemne, dopóki nie zdaję sobie sprawy z faktu, że nie znam tego mężczyzny i dodatkowo jestem do tego zmuszana.

— Nie walcz ze mną — mówi spokojnie, prosto do mojego ucha.

Jego miękkie, ciepłe wargi muskają moją skórę, wywołując delikatne dreszcze.

— Przerażający jesteś — szepczę.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— Dlaczego mnie porwałś?

— Powiem ci w odpowiednim czasie.

— A nie możesz teraz?

— Nie.

— Wkurzasz mnie — jęczę.

— Tak bywa, Emerald — mruczy mi do ucha. — Jesteś głodna?

— Trochę. — Podnoszę się ostrożnie, by spojrzeć na jego twarz. — Co ja mam tu robić przez całe dni? — Marszczę czoło. — W ogóle planujesz mnie kiedyś wypuścić?

— Kuchnia należy do ciebie, możesz piec, ile tylko chcesz.

— Więc po to mnie porwałś? Żeby mieć cukiernika w domu? Nie łatwiej wpadać do kawiarni i tam jadać? Na pewno nie jesteś w stanie zjeść całej foremki. — Unoszę prowokacyjnie brew. — Zresztą nie mam zamiaru dać się wykorzystywać jako cukiernik. Jestem więźniem.

— Nie, nie jesteś. Możesz się nazwać księżniczką w wieży strzeżonej przez smoka, jeśli chcesz. — Mruży oczy. — Ja będę smokiem.

— Czyli mam czekać na księcia, który mnie uratuje?

— Nie. Musisz się zadowolić smokiem.

Oblizuje wargę, a ja znów skupiam się na ruchu jego języka. Frustruje mnie to, że w pewnym sensie mój cholerny porywacz naprawdę mnie pociąga.

— Mogłeś mnie poderwać w inny sposób. To o smoku wcale na mnie nie działa. — Przewracam oczami. — Jesteś nienormalny — stwierdzam i prostuję się, przez co jego dłonie spoczywają na moich nagich udach.

— Nie mówiłem, że jestem normalny — zauważa z rozbawieniem. — Ty również do takich nie należysz. Uspiełem cię, wywoziłem i zamknąłem w obcym domu, a ty? Wcale się tym nie przejęłaś, Emerald. Dlaczego?

— Powiedziałabym ci, ale nie mam pojęcia czemu. — Uśmiecham się lekko.

Bo przecież nie z tego powodu, że jest przystojnym porywaczem, a jego oczy wydają się dziwnie znajome.

— Więc ja cię oświecę. — Podnosi się do siadu, tym samym łącząc nasze nosy. Wpatruje się w moje oczy z czymś dzikim w spojrzeniu, z czymś pierwotnym. Z głodem. — Ślepo mi ufasz, Emerald. Nie wyczuwasz zagrożenia, bo czujesz się przy mnie bezpiecznie.

— Bezpiecznie? — Marszczę nos. — No nie wiem.

Unoszę dłonie do jego twarzy i bez wahania łapię go za policzki, na co jego szczęka tężeje. Nie zniechęcam się jednak, a po prostu się uśmiecham. Jego oczy błyszczą, mimo że w dalszym ciągu są lodowate. To dla mnie dziwnie ekscytujące. Może mam syndrom sztokholmski? Może to właśnie przez to się go nie boję? Tak się na to mówiło? Czytałam o tym.

— Nie igraj ze mną — warczy.

A ja przewracam oczami. Przesuwam kciukami po jego zarośniętych policzkach i przygryzam wargę. Nie rozumiem swojego zachowania i przede wszystkim pewności siebie, ale nie dbam o to. Jest przystojny, ciepły jak nikt inny i pachnie prawdziwym mężczyzną. Dlaczego nie miałabym sobie podotykać? Przecież i tak jestem jego więźniem. Im lepszą relację z nim stworzę, tym szybciej straci czujność, a ja ucieknę. A przynajmniej taką mam nadzieję. Przecież nie porwał mnie dla okupu, mam tylko babcię.

— Emerald. — Zaciska powieki, równie mocno co dłonie na moich udach.

— Valeria — poprawiam go.

— Nie patrz na mnie w taki sposób.

— W jaki? — Uśmiecham się niewinnie.

A on wzdycha. Jest spięty i podniecony, czuję to dokładnie pod pośladkami. Jego erekcja jest doskonale wyczuwalna i dopiero to daje mi do myślenia. Byłby skłonny zmusić mnie do zrobienia czegoś ze swoim podnieceniem? Skrzywdziłby mnie w ten sposób?

Odsuwam się od niego ostrożnie i układam dłonie na jego napiętym brzuchu, który czuję pod materiałem koszuli. Vincent przygląda mi się uważnie, śledząc każdy mój ruch, i nie reaguje. Jego spojrzenie mnie rozpala, bo wiem, że podniecił się z mojego powodu. Próbuję zsunąć się z jego ciała i uciec, ale gdy tylko się poruszam, on syczy. Dotknęłam go... tam.

— Powinnaś iść do pokoju — mówi w końcu przez zaciśnięte zęby. Spoglądam na jego twarz wykrzywioną we frustracji i przygryzam wargę. — Ktoś przyniesie ci jedzenie — dodaje.

Bez słowa wstaję z jego kolan, a następnie wracam do pokoju, w którym się obudziłam. Jestem sfrustrowana, zagubiona i przeraża mnie fakt, że się go nie boję.

Co się ze mną dzieje?

Rozdział 5

Słyszałam kiedyś, że każdy dzień przynosi nową szansę. Albo coś w tym stylu, nie pamiętam. Tak czy owak to gówno prawda. Siedzę w domu Vincenta kilka dni i co? I nic się nie dzieje ani nic się nie zmienia. Wstaję rano, biorę prysznic dla zabicia czasu, jem śniadania, przekąski, obiady i kolacje, które przygotowuje kucharka. Ma na imię Aviana i jest ponadprzeciętnie miłą czterdziestosześcioletką. Kocham jej poczucie humoru i to, jak wypowiada się o Vincencie. Jak o swoim synu, więc niezmiernie mnie to bawi. Ale wracając do mojej życiowej sytuacji: jestem w dupie. Zamknięta w ogromnej posiadłości, która w każdym zakamarku skrywa coś popieprzonego. Nie widziałam Vincenta od naszej pierwszej rozmowy po porwaniu. Pojechał gdzieś razem z Troyem i Stanleyem, a ja siedzę jak idiotka w zamknięciu i nie mogę nic zrobić. Wszędzie są jacyś wielcy faceci, którzy tylko patrzą na mnie jak na kawałek mięsa. Śledzą każdy mój ruch, więc zaplanowanie ucieczki zaczyna być frustrujące. Nie mam pomysłu, jak ich przechytrzyć.

— Valerio, może masz ochotę osłodzić moje życie? — ćwierka nade mną Aviana.

Unoszę wzrok na jej miłą buzię i robię zniecierpliwiony grymas. Siedzenie na tarasie i wgapienie się w wodę to moje jedyne zajęcie w tym domu. Poza jedzeniem i myciem się.

— No dalej. — Szturcha mnie. — Musisz się ruszyć.

— Nie chce mi się. Chcę do domu i do babci — buczę niczym naburmuszone dziecko. — A ten kretyń mnie nie wypuści! I ciekawe, co sobie myśli Jerry i reszta moich znajomych. Od kilku dni nie dają znaku życia, a Anna na pewno wychodzi z siebie. Moja przyjaciółka jest impulsywna.

— Na pewno zostali powiadomieni, że gdzieś wybywasz. — Chichocze. — Vincent jest doskonałym strategiem, możesz być spokojna o swoich znajomych.

Świetnie, mój porywacz jest doskonałym strategiem. Tak, to zdecydowanie ułatwi mi wymyślenie planu ucieczki. Genialnie.

— A ty? — Krzywię się. — Ciebie też porwał czy jesteś tutaj z własnej woli?

— Jestem tutaj, bo on tego chciał. Znam go od małego, bardzo lubi moją kuchnię. — Szczerzy się. — To specyficzny chłopak, ale nie wydaje mi się, by miał względem ciebie złe zamiary. Zabrał cię ze sobą, bo najwyraźniej wpadłś mu w oko.

Klepie mnie po ramieniu i po chwili siada obok. Nie wiem, co mam robić, by dalej być spokojną na zewnątrz i w środku. Początek był prosty, bo byłam w szoku i nie docierało do mnie to, że jestem porwana. Ale teraz? Teraz mam pełną świadomość swojego ubezwłasnowolnienia i nie mogę z tym nic zrobić! To chore. Czego on chce ode mnie? Sprzedać na targu niewolników? Zabić? Żądać okupu od mojej babci?

— Kim on jest?

— Jak przyjdzie odpowiednia pora, sam ci powie.

— Momentami wygląda jak jakiś morderca. W jego oczach nie widać żadnych emocji. Myślisz, że ma jakieś uczucia? Wydawało mi się, że kiedy był chwycony, to jakby lekko znormalniał, ale nie dałabym sobie ręki uciąć. Śmieje się albo uśmiecha szczerze?

— Valerio! — Przewraca oczami. — Vincent jest normalnym mężczyzną z nienormalnymi upodobaniami. Musisz go po prostu dobrze poznać i przede wszystkim zrozumieć.

Tak, Val, zaprzyjaźnij się z porywaczem. Zagrać razem w chińczyka lub w scrabble. Plan idealny.

— A w ogóle gdzie on jest?

— Nie wnikam w jego pracę, wyjazdy, znajomych oraz upodobania. Jestem tutaj wyłącznie dla jego żołądka, kochanie. — Uśmiecha się głupekowato.

— A ja jestem po co?

— Ty jesteś dla przyjemności, Emerald — odzywa się nade mną obiekt moich frustracji.

Unoszę głowę i przesuwam spojrzeniem po kolei z jego czarnej koszuli na szyję, brodę, usta, aż zatrzymuję się na oczach. Patrzy na mnie zimno, ale nie wydaje się zły. Jest po prostu popieprzonym sobą, to wszystko.

— Przyjemności? — Mrużę oczy.

— Tak, właśnie to powiedziałem. — Pochyla się nade mną.

Jego twarz zatrzymuje się mniej więcej trzy centymetry nad moją i czuję to. Czuję jego mocny, surowy zapach i coś, co próbuje mnie zmusić do uniesienia się wyżej i dotknięcia go. Ignoruję to jednak, bo nie zwariowałam. Po prostu lubię jego zapach, to wszystko.

— Gdzie byłeś? — pytam, byle nie skupiać się na jego ustach.

A jednak gapię się na nie i nie mogę przestać. To niezdrowe.

— Wyjazd służbowy, nic wartego twojej uwagi. Jak mija ci czas?

— Cudownie, zamknięcie w wieży zawsze było moim marzeniem, teraz już doskonale wiem, w jaki sposób fale uderzają o brzeg i czym się od siebie różnią. Przystudiowałam to dokładnie.

— Cieszę się, że produktywnie spędzasz czas — kpi. — Upieczesz mi coś?

Głupieję. Moje brwi unoszą się wysoko, a serce zmienia tempo bicia. Nie mam bladego pojęcia, co się właśnie stało. Zapytał, czy coś dla niego upiekę? Zamiast mi kazać? Poważnie?!

— Czy moje pytanie jest dla ciebie problemem? — Parska krótkim śmiechem.

Jestem w szoku: jakaś pozytywna emocja? Szaleństwo.

— Nie, po prostu myślałam, że umiesz się posługiwać tylko trybem rozkazującym. Zaskoczyłeś mnie.

— Możesz być pewna, że to nie ostatni raz. Więc jak będzie? Mam ochotę na coś słodkiego, a jak mniemam, cukierniczka sama w sobie nie znajduje się w ofercie.

Marszczę brwi, przetwarzając jego słowa, i po chwili po prostu wybucham śmiechem. Takim głośnym, szczerym i bezwarunkowym. On jest... normalny.

— Co cię tak bawi? — pyta.

Kręcę głową, nadal nieprzerwanie chichocząc, i wstaję z miejsca. Kładę dłonie na jego twardym torsie. Mój wzrok łąduje na jego ciemnych tęczołkach, a jego wskazujące palce wsuwają się za szlufki od paska w moich jeansach. Nie mam pojęcia, co to za rodzaj bliskości, ale podoba mi się. Vincent przysuwa mnie bliżej siebie i przechyla głowę. Wydaje się... lekko czarujący.

Chryste Panie, egzorcysty!

— Cukierniczkę, z tego, co kojarzę, to już sobie zorganizowałaś — komentuję sarkastycznie. — Drugi raz mnie nie porwiesz.

— Nie to miałem na myśli.

— Zdaję sobie z tego sprawę. — Przygryzam wargę. — Więc na co konkretnie masz ochotę?

— Konkretnie? — Marszczy nos i pochyla się, by być bliżej mojej twarzy. — Konkretnie to na cukierniczkę, a niekonkretnie to nie mam żadnych większych pragnień, po prostu mi coś upiecz. Wszyscy będą zadowoleni.

— No dobrze, więc ja upiekę, a ty mi zrobisz kawę.

— Jaką?

— Nie wiem, Vincent. — Przewracam oczami. — Jakąś dobrą, muszę mieć gościa od kawy.

— Niech będzie. Jednak najpierw pójdę pod prysznic.

— No dobrze. — Odsuwam się od niego. — Ale liczę na wzorek na kawie.

Łapię w dłonie jego nadgarstki i delikatnie odciągam od swojego ciała, a następnie obchodzę go i zmiierzam do kuchni. Mam na ustach głupkowaty uśmiech i nie potrafię się opanować. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje i dlaczego nie jestem już sfrustrowana faktem, że zostałam ubezwłasnowolniona. To wszystko jest głupie. W sumie bardzo głupie.

Kończę swoją wędrówkę w ogromnej kuchni, w której stoją roześmiana Aviana i poważny Stanley. Rozmawiają, a ja nie mam ochoty się na tym skupiać, więc pytam:

— Aviano, pokażesz mi, gdzie są miski, mikser i różne produkty?

— Cukierku, widzę, że już czujesz się jak w domu — kpi brunet i uśmiecha się do mnie wrednie.

Wystawiam mu język w ramach odwetu i krzyżuję ręce na piersiach. Nie rusza go to jednak. Nadal ma ze mnie ubaw i nie zamierza tego ukrywać. Z dwojga złego wolę, by był zadowolony niż zły, większe prawdopodobieństwo na odzyskanie wolności będzie wtedy, gdy wszyscy będą mi ufać.

— Wszystko ci pokażę, kochanie — odzywa się kobieta. — Co upieczesz?

— Jeszcze nie wiem, Vincent po prostu stwierdził, że ma ochotę na słodkie. — Wydymam wargę.

— A ja bym z chęcią zjadł coś, co ma w sobie alkohol. Może tiramisu z likierem? Vincent ma kolekcję słodkich alkoholi — wtrąca Stanley.

— Tiramisu? — Krzywię się. — Tego się nie piecze.

— Ale to jest ciasto.

— No dobrze, jeśli chcesz, zrobię tiramisu.

— Cudownie, wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia, Cukierku. — Puszczą oczko.

Następnie odchodzi, a ja daję się pociągnąć Avianie do kuchni. Po kilkunastu minutach, gdy już wiem, gdzie są wszystkie potrzebne mi sprzęty i produkty, stoję przed przygotowanym blatem. Wzdycham, bo nie mam telefonu ani głośnika, a bez muzyki bardzo trudno mi się skupić na pracy. Kieruję się więc do salonu, ale nikogo tam nie ma. Na górze dostrzegam Troya, który wychodzi z ostatniego pokoju na samym końcu długiego korytarza.

— Hej — odzywam się. — Nie wiesz, gdzie znajdę coś, z czego puszczać muzykę?

— Nie, ale zapytaj Vincenta. On wie wszystko o tym domu. Jest tam, w pokoju.

Idę do wskazanego pokoju i po cichym pukaniu po prostu wchodzę. Pomieszczenie tonie w półmroku, a jedynym źródłem światła są lampki nocne, które stoją po obu stronach ogromnego łóżka. Zamykam za sobą drzwi i wchodzę dalej, kierując się do otwartych drzwi balkonowych. Staję bosymi stopami na szklanym balkonie i rozglądam się wokół. Zapalone świece ustawiono na niewielkich stolikach w rogach balkonu, lecz mężczyzny tu nie widać.

— Vincent? — mówię i idę przed siebie. — Jesteś tu?

Zatrzymuję się przy barierce i kieruję wzrok na ocean. Jest ciemno, ale księżyc, który odbija się od tafli wody, całkowicie mnie urzeka. Jestem szczerze zachwycona.

— Emerald — szepcze mi do ucha Vincent i zaciska dłoń na barierce, po obu stronach mojego ciała.

Jego nos dotyka mojego ucha. Cholera. Moje serce przez szok spowodowany jego nagłym pojawieniem się gwałtownie przyspiesza, a dłoń mi drżą. Odchylam głowę, opierając ją na jego ramieniu, i zamykam oczy.

— Dostanę przez ciebie zawału — szepczę, gdy odzyskuję panowanie nad głosem.

— Szukałaś mnie.

— Szukałam.

— I znalazłaś — stwierdza.

Przesuwa nosem z mojego ucha na policzek, a z niego w dół, na szyję. Muska ją delikatnie, a ja chichoczę i przyciskam policzek do jego skroni, by przerwać łaskotanie. Całe moje ciało pokrywa się gęsią skórą przez tę delikatną torturę. Cholera.

— Nie rób mi tak. — Śmieję się. — Mam...

— ...łaskotki — kończy za mnie. — Tak, wiem.

— Więc dlaczego mnie prześladujesz? — jęczę, a on z premedytacją przesuwa zarośniętą brodą po mojej skórze.

Piszczę na ten ruch i gwałtownie obracam się w jego stronę. Mam nogi jak z waty. O cholera, on nie ma na sobie koszulki. Jest za blisko, bym beczelnie mogła przyjrzeć się wszystkim jego tatuażom, ale widzę, że ciągną się po całym boku ciała. Najprawdopodobniej jest to kolejne skrzydło, na które spadają pióra ze skrzydła na skroni. Jestem tak beznadziejnie ciekawa tych tatuaży, cholera jasna. Na torsie i brzuchu ma pojedyncze ciemne rysunki. Chcę ich dotknąć, ale nie mam tyle śmiałości. Kurwa. Jego gorąca skóra miesza mi w głowie.

— Spójrz na mnie — szepcze i nieznacznie się pochyla.

Czuję jego obezwładniający zapach i coś, co nienaturalnie mocno przyciąga mnie do jego torsu, ale nie mogę. Nie mogę go dotknąć. Jest zbyt kuszący i zbyt popieprzony. A ja głupieję, bo jestem ubezwłasnowolniona. Tak, to jego wina! Jest złym, niebezpiecznym porywaczem i to, że jest tak brutalnie pociągający, wcale go nie usprawiedliwia.

— Spójrz na mnie.

Pochyla się bardziej i gdy nie reaguję, opiera czoło o moją głowę. Cholera.

— Potrzebuję telefonu i głośnika bezprzewodowego albo czegoś, co będzie odtwarzało muzykę

— mówię na jednym tchu. — Nie umiem pracować bez muzyki.

— Na kominku leży iPod z dostępem do muzyki. Jest połączony z nagłośnieniem w całym domu.

— Okej. — Uśmiecham się głupkowato i cofam się do barierki, a następnie unoszę wzrok.

Jest tak blisko, że automatycznie przygryzam wargę. Jego twarz jest zmęczona, oczy iskrzą, a włosy ma mokre. Postawiona zazwyczaj grzywka przylega mu do czoła. Nie mam pojęcia, dlaczego moje serce wrywa się z klatki piersiowej, i nawet nie chcę tego wiedzieć. On jest zdecydowanie za bardzo przystojny.

— Nie — mruczy i kręci głową. — Nie przygryzaj.

— Sorki. — Odchylam głowę i zaciskam powieki. — To odruch.

— Tak, wiem — wzdycha. — Zejdę na dół za pół godziny.

Po tym pochyla się, składa lekki, choć mokry pocałunek na mojej szyi i odchodzi. Jego usta połączyły się z moją skórą na dosłownie kilka sekund, a ja całkowicie straciłam głowę! Nogi mi miękną, serce gwałtownie przyspiesza i ostatkami sił powstrzymuję jęk. Cholera. Cholera, cholera, cholera. Stoję w miejscu jak kołek i nie mogę się ogarnąć. To. Jest. Chore.

Rozdział 6

Przekładam kremem i mrożonymi malinami nasączone kawą biszkopty, wyginając biodra do skocznej muzyki, i mruczając pod nosem słowa piosenki. Bawię się doskonale i całkowicie odcinam się od rzeczywistości. Nie przeszkadza mi to, że jestem w obcym domu z obcymi ludźmi. Czuję się w swoim żywiole i mam wszystko gdzieś. Nic mnie nie przeraża. Muzyka i słodki krem, który uwielbiam, to wszystko, co daje mi siłę i motywację.

Odkładam piąty pucharek i uśmiecham się szeroko. Desery wyglądają naprawdę dobrze i zachęcająco, co szczerze mnie cieszy. Muszę je jeszcze tylko polać likierem i będą gotowe do spożycia. Jestem pod wrażeniem, jak dobrze pracuje mi się w kuchni Vincenta. Wszystkie sprzęty oraz produkty, których użyłam, są najlepszej jakości, więc tym bardziej inspirują mnie do pracy.

Prostuję się z zamiarem odszukania kogoś, kto pokaże mi, gdzie jest likier, i zamieram. Vincent stoi oparty o ścianę i przygląda mi się czarnymi jak smoła oczami. Jego twarz nie wyraża niczego, ale czerń jego oczu to rozszerzone źrenice, które mogłabym interpretować jako... oznakę podniecenia?

— Dlaczego pojawiaasz się bezszelestnie, co? Jesteś wampirem?

— Może. — Wzrusza ramionami. — Dobrze się bawisz, jak zauważyłem.

— Jak długo tutaj stoisz?

— Wystarczająco, by wiedzieć, że bardzo sprawnie ruszasz biodrami. — Oblizuje wargi. — I ładnie śpiewasz.

Doskonale czuję podtekst, ale staram się go zignorować. Nie chcę wchodzić z nim na tematy związane z tym rodzajem bliskości, bo mam świadomość, że wiele nie ugram. Wygląda na konkretnego mężczyznę z konkretnymi upodobaniami. O matko. O czym ja, do cholery, myślę?!

— Znowu przygryzasz wargę, Emerald — warczy.

Spoglądam w jego stronę, ale jak się okazuje, on stoi przede mną. Zaraz po drugiej stronie blatu. Jego oczy są czarne i wielkie. Wręcz ogromne. I iskrzą w piękny, chłopięcy sposób.

Co. Jest. Ze. Mną. Nie. Tak?!

— Bo myślę o czymś, o czym nie powinnam — wzdycham. — Dasz mi likier?

— Jaki likier? — Krzywi się.

Jego wzrok cały czas przeskakuje z moich oczu na usta. Vincent pochyla się. Pochyla się nad tym blatem coraz bardziej i bardziej, a ja nie wiem, co mam robić. Nie dosięgnie mnie, choćby chciał, ale... po co się pochyla?!

— No, taki smakowy — tłumaczę. — Żeby mogła polać tiramisu. Na przykład kawowy, masz?

— Mam.

— A dasz mi?

— Tak — wzdycha.

Prostuje się powoli i zaraz po prostu odchodzi. Gapię się na jego szerokie plecy jak kompletna kretynka i krzyczę na niego w myślach, bo założył koszulkę. Tatuaż, który przedstawia chaotycznie narysowany konar drzewa, owija jego biceps i kończy się na przedramieniu. Po cholere mu ta koszulka?! W samych dresach mógł siedzieć i byłoby o niebo lepiej, bo mogłabym w końcu mu się przyjrzeć! Idiota.

— Słyszałem!

A ja wytrzeszczam oczy. Powiedziałam to na głos?! JAK!?

— Miałeś słyszeć! — odkrzykuję.

Zakrywam twarz dłońmi. Dlaczego on jest takim dziwnym człowiekiem? Co chce osiągnąć? Ja pierdołę, robię się tak samo dziwna jak on. Jak mój cholerny porywacz.

— Myślisz, że cię nie widać? — parska śmiechem Troy. — O kurwa, tiramisu! — dodaje z ekscytacją.

Opuszczam dłonie wzdłuż ciała i krzywię się na jego widok. Jest w samych bokserkach. I ma ciało całe wytatuowane pojedynczymi, niełączącymi się rysunkami. Cholera, nie chcę patrzeć, ale muszę! Jest szalenie gorący. Kolejny popieprzeniec do kolekcji.

— Ślinisz się, młoda — wzdycha z nonszalancją.

— Nie, nieprawda. — Parskam śmiechem. — Po prostu patrzę na tatuaże, nie na ciebie.

— Jasne. — Uśmiecha się zadziornie. — Wszystkie tak na mnie patrzą.

Przewracam oczami i kręcę głową. Zadufany w sobie debil. Gorący debil w sumie. Ale nadal debil! Sami debile mnie otaczają.

— A jutro co nam upieczesz? — dodaje po chwili, gdy nie reaguję.

— Jutro Emerald leci ze mną do Nowego Jorku — oznajmia Vincent.

Stawia na blacie butelkę likieru i unosi brew, uważnie mi się przyglądając. Bada moją reakcję?

— A gdzie jestem obecnie?

— W Miami. — Mruży oczy.

— Wow, tylko dwa tysiące mil od domu? — pryham. — Nie postarałeś się, Vincent. Myślałam, że może jakaś Australia? Albo Azja?

— Przecież mówiliśmy, że jesteś w Ameryce — śmieje się Troy. — Serio: Azja? Jesteś głupia.

— To ty się nie znasz na sarkazmie, Troy — wzdycha Vincent.

— No właśnie. — Uśmiecham się szeroko. — To ty jesteś głupi.

— Troy zawsze był głupi — odzywa się ewenement numer trzy, czyli Stanley. — Żadne odkrycie, Cukierku.

Siada obok Vincenta na wysokim barowym stołku i uśmiecha się pod nosem na widok likieru i mojego tiramisu. Cóż, cieszę się, że się cieszy z deseru. To bardzo miłe.

— Gdzie jest Aviana? — pytam.

— Zapewne na górze. — Wzrusza ramionami. — Mogę to już jeść? Wygląda na gotowe.

— Życzę smacznego. Likieru możesz sobie dolać sam.

— Zajebicie — mruży.

Łapie butelkę w dłoń i odkręca, a następnie obficie zalewa pierwszy pucharek. Śmieję się pod nosem z jego entuzjazmu i kieruję wzrok na Vincenta. Patrzy na mnie równie intensywnie co zawsze. Mógłby się uśmiechnąć.

— Po co mam lecieć z tobą do Nowego Jorku?

— Co? — wcina się Stanley. — Jak? Przecież miałaś lecieć z Ginger.

— Mam — prycha czarnooki. — Ale głównie mnie to obchodzi. Emerald leci ze mną.

— Jesteś pewny?

— A jak ci uciekniesz? — podśmiechuje się Troy.

— Nie ma takiej opcji. — Vincent unosi brew. — Chodź, przejdziemy się — zwraca się do mnie.

Chwyta jeden z pucharków i kieruje się w stronę tarasu. Biorę swój i idę za nim. Nie zwracam uwagi na śmiech Troya ani na słowa Stanleya. Po prostu idę za tym dziwakiem.

Wychodzę na zewnątrz i rozglądam się, ale nigdzie go nie widzę.

— Gdzie się znowu zaszłyś? — jęczę. — Chcesz mnie kolejny raz przestraszyć? No weź, Vincent.

— Zawsze jestem obok ciebie — mruży mi do ucha.

A ja przechodzę pieprzony zawał. I upuściłabym to cholerne tiramisu! No, kretyn! Odwracam się do niego ze złością i mrużę gniewnie oczy. Jest niewzruszony.

— Jesteś psycholem!

— A ty jesteś strachliwa. — Wzrusza ramionami. — Chodź, przespacerujemy się nad ocean.

— Stanley mówił, że nie chodzisz na spacer nad ocean — rzucam, chcąc go sprowokować.

Lecz on jedynie wzrusza ramionami i idzie przed siebie. Plaża jest stosunkowo blisko, ale jakoś dotąd nie miałam odwagi ani ochoty na nią iść. Kto wie, co mogłoby mnie spotkać, gdybym spróbowała uciec tak wcześniej? Minął może tydzień? Albo dwa? Nie mam pojęcia, pogubiłam się, zanim zaczęłam liczyć. A może to były trzy dni? Cholera, to zbyt skomplikowane.

Wkładam w usta łyżkę pełną słodkiego tiramisu i idę posłusznie za moim barczystym porywaczem. Jest chłodno, ale nie ma wiatru, więc czuję się rześko. Wychodzę na piasek i uśmiecham się jak kretynka, bo dawno nie byłam na plaży. W zasadzie już dobre kilka lat! Powinnam była wyjść z Avianą.

Vincent siada na piasku i wyciąga nogi przed siebie. Fale są słabe, więc woda prawie w ogóle go nie sięga. Zajmuję miejsce obok niego i melancholijnie wgapiam się w dal.

— Jaki masz plan? — pyta po chwili.

Odkłada pusty pucharek na piasek i spogląda na mnie kątem oka.

— Jaki znów plan?

— Na ucieczkę.

— Stąd?

— Ode mnie — szepcze.

Zwraca całą twarz w moją stronę i uparcie mnie obserwuje. Ja tylko się uśmiecham. Jest dziwnie. Cholernie dziwnie i intymnie. Przeraża mnie fakt, że to czuję.

— Nie mogę ci powiedzieć. — Śmieję się. — Co by to była za zabawa, gdybyś wiedział?

— Żadna — mówi i zaraz pyta: — Uciekniesz mi w Nowym Jorku?

— No pewnie! — Przewracam oczami. — Mam plan idealny, przecież Nowy Jork znam jak własną kieszeń. — Chichoczę. — A tak serio: nie myślałam o ucieczce ani w Nowym Jorku, ani później — kłamię.

— To dobrze. I tak bym cię znalazł.

— Skąd ta pewność?

— Przede mną nie da się uciec — stwierdza z wyższością. — Nie odpuszczam, nie wybaczam i nie zmieniam zdania. Zapamiętaj to, Emerald.

— Nie zmieniasz zdania? Stanley mówił, że miałeś jechać do Nowego Jorku z kimś innym. Nie zmieniłeś zdania?

— Nie, ja nie powiedziałem, że z nią pojedę. Wszyscy tak po prostu z góry założyli.

— A kim jest ta kobieta?

— Kimś nieznaczącym.

— Skoro tak mówisz. A po co jedziesz do Nowego Jorku?

— Jedziemy — poprawia mnie. — A raczej lecimy. Mam spotkanie.

— A ja po co?

— Do towarzystwa. — Unosi brew. — Jeszcze jakieś pytania?

— No tak. — Odkładam pucharek na piasek i odwracam się do niego przodem. — Kiedy mnie wypuścisz?

— Nigdy.

— Czemu?

— Po co miałbym cię zabierać, skoro planowałbym cię wypuścić?

— A po co mnie zabrałeś?

— Bo chciałem.

— Po prostu? To tyle? — Parskam śmiechem. — Jesteś idiotą.

— Jestem? — Mruży ostrzegawczo oczy i prostuje się. — Jesteś pewna?

— Tak — prowokuję go. — Masz z tym faktem jakiś problem?

— Ja? Skądże. Ale ty? Ty lepiej uciekaj.

— Bo?

— Bo jak cię złapię, to wrzucę cię do zimnego oceanu.

— Aż się trzęsę! Nie boję się ciebie.

— Nie? — Pochyla się do mnie. — Ani trochę?

— Ani odrobinę.

Unoszę się minimalnie wyżej i zaskakując go, składam na jego policzku szybki pocałunek. Jest to szalenie gwałtowny ruch, po którym momentalnie się podnoszę i biegiem ruszam w stronę domu. Nie oglądam się za siebie, a jedynie śmieję się pod nosem. Czuję się jak wariatka, ale jakoś mnie to nie przeraża. Skoro już jestem w takim miejscu z takim facetem, to co? I tak nie mam wyjścia! Muszę się cieszyć tym, co jest, i planować. Bo w końcu jakoś się uwolnię. Tyle że na razie nie mam pojęcia jak.

Zatrzymuję się na tarasie i z przyspieszonym oddechem odwracam się w stronę, z której przybiegłam. Cóż, odwracam się i mój nieszczęsny nos zderza się z twardym torsem Vincenta. Jak, kurwa, to jest możliwe?! Nie rozumiem. Nawet nie będę próbowała zrozumieć! Ta jego nienormalna szybkość jest po prostu chora. Jak zresztą wszystko, co z nim związane.

— Ty się teleportujesz! — buczę. — To niesprawiedliwe, bo ja musiałam biec.

Robię krok w tył i spoglądam na niego z wyraźnym wyrzutem. Jest niewzruszony, ale odnoszę wrażenie, że kącik jego ust drga.

— Ja też biegłem — mówi poważnie.

Czuję w jego głosie rozbawienie! Dlaczego nie chce się śmiać?

— Nie słyszałam cię za sobą. — Unoszę brew. — I dlaczego ciągle jesteś taki poważny? Umiesz się uśmiechać? Umiesz! Do narzeczonej mojego byłego się uśmiechałeś.

— To był grymas obrzydzenia.

— To był ironiczny uśmiech, Vincent.

— Przestań mnie prowokować.

Mruży oczy i, nie powiem, wygląda przez to przerażająco. Nie wiem, czym niby go prowokuję, ale wolę wyhamować. Kto wie, co siedzi w tej jego mrocznej głowie? Na pewno nie ja.

— Sorki. Po prostu jestem ciekawa.

— Tak, jesteś ciekawska i zadajesz dużo pytań.

— A ty na nie nie odpowiadasz. — Wydymam wargi.

— Na niektóre odpowiadam. Chciałabyś o coś zapytać?

— W tej chwili? Musiałabym się zastanowić. Daj mi sekundę.

— Nie mam zamiaru czekać, Emerald, tylko spontaniczne pytania się liczą.

— A odpowiesz?

— Zapytaj, to się przekonasz.

Przewracam oczami i ostatecznie, nie mogąc się za cholerę powstrzymać, robię krok w jego stronę i ujmuję jego twarz w dłonie. Nie mam pieprzonego pojęcia, dlaczego to robię. Ale gdy czuję pod opuszkami jego zarost... głupieję. Ubóstwiam zarost u mężczyzn. Wielbię, kocham i gloryfikuję.

— Co robisz? — pyta i wsuwa dłonie w kieszenie swoich dresów.

Odnoszę wrażenie, że robi to z konkretnego powodu, ale nie wnika.

— Lubię zarost. — Przygryzam wargę.

— Przestań przygryzać wargę.

— Przestań być taki dziwny. — Parskam śmiechem. — W ogóle cię nie rozumiem, Vincent. Jesteś pieprzonym dziwakiem — dodaję.

Następnie przyciągam go delikatnie do siebie i nakierowuję usta na jego ucho. Jego cholerny zapach mnie zabija. Perfidnie głupieję.

— Dziwakiem i psycholem — mruczę mu do ucha, muskając wargami małżowinę. — Nie wiem, czy bardziej mnie to przeraża, czy intryguje.

— Cokolwiek to jest, dodaje ci odwagi — zauważa spiętym głosem.

— Tak, zdecydowanie. — Chichoczę. — Trochę się zagalopowałam.

Puszczam jego policzki i chcę zrobić krok w tył, ale nie mogę. Jego zapach bombarduje mnie jak jeszcze nic nigdy w życiu. Przesuwam nosem po jego szyi i z całych sił powstrzymuję się, by nie jęknąć. Jak ja się, kurwa, w ogóle zachowuję?! To syndrom sztokholmski czy co?!

— Emerald, zaraz przekroczysz moją granicę — szepcze przez zaciśnięte zęby.

— I co się stanie?

— Docisnę cię do jakiejś twardej powierzchni i przestanę się kontrolować.

Jego głos jest niski, ostrzegawczy i tak cholernie mnie pociąga, że kapituluję. Składam krótki, choć mokry pocałunek na jego szyi, jak on wcześniej na mojej, i odsuwam się, tworząc między nami przestrzeń. Dwa kroki wydają się wystarczające.

— Przepraszam. Nie rozumiem, co się dzieje. — Wzruszam ramionami. — To twoja wina.

— Moja? Skąd ten wniosek?

— A tak sobie. — Parskam cichym, choć swobodnym śmiechem. — Obiecałeś mi kawę i nie dotrzymałeś słowa — zauważam. — Co teraz?

— Wybierz coś innego w ramach rekompensaty.

— Na przykład?

— Nie wiem, to twoja rekompensata.

— Uśmiechnij się do mnie szeroko.

— Emerald! — Kręci głową i delikatnie unosi kąciki ust w górę. — Poważnie?

— Tak.

— Byłem przekonany, że powiesz *wypuść mnie stąd*.

— Nie pomyślałam o tym. Ale... w sumie racja.

— Już za późno! — Uśmiecha się kpiąco.

Wygląda zupełnie inaczej i mimo że uśmiech jest nieszczerzy i nafaszerowany negatywnym przekazem... kupuje mnie. No jest tak, kurwa, przystojny, że nie mogę! Odbija mi.

— Usatysfakcjonowana? — prycha.

— Tak, zdecydowanie. Ale nie uśmiechaj się więcej.

— Dlaczego?

Skonsternowałam go!

— Bo się zakocham.

A później, korzystając z jego zaskoczenia, odwracam się w stronę wejścia i zostawiam go samego. Cała drzę, ale czuję, że było warto. Im szybciej mi zaufa, tym szybciej coś wykombinuję.

Rozdział 7

Nowy dzień, nowa ja. Ta, jasne.

Budzą mnie krzyki i głośny, wręcz żalony płacz. Dobięga z korytarza i wydobywa się z kobiecych ust. Nie jest to na szczęście Aviana, więc nie wnikam. Przekręcam się na drugi bok i korzystając z rozespiania i fazy półsnu, zamykam oczy. Lenistwo zaczyna mi się coraz bardziej podobać, a ja nie chcę mu się opierać. Im mniej czasu będę spędzać ze swoimi oprawcami, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że ich polubię. Bo tak w sumie to nie są nawet straszni. No chyba, że Vincent, kiedy jest zły.

Drzwi do mojego pokoju otwierają się delikatnie, przez co słyszę płacz wyraźniej, ale zaraz znów nastaje cisza. Mój gość albo zwątpił, albo bezszelestnie wszedł do środka. Nie zastanawiam się nad tym, niech wraca, skąd przyszedł, a mnie da spać. Jestem zmęczona lenistwem.

— Emerald — odzywa się Vincent, a jego oddech odbija się od mojego gołego ramienia.

Gęsia skórka pokrywa całe moje ciało i prowokuje mnie do jęku, którego nie umiem powstrzymać. Ale nie ruszam się. Niech mnie zaczepia dalej. Jego ciepły oddech jest przyjemnie pobudzający.

— Wstawaj, musisz zjeść śniadanie i lecimy — mówi spokojnie. — Nie mam czasu na zabawę.

Zniża głos przy wypowiedaniu ostatniego słowa i zaskakując mnie, delikatnie całuje moje ramię. Jego usta łączą się z moją skórą trzy razy i jest to, kurwa, szalenie przyjemne. Chcę więcej.

— Ja mam czas — szepczę. — Możesz mnie budzić dalej. — Uśmiecham się głupekowato w poduszkę.

— Z chęcią całowałbym cię dalej, ale nie mam, niestety, czasu — wzdycha. — Podnieś się sama, bo uwierz, że nie chcesz, żebym ci pomógł.

— A może chcę? — parskam.

Odwracam się leniwie na plecy i lekko uchylam powieki. Vincent siedzi na skraju mojego łóżka w czarnej koszuli i czarnych spodniach. Jego włosy są lekko wilgotne, a zarost znacznie krótszy. Ogolił się? Dlaczego?

— Po co się ogoliłeś? — Marszczę nos.

A on się lekko uśmiecha. Tak zwyczajnie, jak zwykły facet. Cholera.

— Miałem taką ochotę. Przeszkadza ci to?

— Nie. — Podnoszę się do siadu i wyciągam ręce w górę, mocno prężąc ciało. — Po prostu kocham zarost u facetów.

— Tak, zarost jest fajny — mruczy.

— Co będziemy robić? — pytam, ziewając.

Przecieram oczy rękami i kiedy już czuję się w miarę przebudzona, spoglądam na niego ze szczerym uśmiechem. Jestem zrelaksowana, wyspana i mam jakąś niepokojącą ochotę przytulić się do mojego oprawcy. Mój mózg jest do wymiany, kompletnie bezużyteczny.

— Kiedy?

— No dzisiaj, w Nowym Jorku — parskam śmiechem. — Co ty taki nieogarnięty? To ja się dopiero co obudziłam.

— Jestem rozkojarzony.

— Czemu? Przez te krzyki z korytarza? — Marszczę brwi. — W ogóle kto tam płakał?

— Nieistotne. Ubierz się wygodnie do samolotu, a na wieczór weź którąś z sukienek. Najlepiej taką, która nie będzie pokazywać za dużo — instruuje. — Na jutro możesz wybrać cokolwiek.

— Wspaniale — pryham. — Po co mi sukienka?

— Na spotkanie.

— Co to za spotkanie?

— Biznesowe.

— Vincent, nie baw się ze mną! Twoje odpowiedzi są gówniane.

— I co z tym zrobisz? — droczy się.

Pochyla się ku mnie, gryząc wargę, a jego oczy się iskrzą. Jasna cholera, niech on zbrzydnie.

- Kopnę cię w piszczel.
- Aż zadrżałem.
- To dobrze. Idę od ciebie.

Odkrywam się i schodzę z wygodnego materaca prosto na miłutki dywan, byle przerwać to ciężące napięcie pomiędzy nami. Jestem w zwykłej białej koszulce z nadrukiem przedstawiającym jakieś komiksowe dymki i w materiałowych szortach. Wzrok Vincenta przesuwają się leniwie po moich nogach i sunie w górę. Mam wrażenie, że mnie przeświała jak pieprzony skaner, ale... nie krępuje mnie to. Dlaczego, do cholery!?

- Jesteś taka malutka — mówi, gdy jego wzrok ląduje na moich oczach.

Wyciąga w moją stronę dłoń i mocno łapie mnie za nadgarstek. Gwałtownie ciągnie mnie do siebie i kładzie się na materacu, a ja na nim. Jego zapach po raz kolejny mnie obezwładnia i perfidnie pierze mój spaczony mózg. Pieprzony intrygant.

- Podobno nie masz czasu.
- Nie mam — wzdycha. — Ale skoro już się na mnie rzuciłaś...
- Idiota! — Przewracam oczami i unoszę się, by widzieć jego twarz. — Skoro chciałeś się przytulić, wystarczyło poprosić. Jestem miła z natury, przytuliłabym cię normalnie.
- Nie lubię się przytulać. Chciałem raczej...
- ...poczuć moje piersi — kończę za niego.
- Masz mnie — mruczy. — Jestem tylko facetem.

Parskam. Unoszę się nad niego, opierając ciężar ciała na dłoniach po obu stronach jego głowy, i patrzę prosto w jego ciemne, błyszczące oczy. Nie rozumiem go. Za cholere! I nie wiem, co o nim myślę. To głupie. Mogłabym się pochylić...

- Nie przygryzaj wargi.

Zaciska powieki i pewnie łapie mnie za biodra. Na nich również mocno zaciska palce. Aż za mocno, ale wydaje się to niemożliwie podniecające. Kurwa mać.

- Nawet nie wiem, że ją przygryzam. — Chichoczę. — Puść mnie, idę pod prysznic.
- Nie. Połóż się na mnie.
- Nie ma mowy. Poczujesz sutki raz, więcej nie będzie. Posądzę cię o molestowanie.
- Molestowanie?

Otwiera oczy, gwałtownie, jednym ruchem przewraca mnie na plecy i to on pochyła się nade mną. Jego przystojna, wkurwiona twarz błyszczy kilka milimetrów nad moją, a ciemne oczy aż mnie pożerają. Zatracam się w nich i nawet nie wiem, kiedy moje palce lądują na jego policzkach. Zarost jest bardzo krótki, ale w dalszym ciągu niesamowicie podniecająco działa na opuszki moich palców. Zachowuję się jak kretynka i nie umiem przestać. Co się, do cholery, dzieje?!

— Chcesz dostać dowód molestowania? — warczy nisko i bezczelnie wsuwa dłoń pod moją koszulkę.

Prowadzi ją w górę, po moim biodrze aż na żebra, gdzie szeroko rozkłada palce. Zupełnie jakby chciał zaznaczyć teren. Matko. Jego dłoń jest wielka i gorąca. Mam gęsią skórę i sutki mi twardnieją.

- Odpowiedz. — Nachyla się z przerażająco czarnym wzrokiem.
- On... jest podniecony? Ma rozszerzone źrenice, które płoną potrzebą.
- Porwanie i molestowanie? — szepczę. — Jesteś taki niegrzeczny, Vincent, aż mam ciarki.
- Nie powinnaś mnie prowokować.
- Zdaję sobie z tego sprawę. — Uśmiecham się.
- Więc dlaczego to robisz?
- Nie mam pojęcia. Twój zapach mnie ogłupia.
- Skutecznie odciągasz mnie od obowiązków, Emerald — kapituluję i wsuwa nos w moją szyję.
- Przyszędłem cię tylko obudzić.

— Tak — parskam i obejmuję go za szyję. — Budzisz, po czym kładziesz mnie z powrotem do łóżka. Bez sensu.

- Przy tobie nic nie ma sensu. Wychodzę.

Całuje mnie mokro w szyję, powodując dreszcze, i podnosi się minimalnie z zamiarem wstania.

Spogląda jeszcze na moje usta i zaciska powieki, a następnie znów się pochyla i tym razem całuje mnie w brodę. Dopiero po tym wstaje, robi dwa kroki w tył i przygniata mnie do materaca podnieconym spojrzeniem. Nie mam odwagi zerknąć na jego krocze. Jego wzrok robi się nieobecny, co lekko mnie przeraża. Dodatkowo ma pomiętą koszulę i roztrzepane włosy. Wygląda tak cholernie gorąco, że nie mogę. Pieprzony syndrom sztokholmski!

— Zrobisz mi kawę? — pytam niewinnie.

— Zbieraj się, bo za chwilę zwariuję i stracę nad sobą kontrolę.

Jego głos jest przepełniony ostrzeżeniem, którego postanawiam nie testować.

Po prysznicu czuję się jak nowo narodzona. Jestem rześka, czysta i pełna pozytywnej energii. Vincent wydaje się mną zainteresowany, więc szansa na uśpienie jego czujności może być realna. Cudownie. A wręcz fenomenalnie, bo czuję, że naprawdę chcę się do niego zbliżyć. Mając go po swojej stronie, mogłabym wiele osiągnąć.

Wychodzę z łazienki owinięta jedynie w ręcznik i kieruję się do ogromnej szafy. Wybieram komplet bielizny w kolorze bladego różu, zwykle jeansy i bordowy sweter. Upuszczam ręcznik, gdy mam pewność, że nikogo nie ma w pokoju, i szybko naciągam na ciało wybrany zestaw. Wszystko leży jak ulał, więc jestem usatysfakcjonowana. Wyciągam z szafy torbę podróżną i dwa zestawy bielizny, spodnie i bluzę, którą mam zamiar założyć jutro. Do tego dobieram jeszcze koronkowy bralet i skupiam wzrok na sukienkach. Jest ich mnóstwo i zapewne nie założę nigdy nawet połowy z nich, ale cóż. To Vincent jest kretynem, że to wszystko kupił. Głupek. Decyduję się na obcisłą sukienkę w kolorze zbliżonym do moich oczu, z mocnym wycięciem odsłaniającym część piersi i brzuch. Szmatka będzie mi sięgać gdzieś do połowy uda i ma jedno ramię odkryte, a drugie osłania długi rękaw. Będzie idealna, ale czy nie pokaże za dużo? Nie jestem pewna. Jednak jest tak cudowna, że nie umiem sobie odmówić. Składam ją starannie i jako ostatnie wybieram wysokie szpilki na szklanym słupku. Będę niczym Kopciuszek.

Pakuję wszystko do torby, zapinam ją i w końcu opuszczam pokój. Chce mi się śmiać, ale staram się opanować emocje. Vincent jest pieprzonym dziwakiem, co do tego mam stuprocentową pewność.

W kuchni zastaję Avianę, Troya i Stanleya. Kobieta nakłada na talerze jajecznicę, a mężczyźni dyskutują na temat wylotu do Nowego Jorku. Siadam obok bruneta. Nie mija sekunda, gdy kolorowy talerz pojawia się przede mną. Jajecznicza pachnie nieziemsko, a pomidory koktajlowe dodają zarówno smaku, jak i walorów estetycznych. Kocham kolorowe jedzenie.

— Smacznego, kochanie — mówi z szerokim uśmiechem Aviana. — Mam nadzieję, że wróciecie z Nowego Jorku razem. — Chichocze.

Nie mam pojęcia, o jakim „razem” myśli, ale nie obchodzi mnie to. Jestem skupiona na jajecznicy, która wygląda apetycznie. Nawet nie przypuszczałam, że jestem aż tak głodna!

— Spakowałaś się? — pyta Stanley, gdy zapycham buzię pierwszą porcją jajecznicy.

Kiwam głową na tak i nie zwracając na niego uwagi, zajmuję się przeżuwaniami.

Jestem w połowie posiłku, gdy w pomieszczeniu pojawia się Vincent. Ma czerwone policzki, przyspieszony oddech i potargane, mokre włosy. To dziwne: pokusił się na prysznic po tym, jak był już gotowy do wyjścia? Ciekawe.

— Wychodzimy za pół godziny — oznajmia ochrypłym głosem. — Ani sekundy później, bo spóźnimy się na samolot — warczy.

Zajmuje miejsce naprzeciwko mnie i wbija ciemne tęczówki prosto w moje oczy. Odwzajemniam jego spojrzenie i mrużę powieki. Jest rozkojarzony jak cholera i znów jego spojrzenie jest nieobecne. Nie rozumiem go.

— Po raz drugi brałeś prysznic? — pytam, żeby przerwać te wzrokowe tortury.

— Tak.

— Zaburzasz swoje naturalne pH. — Uśmiecham się prowokująco.

— Nie chcesz wiedzieć, co jeszcze zaburzam. Wybrałaś sukienkę?

— Tak... — Przygryzam wargę. — Myślę, że ci się spodoba.

— Myślę, że to bardzo prawdopodobne.

— Obiecałeś mi kawę, wiesz?

— Obiecałem? — Zastanawia się. — Nie pamiętam...

I uśmiecha się kpiąco półgębkiem. A to przebiegły szczur.

— Jesteś okropny, zemszczę się. Będziesz błagał o litość, zobaczysz!

— Tak, już błagam, Emerald. Mam paść na kolana?

Och, więc teraz tak się będziemy bawić? Dobrze, pokażę ci, z kim zadzierasza, Vincent. Żebyś się nie przeliczył, kochanie. Ja również umiem grać w te gierki i jestem w nich naprawdę dobra.

— Ty? — Przygryzam wargę, patrząc w jego ciemne oczy. — A może to ja klęknię?

— Nie rób tego, Emerald. Nie tędy droga.

— Droga dokąd? — Uśmiecham się niewinnie. — Nie chciałbyś, żebym klęczała? Jestem pewna, że z takiej perspektywy wyglądałbyś jeszcze lepiej.

— Przestań! — Zaciska pięść na stole.

— Rozumiem, że zostałam ubezwłasnowolniona i tak dalej, ale no weź! — Oblizuję wargi prowokacyjnie. — Nawet mówić i marzyć nie mogę? Nie bądź taki władczy.

— Prowokowaniem mnie niczego nie osiągniesz — warczy ostrzegawczo i wstaje.

Teraz wydaje się kilkakrotnie większy i jedyne, co czuję, to emanujące od niego podniecenie i gorąco. Cholera. Jest taki męski... i duży. Jestem pieprzoną wariatką!

— Nie złość się na mnie — proszę i przechylam głowę.

— Maleńka, to nie jest złość.

— Więc co?

— To nie jest odpowiednia pora na takie rozmowy. Zbieraj się, za chwilę wychodzimy.

Po tym odwraca się do mnie tyłem i odchodzi. Śledzę jego szerokie ramiona odziane w czarną, obcisłą koszulę i przygryzam wargę. Jakkolwiek by to zabrzmiało, muszę go w końcu rozebrać i zobaczyć te jego cholerne tatuaże w dobrym świetle! Może nawet pokażę mu swój? Kto wie.

Kończę śniadanie i dopiero teraz orientuję się, że jestem sama. Wszyscy musieli się zmyć w chwili, gdy zaczęłam dyskusję z Vincentem. Rany. Dlaczego? Boją się go czy co?

Czemu ja się nie boję?!

Rozdział 8

Podróż do Nowego Jorku mija mi szalenie przyjemnie, ponieważ cały lot przesypiam. Jest to zasługa tabletki uspokajającej, o którą poprosiłam Stanleya. I w sumie zasługa jego samego, bo ciągle przy mnie był. Chyba, bo nie jestem pewna, kto koło mnie siedział. Ale to nieważne!

Nowojorskie powietrze uderza we mnie z całym impetem. Zgiełk i hałas, które mnie otaczają, gdy wychodzę z samochodu pod hotelem, to pieprzona abstrakcja. Nie lubię być w centrum miasta. A zwłaszcza tak kolosalnego miasta, które przeraża mnie dosłownie wszystkim.

Vincent mocno ściska mój nadgarstek i prowadzi nas do hotelu, którego nazwy nie rejestruję. Wygląda jednak na obrzydliwie drogi, co wnioskuję po wnętrzu. Pieniądze wylewają się tu z każdego możliwego zakamarka, przez co czuję się przytłoczona. Kryształowe żyrandole i pozłacane blaty nie są czymś, z czym stykam się na co dzień.

Przy ladzie kobieta o dużych brązowych oczach wita mojego towarzysza szerokim, przerażająco zalotnym uśmiechem i mizdrzy się. Jej słowa w ogóle do mnie nie docierają, ponieważ palce bruneta mocno trzymają mój nadgarstek. Czuję, jak Vincent mnie osacza i jednocześnie niemożliwie magnetyzuje. Poza ciężącą mi świadomością, że w ten sposób nadmiernie mnie kontroluje, dobrze czuję się u jego boku. Jestem świadoma, że to złe i niepokojące. Jego dłoń jest duża, ciepła i męska. Oplata mnie z mocą, choć nadal jest to bardzo delikatne. Wiem, że mogłabym się wyrwać i uciec, ale kątem oka widzę Troya i Stanleya.

Postanawiam być grzeczna. Przecież kiedyś w końcu mu się znudzę i po prostu wykopie mnie ze swojego życia. Przynajmniej tak mi się wydaje. Nie sądzę, by mógł ze mną wytrzymać na dłuższą metę. Bywam naprawdę kapryśna.

— Na którym piętrze chcesz mieszkać? — pyta Vincent i znów ściska mój nadgarstek.

Robi to mocno i boleśnie, ale nie wrywam się. W pewnym sensie ten dotyk jest... Ugh, pobudzający. To jest, kurwa, chore, jak on na mnie wpływa.

— Obojętne. — Uśmiecham się do niego lekko.

— W porządku.

Wraca do rozmowy, a ja nie mam pojęcia, dlaczego przysuwam się do niego i wolną ręką obejmuję jego przedramię. Policzek przytulam do jego bicepsa i przygryzam wargę. Widzę, jak się spina, i bardzo mnie to satysfakcjonuje. Czuję to zdecydowanie za mocno.

— Dobrze więc, panie Visser, pokój sto osiemdziesiąt, piętro czterdzieści dwa należy do pana przez najbliższe godziny. Życzymy udanego pobytu.

Kobieta podaje mu kartę, którą odbiera, i bez słowa kierujemy się do windy. Odsuwam się od niego i próbuję wyswobodzić nadgarstek, ale nie mogę. Jego uścisk jest jak metalowa obręcz z kajdanków i nie daje mi szansy na wolność. Teraz mnie to irytuje.

— Nie ucieknę ci w Nowym Jorku, możesz mnie puścić — buczę, gdy stajemy w windzie.

Nie zwraca na mnie uwagi, tylko wciska guzik z numerem naszego piętra i wbija wzrok w zasuwające się drzwi. Jest jak posąg i cholernie mnie frustruje. Wykrakałam swoją kapryśność!

— Visser — warczę.

A on uśmiecha się pod nosem i nadal mnie ignoruje. Dupek.

— Dlaczego masz jedną kartę?

— Zamknij się, Emerald, bo wytatuuję ci pytajnik na tyłku.

— Bo?

— Bo ciągle zadajesz pytania. Nie odpowiem na żadne, uspokój się.

— Puść mnie.

— Nie.

— Bo? — Szarpię się.

W ten sposób prowokuję go do przyciśnięcia mnie do ściany. Cóż, lepsze to niż ignorowanie. Łączy nasze czoła i patrząc mi prosto w oczy, unosi moje nadgarstki w górę i mocno dociska je do metalu. Jest tak blisko, że czuję go dosłownie wszędzie i nie mogę się skupić na niczym innym, jak tylko na jego zapachu i twardości jego ciała. Obezwładnia mnie.

— Bo chcę cię czuć — szepcze nisko. — Czuć, a nie słuchać, więc zamknij się. Jak przyjdzie czas na pytania i rozmowę, to z chęcią rozwieję twoje wszelkie wątpliwości.

— Nie możesz ich rozwiązać teraz? — mruczę.

— Nie. I przestań doprowadzać mnie do szału — syczy.

— Przestań robić ze mnie większego więźnia, niż już zrobiłeś — pryham, przedrzeźniając jego poirytowaną barwę głosu.

Kręci głową. Jego uścisk robi się mocniejszy i bardziej uciążliwy.

— Nie jesteś więźniem.

— A kim?

— Już ci mówiłem, Emerald — mruczy i wsuwa nos w moje włosy. — Jesteś księżniczką w wieży.

— Jesteś najbardziej popieprzonym porywaczem, jakiego poznałam.

— A ilu już poznałaś?

Przesuwa czubkiem nosa po mojej szyi, doprowadzając moje kolana do miękkości, i składa jeden pocałunek na szczęce. Chcę jęknąć, ale nie mogę. Nie chcę, żeby miał świadomość, jak bardzo mnie rozpała.

— Jesteś pierwszy — wzdycham i zaciskam powieki.

— I ostatni — mruczy z satysfakcją.

Czuję ruch jego warg na szyi i nie wytrzymuję. Z moich ust ucieka niski dźwięk, który każdy zinterpretowałby jako sfrustrowany jęk przyjemności. To nie fair, że moje ciało jest po jego stronie. On mnie porwał, do jasnej cholery!

— Możesz dla mnie jęczeć więcej — szepcze.

I zaraz wzdłuż mojej szyi składa kilka mokrych pocałunków pomieszanych z lekkim kąsaniem, dopiero po tym się odsuwa. Moje nogi są jak z waty, gdy patrzy prosto w moje oczy. Zupełnie jakby chciał wyczytać wszystko, co czuję. Nie pozwalam mu na to. Nie w tym, kurwa, życiu.

— Uderzasz w moje najczulsze punkty, więc nie przypisuj sobie za dużo — pryham. — W ogóle za dużo sobie pozwalasz! — Mrużę oczy ostrzegawczo. — Nie powiedziałam, że możesz mnie dotykać albo ślinić!

— Nie usłyszałem ani nie poczułem nawet najdrobniejszego protestu, a uwierz mi na słowo, że dostrzegam wszystkie szczegóły.

— Dupa tam. Masz zaburzenia postrzegania.

Unoszę brew i uśmiecham się głupkowato. Nie umiem się na niego wkurzyć. Irytuje mnie, a po sekundzie robi się, kurwa, taki... bo ja wiem... dziwnie uroczy! Roztapiam się przez te głupie pocałunki w szyję. Czy ja jestem łatwa? Nie, na pewno nie. Chcę, żeby mnie polubił i mi zaufał. Może w ten sposób straci czujność, a ja to wykorzystam? A może go lubię?

O zgrozo, popieprzyło mnie.

— Jeszcze nie spotkałem tak dziwnej kobiety jak ty — stwierdza i kolejny raz się do mnie pochyla, tyle że do ucha. — Mam nadzieję, że masz świadomość, że już cię nie wypuszczę.

— Ucieknę.

— Powodzenia w takim razie.

Odsuwa się, puszcza moje nadgarstki i zwraca się do drzwi windy przodem.

— Vincent?

— Tak? — Spogląda na mnie kątem oka.

Jest jakiś nieokreślony. Niby obojętny, a jednak nie.

— Jesteś idiotą. — Uśmiecham się.

— Dzięki. Te słowa to zaszczyt.

— Cieszę się, że to doceniasz. — Mrugam zalotnie.

Łapię go za rękę i spoglądam na niego. Sama nie mam pojęcia, po co decyduję się na tę bliskość, i jak się okazuje, on również jest skonsternowany. Cóż, nic na to nie poradzę, że mi odbija. Nie moja wina!

— Co robisz? — pyta z wyraźnym zaskoczeniem.

A ja? Ja splatam swoje palce z jego i opieram się policzkiem o jego biceps. Czy Vincent jest zdziwiony i zaczyna się mocno spinać? Tak. Czy mnie to bawi? Och, tak!

— Trzymam cię za rękę — mówię spokojnie. — Nie robiłeś tak nigdy? Zawsze zaciskasz te długie paluchy tylko na nadgarstku?

— Zaciskam je na różnych częściach kobiecego ciała — mruży. — I mogę cię zapewnić, że również je wkładam — dodaje niskim głosem. — Chcesz się przekonać?

— Nie próbuj ze mną grać w ten sposób. Oboje wiemy, że jak ja zacznę, to przegrasz.

— Wiemy? To wyzwanie?

— Nie wiem. To wyzwanie, Vincent? — Uśmiecham się i unoszę głowę, by na niego spojrzeć.

Skupia się przez chwilę na moich wargach i nic nie mówi. Trwa to do momentu, aż winda się zatrzymuje.

— Zaraz to przedyskutujemy, Emerald — oznajmia.

Ciągnie mnie do wyjścia z windy, a później korytarzem na lewo i do ostatnich drzwi. Otwiera je kartą magnetyczną i wchodząc do środka, przyspiesza. Na tyle gwałtownie, że muszę za nim biec i nie mogę się skupić na szczegółach apartamentu! Zatrzymuje się dopiero w sypialni i ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu popycha mnie na łóżko. Padam na materac z piskiem i nie mija sekunda, a on wisi nade mną z czarnymi jak smoła, błyszczącymi oczami. Wygląda... za dobrze.

— Więc chcesz przetestować moją samokontrolę? — pyta.

— Chcę? Nie mówiłam tak, z tego, co pamiętam.

Uśmiecham się delikatnie i łapię go za brodę. Jest szorstka i drażni, a ja szczerze to kocham. Albo więcej niż kocham. Zarost jest bezkonkurencyjny.

— Znowu dotykasz mojej twarzy — szepcze.

— Dotykam. Masz z tym jakiś problem?

— Nie wiem.

— Masz strasznie ostre rysy — zauważam. — I nieprzeciętnie długie rzęsy.

Przesuwam palcami po ostrej linii jego żuchwy i zsuwam dłoń po szyi na ramię, a z ramienia prowadzę je na wystające jabłko Adama.

— Twoja koleżanka już to mówiła — prychna i przetyka ślinę.

Jego grdyka drga pod moimi palcami, co sprawia, że mam ochotę oblizać wargi. Jednak wracam myślami do rozmowy, bo pragnienie Vincenta zaczyna być dla mnie nie tyle przerażające, ile uciążliwe.

— To nie jest moja koleżanka. Suka odbiła mi chłopaka.

Niby mam to już za sobą, ale na samą myśl o niej coś mnie ściska. Ugh, to beznadziejne.

— Twój były facet to cipa. I radzę ci o nim zapomnieć — mruży oczy — bo jak się go pozbędę, będziesz się złościć. Jestem szalenie skuteczny w kwestii pozbywania się potencjalnego zagrożenia.

— Zagrożenia?

— Nieistotne — wzdycha. — O osiemnastej trzydzieści wychodzimy.

— A do czego jestem ci tam potrzebna, tak w ogóle?

— Do towarzystwa, Emerald, już ci mówiłem. Nie słuchasz mnie.

— Więc mam stać koło ciebie i uśmiechać się jak kretynka? No weź. To bez sensu.

— Nie mówiłem, że cokolwiek będzie miało sens. Stanley przywiezie ci jakieś kosmetyki, wystarczy, że powiesz, czego potrzebujesz. — Prostuje się, tracąc ze mną całkowicie kontakt. — Wolałbym, żebyś nie używała niczego poza szminką.

— Więc mam iść z tobą na bankiet i wyglądać jak wypluty ogryzek? — prychnam i unoszę się na łokciach. — Jestem zakładnikiem, ale bez przesady, mogę spróbować wyglądać dobrze, skoro mnie nie przesładujesz.

— Po pierwsze, zawsze wyglądasz dobrze, bo jesteś piękna. Po drugie, nie jesteś zakładnikiem. I po trzecie, szalenie się cieszę, że chcesz wyglądać dla mnie jeszcze lepiej.

Uśmiecha się kpiąco półgębkiem i leniwie zsuwa spojrzenie na moje wargi. Wpatruje się w nie przez chwilę, po czym wraca do moich oczu. Jest wyraźnie rozkojarzony. Odnoszę wrażenie, że dostrzegam w nim walkę.

— Dla ciebie? Myślałam raczej o innych mężczyznach, którzy tam będą.

Prycha. Rozkojarzenie w jego tęczęwkach zmienia się w coś mrocznego. Przez sam ten morderczy wzrok żałuję, że zażartowałam! Nie było warto.

— Żebyś nie wyszedł na bezguście, tak? — Krzywię się. — Nie morduj mnie wzrokiem.

— Nie testuj mojej cierpliwości.

Gwałtownie łapie moje policzki w palce i zgniata je do środka, tworząc z ust rybkę. Uznałabym to za słodkie, gdyby używał mniej siły i przede wszystkim przestał zabijać mnie tym pieprzonym wzrokiem.

— Wystarczy twój jeden nieprzemyślany ruch i wdepczę w ziemię każdego, kto choćby popatrzy na ciebie w sposób, który mi się nie spodoba — szepcze. — Jesteś moja, Emerald. Radzę ci to zapamiętać. Na wieki.

Po tych słowach puszcza moją twarz i kieruje się do wyjścia z sypialni. Znika, a ja w końcu wypuszczam z ust wstrzymywane powietrze. Jestem... jego? Już do końca popieprzyło tego gościa? Matko. Cała się trzęsę!

Rozdział 9

Piętnaście po szóstej kończę robić makijaż i fryzurę. Włosy mam oczywiście jedynie umyte i mocno roztrzepane po całej głowie, ponieważ przez ich długość i dzięki mojej kochanej fryzjerce zawsze dobrze się układają. A jeśli chodzi o makijaż, postawiłam na prostotę. Delikatnie poprawiłam kształt brwi, przeciągnęłam po powiekach cienkie kreski eyelinerem o złotym wykończeniu i wytuszowałam rzęsy. Na nos i policzki dałam odrobinę rozświetlacza, a wargi ozdobiłam szminką w odcieniu ciemnego nude. Prezentuję się dobrze, nawet bardzo dobrze, bo kreski mi się zaskakująco ładnie narysowały. Duma!

Wychodzę z łazienki owinięta tylko w ręcznik i kieruję się do sypialni, w której powinny być moje rzeczy. Są tam oczywiście i nie cierpią na samotność, bo Stanley i Troy uważnie ich, kurwa, pilnują. Morduję ich wzrokiem.

— Gdyby nie fakt, że Vincent już pojechał, chyba właśnie leżałbym z kulką w głowie — śmieje się Troy. — Dlaczego nie jesteś gotowa? Masz jakieś pięć minut!

— No wybacz, że dostałam kosmetyki dopiero godzinę temu! I wypad stąd! Jestem w samym ręczniku.

— Zauważyliśmy — parska Stanley. — Zaczekam na ciebie tutaj i pojedziemy razem, a Troy dołączy do Vincenta. Ruszaj się, Cukierku, bo na tego typu imprezach spóźnienia są źle odbierane.

— A co to za impreza?

— Spotkanie biznesowe, na którym bardziej wtajemniczeni przekazują sobie pewne informacje i dużo piją. Będzie alkohol i dobre żarcie, a Troy dotrzyma ci towarzystwa całą noc.

— Okej.

Podchodzę do nich i zabieram z łóżka złożoną sukienkę, majtki i rajstopy. Buty zostawiam sobie na koniec. Wracam do łazienki, zrzucam ręcznik i szybko się ubieram. Sukienka układa się nieziemsko. Jest szalenie dopasowana i urocza. Wycięcie zaczyna się w połowie piersi, więc doskonale widać ich dolną część i znajdujący się pod nimi tatuaż. Przedstawia różę w towarzystwie kilku listków. Kocham ten tatuaż.

Wychodzę z łazienki z szerokim uśmiechem na ustach i kieruję się prosto do sypialni. Stanley czeka grzecznie z nosem utkwionym w oknie.

— Jestem gotowa! — melduję.

Siadam na łóżku i szybko zakładam szpilki, po czym wstaję i zwracam się całą sobą w stronę bruneta. Patrzy na mnie z czymś bardzo mocnym w spojrzeniu. Chyba z przerażeniem, ale nie jestem pewna.

— Pojebało cię? — jęczy.

Podchodzi i bierze moje ramiona w ręce. On jest serio jakiś przerażony. Wyglądam aż tak źle?!

— Co?

— Co ty, kurwa, masz na sobie!

— Sukienkę?

— To nie jest sukienka, a jakaś jebana imitacja! Masz coś innego, prawda?

— Nie... Vincent kazał zabrać jedną. — Krzywię się z lekkim smutkiem. — Co ci w niej przeszkadza?

— Po pierwsze, ramię jest gołe, po drugie, widać piersi i te twoje cholerne kolczyki przebijają! Masz tatuaże i to zielone coś ledwo ci sięga do połowy uda. Chcesz, żeby Vincent wystrzelał wszystkich swoich kontrahentów?

Och, więc to o zaborczość chodzi!

— Dramatyzujesz.

— Kochanie, znam go od piętnastu lat, nie dramatyzuję — warczy. — Założysz marynarkę i nie będziesz jej zdejmować — postanawia. — I nie prowokuj go. W takich sytuacjach nie warto nawet podnosić mu ciśnienia, Cukierku. Vincent jest nieobliczalny, a ty, jak się okazuje, bardzo mocno go denerwujesz.

— Ja? Jestem niebywale grzeczna jak na kogoś, kogo się ubezwłasnowolniło, do cholery!

— Nie mów brzydko — wzdycha. — Idziemy, bo jak się spóźnię z tobą, to mnie zabije.
— Nie wnikam w to, co robi ten czubek. Jest jakiś popieprzony.
— Jeszcze go nie poznałaś. Wszystko przed tobą, Cukierku. Idziemy.

Restauracja, w której odbywa się bankiet, wygląda nieziemsko. Nie jestem przekonana do takich drogich obiektów, ale ten mnie urzeka. Jest pięknie, wszystko wydaje się szalenie dopracowane i bardzo mi się podoba.

— Kochanie, zamknij buzię i zdejmuj płaszcz, bo książe jest zniecierpliwiony — oznajmia na starcie Troy.

Spoglądam na niego z politowaniem i szybko pozbywam się wierzchniego okrycia, które Stanley niczym gentleman ode mnie odbiera. Zostaję w samej marynarce, która niespecjalnie pasuje do mojej pięknej sukienki.

— Pilnuj, żeby nie zdjęła marynarki — instruuje szatyna brunet, czytając mi w myślach. — Jest półnaga.

— Co? — Troy parska śmiechem. — Serio? Na takie spotkanie?

— Wybaczcie, że nie mam pieprzonego pojęcia, gdzie jestem i co mi grozi. To nie mój świat, idioci!

— No już, nie ekscytuj się, idziemy — uspokaja mnie z uśmiechem Troy.

Łapie mnie pod ramię i prowadzi przez restaurację do ostatniego pomieszczenia w długim holu. To ogromna sala bankietowa z mnóstwem okrągłych stołów. Wszystko wygląda bardzo drogo i dostojnie, a obecni tam faceci są... jacyś przerażający. To znaczy niektórzy są nawet przystojni, ale mają w sobie coś, co wywołuje we mnie zimny dreszcz. Lekko się spinam. Cholera, ich kobiety wyglądają jak księżniczki lub dziwki. Nic pomiędzy! Którą wersją miałam być ja? Chyba przez te cycki bardziej dziwką. Ale moja sukienka jest przepiękna! Prosta, gustowna i wcale tak dużo nie pokazuje. Jeśli ją odpowiednio ułożę, to nie widać dołu moich cycków. Ani odrobinę!

— Emerald — dociera do mnie głos Vincenta.

Zatrzymujemy się przed brunetem i Troy zostawia mnie z nim samą. Mój porywacz kładzie mi dłonie na biodrach i mocno dociska mnie do siebie. Jego usta łączą się z moim uchem. Czuję alkohol.

— Masz krótką sukienkę w kolorze, który mnie dekoncentruje.

— Jest taka jak moje oczy. — Uśmiecham się.

— Tak, dokładnie taka — mruczy. — Nie posłuchałaś mnie i Stanley musiał dać ci marynarkę?

— Nie do końca. — Opieram głowę na jego torsie. — Po prostu źle zrozumiałam przekaz. Stanley stwierdził, że go zabijesz, kiedy mnie w tym zobaczysz — skarżę się. — A przecież wcale nie wyglądam źle!

— Nie chodzi o to, jak wyglądasz, a o to, jak działasz na innych. Nie dzielę się nawet widokami. Ktoś może przez ciebie stracić głowę, więc lepiej słuchaj Stanleya. On wie, co mówi.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi w tej chwili — wzdycham. — Co mam robić?

— Masz sprawiać mi przyjemność swoją obecnością.

— W jaki sposób?

— Po prostu bądź — szepcze, muskając wargami moje ucho. — Przyniosę ci drinka, tymczasem idź do Troya.

Całuje mnie lekko w skroń i odchodzi. Nie koncentruję się na nim, tylko szukam wzrokiem szatyna. Siedzi przy jednym ze stolików i zajada się ciastkami. Cóż, idealny towarzysz! Idę do niego pełna gracji i nie zwracam uwagi na nikogo, kto mi się przygląda. A zaznaczę, że przyglądają się z nieukrywanym zaciekawieniem. Może wszyscy się tu znają i fakt, że to ja przyjechałam z Vincentem, jest dla nich szokiem? Kto wie.

Zajmuję miejsce obok Troya i uśmiecham się szeroko, niczym psychopatka. Nie wiem, czy bardziej go przeraża, czy bawi, bo jego mina jest zagadkowa.

— Cokolwiek wymyśliłaś, nie pomogę ci — mówi z rozbawieniem. — Są tylko dwie osoby na tym świecie, których się boję, i zaskoczę cię, ale jedną z nich jest Vincent.

— Co? — Parskam śmiechem. — Boisz się go? Serio? Dlaczego?

Łapię w dłoń ptysia i rozrywam go na pół, a następnie palcem zbieram krem i wkładam do ust. Okazuje się niebiańsko cudowny. Puszysty niczym chmurka.

— Są momenty, w których nic nie ma dla niego znaczenia — wzdycha Troy. — Kto normalny je tak ptysia?

— Ja?

— Pytałem o normalnych ludzi, Valerio. Nie zaliczasz się do nich.

— Bo?

— Bo jesteś w tym miejscu i niczym się nie przejmujesz. Bo założyłaś sukienkę, w której nie powinnaś być w takim miejscu. Bo zostałaś porwana i nie próbujesz uciec. Bo się, kurwa, nawet nie awanturujesz o to, że jesteś porwana! Jesteś popieprzona, sorry.

Miło, że nawet porywacz dziwi się mojej chorej reakcji na porwanie.

— Ile osób porwaliście przede mną?

— Nie umiem policzyć.

Porywają dla zabawy czy są bardziej popieprzeni, niż mi się wydaje? Matko.

— Ile z nich zareagowało tak jak ja?

— Nikt, ale w sumie nigdy wcześniej nie porwaliśmy kogoś z powodu, dla którego porwaliśmy ciebie. — Uśmiecha się tajemniczo. — I nie pytaj, bo i tak ci nie powiem.

— Aha — pryham. — Vincent mi powie.

— Tak, z pewnością kiedyś się przyzna. — Śmieje się. — Masz więcej tatuaży niż ten pod piersiami?

— Nie sądzę, że powinieneś się tym interesować, Troy — odzywa się Vincent.

Jego głos jest ostry jak brzytwa. Mrozi atmosferę i paraliżuje mojego rozmówcę. Troy patrzy na Vincenta w jakiś dziwny, porozumiewawczy sposób i usilnie próbuje grać niewzruszonego. Wychodzi mu to dobrze, jednak drżenie jego rąk jest zbyt mocne. Czuję się lekko zaskoczona i szczerze mówiąc, zakłopotana. Myślałam, że są przyjaciółmi. Albo czymś tam, czym można być z kimś takim jak Vincent.

— Mam jeszcze kilka — oznajmiam. — Może kiedyś ci pokażę.

Chcę rozładować atmosferę, ale nie wydaje mi się, że poskutkowało. Szklanka z moim drinkiem uderza o blat z mocą, która powinna ją roztrzaskać w drobny mak.

— Nie sądzę — warczy mój oprawca. — Stanley cię potrzebuje — zwraca się do szatyna.

— Jasne, wrócę za chwilę — melduje.

Wstaje od stolika i spokojnym krokiem zmierza do wyjścia. Vincent zajmuje miejsce obok mnie i opróżnia swoją szklankę. Robi to tak szybko i nienawistnie, że boję się poruszyć. Pieprzony psychol.

— Mojito? — pytam ostrożnie i wyciągam dłoń po szklankę z drinkiem.

Nie łapię jej jednak, bo zamieram w połowie drogi. Wielka dłoń Vincenta gwałtownie zaciska się na moim udzie i za cholerę nie wiem, co to ma znaczyć. Uścisk jest stanowczo za mocny.

— Zdejmij marynarkę — mówi przez zaciśnięte zęby.

Nie patrzy na mnie, a przed siebie, co lekko mnie przeraża.

— Zdjąć? — dopytuję niepewnie.

— Tak, kurwa, zdjąć.

— Spokojnie. — Krzywię się i kładę dłoń na jego palcach. — Możesz zwolnić.

— Nie zaczynaj.

Pryham. Zdejmuję marynarkę z większą nienawiścią, niż powinnam, i zarzucam mu na głowę. Nie wiem, czy przesadziłam trochę, czy grubo, ale jego palce wbijają się w moje udo jeszcze mocniej. Cóż, syczę, bo nie jest to przyjemne.

— No proszę — odzywa się nieznany mi dotąd głos. — Vincent, gdzie twoja kobieta?

— Jaka kobieta? — pytam.

Zmieniam tym punkt zainteresowania wysokiego blondyna, który do nas podszedł, i... Ugh, zły ruch. Zdejmuję delikatnie marynarkę z głowy Vincenta i otwieram usta, by coś powiedzieć, ale mój porywacz mi na to nie pozwala. Odwraca się do mnie i gwałtownie łączy nasze wargi, po prostu mnie, kurwa, całując. Tak mnie to szokuje, że nawet nie jestem w stanie zamknąć oczu. Vincent mnie całuje!

Kurwa mać. On. Mnie. Całuje. I jeszcze mocniej wbija w moje udo palce. Cholera, zaczyna boleć na poważnie, ale nie mogę się na tym skupić. Nie mogę, bo on trwa w połączeniu naszych twarzy i napiera coraz mocniej. Widzę jego zamknięte oczy i wachlarze szalenię długich rzęs. Widzę go tak blisko i czuję tak mocno, że nie wiem, co tak naprawdę czuję. Serce bije mi wszędzie: w głowie, uszach, brzuchu i palcach. To dziwne, nienormalne i cholernie przerażające. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Ale jego wargi taki przyjemnie miazdzą moje...

— O kurwa — odzywa się nagle Stanley.

Wraz z jego głosem wracam na planetę Ziemia i niepewnie unoszę dłonie do twarzy Vincenta. Ujmuję ją najdelikatniej, jak umiem, i powoli zamykam oczy. Moje serce przyspiesza jeszcze bardziej, gdy decyduję się odwzajemnić jego pocałunek. Napieram bardzo nieśmiało, na co uścisk jego dłoni na moim udzie łagodnieje. Szalenię mnie to cieszy, więc w ramach wdzięczności przesuwam palcami po jego twarzy aż na szyję. Mruczy na ten ruch z aprobatą i powoli się odsuwa.

— Moja — szepcze nisko, tworząc między nami coraz większy dystans.

Zaczynam oddychać. Emocje huczą mi w głowie, ale staram się zignorować wszystko, co krzyczy. Czuję się odurzona. Dłoń Vincenta odpuszcza uścisk i jedynie spoczywa na moim udzie, niekiedy je gładząc. Drażni mnie to. A raczej wywołuje ciarki, których nie chcę. Moje uczucia to jedno wielkie gówno w tym momencie.

Vincent odwraca się w stronę blondyna, jak gdyby nigdy nic, i zaczyna rozmowę, której nie słyszę. Spoglądam na Stanleya, który mierzy mnie nieodgadnionym wzrokiem, i mrużę oczy, prosząc go niemo o wyjaśnienia. On jednak wzrusza tylko ramionami. Kurwa mać. Co się właśnie stało w moim życiu?

Cztery drinki o dźwięcznej nazwie mojito, które tańczą w moim brzuchu wraz z masą słodkich ptysiów, to jedyne, co odciąga mnie od myśli na temat Vincenta. Jego gwałtowny, kompletnie nieuzasadniony pocałunek puka w moją skroń bezustannie i po prostu nie daje żyć. Dlaczego on mnie pocałował? Po co?! To było głupie! A to, że odwzajemniłam jego pieszczotę, było jeszcze głupsze. Ja pierdołę. Całować się ze swoim porywaczem to jak hobbistycznie postrzelać z pistoletu do seryjnego mordercy. No popierdolone!

— Valerio — odzywa się Troy i łapie mnie za ramię. — Wszystko w porządku?

Unoszę wzrok i uśmiecham się głupkowato. Jestem mocno chwycona i nie umiem tego ukryć. Kręci mi się w głowie, jakbym miała w niej śmigło. Cholera. Za dużo procentów i upojenia własnym, osobistym porywaczem.

— Jestem pijana? — pytam.

— Chyba trochę. Nie jest ci niedobrze? Jesz bitą śmietaną i popijasz ją drinkiem, to trochę inwazyjne. Porzygasz się.

— Troy, usiądź ze mną.

— Dobrze, ale staraj się trzymać jak najdalej od mojego ciała — instruuje.

Zajmuje miejsce obok mnie i opiera się wygodnie na krześle. Ma roztrzepane włosy, do połowy rozpiętą koszulę i przepite tęczówki. A w ręce trzyma szklankę z koniakiem. Wygląda obłądnie.

— Nie mogę cię dotknąć? Bo co? Bo Vincent na ciebie krzywo popatrzy?

— Nie, strzeli mi w głowę.

— Taki niegrzeczny chłopiec? — Chichoczę. — Władczy dupek, nie przejmuj się nim. Obronę cię.

— Tak, nie wątpię! — Śmieje się.

— Gdzie on jest?

— Pije ze współnikiem. A co? Chcesz do niego iść?

— Nie, nie. — Kręcę głową. — Tutaj mi dobrze, wygrałam sobie krzeselko. Powiesz mi coś?

— Jeśli będę mógł.

Pochylam się do jego ucha i śmiało kładę dłoń na jego ramieniu. Spina się.

— Dlaczego on jest taki zaborczy?

— Bo jest bardzo zachłannym i popierdolonym człowiekiem. Odsuń się.

Parskam śmiechem. Odsuwam się, unosząc dłonie w obronnym geście, i wzdycham. Jestem zmęczona i czuję, że powinnam przestać pić. Jeśli wleję w siebie więcej, stracę kontrolę, a bardzo tego nie chcę. To znaczy: chciałabym, ale nie przy Vincencie. To zbyt ryzykowne, bo mam ochotę na jego usta.

— Jesteś głodna? — pyta Stanley, który właśnie do nas podszedł.

Spoglądam na niego z szerokim uśmiechem i kręcę przecząco głową. Nie jestem ani głodna, ani spragniona. Chcę tylko iść pod prysznic i spać. Tak, tego potrzebuję.

— Przynieść ci coś do picia?

— Nieee... Chciałabym się przytulić — wypalam bezmyślnie.

Nie cofam jednak swoich słów, bo naprawdę mam ochotę się przytulić. Tak szczerze. Ale do kogo? Do Vincenta? Ja pierdołę.

— Nie spełnię tej zachcianki, wybacz, Cukierku.

— Bo co? Ciebie też Vincent zabije? Jesteście głupi.

— Mogę cię zabrać do Vincenta, jak chcesz — oznajmia. — Jest pijany, więc myślę, że z chęcią cię przytuli.

— A gdyby był trzeźwy, to by mnie nie przytulił? Co za dupek z niego! — buczę.

— Jesteś taka słodka — jęczy Troy. — Dobrze, że cię porwaliśmy. Możesz nas rozluźniać, jak Vincent będzie miał zły dzień. Czasem jest przerażający.

— A nie, że zawsze? — Parskam śmiechem. — Muszę się przytulić.

Wstaję z miejsca, odsuwam krzesło i wychodzę. Szpilki zdjęłam jakieś dwie godziny temu, więc czuję zimno, gdy dotykam podłogi. Jest paskudnie nieprzyjemna w kontakcie z moimi bosymi stopami. Aż przelatują mnie paraliżujące dreszcze. Stanley łapie mnie pod ramię i kieruje w stronę wyjścia z sali. Na korytarzu, naprzeciwko pomieszczenia, z którego wyszliśmy, jest wąskie przejście prowadzące do mniejszego, bardziej kameralnego pokoju. Znajduje się tam okrągły stół, kanapa i dużo świec. Dostrzegam sześciu mężczyzn, którzy znieczulają się koniakiem. Na szczęście Vincent siedzi do mnie tyłem. Mężczyzna naprzeciwko niego zerka na mnie swoim przerażająco jasnym, błękitnym spojrzeniem i zagryza wargę, szybko odwracając wzrok. Najprawdopodobniej nie chciał mnie zdradzić przed Vincentem.

— Weź go od tyłu z zaskoczenia — szepcze do mnie Stanley. — Nie wiem, co mu robisz, ale robisz to dobrze.

Chichoczę. Odpycham go od siebie i lekko chwiejnym krokiem kieruję się do bruneta. Staję nad nim i ignorując dwóch mężczyzn, którzy również mnie zauważyli, obejmuję Vincenta za szyję. Przytulam policzek do jego włosów i uśmiecham się jak idiotka. Pachnie tak przyjemnie! A jego włosy są cholernie miękkie.

— Emerald — mówi ostrzegawczo i łapie mnie za rękę.

Kiedy jestem pewna, że się odsunie, on całuje moją skórę. Wprawia mnie tym w konsternację.

— Kim jest twoja maskotka? — pyta jeden z mężczyzn, a palce Vincenta mocniej wbijają się w moją rękę.

— Co się stało? — pyta mnie, ignorując swojego towarzysza, i unosi głowę, więc muszę się odsunąć.

Patrzę na niego z góry. Jest pijany. Tak naprawdę pijany.

— Chciałam się przytulić — mówię szczerze. — Stanley powiedział, że do niego nie mogę.

— Nie możesz, zdecydowanie miał rację.

— I do Troya też nie.

— Też nie. — Uśmiecha się głupkowato. — Tylko do mnie.

— Ale ty nie lubisz.

— Dla ciebie zrobię wyjątek. Usiądź ze mną.

Puszczam jego szyję i grzecznie przechodzę na miejsce obok niego. Chcę usiąść po jego lewej, ale nie pozwala mi. Jego duże dłonie łapią moje biodra i mocnym ruchem ciągną na swoje kolana. Ładuję na nim z cichym śmiechem i opieram głowę o jego ramię. Jest ciepły, a jego dłonie szczelnie mnie

otulają.

— Uzyskam odpowiedź na pytanie? — znów ktoś się odzywa.

Vincent jednak nie reaguje. Skupia się na moim nagim ramieniu i po prostu składa na nim krótkie, mokre pocałunki. Przygryzam wargę na te pieszczoty i kieruję wzrok na mężczyzn przede mną. Wyglądają na starszych niż Vincent i... No cóż, nie są zbyt ciekawi. Jeden ma bliźnię na policzku, która sięga szczęki. Patrzą na mnie jak na intruza, którym w sumie jestem. Trudno, nie chciałam zostawać na dłużej! Chciałam się przytulić i spadać, ale Vincent miał inne potrzeby.

— Nie uzyskasz — mówi brunet i kładzie brodę na moim ramieniu. — Wracając do rozmowy, to nie jestem zainteresowany. Plany się zmieniły, nic na to nie poradzę.

— Poradzisz, ale nie chcesz, bo to twoja zasrana zachcianka.

— Możliwe — wzdycha Vincent i lekko zasysa skórę na mojej szyi. — Podtrzymuję jednak współpracę w Los Angeles i San Francisco. Wybiorę się tam w marcu bądź kwietniu, jeszcze nie zdecydowałem.

— A dziewczyna? — odzywa się ten z bliźnię, przez co mężczyzna o błękitnym spojrzeniu piorunuje, a wręcz morduje go wzrokiem.

— To już nie jest twój problem — warczy Vince, a jego ciało się spina. — Możecie iść.

— Nie satysfakcjonuje mnie zakończenie tego spotkania, Vincent — prycha niepokieszony mężczyzna. — Zobaczymy się w Miami, teraz nie jesteś w dobrym nastroju.

Podnoszą się jednocześnie i bez pożegnania wychodzą z tej miniloży. Wszyscy poza mężczyzną o błękitnych tęczówkach. Ten zatrzymuje się nad nami i mruży oczy, przez co wydaje się naprawdę upiorny. Krzywię się, nie rozumiejąc jego zachowania, i mocniej przylegam do Vincenta, który całuje moją szyję. Obecność tego człowieka, jak widać, wcale nie przeszkadza mojemu partnerowi.

— Witaj na pokładzie, Valerio — odzywa się mrocznym głosem.

Następnie klepie Vincenta po ramieniu i wychodzi. Zostaję sama z moim porywaczem, który gładzi moje uda w kojący sposób. Mogłabym zasnąć z tym lekkim dotykiem.

— Emerald — mruczy mi do ucha. — Nie jesteś głodna? Nic nie jadłaś.

— Jadłam ptysie.

— To nie jest pełnowartościowy posiłek. Powinnaś coś zjeść.

— Nie jestem głodna. — Uśmiecham się. — Jestem pijana.

— Dobrze się czujesz?

Dlaczego wydaje się opiekuńczy?! Jestem aż tak pijana?

— Jestem zmęczona. I w sumie to chciałabym iść już spać. Długo musisz tu jeszcze być?

— Nie, już załatwiłem wszystko, po co przyjechałem.

— Więc możemy wracać?

— Jeśli tylko chcesz.

— Chcę, zdecydowanie potrzebuję spać. — Chichoczę. — Będę miała kaca.

— Więc wracamy — postanawia.

Całuje mnie mokro w szczękę i odsuwa się.

Czterdzieści minut później staję w naszym pokoju hotelowym z wskaźnikiem samokontroli na poziomie zero. Jestem pijana jak szpadel, bo w samochodzie wychyliłam z Vincentem jeszcze kilka kieliszków. Kręci mi się w głowie coraz bardziej i bardziej. I mam nienaturalną potrzebę bliskości. Tak nienaturalną, że to niepojęte!

Zrzucam z nóg szpilki i wychodzę z sypialni prosto do salonu, w którym Vincent siedzi i dyskutuje ze swoimi chłopcami. Stanley jest bez koszulki, Troy jest bez koszulki, a Vincent... Vincent siedzi w koszuli i pali skręta! Dlaczego ma tę głupią koszulę? To bez sensu. Chcę zobaczyć tatuaże.

— Cukierku, miałaś się umyć i spać — komentuje Stanley, bo jako jedyny zauważył, że podpieram ścianę. — Potrzebujesz pomocy?

— Potrzebuję herbaty — wypalam. — I nie zdejmę tej sukienki sama, zapłaczę się w to gówno!

Wsuwam dłonie pod materiał i nie mam pojęcia dlaczego, ale ujmuję swoje piersi. Mam

stwardniałe sutki, a kulki w nich nadal są zimne. Przechodzą mnie dreszcze.

— Co robisz? — pyta ostrożnie Troy.

Spoglądam na niego skonsternowana i podchodzę do Vincenta, żeby usiąść obok niego. W dalszym ciągu trzymam swoje piersi w dłoniach. Chcę je ogrzać, bo zamarzną!

— Siedzę — oznajmiam, patrząc na szatyna.

Stanley parska śmiechem i wstaje. Jego mięśnie brzucha mnie hipnotyzują. Kocham wyrzeźbione ciała, są niesamowite i gorące. Rany.

— Jaką chcesz herbatę? — pyta.

— Ciepłą. Obojętnie jaką, ale chcę w kubku. Nie lubię szklanek. W szklance będzie parzyć.

Wydymam wargę i garbię się, wysuwając brodę do przodu. Zachowuję się jak dziecko.

— Dobrze, Valerio, zrobię ci herbatę, która będzie ciepła, i znajdę kubek. Owocowa czy zwykła?

— Zwykła — decyduje Vincent. — Lepiej, żeby nie piła czegoś, co może ją sprowokować.

Odwracam się do niego przodem i mrużę ostrzegawczo oczy. Zauważa to i również na mnie patrzy.

— Ty mnie prowokujesz — oznajmiam. — Chcę herbatkę z miodem.

— Dobrze. — Stanley kiwa głową i powstrzymuje śmiech. — Będzie z miodem, kochanie.

— Super! — Szczęczę się. — Co robicie? Dyskutujecie? O czym?

— Rozmawiamy — odpowiada mi Troy. — A ty co robisz? Nie żeby coś, ale cały czas trzymasz ręce pod sukienką, to dziwne.

Zwracam twarz w jego stronę i kręcę głową. Głupek.

— Ogrzewam je — mówię poważnie i wskazuję na piersi głową. — Mam zimne kolczyki.

Vincent parska śmiechem, a Troy po prostu wybucha. Śmieje się jak popieprzony, ale nie dociera to do mnie. Dociera do mnie tylko to, że Vincent się śmieje! Vincent! On umie się śmiać!? O matko, jestem w szoku. Spoglądam na niego szeroko otwartymi oczami i przygryzam wargę. Jest słodki, gdy się śmieje.

— Co was tak bawi?

— Nic, Val, nie przejmuj się — chichocze Troy. — Przynieść ci coś do ubrania?

— Po co?

— Żebyś ogrzała sobie piersi — parska po raz kolejny.

— Nie, mam ciepłe ręce. Jesteś dziwakiem — podsumowuję.

— Tak, wiem. Idę do Stanleya.

Podnosi się z miejsca i wciąż chichocząc, po prostu wychodzi. Obserwuję jego ramiona i stwierdzam, że są szerokie. Nie tak jak Vincenta, ale nadal seksownie szerokie. Lubię szerokie ramiona. I tatuaże, a jego są megazajebiste. Chciałabym podotykać.

— Nie przygryzaj wargi — odzywa się Vincent przy moim uchu. — Gdy to robisz, sam mam ochotę to robić.

Jego dłoń łąduje na moim udzie i zaciska się. Ciepło jego skóry jest kojące i przyprawia mnie o dreszcze. Odwracam twarz w jego stronę i uśmiecham się, widząc ciepłe, brązowe tęczęwki. Patrzy na mnie uważnie i mimo że jego oczy błyszczą przez alkohol... są piękne. I chcę, żeby przygryzał moje wargi. Chcę, żeby mnie dotykał.

— O czym myślisz? — pyta.

— Że masz bardzo ładne oczy.

Uśmiecha się. Tak normalnie, naturalnie i delikatnie, przez co w kącikach jego oczu tworzą się zmarszczki. Zagryzam mocniej wargę, gdy tak go obserwuję, a on unosi dłoń i łapie mnie za brodę, a następnie ciągnie ją w dół, bym przestała. Śmieję się pod nosem.

— Co cię tak bawi? — szepcze.

Obrysowuje moje usta kciukiem i skupia na nich całą uwagę. Wpatruje się w nie i wpatruje... po czym zaczyna się pochylać. Tak powoli, że aż boleśnie, ale nie mam odwagi wyprzedzić jego zamiaru. Czekam na niego i okazuje się to doskonałym posunięciem. Zamykam oczy, gdy nasze wargi się łączą, i bez zastanowienia oddaję pocałunek. Jest lekki i przyjemny, a wargi Vincenta smakują marihuanę. Są dobre, wręcz nieziemskie i tak cholernie miękkie, że się topię. Wręcz rozpływam. Matko. Chcę więcej i

kompletnie się nie kontrolując, przenoszę ręce z piersi na jego tors, by przyciągnąć go bliżej. Odbiera mój ruch jako pozwolenie i nie dość, że zaczyna poruszać wargami, to jeszcze wsuwa dłoń pod moją sukienkę na udo. Gładzi je i pieści moje usta w sposób, którego nie potrafię do niczego porównać. Jest niesamowicie. Wręcz, kurwa, nieziemsko!

— Emerald — mruczy, gdy się odsuwa i łączy nasze czoła.

Otwieram oczy i oblizuję wargi, chcąc zebrać cały jego smak. Puszczam cienką koszulę. Przesuwam dłońmi w górę, po szyi mężczyzny aż na policzki. Jego oddech znacząco przyspiesza.

— Smakujesz za dobrze. — Zamyka oczy. — Dokładnie tak, jak pachniesz.

— Muszę cię w końcu rozebrać. Chciałabym zobaczyć twoje tatuaże — przyznaję nieśmiało.

— Więc mnie rozbierz — szepcze. — Mam ich bardzo dużo i w różnych miejscach.

— W tych intymnych też? — Śmieję się.

Odsuwam się od niego i zabieram dłonie z jego twarzy. Kładę je na kanapie za sobą i bezmyślnie wypinam swoje stwardniałe sutki przed twarz Vincenta. Skupia się na nich przez moment, jednak ostatecznie patrzy mi w oczy. Jest rozkojarzony? Chyba tak.

— Musisz poszukać — mruczy i przechyla głowę.

— Poszukam. Pocałuj mnie jeszcze raz.

— Raz? — Unosi brew i prostuje się. — Tylko raz?

— Tak, raz, a porządnie. — Chichoczę. — Dasz radę?

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy! — Uśmiecha się zadziornie. — Ale później, jak już zdecydujesz, że chcesz mnie rozbierać. Teraz napij się herbaty.

Mruga i łapie swoją szklankę wypełnioną alkoholem, a następnie opiera się o kanapę z dziwnym uśmiechem. Patrzę na niego nieprzerwanie aż do momentu, w którym Stanley wraca z moją herbatą. Stawia ją przede mną na stoliku i zajmuje swoje miejsce. Zaraz obok niego siada Troy.

— Nie jesteś głodna? — pyta szatyn. — Możemy coś zamówić.

— Nie. — Krzywię się. — Jak zgłodnieję, to ci powiem, Troy.

— Super! — Parska śmiechem. — Ogrzałaś się już?

— Mhm — mruczę.

Rozkoszując się pachnącą herbatą, wciskam się w róg sofy i patrząc na profil Vincenta, kładę mu nogi na udach. Uśmiecha się pod nosem. Jest taki gorący!

Kończę picie herbaty w towarzystwie Troya i Stanleya, którzy ciągle o czymś dyskutują. Vincent kilka minut wcześniej oznajmił, że weźmie prysznic, a ja nie mogę wysiedzieć, bo chcę do niego iść. Zdaję sobie sprawę z tego, że jest moim oprawcą, ale... Przecież jest w porządku! Póki jestem miła, on również taki jest. I tak nieziemsko całuje. Kurwa, nie wytrzymam.

Podnoszę się z miejsca i odstawiam pusty kubek. Nie chcę robić z siebie napalonej kretynki, ale nie wytrzymam dłużej. Pragnę zobaczyć tatuaże Vincenta.

— Wszystko okej? — pyta Troy, gdy się nie ruszam.

— Po co mnie porwaliście? — wypalam, choć nawet o tym nie myślę.

— Zapytaj Vincenta. — Parska śmiechem.

— Czy on ma względem mnie jakieś straszne plany?

Krzywię się na taki scenariusz.

— Ma plany, ale nie sądzę, że są straszne. Idź do niego — uśmiecha się Stanley.

— No dobra. Umyję mu plecki.

Odwracam się w stronę sypialni i ruszam lekkim slalomem. Kiedy siedziałam, miałam wrażenie, że jestem trzeźwiejsza. Cóż, nie jestem. Jestem pijana i obraz lekko mi się rozmywa. Ale to nieważne. Ważne, że Vincent jest w łazience.

Wchodzę do pomieszczenia bez pukania i od razu obieram za cel kabinę prysznicową. Słyszę, jak mój oprawca nuci jakąś melodię, i szczerze mnie to zaskakuje. Ktoś taki jak on śpiewa? O matko, Vincent śpiewa! Tak ładnie śpiewa, że całkowicie się zatracam i zamykam oczy. Barwa jego głosu jest szalenie atrakcyjna, mogłabym go słuchać i słuchać... Cholera, zamykam się w swoim idealnym świecie.

— Widzę cię, Emerald — mówi po chwili Vincent.

Nie mam pojęcia, kiedy skończył mrużyć pod nosem, a wychylił się zza drzwi szklanej kabiny. Spoglądam na jego ociekającą wodą twarz i uśmiecham się. Uśmiecham się tak szczerze i szeroko, jak chyba jeszcze nigdy w jego towarzystwie. Nie mam pojęcia, co czuję, ale jego głos... Jestem oczarowana i jedyne, czego chcę, to żeby mi zaśpiewał.

— Twój głos... — Przygryzam wargę.

— Nic nie słyszałaś, to halucynacje, maleńka. Potrzebujesz czegoś?

— Mhm — mrużę. — Chciałam moje obiecane buzi.

— Przestań taka być. — Zaciska powieki. — Testujesz mnie.

Kręcę przecząco głową i powoli wsuwam dłoń pod sukienkę, by leniwym ruchem zdjąć majtki. Robię to, patrząc mu prosto w oczy, i widzę, jak się spina. Kolor jego tęczywek przechodzi w bezdenną czerń, która przyprawia mnie o dreszcze, gdy tylko moja bielizna upada na podłogę. Nie mogę dłużej czekać, chcę go. Naprawdę mocno i szczerze. Podchodzę do niego, walcząc z tym ciężącym mi spojrzeniem, i bez wahania ujmuję jego twarz w dłonie. Nie czekam na reakcję. Całuję go tak, jak lubię, czyli mocno i zarazem spokojnie. Uśmiecha się, ale nie odwzajemnia, co prowokuje mnie do posunięcia się odrobinę dalej. Mianowicie napieram na niego mocniej i wchodzę do kabiny. Nie protestuje. Cofa się posłusznie aż do ściany i w dalszym ciągu w ogóle na mnie nie reaguje! Irytuje mnie to do tego stopnia, że decyduję się na kolejny etap. Przesuwam dłońmi z jego policzków na szyję, a z szyi kieruję się na tors i brzuch. Spina się. Spina się tak mocno, że aż wyczuwalnie pod palcami. Przysuwam się do niego i spotykam się z jego podnieceniem. Z jego twardym przyrodzeniem, które dociskam do jego uda swoim brzuchem. Jest duży. Kurwa, naprawdę duży.

— Przeginasz — warczy w moje wargi.

— Rozbierz mnie, Vincent.

— Jesteś pijana. — Prostuje się gwałtownie.

Przerywa mój pocałunek i niemożliwie mnie tym denerwuje. Wbijam paznokcie w jego skórę.

— Ty też — pryham. — I co z tego?

— To, że nawet nie będziesz tego pamiętać, jak się obudzisz. Nie chcę cię mieć, gdy nie będę miał całkowicie.

— Jesteś głupi.

— Jesteś pijana.

— Rano będę trzeźwa, a ty nadal będziesz głupi — pryham.

Uśmiecha się na moje słowa i po prostu kręci głową z rozbawieniem. Jest taki słodki, gdy się uśmiecha... Nie mogę. Porwał mnie psychopata z taką przystojną twarzą, że nie czuję się porwana! Kretyn. Podniecony kretyn w dodatku!

— Nawet nie masz pojęcia — szepcze i równa poziom naszych twarzy — jak bardzo cię pragnę.

— Dupa tam! — Łapię go za policzki i zgniatam je do środka. — Jakbyś mnie chciał, to byś sobie wziął.

Przysuwam się na szybkiego buziaka i wbijam rozbiegane spojrzenie w jego ciemne oczy. Mają piękny kolor.

— Wziąłem — bełkocze.

— W sumie racja — wzdycham, kręcąc głową. — Jesteś głupi.

— Prawdopodobne.

— Dlaczego nawet Troy się ciebie boi?

— Każdy się mnie boi.

— Gówna prawda! — Unoszę prowokująco brew. — Ja się ciebie nie boję.

— Za mało wiesz.

— To mnie oświeć.

— Nie, tak jak jest, jest dobrze i bezpiecznie. Nic więcej nie musisz o mnie wiedzieć.

— Kim jesteś?

— Kimś bardzo złośliwym.

Przewracam oczami na jego komentarz i robię krok w tył. Mam go dość. Zaplatam dłoń na

piersiach i mierzę go gniewnym wzrokiem, który najwyraźniej jedynie go bawi. Wkurza mnie to jeszcze bardziej! Ugh, co za debil.

— O co się złościysz? — Przechyliła głowę. — O to, że nie chcę wykorzystać twojego stanu do swoich zachcianek?

— Wkurzasz mnie cały — podsumowuję.

Łapię dół mojej sukienki i niezdarnie ją zdejmuję. Prężę się przy tym i klnę pod nosem, ale ostatecznie udaje mi się rozebrać. Wyrzucam sukienkę za kabinę i wbijam wzrok prosto w jego czarne tęczęwki. Jest spięty jak cholera. Jego ciężący wzrok bada każdy milimetr mojego ciała od stóp aż po głowę i szalenie mnie tym podnieca. Mam ochotę się na niego rzucić! To popierdolone.

— Przekonałem się, że poza tym, że jesteś niebywale słodka, bywasz zadziorna, ale żeby też bezwstydną?

— Całuj mnie w tyłek — pryham.

Przechodzę obok niego i włączam wodę, która okazuje się lodowato zimna. Piszczę przez głównianą temperaturę i podskakuję w miejscu, ale wcale mi to nie pomaga. Temperatura zmienia się boleśnie wolno! Nienawidzę zimnej wody, jest wredną suką.

— Z chęcią wycałuję każdy milimetr twojego ciała — szepcze mi do ucha Vincent. — Wystarczy, że poprosisz na trzeźwo.

Stoi tuż za mną, ale nie dotyka mnie. Nie mamy nawet najmniejszego kontaktu fizycznego i wkurwia mnie fakt, że mnie to frustruje! Pieprzona potrzeba bliskości.

— Na trzeźwo to możesz pocałować mnie w rękę — pryham.

Odwracam się do niego pełna napięcia i determinacji i... cholera. Decyduję się na swoje osobiste być albo nie być. Moja bezczelna dłoń bez konsultacji z mózgiem zaciska się na jego sztywnym przyrodzeniu i nie mogę tego cofnąć. Nie mogę anulować, bo trzymam go w dłoni! Takiego dużego, ciepłego i podnieconego. Cholera jasna. Nie poznaję samej siebie. I nie mam odwagi spojrzeć w dół. Patrzę na jego twarz. Na zaciśniętą szczękę i pulsującą na szyi żyłę. Na to, jak się spina. Jak się wkurwia, bo go nie słucham. Jestem tak bezmyślna, że sama mam siebie dość.

— Pocałuj mnie — szepczę. — Po prostu pocałuj i przestań się wkurwiać.

— Mam bardzo wygórowane potrzeby, a ty wydajesz się nad wyraz delikatna — warczy i pochyla się do mnie. — Skoro chcesz się bawić bez zasad, to powiedz. Pokażę ci wszystko, czego boją się ludzie, którzy mnie znają. Na twoje własne życzenie, Emerald.

Uśmiecham się. Tak szczerze i bezwarunkowo. Chce mnie przestraszyć, ale niestety nie może. Nie boję się ani odrobiny. Wręcz czuję się pewniej. Hamuje się przy mnie, bo uważa, że jestem delikatna i krucha? Cóż. Nie jestem.

Unoszę się minimalnie na palcach i ignorując jego ostrzeżenia, całuję go w usta. A raczej wpijam się w nie tak mocno, jak tylko potrafię, i od razu wpraszam się w głąb z językiem. Nie jest przekonany, ale ostatecznie po prostu się poddaje. Oddaje mi pocałunek z większym rozmachem i momentalnie dominuje moje ruchy. Jest tak zachłanny i mocny, że muszę się przytrzymać, by nie upaść. Obejmuję go wolną ręką i mocno wbijam paznokcie w skórę na jego plecach. Syczy, ale nie odpycha mnie. Jest w amoku i nie zwraca na nic uwagi. Dopiero moja druga dłoń chłodzi jego zapęd. Zwalnia pocałunek w chwili, gdy przesuwam ręką po całej długości jego członka. Jego penis jest gorący i gruby, a ja potrzebuję zrobić Vincentowi dobrze. Nie mam pojęcia dlaczego, ale muszę, więc przyspieszam.

— Emerald — mruczy ostrzegawczo i gryzie moją wargę. — Stąpasz po niewiarygodnie cienkim lodzie.

— Vincent — przedrzeźniam go i przyspieszam ruchy ręką. — Nie obchodzi mnie to.

— Jesteś...

— Zamknij się — warczę. — Teraz to ja będę groźna.

— Doprawdy?

— Chcesz się przekonać?

— Pieprzony ideał.

Łapie moją szyję w palce i ściska, a potem znów łączy nasze usta. Całuje mnie mocno, ale powoli, czym doprowadza mnie do szaleństwa. Przyspieszam pracę ręką i usilnie staram się odpowiadać na ruchy

jego języka, ale nie umiem. Manewruje tak umiejętnie, że nie mogę się połąpać. Mogę jedynie próbować nadażyć. Nic więcej, bo jest w tej zabawie o wiele lepszy niż ja.

Po krótkiej chwili, w której moja ręka co rusz zmienia siłę nacisku oraz prędkość, Vincent gwałtownie zastyga. Jego ciało napina się w dziwny, zabójczo seksowny sposób, a uścisk na szyi odcina mi dostęp powietrza. Jęczę, a on kończy swoją walkę o orgazm i dochodzi. Jego nasienie rozlewa się obficie po moim brzuchu, a dźwięki, które opuszczają jego usta, doprowadzają mnie do skrajności. Jestem zahipnotyzowana.

— Przesądziłaś swoją przyszłość — mówi niskim, szalenie seksownym głosem i odsuwa się.

— Co masz na myśli?

Puszczam jego zmęczoną męskość i kładę obie dłonie na dole jego brzucha. Subtelnie głaszczę jego skórę, patrząc prosto w jego ogromne, iskrzące się oczy. Wygląda niesamowicie w takiej mokrej, spełnionej wersji. Jestem oczarowana.

— Mam na myśli całe mnóstwo rzeczy, które ci zrobię w najbliższej przyszłości. I nigdy... — szepcze, łapiąc mnie mocno za pośladki, a następnie gwałtownie unosząc w górę, przez co muszę opleść go nogami w pasie — ...nigdy nie pozwolę ci zniknąć z mojego życia. Jesteś już moja! — Odwraca nas i mocno dociska mnie do marmurowej ściany. — Tylko moja, Emerald.

Napiera na mnie całym ciałem i boleśnie ściska moje pośladki. Cóż, jego przyrodzenie znajduje się w niekomfortowym dla mnie miejscu. Mianowicie każdy jego ruch będzie doprowadzał mnie do szału. Cholera, tego nie przemyślałam.

— Co? — kpi. — Jakiś problem, tygrysy? Już nie jesteś taka waleczna?

— Ja? Ja zawsze jestem waleczna.

— Więc dlaczego drżysz?

— Bo twój kutas dotyka mojej łechtaczki.

— Kurwa, w twoich ustach zabrzmiało to za dobrze. Jesteś niemożliwa, Emerald.

Pochyla się do mojej twarzy i leniwie łączy nasze usta. Pocałunek jest spokojny i wyważony, taki sam jak ruch jego bioder, przez który robię się mokra. Porusza się pomiędzy moimi wargami, po nabrzmiałej z podniecenia łechtaczce i całuje tak zachłannie, że nie umiem powstrzymać bezwstydnich jęków. Moje palce błędzą pomiędzy mokrymi pasmami jego włosów, sutki ocierają się o jego twarde tors... Chyba się topię. Boże jedyny, na pewno się topię! Nigdy bym nie pomyślała, że będzie mi tak przyjemnie... z kimś, kto mnie porwał.

— Nie powstrzymuj się — warczy i odrywa się ode mnie.

Przyspiesza ruch biodrami i napiera odrobinę mocniej, przez co odchyłam głowę. Moje nogi zaczynają drżeć przez to cholerne tarcie i nie mogę. Nie mogę połknąć dźwięków przyjemności, które wypływają z moich ust, gdy on tak miarowo mnie pieści. Nie potrafię! A gdy wgryza się w czuły punkt na mojej szyi, odlatuję. Moja łechtaczka pulsuje, a ja drzę z przyjemności, która wypełnia każdą cząstkę mojego ciała. Jestem w pieprzonym, kilkusekundowym niebie.

— Emerald — odzywa się po chwili Vincent.

Nawet nie zarejestrowałam, kiedy się odsunął i przestał napastować moją szyję.

— Hm?

— Rozciąłaś mi skórę na barku — parska śmiechem.

Sztywnieję. Wracam na ziemię, delikatnie odsuwam palce od jego ciała i unoszę w obronnym geście. Vincent patrzy na mnie błyszczącymi oczami, gryząc wargę. Wygląda na... szczęśliwego?

— Przepraszam.

— Zrobiłem ci siniaka na szyi, jesteśmy kwita. — Unosi brew. — Jak się czujesz?

— Dobrze. A ty?

— Wyśmienicie. — Uśmiecha się. — Jesteś zmęczona?

— Mhm.

— Więc umyj się, a ja zaczekam na ciebie w pokoju.

Stawia mnie na nogi i chce się odwrócić, by odejść, ale łapię go za rękę. Jego oczy są lekko nieobecne, ale nie zniechęca mnie to. Ujmuję w dłonie jego szyję i przyciągam na ostatni pocałunek, który momentalnie mi oddaje. Jest gorący i bije od niego coś kurewsko niebezpiecznego i tajemniczego.

Ma wargi najlepsze spośród wszystkich, jakie dotąd całowałam.

— Muszę ci częściej dawać alkohol, Emerald.

— Nie. — Chichoczę. — Każdy po alkoholu jest łatwy, lepiej poderwij mnie na trzeźwo.

— Nie będę cię podrywał, małeńka. Jesteś moja.

— Nieprawda! — Przewracam oczami.

— Wierz, w co chcesz, Emerald. Ja wiem swoje.

Otrzymuję ostatni pocałunek, tyle że w nos, i zostaję sama.

Co ja najlepszego zrobiłam? Rany, wymieniłam się orgazmem z moim cholernym porywaczem!

Rozdział 10

Budzi mnie krzyk. Krzyk, który wydobywa się z męskich ust, ale nie mam pojęcia, kim może być ta osoba. Nie znam tej barwy głosu i z niczym mi się nie kojarzy. Lekko bawi mnie fakt, że za każdym razem budzę się przez dźwięki spowodowane czymś za moimi drzwiami. To trochę popieprzone. Podnoszę się leniwie do siadu i zamieram. Tępy ból, który uderza w moją głowę, jest nie do wytrzymania. Krzywię się i naciskam na skronie, ale nic to nie daje. Czuję się potwornie i jedyne, co pamiętam, to... Vincent. I wieczór. I prysznic. Och, kurwa. Uprawiałam pieprzony petting z gościem, który mnie porwał. Zajebiście. Zaje-kurwa-biście po prostu.

— Idź do niej i niech nie waży się wyjść z pokoju — krzyczy Vincent.

Jakiś szklany przedmiot łąduje na ścianie lub podłodze i drzwi do sypialni otwierają się z hukiem. Staje w nich Troy z fałszywym uśmiechem i szklanką wody w dłoni. Zatrząskuje drzwi nogą i podchodzi do mnie spokojnym krokiem.

— Dzień dobry — mówi łagodnie.

Jest jakiś dziwny. Jakby przygaszony? Nie mam pojęcia.

— Cześć, co się dzieje?

— Mam dla ciebie wodę i tabletkę — oznajmia, ignorując moje pytanie. — Przełknij.

Odbieram proszek i szklankę wody, która jest zimna. Przełykam tabletkę i obficie pijam płynem, który ma lekko słodkawy posmak. Nie wnikam w to jednak. Jestem obolała i ciekawi mnie, na co Vincent jest tak wkurwiony. Jego głos brzmiał bardziej niż przerażająco.

— Co się rozbiło?

— Telefon. — Uśmiecha się kpiąco. — Jak się czujesz?

— Jakby mnie ktoś wypluł — pryham.

Kac fizyczny i moralny to coś, czego bardzo nie lubię. Aczkolwiek ten moralniak nie jest tak mocny, jak powinien, bo... Bo nie żałuję tego, co się stało. Ani odrobinę nie żałuję, co lekko mnie przeraża. Jestem jakaś pierdolnięta!

— Co cię tak męczy?

— Dlaczego ja się nie boję? — Padam na materac. — Dlaczego się was nie boję i nie próbuję uciec? To jest popierdolone! Jestem porwana.

— Oj tam porwana — parska. — Vincent po prostu zmusił cię do towarzyszenia mu w nieszablonowy sposób. Nie zrobiliśmy ci nic złego, po prostu lekko zmieniliśmy twoje miejsce zamieszkania.

— Dlaczego mnie porwał? Przecież ja nie jestem pożyteczna, tylko ciasta piekę. — Przewracam oczami. — No dobra, umiem bardzo dużo rzeczy, ale nie wydaje mi się, by Vincent pragnął takiej pomocy, jaką mogłabym mu zaoferować. To duży facet z czarnym charakterem. Po co mu jestem potrzebna?

— Rozładowujesz atmosferę. — Śmieje się. — Jesteś zabawna i miło się na ciebie patrzy. Czasem to wystarczy.

— Jest wiele osób, które mogą ci rozładować atmosferę, kolego. I... miło się patrzy? W jakim sensie? Jak robię z siebie kretynkę?

— W sensie, że jesteś bardzo urodziwą kobietą.

— Ciekawe, w którym miejscu. — Przewracam oczami. — Nie rozumiem was.

— Nie musisz rozumieć. Ważne, żebyś była bezpieczna i zadowolona. Wtedy Vincent nie będzie się pienił.

Krzywię się. Jak to pienił? O co mu chodzi?

— Masz jakieś rytuały na kaca? Jesz coś albo pijesz, żeby mniej bolało? Mogę ci przynieść, co chcesz.

— Dlaczego tak wokół mnie skaczecie? — Krzywię się. — Umieć sobie zrobić jedzenie i picie, a wy ciągle mnie wyręczacie. Nie jestem niepełnosprawna, Troy, o co wam chodzi?

— O nic, po prostu chcemy... być mili.

— Tak, tak — pryham. — Chcecie uśpić moją czujność i po prostu mnie zbajerować!

Zachowuję się jak kretynka. Powinnam stąd uciec i donieść na was policji.

— Vincenta nie da się wydać policji. — Parska śmiechem. — Vincent jest ponad każdym organem władzy.

— Pieprzony król.

— Trochę tak. Nie chcesz nic w takim razie?

— Chcę wiedzieć, kim on jest.

— Jest gościem z szeroką gamą talentów i specjalności.

— Czubem — pryham.

— To też. Więc niczego nie chcesz?

— Powiedziałałam już, co chcę, nie słuchasz mnie.

— Nie mogę odpowiedzieć, zmień zachciankę.

— Chcę herbatę z miodem. — Poddaję się. — I owsiankę z orzechami, to mi potrzebne na kaca.

— Jasne. — Podnosi się z miejsca. — Nie wychodź z pokoju, Vincent ma zły humor.

— Oj, to chyba wyjdę. — Prostuję się z bezczelnym uśmiechem.

— Poważnie, nie idź. Bo zamknę cię na klucz.

— Pfff. Więc niech on przyjdzie. Chcę z nim porozmawiać.

— Przyjdzie do ciebie, jak ochłonie. — Troy odwraca się. — Zajmij się sobą i odpocznij. Dużo wypiałś i jesteś blada.

Po tych słowach wychodzi z pokoju i okazując mi bezwzględny brak zaufania, przekręca klucz w drzwiach. Miło. Chociaż ciekawsze jest to, skąd w hotelowym apartamencie klucz do sypialni? Zwłaszcza w dwuosobowym z jednym łóżkiem! To pojebane!

Wychodzę z pościeli i leniwie kieruję się do szafy, w której leży moja torba. Wyciągam z niej spodnie i decyduję się na koronkowy bralet zamiast stanika. Wygląda uroczo i akurat pasuje do majtek, które wcześniej wybrałam. Po skompletowaniu garderoby idę do łazienki, szybko załatwiam swoje potrzeby oraz biorę zimny prysznic i szczotkuję zęby. Ubieram się i opuszczam pomieszczenie. Kieruję się do łóżka, by jeszcze poleżeć, jednak nie docieram tam. Dźwięki zza drzwi są zbyt kuszące, by nie podsłuchać!

— Uspokój się — mówi poważnie Stanley. — W takich nerwach zrobisz jej krzywdę, a obaj wiemy, że bardzo tego nie chcesz. To stare sprawy, nie możesz wybuchnąć z powodu czegoś, co się zdarzyło w przeszłości.

— Powtarzasz się i wcale mnie tym nie przekonujesz. — Vincent warczy ostrzegawczym, pełnym jadu tonem. — Wymyśl lepszą argumentację, bo go, po prostu, kurwa, zastrzelę!

— Vincent, do cholery, popadasz w pierdolony obłąd, co się z tobą dzieje?

— Uzależniam się — krzyczy. — Po prostu się uzależniam!

— Dobrze wiesz, że to dla ciebie nowe, musisz się z tym pogodzić albo ten jeden raz po prostu odpuść. Będą same kłopoty, to było oczywiste. Nie wiń nikogo poza sobą — prycha Stanley. — Nikt ci nie kazał skakać na głęboką wodę. Ba, nikt nie sądził, że znajdzie się coś, co wywoła w tobie chęć na jakikolwiek skok. Jesteś tylko człowiekiem.

— Nie jestem człowiekiem.

— Tak, a to, co się z tobą dzieje od kilku dni, to co? Wzbudza w tobie ludzkie odruchy, nie przeskoczysz tego, jest już za późno na pierdolenie o tym, jaki byłeś. Tamtego już nie ma, liczy się dzisiaj i jutro. Nie wczoraj.

— Ta rozmowa ani odrobinę mnie nie satysfakcjonuje — podsumowuje Vincent. — Wychodzę i nie wiem, kiedy wrócę. Mam interes na mieście, opiekuj się nią. Jeśli będzie czegoś potrzebować, to jej daj. Jeśli zniknie, to cię zabiję.

— Zdaję sobie z tego sprawę — wzdycha Stanley. — Ale co mam z nią robić? Nie jestem niańką, do cholery.

— A ona nie jest dzieckiem. Jedź z nią na zakupy, niech sobie coś kupi.

— A dlaczego ty nie możesz jechać?

— Bo mnie rozpierdoli, jak będę z nią za długo — warczy. — Idę.

— Stary! — włącza się Troy. — Nie lepiej spróbować? Przecież jest...

— Wychodzę! — krzyczy.

Matko. Chcę siedzieć z Vincentem czy z Troyem i Stanleyem? Sama nie wiem, ale... Dobra, pieprzyć. Odchodzę cztery kroki od drzwi i przybieram najbardziej przerażoną minę, na jaką mnie stać. Nabieram powietrze w płuca i krzyczę na cały głos, łapiąc się za ramiona. Nie mija sekunda, a klamka w moim pokoju zostaje brutalnie zaatakowana. Vincent klnie siarczysto i... cóż. Wyważa te pieprzone drzwi i wpada do pokoju z pistoletem w dłoni. Zamieram. Kurwa, kurwa, kurwa!

— Co się dzieje?! — warczy.

A ja nie mogę odpowiedzieć, bo celuje we mnie z krótkiej broni. W ogóle ma tę pieprzoną broń. Ja pierdolę, cała się trzęsę! I chyba bym się posikała, gdyby nie fakt, że przed momentem to robiłam w łazience.

— Co się, do chuja, stało?! — Vincent podnosi głos i opuszcza broń. — Emerald, dlaczego krzyczysz?

Podchodzi do mnie na odległość kroku i marszczy czoło, gdy zauważa, jak bardzo jestem przerażona. Serce bije mi tak szybko, że całkiem prawdopodobne, iż widzi je przez mój pieprzony bralet. Cholera.

— Oddychaj — szepcze i delikatnie ujmuje mój policzek w swoją ciepłą dłoń.

Kręcę głową z niedowierzaniem i wypuszczam wstrzymywane o wiele za długo powietrze. Moje ciało odpuszcza paraliż, ale w dalszym ciągu nie jestem w stanie się odezwać. On ma przy sobie broń? Kurwa, jest bardziej niebezpieczny, niż mogłabym sobie wyobrazić?! Ja pierdolę, po prostu!

— Co się stało?

— Masz broń — piszczę. — Kurwa, masz przy sobie broń!

— Dla bezpieczeństwa. — Krzywi się, jakby moje słowa były najgłupszą rzeczą, jaką w życiu usłyszał. — Dlaczego krzyczałaś?

— Zastrzelisz mnie? — szepczę i zaciskam powieki.

Cała drzę i nie mogę opanować emocji. Nie chcę ginąć od kuli, ja pierdolę, w ogóle nie chcę jeszcze umierać! Jestem za młoda i za mało w życiu widziałam, żeby już mnie zabito! Kurwa, chyba mi słabo.

— Co? — prychna i łapie mnie za ramiona. — Zgłupiałaś? Dlaczego miałbym cię zastrzelić? Myślałem, że ktoś tu jest. Oddychaj, Emerald.

— Chyba właśnie dociera do mnie fakt, że jesteś popierdolony. — Kręcę głową.

— Nie mówiłem, że jestem normalny, to po pierwsze — wzdycha. — Po drugie, nie przeklinaj. A po trzecie, powiedz, do cholery, dlaczego musiałem wyważyć drzwi przez twój krzyk.

— Zobaczyłam pająka — buczę, wymyślając idiotyczną wymówkę. — Głupiego pająka, a ty zareagowałaś, jakby nie wiadomo co się stało! To znaczy tylko tyle, że prowadzisz jakieś szemrane interesy. Masz wrogów? Jesteś jakimś pieprzonym gangsterem? Po co mnie, do cholery, porwałaś?!

Odpycham go od siebie, robię pięć kroków do tyłu i opieram się o ścianę obok okna balkonowego. Moje ciało jest niepewne swojej siły i wiem, że za chwilę mogę zemdleć. Boję się. Tak, naprawdę się boję i zaczynam żałować tego, do czego między nami doszło. Jestem pieprzoną wariatką!

— Uspokój się — wzdycha. — Nic się nie stało.

— Celowałaś do mnie! — krzyczę.

— Bo myślałem, że coś ci grozi! Nie miałem zamiaru celować w ciebie i nie miałem zamiaru strzelać, ja pierdolę. Nic się nie stało.

— Dla ciebie, kurwa, nic się nie stało, kretynie!

— Nie przeklinaj!

— Idź stąd! Chcę zostać sama.

— Nie. Jak cię teraz zostawię, to sobie uroisz w głowie jakieś gówno i zaczniesz się mnie bać. Zakładaj coś na siebie i wychodzimy. Zabiorę cię na miasto — postanawia. — Masz dziesięć minut.

— Nie chcę z tobą nigdzie iść.

— Gówno mnie to obchodzi, księżniczko — prychna. — Dziesięć.

Wychodzi z pokoju, zostawiając mnie samą z tymi cholernymi, wyważonymi drzwiami i, kurwa, co? Co ja mam zrobić? Iść i uciec? Przecież mnie zabije! Teraz nawet spróbować uciec będę się bała.

Pierdolony gangster od siedmiu boleści! Nienawidzę go.

— Chodź, Cukierku, Troy załatwił jedzenie — oznajmia cicho Stanley.

Pojawia się w przejściu ze wzrokiem utkwionym w leżących na podłodze drzwiach i uśmiecha się pod nosem. Co go tak, kurwa, bawi?

— Wyrzynam wszystko z nerwów — warczę.

— Celuj w Vincenta. — Parska śmiechem. — Chodź, jesteś bezpieczna.

Wchodzi w głąb pomieszczenia i wystawia w moim kierunku dłoń. Moje zaufanie do niego, jak i do reszty, wyparowało. Mają broń i celują do siebie ot tak? Dla zabawy?! No to podziękuję za takie rarytasy! Wolę trzecią marchewkę do ciasta. Zdecydowanie bardziej mi się to, kurwa, podoba!

— Dziesięć minut u Vincenta to dziesięć minut, chodź i zjedz tę białą breję.

Wystawiam mu środkowy palec i ostatecznie kieruję się do wyjścia. Przemierzam salon, ignorując wzrok mojego koszmarnego oprawcy i Troya, i docieram do stołu, na którym stoi moja herbata i pięknie ozdobiona owsianka. Zabieram się w pierwszej kolejności za herbatę, bo na samą myśl o przelitykaniu czegokolwiek robi mi się słabo. Boję się być w jego towarzystwie!

— Dobre to? — pyta szatyn i siada obok mnie.

Nabieram pełną łyżkę brei i bez ostrzeżenia pakuję mu w usta. Zaskakuję go tym, ale na szczęście nie wypływa na mnie owsianki. I dobrze, bo chyba bym go uderzyła.

— Dobre — komentuje i wybucha śmiechem.

— Troy — warczy Vincent.

Zajebicie. Wręcz cudownie, że szatyn wstaje i posłusznie, bez jebanego słowa, odchodzi. Jego miejsce zajmuje ten psychol i wbija we mnie to swoje głębokie spojrzenie. Pragnę go kopnąć, ale nie mogę. Boję się, że mnie zastrzeli. Kurwa mać.

— Dziesięć minut minęło — oznajmia.

Jego głos jest niebywale szorstki.

— Super — prychem i kontynuuję jedzenie. — Tak jak ciebie moje zdanie, tak mnie to, czego chcesz, również gównie obchodzi. Idź sobie.

— To kac spotęgował w tobie tyle złości czy może jednak masz mi za złe to, co się stało w nocy? A może ten jebany pistolet? Przystań się ode mnie odsuwać, wkurwia mnie to.

— To, co było w nocy, zostaw nocy — warczę. — Było, minęło. Wytrzeźwiałam i zapomniałam.

— Doprawdy? Więc to dla ciebie normalne?

— Jeśli chcesz mnie sprowokować do kłótni, to sobie daruj. Nie będę się z tobą sprzeczać, nie planuję umrzeć od kulki w głowę. To najmniej satysfakcjonująca mnie śmierć.

— Nie bawi mnie to — prycha.

— A mnie oczywiście! Szalenie mnie to, kurwa, bawi.

— Przystań mnie wkurwiać, Emerald. Nie mam humoru.

Odkładam łyżkę na stół i zwracam się do niego całą sobą. Patrzę mu gniewnie w oczy i zaciskam pięści. Mam ochotę go spoliczkować. Tak bardzo chcę to zrobić, że nawet nie ma pojęcia! Pieprzony skurwiel.

— Zauważyłam, że humor masz tylko wtedy, gdy jesteś nietrzeźwy.

— Mam humor, gdy ty go masz. — Unosi brew. — Jesteś wkurwiona, więc ja również jestem wkurwiony.

— Tak, wspaniale. A masz może ochotę dać sobie samemu w twarz? Bo mnie aż rozpiera, żeby cię uderzyć! Jesteś psycholem, Vincent. I jesteś kurewsko pogmatwanym facetem.

— Przyzwyczajasz się do tego. — Wzrusza lekceważąco ramionami. — Idziemy?

— Pytasz mnie? Co się stało? Jesteś chory?

Unoszę dłoń do jego twarzy i przykładam do czoła. Ma normalną temperaturę. A kontakt z jego skórą przyprawia mnie o dreszcze. Cholerny facet.

— Nie bój się mnie — mówi spokojnym głosem. — Nie zrobię niczego, czego nie będziesz chciała. I nigdy cię nie skrzywdzę.

— Kim jesteś?

— Nie powiem ci, dopóki nie będę miał stuprocentowej pewności, że mi ufasz.

— Jesteś popieprzony — podsumowuję.

Przesuwam dłoń z jego czoła na policzek, a stamtąd na szyję. Lubię sposób, w jaki jego skóra oddziałuje na moją. Jest magnetyzujący, ale, do cholery, jak ja mam się w tym wszystkim połączyć? I zaufać mu? Co, do chuja, to w ogóle znaczy w jego ustach?

— Dlaczego mnie porwałś? — pytam już nie wiem który raz.

Ta kwestia tak cholernie mnie nurtuje, że nie mogę! Potrzebuję znać odpowiedź. Potrzebuję jej jak pieprzonego powietrza. Wtedy będzie mi łatwiej określić swoje nastawienie do niego. Noże kurwa!

— Bo chciałem.

— To nie jest odpowiedź!

Zaplatam ramiona na piersiach i mrużę oczy. Mierzymy się spojrzeniami przez chwilę, która wydaje się trwać wieczność, i tworzymy między sobą jakąś dziwną więź. Nie mam pojęcia, jak to określić, ale coś się zmienia. Coś, co zapewne jest bardzo istotne.

— Chciałem, żebyś była blisko mnie — szepcze.

Jego głos jest tak cichy, że odnoszę wrażenie, iż mi się to uroiło. Nie chcę go zmuszać do powtórzenia tych kilku słów, ale tak mocno pragnę, żeby rozwinął swoją odpowiedź.

— Dlaczego?

— Zadajesz za dużo pytań.

Kącik jego ust drga, ale nie poddaje się. Nie raczy mnie uśmiechem, nie tym razem.

— To może ty mi jakieś zadaj? Odpowiemy sobie nawzajem.

— Żałujesz? — Pochyliła się do mnie, z wzrokiem utkwionym w moich ustach. — Żałujesz swojej śmiałości z nocy? Dotyku i pocałunków?

Przygryzam wargę. Tego się nie spodziewałam. Cholera. Jasne, że nie żałuję. Ale czy on powinien o tym wiedzieć?

— Przestań przygryzać wargę.

Jego rzęsy spoczywają na policzkach, a ja... Kurwa, nie wiem. Nie wiem, co robię i dlaczego tak się dzieje. Nie wiem, co do niego czuję. Boję się go? Czy może jestem zaintrygowana? Nie wiem!

— Nie żałuję — mówię z przekonaniem. — Chciałam wszystkiego, co się stało, i nie, nie żałuję.

Uśmiecha się. Tak półgębkiem, ale pozwala sobie na ten grymas i zdobywa u mnie jeden punkt.

— Nie boisz się mnie? — mruczy i otwiera oczy.

Jego ciemne tęczówki niesamowicie błyszczą, co mnie hipnotyzuje. Jestem... głupia. Głupia, bo spoglądam na jego pełne wargi i nie mogę sobie odmówić spróbowania ich na trzeźwo. Jeden jedyny raz, ale muszę. Po prostu muszę! Pochyliłam się do niego z lekkim uśmiechem i nieśmiało łączę nasze usta. Nie poruszam się, a tylko łączę, by posmakować. Są słodkie i miękkie, takie same jak w nocy.

— Sama nie wiem, Vincent — szepczę przy jego cudownych wargach. — Jesteś popieprzony.

Uśmiecha się. Chwyta moją twarz w dłonie, a następnie oddaje i pogłębia pocałunek. Składa na moich wargach zachłanne, choć słodkie całusy i mruczy przy tym w zachęcający sposób. Nie rozumiem siebie i nie rozumiem jego. Nie rozumiem niczego. I na razie nie chcę rozumieć. Chcę tylko, by mnie nie zabił.

Rozdział 11

Celem naszej wycieczki okazuje się galeria handlowa, która jest wielkości lotniska. Mam dziewięćdziesiąt dziewięć procent szans na to, że się zgubię, gdy tylko skręcę w inną stronę niż Vincent.

— Na co masz ochotę? — pyta mnie, jak gdyby nigdy nic.

Idziemy ramię w ramię między sklepami, a ja nie mam pomysłu na to, czego mogłabym chcieć. Jestem na jego utrzymaniu, więc czego mogłabym pragnąć? Poza wolnością? I zachowaniem swojego marnego żywota?

— Nie wiem. Nie wiem nawet, po co tutaj przyjechaliśmy.

— Kupię ci wszystko, co chcesz — oznajmia. — Tylko musisz wiedzieć, co takiego ci się marzy, Emerald.

— Marzy mi się Denver i przytulanie się do babci, ale podejrzewam, że na to cię nie stać — wzdycham.

— Pojedziemy do Denver — mówi, wprawiając mnie w zdumienie. — Będiesz mogła iść do babci, jeśli mnie do tego czasu nie zdenerwujesz. A dzisiaj kupimy ci bieliznę — stwierdza z głupkowatym uśmieszkiem. — I wszystko przymierzysz, a ja będę oceniał.

— Chyba kpisz? — Parskam śmiechem.

— Nie, jestem śmiertelnie poważny.

Obejmuje mnie ramieniem i pełnym determinacji krokiem kieruje się do sklepu z bielizną. Idę posłusznie obok, by nie wzbudzać podejrzeń jako zakładnik, i parskam śmiechem na samą tę myśl. Jestem jego ofiarą i śmieję się pod jego pachą — to pieprzona abstrakcja.

— Cieszę się twoim entuzjazmem — kpi. — Wybierzemy stringi i prześwitujące staniki, z chęcią popatrzę na twoje ciało w takich skąpych namiastkach bielizny. Ewentualnie możemy kupić biżuterię.

— Nie będę się rozbierać — pryham. — Nie ma nawet takiej opcji, nie licz na to. Wczoraj byłam pijana, a dzisiaj jestem trzeźwa i niczego nie zobaczysz, głupku. To była chwila słabości i potrzebowałam się przytulić. A to, że poleciliśmy krok dalej, to już jest wyłącznie twoja wina, bo byłeś za słaby, żeby mnie powstrzymać. — Uśmiecham się pod nosem. — Jak się do tego ustosunkujesz, hm? Frajer z ciebie.

— Jesteś zabawna, Emerald. Szanuję i cenię twoje poczucie humoru, ale niestety to, do czego między nami doszło, było wyłącznie twoją winą.

Mierzy mnie zwycięskim wzrokiem, przez co zaczynam się irytować.

— Nieprawda!

Staję w miejscu i krzyżuję ręce na piersiach, żeby podkreślić swoją frustrację. Patrzę w jego ciemne oczy i upajam się jego widokiem. Fakt, że jest tak beznadziejnie przystojny, to okropne zrzędzenie losu. Gdyby był obleśny, pragnęłabym śmierci, a nie jego. To popieprzone.

— To ty weszłaś mi do łazienki — zauważa i mruży powieki.

— A ty wcale się nie sprzeciwiałaś.

— Jestem łasy na twój urok osobisty, wybacz.

Wzrusza ramionami i przechyla głowę w prawo.

— Co? Urok osobisty? To był alkohol, Vincent!

— To byłaś ty bez zahamowań. Uwiodłaś mnie pod prysznicem.

— To była chwila słabości!

Przewracam oczami. Vincent pochyla się do mojego ucha i łapie mnie za biodra, a następnie przyciska mnie do szklanej barierki. Jest gorący, a jego zapach paraliżuje moje biedne zmysły. Bezwiednie unoszę głowę, byle tylko wciągnąć więcej tej cudownej mieszanki perfum i jego skóry. Jest boska.

— Mam nadzieję na więcej takich chwil — mruczy. — Może następnym razem rozwiniesz temat klękania? Na samą myśl robi mi się gorąco.

— Jesteś okropny — wzdycham. — Jeśli to prowokacja, to wybrałaś złą drogę.

— Zdecydowanie to prowokacja. — Przygryza moje ucho.

Wciągam gwałtownie powietrze i przymykam powieki. To takie niewłaściwe: obściskiwać się w samym centrum galerii handlowej... i to z porywaczem!

— Jesteś tego pewny? Znajdujemy się w galerii.

Unoszę dłonie do jego torsu i na niego napieram. Chcę, żeby się odsunął, ale on ani drgnie! Dalej znęca się nad moim uchem i leniwie przesuwają usta na szyję. Całuje ją kilkakrotnie i dopiero po dłuższej chwili odsuwa się o krok. Jego oczy są czarne, bezdennie czarne, więc mam świadomość, że jest beznadziejnie podniecony.

— Jak już mówiłem, przy tobie nic nie ma sensu, Emerald.

— Dlaczego? Wcale nie jestem taka straszna! — bronię się i wybucham śmiechem.

Przez chwilę czuję się wolna i beztroska. Gdy Vincent znów na mnie spogląda, uśmiecham się szczerze i całą buzią.

— Lubię, jak się śmiejesz — oznajmia łagodnie i lekkim ruchem wsuwa mi włosy za ucho.

Ten ruch jest delikatny i czuły, przez co w moim brzuchu coś się kurczy. Nie chcę czuć tego głupiego trzepotania, ale jest silniejsze niż kiedykolwiek.

Pomocy!

— Ja też lubię się śmiać, to miłe i przyjemne — mówię. — Może pójdziemy na kawę?

— To randka? — Unosi kpiąco brwi.

— Nie. Nie chodzę na randki z psycholami. Ani ze swoimi oprawcami. To by było trochę chore.

— Więc jestem oprawcą? — wzdycha z udawanym żalem. — Czuję się zaatakowany.

To jego ostatnie słowo. Po nim łapie mnie za nadgarstek i ciągnie przed siebie. Idzie szybko i zdecydowanie, nie zwracając uwagi na to, że nie nadążam. Wredny! Zatrzymuje się przed kawiarnią i jako pseudogentleman puszcza mnie do środka pierwszą. Wchodzę i od razu się uśmiecham, bo zapach kawy mnie rozluźnia. Pomieszczenie jest urządzone w ciepłych odcieniach brązu, a na każdym z okrągłych stolików stoją wysokie świece. Klimat działa odprężająco, podoba mi się.

Kierujemy się do stolika przy przeszklonej ścianie, gdzie stoją dwa miękkie fotele z oparciem. Zajmuję miejsce naprzeciwko okna i zatapiam się w wygodnym siedzisku. Jest niezmiernie.

— Więc jestem oprawcą — powtarza Vincent, gdy przez chwilę milczę, rozglądając się po kawiarni z zaciekawieniem.

Spoglądam na jego rozluźnioną twarz i nie mogę wyjść z podziwu, jak szybko udało mi się zmienić jego nastrój po porannym wyskoku. Gdy patrzę na niego w tej chwili, takiego dostojnego i spokojnego, nigdy bym nie pomyślała, że mógłby celować do mnie z krótkiej broni.

Sztukę manipulacji musiał zapewne opanować do perfekcji.

— Jesteś moim porywaczem — przypominam mu lekkim tonem. — To to samo. Odebrałeś mi wolność, mój drogi.

— Tak, jednak nie zrobiłem ci nic złego — zauważa słusznie. — Same dobre rzeczy. — Szczerzy się prowokacyjnie i minimalnie pochyla ku mojej twarzy. — I wszystko stało się z twojej inicjatywy.

— Jedna chwila słabości, a ty wypominasz mi ją, jakbym cię co najmniej molestowała. — Parskam śmiechem. — Wypchaj się, Visser!

— Po nazwisku? Nieładnie, Emerald.

— Vincent Visser. Valeria Avada. Moje nazwisko zepsuło ciąg tych wspaniałych literek. — Wydymam wargę i wzruszam ramionami. — Dlaczego nie mówisz do mnie po imieniu?

— Kiedyś ci powiem, Emerald. Teraz wybierz sobie, co chcesz. — Kiwa głową, wskazując kartę.

Mam ochotę na coś lekkiego, bo niestety kac nie jest dla mnie łaskawy. Decyduję się na cappuccino. Odkładam kartę, Vince robi to samo, więc podchodzi do nas kelner.

— Dzień dobry — odzywa się. — Mogę przyjąć państwa zamówienie?

— Tak. — Uśmiecham się do niego. — Dla mnie będzie cappuccino.

— A dla mnie zwykła czarna kawa.

Krzywię się na złowrogi ton jego głosu.

— I ciasto czekoladowe — dodaję.

— To wszystko? — Pracownik uśmiecha się do mnie czarująco.

— Tak.

— Dziękuję.

Odchodzi, a Vincent wbija we mnie ciemny wzrok. Nie jest podniecony, a wkurwiony. Super.

— Co to za zmiana nastroju? — pytam. — Jesteś poirytowany.

Podobno w związkach najłatwiej rozwiązywać problemy i zapobiegać kłótni za pomocą szczerzej rozmowy. Może w relacji pomiędzy porywaczem a ofiarą również zadziała taki mechanizm?

— Nie, nie jestem — prycha. — Ciasto czekoladowe? Mówiłaś, że nie będziesz jadła nic słodkiego przez najbliższe kilka godzin. Z powodu kaca. Co się zmieniło?

— To dla ciebie, kochanie. — Uśmiecham się kpiąco. — Żeby osłodzić twoje złości.

— Nie jestem zły — warczy.

— Warczysz na mnie! Twój humor zepsuł się, gdy tylko przyszedł kelner. Dlaczego?

— Nie lubię kelnerów.

— Ponieważ?

— Ponieważ nie lubię. To moje ostatnie słowo — oznajmia.

Zatapia się w swoim fotelu w ten sam sposób co ja i wbija wzrok w coś za mną. Jest tak skupiony, że nawet nie mruga. To, że żyje, poznaję jedynie po ruchu jego szczęki. Zaciska się miarowo i zdradza, jak bardzo jest wkurwiony. Nie rozumiem go. Wydaje się zazdrosny, ale dlaczego w ogóle miałby taki być? Jestem jego zakładnikiem, nie jego dziewczyną! O co mu chodzi?

— Nie patrz tak na mnie.

— Nie mogę się napatrzeć, jesteś taki słodki — wzdycham kpiąco. Jeśli nie chce rozmawiać, zawsze mogę go chwilę podrażnić. — Mam ochotę cię polizać, żeby sprawdzić, czy w smaku jesteś taki, na jakiego wyglądasz.

— Nie jestem słodki i doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że ze mnie kpisz. Jestem wkurwiony. Nie draż tematu, bo powód mojego wkurwienia jest szalenie chujowy.

— A nie możesz wrócić do momentu, w którym byłeś rozbawiony? Taki podobałeś mi się najbardziej, wkurwiony wcale nie jesteś fajny.

— Niestety, mój humor zmienia się szybciej, niż mogłabyś sobie życzyć.

— Czyli sugerujesz, że masz rozdwojenie jaźni?

— Niczego nie sugeruję. — Uśmiecha się pod nosem. — Daj mi już spokój, koniec pytań.

— Ale ja chcę dalej z tobą rozmawiać.

— A o czym? O tym, czy zwrócę ci wolność? Nie, nie zwrócę. O tym, dlaczego jestem zły? Nie powiem. Coś jeszcze?

— To może: dlaczego w ogóle tutaj jesteśmy? — Uśmiecham się delikatnie.

Naprawdę chcę, by miał dobry humor. Gdy będzie zły, może się to odbić na mnie.

— Żeby napić się kawy i kupić ci coś, co poprawi twój humor.

— Mój humor jest dobry, nie potrzebuję go poprawiać, Vincent. — Przewracam oczami. — To ty nie masz humoru! I to przez kelnera.

— Nie, to przez ciebie — prycha. — Kelner właśnie wraca i szczyrzy się, jakby banan utknął mu w ustach.

— Jesteś czubem.

— A ty powinnaś tylko do mnie... — zatrzymuje się gwałtownie.

Jego wzrok staje się czarny i nieobecny, a ja, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co się właśnie z nim stało. Nie wnikać jednak, ponieważ kelner dociera do naszego stolika z kawami i kawałkiem ładnie wyglądającego ciasta czekoladowego.

— Życzę smacznego. — Uśmiecha się firmowo i mruga do mnie.

— Dzięki.

Odwzajemniam jego uśmiech i kieruję wzrok na swoje cappuccino. Na pianie jest uroczy wzorek przedstawiający serduszko, które szczerze mnie urzeka. Jest śliczne i chciałabym zrobić mu zdjęcie, ale nie mam telefonu. Frustruje mnie to.

— Co się stało? Nie podoba ci się ta jego marna próba podrywu? — prycha Vincent.

— Okej, strzelam: jesteś zwyczajnie zazdrosny. A odpowiadając na twoje pytanie: nie. Mam gdzieś jego zaloty, on nie jest w moim typie. Tylko mi przykro, bo mam na kawie ładne serduszko i nie mogę zrobić mu zdjęcia. A zawsze robiłam.

Wydymam wargę jak mała dziewczynka i spoglądam na Vincenta. Patrzy na mnie sceptycznie,

ale ku mojemu zaskoczeniu, po krótkim westchnięciu, prostuje się, wyciąga telefon i podaje mi go. Jestem zaskoczona jego... zaufaniem? Próbą poprawy mojego humoru? Nie wiem. Biorę jednak jego komórkę, wchodzę w funkcję aparatu i ze szczęśliwym uśmiechem ośmiolatki robię zdjęcie swojego napoju. Gdy jestem usatysfakcjonowana fotografią, oddaję telefon.

Podnoszę filiżankę do ust i upijam duży łyk. Smakuje wyśmienicie, mimo że napój jest trochę gorzki. Zupełnie jak Vincent. Ale nie przeszkadza mi to w nim, doceniam fakt, że mnie nie krzywdzi.

Odstawiam filiżankę, łapię za łyżeczkę i odkrawam kawałek słodkiego ciasta. Gdy mój język zderza się z boskim smakiem i fakturą niemal chmurki, mruczę pod nosem. Dawno nie jadłam tak wyśmienitego ciasta czekoladowego. Jest tak dobre, że decyduję się poprawić również humor Vincenta. Nabieram kolejną porcję na łyżeczkę i od razu kieruję ją w stronę mojego porywacza. Otwiera usta bez najkrótszej chwili zastanowienia, a ja karmię go z beztróskim uśmiechem. To w pewnym sensie intymny gest, ale przychodzi nam tak naturalnie, że nawet nie mam zamiaru się nad tym rozwozić.

— Świetne, prawda?

— Jest niezłe — przyznaje, oblizując wargę. Bezmyślnie wsuwam łyżeczkę między zęby i opieram brodę na dłoni. Vincent już nie jest zirytowany. — Ale jestem przekonany, że twoje byłoby lepsze — dodaje z uśmiechem.

Czuję się połączona tym komplementem, więc bez zastanowienia podnoszę się ze swojego miejsca i atakuję go krótkim buziakiem w usta. Jest tak zaskoczony, że zastyga w miejscu, gapiąc się na mnie z szokiem na twarzy. No cóż, jestem łasa na dobre ciasta i komplementy. A jak się to połączy, staje się wręcz łatwa!

Po kawie, w kompletnej ciszy, udajemy się do sklepu z obrzydliwie drogą biżuterią. Vincent jest zamknięty w sobie i w ogóle nie zwraca na mnie uwagi, a ja nie mam pojęcia, co zrobić, żeby znów był fajny. Albo raczej znośny. Cholera jasna z nim. Jest humorzasty bardziej niż ja.

Wysoka szatynka podchodzi do nas z nienaturalnie szerokim uśmiechem.

— Dzień dobry, w czym mogę państwu pomóc?

— Chcę zobaczyć całą biżuterię ze szmaragdami — oznajmia szorstko mój towarzysz.

Przewracam oczami na jego ton i gdy kobieta udaje się gdzieś w głąb sklepu, ja obracam się twarzą do Vincenta. Patrzę na niego uparcie, dopóki nie uraczy mnie swoim zamglonym spojrzeniem. Jest zamyślony i ewidentnie unika mojego wzroku. Czyżbym przesadziła z tym prostym, przyjacielskim i przede wszystkim nieszkodliwym pocałunkiem?

— Co? — Krzywi się.

To jedyna reakcja, na jaką go stać, więc decyduję się zrobić coś, czego nie powinnam, ale chcę, bo jest miłe. Obejmuję go w pasie i przytulam się, przyciskając policzek do jego torsu. Czuję, jak mocno i szybko bije jego mroczne serce, i przygryzam wargę. Lubię to, jak twarde jest jego ciało.

— Co ty robisz? — pyta zaskoczony.

Niepewnie obejmuję moje ramiona i bardzo powoli rozluźnia spięte mięśnie. Czuję się dobrze w jego nieznacznym uścisku. Jest ciepły i cudownie pachnie.

— Przytulam się.

— To wiem. — Parska krótkim śmiechem. — Pytanie: po co?

— Miałam ochotę. Powiedziałeś, że tylko do ciebie mogę, więc nie narzekaj.

— Nie narzekam, po prostu zapytałam.

— Nie pytaj, to odruch porwanej kobiety. Nie słyszałeś o tym?

— Słyszałam tylko o syndromie sztokholmskim i atakach paniki.

— To tego drugiego jeszcze nie miałam — wzdycham.

— A pierwsze?

— No chyba tak — stwierdzam i odsuwam się, by spojrzeć na jego twarz. — Przecież ani nie uciekam, ani się ciebie nie boję. W sumie to nawet z własnej woli się do ciebie zbliżam. — Marszczę nos. — Jestem psychicznie chora?

— Nie. — Uśmiecha się nieznacznie. — Nie jesteś. Jesteś zagubiona, ale dzięki temu się nie

boisz, więc nie pomogę ci się odnaleźć.

— Super. Dobrze, że mogę na ciebie liczyć.

— Zawsze i wszędzie.

Przewracam oczami i odsuwam się na dobre. Zwracam się przodem do lady i spokojnie czekam, aż kobieta przyniesie te swoje cudenka. Zajmuje jej to tyle czasu, że Vincent sam zaczyna się rozglądać po sklepie. Jest zniecierpliwiony i wygląda przy tym niesamowicie zabawnie. Śmieję się z niego pod nosem. Chciałabym zrozumieć samą siebie w relacji z nim, ale nawet nie mam pomysłu na stwierdzenie, co ja takiego wyprawiam. No bo przecież nie zachowuję się normalnie! Zostałam porwana przez faceta, którego trzy razy przed akcją widziałam na oczy. Obudziłam się w obcym łóżku i już pierwszego dnia miałam z nim za bliski kontakt! A po kilku dniach w ogóle poleciałam po bandzie. Nawet nie chcę o tym myśleć. Albo jestem zdesperowana, albo on jest zbyt pociągający jak na porywacza! W sumie niegrzeczni chłopcy są podobno najlepsi. Tyle, że nie jestem przekonana, czy warto się zbliżać do takiego psychola, jakim jest Vincent.

— O czym tak intensywnie myślisz? — pyta obiekt moich frustracji zaraz przy moim uchu.

Jego oddech odbija się od mojej skóry i powoduje przyjemne dreszcze. Tak, zdecydowanie jestem popieprzona.

— Myślę o tobie — przyznaję szczerze. — A co?

— Wyglądasz nad wyraz seksownie — mruczy. — To były jakieś sprośne myśli? Jeśli tak, byłbym szczęśliwy, gdybyś się nimi podzieliła.

Lekko przygryza skórę na moim policzku i zaraz składa w tym miejscu mokry pocałunek. A potem jeszcze jeden na szczęce. No i w zasadzie kończy swój słodki maraton na mojej szyi.

— Możesz pomarzyć — pryham. — Idzie twoja biżuteria, intrygancie. — Uśmiecham się pod nosem. — Kupmy sobie takie same kolczyki! Albo przebijmy ci sutki i będziemy razem nosić w nich szmaragdy.

— Może jednak jesteś psychicznie chora? — wzdycha, odsuwając się ode mnie. — Kupię ci naszyjnik, wybierz sobie, który ci się podoba.

Przewracam oczami na jego polecenie i spoglądam na biżuterię, którą przyniosła kobieta. Chcę się skupić na wyglądzie i tym, jakie to jest piękne, ale nie mogę. Ceny, które widzę, przekraczają moje najśmielsze oczekiwania. Za jedną z prezentowanych przez kobietę par kolczyków mogłabym kupić samochód.

— Może jednak kupimy bieliznę? — proponuję, krzywiąc się.

— Nie podobają się pani nasze wyroby? — pyta z zaskoczeniem ekspedientka. — Łańcuszki są wykonane z osiemnastokaratowego białego złota, diamentów oraz najlepszych szmaragdów. Nie dostanie pani takiej biżuterii w najbliższej okolicy! — ekscytuje się.

— Są piękne — komentuję z przekąsem. — Jednak nie sądzę, bym była odpowiednią osobą do noszenia tak drogiej biżuterii. Jestem nieziemsko niezdarna i mogłabym ją zgubić.

— Cena nie gra roli — prycha Vincent. — Bieliznę również kupimy. Wybierz sobie ten, który ci się podoba.

— Wszystkie mi się podobają.

— Więc wezmę wszystkie — postanawia, na co parskam śmiechem. — Niech je pani zapakuje.

No dobrze, po tych słowach oddech grzęźnie mi w gardle. Odwracam się do niego z przerażeniem i wytrzeszczam oczy, gdy widzę na jego twarzy tę samą powagę, która pobrzmiewa w jego głosie.

— Chyba zwariowałaś, kolego!

— Nie jestem twoim kolegą. I nie, nie zwariowałem. Jeśli podobają ci się wszystkie, kupię ci wszystkie.

— Każdej kobiecie podoba się droga biżuteria, czubku. Przecież równowartość tego przekroczyłaby cenę mojego mieszkania w Denver. Lecz się, nie chcę, żebyś mi to kupował.

— To wybierz jeden.

— Ale po co? Przecież nie musisz mi niczego kupować.

— To prawda, Emerald — przyznaje i pochyla się do mnie. — Jest jednak różnica między *musisz* a *chcesz* i jest ona szalenie duża. Chcę ci kupić naszyjnik, więc to zrobię.

— Ale po co taki drogi?

— Bo te kamienie mają ogromną wartość.

— Więc ty wybierz jeden — postanawiam. — Jesteś niezrównoważony.

Przewraca oczami. Pochyla się nieznacznie i z przebiegłym uśmieszkiem znów całuje mój policzek. Robi to szybko, jednak sam fakt tego zbliżenia wywołuje we mnie falę przyjemności. Nie mam pojęcia, co on chce osiągnąć, ale jak tak dalej pójdzie, to chyba się w nim zakocham!

— Więc niech założy jej pani którykolwiek, a resztę proszę spakować.

No ręce opadają.

— To znaczy, że rzeczywiście bierze pan wszystkie? — piszczy kasjerka.

Łapię go za rękę i mocno ją ściskam, żeby przestał się wydurniać. Patrzy na mnie z rozbawieniem w oczach, ale jego twarz pozostaje śmiertelnie poważna. Pojechało go!

— Vincent, przestań. To jest obrzydliwie drogie!

— A ja jestem obrzydliwie bogaty, małeńka — szepcze i mruga do mnie zalotnie.

— Idiota — komentuję.

— Już to słyszałem. — Przewraca oczami, jakbym to **JA** była nieznośna. — Wysil się bardziej.

Parskam śmiechem. Cóż, niezrównoważony psychol i tyle.

Spoglądam na naszyjniki jeszcze raz i decyduję się na prosty, klasyczny wzór. Kamień jest porównywalny z barwą moich tęczówek i ma kształt kryształowego sopolka. Wskazuję na niego, a kasjerka z niemiłym uśmiechem podaje mi go do ręki. Ignoruję jej zniesmaczony wzrok i odwracam się, a następnie wyciągam dłoń przed Vincenta.

— Dobry wybór — komentuje.

— Załóż mi go.

Unosi brew w zaskoczeniu, ale po chwili jego mina robi się łagodna, a w oczach tańczy isierki. Chyba, bo możliwe, że mam urojenia. Wskazuje mi głową lustro, do którego podchodzimy. Zbieram włosy w imitację kucyka i przytrzymuję je na czubku głowy, a Vincent delikatnie zapina mi łańcuszek. Gdy jest pewny, że wszystko w porządku, jego dłonie przesuwają się po moich ramionach na talię, gdzie władczo zaciska palce. W odbiciu lustrzanym patrzy prosto w moje oczy i wygląda na zrelaksowanego. Uśmiecham się więc przyjaźnie i odwracam się, by powiedzieć, że biżuteria jest przepiękna, ale zanim zdążę otworzyć buzię, dzwoni jego telefon. Całe ciepło, które na moment wypełniało jego ciemne oczy, znika. Zastępuje je chłód, który lekko mnie przeraża. Vincent wyciąga telefon i odbiera go, wychodząc ze sklepu. Zatrzymuje się przy barierce i nawet na sekundę nie spuszcza ze mnie uważnego spojrzenia.

Postanawiam dać mu chwilę prywatności. Odwracam się ponownie do lustra i pochylam, by lepiej przyjrzeć się kamieniowi, który zdobi moją szyję. Dotykam go i obracam z każdej strony i muszę przyznać, że naprawdę moje oczy są tego samego koloru. Uśmiecham się z tego powodu.

Vincent pojawia się w odbiciu za mną z miną, która powoduje dreszcze w dole mojego kręgosłupa. Odwracam się do niego niepewnie.

— Zostań tu — warczy. — Muszę iść na inne piętro, a ty masz stać w tym samym miejscu, gdy wrócę. Zapamiętaj.

— Będę w sklepie, nie zastygnę w jednym miejscu, nie jestem rzeźbą — burczę pod nosem, przewracając oczami.

— Nie testuj mojej cierpliwości.

Spogląda przerażającym wzrokiem na kasjerkę, która nas obserwuje, i po prostu wychodzi. Jego postawa sugeruje ostre wkurwienie, a ja nie mam zamiaru go testować. Czuję, że to boleśnie nieopłacalne.

Siadam na pufie, najprawdopodobniej przeznaczonym dla czekających na swoje wybranki mężczyzn, i zamykam oczy. Siedzę tak przez dłuższą chwilę, wsłuchując się w dźwięki, jakie powoduje stukanie pakowanych przez ekspedientkę kamieni o szklaną gablotę. Po chwili czuję, że muszę iść do łazienki. Kawa, którą wypiliśmy, pilnie potrzebuje przebyć dłuższą drogę. Wstaję więc i podchodzę do kobiety, która nie zwraca na mnie uwagi.

— Gdzie jest najbliższa toaleta? — pytam grzecznie.

Unosi wzrok znad błyskotek i uśmiecha się trochę zbyt wrednie. Nie zastanawiam się nad tym,

bo naprawdę muszę siku.

— Musi pani wyjść ze sklepu i skierować się w prawo, trzy sklepy dalej — mówi.

— Super, dziękuję. — Uśmiecham się. — Gdyby ten ciemnowłoso wrócił przede mną, proszę mu przekazać, że jestem w toalecie, dobrze?

— Oczywiście. — Mruga porozumiewawczo.

No i super. Wychodzę ze sklepu i kieruję się tam, gdzie wskazała. Przechodzę obok trzech odzieżowych i trafiam na korytarz, który prowadzi do WC. Niestety jest kolejka i muszę czekać, katując swój pęcherz.

— O mój Boże! — jęczy kobieta, która akurat obok mnie przechodzi. — Skąd ma pani ten wisiorek? Matko, ma dokładnie taki sam kolor jak pani oczy! Niesamowite.

— Dziękuję. — Uśmiecham się. — Został kupiony w jubilerskim trzy sklepy dalej. Niestety wszystko, co ma w sobie szmaragdy, zostało wykupione przez mojego znajomego. Jest trochę popieprzony.

Marszczę nos na to stwierdzenie. Vince jest zdecydowanie kilka poziomów wyżej niż „popieprzony”, ale ta kobieta nie musi tego wiedzieć.

— Kupił dla pani? — pyta, chichocząc głupkowato.

— Tak, przekraczając tym zakupem równowartość mojego mieszkania.

— Musi panią bardzo kochać. — Unosi brwi w zdziwieniu. — Albo ma słabość do szmaragdów.

— Może. A może jest po prostu postrzelony. — Wzruszam ramionami.

— Tak czy inaczej naszyjnik jest przepiękny. Miłego dnia.

Mruga do mnie i powolnym krokiem odchodzi.

Wychodzę z damskiej i kieruję się do sklepu z biżuterią. W galerii panuje dziwny rumor, ale nie skupiam się na nim. Nie zwracam uwagi na ludzi. Wchodzę do jubilera, rozglądam się i momentalnie zamieram. Kasjerka stoi z wytrzeszczonymi oczami, drżąc jak galareta, a lustro, w które patrzyłam kilka minut wcześniej, jest roztrzaskane. Kurwa.

— Co się stało? — pytam z przerażeniem.

Kobieta na zmianę otwiera i zamyka usta. Otwiera, zamyka i kręci głową, a jej dłonie zaczynają drżeć.

— Co się stało? Mam wezwać pogotowie?

Podchodzę do niej, ale ona się cofa. Co się, do cholery, stało?

— Był tutaj Vincent? — dopytuję.

Kiwa głową i zaczyna dyszeć jak lokomotywa. Paraliżuje mnie strach i sama nie wiem, co robić. Co mu odwaliło? Mam go szukać? Uciekać? Noż kurwa! Jak powinna się zachować ofiara w stosunku do swojego wkurwionego oprawcy? Może powinnam uciec...

— Valeria — warczy nad moją głową Stanley, przerywając moje myśli.

Łapie mnie boleśnie za przedramiona i odwraca w swoją stronę z nienawiścią. Jego wzrok jest oskarżycielski i wściekły. A te frustracje są skierowane wprost do mnie. Co, do chuja? Przecież nic nie zrobiłam!

— Co tu się stało? — Krzywię się i szarpię, ale on tylko zacieśnia uścisk.

Syczę, lecz jego to nie obchodzi. Z premedytacją robi mi krzywdę.

— Zniknęłaś! — Zaciska szczękę. — Co ci, kurwa, strzeliło do głowy?!

— Co? Przecież byłam w łazience, idioto. Puść mnie, bo robisz mi pieprzoną krzywdę!

— Tak, oczywiście — prycha. — Vincent jest wściekły.

— Bo?

— Przyszedł, a ciebie nie było — warczy. — Dlaczego tu wróciłaś?

— Byłam w łazience, bo chciało mi się sikać, kretynie. Dziewczyny też sikają! Wypiłam kawę i chciałam po prostu zrobić siusiu — krzyczę. — Puść mnie, kurwa, bo będę miała siniaki! Mówiłam kasjerce, żeby powiedziała Vincentowi, gdzie jestem!

— Dziewczyna powiedziała, że wybiegłaś w przeciwną stronę, w którą poszedł.

— Co? — buczę. — To nie do mnie miej pretensje. Ja przekazałam, że idę do łazienki. Rozmawiałam w toalecie z jakąś babką, która chwaliła mój naszyjnik. I ręce mi pachną mydłem, chcesz,

to sobie, kurwa, powąchaj!

Wciskam lewą dłoń przed jego twarz, a on się zaciąga zapachem mydła, którego użyłam. No miło, zaufanie na poziomie przedszkola. Ale niech ma, duppek. Jestem niewinna! Niech się cieszy, że mu nosa z twarzy nie zmyłam tym mydłem!

— To prawda? — krzyczy finalnie do kasjerki.

Ta nerwowo zaprzecza, a z jej oczu płyną łzy. No pewnie, kurwa, niech mi się oberwie za to, że chciała sobie zrobić jaja! Mam ochotę ją walnąć, ale stoję grzecznie i się nie ruszam. Stanley trzyma mnie tak mocno, że każda próba wierzgnięcia kończy się większym bólem.

— Stanley, on za chwilę rozpierdoli tę galerię! — krzyczy przerażony Troy, wpadając do sklepu. — Nie ma jej nigdzie!

— Tu jestem, ja pierdołę! — warczę.

Wyrywam się Stanleyowi i mierzę go oskarżycielskim wzrokiem pełnym goryczy. Troy staje obok niego i wytrzeszcza oczy w zdumieniu. Po tym zaciska szczękę i wybiega ze sklepu.

— Masz przejebane — podsumowuje brunet.

Łapie mnie za rękę i brutalnie ciągnie w stronę wyjścia. Na odchodnym patrzę na kasjerkę i kręcę głową, bo mam ochotę jej mocno pieprznąć. Zajebicie. Vincent mnie zabije za jakąś idiotkę. Świetnie! Wspaniale wręcz.

Wychodzimy ze sklepu i... No cóż.

— Emerald — chrypi morderczo mój oprawca.

Unoszę wzrok i zamieram. Stoi z Troyem w odległości może pięciu metrów i patrzy na mnie oczami, w których emocje dosłownie mnie miażdżą. Jest tak wściekły, że kurczę się pod samym jego spojrzeniem. Cholera. Serce wali mi w piersi jak oszalałe i zapominam, jak się oddycha. Zajebicie.

Przez głowę przelatują mi wszystkie możliwe sposoby, w jakie mógłby mnie zamordować, i każdy sprawia, że mam ochotę się rozplakać. Nie chcę umierać. Naprawdę nie chcę!

— Zabierz ją do domu — warczy do Stanleya niskim, wściekłym głosem. — Wrócę późno.

Po tych słowach i ostatnim pełnym furii spojrzeniu odwraca się i odchodzi, zaciskając pięści. Jego wkurwienie jest aż namacalne.

— Brawo, Val! — krzyczy Troy. — Mogłaś uciekać w Miami, a nie, kurwa, tutaj.

— Byłam w pierdolonej łazience! — przekrzykuję go, tracąc cierpliwość. — Sikać mi się, kurwa, chciało, czego nie rozumiecie?! Dlaczego wierzycie tej kasjerce, a nie mnie?! Po chuj miałabym wracać do sklepu, skoro próbowałabym uciekać? Macie mnie za aż taką kretynkę? Dzięki!

— Koniec dyskusji — mówi Stanley. — Wracamy do Miami.

I na tym kończy się wszystko.

Rozdział 12

Budzę się w swoim pokoju, na dużym łóżku z baldachimem. Jestem przykryta kocem i jest mi niemożliwie ciepło. Mija chwila, zanim przypominam sobie ostatnie wydarzenia, i wzdycham ze złością. Wkurwiłam Vincenta sikaniem. Świetnie po prostu.

Muszę z nim pogadać, zanim podejmie próbę unieszkodliwienia mnie za pomocą jakiegoś tępego narzędzia.

Wychodzę z łóżka i kieruję się do szafy, z której wyciągam puchaty szlafrok i majtki. Następnie idę do łazienki i biorę długi, gorący prysznic, który odświeża i rozluźnia moje ciało. Duszy jednak nie pomaga. Czuję wyrzuty sumienia, mimo że nie mam powodu, bo nic nie zrobiłam. W ogóle dlaczego ma mi być źle z tym, że pomyślał, że uciekłam? To pieprzony porywacz, a ja mam się karcić za to, że on jest idiotą i reaguje zbyt impulsywnie? Pierdolenie. Nic nie zrobiłam i zaraz mu to wszystko wygarnę!

Wychodzę z kabiny, wycieram się, smaruję odżywczymi kremami i po naciągnięciu na tyłek majtek otulam się szlafrokiem. Opuszczam łazienkę, a następnie pokój i schodzę do kuchni. Wszędzie jest ciemno i przerażająco cicho. Cóż, według zegarka na kuchence jest czwarta nad ranem. Tego się nie spodziewałam. Ale trudno, postanawiam wykorzystać fakt, że wszyscy śpią, i podgrzewam sobie mleko z łyżką miodu. Muszę się zmierzyć z wściekłym mężczyzną, więc lepiej zrobić to z mleczkiem. Ono zawsze jest przyjazne. Miłe, ciepłe i w ogóle cudowne.

Z kubkiem w ręce kieruję się na górę i idę aż do ostatniego pokoju, w którym ostatnio znalazłam Vincenta. Wchodzę do pomieszczenia bez pukania i uśmiecham się pod nosem, gdy widzę go na balkonie. Pali i ma na sobie jedynie czarne, opinające pośladki bokserki. Ponieważ jest ciemno, nie widzę dokładnie tatuaży na jego nogach i plecach. Idę niepewnie przez pokój i zatrzymuję się w drzwiach, gdy dociera do mnie jego niski, ostrzegawczy głos.

— Nie podchodź — warczy.

Nadal jest aż tak wściekły? Serio? Wow.

— Bo?

— Bo jestem wkurwiony i mogę zrobić coś, czego nie chcesz.

— Ja nie uciekłam, kretynie — pryham. — Byłam w pieprzonej łazience.

— Kazałem ci siedzieć w sklepie — cedzi przez zęby i zaciska dłonie na barierce.

Jego mięśnie napinają się tak bardzo, że przez myśl przechodzi mi, by się wycofać. Jednak uciekanie przed nim na nic mi się nie przyda, bo i tak będę się musiała z nim skonfrontować!

— Powiedziałam dziewczynie za ladą, żeby ci przekazała, że jestem w łazience, jeśli zdążysz wrócić przede mną. Obiecała, że to zrobi! Byłam siku. Mój pęcherz powiedział do mnie: „Valerio, jestem pełny!”, więc poszłam. Gdybym chciała uciec, to po cholerę wracałbym do tego sklepu, w którym mnie zostawiłeś? Nie jestem idiotką! Pobiegłabym do wyjścia, a nie do sklepu, w którym miałam na ciebie czekać.

— Jesteś zakładnikiem, Emerald, dlaczego miałabyś nie skorzystać z szansy ucieczki?

— Powiedziałeś, że znajdziesz mnie wszędzie, więc po co miałabym próbować uciec? Zaufałam ci. Jednak możesz mnie nie odnaleźć?

— Nie, znalazłbym cię, choćbym miał oblecieć cały pierdolony świat setki razy dookoła.

— To po co się dąsasz?

— Wkurwiasz mnie — warczy i odchyła głowę.

— Beka, bo ty mnie też!

Tracę cierpliwość do tego człowieka.

— Oj, przykro mi — kpi.

— Wiesz co, dobranoc, jesteś do dupy.

Odwracam się w stronę drzwi i spokojnym krokiem opuszczam jego pokój, zanim wybuchnę czymś, co sprowokuje go do zaciśnięcia palców na mojej szyi. Jest mi szczerze przykro, bo nie zrobiłam niczego, co dawałoby mu powody do takiego gównianego zachowania. I jestem kretynką, bo powinnam go nienawidzić, zamiast się przejmować jego zdaniem. Kurwa, żalosne. Ale z drugiej strony nie chcę zginać już teraz! Jak ja mam się odnaleźć w tym śmierdzącym szambie?

Wchodzę do swojego pokoju, zamykam drzwi i kieruję się do okna. Opieram się ramieniem o futrynę i skupiam wzrok na odbiciu księżycy w tafli wody. Dopijam mleko, które zdążyło się zrobić chłodne, i wzdycham. Sama nie wiem, co tak właściwie czuję. Czy ja się go boję i dlatego niczego bym mu nie odmówiła? Czy może pragnę go i dlatego nie przeszło mi nawet przez myśl, by uciec? Moja psychika jest zbyt wyczerpana na takie rozterki.

Po kilku kolejnych minutach drzwi do mojego pokoju delikatnie się otwierają i zaraz zamykają. Nie mija chwila, a jego ciepły oddech odbija się od mojej szyi. Nie reaguję.

— Nie rozumiem cię — szepcze. — Nie rozumiem niczego, co robisz, ani tego, jak na mnie działasz. Powiedziała, że wybiegłaś zaraz po tym, jak się oddaliłem. Nawet bym nie pomyślał, że to jakiś głupi żart — wzdycha i obejmuje mnie ciasno w pasie. — Uderzyłem w lustro i popędziłem, żeby cię znaleźć. Nigdzie cię nie było, świat mi się zatrzymał. To były krótkie minuty, w czasie których zabiłbym każdego, kto zagroziłby mi drogę do ciebie.

— Jestem posłusznym zakładnikiem. — Uśmiecham się pod nosem. — Byłam tylko siku.

— Wiem, teraz już wiem — mruczy, muskając ustami moją szyję. — Nie chciałem cię przestraszyć. Przepraszam.

— Jesteś psycholem — stwierdzam lekko.

Odstawiam kubek na parapet i powoli się do niego odwracam. Jest bez koszulki, a ciepło i zapach jego ciała mnie osaczają. Szybkość, z jaką mnie to ogłupia, jest przerażająca. Nie mam pojęcia, czego chcę i po co się do niego zbliżam. Nie mam zielonego pojęcia, ale pragnę, żeby mnie lubił. Nie chcę, by patrzył na mnie z taką chęcią mordy, jak kilka godzin temu. Nie chcę bać się o swoje życie.

— Spójrz na mnie — szepcze.

Unoszę głowę i spotykam się z jego intensywnym, wręcz przeświecającym, podnieconym spojrzeniem. Jego duże dłonie zaciskają się na mojej talii i przyciągają mnie odrobinę bliżej. Na tyle, że kładę palce na jego torsie i drzę, bo ten kontakt jest wręcz palący. Sposób, w jaki reaguje moja skóra, jest niesamowity. I przerażający, bo to mój pieprzony oprawca.

Muszę być grzeczna.

— Rozluźnij się. — Uśmiecham się ciepło, patrząc w jego oczy. — Nie uciekam.

Pochyla się i przygryza wargę. Jest zmęczony i doskonale to widzę w jego ogromnych oczach. Są takie piękne i głębokie, niepowtarzalne wręcz. Przesuwam dłońmi w górę, po jego torsie, szyi, i zatrzymuję się na policzkach, które delikatnie głaszczę. Jego zarost jest drażniący i przyprawia mnie o dreszcze. Nikt nie powiedział, że zbliżenie się do porywacza to coś złego. Vincent powinien widzieć we mnie sprzymierzeńca. Nie mogę stać się jego wrogiem, a później tarczą na pociski. Muszę walczyć. Będę walczyć. Ale jego zarost jest taki przyjemny...

— O czym myślisz? — pytam łagodnie.

— Myślę o tym, że zaraz przez ciebie zwariuję.

— Dlaczego?

— Dlatego — mruczy.

Gwałtownie łączy nasze usta w zachłannym pocałunku. Robi to tak szybko i mocno, że automatycznie oddaję pieśczęotę, oplatając mu dłonie wokół szyi. Zatracam się w jego ruchach, bliskości i ciepłe, które od niego bije. Jest tak gorący, że to nienormalne! Uchylam wargi, by dać mu dostęp do języka, i pozwalam się zdominować. Jest nienasycony w każdym najdrobniejszym ruchu i szalenie mnie tym intryguje. Nie chcę być mu dłużna, ale nie potrafię nadażyć za tempem tego wygłodniałego pocałunku. Jest taki... nie wiem. Nikt nigdy wcześniej nie całował mnie z taką pasją, z jaką on mnie całuje. To niesamowite i przerażająco inwazyjne. Pragnę go i jednocześnie boję się o swoje życie... Czy tym właśnie jest syndrom sztokholmski?

Vincent odsuwa się gwałtownie, ale nie za daleko. Czoło ma połączone z moim, a nasze rozszalałe oddechy mieszają się w jeden. Jego twardy członek dotyka mojego brzucha. O mój Boże.

— Dobranoc, maleńka — sapie i przygryza moją wargę na zwieńczenie tego spustoszenia, które zasiał w mojej głowie. — Przyjdę cię obudzić.

Odsuwa się od mojego drżącego ciała i bez jednego spojrzenia gwałtownie się obraca i szybko wychodzi. Jego zapach i smak towarzyszą mi, dopóki nie wracam na ziemię. Przykładam palce do

nabrzmiałych od jego kłaniania ust i zaciskam nogi. Chwilowo odnoszę wrażenie, że zamiast być porwaną, przeżywam właśnie zimowy romans. To zdrowo popierdolone.

Po przewracaniu się z boku na bok przez cholera wie jak długo postanawiam wstać i pójść do Vincenta. Na zewnątrz zaczyna świtać, nie mam pojęcia, która może być godzina, ale nie obchodzi mnie to, bo chcę do niego iść i mogę nawet leżeć obok niego bez słowa, byle nie być sama. Potrzebuję bliskości po tym rozpaczliwym pocałunku.

Podnoszę się leniwie i rezygnuję z zarzucenia na plecy szlafroka, bo brunet i tak widział już moje piersi. Niczego nowego nie zobaczy. Obejmuję się rękami, gdy wychodzę z pokoju, i jak się okazuje, robię to akurat, gdy na korytarzu pojawia się zaspany Troy! Noże kurwa. Super.

— Znowu uciekasz? — Parska złośliwym śmiechem. — Zapalenia płuc dostaniesz, jak tak wyjdiesz.

— Idę do Vincenta. I nie uciekłam! Daj mi spokój — buczę.

Mijam go z naburmuszoną miną i spinam się, gdy gwizdże. Nie ma pojęcia, jak kurewsko mnie to denerwuje! Nie jestem psem, żeby na mnie gwizdać.

— Zajebistą masz talię — komentuje z uznaniem. — I tyłek w sumie też dziesięć na dziesięć!

— Powiem Vincentowi!

— Nie! — jęczy zboląłym głosem. — Nie opłaci się to ani mnie, ani tobie. Chciałem tylko być miły i skomplementować twoje ciało.

— Śpij, Troy — wzdycham z rezygnacją.

Docieram do pokoju Vincenta i wchodzę po cichu, zamykając drzwi. Opieram się o nie czołem i parskam cichym śmiechem. Nie chcę obudzić mojego porywacza, ale na samą myśl o tym, co mógłby zrobić Troyowi, chce mi się po prostu śmiać. Otaczają mnie kretyni!

— Emerald — mruczy, a ja zamieram.

Obudziłam go?

— Śpij — szepczę.

— Co się stało?

Odwracam się do niego twarzą i uśmiecham się, gdy widzę jego pozycję. Leży na brzuchu, z twarzą opartą na prawej dłoni. Lewa ręka luźno zwisa poza łóżkiem. Jest przykryty do połowy pleców i dostrzegam dzięki temu kilka ciemnych rysunków. Podchodzę do niego leniwym krokiem i wchodzę na łóżko, a następnie układam się w poprzek, z głową na jego łopatkach. Jego ciepło od razu mnie rozleniwia. Jest cholernie gorący!

— Nie mogę spać, jestem wypoczęta, bo spałam, odkąd Stanley dał mi tabletki przed lotem — szepczę. — Chciałam zasnąć, ale nie potrafię, więc przyszedłam do ciebie.

— Mhm — mruczy. — Mam wstać?

— Nie, śpij sobie, przytulę się do ciebie i postaram się chwilę podrzemać. Nie chciałam siedzieć sama po prostu.

— Okej — ziewa.

A ja ziewam zaraz po nim, bo słysząc ziewanie, ziewam! Jak każdy zresztą. Ale nieważne. Skupiam się na oddechu Vincenta i uśmiecham się głupkowato pod nosem, bo nie potrafię sama ze sobą dojść do ładu. Chciałabym się bać mojego oprawcy i opracowywać idealny plan ucieczki, ale nie umiem! A raczej nie chcę i są tylko dwa powody. Pierwszy: nie chce mi się z lenistwa, a drugi: w sumie nie chcę od niego uciekać. Czuję jakąś dziwną więź, gdy nasze spojrzenia się krzyżują, i wręcz tonę, gdy dochodzi między nami do fizycznego kontaktu.

— Emerald — szepcze po dłuższej chwili Vincent.

— Hm?

— Połóż się obok mnie, muszę rozprostować rękę.

Podnoszę się posłusznie, lecz zamiast się położyć, siadam po turecku, zwrócona w jego stronę. Obserwuję, jak się przewraca na plecy i rozciąga rękę, którą najprawdopodobniej właśnie kłają urojone mrówki. Uśmiecham się, widząc go takiego niezdarne i rozespianego, wygląda naprawdę uroczo.

— Która jest godzina? — pyta chrapliwym głosem i przytula policzek do poduszki.

Ma zamknięte oczy i rozczochrane brwi. Ten widok roztapia moje serce.

— Nie mam pojęcia, nie mam ani telefonu, ani zegarka.

— Pieprzyć godziny.

Uśmiecha się głupkowato.

— Godziny? Nie lepiej siebie? Mogę się założyć, że byłoby przyjemniej. — Śmieję się.

Całuję go lekko w policzek i kładę się na jego torsie z szerokim uśmiechem. Nie mam pojęcia, co mi odbiło, ale podoba mi się to. Jest zupełnie, jakbym pierwszy raz miała kontakt z jakimś facetem. To cholernie ekscytujące.

— Jeśli tylko masz ochotę na seks, to mów — mruczy i kładzie dłoń na moim brzuchu. — Z chęcią się z tobą pobawię.

— Tak? Więc w co byśmy się bawili?

Łapię jego palce w swoje i leniwie prowadzę w górę, aż na pierś, na której rozprostowuję jego dużą dłoń. Spina się znacząco, a ja drzę, bo uwielbiam męskie dłonie w kontakcie z delikatnymi częściami mojego ciała. Wręcz ubóstwiam. I dawno nie uprawiałam seksu. Cholera, bardzo dawno nawet! Może dlatego jestem taka głupia?

— To nie jest dobry pomysł. Poranna erekcja może przejąć nade mną kontrolę i przestanę się powstrzymywać. Co wtedy zrobisz?

Idiotyczne pytanie.

— Jestem pewna, że jesteś jednym z tych mężczyzn, którzy doskonale zdają sobie sprawę z tego, co kobieta może zrobić z męską erekcją.

— To prawda. Wiem również, jak ujarzmić takie tygrysy jak ty.

Ścisną moją pierś. Jego dłoń jest szorstka i działa na mnie jak afrodyzjak. Chciałabym stwierdzić, że mój cycek idealnie wpasowuje się w jego dużą dłoń, ale nie pozwalałam sobie na takie romantyczne badzewia. Już wystarczająco mi odbiło. Co jak co, ale piersi mam naprawdę niesamowite. Zawsze je uwielbiałam, a odkąd mam kolczyki w sutkach... Już nawet nie mówię.

— Dlaczego tygrys? — pytam, gdy cisza wydaje się za długa.

— Polujesz na mnie, prowokujesz mnie i doskonale wiesz, że zawsze wygrasz.

— Masz na myśli incydent w łazience. — Parskam śmiechem. — Byłam pijana!

— A teraz jesteś trzeźwa i z pełną świadomością mnie prowokujesz — wzdycha. — Sam fakt, że do mnie przysłaś, jest prowokacją, Emerald. Wiesz, jak na mnie działasz.

Przesuwa kciukiem po mojej stwardniałej brodawce i ponownie ujmuje całą pierś. Przeraza mnie fakt, że jego dotyk mnie magnetyzuje. Gdyby przewrócił mnie na plecy i zaczął całować, nawet bym się nie zastanowiła! Rozłożyłabym nogi z entuzjazmem i szczerze podziękowała za orgazm, gdyby mnie do niego doprowadził. Czy to znak, że zbliża się okres? Zawsze przed nim mam szaloną ochotę na seks. To popieprzone. Ja jestem popieprzona.

I mam ochotę na seks z moim oprawcą.

— Przysłałam, bo się nudziłam i chciałam trochę bliskości — mruczę i wydymam wargę. — Zabrałeś mnie w obce miejsce i nawet nie chcesz się ze mną miziać.

— Emerald. — Parska najszczerzym śmiechem, jaki słyszałam w jego wykonaniu, i przesuwając palce na mój brzuch. — Co to znaczy *miziać* w twoim słowniku?

— No miziać. — Marszczę czoło. — Nie wiesz, co to znaczy *miziać*? Jakieś przytulaski, macanko i tak dalej. Nie jesteś taki stary, żeby nie wiedzieć, ogarnij się.

— Wybacz, maleńka, nikt wcześniej nie rozmawiał ze mną tak jak ty.

Uśmiecham się na te słowa i leniwie unoszę się do siadu. Następnie odkrywam go i przekładam nogę nad jego pasem. Siadam mu na masywnych udach i przechylam głowę z niewinnym uśmiechem. Przez napięte bokserki widzę jego poranną erekcję i niech mnie piorun strzeli, ale za długo się gapię! Nie powinnam uprawiać z nim seksu, to byłoby zbyt popieprzone. Cholera. Kładę dłonie na linii jego bielizny i sunę nimi w górę, aż na barki. Moje twarde sutki łączą się z jego rozgrzanym torsem i jedynym punktem zainteresowania stają się brązowe tęczywki Vincenta. Patrzę w nie jak zaczarowana i nie mogę się nasycić. Są tak głębokie i piękne, że chyba tonę. Matko, jestem jebnięta!

— Po co mnie porwałeś? — szepczę, nie mogąc się oderwać.

Chcę się odsunąć, zanim zrobię coś, czego będę okropnie żałować, gdy moja wewnętrzna dziwka zostanie już zaspokojona. Chyba nigdy wcześniej nie miałam na kogoś takiej ochoty, jaką mam w tej chwili na niego. To niezdrowe.

— Właśnie po to, żebyś była tak blisko — mruczy.

Przesuwa dłońmi po moich udach aż na pośladki i władczo je ściska. Przygryzam wargę, by nie jęknąć, ale zdaję sobie sprawę z faktu, że on wie, jak na mnie działa. Mam wrażenie, że tym jego ciemnym oczom nic nie umyka. Podnieca mnie to. To i ta cała jego mroczna otoczka. Ja pierdolę.

— W zależności od tego, co czujesz, widzę w twoich oczach każdy znany mi odcień szmaragdu — mówi.

— Jesteś pierwszą osobą, która stwierdziła, że mam szmaragdowe tęczę. — Uśmiecham się. — Wszyscy inni określali je jako po prostu zielone.

— Ci wszyscy to zwykli idioci. Nikt nie ma takich oczu jak twoje. Przeleciałem cały świat i widziałem mnóstwo kobiet. Byłem dosłownie wszędzie i widziałem wielu ludzi, ale nikt na całym tym cholernym świecie nie ma tak pięknego spojrzenia jak ty, Emerald.

— Więc stąd zmiana mojego imienia? — Unoszę brew. — Jesteś psycholem. I chyba właśnie skutecznie mnie uwodzisz. Czy ty wykorzystujesz mój syndrom sztokholmski?

— Zdecydowanie to robię. Jaki będzie finał?

— Finał? Takiej słodkiej gry wstępnej? — mruczę i pochylam się nad nim bardziej, łącząc nasze czoła i nosy. — Jest tylko jedna odpowiedź. Upiekę ci ptysie.

Uśmiecham się szeroko i bardzo delikatnie łączę nasze usta. Pocałunek jest leniwy i spokojny, żadne z nas się nie porusza, po prostu jesteśmy blisko. Tylko ja, mój oprawca i syndrom sztokholmski. Trójkąt idealny. Wykrzywiam wargi w rozbawieniu spowodowanym myślami i wsuwam palce w jego miękkie włosy. Subtelnie pogłębiam pocałunek, wychodząc naprzeciw jego językowi, i nadaję pieszczocie miękkie, słodki rytm. Vincent pozwala mi się całować tak, jak chcę, i czerpie z tego satysfakcję, którą doskonale czuję, przygniatając jego penisa moim ciałem. Jest doskonale sztywny.

— Wiedziałem, że to będzie coś słodkiego. Jednak nie tak słodkiego jak sama cukierniczka.

— Niestety. — Odsuwam się z zadziornym uśmieszkiem. — Cukierniczki nie ma w ofercie.

— Doprawdy?

— Tak, czas na ptysie.

— Chodź ze mną pod prysznic. Postaram się trzymać ręce przy sobie.

— Nie przeszkadzają mi twoje ręce — stwierdzam i marszczę nos. — Możesz je trzymać na mnie, lubię twój dotyk.

— Dlaczego się mnie nie boisz, Emerald? To popieprzone. Przez to wszystko jest jeszcze trudniejsze.

— Dlaczego? Chyba dlatego, że niezwykle mnie pociągasz. I zdecydowanie dlatego, że jesteś taki ciepły i inwazyjny.

— Jednak jesteś psychicznie chora — stwierdza. — Kupię ci wszystko, o czym zamarysz, ale nie lekarstwo, wybacz, maleńka.

— Ale ja niczego nie chcę. — Śmieję się. — Wydałeś prawie sto tysięcy na biżuterię, wyczerpałam limit na całe życie.

— Nie, niczego nie wyczerpałaś. Mogę ci kupić wszystko, czego zapragniesz.

— Bo jesteś obrzydliwie bogaty. — Uśmiecham się kpiąco, prosto w jego gorący tors, na którym składam mokry pocałunek.

— Tak, właśnie dlatego.

— Idiota.

Vincent ściska moje pośladki i nieznacznie wsuwa palce pod materiał bielizny. Robi się coraz ciekawiej. Pytanie, kiedy stracę samokontrolę i dam się ponieść swoim potrzebom. Mam dzikie przeczucie, że on spełni moje najbrudniejsze fantazje. Cholera.

— Drżysz — zauważa i obejmuje mnie ciasno. — Zimno ci?

— Nie, jest mi ciepło, bo ty jesteś gorący. Drzę, bo mam bardzo brzydkie myśli.

— Opowiedz mi — mruczy. — Z chęcią posłucham o twoich sprośnych marzeniach.

— O nie. Spaliłabym się ze wstydu, gdybym to powiedziała na głos.

— Nie wstydz się mnie.

— Nie mogę. Już z dwojga złego wolałabym robić, niż mówić.

— Więc na czym polega problem?

— Vincent, ogarnij się! Ja już na tym etapie nie mam pojęcia, co się dzieje w mojej głowie, gdy o tobie myślę, a co dopiero, jak zacznę się do ciebie dobierać — marudzę. — Znamy się ledwo kilkanaście dni.

— Patrząc w twoje oczy, odnoszę wrażenie, że znam cię całe życie — szepcze.

— Jesteś cholernym intrygantem — pryham i podnoszę się do siadu. — Przestań mnie bajerować, to wredne. Będę mieć niedługo okres, więc chce mi się pieprzyć, a ty to wykorzystujesz!

— Nie miałem pojęcia o tym, że zbliżają się twoje czerwone dni. A fakt, że jesteś bardziej pobudzona przed nimi, na pewno zapamiętam. — Uśmiecha się wrednie. — Więc jesteś podniecona?

— Vincent...

— Taaak?

Bez wahania łapie mnie pewnie i zaraz gwałtownie przewraca na plecy, by pojawić się nad moją twarzą. Jego tęczyówki są teraz czarne. Jestem skończona. Kurwa mać. Mój oddech gwałtownie przyspiesza, a między nogami robię się wilgotna. Sutki mam naprężone i spragnione tak bardzo, że chcę wrzasnąć, by się nimi zajął. Powstrzymuje mnie przed tym ostatek zdrowego rozsądku.

— Więc mówisz, że niezwykle cię pociągam? — Uśmiecha się cwaniacko. — Chyba już nie jestem zmęczony — mruczy. — Teraz jestem spragniony. Spragniony ciebie.

— Ja... — Nie wiem, co chcę powiedzieć!

— Powiedz, że mnie nie chcesz, a się odsunę — mówi poważnie.

Pochyla się do moich ust bardzo, ale to bardzo leniwie i gdy przymyka powieki, poddają się. Jego zapach, ciepło i fakt, że przykrywa mnie całą, zabijają mnie. Nie potrafię się oprzeć. Jest zbyt inwazyjny i przystojny. Chcę go. Chcę mojego porywacza.

— Nie mogę — szepczę i obejmuję go za szyję. — Nie mogę tego powiedzieć.

— Więc mnie pragniesz. Bardzo mnie to cieszy, maleńka. Pozwól, że dam ci trochę rozkoszy — mruczy. — Zrelaksuj się, gwarantuję, że zaraz oszalejesz.

— Jestem zrelaksowana. — Uśmiecham się.

Vince łączy nasze usta z mocą, która doszczętnie zabija mój zdrowy rozsądek. Oddaję jego pełne żądzę pocałunki i poruszam się pod nim, bo mam go idealnie między nogami. Chcę go poczuć, ale on nie zamierza się do mnie przycisnąć. Zachowuje odstęp pomiędzy naszymi ciałami, czym doprowadza mnie do szału. Jego pocałunki mnie rozjuszają i jednocześnie dają nadzieję na niezemski seks, którego rozpaczliwie zaczynam potrzebować.

Po chwili odrywa się ode mnie z seksownym dźwiękiem, który zakończył nasz pocałunek, i przyciska wargi do mojej brody, z której zsuwa się na szyję. Składa pięć mokrych buziaków na mojej skórze i odsuwa się minimalnie, by wciągnąć w nozdrza mój zapach. Zapach oczekiwania na seks spragnionej pieszczoł zakładniczki.

Kilka gorących oddechów później oczekiwanie jest już nie do zniesienia. Vincent zastygł w swojej pozycji i jedyne, co robi, to owiewa gorącym oddechem moją szyję. Jest to tak frustrujące, że zaczynam wariować. Moje ciało dostaje kurwicy, ponieważ tak bardzo pragnie jego dotyku, że jest to aż nienormalne. Chcę wiedzieć, co się ze mną właśnie dzieje, ale mam świadomość, że nikt mnie nie oświeci. Moja przyjaciółka jest w Denver, a Stanleyowi zwierzać się nie będę. Vincentowi tym bardziej. To wszystko jest zdrowo popierdolone. I jeszcze to, co on mówi! Nie mogę. Tego jest za dużo jak na jeden poranek i moją spaczoną psychikę.

— Emerald — mruczy wprost w moje ucho. — Dotykaj mnie.

— To ty miałaś dotykać mnie, Vincent — szepczę i zamykam oczy.

— Gdzie mam cię dotykać?

Przygryza płatek mojego ucha i bardzo delikatnie ujmuje mój policzek. Rozkłada na nim swoje długie, ciepłe palce i kciukiem przesuwają po mojej dolnej wardze. Tego rodzaju kontakt sprawia, że moje

serce przyspiesza, bo nikt wcześniej nie dotykał mnie tak jak on. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Perfidnie mnie ogłupia! Jest zbyt czuły, bym mogła myśleć racjonalnie.

— Odpowiedz — warczy.

Zsuwa palce na moją szyję i zaciska je, uniemożliwiając swobodny oddech. Przymykam oczy, czując, jak podniecenie dociera do punktu krytycznego, i przeciekam. Między moimi udami robi się mokro i nie mogę nic poradzić na to, że ostrzejszy seks po prostu mnie kręci! Nic nie podnieca mnie bardziej niż myśl, że facet taki jak Vincent mocno mnie zerżnie. Jestem głupia. I mokra. Cholera.

— Gdzie? — Zaciska palce mocniej.

— Wszędzie — sapię. — Chcę czuć cię wszędzie, Vincent.

— Wszędzie?

— Mhm. Zdecydowanie tak.

— Nie mogę — syczy mi do ucha. — Nie mogę sobie na to pozwolić.

— Co? — Krzywię się, a moje serce przyspiesza przez gorzkie rozczarowanie. — O czym ty mówisz?

— Zrelaksuj się, maleńka — szepcze.

Przygryza moje ucho i powoli zsuwa palce w dół, po mojej klatce piersiowej aż na pierś. Ujmuje ją delikatnie i gdy z moich ust ucieka jęk, ściska ją. Kocham jego surowe dłonie, cholera, są cudowne! Duże, szorstkie i po prostu męskie. Idealnie ciepłe. Matko, dojdę od samego dotyku.

— Cała drżysz — mruczy z rozbawieniem. — Jesteś niemożliwa.

Całuje mnie delikatnie w skroń, następnie w policzek, później nos i łączy nasze czoła. Jego ciepły oddech odbija się od moich ust, a dłoń powoli sunie w dół, na moją mokrą waginę. Czuję tak niewyobrażalne napięcie, że nie mogę. Wszystko się we mnie po prostu rozrywa na samą myśl! Jestem chora. Bankowo jestem chora na głowę.

— Spójrz mi w oczy — mówi twardo.

Emocje w jego głosie zmieniają się szybciej niż wskazówka na sekundniku, nie ogarniam tego i nawet nie chcę. To wszystko jest zdecydowanie niezmiernie podniecające. Przysięgam, że jeszcze nigdy nie byłam tak mokra. Kurwa mać. Uchylam powoli powieki, a on delikatnie wsuwa palce pod materiał moich majtek i kieruje je na łechtaczkę. Przesuwa po niej aż do wejścia i jego pociemniałe teraz oczy wybuchają milionem iskier, gdy czuje moje podniecenie. Doskonale widzę wyższość w jego wzroku. Wie, że jestem mokra z jego powodu, i bardzo mu się to podoba. Nawet bardziej niż bardzo.

— Nawet nie śmiałem fantazjować, że możesz mnie tak bardzo pragnąć — szepcze i pochyla się delikatnie do moich ust. — Jesteś taka mokra, Emerald...

Łączy nasze wargi w mocnym pocałunku i wsuwa we mnie jeden palec. Jęczę i podkurczam palce u stóp, bo chcę więcej. O wiele, wiele więcej, ale zdaję sobie sprawę z faktu, że teraz będzie się ze mną perfidnie bawił. Jego ruchy wyraźnie to sugerują. Mam go błagać. Cholera.

Uśmiecha się przez pocałunek i przygryza moją wargę, a następnie kieruje usta w dół, na moją brodę. Składa na niej jeden mokry pocałunek i przechodzi do nieznośnej gry wstępnej, którą chce mnie sprowokować. Mianowicie gryzie mnie i zaraz wysuwa język, by zejść nim w dół, zostawiając mokry ślad wzdłuż mojej szyi. Jęczę bezwstydnie, bo szyja jest moim najsłabszym punktem, i zaciskam pięści na prześcieradle. Napięcie rozrywa dół mojego brzucha i czuję, że zaraz eksploduję z nadmiaru.

— Jesteś słodka — oznajmia.

Wyciąga palec z mojej ociekającej podnieceniem kobiecości i kieruje go na pierś. Okrąża brodawkę, wywołując nie jęk, a skowyt, i brutalnie przysysa się do drugiej. Wyginam plecy, czując niewyobrażalną przyjemność w centrum mojej kobiecości, i przygryzam wargę. Chcę ulgi, bo jestem na samym skraju przez to cholerne napięcie. Na jego miejscu pieprzyłabym mnie jak zwierzę!

— Taka wrażliwa... — mruczy nisko. — I taka wyśmienita — dodaje groźniej.

Jego słowa docierają do mnie, ale nie umiem się skupić. To, w jaki sposób jego kciuk rozsmarowuje moje lepkie soki na sutku, i fakt, że drugą pierś Vincent liże i drażni zarostem... Kurwa, odbija mi. Chcę go prosić, ale nie mogę. Nie mogę wydobyć głosu z gardła. Jestem tak beznadziejnie rozedrgana, że nie daję rady! Nigdy nie czułam takiej słabości. Nigdy.

— Skończ, maleńka — warczy.

I zmienia taktykę. Przyciska swój twardy członek do mojej nadwrażliwej łechtaczki i niespiesznie pociera. Kciukiem zaś zamiast okręzać, szturcha moją brodawkę, a język zamienia na zęby. Gryzie mnie i tym sposobem finalizuje moją walkę. Wyginam się z głośnym jękiem, w końcu wplatam palce w jego czarne włosy i mocno pociągam. Wywołuję niski dźwięk, który jeszcze bardziej mnie rozkłada. Jestem w cholernej krainie jednorożców przez sam petting, więc co będzie, jak mnie przeleci? Róg mi wyrośnie?! Kurwa mać!

— Co dalej? — pyta i ostatni raz całuje moją pierś.

Unosi się nad moją twarzą z czarnymi, pochłaniającymi mnie tęczęwkami i zastyga. Jego ogromne oczy krzyżują się z moimi i nastaje najdłuższa cisza, jaką można sobie wyobrazić. Nie rusza się i nie mruga. On jedynie patrzy, jakby nagle zatrzymał się dla niego cały świat. Jestem zatopiona. Tonę i nie chcę pomocy. Unoszę dłonie do jego twarzy i delikatnie ujmuję policzki. Po chwili mój oddech wraca do normy, a Vincent nie reaguje. Jest tak zawieszony, że zaczynam się lekko niepokoić. Jego tęczęwki mnie pożerają. A raczej moją duszę, bo patrzy tak głęboko, że czuję, jak wyciąga ze mnie wszystko. Dosłownie, kurwa, wszystko. Każdy sekret, pragnienie i brud. Rozbiera mnie z wszystkich warstw.

— Vincent — szepczę prawie bezgłośnie.

Przesuwam kciukiem po jego górnej wardze i uśmiecham się. Tak szczerze i prawdziwie, bo już niczego nie rozumiem. Co mu się nagle stało? Cholera. Zamyka gwałtownie powieki i napina szczękę, a potem pochyla się do mojej szyi. Przyciska do niej nos i mocno zaciąga się zapachem. Robi to trzy razy, zanim boleśnie wgryzie się w mój najczulszy punkt. To, co czuję, jest nie do opisanego, powoduje mój jęk i to, że wbijam w jego ramię paznokcie. Nie mam pojęcia, jak to opisać. Czy jest to przerażający ból, czy destrukcyjna przyjemność? Nie mam pieprzonego pojęcia!

Po chwili brutalnego nacisku na moją wrażliwą skórę odsuwa się gwałtownie, wstaje i bez słowa wychodzi z pokoju. Trzaśnięcie drzwiami wybudza mnie z transu, jestem zagubiona i sfrustrowana, bo... co mu nagle odbiło?! Cholerny kretyn.

Gdy moje frustracje minimalnie maleją, dotykam swojej skatowanej szyi i czuję bolesne gorąco. Malinka, którą mi zrobił, jest ciepła do tej pory. To nie jest normalne. Vincent jest naprawdę zdrowo popierdolony.

Rozdział 13

Po najdłuższym prysznicu w historii mojego życia zakładam granatową koszulkę, którą ukradłam z garderoby Vincenta, i miękkie dresy ściśle przylegające do nóg. Czuję się skonsternowana, gdy patrzę na bordowy ślad na mojej szyi, i długo główkuję, czy powinnam go zakryć, czy nie. Wygląda nie gorąco, a przerażająco. Jest wielki i bolesny. Nigdy wcześniej nie widziałam tak brutalnie zrobionej malinki.

Decyduję się nie zakrywać dowodu zbrodni. Niech Vincent widzi, co zrobił, a co! Niech wszyscy zobaczą. Wychodzę z pokoju spokojnym krokiem i uśmiecham się jak kretynka. Nie wiem, dlaczego. To za trudne pytanie albo już mi odbija. Jedno z dwóch i pieprzyć to. Schodzę do kuchni, w której krząta się Aviana, przygotowując gofry. Siedzą tam też Troy i Stanley, obaj w samych dresach, przez co widać ich tatuaże na plecach. Moją uwagę przykuwa malunek trójzębu na prawej łopacie Stanleya oraz na karku Troya. To zaskakujące, że są identyczne.

— Dzień dobry — mówię radośnie.

Aviana puszcza mi figlarne oczko, a mężczyźni odwracają się do mnie z głupekowatymi uśmiechami. Troy szczerzy się jak skończony kretyn, sugerując tym samym kosmate myśli o mnie i Vincencie. W końcu widział mnie w samych majtkach, jak szłam do pokoju jego szefa.

— To coś, co zdobi twoją szyję, jest zrobione przez smoka? A może to jakiś wampir? — parska śmiechem szatyn.

Przewracam oczami.

— Nie, to zdecydowanie był wściekły kojot — oznajmiam lekko. — Gdzie jest?

— Kojot? — Stanley przygryza wargę, by nie prychnąć.

— Jeśli mówimy o tym samym — wzdycham i wzruszam ramionami.

— Wyszedł jakieś pół godziny temu i słuch po nim zaginął. Coś się między wami stało? — dopytuje. — Nie pytam o konkrety. Chodzi tylko o to, że był niezwykle poruszony, gdy wychodził. Prawie zabił Troya w drzwiach. A Troy nie jest małym chłopcem.

— Wy się ze mną nie dzielicie swoimi rozterkami, więc ja również nie będę. To, co się stało, zostanie moją słodką tajemnicą. — Uśmiecham się. — A tak serio, to nic się nie stało, zawiesił się na chwilę, zrobił mi malinkę i wyszedł. Nie rozumiem go i stwierdzam wszem wobec, że jest po prostu pierdolnięty.

— Myślę, że on sam również się nie rozumie — wtrąca kobieta. — Vincent jest dziwnie poruszony od kilku dni.

— Tak — parska Stanley. — Odkąd wrócił z Denver. Ciekaw jestem, co tak na niego podziało — wzdycha. — Nie będę się nad tym jednak rozwodził. Vincent od lat jest zagadką tego miasta, nie rozgryziemy go, niestety. Co nam dzisiaj upieczesz, Cukierku?

Uśmiecha się do mnie promiennie i przechyla głowę, by wyglądać bardziej przekonująco.

— Obiecałam Vincentowi ptysie.

Na samą myśl o pysznych słodkościach szczerzę zęby w uśmiechu.

— Cudownie! — piszczy Aviana. — Kocham ptysie.

— Zdecydowanie ja również je kocham — dodaje Troy. — Porwanie cię było jedną z najlepszych decyzji, jakie podjął Vincent.

— Jaki ty jesteś dzisiaj słodki, Troy — fukam. — Napluję ci do masy.

— Takie słodkie usta mnie nie przerażają. — Uśmiecha się lubieżnie. — Atak zakończony porażką.

Prycham niedowierzająco na jego dziecinne żarty.

— Jesteś głupi — komentuję. — Gofry na śniadanie? — zwracam się do Aviany.

— Tak. Z czym byś sobie życzyła? Dżem, śmietana, karmel, czekolada? A może na słono? Spełnię każdą zachciankę. — Uśmiecha się serdecznie. — Muszę dbać o twój organizm.

— To ja poproszę jednego na słono i jednego z wszystkim, co słodkie.

— Oczywiście. — Śmieje się.

— Chyba się zaaklimatyzowałaś, co? — pyta mnie Stanley.

Zajmuję miejsce po jego prawej i kładę mu dłoń na przedramieniu. Spina się na mój dotyk, ale

nie odpycha mnie ani nie zmienia spojrzenia na groźne. Nadal jest lekko rozpromieniony.

— Trudno powiedzieć, bo nie mam pojęcia, co czuję. Chciałabym zadzwonić do Anny i Jerry'ego — przyznając cicho. — I chcę zobaczyć babcię, ale nie wiem, czy to dobry pomysł, by prosić o to Vincenta.

— Skarbie, jestem pewny, że jeśli go *ładnie* poprosisz, zrobi, co tylko będziesz chciała. — Troy parska śmiechem, a Stanley odchrząkuje. — No, to znaczy, jak będziesz grzeczna — poprawia się.

— Mhm — mrużę oczy.

Coś tu śmierdzi.

Po śniadaniu i pysznej kawie w towarzystwie Aviany decyduję się na pieczenie ptysiów. W związanych na czubku głowy kitkach, koszulce Vincenta i bez spodni, bo je zdjęłam z powodu gorąca, zaczynam zabawę. Muzyka, którą puszczam z iPod'a, roznosi się po całej kuchni i najprawdopodobniej reszcie pomieszczeń. Wczuwam się w rytm piosenki mojego ukochanego wokalisty i nic nie ma dla mnie znaczenia. Jestem ja, jego cudowny głos i ptysie, które robię.

Gdy ciasto jest gotowe do pieczenia, wyciągam rękaw i nakładam do niego masę. Wyciskam po sześć górek w rządkach i uśmiecham się dumnie, bo idealnie wyliczyłam proporcje. Ciastka zajmują całą foremkę i nie zostanie mi ani odrobina niespożytkowanej masy. Czuję podekscytowanie i wiem, że jest to dziwne, bo to tylko ptysie, ale... zawsze traktowałam moją pracę nad wyraz poważnie.

Wsuwam blachę do piekarnika i sprzątam blat, by mieć miejsce na zrobienie masy. Nie wiem jeszcze, czy chcę przygotować jedną, czy może zaszaleć i zrobić dwie. Bita śmietana i coś budyniowego — to brzmi zachęcająco.

— Nad czym dumasz? — pyta mnie Stanley.

Podskakuję w miejscu, kompletnie się go nie spodziewając, i łapię się za skronie. Mam dłonie z ciasta, więc spektakularnie kleję sobie włosy. Zajebicie. Oni zawsze mnie stresują w najmniej odpowiednim momencie! Kretyni.

— Serio? — Parska śmiechem. — Naprawdę jesteś niezdarna, Cukierku.

— Nie strasz się kobiety z brudnymi rękami — warczę. — Są tutaj gdzieś mokre chusteczki?

— Nie, Cukierku, ale masz wodę bieżącą w kranie. I ręczniki papierowe w którejś z szafek. Tak tylko mówię.

— Okej.

Podchodzę do kranu i oblewam twarz wodą, a następnie unoszę koszulkę i wycieram się bez skrępowania. Wiem, że Stanley widzi moje majtki i połowę pleców, ale jakoś mnie to nie przeraża. Wyzbyłam się tego rodzaju wstydu w czasie nauki w liceum, kiedy musiałam się przebierać na wychowaniu fizycznym w jednej szatni z chłopakami. Nasz trener był kretynem.

— Gdyby Vincent wiedział, że patrzę na twój tyłek, najprawdopodobniej leżałbym już trupem — wzdycha mężczyzna. — Ile ty ważysz? Jesteś strasznie drobna.

Odwracam się do niego przodem i prostuję koszulkę, by moje cycki nie świeciły przed nim w całej okazałości. Uśmiecham się szczerze i podchodzę, bo mam zamiar go wykorzystać.

Ale to za chwilę.

— Nie ważyłam się bardzo dawno — mówię. — Ale jem dużo, na pewno zauważyłeś, tak więc jestem zdrowa. Nie musisz się o mnie martwić, Stanley.

— Niestety muszę. — Wzrusza ramionami. — Jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo.

— Co?

— No, to znaczy mam cię pilnować, żebyś nie spierdoliła, tak? — warczy pokazowo, by podkreślić sztuczne zdenerwowanie.

Przechodzę na tryb zirytowanej kobiety i wymierzam w niego palec.

— Rozmawiaj ze mną jak z równą sobie, przecież nie jestem idiotką. Wiem, że Vincent zachowuje się dziwnie z mojego powodu — pryham. — I czuję, że jest dla mnie inny niż dla każdego, kto ma z nim styczność. Takie rzeczy się czuje, więc nie owijaj w bawełnę, Stanley!

— To o co mnie pytasz?

— Pytam o bezpieczeństwo! Coś mi grozi?

— Nie, po prostu musisz być zdrowa. Chodzi o twoje ciało i głowę, o samopoczucie i o to, jak się odżywasz, i tak dalej. Chodzi o to, że Vincent wyraźnie zaznaczył, że musisz być zdrowa i dobrze się czuć, tyle. Chcemy, żebyś się z nami dobrze czuła.

Uśmiecham się lekko na tę *jakby* deklarację i zaplatam ręce na piersiach.

— A dlaczego miałby cię zabić za mój tyłek?

— Twój tyłek nie jest przeznaczony dla moich oczu.

— A dla czyich? Jego?

— To już pytanie nie do mnie. — Wzrusza ramionami.

— Lubię cię, wiesz? — przyznaję, przechylając głowę.

Opieram się na blacie rękami i pochylam w jego kierunku, wbijając w niego podejrzliwy wzrok. Spina się.

— Ja również cię lubię, Cukierku, zawsze możesz na mnie liczyć.

— Ooo! — jęczę. — To było słodkie.

— Jak już mówiłem, to mój obowiązek. Ale szczerze cię lubię, jesteś szalenie urokliwym stworzeniem. Co teraz będziesz robić?

— Krem. Chcesz mi pomóc, prawda?

— Nie. Ale jeśli ty chcesz, to nie będę się sprzeciwiał.

Prostuję się gwałtownie i klaszczę z aprobatą, bo z rozkoszą go wykorzystam.

— To możesz ubić śmietaną, a ja w tym czasie przygotuję krem budyniowy, okej?

— Jeśli tylko masz takie życzenie. — Uśmiecha się.

Kieruję się więc do lodówki i wyjmuję kartonik z bitą śmietaną, którą trzeba ubić. Z szafki wyciągam miskę i mikser i wszystko stawiam przed Stanleyem. Podłączam urządzenie i przelewam krem do naczynia, a następnie uśmiecham się i przysuwam do mężczyzny miskę oraz wręczam mu mikser. Kiedy on ubija, ja oddalam się do piekarnika, by sprawdzić, jak tam moje ciacha. Rosną jak zwariowane i prezentują się wręcz obłędnie.

— Jak to ma ostatecznie wyglądać? — pyta sceptycznie. — Śmietana z wody?

— Tak. Zaczynij ją miksować, a ja dodam łyżkę cukru pudru i saszetkę proszku, który ją trochę usztywni. Nie obawiaj się, Stanley, nie spieprzysz tego. Czuwam nad tobą.

Uśmiecha się z wdzięcznością i już bez słowa zabiera się za pracę. Miesza niczym zawodowiec.

— Kochasz te słodkości, co? — pyta po chwili, gdy wysypuję czubatą łyżkę cukru pudru do miski.

— Kocham je robić i Kocham je zjadać — przyznaję z nieśmiałym uśmiechem. — A tak właściwie, to co się dzieje z moją cukiernią?

— Nic, pracują dalej, masz zastępcę.

Aha. Miło.

— Wszyscy narzekają, nie dają się. Każdy za tobą tęskni — dodaje pod nosem.

— Myślisz, że Vincent odda mi telefon?

— Twojego nie, ale inny może tak. — Śmieje się. — Twój ostatnio przytulił się do ściany. Niestety było to za mocne spotkanie, by przeżyć — wzdycha. — Ale wracając do tematu ciebie i mojego szefa. — Mruży oczy i pochyla się ku mnie nieznacznie. — Chciałaś uciec w tej galerii czy jednak to było tylko sikanie?

— To było siusiu — jęczę i parskam śmiechem. — Jestem tylko człowiekiem, mam potrzeby. A poza tym przecież nawet się od niego nie odsuwam. W ogóle! Nie mam się komu zwierzać z tej relacji — skarżę się. — Możesz mi powiedzieć, czy ja jestem wariatką? Mam wrażenie, że zamiast być uwięzioną, przeżywam jakąś szaloną przygodę. — Chowam twarz w dłoniach, by nie widział mojego zażenowania. — To chore.

— To nie jest chore, Cukierku. To po prostu fascynacja, nie bój się tego, co się dzieje.

— Nie boję się — przyznaję. — Po prostu to kurewsko frustrujące.

— Rób to, co uważasz za słuszne — mówi poważnie. — Albo to, czego po prostu chcesz.

Unoszę wzrok. Wygląda, jakby naprawdę mnie do tego zachęcał. Szkoda tylko, że ja sama nie wiem, czego chcę. Uciec? Zostać?

— To, czego chcę? Słuchaj, no nie wiem — odzywam się po chwili i przybieram rozbawiony wyraz twarzy. Nie mam ochoty na poważne przemyślenia. — Mam ochotę zdjąć koszulkę, a nie mam stanika — droczyć się. — Mogę?

— Nie, to mi podaruj. — Wybucho śmiechem. — Jestem pewny, że byłyby to szalenie przyjemne widoki, ale bałbym się konsekwencji. Vincent jest nieobliczalny, niestety.

Stanley włącza mikser i odkłada obok miski. Kiwam głową na znak, że śmietana jest okej, i przygryzam wargę, niepewna, czy chcę w dalszym ciągu rozmawiać o Vincencie. Choć z drugiej strony to może być jedyna okazja...

— Vince mógłby mi coś...

— Nie — przerywa mi natychmiast, nie dając dokończyć. — Nigdy.

Powaga w jego głosie ucina temat. Rozumiem przekaz i nie chcę drażnić tematu.

— Okej, a ile masz lat? Jesteś starszy od Vincenta?

— Mam trzydzieści dwa lata. — Uśmiecha się. — A Troy jest rok starszy niż Vincent.

— Uprzedziłeś moje pytanie. Jesteście taką jakby trójką przyjaciół? Bo w sumie wasza relacja jest dziwna. Troy się boi Vincenta. — Cukierku, ja również nie śmiałbym się sprzeciwić. Jak już mówiłem, jest nieobliczalny.

— Rozumiem, że nie mogę go denerwować?

— Ty? — Uśmiecha się głupkowato. — Ty po prostu nie uciekaj.

— Okej, postaram się.

Czterdzieści minut później rozkrawam ptysie na połówki, a Stanley bawi się moim kremem budyniowym o smaku toffi i chamsko, mimo moich gróźb, wszystko wyjada. Nie jestem jednak na niego zła, ponieważ skutecznie umila mi pracę swoim towarzystwem. Jest świetnym rozmówcą i doskonałym słuchaczem.

— Wyzarłeś mi połowę kremu — wzdygam, gdy ciastka są przekrojone.

— Przepraszam, Cukierku. Ale to jest takie dobre, że musiałem. Przeżywam orgazm kubków smakowych, a to tylko głupi budyń. Jesteś jakimś pieprzonym bożkiem — furczy.

— Tak, zdecydowanie jestem ideałem. — Parskam śmiechem.

— Prawdopodobnie — dociera do mnie mroczny głos.

Unoszę wzrok na ciemną postać, która stoi za Stanleyem. Vincent ma rozbiegany wzrok i twardą minę, którą chyba chce mnie przestraszyć. Nie udaje mu się to, bo jedynie szeroko się do niego uśmiecham.

— Gdzie byłeś? — pytam.

— Interesy — zbywa mnie. — Chodź na górę, mam coś dla ciebie.

Po tym odwraca się i odchodzi. Spoglądam na Stanleya, a on kiwa głową, żeby mnie pogonić. Wiem, że chce zjeść resztę kremu, widzę to w jego niebieskich oczach. Zabieram mu więc miskę i ignorując jego zboląły wzrok, nabieram masy do mniejszej miseczki. Piętnaście ptysiów mam przeznaczonych na budyniowy krem, a piętnaście na zwykłą bitą śmietanę, więc mniej więcej wiem, ile muszę mieć nadziei. Oddaję mu wyznaczoną porcję słodczy i uśmiecham się szczerze, gdy widzę, jak się cieszy. To urocze, że złych chłopców można przekupić słodczymi.

— Jesteś cudowna — komentuje.

Przewracam oczami i z rozbawieniem klepię go po ramieniu. Lubię go, nawet bardzo go lubię!

Zmierzam prosto na górę i gdy docieram na ostatni stopień, zatrzymuję się. Vincent stoi przy ścianie z dziwnie groźną miną. Jest w zwykłej czarnej koszulce i dresowych spodniach.

— Co jest? — pytam ostrożnie.

— Widzę, że łączy cię ze Stanleyem bardzo zażyła relacja — mówi przez zaciśnięte zęby.

Wygląda na zdenerwowanego.

— Zażyła? — Krzywię się. — Raczej powiedziałabym, że luźna. Lubię go i na pewno wolę spędzać czas z nim niż z Troyem. Troy jest dużym dzieciakiem.

— To prawda — prychna i minimalnie łagodnieje. — Stanley jest starszy i mądrzejszy niż ten

kretyn.

— Tak, nie chciałam tego mówić głośno. — Śmieję się. — Ale to prawda.

— Idziemy.

Łapie mój nadgarstek i ciągnie mnie do pokoju, który został mi przydzielony. Otwiera drzwi i wpuszcza mnie jako pierwszą. Wchodzę i nie rozumiem, po co mnie tu przyprowadził. Niczego nowego nie widzę.

— Emerald — mruczy mi do ucha i kładzie dłonie na moich biodrach, a następnie przesuwając ręce w górę po moim ciele aż na żebra. — Moja praca wymaga dużo ryzyka i muszę spędzać wiele czasu poza domem. Mój kot został chwilowo w Denver, ale następnym razem go wezmę. Kupiłem ci malucha do towarzystwa. Kiedy mnie nie będzie, możesz się przytulać do niego.

Całuje mnie w szyję, drażniąc ją zarostem, więc automatycznie przyciskam policzek do jego skroni. Śmieje się pod nosem na mój ruch i decyduje się na jeszcze jeden pocałunek, tyle że w policzek, i dopiero po nim całkowicie się ode mnie odsuwa.

— Gdzie ten kot? — pytam spokojnie.

Staram się nie wrzasnąć z ekscytacji.

— Na łóżku.

— Jak mi nasikał na poduszkę, obiecuję, że na twoją zrobi kupę — ostrzegam.

Parska pod nosem, ale nie pozwala sobie na szczerzy i głośny śmiech. Jest wyraźnie zdystansowany. Olewam to jednak i kieruję się do rozkopanej pościeli, by zaraz zobaczyć maleńką, szarą kuleczkę z ogromnymi, ciemnożółtymi ślepkami. Wydaję z siebie pisk ekscytacji i podskakuję, patrząc na to małe cudencko. Jest taki tłusciutki i malutki! Matko, chyba się zakochałam.

— Podoba ci się? — szepcze Vincent do mojego ucha.

— Jest taki piękny! — jęczę.

Unoszę do kotka dłoń i delikatnie głaszczę jego mały łebek. Jest trochę przestraszony. Pragnę krzyknąć z miłości, ale tym jedynie go przestraszę, więc cicho piszczę pod nosem.

— Dziękuję — mówię ze wzruszeniem.

Odwracam się do Vincenta przodem i obejmuję go w pasie, patrząc z dołu prosto w jego ciemne tęczęwki. Nie mam pojęcia, co czuje, ale wydaje się zadowolony. A ja jestem wręcz upojona szczęściem.

— Cała przyjemność po mojej stronie, maleńka.

Pochyla się nieznacznie i prawą dłonią ujmuje mój policzek. Przebiega po nim kciukiem i zamyka oczy, jakby nie mógł wytrzymać mojego spojrzenia. To dziwne, ale nie przejmuję się tym. Przenoszę ręce z jego pasa na tors i mnąc koszulę, przyciągam go do siebie, mocno obejmuję i po prostu się przytulam, szepcząc podziękowania prosto w jego szyję. Drży, najprawdopodobniej jest to spowodowane jego cichym śmiechem. Jestem perfidnie rozczulona i pełna miłości. Rany! To nieziemsko słodkie.

— Upiekłam ci obiecane ptysie — mruczę mu do ucha i delikatnie przygryzam jego płatek. — Mam nadzieję, że będą ci smakować.

— Wszystko, co zrobisz, będzie mi smakować — mruczy.

Łapie w dłonie moje pośladki i jednym pewnym ruchem podnosi mnie do góry, a ja obejmuję go nogami w pasie. Palce wplątam w jego miękkie włosy i pochylam się, łącząc nasze czoła. Czuję się wręcz wybornie.

— Wykończysz moje plecy — szepcze. — Jesteś strasznie niska.

— Nie, to ty jesteś za wysoki.

Delikatnie przesuwam paznokciami po jego głowie aż na kark i potem ujmuję jego policzki. Przygryza wargę, gdy nasze spojrzenia się przecinają. Cholera, czuję to. To magnetyzujące coś, przez które mam chwilową ochotę, by zrobić z nim dosłownie wszystko. Jego spojrzenie jest czyste, pełne emocji, których nie umiem nazwać.

— Nie patrz tak — szepcze.

— Jak?

— Intensywnie. Twoje oczy są takie ogromne i cholernie błyszczą.

Zaciska szczękę i oczy, odcinając mi dostęp do swoich ciemnych tęczęwek. Gładzę jego

zarośnięte policzki spokojnymi ruchami kciuków.

— Twoje są większe — komentuję. — Pocałuj mnie, Vincent.

— Sama mnie pocałuj. — Spogląda na mnie prowokująco. — Jestem przekonany, że zrobisz to lepiej niż ja.

— Tak? — Pochyliam się z szerokim uśmiechem. — Skąd ten wniosek?

— Męska intuicja — mruczy i spokojnie przymyka powieki.

Parskam cichym śmiechem i kręcąc głową, leniwie łączę nasze usta. Wkładam w pocałunek całe rozczulenie, jakim mnie napełnił, i poruszam się najwolniej, jak to tylko możliwe. Te subtelne pocałunki są perfekcyjne. Tak samo jak jego miękkie wargi. I sposób, w jaki oddaje moje ruchy... Cała przez niego drzę i chcę więcej. Z każdym pocałunkiem pragnę go bardziej i bardziej.

— Drżysz — mruczy. — Czyżby to była moja zasługa?

— Nie, to przez kota — droczyć się i boleśnie gryzę jego dolną wargę. — Przecież to on mnie całuje.

— Emerald — wzdycha.

Kręci głową i znów wbija we mnie to intensywne, piękne spojrzenie. Czekam, aż coś doda, ale on znów się zawiesza. W jego oczach migoczą urocze iskierki, a ja kolejny raz mam wrażenie, że gdzieś już czułam to spojrzenie. Jakbym kiedyś patrzyła w te intensywne, brązowe oczy okolone imponującymi rzęsami.

Przesuwam palcem wzdłuż linii jego szczęki i przechylam głowę. Wraca na ziemię dopiero, gdy nieznacznie wbijam paznokieć w jego dolną wargę. Otwiera usta i gryzie mnie ze złośliwym błyskiem w oczach. Wyrywam mu palec i mrużę gniewnie powieki, na co już całkowicie się rozluźnia.

— Wieczorem ustalimy wspólną wersję twojego wyjazdu i dam ci telefon — oznajmia w końcu. — Mogę ci ufać i być pewnym, że nie wywiniesz głupiego numeru?

Jego spojrzenie ostrzegawczo ciemnieje.

— Sam to oceń. — Uśmiecham się szeroko i pochylam, szturchając czubkiem nosa jego nos. — Czy możesz mi ufać? — mruczę. — Ja ci zaufałam, mimo że mnie porwałeś, czubku.

Spina się.

— No właśnie, więc to ty jesteś czubkiem — prycha z lekkim rozbawieniem.

— Nie prowokuj mnie. — Mrużę oczy i wsuwam palce w jego włosy, a potem delikatnie, jedynie dla prowokacji, ciągnę za nie.

Ściska moje pośladki w odwecie i mruczy, czym całkowicie mnie ogłupia. Patrząc w te jego brązowe, błyszczące oczy i nie mam pojęcia, co czuję. Poza cholernym podnieceniem czai się w nim coś jeszcze. Coś niebezpiecznego.

— Nie śmiałybym — szepcze. — Masz może ochotę?

— Na co?

Na ciebie?

— Na ptysie. — Unosi brew.

— Zdecydowanie tak. Ale na ciebie również mam — dodaję szeptem.

Jeszcze raz całuję jego słodkie wargi. Wyraźnie go tym zaskakuję, ale nie odsuwa się. Oddaje mi pocałunek i mocno ściska mój tyłek, tak że jęczę z przyjemności. Lubię odrobinę perwersji w łóżku. Wręcz, kurwa, ubóstwiam i pragnę, by mnie ktoś w końcu porządnie zerznął.

Ja pierdołę. Ogarnij się, Valerio!

— Weź tego kota i idziemy. — Odsuwa się ode mnie gwałtownie i odchyła głowę. — Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia przed porannym wyjazdem.

Wzdycham z rozdrażnieniem na wieść o jego wyjeździe i ostatni raz go całuję. Tym razem w nos i na zakończenie przygryzam jego czubek. Jego bliskość zaczyna być dla mnie niebezpieczna.

Rozdział 14

Po prysznicu, zjedzeniu śniadania i wypiciu z Vincentem pysznej kawy wracam do pokoju. Mój porywacz jest dzisiaj niezwykle nerwowy i wszystko robi w pośpiechu, czym mnie irytuje, więc postanawiam spędzić czas w samotności. Godzinę później słyszę jego donośny głos:

— Do zobaczenia za tydzień, Emerald!

Wychodzę z pokoju szybkim krokiem, rzucając szczotkę do włosów na łóżko, i dobiegam do schodów w chwili, gdy Vincent otwiera drzwi. Nie patrzy na mnie, tylko po prostu wychodzi. Zbiegam szybko po schodach i otwieram drzwi, które za sobą zamknął. Jestem boso, więc nie wychodzę dalej niż na próg.

— Vincent! — odzywam się wściekle. — Wracaj tutaj, dupku!

Mężczyzna otwiera drzwi swojego samochodu i odwraca się w moim kierunku z poważną miną. Pytająco unosi brew, a mnie zalewa fala frustracji. Po tych kilku wspólnych dniach i zbliżeniach ma zamiar tak po prostu sobie pojechać? Bez przytulenia mnie? Bez pocałowania? Bez pieprzonego pożegnania?!

— Wróc tu — żądam.

Unosi brew z rozbawieniem i przechyla głowę.

— Do zobaczenia, Emerald — odkrzykuje mi tylko.

Wsiada do samochodu jak gdyby nigdy nic i puszcza mi oczko.

— Jeśli nie wrócisz i się ze mną nie pożegnasz, możesz być pewny, że za tydzień mnie tu nie będzie — oznajmiam.

Uśmiecha się jak dupek, czyli z niewzruszoną pewnością siebie i cwaniacko, a we mnie gotuje się krew. Jak śmie się ze mną nie pożegnać, kiedy tego oczekuję?!

— Do zobaczenia — powtarza.

Wysła mi buziaka, zatrzaskuje drzwi i samochód rusza z piskiem. Cóż, jeśli myśli, że żartuję, to się, kurwa, bardzo grubo myli. Jestem dzień przed okresem, nie zostałam prawidłowo zaspokojona i cierpię na syndrom sztokholmski. Nie będę się z nim bawić, co to, to, kurwa, nie.

Wracam do domu pełna frustracji i kieruję się do kuchni, w której panuje bałagan po naszym śniadaniu. Aviana sprząta i nuci jakąś jedynie sobie znaną melodię. Nie wnikam, tylko biorę ciastko z patery i wpycham całe do buzi. Jestem cholernie sfrustrowana. A przez frustrację i okres mam ochotę zrobić Vincentowi na złość — i zrobić! Obiecał wrócić za tydzień, a pojechał z Troyem i Stanleyem, więc nikt bezpośrednio mnie nie ochrania. Wprawdzie w domu cały czas kręcą się jacyś napakowani goryle, ale są nieszkodliwi i do pokoju Vincenta nie wejda. A przynajmniej taką mam nadzieję, bo właśnie ten pokój będzie moją bramą do wolności. Niech wie, że mnie się nie zostawia w potrzebie i przed okresem. Nigdy.

— Pójdę pomiziać kotka — oznajmiam.

Aviana uśmiecha się pod nosem i kontynuuje sprzątanie. Idę na górę, prosto do pokoju tego ciemnookiego czubka. Będąc w środku, zgarniam z szafki papierosy i zapalniczkę, a następnie kieruję się na balkon. To właśnie wtedy mam zamiar uciec, by zrobić Vincentowi na złość. Opieram się o barierkę i paląc, skupiam na widoku przed sobą. Uwielbiam patrzeć na ocean, uspokaja mnie i pozwala na rozmyślanie.

Czas płynie nieubłaganie, więc tydzień mija w mgnieniu oka. Vincent się nie odzywa, Aviana nic nie mówi, a ja już wiem, jak niezauważenie się wydostać z tego domu. Przez cały tydzień byłam grzeczna, mimo że miesięczka dawała mi nieźle w kość. Staralam się spędzać czas z kotkiem, któremu dałam na imię Wafel, bawiłam się z nim i rozpieszczałam go. Jest najsłodsza szarą kluseczką, jaką w życiu widziałam, więc skutecznie odciągał mnie od niechcianych myśli. Poza nim zajmowałam się też pieczeniem, gotowaniem z Avianą i spacerami po plaży. Na dzisiejszą akcję mam przygotowane kilka rzeczy, dzięki którym łatwiej się ulotnię.

Kotka nakarmiłam i wycalowałam przed kolacją, więc grzecznie spał, a ja mogłam przystąpić do

działania. Siedzimy razem z Avianą w kuchni, zajadając się pyszną zapiekanką, i rozmawiamy o wszystkim, a jednocześnie o niczym. Bardzo lubię spędzać z nią czas. To szalenie miła kobieta, która lubi opowiadać o Miami.

— Vincent będzie w domu za dwie godziny — oznajmia nagle, kompletnie zmieniając temat ze szczeniaków, o których rozprawiła przez ostatnie kilka minut. — Kazał ci przekazać, żebyś zaczekała i nie szła spać. Jest w kiepskiej formie.

Chwilę temu wybiła dwudziesta, więc pora na ucieczkę będzie idealna za równe półtorej godziny. Super, bo bałam się, że może wrócić późno w nocy i będę zmuszona koczować na plaży dłużej, niż to konieczne. Postanowiłam, że schowam się w budce na plaży, zamiast uciekać i robić wszystkim kłopot. Daleko i tak bym nie mogła zwiać, a do Denver sama się nie dostanę. Jestem bez telefonu i pieniędzy. I nikt mnie nie zawiezie na lotnisko!

— Co? — Dopiero dociera do mnie to, co powiedziała. — W jakiej kiepskiej formie? — dopytuję.

— Coś poszło nie po jego myśli, jest lekko poturbowany. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

Krzywię się na jej słowa, ale nie komentuję. Jeśli czegoś się w tym domu nauczyłam, to tego, że gdy deklaram milczenie, moja frustracja nie zda się na nic. Vincent ich dobrze wyszkolił, nie ma co. Pan zaklaszcze, pieski zaszczekają. Pan nie pozwoli, pieski nie dotkną.

Czekał mnie ten sam los.

— Dlaczego jesteś ubrana cała na czarno? — pyta Aviana po krótkiej chwili ciszy.

Spoglądam na nią z wymuszonym uśmiechem i wzruszam ramionami. Nie chcę być zauważona podczas ucieczki z domu, więc nie mogę mieć na sobie kolorowych ciuchów.

— To przez okres — kłamię gładko. — Czasem nachodzi mnie ochota na przebranie się w całości na czarno.

— Rozumiem — uśmiecha się, kręcąc głową. — Jesteś tym typem, który ubiera się zależnie od humoru? Nie sądziłam.

— Tylko jeśli chodzi o okres. Zazwyczaj nie przywiązuję wagi do tego, co mam na sobie. Raczej jestem niezdarą i niechlujem — przyznaję nieśmiało i parskam cichym śmiechem. — Nie lubię się bawić i wciskać w sukienki, robię to tylko, kiedy muszę.

— Rozumiem. Jesteś śliczna i nawet w worku wyglądałabyś wspaniale.

Krzywię się. Jestem zwykła i w worku wyglądałabym do dupy, jak każdy. Ale doceniam jej komplement.

— To nieprawda — protestuję, choć na moich wargach błąka się uśmieszek.

— Prawda. Masz przepiękne, ogromne oczy, w których każdy mógłby utonąć. Jestem pewna, że niejedynemu mężczyźnie zwariował na twoim punkcie właśnie przez nie. Sama nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś, kto miałby takie oczy. Czasem są jasne, a czasem ciemne, prawie jak u Vincenta. Jednak u niego tę jasną wersję widzę bardzo rzadko. Zwykle są czarne, nie brązowe, i nie mają blasku.

— Ale za to ma zabójcze rzęsy — przyznaję. — W ogóle jest cholernie przystojny.

— To prawda. — Chichocze. — W jego twarzy brakuje jedynie szczęścia, z nim byłby wręcz idealny.

— Jest pieprzonym dziwakiem.

— Może. — Wzrusza niezobowiązująco ramionami. — Ale bardzo cię lubi.

— Nie, nie sądzę. Jest łasy na moje słodycze.

Na samą myśl o tym, że Vincent mnie lubi, robi mi się ciepło.

— Oj, nie zgadzam się! On zdecydowanie nie jest łasy na słodkości. Nienawidzi słodyczy. Je tylko te, które dla niego zrobisz, wcześniej nie tykał żadnych ciastek, ciast czy nawet cukierków.

— Poważnie? Jak długo go znasz? Jak można nie jeść ciastek?! — Wytrzeszczam oczy w szoku.

— No nie jadł. Przecież też umiem piec, a nic mojego nie chciał. Mówił, że słodycze nie są częścią jego życia. Zawsze pochłaniali to Stanley i Troy, on zostawiał. I matko jedyna, twoje tęczówki są przeogromne!

Przewracam oczami.

— Nie rozumiem waszego zachwytu moimi oczami. Mam wspaniałe cycki, nimi się

pozachwycajcie! — Śmieję się.

— Ja ich nie widziałam, więc nie mogę. — Mruga do mnie. — Ale oczy? Oczy są odzwierciedleniem duszy, a ty, skarbie, masz w sobie niesamowite pokłady szczerej miłości.

— Przerażają mnie ludzie, którzy zagląдают do mojej duszy — przyznaję.

— Kto w nią zaglądał?

— Moja babcia, teraz ty i mam wrażenie, że Vincent za każdym razem, gdy w nie patrzy. Za to u niego nie widać nic, jego oczy są puste. Jak to możliwe?

— Nie mam pojęcia. — Krzywi się z rozbawieniem. — W jego oczy nie każdy może spoglądać.

— Racja, można się zamienić w kamień — żartuję. — Idę do pokoju, zdrzemnę się chwilę.

— Oczywiście. Ale pamiętaj, że za niecałe dwie godziny Vince wraca i liczy, że się z nim przywitasz.

Dobre sobie.

— Nie chciał się ze mną nawet pożegnać, jak wyjeżdżał! — buczę.

— Vincent nie żegna się z tymi, których nie zamierza zostawić.

— Co? — pytam zszokowana i marszczę czoło.

Aviana przygryza nerwowo wargę. Widzę po niej, że nie chciała tego powiedzieć, więc niechętnie odpuszczam. Nie powie mi, o co chodzi, to oczywiste, bo Vincent by ją okrzyczał. Cholerni wierni pracownicy.

— Nie podejmuję próby uzyskania wyjaśnień — oznajmiam. — Do jutra lub do później.

— Dobranoc, skarbie — szepcze i uśmiecha się z wdzięcznością.

Idę na górę spokojnym krokiem i mijam na schodach dwóch mężczyzn, którzy są w domu cały czas, odkąd Troy i Stanley wyjechali z Vincentem. Nie nabrałam ochoty na poznanie ich, więc po prostu ich mijam i zmierzam do swojego pokoju. W nim padam na łóżko i zajmuję się moim słodkim kociakiem. Trwa to tak długo, póki nie widzę na zegarze dziewiętej piętnaście. Przytaszczyłam ten zegar z biblioteki, którą znalazłam za drzwiami naprzeciwko sypialni Vincenta. Widziałam tam również kilka kompletów broni, ale nie miałam tyle odwagi, by ich dotykać. To jeszcze nie ten etap spaczenia w mojej głowie.

Całuję kotka w łebek, odkładam go na poduszkę, na której zwykłam spać, i opuszczam pomieszczenie, zamykając je na klucz. Będą musieli sprawdzić, czy nie śpię, więc zyskam więcej czasu, by dotrzeć nad ocean. Jestem genialna. Po cichu udaję się do pokoju Vincenta i gdy już w nim jestem, idę prosto na balkon, a z niego na drabinkę po lewej stronie, którą udało mi się wypatrzeć przedwczoraj. Schodzę ostrożnie na dół i rozglądam się dookoła. Widzę faceta, który siedzi na tarasie i rozmawia przez telefon. Kieruję się więc w przeciwną stronę na palcach i gdy jestem pewna, że mnie nie widzi, biegnę. Biegnę, ile sił w nogach, i zatrzymuję się dopiero przy ostatniej palmie przed wodą. Stąd będę musiała biec kilka minut do starego domku, mojej kryjówki na czas, w którym chcę pokazać Vincentowi, że moje potrzeby trzeba spełniać. Niech wie, że kobiet przed okresem się nie denerwuje. Może być zły wyłącznie na samego siebie.

— Co? — warczy mężczyzna, który stoi przy wyjściu na plażę.

Nie zauważyłam go wcześniej i, kurwa, moje serce przyspiesza do maksimum. Przytulam się do pnia i błagam, niech się nie ogląda. Albo niech będzie ślepy i mnie nie zauważy, bo zwariuję. Mój plan był doskonały i jego niepowodzenie doprowadzi mnie do szału.

— Co-co? — odzywa się drugi.

Wstają z piasku i rozglądają się, jakby coś zgubili. Błagam, byle nie mnie.

— Tam jest — mówi jeden, zmierzając w moją stronę.

Zamieram, ale na szczęście jedynie podnosi coś z ziemi, zaledwie krok dalej. Zagryzam nerwowo wargę, bo nie wyglądają na miłych. Wprawdzie widzę tylko ich sylwetki i mięśnie, ale... Jakby chcieli mnie schwytać, nie miałabym szansy na ucieczkę.

— Zegarek wibruje — oznajmia pierwszy. — Odpal to gówno, coś się stało.

— Nie widzę włącznika — skarży się drugi.

— Idiota — kwituje kolega.

Odbiera przedmiot i zaraz słyszę głos Vincenta.

— Gdzie ona jest? — pyta spokojnie, choć dziwnie słabo.

— Kto?

— Dziewczyna — warczy.

— Anthony z Andrew są w domu, szefie, na zewnątrz jej nie było. Nie wychodziła na plażę — odpowiada nerwowo osiłek.

— GDZIE JEST EMERALD?!

On nie krzyczy, on drze się jak opętany! Och, kurwa, nie o to mi chodziło. Cholera. Przeraza mnie barwa jego głosu. Przyciskam się mocniej do pnia i zamykam powieki. Nie chcę być przyczyną jego gniewu. Nie chcę, by zrobił mi krzywdę dlatego, że chciałam tylko delikatnie go ukarać. Przerazenie wypełnia moje żyły i od razu zaczynam żałować swojego występku.

— KURWA! — krzyczy i coś, nie mam pojęcia co, łąduje na ścianie bądź podłodze z ogromnym hukiem. — KURWA, PO PROSTU, KURWA MAC!

— Vincent, jesteś ranny! — słyhać Troya. — Znajdziemy ją, uspokój się.

— Gdzie ona jest?! Spierdoliła wam w ostatnich minutach! Zapiardolę wszystkich!

Kolejne przedmioty roztrzaskują się w drobny mak. Słyszę, jak Stanley krzyczy, Vincent się wścieka i wszystko się rozpieprza. Jestem tak bardzo przerażona, że nie mogę się ruszyć.

— Nie, do kurwy! — warczy Stanley. — Odłóż ten jebany pistolet, Aviana mówi, że półtorej godziny temu tutaj była. Nie mogła odejść daleko, może zeszła na dół. Oddychaj.

— Jeśli jej nie znajdą do pół godziny, zastrzelę każdego, kto był odpowiedzialny za jej pilnowanie — warczy morderczo. — Wszyscy macie się tu stawić, macie jebaną minutę!

Mężczyźni biegiem udają się do domu, a ja z przerażenia nie mogę zaczerpnąć oddechu. Jego głos huczy w mojej głowie i sieje spustoszenie. Jest tak bardzo wkurwiony, że aż czuję to tutaj! Kurwa, nie o to mi chodziło!

Wybiegam na plażę z prędkością światła i kieruję się do domku, który stoi nad wodą. Dobiegam do niego bardzo szybko, z niezwykłą dla mnie prędkością. Wychodzę po drewnianych schodkach i siadam na balkoniku, wgapiając się w fale. Jest mi ciepło, bo mam na sobie bluzę i grube dresy, ale cała drzę. Obejmuję się szczerze rękami, przyciągając kolana pod brodę. Na samą myśl o głosie Vincenta robi mi się słabo. Boję się. Tak szczerze się boję i przeraża mnie fakt, że Stanley mówił o pistolecie. On był poważny? Chciał zabijać za to, że mnie nie upilnowali? To jest chore. W ogóle broń w domu jest chora! Opieram policzek na kolanach i zaciskam powieki, wsłuchując się w nieregularny, paniczny stukot mojego serca. Próbuję unormować oddech. Boję się reakcji Vincenta, gdy mnie znajdzie, i szczerze żałuję, że chciałam utrzymać mu nosa. Nie było warto. Zdecydowanie nie było, kurwa, warto.

Po kilku długich, męczących minutach docierają do mnie kroki. Moje serce znów gwałtownie przyspiesza.

— Emerald. — Vincent warczy morderczo nade mną.

Zamieram. Nie jestem w stanie nabrać w płuca oddechu, gdy dociera do mnie moc jego wkurwienia, które jest wręcz namacalne i... robi się ciemno.

Budzę się w spowitym półmroku pokoju. W moim pokoju, na łóżku z baldachimem. Obok mnie świeci jedna lampka nocna, a okno jest otwarte, przez co słyszę szum fal. Gorące męskie ciało spoczywa na mnie od pasa w górę i powoduje, że mimo zimna pochodzącego z zewnątrz gotuję się. Poruszam ręką po plecach Vincenta i głęboko wzdycham, gdy obrazy sprzed kilku... godzin docierają do mojej głowy. Automatycznie zaczynam drżeć, a moje serce wariuje. Wkurwiłam go do jakiegoś szalenię niebezpiecznego punktu i szczerze tego żałuję. Nie było warto.

— Twoje serce zaraz wykituje — burczy w moją klatkę piersiową mężczyzna. — Nie bój się.

— Przepraszam — szepczę, bo czuję cholerną potrzebę, by to powiedzieć.

— Śpij.

— Muszę do łazienki — jęczę.

— Koniecznie? — warczy rozdrażniony.

— Tak, muszę siku.

— Masz tu zaraz wrócić — zastrzega i podnosi się z niezadowolaniem.

Wychodzę i leniwie kieruję się do łazienki. Szybko załatwiam potrzebę i zanim wyjdę, spoglądam na swoje odbicie. Wyglądam jak tyśiąc nieszczęść. Moje włosy są zmięte i wykręcone w każdą możliwą stronę, a skóra jest trupio blada. Pod oczami, które są bez wyrazu, odznaczają się sińce. To gówniane. Nienawidzę być matowa.

Odwracam się od swojego żalosego odbicia i wychodzę z łazienki spokojnym krokiem. Zauważam wyważone drzwi, ale jakoś specjalnie to we mnie nie uderza. Raczej było oczywiste, że skoro Vincent dostał takiego wkurwu, nie pójdzie po zapasowy klucz.

Wracam na łóżko, ale Vincenta na nim nie ma. Jest tylko plama krwi. Nie jest to moja wpadka z powodu okresu, a jego cholerna krew. Kurwa. Zrywam się gwałtownie z łóżka i pędem ruszam do wyjścia, a stamtąd prosto do jego pokoju. Mijam po drodze Troya, który zaraz do mnie dobiega i łapie za ręce, a następnie brutalnie dociska do ściany. Jego wzrok jest wyraźnie rozdrażniony.

— Dokąd znów uciekasz? — warczy.

Nie znałam go takiego i szczerze bym się przerażyła, ale to nie jest teraz istotne. Istotna jest krew na moim łóżku! I moje przerażone serce. Jestem kurewsko rozdarta. Czy ja się boję o tego czubka?! O mężczyznę, który mnie porwał?

— Krew — szepczę. — Na moim łóżku jest krew, a on wyparował! — krzyczę. — Gdzie jest Vincent?!

Troy doskonale widzi przerażenie w moich oczach, więc powoli puszcza moje nadgarstki i drapie się po głowie. Jest wyraźnie skonsternowany i nie do końca wie, co ma mi powiedzieć. Zajębiście, ale, kurwa, gdzie jest Vincent?!

— Troy!

— Jest na dole, rana mu się lekko rozeszła i Stanley musi ją jeszcze raz zszyć — mówi na jednym wdechu.

Zamieram.

— Jaka rana? — dopytuję. — Jest ranny? Co wy, do chuja, robiliście?!

— To słodkie, że się o niego martwisz. — Uśmiecha się głupekowato. — Nic mu nie będzie, nie takie wpadki zaliczaliśmy. Dwa dni odpocznie i wszystko wróci do normy. Pchnięcie nie było głębokie i nie uszkodziło żadnych narządów wewnętrznych. Gorzej z Zeną, jego plecy trochę ucierpiały. Ej, mała, nie płacz.

Ja płaczę? Wow. Zakrywam twarz dłońmi i opieram się o tors Troya. Chcę, żeby mnie przytulił, ale tego nie robi. Spina się i nawet jego oddech zamiera. Na gównno mi takie wsparcie! Odsuwam się od niego gwałtownie i ocieram łzy, które opuszczają moje oczy. Kieruję się szybko na dół i jęczę, gdy ostre światło uderza w moją twarz. Vincent leży na sofie, a Stanley klęczy nad nim i usilnie próbuje poradzić sobie z czymś, co jest na jego brzuchu. Nie widzę tego jednak, ponieważ zasłania mi ich oparcie. Może to i lepiej? Nie chcę znów zemdleć.

— Emerald — odzywa się zachrypniętym głosem Vincent. — Dlaczego płaczesz?

— Przestraszyłam się — przyznaję szczerze i mocno zaciskam powieki. — Twoja krew jest na moim łóżku.

— Nic się nie stało — wzdycha. — Sytuacja została opanowana, zaraz do ciebie przyjdę. Idź do mojego pokoju.

— Napiję się mleka.

Ocieram łzy, które kłują moje policzki, i odwracam się. Idę prosto do kuchni, w której siedzi Aviana z wzrokiem utkwionym w piekarnik. Wygląda na zmęczoną, a gdy dostrzega mnie, jej rysy znacząco twardnieją.

— Uciekłaś — szepcze.

Wyciągam z lodówki mleko i napełniam nim wysoką szklankę, którą następnie wkładam do mikrofalówki. Gdy czas się kończy, wymuję ją, upijam łyk i zwracam się do kobiety, opierając plecy o blat. Nie chcę się tłumaczyć nikomu poza Vincentem, ale wiem, że jestem jej winna przeprosiny. W końcu to ona widziała mnie jako ostatnia i to ona musiała się mierzyć z gniewem Vincenta.

— Nie uciekłam, tylko chciałam zrobić mu na złość, bo się ze mną nie pożegnał — mówię. — Byłam na plaży.

— A ranny Vincent przyniósł cię stamtąd na rękach z miną mówiącą, że zaraz wszystkich powystrzela. Nie pamiętam, kiedy ostatnio coś tak bardzo go poruszyło. — Kręci głową z żalem i zaciska pięści. — Valerio, on był przerażony twoim stanem! W ogóle wyglądasz okropnie, masz sińce pod oczami i jesteś blada. Co się stało?!

— Słyszałam przez krótkofalówkę jego wściekły głos. — Zamykam oczy, przygryzając wargę. — Przestraszyłam się, bo nawet nie przyszło mi do głowy, że tak bardzo się wścieknie.

— Nie testuj go.

Łapie mnie za dłoń i ściska w pocieszającym geście. Spoglądam na nią ze skruchą, bo jest mi naprawdę przykro, że narobiłam wszystkim kłopotu.

— Nie chciałam, po prostu wkurzył mnie tym, że się nie pożegnał.

— Mówiłam ci, że nie żegna się z osobami, które chce jeszcze zobaczyć. Jeśli się z tobą nie żegna, to znaczy, że wie, że wróci.

— A żegnał się kiedyś z tobą?

— Tak, raz, i nigdy tego nie zapomnę.

Zamyka oczy, a malujący się na jej obliczu ból jedynie pogarsza moje samopoczucie. Nie chcę drażnić tematu, więc odsuwam się od niej i dopijam mleko. Potem wstawiam szklankę do zmywarki i odwracam się, wpadając prosto na Vincenta. Stoi krok przede mną z twardym spojrzeniem.

— Skończyłaś? — pyta szorstko.

Aviana znika, a ja nie wiem, co powinnam zrobić. Chcę go dotknąć, lecz boję się odrzucenia.

— Tak.

Przenoszę spojrzenie na jego brzuch i robię grymas, gdy widzę zaklejoną ranę na prawym boku. Odrobina krwi nadal przez nią przesiąka.

— Chodź do łóżka — wzdycha. — Nie mam siły nawet na stanie.

— Tak, jasne — reflektuję się. — Chodź.

Łapię go za rękę i mocno splatam nasze palce, a następnie ciągnę go na górę. Idzie powoli, co jakiś czas mrucząc pod nosem. Są to chyba nieskładne przekleństwa, ale nie jestem pewna. Nie wnikam w to. Docieramy do jego pokoju i robi się dziwnie. Puszczam jego dłoń, by mógł iść do łóżka, ale on się nie rusza. Stoi w miejscu obok mnie i nic nie robi. Tylko cicho oddycha, a w jego oczach wybucha coś, co wywołuje we mnie panikę. Jego ciemne tęczyki wypełnia mrozący krew w żyłach mrok.

— Wszystko w porządku? — pytam ostrożnie.

Robię krok w jego stronę i zwracam się do niego całym ciałem. Zaciska powieki, a ja nie mam odwagi, by go dotknąć. Nadal czuję odrobinę strachu i niepewności co do jego zamiarów. Cały czas był dla mnie dobry, ale... czy to nie są pozory? Może tylko udaje? W końcu jego wkurwienie i to, jak na mnie spojrzał, było wręcz mordercze. Na samą myśl mam dreszcze.

— Vincent?

— Skłamałaś — mówi cichym, choć przerażającym głosem.

Robię krok w tył, bo te słowa są jak uderzenie.

— Kiedy?

— Powiedziałaś, że nie uciekniesz, a uciekłaś — warczy, zaciskając szczękę.

— Nieprawda — protestuję. — A poza tym miałaś się położyć.

— Wraca moje wkurwienie — warczy. — Uciekłaś ode mnie.

Otwiera oczy i spogląda na mnie z ogniem, który mnie paraliżuje. Jest rozczarowany, zraniony i wściekły, a ja mam ochotę krzyczeć z frustracji. Nie chciałam wpłynąć na niego tak mocno. Zamierzałam tylko nieszkodliwie zrobić mu na złość.

— Nie — mówię śmiało. — Usiądź, proszę. Wszystko ci opowiem, ale usiądź, przecież jesteś ranny.

— Pieprzyć to — prycha. — Uciekłaś.

— Usiądź!

— Nie będę siedział tylko dlatego, że ty tak chcesz! — przedrzeźnia mój ton. — Nie nakręcaj mojego wkurwienia, doprowadziłaś mnie do ostateczności.

— Przeprosiłam cię — buczę. — A tak w ogóle to jestem pieprzonym zakładnikiem — pry cham

i sama udaję się na łóżko. Siadam na nim z założonymi na piersiach rękami. — Porwałeś mnie i masz wyrzuty, że uciekłam. Jesteś popierdolony bardziej niż ja!

— Więc jednak to była próba ucieczki? — pyta. — Cały czas mnie okłamujesz?

— Co? Nie! — krzyczę i odchylam głowę. — Chciałam zrobić ci na złość, bo nie pożegnałeś się ze mną. Miałam wrócić do Denver jakimś podstępem, ale stwierdziłam, że to bez sensu i lepiej będzie, jak po prostu wymknę się na plażę i pójdę do tego domku. Nie przypuszczałam, że będziesz aż tak wściekły.

— Nie byłem wściekły, a wkurwiony — upiera się. — I nadal jestem. Przyjechałem, a ciebie nie było. Pokój był zamknięty, myślałem, że coś ci się stało. A później nikt nie mógł cię znaleźć i miałem ochotę wytłuc ich wszystkich za to, że są jebanymi kretynami!

Wyrzuca ręce w powietrze, uwalniając swoją frustrację, i zaraz kryje twarz w dłoniach. Jest wykończony i zły. W ogóle nie myśli trzeźwo.

— Może po prostu jestem dla nich za sprytna? — sugeruję, chcąc rozluźnić atmosferę.

Vincent podchodzi do mnie. Siada na łóżku i opiera się o poduszki, zamykając oczy. Jest zmęczony, a ja tylko pogarszam jego stan. Nie chcę go dobijać, ale czuję się sfrustrowana jego wybuchem.

— Skoro taka mała i niedoświadczona istota jak ty potrafi przechytrzyć moich ludzi, to znak, że są chujowi.

Cóż, to prawda.

— Nikt się nie spodziewał, że wyjdę.

— Uśpiłaś czujność każdego łącznie ze mną — fuka. — Za bardzo ci zaufałem.

— Nie sądziłam, że w ogóle mi ufasz.

— Drugi raz nie popełnię tego błędu — oznajmia z goryczą. — Połóż się. Chcę, żebyś była obok mnie, jak się obudzę.

— Kto cię zranił? — pytam.

Podnoszę się i na czworaka przechodzę do poduszek, a następnie kładę się, by nie wkurzać go bardziej. Wystawia rękę, na której bez słowa układam głowę. Przysuwam się do niego i chowam nos w zagłębieniu jego szyi. Lubię być blisko niego.

— Kto miał mnie zranić?

— Masz ranę na brzuchu.

— Co to za zranienie? Ból fizyczny jest niczym w porównaniu z cierpieniem psychicznym. Rana się zagoi, jeśli nie będę musiał za tobą biegać jak popierdolony — burczy.

Wzdycham na ten złośliwy ton i przerzucam rękę przez jego tors. On w zamian przyciska mnie do siebie mocniej i przekręca głowę w moją stronę, przez co brodą dotyka mojej skroni.

— Mogłeś do mnie wrócić i przytulić na pożegnanie.

— Nie miałem i nie mam zamiaru się z tobą żegnać. Nigdy — oznajmia.

— Bo?

— Bo nie zamierzam cię zostawiać. Jeśli któryś z moich wyjazdów będzie bardzo niebezpieczny i stwierdzę, że widzę cię ostatni raz, pożegnaj się, możesz być pewna.

Przewracam oczami.

— Jesteś dziwny, nie rozumiem cię i nie znam, więc nie mam pojęcia, co zamierzasz, a czego nie. Potrzebowałam się przytulić, a ty mi tego nie dałeś i poczułam się odrzucona.

— Nie zrobiłem tak, jak chciałaś, więc postanowiłaś mnie ukarać, tak?

— Tak — przyznaję szczerze. — Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje, nie wiem, dlaczego mam wyrzuty sumienia, że cię zdenerwowałam, i nie rozumiem, dlaczego się ciebie nie boję. Dobra, może teraz jestem trochę przerażona, ale nadal chcę być blisko ciebie. To nie jest normalne.

— Zdecydowanie nie jest — przyznaje i śmieje się cicho.

Przekręca głowę jeszcze trochę i składa na moim czole długi, przyjemny pocałunek, dzięki któremu się rozluźniam. Ciepło jego ciała i chwilowy spokój, który w nim zagościł, są jak miód na moje serce.

— Przepraszam — szepczę.

— Nie uciekaj ode mnie więcej — prosi cicho. — Rozumiem, że czujesz się nieswojo, i nawet jeśli chciałbym ci pomóc, to sam nie wiem jak. Nie sądziłem, że będziesz ze mną taka otwarta. Cały czas mnie zaskakujesz.

Głaszczę jego skórę i pragnę wiedzieć, co o tym wszystkim sądzi, ale zdaję sobie sprawę, że mi nie powie. Jest zamknięty na emocje i nie chce się tym ze mną dzielić. Frustruje mnie to, że chcę go i jednocześnie nie chcę, bo kompletnie nic o nim nie wiem.

— Nie chciałem cię przestraszyć. Po prostu nie mogę cię stracić. Chcę cię w moim życiu bez względu na wszystko i wizja, że znikasz, wywołuje moje goście potwora.

Przekręca się i niespiesznie mnie całuje, doprowadzając moje biedne serce do gwałtownego sprintu. Jest delikatny i czuły, a ja roztopiam się pod wpływem jego subtelności. Wplątam palce w jego miękkie włosy i spokojnym ruchem drapię skórę jego głowy, napawając się mruzeniem, które ginie w moich wargach.

Uwielbiam całować mojego porywacza.

— Mam jutro spotkanie, na którym pojawią się nieprzyjemni ludzie, więc zostaniesz pod opieką Stanleya — mruczy po chwili, przygryzając moją wargę. — Wieczorem zadzwonisz do babci i kogo tam będziesz chciała, mówiąc, że jesteś na szkoleniu. Pojedziemy do Denver w ciągu kilku najbliższych tygodni — oznajmia. — Odpowiada ci to?

— Tak. — Szczerzę się. — Nie jesteś już na mnie zły? Nie chciałam cię...

Vincent przywiera do moich ust po raz kolejny i jest o wiele bardziej brutalny niż wcześniej. Słodczy jego warg miesza się z siłą i odpływam. Ten cholerny pocałunek jest za dobry. Jego wargi są za dobre. Kurwa, on i jego urok osobisty są ponad moje możliwości. Czuję się paskudnie ogłupiona i wstyd się przyznać, ale chcę więcej. Brakowało mi go i właśnie to do mnie dociera. Jestem uzależniona od bliskości mojego oprawcy. Pragnę mojego porywacza. Przepadłam.

— Nie jestem — mruczy i mocno gryzie moją wargę. — Muszę się przespać.

Odsuwa się, co lekko mnie smuci, ale chcę, by odpoczął.

— Tak, musisz — potwierdzam, głaszcząc jego policzek. — Ja też muszę.

— Więc dobranoc — szepcze.

Kładzie się w wygodnej pozycji, a ja mając na uwadze jego ranę, przywieram do jego ciała, ponownie przerzucając przez niego rękę. Moje usta spoczywają przy jego szyi, na której składam delikatne, mokre buziaki, póki jego oddech się nie wyrównuje. Wtedy zapadam w spokojny sen.

Rozdział 15

Otwieram oczy z cichym jękiem i krzywię się, gdy uderza we mnie jasność. Jestem w pokoju Vincenta, więc niestety nie mam ochrony w postaci baldachimu. Mam jednak przy sobie spokojnie oddychającego mężczyznę i chyba jest to o wiele lepsze. Czuję dziwne, zienawidzone ciepło w dole brzucha i delikatnie zgarniam włosy z jego czoła. Śpi z półotwartymi ustami, a jego wyraźne brwi są lekko rozczochrane. Długie rzęsy spoczywają na policzkach i, kurwa, nie mogę się na niego napatrzeć. To, co rodzi się we mnie, jest cholernie popieprzone. Jak mogę zaczynać czuć coś do kogoś, kto mnie porwał? Bo przecież on najnormalniej w świecie mnie porwał! Napił się ze mną wódki, poczarował, zjedliśmy razem ciasto, a później byliśmy na kolacji i bum! Znalazłam się w jego mieszkaniu w Miami. A w tym mieszkaniu dzieją się jedynie jakieś głupie akcje, które mnie do niego zbliżają! O Nowym Jorku nawet nie chcę myśleć. To, co tam odprawiłam, było poniżej krytyki.

— Łaskoczesz mnie — mruczy zachrypniętym głosem i lekko się uśmiecha.

Rzeczywiście drapię go lekko za uchem, ale nawet nie jestem tego świadoma. Moje palce same lgną ku jego przystojnej twarzy.

— Obudziłam cię?

— Nie. Nie śpię już od jakiegoś czasu.

Leniwie unosi powieki i spogląda prosto w moje zaspane oczy. Wyglądam zapewne jak tysiąc nieszczęść, ale wcale mnie to nie obchodzi. Każdy po przebudzeniu jest zmięty i nieatrakcyjny. No, może poza kilkoma gorącymi aktorami.

— Nad czym tak intensywnie myślisz? — pyta z lekkim rozbawieniem.

— Myślę sobie, że z rana każdy wygląda słabo.

Dotykam wolną dłonią jego twarzy i jednym ruchem przywracam kształt brwi. Marszczy czoło, ale nie komentuje. Po prostu cały czas patrzy mi w oczy. Nawet wtedy, gdy ja obserwuję resztę jego przystojnej twarzy. Jest niebywale czarującym mężczyzną.

— Co czujesz? — pyta, kompletnie mnie zaskakując.

— W sensie?

Marszczę brwi.

— Po prostu: co czujesz, kiedy tak intensywnie na mnie patrzysz.

— Dlaczego pytasz?

— Bo chcę wiedzieć, co oznaczają odcienie twoich oczu.

— Powiem ci, ale jeśli ty powiesz, co czujesz, kiedy się tak zawieszasz.

— Jak zawieszam?

Krzywi się w niezrozumieniu, więc parskam cichym śmiechem.

— Patrzysz mi w oczy i przestajesz reagować. Nawet nie mrugasz, co jest serio przerażające. — Śmieję się. — Mruganie jest przymusem, a ty i temu się sprzeciwiasz. Wyjaśnij mi!

— Tylko raz się tak zawiesiłem — protestuje. — I mrugałem. Chyba. — Zamyka oczy i uśmiecha się delikatnie.

— Tak czy inaczej odpowiedz.

— Ty odpowiedz, moje pytanie było pierwsze.

— Co czułam przed chwilą? Cóż... — Waham się. — Nie wiem. Po prostu zastanawiałam się, jak możesz tak długo patrzeć mi w oczy. W ogóle nie odwracasz wzroku, gdy ze mną rozmawiasz, a ja pewnie skaczę swoim wszędzie. Więc czułam chyba pewnego rodzaju zawstydylenie, tak sądzę.

— Onieśmielam cię?

Odchyła głowę bardziej, by lepiej mnie widzieć.

— Nie, tak mi się wydaje. A twoja odpowiedź?

— Nie mogę jej udzielić — wzdycha. — Czas wstawać.

Podnosi się na rękach i z przebiegłym uśmieszkiem, specjalnie się ociągając, wstaje. Mrużę oczy, bo wiem, że robi to, żeby mnie sprowokować, i gdy siada, ja również się podnoszę.

— Nie rób mi tak — furczę. — Ja zachowałam się fair!

— Doceniam to, maleńka — mruczy, unosząc brew. — Ale nie odpowiem, bo sam nie wiem, co

czuję.

— To nie jest odpowiedź!

— Oj. — Przygryza prowokująco wargę. — I co teraz zrobisz?

Och, Vincent. Mogłabym zrobić wiele rzeczy. Jednak podaruję sobie i po prostu sama cię sprowokuję. Uśmiecham się lekko, czym wzbudzam jego zaciekawienie, i leniwie zdejmuję swoją obszerną koszulkę. Mam stwardniałe sutki i ostatkami sił powstrzymuję się przed ich mocnym ściśnięciem. Cholera, jego tęczęwki robią się czarne, a ja nie wiem, czy chcę w to brnąć.

— Więc? — Przechyla głowę.

Wzdycham z ociąganiem i przechodzę do niego na czworaka. Łączę nasze twarze nosami i przesuвам swoim aż na jego ucho. Jego szczęka mocno się zaciska, gdy przygryzam płatek jego ucha, a moje sutki ocierają się o jego rękę. Mam szaloną ochotę jęknąć mu do ucha, ale powstrzymuję się.

— Więc pójdę się odświeżyć — mruczę. — Widzimy się...

— ...pod prysznicem — kończy za mnie.

— Tak? — Chichoczę.

Przesuwam się z powrotem z jego ucha na policzek i całuję go lekko, choć mokro. Mam ochotę przewrócić go na plecy, ale boję się, że mogę jakoś zaszkodzić jego ranie. Nie chcę, żeby przeze mnie cierpiał. Decyduję się więc na kilka krótkich buziaków aż na szyję, po której przesuвам językiem. Czuję, jak jego ciało się spina, a głowa odchyła się na bok, dając mi większe pole na pieszczoty. Z rozkoszą zatapiam zęby w jego męsko pachnącej szyi i mruczę z aprobatą. Jest niewiarygodnie uległy.

— Jak się czujesz? — pytam i niespiesznie się odsuwam.

Siadam na materacu z niewinnym uśmiechem na ustach i spoglądam na jego udręczoną twarz. Ma pociemniałe oczy, a klatka piersiowa unosi mu się i opada w wariackim tempie.

— Podniecony — oznajmia prosto.

— Chodziło mi o twoją ranę — precyzuję i przewracam oczami. — Dobrze spałeś w nocy?

— Dlaczego nagle zaczęła cię interesować moja rana i moje samopoczucie? Najpierw mnie prowokujesz, a teraz zmieniasz temat. Nie rób mi tak.

Mruży oczy i zakłada ręce na tors, czym prowokuje mój głośny, szczery śmiech. Wygląda jak duże dziecko i nie mogę! Przecież on jest momentami tak cholernie słodki, że nie wyrobię. Zakrywam twarz dłońmi, bo nie umiem się opanować, i kręcę głową. Czuję te cholerne motyle w brzuchu albo jestem głodna. Nie wiem, co gorsze.

— Po pierwsze, nie rozumiem tego wybuchu, a po drugie, przestań się przede mną chować — wzdycha i łapie moje dłonie, odsłaniając twarz.

Przyciąga mnie do siebie, przez co znów napieram na niego swoim nagim ciałem, i uśmiecha się przebiegle, mrużąc te swoje wielkie, brązowe oczy. Pochyla się, delikatnie łączy nasze usta i obejmuje mnie w tali, ciągnąc do siebie jeszcze bardziej. Odpowiadam na jego lekkie, słodkie buziaki i nie mogę się nie uśmiechać. Jest uzależniający i miesza mi w głowie.

Gdy się odsuwa, jego tęczęwki nie są ciemne, a jasnobrązowe i tak przepięknie błyszczą, że tonę w ich głębi. Tak cholernie po prostu tonę! Nigdy wcześniej nie czułam czegoś takiego, jak w tej chwili czuję do niego. Nigdy wcześniej nie skręcało mnie w brzuchu w taki sposób, nie drżały mi dłonie i, kurwa, nie potrafię odwrócić od niego wzroku. To jest tak strasznie mocne i inwazyjne... On wciąga mnie w swoje ciepło i przeświebla moje biedne, zagubione serce. Pragnę go. Pragnę go całego.

— A teraz co czujesz? — szepcze.

— Nie mam pojęcia. — Przygryzam wargę. — A ty?

— To samo, co zawsze, gdy patrzę w twoje oczy.

— Czyli?

— Pierdolone wszystko — prycha i odchyła głowę.

Widzę żyłę na jego szyi, która wyraźnie pulsuje, i nie mogę się powstrzymać. Cholera jasna, niech mnie ktoś w końcu uderzy w policzek i obudzi, bo za chwilę po prostu się na niego rzucę. Nie mogę już z tym człowiekiem!

Wychodzę na jego kolana, uważając na zraniony bok, i szczerze owijam ramiona wokół jego szyi. Przyciskam do niej nos i zamykam oczy, rozkoszując się jego ciepłem, bliskością i przede

wszystkim tym cholernym zapachem. Jest nieziemski i sprawia, że chcę być jeszcze bliżej, a bliżej się, kurwa, nie da. Wplatom palce w jego miękkie włosy i przez chwilę napawam się tym czułym momentem. Dłonie Vincenta obejmują mnie w talii, subtelnie muskając skórę. Jestem nim oczarowana. Chcę czuć ten żar między nami i dać się ponieść. Chcę go. Mojego porywacza. I zaledwie milimetry dzielą mnie od stracenia kontroli.

— Więc spałeś dobrze? — pytam, bo nie mogę znieść tej bliskości z ciężącą ciszą.

— Spałem dobrze — wzdycha. — A ty?

Opiera policzek na mojej głowie i przesuwając dłonie w dół, na moje pośladki, które przyjemnie ściska. Przygryzam wargę, by nie jęknąć, ale i tak jakiś niezidentyfikowany dźwięk opuszcza moje wargi. Przeraża mnie to, jak bardzo lubię jego bliskość.

— Jak dziecko — mówię. — Jesteś gorący.

— Tak, wiem. — Parska szczerym, cichym śmiechem. — Podobno jestem kurewsko seksowny.

— Nie o to mi chodziło — mruczę i delikatnie całuję jego szyję, a następnie odsuwam się i spoglądam w jego oczy. — Ale nie mogę się nie zgodzić. Jesteś seksowny.

— Tylko seksowny? — droczy się.

— Kurewsko seksowny.

Puszczam mu figlarne oczko i przechylam głowę. Jego dłonie mnie rozpraszają.

— Dzięki, maleńka — mruczy. — Ale nie przeklinaj, jesteś na to za słodka.

Przewracam oczami.

— Pieprzonym intrygantem też jesteś — oznajmiam z wyrzutem. — Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo mieszasz mi w głowie. To głupie tak samo jak cały ty.

— To nie moja wina, że mnie lubisz.

Wykrzywia wargi w złośliwym, pełnym obietnicy uśmiechu i pochyla się, łącząc nasze czoła. Wpatruję się w jego ciemne tęczówki jak zaczarowana i nie wiem, co odpowiedzieć, bo pułapka jego spojrzenia zaciska się wokół mnie bez litości. Jestem tak wytracona z równowagi, że nie zauważam, kiedy jego dłonie porzucają moje pośladki i zakrywają piersi. Orientuję się dopiero, gdy ściska moje napięte sutki, mrużąc pod nosem coś o byciu idealnym. Zamykam oczy, skupiając się na tej słodkiej torturze, którą zadaje moim piersiom, i odchylam głowę. Moje serce bije wszędzie. Nie w klatce piersiowej, a dosłownie wszędzie. Układam ręce za sobą, na jego kolanach i bezwstydnie wypycham mu przed twarz piersi. Pragnę jego dotyku. Tych szorstkich palców, które muskają mnie z czułością i pewną zaborczością. Jest niesamowicie skuteczny w robieniu mi kompletnego błota z mózgu.

— A kiedy ja powiedziałam, że cię lubię? — mruczę prowokacyjnie i otwieram oczy, spoglądając na jego leniwie uśmiechniętą twarz. — Myślę, że to ty lubisz mnie.

— Jakbym mógł nie lubić mojej słodkiej cukierniczki?

Przesuwając dłonie w dół, na moje żebra i powoli, nie przestając patrzeć mi prosto w oczy, pochyla się do mojej prawej piersi. Leniwie wysuwa język, przez co na moment tracę dech i czekam na jego ruch. Czuję narastające we mnie pragnienie i coraz trudniej jest mi się opanować. Moje ręce drżą, a całe ciało pokrywa gęsia skórka.

Gdy w końcu jego gorący język spotyka się z moim nabrzmiętym sutkiem, wyginam się. Jęczę, kiedy mocno zasysa moją skórę, i kręcę głową, chcąc się uspokoić. Nic z tego. Moje ciało upaja się jego dotykiem, tym, jak zaczepta moją pierś, jak wbija palce w moje żebra. Jak mruczy i sprawia, że robię się bezwstydną i mokra. Pragnę go.

— Czekałem na ciebie tak długo, Emerald... — szepcze, przygryzając brodawkę. — Już nie zmarnuję ani minuty, będąc daleko od ciebie.

Jego słowa docierają do mnie jak przez mgłę, nie jestem w stanie trzeźwo myśleć, gdy doprowadza mnie do obłędu. Pragnę go. Tak boleśnie po prostu pragnę.

Gdy nagle się odsuwa, prostuję się gwałtownie i spoglądam na niego niedowierzająco. Czuję gorąco na policzkach, ale nie obchodzi mnie to. Nie chcę, żeby się odsuwał w takim, kurwa, momencie!

— Powiedz, że mnie pragniesz, Emerald. — Uśmiecha się niewinnie, na co mam ochotę zdzielić go po głowie. — Nie wstydz się, kochanie.

I jeszcze się ze mną droczy! Co za pajac. Popycham go, by położył się na materacu, a gdy to robi,

spogląda na jego ranę. Opatrunek jest zakrwawiony i to hamuje moje libido. Nie chcę, by stała mu się krzywda w szale tego podniecenia. Ostrożnie układam palce pod raną i unoszę wzrok na jego twarz. Jest zaciekawiony tym, co robię, i nie wygląda, jakby czuł ból.

— Boli cię? — pytam poważnie.

— Takie rany dawno przestały robić na mnie wrażenie.

Krzywi się, gdy przesuwam palce wyżej i nieznacznie uciskam opatrunek.

— Co się stało?

— Klient okazał się zdradzieckim kutasem i wbił mi nóż w brzuch, gdy miał podać mi pieniądze — odpowiada beznamiętnie. — Nic nowego. Możemy wrócić do tego, że mnie pragniesz?

— Z chęcią, ale jesteś ranny. Nie mam zamiaru przyczynić się do twojej krzywdy, kolego.

Zabieram dłoń z jego rany i prostuję się, splatając dłonie na piersi. Przez chwilę patrzy na mnie bez wyrazu, po czym jego oczy zalewa gorycz i nagle stają się puste. Blask, który w nich świecił, gaśnie, a jego szczęka tężeje. Nim zdążę zapytać, dlaczego się zamyka, on już jest wyprostowany. Łapie mnie mocno w tali i niedelikatnie z siebie zrzuca. Padam na materac, a on wstaje i spogląda na mnie nieprzychylnie z góry. Kurczę się pod tym spojrzeniem i automatycznie zakrywam piersi rękami. Gdy to dostrzega, zaciska szczękę i przenosi spojrzenie na okno.

— Vincent? — pytam po chwili, nie wiedząc, jak zareagować na jego nagłą wściekłość.

Kieruje spojrzenie na moje oczy, ale jest tak okrutnie obojętny, że zamieram. Nie podoba mi się ta mroczna strona jego osobowości. Przeraza mnie i on doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Po chwili pochyła się nade mną z zaciśniętą szczęką i mruży gniewnie oczy. Opiera się na materacu i przez moment po prostu morduje mnie wzrokiem. Jego spojrzenie prześlizguje się po moim obliczu, mroząc mi krew w żyłach. Nie rozumiem go. Przecież... nic nie zrobiłam.

— Nie jestem twoim kolegą — warczy w końcu.

Następnie prostuje się, odwraca i wychodzi bez słowa, zostawiając mnie półnagą, mokrą i zagubioną.

O siedemnastej mam serdecznie dość. Vincent zniknął i nikt nie chce mnie powiadomić, gdzie się zaszły. Jestem seksualnie sfrustrowana. Nie mam z kim porozmawiać i nie mam się do kogo przytulić, bo Wafel nie jest skory do siedzenia w jednym miejscu. Moja mała szara kulka ma w dupie moje smutki. Lize mnie po palcach, ewentualnie po policzku, i mruczy, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

— Co cię tak gryzie, Cukierku? — wzdycha Stanley.

Odwracam się do niego ze zbolałą miną i przytulam kocię do szyi. Odnoszę wrażenie, że chce się uśmiechnąć, ale umyślnie stwarza między nami dystans. Nie lubię tego. Ale cieszę się, że go widzę.

— Jesteś na mnie zły za tę akcję wczoraj?

— Nie, po prostu nie mam zamiaru dać ci się zwieść.

— Och, kolejny stracił zaufanie — prychem. — Może też strzelisz focha za to, że powiem do ciebie *kolego*?

Krzywi się.

— Nie rozumiem Vincenta, a jeszcze mniej samej siebie, i niemożliwie mnie to frustruje. Nie mam się komu wygadać i nie mam z kim normalnie porozmawiać. To, co czuję do Vincenta, zaczyna mnie przytłaczać, wiesz? — Wzdycham z żalem i wydynam wargę, gdy jego oczy łagodnieją. — Chcę się go bać, ale mimo że patrzy na mnie momentami, jakby chciał mnie zabić, czuję się przy nim zaskakująco dobrze. Mam gdzieś to, co zrobisz z tym faktem, ja chcę po prostu wiedzieć, co mu nagle odważyło. Powiedziałam do niego *kolego*, a on jak za sprawą czarodziejskiej różdżki po prostu zrobił się na mnie obojętny. Oświeć mnie, bo, kurwa, w końcu go uderzę — grożę. — Byliśmy blisko, po czym opamiętałam się, że jest ranny, i powiedziałam do niego *kolego*! I się wkurwił.

Stanley przetwarza moje słowa, lecz po chwili poddaje się i parska śmiechem. Zajębiście. Kocham wsparcie, wręcz uwielbiam. Wystawiam mu środkowy palec i odwracam się zirytowana. Upiekę sobie ciastka i nikomu nie dam.

— Dzięki, spierdalaj — buczę na odchodnym.

— Przepraszam, Cukierku, ale zwizualizowałem sobie twój atak i nie mogłem się powstrzymać. Jesteś malutka, a on jest dość dużym, barczystym mężczyzną, mimo że stosunkowo chudym. Po prostu to byłoby zabawne. A wracając do twojego wywodu, to co mogę ci powiedzieć? Zakochujesz się w nim.

Zamieram. Och, kurwa, nie. Jebany Sherlock. Ponownie się odwracam, tym razem z grozą, i patrzę na Stanleya niepewnie. Czy ja naprawdę mogłabym się zakochiwać? W Vincencie? Który jest popieprzony i mnie *porwał*? Chociaż z drugiej strony co to za porywacz? Nie chce ode mnie niczego, poza tym, bym była blisko. Nie robi nic, przez co mogłabym czuć się przy nim zagrożona, i nie jest nachalny. Momentami bywa popieprzony, ale... czy on jest dla mnie zły?

— Zdajesz sobie z tego sprawę — stwierdza Stanley, gdy nie odpowiadam.

Jego uśmiech robi się irytujący.

— Pierdol się i przestań, dobra?

— Powiem ci coś i zrobię to tylko dlatego, że wiem, że mnie lubisz i nikomu nie powiesz. — Pochyla się nieznacznie do mojego ucha. — Nie ma nic bardziej seksownego niż takie wkurzone skrzaty. A to, że jesteś tak niemożliwie słodka, doprowadza go do skrajności.

— Dlaczego mnie porwał?

— Bo czas się kończy, a on musi spróbować — szepcze. — Ale nic więcej ci nie powiem. Sama doskonale sobie z nim radzisz.

— Gówno prawda! Powiedziałam do niego *kolego* i cała słodycz, jaka między nami była, poszła się rznąć.

Tupię nogą jak rozwydrzone dziecko i ostrożnie odkładam kotka na podłogę. Od razu biegnie do salonu, gdzie rozłożone jest jedno z jego posłań. Mały śpioch.

— Co ci odpowiedział?

— Że nie jest moim kolegą — pry cham.

— Chciałbym móc ci wszystko powiedzieć, ale nie mogę. To jego zadanie. A poza tym znacie się ledwo pięć tygodni.

— Ile!?

— No pięć. — Parska śmiechem.

— Jestem tu cztery tygodnie?!

— Tak.

— Och, kurwa. Jakim sposobem?

— Czas nie stoi w miejscu, a ty się lenisz całymi dniami. — Wzrusza ramionami.

— W sumie tak. — Przygryzam wargę. — Czemu ten *kolega* go tak poruszył? Pomóż mi go zrozumieć, proszę cię, Stanley, jesteś jedyną osobą, którą uznałabym za godną zaufania w tym domu.

— A nie Aviana?

— No tak, ale to ty byłeś ze mną pierwszego dnia i to ty byłeś dla mnie miły. To przez ciebie się was nie boję, bo jesteś spokojny i opanowany. Ufam ci i naprawdę cię lubię — wyznaję.

— Chciałbym ci pomóc, Cukierku, bo również bardzo cię lubię, ale nie potrafię. W głowie Vincenta jest dosłownie wszystko. Nie wiem, co on myśli, i nie wiem, co czuje. Jak cię pocałował w Nowym Jorku, byłem w pierdolonym szoku. Znam go od nastolatka i nigdy nie widziałem, żeby kogoś pocałował albo żeby zrobił to przy ludziach. — Marszczy brwi. — I dotykasz jego twarzy — dodaje ciszej. — Tego nie rozumiem.

— Czego nie rozumiesz? — włącza się Troy, a ja wytrzeszczam oczy.

Mężczyzna wyłania się zza filara i spogląda na nas podejrzliwie. Stanley śmieje się na rozluźnienie atmosfery, a ja zastanawiam się, jak z tego wybrnąć. Troy zdecydowanie nie nadaje się na powiernika.

— Nie rozumiem, jak można mieć tak niezwykle oczy jak Cukierek — oznajmia obojętnie Stanley.

Oddycham z ulgą, gdy Troy puszcza mi oczko w odpowiedzi. Siada przy wyspie kuchennej i wbija we mnie wesołe, iskrzące się spojrzenie.

— Czego chcesz? — pytam prosto.

Jeśli ktoś w domu Vincenta jest dzieciakiem, to podtrzymuję, że Troy. Jego uśmiech robi się

jokerowski, gdy pochyla się w moim kierunku i tworzy serduszko z rąk. Stanley parska śmiechem, a ja już wiem, że szatyn chce ode mnie czegoś słodkiego. Jest zbyt przewidywalny.

— Valeriaaaaa. — Przeciąga ostatnią literę mojego imienia i czarująco mruga oczami. — Może masz ochotę zrobić nam domowe lody?

— Nie.

— No, śliczna! — jęczy zbolalym głosem. — Domowe lody są podobno kurewsko dobre, a ty na pewno umiesz je zrobić. Jestem przekonany, bo wszystko, co wychodzi z twoich rąk, jest jebanym arcydziełem smakowym. Proszę! — Wydyma wargę i już wiem, że za bardzo się nakręcił.

Wzdycham poddańczo i przenoszę wzrok na Stanleya.

— Gdzie jest Vincent? — pytam.

— W bibliotece, ma tam spotkanie z kilkoma osobami i większość jest raczej niebezpieczna, więc lepiej, żebyś została z nami.

— Chcę go tylko o coś zapytać. — Przygryzam wargę, by zatuszować lekki uśmieszek. — Będzie zły, jak tam tak wejdziesz?

— W tych majtkach i obcisłej koszulce? — parska Troy. — Na pewno będzie zachwycony, że wszyscy zobaczą twoje nagie nogi i przebijające przez materiał piersi.

— Mogę po drodze zabrać jakąś bluzę.

— Jego bluza leży na fotelu w salonie — sugeruje Stanley.

Uśmiecham się do niego konspiracyjnie i wychodzę. Zdejmuję czerwoną bluzę z oparcia sofy i podnoszę kociaka, który zasnął na swoim pościu. Przykładam go do piersi i uśmiecham się szeroko, gdy mruzczy.

Spokojnym krokiem kieruję się na górę i gdy docieram do odpowiednich drzwi, roztrzepuję włosy, by były bardziej niechlujne. Jestem kretynką, ale chcę zagrać Vincentowi na nosie za bycie nieokreślonym czubkiem. Dzięki rozmowie ze Stanleyem czuję się pewniej w tej relacji.

Przybieram najbardziej niewinny wyraz twarzy, na jaki mnie stać, i delikatnie pukam do drzwi, a następnie od razu je otwieram. Nie robię tego oczywiście gwałtownie, tylko lekko. W pomieszczeniu panuje półmrok, więc ogarnięcie całości zajmuje mi kilka sekund. Patrę na dość długi stół, wokół którego stoi sześciu mężczyzn łącznie z Vincentem ubranym w bordową koszulę i czarne jeansy. Światło pada na niego w niemożliwie korzystny sposób, a gdy nasze spojrzenia się przecinają, rozplływam się. Z tej odległości widzę, że jest nietrzeźwy. I czuję zapach trawki.

— Emerald — odzywa się, uprzedzając mężczyznę po swojej prawej.

— Mogę chwilę z tobą pogadać? — pytam, tuląc kota do szyi.

Jestem lekko onieśmielona z powodu obcych, groźnie wyglądających facetów. Jedynym, którego kojarzę, jest siedzący w fotelu brunet o przerażająco jasnych, błękitnych tęczęwkach. To o nim mówił ostatnio Troy? Że on bardziej ucierpiał podczas wyjazdu? Nie mam pewności, ale wygląda naprawdę źle. Ma podkrążone oczy, przez co wyglądają upiornie, i ledwo siedzi. Już mam zamiar zapytać go, czy wszystko z nim w porządku, gdy Vince szybkim krokiem zmierza ku mnie.

— To nie może zaczekać kilkanaście minut? — warczy.

Mam ochotę uderzyć go za tę wrogość. Niepoważny idiota.

— Nie, to bardzo pilne — oznajmiam bez wahania.

Jest spięty, gdy staje przede mną. Wyraźnie nie chce, żebym była w tym pomieszczeniu. Nie wiem jednak, czy to sprawka mojej wpadki z nazwaniem go kolegą, czy mają jakieś tajemne tajemnice i nie powinnam w ogóle wiedzieć, że istnieje coś takiego jak ta nieszczęsna biblioteka. Nie kłopotczę się tym jednak. Przyszłam go zdenerwować, bo on zdenerwował mnie.

— Słucham.

Czuję jego frustrację, a obojętność jego oczu jedynie potęguję moją złośliwość.

— Jesteś na mnie zły? — pytam niewinnie i przygryzam wargę.

Kot tuli się do mojej szyi zaskakująco nachalnie. Chyba też poczuł klimat zemsty. Niespiesznie całuję go w łebek i uśmiecham się ciepło, wpatrując się w mojego porywacza.

— Bardzo pilne — przedrzeźnia mnie.

— Odpowiedz, okej?

— Nie wiem. — Zaciska wargi.

— Bo tak sobie pomyślałam... — Wyciągam dłoń i obejmuję nią jego szyję, a następnie przyciągam go ku sobie i przyciskam wargi do jego ucha. To, jak bardzo się spina, jest szalenie zabawne. — Że w ramach przeprosin mogłabym zrobić ci loda — mruczę. — Tak na zgodę — dodaję i przygryzam płatek jego ucha.

— Emerald — warczy ostrzegawczo.

— Nie chcę, żebyś się na mnie złościł, a taka przyjemność...

— Przestań — syczy i prostuje się gwałtownie. — Przestań tak robić.

Jego wzrok jest czarny i nie jest to złość, a podniecenie. Satysfakcjonuje mnie jego reakcja. Przysuwam się do niego, by nie myślał sobie, że tak łatwo odpuszczę, i łapię w pięść materiał jego koszuli.

— Nie chcesz? — mruczę niewinnie i przechylam głowę w prawo.

— Cienka linia. — Mruży gniewnie oczy.

— To tylko trochę niewinnej przyjemności. Zapewniam, że jestem w tym zaskakująco dobra.

— Nie wątpię w to. Porozmawiamy, jak skończę.

— Ale jesteś chętny?

Specjalnie, by go podjudzić, zsuwam dłoń po jego brzuchu aż na pasek, o który zahaczam palec. Jego oddech staje się cięższy, a spodnie bardziej napięte. Droczenie się z nim stanie się moim ulubionym zajęciem.

— Przeginasz.

— Po prostu odpowiedz.

Pozwalam dłoni opaść wzdłuż mojego ciała i całkiem nieumyślnie zahaczam nią o jego penisa w erekcji. Niski dźwięk opuszcza jego słodkie wargi i facet gwałtownie się prostuje, piorunując mnie wzrokiem.

— Och, przepraszam. — Chichoczę głupkowato.

— Idź już.

Mruży oczy i pochyla się, by jego spojrzenie spotkało się z moim. Wykorzystuję jego pozycję i niewinnie muskam jego szczękę ugiętymi palcami.

— Możesz odpowiedzieć?

— Tak, kurwa!

— Super, to jakoś za dwie godziny.

Klepię go przyjacielsko po policzku, mrugam zalotnie i po prostu się odwracam. Na wacianych nogach szybko docieram do schodów, a potem z nich zbiegam, wybuchając śmiechem. Znęcanie się nad Vincentem podoba mi się zdecydowanie za bardzo.

Wchodzę do kuchni i odkładam kota na podłogę. Znów wybucham śmiechem, ale tym razem już bez żadnych hamulców. Świetnie się bawię, a moja głupawka sięga zenitu. Chyba brakuje mi normalnych relacji i ludzi dookoła, bo zaczynam się zachowywać jak wariatka.

Gdy fala śmiechu się kończy, ocieram łzy z kącików oczu i bez słowa wyjaśnienia zabieram się za robienie lodów. To znaczy wyjmuję potrzebne rzeczy, a Troy nie wytrzymuje i pyta:

— Co mu zrobiłaś?

— Nic. — Wzruszam ramionami. — Tylko zapytałam, czy chciałby, żebym mu zrobiła loda na zgodę. — I spoglądam na niego niewinnie.

Stanley wytrzeszcza oczy, a Troy zastyga. Nie wiem, czy ze strachu, czy raczej z rozbawienia, ale nic po prostu nie robi. Bawi mnie to w pewnym sensie. Momentami jest cholernie dziecinny i głupi. Zupełnie jak ja.

— Zapytałaś go tak po prostu: „Hej, Vincent, chciałbyś lodu na zgodę?”? — pyta niepewnie.

— Mniej więcej. — Wzruszam ramionami. — Skoro robię już dla ciebie, to czemu miałabym nie zrobić więcej?

— Jak ty się z nami bawisz, ja pierdołę! — prycha urażony. — Myślałem, że serio dałaś mu aluzję na zrobienie mu dobrze.

— Wybacz, że nie spełniłam twojej fantazji, w której obciążam Vincentowi. — Przesadnie

wzdycham. — Może innym razem.

— Wychodzę — oznajmia obrażony. — Za ile dostanę loda?

— Za jakieś dwie godziny, jeśli odpowiadają ci w połowie zmrożone.

— Do zobaczenia za dwie godziny w takim razie.

Odchodzi, a ja zostaję sama ze Stanleyem, który nadal cicho się ze mnie podśmiewa. Gdy Troy znika z mojego pola widzenia na dobre, zdejmuję bluzę Vincenta i rzucam ją na jeden z barowych stołków obok bruneta. Moja koszulka jest nieodpowiednia do robienia lodów, bo ma biały kolor, ale przynajmniej nie jest mi gorąco. Moje sutki nie muszą się gotować tylko dlatego, że Vincent jest zaborczym czubem. Zostałam uwięziona w wielkiej willi i odcięto mnie od świata, więc przynajmniej ubierać się będę, jak chcę.

— Więc robimy lody? — pyta rozbawionym głosem Stanley.

Spoglądam na niego konspiracyjnie i gdy mruga, wybucham śmiechem. Cholera, przecież ja go uwielbiam!

— Jeśli chcesz mi pomóc.

— Jasne, lubię spędzać czas ze swoim zakładnikiem. Jesteś szalenie miłym widokiem, Cukierku.

Mogę zadać pytanie odnośnie do twojego ciała?

— Nie wiem, Stanley. — Marszczę brwi. — Możesz?

Ogląda się za siebie, w każdą możliwą stronę, i wraca spojrzeniem prosto do moich oczu. Śmieje się z tego zachowania.

— Przebijanie sutków było dla ciebie katorgą czy raczej cię to nie obeszło?

— Czasem bywam fanką mocnych wrażeń — przyznaję szczerze.

— Co masz na myśli?

— Nic konkretnego.

Uśmiecham się niewinnie, rozbawiona i rozluźniona sytuacją, i zabieram się za lody. Jeszcze wiele złościwości przede mną.

Dwie godziny później moje lody są lekko zmrożone. Pochylam się nad zamrażalnikiem, będąc w krótkich szortach i tej nieszczęsnej, ubrudzonej śmietaną i jagodami koszulce, i mrużę pod nosem piosenkę, która leci z głośnika.

Stanley pomógł mi zrobić masę na lody, ale jak tylko wsadziłam ją do maszyny, zostawił mnie samą. Tym sposobem udało mi się posprzątać kuchnię, która była ubrudzona śmietaną tak, jak moje ciało. Cóż, Stanley nie potrafi obchodzić się ze śmietaną.

— Dlaczego nie masz bluzy? — odzywa się Vincent, którego przybycia nie usłyszałam.

— Było mi za ciepło — odpowiadam, przewracając oczami. — Przyszedłeś po obiecane lody?

Prostuję się leniwie i z lubieżnym uśmieszkiem zwracam się w jego stronę. Och, kurwa. Vincent stoi w towarzystwie dwóch swoich gości. Jednym z nich jest zmęczony niebieskooki brunet, a drugim szatyn o głębokich zielonych oczach. Gapi się na moje piersi, które przebijają pod materiałem wilgotnej koszulki. No cóż, jest mokra na cyckach, bo musiałam ją przeprać. Cholera jasna, spojrzenie Vincenta zabija. Zakładam dłonie na piersi, by je zakryć, i mrużę oczy. Najspokojniejszy oraz jednocześnie rozbawiony wydaje się niebieskooki. Jego porażająco jasne tęczówki cały czas lustrują moją twarz.

— Przyszedłem ci przedstawić moich współników, ale chyba wybrałem nieodpowiednią porę — warczy morderczo mój złośliwy brunet. — Zaraz do ciebie wrócę.

To nie jest ostrzeżenie. To groźba, a ja się nie przejmuję. Dlaczego? Och, dlatego, że jest podniecony, a nie wściekły! Jego ciemne tęczówki pożerają mnie tak, jak jeszcze żadne męskie oczy. A jego zielonooki kolega jest w podobnym stanie.

Raz się żyje.

— Mam na imię Valeria — oznajmiam, patrząc na mężczyznę.

Najpierw wyciągam dłoń do niebieskookiego mężczyzny. Bierze moje palce w swoje i potrząsa nimi, nie uśmiechając się. Jest poważny, ale wiem, że sytuacja go bawi.

— Zena.

Gdy puszcza moją rękę, robi krok w tył, zrównując się z Vincentem, a ja spoglądam na drugiego mężczyznę. Uśmiecha się do mnie jak typowy *bad boy* i tym razem to on wyciąga w moją stronę dłoń. Nie zwraca uwagi na to, jak bardzo Vincent zabija go wzrokiem. Ciekawi mnie, dlaczego nie zareagował w ten sam sposób przy Zenie, ale co mi tam. Chwytam palce szatyna z lekkim uśmiechem.

— Greg — mruczy uwodzicielsko.

Ściska moją dłoń odrobinę zbyt nachalnie i nieznacznie gładzi moje knykcie. Krzywię się, co zauważa Vincent, i od razu wrywam rękę, widząc tę minę. Jego ciemne oczy przechodzą w niebezpieczną czerń i błyszczą czymś, co sprawia, że mam ochotę zapaść się pod ziemię. Robię krok w tył, tak samo jak Zena.

— Nigdy więcej jej nie dotykaj — cedzi przez zaciśnięte zęby Vincent, więc wracam do niego spojrzeniem.

Łapie szatyna za bark i ściska go z tak okrutną mocą, że ten syczy. Wiem, że jest taki jeden punkt na ramieniu, którego ściskanie może zwalić z nóg, ale nie sądziłam, że każdego! Albo Vincent używa za dużo siły, cóż, jedno z dwóch.

— Spokojnie — śmieje się nerwowo Greg. — Nie panikuj.

— Co? — warczy tym swoim morderczym głosem. — Czego mam nie robić?

Zena przewraca oczami, a ja robię jeszcze jeden krok do tyłu. Zaczyna narastać we mnie panika.

— Nie denerwuj się. Po prostu chciałem się przywitać, przesadzasz.

— Przesadzam? — Prycha.

Vince wciska palce w ramię mężczyzny w tak okrutny sposób, że w końcu uginają się pod nim te nieszczęsne kolana. Pada na podłogę przede mną z zaciśniętą szczęką i od razu łapie swoje ramię i ściska. Vincent stoi nad nim z miną, która jest mordercza. Och, kurwa. Co za zaborczy pojeb!

— Nigdy więcej jej nie dotykaj — powtarza groźnie.

Jego głos powoduje we mnie dreszcze i to, że przytulam się plecami do lodówki. Oddycham tak gwałtownie i głęboko, że przy każdym nabraniu powietrza moja klatka piersiowa mocno się wypina. Zakolczykowane sutki przebijają materiał, co zauważa mój oprawca. Patrzy na mnie tak wściekle, że robię się przerażona.

Troy wraz z Stanleyem wchodzi do kuchni i niepewnie spoglądają na Vincenta, który ani drgnął, odkąd sprowadził Grega na ziemię. Bezwzględnie morduje mnie wzrokiem.

— Wszystko gra? — pyta ostrożnie Troy.

Stanley szturcha go ramieniem i wskazuje, by pomógł Gregowi wstać, a następnie wyprowadza go. Błękitnooki wychodzi za nimi, nie zaszczycając nas spojrzeniem.

— Masz aż tak kurewski problem z noszeniem stanika? — warczy Vince.

Chcę odpowiedzieć, ale nie mogę. Jego spojrzenie zabiera mi oddech. Drzę, czując, jak moje płuca domagają się powietrza, ale nie mogę go nabrać. Mam zaciśnięte gardło i nie umiem sobie z tym poradzić.

— Zaraz zemdleje — wtrąca poważnie Stanley. — Przestań tak na nią patrzeć.

— Spierdalaj — cedzi.

— Mogłeś ją uprzedzić, że chcesz jej przedstawić kogoś z góry — prycha. — Nikt nie czyta w twoich cholernych myślach, Vincent, tylko ty to robisz.

— Zamknij się, Stanley!

— Zabieram ją na górę — oznajmia niewzruszony.

Robi krok w moją stronę i jest to tylko krok, bo głos Vincenta tnie jak brzytwa:

— Dotknij ją, a odetnę ci palce.

Zaciskam powieki. Zaciskam je najmocniej, jak mogę, i zakrywam twarz dłońmi. Jestem przerażona i nie mam pojęcia, co robić, żeby przestał się tak zachowywać. Dystans, który jest między nami, wydaje się kilometrowy, ale jego spojrzenie i to, jak jest wkurwiony, po prostu wypełnia całą tę odległość! Nie mogę oddychać. Nie. Mogę. Oddychać.

— Wiedziałem, że to się tak, kurwa, skończy! — krzyczy. — Pieprzone słabości.

Uderza o blat i zaraz jego mocny zapach otacza całe moje ciało. Zamieram, a serce najprawdopodobniej po prostu mi się zatrzymuje. Boję się. Tak cholernie się boję!

— Oddychaj, maleńka — szepcze.

Delikatnie obejmuje moją talię i przysuwa się, opierając brodę na czubku mojej głowy.

— Chyba się rozplączę — jęczę drżącym głosem.

— Nie płacz.

— Przerażasz mnie.

— Doprowadzasz mnie do szału.

— Nie chciałam — przyznaję ze skruchą.

Nigdy więcej nie będę próbowała dać mu nauczki. Nigdy.

— Wiem, maleńka. — Przyciąga mnie do siebie i mocno obejmuje. — Oddychaj. Zaraz dostaniesz zawału.

— Ty też. — Opieram policzek o jego tors. — Jesteś straszny.

— No wiem.

W co ja się wpakowałam?

Mój oddech normuje się dopiero po kilkunastu minutach. Nie wiem, po ilu konkretnie, ale wiem, że ciągną się niemiłosiernie. Wsłuchuję się w szybkie bicie serca Vincenta i pragnę teleportować się do mojej cukierni, w której po prostu byłam zwykłym szarakiem kochającym piec. Teraz jestem szarakiem, który zakochuje się w jakimś niezrównoważonym psychicznie, zaborczym typie. Nienawidzę tego, że w jednej sekundzie przeraża mnie do takiego stopnia, że mogę zemdleć, a za chwilę czerpię przyjemność z jego bliskości, bo jego ramiona są moim schronieniem. To chore.

— Uspokoiłaś się? — pyta cicho.

— Tak, a ty?

— Na zewnątrz tak, wewnątrz nie — prycha. — Co z tymi lodami?

Taktyczna zmiana tematu. Spryciarz.

— Są w zamrażarce. Dlaczego jesteś taki zaborczy?

— Nie powiem ci. — Odsuwa się z twardym spojrzeniem. — Weźmiesz mnie za idiotę.

— Tak jakbym już nie miała cię za idiotę. — Przewracam oczami. — Jesteś przerażający.

— A ty i tak mnie prowokujesz. Jeśli ja jestem idiotą, ty jesteś zwyczajnie bezmyślna i głupia.

— To syndrom, czytałam o tym kiedyś.

— Gówno prawda, po prostu nie poczułaś się w ogóle porwana. Zrobiłem to w sposób, który nie dał ci powodów, by się mnie bać. Gdybym porwał cię bez ostrzeżenia, nie ufałabyś mi i byłabyś ciągle przestraszona. Doskonale wiesz, że nie mam względem ciebie złych zamiarów. Porwałem cię, bo musiałem cię w końcu przyciągnąć do siebie.

— Bo?

— Bo czułem, że muszę.

— I?

— I nie żałuję. — Uśmiecha się cwaniacko. — Chcesz zadzwonić do babci?

— Chcę. — Mrużę oczy. — Ale co dalej? Kiedy wrócę do swojego życia?

— Twoje życie jest tutaj — oznajmia, jakby to było oczywiste. — Przy mnie, Emerald.

— Bo ty tak chcesz? — pryham.

— Tak, właśnie dlatego. Do kogo jeszcze zadzwonisz?

Puszczam jego słowa mimochodem.

— Do Anny i Jerry'ego.

— Reece'a? Po co do niego?

— A dlaczego nie? To mój szef, przyjaciel i chcę z nim porozmawiać. Przestań się zachowywać, jakbyś był zazdrosny. To głupie.

— Nie jestem zazdrosny. — Uśmiecha się kpiąco, pochylając do poziomu moich oczu. — Jestem kurewsko zazdrosny i zabiję każdego, kto cię dotknie bez mojego wyraźnego pozwolenia.

Och. Przygryzam wargę, nie wiedząc, co odpowiedzieć, i kręcę głową. Jest o mnie zazdrosny. Dlaczego? Nikt nie ma ze mną do czynienia od pieprzonych czterech tygodni! On jest poważny?

— Bo?

— Bo jestem zaborczym, zachłannym i bezwzględny idiotą.

Uśmiecha się. Ale nie że wrednie. On uśmiecha się normalnie, szczerze i tak cholernie słodko, że wszystko, kurwa, ze mnie wyparowuje. Jak on to robi? To jakiś laser w jego oczach? Ma jakieś magiczne zaklęcia? Jakim prawem tak bezczelnie miesza w mojej ogłupiałej głowie?!

— I co jeszcze?

— I zidiocięę dla ciebie jeszcze bardziej, jeśli będziesz tak na mnie patrzeć.

— Nie lubię cię, Vincent — oznajmiam ostatecznie.

Na moich wargach wykwita lekki uśmiech, a gdy jego wzrok znów jest ciepły, ujmuję jego policzki i bezmyślnie całuję go w usta. Całuję go delikatnie, słodko i naprawdę, kurwa, bezmyślnie. Jeśli w tym momencie nie jestem hipokrytką, to nie wiem, kim jestem. Sama nie wiem, czego chcę. To frustrujące. A on jest kuszący. Mam dość.

— Nie lubisz mnie — mruczy. — Ale całujesz. Co poszło nie tak?

— Zamknij się — szepczę i kręcę głową. — To za trudne przemyślenia jak na takiego idiotę jak ty. — Przygryzam jego wargę i odsuwam się niespiesznie. — Masz ochotę na loda?

— Więc propozycja nadal aktualna? Myślałem, że nie zasłużyłem — droczy się, a ja chyba się topię.

Kto w tym duecie ma rozdwojenie jaźni? On czy ja? A może oboje?

— Mam słabość do idiotów. — Uśmiecham się szczerze i spoglądam prosto w jego brązowe tęczówki. Mienia się w uroczy sposób.

— A ja do tego spojrzenia — przyznaje, wsuwając kosmyk moich włosów za ucho. Jest czuły i szarmancki w tym geście, a ja mam ochotę się spoliczkować. — Co z tego wyniknie?

— Zjemy lody. Później zadzwonimy do mojej babci. Potem do Anny. Następnie do Jerry'ego. A na samym końcu pójdziemy pod prysznic. — Przyciągam go do siebie i kieruję usta na jego ucho. — A pod prysznicem bezczelnie cię wymacam.

— Bezczelnie?

— Tak, zdecydowanie będzie to bezczelne.

— Już nie mogę się doczekać — wzdycha.

Odsuwa się ode mnie z pociemniałym spojrzeniem i robi dwa kroki do tyłu. Jest podniecony, a po jego wściekłości nie ma nawet śladu. Bawi mnie to trochę, ale staram się nie dać tego po sobie poznać. Ktoś powinien być poważny, gdy druga strona jest zbyt... kusząca.

— Nie miałam pojęcia, że znamy się już ponad miesiąc — rzucam. — Myślałam, że jakieś trzy tygodnie. Jak to możliwe, że ten czas mi uciekł?

— Nie mam pojęcia, to ty masz zaburzenia.

Wznoszę oczy do sufitu i odwracam się, a następnie wyciągam lody z zamrażarki i kładę je na blacie. Pucharki i łyżkę miałam naszykowane już wcześniej, więc mogę się zabrać za nakładanie. Mogę, ale tego nie robię, bo dwie duże łapy obejmują mnie od tyłu i wsuwają się pod koszulkę. Prostuję się, a te ciepłe paluchy suną aż na moje piersi. Ujmuje je władczo i ściska, przez co wyrывa mi się jęk. Cholera.

— Vincent...

— Muszę ci się do czegoś przyznać — mruczy mi do ucha. Jego głos jest niski i podniecony. — Ale wcześniej mi coś obiecaj.

— Co?

— Pozwolisz mi zlizać te lody z siebie.

— Skąd konkretnie?

— Skądkolwiek, byle z twojej skóry.

Jego dłonie są moją zgubą, przysięgam.

— Niech będzie. — Przechyliłam głowę, a on przysysa się do mojej szyi. — Więc do czego się przyznasz?

— Zaskoczyłaś mnie tymi lodami. Wiedziałem, że mnie prowokujesz z jakiegoś konkretnego powodu, ale nie przyszło mi do głowy, że rzeczywiście będą to lody. Zaimponowałaś mi tą złośliwością.

— Wtedy nie mówiłam o tych lodach. — Przygryzam wargę, by nie parsknąć śmiechem. — Mówiłam o tych drugich, wiesz...

— Nie wiem — sapie, ściskając moje sutki. — Powiedz mi.

— Lubisz się bawić, co?

— Zadałbym ci to samo pytanie. Ale tak, a z tobą jest to cholernie podniecające. Jesteś rozkoszna.

— Więc ja myślałam o obciążaniu — szepczę.

— Ja też. Nie mogłem się skupić na kurewsko ważnych sprawach przez twoje słowa i ruchy. Nie masz pojęcia, jak wiele cierpienia sprowadziłaś na moje krocze.

— O nie — jęczę nagle, szarpiąc się w jego ramionach, gdy przysysa się do tego jednego, najwrażliwszego punktu na mojej szyi. — Nie, Vincent, zatrzymaj się.

— Dlaczego?

— Trafiliś w czuły punkt i prowokujesz moją wewnętrzną dziwkę.

— Wewnętrzną dziwkę? — warczy i przyciska mnie do blatu swoim twardym problemem.

Jest jak stal, a ja już nie mogę wytrzymać. To, jak bardzo chciałabym poczuć go w sobie, jest nienormalne. Kurwa, wręcz popieprzone! Nie mogę się pieprzyć, a on mnie prowokuje. Cholerny intrygant i moje podniecone myśli! Niech go szlag.

— Na samą myśl o tym, jak przede mną klęczysz, robię się twardy. Twoje piękne oczy wpatrzone w moje, gdy go dotykasz... Kurwa, Emerald, nawet nie masz pojęcia, co teraz siedzi w mojej głowie.

— Mam pojęcie, bo w mojej prawdopodobnie siedzi to samo — pryham. — Jesteś destrukcyjny.

— Ja? — Parska śmiechem i całuje moją szyję. — To ty jesteś destrukcyjna. Co ty ze mną robisz? Bawisz się. Tak perfidnie się ze mną bawisz — mruczy mi do ucha. — Dlaczego?

— Porwałeś mnie i uwiodłeś.

— To ty mnie uwiodłaś. — Śmieje się krótko. — Pod prysznicem.

— Będziesz mi to wypominał? Pieprz się.

— Ty mnie pieprz.

Bolesnie przygryza moje ucho. Drzę pod wpływem tej nagłej, słodkiej dawki bólu.

— Mogę cię o coś zapytać?

— O co tylko chcesz, maleńka.

Odwracam się do niego przodem, tracąc kontakt ręce – cycki, i obejmuję go w pasie. Spoglądam prosto w jego ciemne, podniecone tęczówki i uśmiecham się przyjaźnie. Nie mam pojęcia dlaczego, ale odwzajemnia mój grymas i wydaje się to szczere.

— Dlaczego mnie porwałeś?

Przewraca oczami, uśmiecha się szerzej i pochyla do mnie. Jest taki dziwnie zadowolony... Cholera, jest taki... Przystojny.

— Bo chciałem, żebyś była przy mnie. — Marszczy brwi w rozbawieniu. — Już ci to mówiłem.

— Więc jak spotkasz na swojej drodze kolejną kobietę i uroisz sobie, że chcesz, żeby była blisko, to też ją porwiesz? — pytam, czując uścisk w środku.

Zamykam oczy. Nie mam pojęcia, dlaczego odczuwam zazdrość, i niech mnie trzymają, ale odczuwam to przerażająco mocno.

— Nie chcę innej kobiety. — Ujmuje moją twarz w dłonie i pochyla się, łącząc nasze czoła. — Chcę ciebie.

— Dlaczego? Przecież jest wiele...

— Jest wiele pięknych kobiet, to prawda — przerywa mi. — Spotkałem ich ogrom, bo sporo podróżowałem, ale żadna nie wywarła na mnie takiego wrażenia jak ty.

— Dlaczego?

— Bo na żadnej mi nie zależało.

— Mówisz to dlatego, że jesteś zjarany?

— Jestem zjarany? — Parska śmiechem.

— Zdecydowanie czuję od ciebie trawkę i jakąś whisky — wzdycham. — Jesteś chyba jedyną osobą, do której czuję wszystko na raz — przyznaję i otwieram leniwie oczy. — Przerażasz mnie, a za moment tak bardzo cię pragnę, że wątpię, czy zdołam się powstrzymać. To jest chore.

— Wcale mi to nie przeszkadza. — Unosi brew. — Może poza faktem, że się mnie boisz, ale możemy to zlikwidować.

— Jak?

— Przystaniesz mnie prowokować przy ludziach i już nigdy więcej mi nie uciekniesz.

— A bez ludzi mogę cię prowokować?

Niewinnie przesuwam dłonią z jego pleców na brzuch i dalej w dół. Prosto na jego wzwiedzonego fiuta, którego ujmuję.

— Bez ludzi możesz zrobić wszystko.

— Naprawdę?

— Tak, maleńka. — Pochyla się, muskając mój nos swoim. — Jestem cały twój.

O. Mój. Boże! Unoszę się minimalnie wyżej i nie mogąc się powstrzymać, znów całuję jego wargi. Są słodkie, miękkie i mają posmak trawki. Cholerny intrygant smakuje jak wszystko, czego potrzebuję.

— Jesteś dziwakiem — oznajmiam i przygryzam jego wargę. — Dziwakiem, czubem i zaborczym idiotą. Znam cię krótko i już wiem, że takiego ewenementu jak ty nigdy nie znajdę.

— Uznam to za komplement. — Śmieje się krótko. — Rozłóż te lody i przyjdź do mojej sypialni. Będę na ciebie czekał z kotem.

Całuje mnie po raz ostatni i odsuwa się. Posyła mi cwaniacki uśmiech, a gdy spoglądam w jego oczy, kręci głowę. Nie mam pojęcia, co to oznacza, ale nie wnika. Słyszę nadciągające tornado.

— Valeria! — krzyczy Troy i zaraz wychyla się zza ściany. — Czy moje lody są gotowe?

Spoglądam na niego z poażowaniem i parszam śmiechem.

— Tak, Troy.

Vincent traci humor i robi się dziwnie zdystansowany. Staram się to zignorować, więc odwracam się do lodów, a następnie spokojnie je rozdzielam. Mój oprawca cały czas stoi za mną, bo czuję jego uważny wzrok na plecach.

— Vincent?

— Tak?

— Poszukasz bitej śmietany? — pytam z rozbawianiem.

To, jak szybko jego humor się zmienia, jest zabawne. Słodkie i jednocześnie przerażające.

— Jesteś wystarczająco słodka. Nie ma śmietany. Albo jest, ale nie wiem gdzie, nie robię zakupów i nie rozkładałam ich do szafek, wybacz, maleńka.

— I jaki jest z ciebie pożytek, co? — wzdycham.

Odwracam się w jego stronę z dwoma pucharkami w rękach i uśmiecham się szeroko. Siedzą razem z Troyem przy blacie i po prostu się na mnie gapią. Naprawdę kompletne zero pożytku.

— Ze mnie? — Vince sugestywnie porusza brwiami. — Mam czas, by ci pokazać. — Uśmiecha się czarująco.

— Jesteś głupi.

— Bywa. — Wzrusza ramionami.

Podchodzę do nich z pucharkami i wręczam jeden brunetowi, a drugi szatynowi, który od razu zabiera się za jedzenie. A raczej pochłanianie. Na jego twarzy odmalowuje się ekscytacja. Chce mi się śmiać. Lubię, gdy moje jedzenie sprawia innym radość, a Troy wydaje się upojony szczęściem, gdy zapycha buzię jagodowymi lodami.

— Gdzie Stanley? — pytam.

— Zawsze tam, gdzie trzeba — odpowiada wywołany i wyłania się zza ściany tak, jak Troy przed kilkoma chwilami.

— Jesteście pieprzonymi ninja. A Aviana?

— Nie ma jej — wyjaśnia Vincent. — Na kilka dni musiała wrócić do bliskich. Będziesz nam gotować.

— Oczywiście. — Parskam. — Jestem mistrzem makaronów, mam nadzieję, że wam to pasuje.

— Żartowałem, nie będziesz koło nikogo skakać. — Krzywi się.

— Dlaczego? Mogę gotować. — Wzruszam ramionami. — Nie przeszkadza mi to.

— Super, dostanę lody, Cukierku? — pyta przymilnie Stanley.

— Jasne.

Odwracam się, szybko nakładam kolejne dwa pełne pucharki i wręczam jeden Stanleyowi.

Odbiera go ode mnie z pełnym wdzięczności uśmiechem i siada koło Troya. Vincent podaje mi łyżeczkę, więc i ja mogę się zająć pałaszowaniem. Lody są dobre, ale nie szalowe. Powinnam była zmrozić je trochę bardziej.

— Jakie plany na resztę tygodnia? — pyta Stanley.

— Mam sprawy w San Francisco i przesyłkę do Chicago — oznajmia Vincent. — Nie jestem jeszcze przekonany co do tych wyjazdów. Może powinienem załatwić to za jednym razem? Najpierw Chicago, a stamtąd do San Francisco? — wzdycha i zapełnia usta lodami.

Wygląda zabawnie z umazanymi jagodową papką wargami. Mam ochotę pochylić się i zetrzeć palcem ślad po słodkości.

— Tak byłoby najlepiej — stwierdza Troy. — Zaoszczędzisz dużo czasu. Z Miami do Chicago polecisz w trzy godziny, załatwisz sprawę i od razu możesz lecieć do San Francisco. Jak dobrze pójdzie, wystarczą ci dwadzieścia cztery godziny i na niedzielny bankiet będziesz miał wiele czasu.

— Polecisz do San Francisco? — pytam z wyraźnym podekscytowaniem.

— Tak, muszę się spotkać z kilkoma osobami — oznajmia. — Byłaś kiedyś w San Francisco?

— Nie, ale w Chicago byłam z Arthurem na jakiejś pseudorandce.

— Co można robić na randce w Chicago? — parska śmiechem Troy. — Tam nic nie ma!

— Byliśmy w zimie, kiedy Michigan było całe oblodzone, i szczerze mówiąc, to był niezmiernie widok.

— Więc czemu mówisz, że to była pseudorandka? — dopytuje Stanley.

— Bo była to rekompensata za to, że mój chłopak pieprzył inną. Zdradził mnie trzy dni przed tym wyjazdem, przyznał się, jak przyłapałam go dwa tygodnie po tej wycieczce na kolejnym pieprzeniu. — Marszczę nos na te niemiłe wspomnienia. — Nie dość, że mnie zdradzał, to jeszcze przez cztery miesiące miał pretensje, że go rzuciłam.

— Pretensje? — pyta twardo Vincent. — Jakiego rodzaju pretensje?

— Przychodził do mnie codziennie przez kilka tygodni i chciał zabrać mnie na randkę, całować się i, co najlepsze, proponował mi przyjacielski seks. Zabawny z niego chłopak.

— Zabawny — prychna. — W kurwę zabawny.

— Rozwalił mi dwa owocnie zapowiadające się związki. Uważa się za miłość mojego życia.

— Zauważyłem — warczy. — Chcesz lecieć ze mną do San Francisco?

— A zabierzesz mnie na Golden Gate? — Uśmiecham się niewinnie.

Mój humor nagle podskakuje do szalonej ekscytacji. Od dziecka marzyłam o postawieniu stopy na Golden Gate. Vincent zauważa niepohamowany wybuch radości na mojej twarzy, więc nieznacznie się rozluźnia.

— Jeśli chcesz. Moglibyśmy lecieć w przyszły piątek i zostać do poniedziałku. Potem zabrałbym cię do Denver.

— Serio?

— Serio serio. — Mruga.

Chcę pisać, ale się powstrzymuję, by nie wzięli mnie za kretynkę. Nie dość, że spełnię marzenie, to jeszcze zobaczę się z babcią. No jak tu go nie lubić?! O matko!

— Kto by pomyślał, że twój oprawca będzie potrafił dać ci tyle szczęścia? — parska śmiechem Troy. — Masz ogromne, wypełnione szczęściem oczy!

— Zawsze marzyłam o tym cholernym moście — przyznaję z ekscytacją. — To by było takie niesamowite w końcu na nim stanąć.

— Więc zabiorę cię ze sobą — postanawia Vincent. — A na bankiet niestety się nie udam — dodaje stanowczo. — Chodź na górę, Emerald.

Wstaje, bierze swoje lody i oddala się. Obserwuję jego szerokie plecy i niepewnie przenoszę wzrok na milczącego Stanleya. Patrzy na mnie z wyraźnym zaskoczeniem.

— Coś ty mu zrobiła?! — syczy Troy oskarżycielsko.

— Co?

Krzywię się z powodu jego nagłej złości.

— Odwołuje bankiet? On, kurwa, nigdy niczego nie odwołał! I zmiana planów? Co, do chu...

— Cukierku, idź na górę — wcina się Stanley i morduje szatyna wzrokiem. — Vincent nie lubi czekać.

— Jasne.

Uśmiecham się ze zrozumieniem. A potem kieruję się na górę.

Rozdział 16

Wchodzę do pokoju Vincenta z wyraźnym zaciekawieniem i uśmiecham się szeroko, gdy widzę go na balkonie z papierosem. Opiera się łokciami o barierkę i podziwia widok. Pucharek z jego lodami stoi obok łóżka, a mój mały kociak drzemie na jednej z poduszek. Odkładam więc swoje lody obok jego pucharka i też udaję się na balkon. Jest za zimno jak na mój strój, ale nie odczuwam tego jakoś szczególnie, ponieważ opieram się o ramię Vincenta. Jego ciało grzeje mnie w sposób, którego nie rozumiem, ale który jednocześnie uwielbiam.

— Opowiedz mi o swoim związku — mówi, a ja wyczuwam nutkę zazdrości.

— Po co?

— Bo chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Przygryzam wargę. Zabrzmiało dziwnie i jednocześnie słodko. On jest zdecydowanie popieprzonym mężczyzną. A ja bardzo lubię tę jego dziwną łatwość w zmianie nastroju. Mimo że szybko można go rozzłościć, to również bardzo szybko może być zadowolony.

— Poznałam go na imprezie, w ostatniej klasie liceum. Był wysoki, wysportowany i dobrze się całował. Moja przyjaciółka, Anna, mówiła, że jest we mnie wpatrzony jak w obrazek. I rzeczywiście przez pierwsze miesiące tak było. Wchodził mi w tyłek tak bardzo, że w końcu zgłupiałam na jego punkcie i sama zaczęłam mu słodzić. Nasz związek był zwyczajny: całowaliśmy się, przytulaliśmy i chodziliśmy na randki. Ja poznałam Jerry'ego i zaczęłam pracę w cukierni, a on poszedł na kilka kursów i zatrudnił się u ojca, który jest jakąś szyczą. Było spoko, czasem romantycznie, czasem beznadziejnie. Klóciliśmy się bardzo rzadko i godziliśmy się wtedy po kilku godzinach. Nie potrafił się na mnie złościć — wzdyham. — I zdecydowanie nie potrafił mnie zaspokoić.

Vincent spina się gwałtownie i dłoń, którą trzyma papierosa, zamiera w połowie drogi. No cóż, może troszkę za daleko popłynęłam.

— Co masz na myśli? — pyta twardo.

— No wiesz... seks. Był za słodki i... Nie chcę o tym rozmawiać.

— A ja chcę. Rozwiń to.

Zaciąga się papierosem po raz ostatni i gasi go o barierkę, a następnie wyrzuca, i zwraca się w moją stronę. Jest zły, ale i zaciekawiony, więc uznaję, że nie ma tragedii.

— Co mam ci powiedzieć? Był beznadziejny w łóżku. Kilka pierwszych zbliżeń było okej, bo jednak byłam niedoświadczona i potrzebowałam delikatności, ale z czasem zapragnęłam czegoś więcej i nie dostałam tego. Nienawidzę wanilii, jest beznadziejna i nie daje mi żadnej frajdy i odprężenia. Leżysz, rozkładasz nogi, czekasz, składasz nogi i wszystko trwa na tyle krótko, że nie wiesz, kiedy wszedł, a kiedy wyszedł. To... przykre.

Spoglądam na niego niepewnie, ale nie odczuwam wstydu.

— Więc lubisz się mocno pieprzyć?

— Nie wiem — przyznaję i obejmuję go w pasie. — Nikt mnie jeszcze porządnie nie zerznął.

Posyłam mu niewinny uśmiezek i przyciskam policzek do jego klatki piersiowej. Czuję szybkie bicie jego serca i mam ochotę głośno parsknąć śmiechem.

— Kurwa, nie mów tak do mnie — warczy. — W twoich ustach... Nie mogę tego słuchać.

— Dlaczego? Nie jestem damą.

— Jesteś cholernym wszystkim. Jesteś najśłodszym stworzeniem, jakie widziałem, i jednocześnie potrafisz być bezpośrednia i sprośna. Jak to z tobą jest, Emerald? Jesteś księżniczką za dnia, a w nocy zamieniasz się w demona seksu?

Odsuwa mnie od siebie i wbija we mnie oczy, teraz bezdennie czarne i błyszczące słodkim podnieceniem. Co mam mu odpowiedzieć? Jest moim porywaczem, a ja nie mam przed nim żadnych zahamowań. Dlaczego? Dlaczego czuję, że mogę powiedzieć mu wszystko? To przerażające.

— Seks z Arthurem był jak z wibratorem. Było fajnie, bo był to seks, ale nie prznosił mnie do krainy jednoróżców. Ja chciałam częściej, on nie miał czasu lub ochoty. Był jak znudzona kobieta, którą wiecznie boli głowa, a ja zachowywałam się momentami, jakbym miała wiecznie stojącego kutasa, wiesz, o co mi chodzi? Jak zaczęłam, to potrzebowałam więcej i więcej, seks jest uzależniający. No i tak

wyszło, że najczęściej to ja byłam na górze, bo prędzej sobie dogodziłam, gdy mogłam to kontrolować. Z biegiem czasu doszłam do wniosku, że czułam się przy mnie mało męski, bo rzadko kiedy kończyłam dzięki niemu. — Kręcę głową z goryczą. — Kiedy się dowiedziałam, że mnie zdradza, nie mogłam tego przeboleć — przyznaję. — Bo mimo że seks był słaby, to kochałam go jako osobę. Gdyby nie był takim zjebem, podrasowalibyśmy to pieprzenie i jakoś byśmy razem przetrwali. Uwielbiałam spędzać z nim czas, bo czułam, że naprawdę mnie kocha.

— Gdyby cię kochał, nie zdradziłby cię — prychna.

— On nadal mnie kocha — stwierdzam oczywistość. — Zdradził mnie, bo chciał sobie udowodnić, że jest prawdziwym mężczyzną, a ja za wiele wymagam. Jednak kiedy już przeleciał swoją obecną, straciłam do niego zaufanie i wszystko poszło z dymem. Zdrada jest zdradą, a on przeleciał swoją wywłokę aż trzy razy w trakcie naszego związku. To przegięcie.

— Nadal o ciebie walczy? — Zaciska szczękę.

— Tak. Spotykałam się z dwoma chłopakami na poważnie i obie te znajomości rozwalił krzywymi akcjami. Kiedy byłam z tobą na kolacji w Denver, też zaczął podchody, sam widziałeś. Nie kupił jednak tego, że jesteśmy razem, bo zna mnie lepiej niż ktokolwiek. Miałam osiemnaście lat, gdy się poznaliśmy, dziewiętnaście, jak zaczęliśmy być parą, i spędziłam z nim dwa i pół roku, a to dużo.

— Więc był twoją prawdziwą miłością.

— Tak, zdecydowanie bardzo go kochałam. — Uśmiecham się nostalgicznie.

— Pierwsza miłość jest najsilniejsza.

Oczy Vincenta powoli zaczynają się zmieniać na wkurwione. Ugh, sam tego chciał!

— Pierwszą miłość pamięta się do końca życia i tak, zgadzam się, że jest najsilniejsza. Jednak najważniejsza jest ta ostatnia, to ona jest tą, na którą czeka się całe życie. Jeśli to nie ta pierwsza, to znaczy, że pierwsza była główniana. — Wzruszam ramionami. — Arthur był dobrym początkiem i gdy nie ma we mnie nadmiaru nienawiści, wcale tej relacji z nim nie żałuję.

— Jesteś dziwna.

— Wiem, rozmawiam o seksie i swoim pierwszym związku z gościem, który mnie porwał. — Śmieję się. — I w ogóle się nie krępuję.

— I nadal uważasz, że to syndrom?

— Nie wiem, co to jest. Ale syndrom na pewno miał znaczenie! Na początku byłam przestraszona. Później uległam, bo chyba bałam się sprzeciwić, a teraz mam ochotę cię przelecieć i nie oceniam mnie za to — parskam śmiechem.

— Masz na mnie ochotę? — mruczy, nagle wielce zadowolony.

Łapie mnie za pośladki i gwałtownie unosi, więc muszę opleść go nogami w pasie. Jestem na wysokości jego twarzy i szalenie mi się to podoba. Blask księżycy oświetla go w zabójczo cudowny sposób.

— Może troszkę. — Uśmiecham się i obejmuję go za szyję. — Te dwa poprzednie incydenty były bardzo obiecujące. I wyglądasz na gościa, który wie, jak wykorzystać swojego penisa.

— Tak? Po czym to wnioskujesz?

— Po tym, że twój kutas jest duży, a ty masz bardzo podniecone spojrzenie — szepczę. — I bije od ciebie niebezpieczeństwo. No i w sumie jesteś tajemniczy i po prostu duży. Barczysty i wysoki. Rany no, jesteś zajebiście gorący.

— Zajebiście gorący?

— Tak, zdecydowanie. Ostatnio stwierdziłam, że sprostałbyś moim oczekiwaniom.

— Opowiedz mi o tym, maleńka.

— Jak już wspomniałam, wolałabym robić, niż mówić. To... — przygryzam wargę — ...zadzwońiłabym może do babci, a później zdjęła ci spodnie, co ty na to?

Uśmiecham się niewinnie, wplatając palce w jego miękkie włosy i delikatnie za nie pociągając, przez co Vincent odchyła głowę. Lubię, gdy jest taki chętny wobec moich poczynań. To seksowne.

— I co potem?

— Zlizalabym z twojego penisa lody — szepczę. — A później z niego samego zrobiłabym loda. Jestem pewna, że by ci się podobało.

— Najpierw to ja będę zlizywał lody z ciebie. A później oddam ci się całkowicie i zrobisz, co będziesz chciała. Tylko musisz mi coś powiedzieć.

— Mhm?

— Czujesz się zakładnikiem?

— Nie, czuję się, jakbym przeżywała wakacyjny romans.

Wakacyjny romans w zimie.

— Idealnie — szepcze. — Tego właśnie chciałem, maleńka.

Zanim udaje mi się otworzyć usta, by zadać mu pytanie, zamyka mi je gwałtownym, zachłannym i gorącym pocałunkiem. Od razu wprasza się z językiem i śmiejem stwierdzić, że nie całuje, a pieprzy moje usta. Nie jestem w stanie nadażyć za jego wygłodniałymi ruchami, ale oddaję mu się cała, spragniona i gotowa na to, co może mi zaoferować.

— Pragnę cię — warczy, liżąc moją dolną wargę. — Pragnę cię od momentu, w którym cię zobaczyłem, i już nie mogę wytrzymać z dala od ciebie, Emerald. To mnie przerasta.

— Ja od chwili, gdy cię zobaczyłam, zapragnęłam twoich ust — przyznaję drżącym głosem. — I zapewniam cię, że przyjdzie taki moment, kiedy na nich usiądę.

— Jesteś cholernym ideałem. — Ścisła moje pośladki i rusza do pokoju. — Ta sprośna pogawędka doprowadza mojego fiuta do szału.

— Poczekaj, aż wezmę go do buzi — drocę się. — Wtedy poczujesz, co to znaczy orgazm, panie Visser.

— Maleńka... — Kręci głową z rozbawieniem. — Poczekaj, aż cię zerżnę.

— Już nie mogę się doczekać. Chodźmy zadzwonić do mojej babci, a potem niech się dzieje, co chce.

Uśmiecham się z cieniem ekscytacji i delikatnie manewruję palcami w jego czuprynie. Przesuwam paznokciami po skórze głowy.

— Emerald — szepcze i przyciska nos do mojej szyi, gdy docieramy do łóżka.

Piszczę, bo trafia w mój czuły punkt i perfidnie się nad nim pastwi! Jego zarost mnie drażni, więc żeby pogłębić moje doznania, bezczelnie porusza głową. Wiję się przy nim, śmiejąc się wniebogłosem, i staram się odchylić jak najdalej, ale nie mogę. Trzyma mnie zbyt mocno.

— Przestań — jęczę, przez co cicho się śmieje.

— Łaskotki — wzdycha. — Jesteś słodka.

— Tak, stąd zamiłowanie do pieczenia ciast i słodczy. Dzwonimy do babci?

— Mam z nią rozmawiać? — pyta niewinnie.

— Nie, lepiej nie. Po prostu daj mi telefon.

— No dobrze — wzdycha z udawanym zawodem. — Ale najpierw mnie pocałujesz.

— Najpierw to ja chcę telefon, mój drogi. Wtedy się zastanowię.

— Doprawdy?

— Tak.

— No dobrze.

Spektakularnie puszcza mnie na materac, przez co padam na niego z piskiem i odbijam się dwukrotnie. Cóż, nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy. Jednak nie narzekam, za to wybucham szczerym śmiechem, bo to było naprawdę zaskakujące.

Podnoszę się na łokciach i mierzę Vincenta groźnym spojrzeniem, które dzielnie odwzajemnia. Nie trwa to jednak długo, bo zaraz przewraca oczami i parska cichym śmiechem. Nie rozumiem, co w moim wzroku jest zabawnego.

— Vincent.

— Emerald.

— Dasz mi telefon?

— Dam.

Zamyka na moment oczy, a potem wychodzi. Trwam w samotności kilka minut, skupiając się na swoim oddechu. Na samą myśl o tym, co może się za chwilę stać, moje serce przyspiesza. Jestem podniecona i jednocześnie przerażona. Jakim cudem Vincent działa na mnie tak mocno po tak krótkim

czasie, odkąd się poznaliśmy? To jest nienormalne i wręcz popieprzone. Chciałabym być odporna na jego urok, ale nie jestem! Powinnam trochę przystopować.

Moje rozmyślania przerywa odgłos delikatnie otwieranych drzwi. Najpierw wybiega przez nie kociątko, które podczas moich przemyśleń zeskoczyło z łóżka i czatowało pod drzwiami, a następnie leniwym krokiem wchodzi Vincent. Ma na sobie jedynie szare dresy, które luźno zwisają z jego wąskich bioder. Cóż, powiedzieć, że cieszy mnie ten widok, to mało. On mnie rozpieprza wewnątrz! Cholera.

— Twój telefon — mówi i podaje mi aparat.

To najnowszy iPhone, więc krzywię się zdezorientowana. Mój był jakieś cztery modele starszy.

— Odpowiadając na twoje niezadane pytanie: tak, to twój stary telefon w nowym opakowaniu. Tamten miał lekki wypadek.

— Jaki wypadek?

— Wylądował na ścianie. Mam sobie iść?

— Nie, usiądź koło mnie.

Spełnia moje polecenie bez słowa, ale zamiast siadać, kładzie się na materacu zaraz za mną. Jego nienasycone palce wsuwają się pod materiał mojej koszulki i niewinnie muskają skórę nad linią spodenek.

Odblokowuję telefon bez słowa i z przerażeniem dostrzegam trzysta dwadzieścia osiem wiadomości i sto trzydzieści dwa nieodebrane połączenia. Cóż, cztery tygodnie bez telefonu zrobiły swoje, mimo to jestem cholernie zaskoczona. Kto się tak dobijał? Anna?! Wchodzę w połączenia i szybko przewijam listę: widzę połączenia od Anny, babci, Jerry'ego, Arthura i nawet od jego narzeczonej. Czego ode mnie chciała ta wywłoka?

Bez zastanowienia wybieram numer babci i zagryzam wargę. Co mam jej niby powiedzieć?

— Valeria Veronica Avada — odzywa się po drugim sygnale swym zachrypniętym głosem.

To, co rozlewa się w moim sercu na dźwięk jej głosu, jest nie do opisania. Momentalnie w moich oczach pojawiają się łzy, a oddech zamiera. Tak bardzo tęskniłam za jej cichym, kojącym głosem!

— Babciu... — zaczynam, ale nie wiem, co mam powiedzieć.

— Co się stało, że postanowiłaś sobie przypomnieć o starej babce?

— Myślę o tobie każdego dnia — protestuję. — Nie miałam... czasu, jestem w Miami.

— Miami? — szepcze, jakby z nostalgią. — Jak to? Po co?

— Szef przyjaciela Jerry'ego zaproponował mi szkolenie, na które musiałam się zgodzić w ciągu kilku minut. Jestem wykończona, nie masz pojęcia, ile się tutaj dzieje — kłamię jak z nut. — Jak się czujesz?

— Jak osiemdziesięcioletnia kobieta, której wnuczka zniknęła na miesiąc. — Parska śmiechem.

— Muszę ci coś w końcu opowiedzieć i dać, skarbie. Kiedy przyjedziesz?

— W przyszłym tygodniu.

— No dobrze. Jak się czujesz w Miami? Pieką tam lepiej ode mnie?

— Nie, zdecydowanie! Nawet tutaj nikt cię nie przebija. — Śmieję się. — A ty jak się czujesz?

Nie bolą cię plecy?

— Valerio, w moim wieku boli wszystko — prycha. — Zadzwoń do mnie jeszcze jutro, dobrze?

Teraz jestem szczerze wykończona. Musiałam sprzątać szkło po tym przeklętym kocie!

— Dobrze. W takim razie do usłyszenia, kocham cię.

— Ja kocham cię mocniej, skarbie. Dobranoc.

— Dobranoc.

Kończę połączenie i wypuszczam wstrzymywane z nerwów powietrze z płuc. To daje mi chwilowe ukojenie. Palce Vincenta, które błędzą pod moją koszulką, również działają kojąco.

— Drżysz — zauważa. — Wszystko w porządku?

— Chyba tak, babcia jest cała i zdrowa.

— Cieszę się. Do kogo teraz?

— Nie wiem — szepczę, zastanawiając się. — Jeśli zadzwonię do Anny, zwyzywa mnie od najgorszych.

— Może nie będzie aż tak źle?

— Nie znasz jej. Jest straszna, gdy nie wie, co się dzieje i gdzie jestem.

— Gorsza niż ja? — parska śmiechem.

W tym momencie uświadamiam sobie, że w porównaniu z jego wybuchami wściekłości złość Anny jest niczym muszka owocówka przy słońcu. Cholera. Czego ja się niby boję? Wybieram jej numer bez dalszych rozmyślań. Vincent podnosi się do siadu i opiera ciężar ciała na rękę, którą układa obok mojego uda. Jego twarz znajduje się zaraz obok mojej, więc bez zastanowienia odchyłam się i opieram o jego ciepły tors.

— Ty skończona, martwa, pojebana idiotko! — wita mnie czule Anna. — Opuścił cię zdrowy rozum, wariatko?! Gdzie ty, kurwa, jesteś, co? I z kim, do chuja?!

Odsuwam telefon od ucha i przyciskam opcję głośnomówiącą, by mój towarzysz mógł usłyszeć wściekły, ociekający jadem głos mojej najlepszej przyjaciółki.

— ...od zmysłów! Nie ma cię w mieszkaniu, Jerry zamknął ryj i nic nie mówi, Arthur dzwoni do mnie po kilka razy dziennie z informacjami, że jakiś niebezpieczny typek zabrał cię na randkę, a ja nic, kurwa, o tym nie wiem! Miesiąc zbywasz mnie krótkimi wiadomościami i masz czelność do mnie dzwonić!? Ty skończona, egoistyczna idiotko!

Spoglądam na Vincenta zmrużonymi oczami, bo ten wybuch jest wyłącznie jego winą, i kręcę głową. On natomiast się nie przejmuje. Uśmiecha się cwaniacko i zakłada kilka pasm moich włosów za ucho, a potem wodzi palcem wzdłuż mojej szyi.

— Odezdziesz się w końcu?! — przypomina się Anna.

— Nie wiedziałam, czy ten karabin maszynowy, którym do mnie strzelasz, chociaż na moment się uspokoi. Żyję, Ann, jestem cała i zdrowa.

— Gdzie ty, kurwa, jesteś i dlaczego nic nie chcesz mi powiedzieć?!

— Jestem w Miami na szkoleniu, które wyszło całkiem przypadkiem od znajomego Jerry'ego. Nie miałam za bardzo czasu na podjęcie decyzji, a jak już się tutaj znalazłam, odcięłam się od wszystkiego, by skupić myśli na pracy — odpowiadam na jednym wdechu. Za te kłamstwa czeka mnie zapewne surowa kara. — Byłam na tym spotkaniu i Arthur na nas wpadł.

— Gość się tak zagrzał na tego twojego kumpla, że rozwalił mi szklankę o podłogę. Czy on, do chuja, jest poważny? Zdradzał cię, a teraz ma pretensje, że się z kimś ustawiłaś na randkę. Czy to nie jest chore?

— Jest — przyznaję, spoglądając w lodowate tęczę Vincenta. — Arthur chyba sam nie wie, czego chce.

— Oczywiście, że wie. On chce ciebie, zawsze chciał, ale powiedziałaś mu, że ma spadać. Ale jebać tego czubka. Powiedz mi, do cholery, co to za obiekt pojawił się na horyzoncie?

— Ogarnij się — burczę. — Po prostu byliśmy na kolacji.

Vincent zaciska szczękę, a ja nie wiem, czy to dobry pomysł, by rozmawiać o nim z Anną w jego towarzystwie. To krępujące. Zwłaszcza że patrzy na mnie z odległości kilku centymetrów i jest zły na samo wspomnienie o moim byłym.

— Nie pierdol. Arthur mówił, że nazwałaś tego gościa miłością. Rozumiem, że to pewien rodzaj zazdrości, ale, kurwa, kto to jest? Kiedy ty ostatnio byłaś na randce? Z pół roku temu!

— Przestań panikować, okej?

Wiercę się, odwracając wzrok od zaciekawienia rodzącego się w oczach mojego partnera.

— Jasne! Cipka zarośnie ci pączęzną i tyle będziesz miała ze swoich najlepszych lat. Cycki opadają z wiekiem, wiesz?!

— O matko — jęczę.

Vincent parska śmiechem, przez który mam ochotę go zamordować. Wytrzeszczam oczy na jego rozbawioną twarz i czuję, jak moje ciało oblewa zimny pot. Jestem w dupie. Cholernej, bo Anna gwałtownie zaciąga się powietrzem.

— Kim jest ten człowiek?! Halo!? Jestem na głośnomówiącym?!

— Tak — odpowiada wielce rozbawiony.

— No cóż, ale jaja — śmieje się nerwowo Anna. — Dobra, co się stało, to się nie odstanie, więc ja zadzwonię później, a ty ją przeleć, żeby jakiś ptasznik się tam nie zalęgnał! — krzyczy i parska

śmiechem.

Rozłącza się, a ja zastygam z telefonem przed twarzą, bo to było tak, kurwa, żenujące!

— To było... — zaczyna Vincent.

— ...kurewsko straszne! — kończę.

— Nieprawda — kłamie gładko i próbuje stłumić śmiech. — Z tego, co sprawdzałem ostatnio, nie masz tam żadnych pajęczyn.

— Och, pieprz się! — warczę.

Vincent wybucha śmiechem, na co wbijam mu łokieć w żebra. Syczy, a ja momentalnie orientuję się, że przecież jest ranny! Rzucam telefon na pościel i gwałtownie odwracam się w jego stronę. Spoglądam na opatrunek, pod którym widzę nieznaczną plamę krwi, i oddycham z ulgą, bo nie uderzyłam go w to miejsce.

— Przepraszam — mówię. — Zapomniałam, że jesteś ranny.

— Spokojnie, Emerald, najwyżej zszylibyśmy ją trzeci raz.

Unosi dłoń i bardzo subtelnie nawija pasmo moich włosów na palec. Jego leniwy uśmiech skutecznie mąci mi w głowie.

— Chcesz zadzwonić do Jerry'ego? — pyta, gdy się nie odzywam.

Kręcę głową przecząco i wzdygam, nie wiedząc, czego chcę. Z jednej strony wizja zbliżenia się do Vincenta jest przerażająca, a z drugiej nie umiem sobie odmówić. Pragnę go.

— O czym myślisz?

— Zastanawiam się, czy powinnam się na ciebie rzucić — przyznaję szeptem, łapiąc go za dłoń. — Chyba dłużej nie wytrzymam z tą twoją cholerną, uzależniającą bliskością, Vince.

— Vince?

Uśmiecham się w odpowiedzi i wzruszam niezobowiązująco ramionami.

— Myślę, że powinieneś mnie pocałować.

— Pocałować? — pyta, uśmiechając się kącikiem ust. — A gdzie?

Przygryzam wargę, nie mogąc nakierować swoich myśli i pragnień na odpowiedni tor, i unoszę się na kolanach, a następnie kładę dłonie na jego ciepłych, umięśnionych ramionach. Pochylam się i wbijam wzrok w jego oczy. Błyszczą, a ja znów mam to dziwne przeświadczenie, że są znajome.

— Czasem patrzysz na mnie w taki sposób, jakbyś przeświałała moją duszę — szepcze.

Uśmiecham się leniwie, obrysowując paznokciem jego miękkie wargi, i wzdygam.

— Czasem mam wrażenie, że cię znam.

Przechyla głowę, obejmując mnie władczo w pasie, i głęboko oddycha, a potem ni stąd, ni zowąd rzuca mnie na materac i w ułamku sekundy jego twarz pojawia się nad moją. Składa krótki pocałunek na środku moich warg, a potem przesuwając usta na brodę, szyję, aż do piersi. Szturcza nosem sutek, który momentalnie twardnieje, i całuje go przez materiał koszulki. Biorę pełen oddech i zamykam oczy, wypuszczając powietrze. Moje serce przyspiesza z każdym pocałunkiem, który kieruje Vincenta między moje nogi. Czuję, jak robię się wilgotna, i za żadne skarby nie potrafię go powstrzymać. Jestem... zaintrygowana.

Gdy wargi bruneta docierają do linii moich spodenek, zatrzymuje się i podnosi. Spoglądam na niego niepewnie i widząc pragnienie, które przeziiera z jego oczu, uśmiecham się szeroko.

— Rozbierz się dla mnie, Emerald.

O matulu.

Unoszę się do siadu i bez przemyślenia łapię dół mojej koszulki, a potem jednym ruchem ściągam ją przez głowę. Rzucam ją niedbale na podłogę i kładę się z jękiem na materacu. Dźwigam tyłek, wpatrując się w zaintrygowaną twarz mojego kochanka, i poruszam biodrami, by zachęcić go do pomocy. Powoli łapie materiał w palce i boleśnie leniwym ruchem zsuwa go wraz z majtkami. Gdy dolna część mojej garderoby upada na podłogę, Vincent chwyta w pewny uścisk moje kostki i rozkłada mi nogi. Czuję, jak moje policzki robią się czerwone, ale nie mam zamiaru przerywać. Pragnę go i nie umiem sobie odmówić.

— Jesteś idealna — szepcze.

Pochyla się do mojej lewej nogi i składa krótki pocałunek na kostce. Po nim kolejny i kolejny, aż

dociera do kolana. Wtedy puszcza nogę i zbliża się, układając się wygodnie przed moją cipką. Zerka na nią z lubieżnym uśmieszkiem, po czym spogląda mi w oczy. Błyszczą pożądaniem.

— Mogę? — mruczy.

Jego głos jest jak symfonia. Najseksowniejsza, jaką kiedykolwiek słyszałam. Bez zastanowienia kiwam głową i zaciskam powieki, odchylając głowę.

— Dotknij swoich piersi, Emerald, wiem, że chcesz.

Uśmiecham się nieśmiało i robię, co mówi. Ujmuję piersi i szczypię sutki, gryząc boleśnie usta. Mój oddech przyspiesza, gdy Vincent rozchyła moje wargi i składa obiecujący pocałunek na środku mojej cipki. Następnie nieznacznie wsuwa język i przeciąga nim aż po lechtaczkę, którą gwałtownie zasysa. Jęczę, czując, jak szybko robię się mokra, i wyginam plecy, mocniej ściskając sutki.

— Smakujesz doskonale — mówi w moją cipkę. — Uwielbiam cię, Emerald.

Unosi się, łapie mnie za łydki i rozchyła mi nogi do maksimum, zanim ostatecznie doбира się do mojej spragnionej waginy. Gdy jego język spotyka się z moją nabrzmiałą lechtaczką, odlatuję. Jest szybki i dokładny, gdy z wprawą szturcha mój wrażliwy pączek. Liże go, zasysa i pieści, mrużąc w seksowny sposób. Jestem pochłonięta doznaniem, dzięki któremu zaczyna narastać we mnie orgazm. Szarpię się, chcąc więcej, i puszczam prawą pierś, by wpleść palce w włosy Vincenta i docisnąć go do siebie mocniej. Piszczę, gdy dodaje do zabawy zęby, i poruszam biodrami w górę i w dół, napawając się cudownym oczekiwaniem. Jestem na granicy orgazmu, który wzbiera i wzbiera.

Mój kochanek jednak nie jest na tyle łaskawy, by pozwolić mi dojść tak szybko. Gdy moje nogi zaczynają drżeć, porzuca lechtaczkę i unosi głowę. Z niedowierzaniem wbijam w niego wzrok i już chcę na niego krzyżeć, gdy nagle jego palce przejmują inicjatywę. Kciukiem przyciska mój najwrażliwszy punkt, a palec wskazujący wprowadza do środka. Pieprzy mnie szybko, wpatrując się w moje oczy, i nawet nie orientuję się, kiedy spadam w przepaść, w którą mnie wepchnął. Orgazm przetacza się przeze mnie gładką, rozpierającą zmysły salwą, a Vincent powraca do pieszczenia lechtaczki, przez co piszczę, chcąc się uwolnić. Moje nogi nie przestają drżeć, bo jego cholerny język nadal mnie napastuje!

— Vince, proszę! — jęczę, gdy już nie mogę wytrzymać.

Podnoszę się na łokciach i wplatam palce w jego włosy, by zaraz gwałtownie za nie szarpnąć. Prycha w odpowiedzi na mój atak i ostatni raz całuje cipkę, a potem podnosi się i bez ostrzeżenia porywa moje wargi do pocałunku. Smakuje moim spełnieniem i swoją surowością, którą uwielbiam.

— Jesteś cudowna, maleńka.

— I *vice versa* — sapię. — Teraz ja.

Przerywam pocałunek i odsuwam twarz Vincenta od siebie, uśmiechając się lekko. Jego oczy wyrażają zadowolenie i podniecenie, które czuję również między nogami. Krocem napiera na moje udo.

— Jesteś pewna? — szepcze. — Nie musisz.

— Połóż się, Visser.

Przygląda mi się przez chwilę. Odsuwa się, po czym ostrożnie układa się na materacu, a ja się podnoszę. Bez chwili zastanowienia pozbawiam go ubrań. Gdy jest nagi, okraczam go i siadam, przyciskając mu prącie do jego uda. Pochylam się, układając dłonie po obu stronach jego przystojnej twarzy. Jego broda lśni moimi sokami, a oczy błyszczą podekscytowaniem. Wygląda niesamowicie. Pragnę go. Pragnę jak żadnego mężczyzny wcześniej.

— Lubię na ciebie patrzeć — szepczę, dotykając jego policzka.

Zagryza wargę, czym zatrzymuje cisnący się na jego usta uśmiech.

— Tak? — mruczy. — Dlaczego?

— Bo masz bardzo ostre rysy, bardzo duże i piękne oczy i jesteś po prostu przystojny — szepczę.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że się rumienisz? — pyta beczelnie.

Mam ochotę go kopnąć. Wcale nie czuję zawstydenia. Jestem podekscytowana i mimo że nie mam wprawy w obciążaniu, moja determinacja, by sprawić mu przyjemność, zdecydowanie wygrywa.

— Jesteś piękna, Emerald — dodaje po chwili.

Łapie moją twarz w obie ręce i widząc moją pewność, gwałtownie przyciąga do siebie. Łączy nasze usta w mocnym pocałunku. Staram się odpowiadać z podobną mocą, ale to niemożliwe. Jest wygłodniały i traci nad sobą kontrolę.

— Najpiękniejsza — mruczy, gdy przerywa szarżę na moje usta. — I moja.

— Jesteś dziwakiem — komentuję.

Całuję go lekko po raz ostatni. Powoli schodzę niżej, na szczękę, po której przesuвам językiem i kończę dopiero na szyi. Obsypuję ją mokrymi pocałunkami, mocnymi ugryzieniami i zostawiam kilka śladów. Chłonę jego zapach, niebezpieczeństwo i nutkę tajemnicy, która towarzyszy mu przez cały czas. To, jak bardzo pragnę się odwdziaczyć, jest uzależniające. Docieram ustami na jego tors i delikatnie wbijam w niego zęby. Spina się, co bardzo mi się podoba, i przesuвам się w dół, aż nad pępek. Tam zamieniam zęby na usta i docieram do mety, gdzie gwałtownie się prostuję. Patrzę badawczo w jego podniecone oczy i uśmiecham się szeroko pełna pozytywnej energii.

— Znęcasz się nade mną — szepcze.

— Z premedytacją — przyznaję, puszczając mu oczko.

— Jesteś cholernie frustrująca w tej chwili.

Niewinnie wzruszam ramionami i cofam się, by mieć łatwiejszy dostęp do jego członka. Chwytam twarde prącie w pięść i ustawiam pionowo, powoli pocierając. Oddech Vincenta przyspiesza, sprawiając mi ogrom radości. Fakt, że podnieca go to, co robię, jest doskonałą nagrodą. Chcę więcej, dlatego pochylam się i patrząc mu prosto w oczy, okrążam językiem nabrzmiąłą główkę. Odchyła głowę, napinając mięśnie brzucha, a wtedy obejmuję żołądz i zasysam. Gdy chcę połknąć więcej, dociera do mnie hałas.

— A mnie to mocno pierdoli, Stanley! — krzyczy kobieta, której głosu nie rozpoznaję.

Gwałtownie się prostuję, wypuszczając penisa z ust, i łapię go w pięść, a potem z przerażeniem patrzę na zdezorientowanego moim zachowaniem Vincenta.

— Nie chcesz poznać mojego gniewu — warczy Stanley, a barwa jego głosu wydaje mi się obca. Ktoś mocno chwyta za klamkę do pokoju, a mnie łapie paraliż. — Nie pozwolę ci wejść, choćbyś mi groziła nie wiadomo czym. Vincent jest zajęty.

— Dla mnie zawsze znajdzie czas — prycha kobieta.

— Dobrze wiesz, że to nieprawda.

Moja dłoń, która obejmuje penisa, zaciska się na nim w konsekwencji gniewu, który odczuwam. Wnioskuje po syknięciu Vincenta, że robię to za mocno, więc przenoszę wzrok na jego twarz i widzę pustkę. W tej chwili jest tak cholernie obojętny, że jestem przekonana, iż ta kobieta jest pieprzoną Ginger. To musi być ona.

— Myślisz, że coś się zmieniło? — parska śmiechem kobieta. — To chwilowe, jak wszystko w jego życiu — mówi dumnie.

Mój kochanek uderza dłońmi o materac.

— Jasne — warczy. — Emerald, puść mnie, muszę wyjść.

— Kim ona jest?

Mrużę oczy, bo zazdrość przyćmiewa mój upojony podnieceniem umysł.

— Kimś, kto mnie wkurwia — prycha. — Zaraz wrócę.

— To Ginger? — pytam bez zastanowienia.

Vincent zaciska szczękę. Okej, kim, do chuja, jest ta kobieta?

— Vincent — warczę.

— Emerald, skarbie, zmiażdżysz mi fiuta — sapie, zaciskając oczy.

Cóż, moja dłoń reaguje automatycznie. Nie chcę robić mu krzywdy, ale, do cholery, on mnie frustruje! Kim jest ta cholerna Ginger?!

— Przepraszam — burczę i puszczam go. — Po prostu...

— ...jesteś zazdrosna — kończy za mnie. — Nie powinnaś.

— Dlaczego nikt nie chce mi powiedzieć, kim ona jest?

— Bo nie potrzebujesz tej wiedzy, kochanie. Jest kimś, kto miał ze mną bliski kontakt, ale nigdy nie miał dla mnie znaczenia. Nie przejmuj się tym, zaraz do ciebie wrócę. Muszę ją po prostu opierdolić — wzdycha.

Widzę w jego oczach coś, co sprawia, że dreszcz przebiega po moim kręgosłupie. Jest odrobinę przerażający.

— Możesz mi później wytłumaczyć, co cię z nią łączyło?

— Nie, to przeszłość. A to, co jest za mną, nie ma dla ciebie znaczenia. Liczy się chwila, w której to ty jesteś przy mnie. Nic innego. I nie przejmuj się tym, co kiedykolwiek możesz od niej usłyszeć. Jej słowa nie mają poparcia w czynach i emocjach. W porządku?

— Ja... Nie. Nie rozumiem cię — przyznaję.

— To podobno normalne — wzdycha. — Nikt nie potrafi mnie zrozumieć.

Uśmiecha się.

— Dlaczego?

— Bo jestem dość popierdoloną osobą. — Wzrusza lekceważąco ramionami i przechyla głowę, patrząc na mnie, jakby coś nagle do niego dotarło. — Na szczęście ty również.

— Aha?

— Zdecydowanie jesteś popierdolona. I zdecydowanie bardzo mi się to podoba.

Przewracam oczami, nie chcąc wyjść na zauroczoną idiotkę, i zaplatam ręce na piersiach, by wyglądać groźnie.

— Idź już załatwić tę sprawę i wracaj do mnie — rozkazuję. — Bezczelnie mi przerwała!

— Możesz być pewna, że gorzko tego pożałuje — oznajmia całkowicie poważnie. — Nie bądź na mnie zła.

— Nie będę, jeśli szybko wrócisz.

— Więc będzie to ekspresowe opierdolenie — postanawia.

Schodzę z jego nóg i kładę się na materacu, a on wstaje i podchodzi do szafy, wyjmując z niej dresy, które szybko na siebie zakłada, i kieruje się do drzwi. Nie chcę być zaborczą i naprawdę nie rozumiem sama siebie, ale odzywam się poirytowanym głosem:

— Włóż koszulkę.

Zatrzymuje się gwałtownie i powoli odwraca twarz w moją stronę. Jest zaskoczony. Tak, wyraźnie, a ja czuję się jak zazdrosna idiotka.

— Co?

— Będzie ci zimno — kłamię.

W domu jest gorąco. Cholera.

— To nie jest prawda. — Uśmiecha się arogancko. — Podaj mi prawdziwy powód, a posłucham.

— Nie chcę, żeby patrzyła na twoje tatuaże.

Przewraca oczami i siłą zatrzymuje uśmiech, który próbuje rozwalić jego szczękę. Moja zazdrość jest cholernie głupia i żalosna. Ale czuję ją i nie mogę temu zaprzeczyć.

— To słodkie, Emerald — wzdycha z wyraźną satysfakcją.

Wraca do szafy i wybiera czarną koszulkę z długimi rękawami. No, nie powiem, cholera, mam satysfakcję! Posłuchał mnie i dodatkowo zakrył nawet to, co ma na rękach. Jestem pieprzoną wariatką. Zazdrosną i zaborczą, ale... było warto, bo jego ciało jest przeznaczone dla mnie. Vincent jest mój.

— W porządku? — pyta z kpiącym uśmiechem i rozkłada ręce, by zaprezentować swój ubiór.

— Idealnie.

Uśmiecham się leniwie, na co odpowiada zalotnym mrugnięciem.

— Zaraz do ciebie wracam, skarbie — mruczy.

Potem wychodzi z pokoju, a ja mam w głowie jedynie pytanie, czy on kiedykolwiek wcześniej powiedział do mnie „skarbie”?

Rozdział 17

Budzi mnie delikatny dotyk na policzku — czuję, że znika równie nagle, jak się pojawił. Krzywię się, gdy otwieram nieznacznie oczy, i zaraz znów je zamykam. Jasność panująca w pokoju jest zabójcza. Dlaczego jest tak jasno? I... dlaczego Aviana stoi nade mną ze smutną miną? Cholera.

— Gdzie jest Vincent? — pytam od razu.

— Kazał cię przeprosić, gdy się obudzisz — mówi ze skruchą. — Musiał wyjść w nocy, a rano, zaraz po powrocie, zebrał się i znów wyszedł. Poleciał do Chicago. Ty natomiast w piątek wieczorem masz być gotowa na lot do San Francisco. — Uśmiecha się. — Powiedział, że w ramach rekompensaty możesz iść na plażę albo jechać, gdzie tylko chcesz, byle był z tobą Stanley. I prosił, byś zadzwoniła, gdy się obudzisz.

— Czekaj... Jaki jest dzień tygodnia?

— Środa, skarbie. — Uśmiecha się. — Co chciałabyś na śniadanie?

— A ty nie miałaś mieć wolnego?

Jestem rozkojarzona po spaniu i średnio ogarniam rzeczywistość, ale moja frustracja nie odpuszcza ani na moment. Co ten dupek sobie w ogóle wyobraża? Poszedł w tango z tą wywłoką?

— Wróciłam wcześniej, to nieistotne. — Marszczy brwi. — Więc co chciałabyś zjeść?

— Nie wiem, jajecznicę?

— Przynieść ci ją do łóżka?

— Nie, zejdę na dół, jak się trochę ogarnę. W moim telefonie jest numer do Vincenta?

— Tak, nie powinnaś mieć problemu ze znalezieniem go. W razie czego krzycz, ktoś przyjdzie.

Odwraca się i zmęczonym krokiem zmierza do wyjścia. Znika po krótkiej chwili, a ja łapię gwałtownie telefon i szybko go odblokowuję. Numer Vincenta jest oczywiście na pierwszym miejscu w szybkim wybieraniu — dlaczego mnie to nie dziwi?

Łączę się i pełna frustracji opadam na łóżko. Mam ochotę na niego nawrzeszczeć i chyba to zrobię, bo zachował się jak skończony kutas!

— Emerald — odzywa się głębokim głosem, z powodu którego przechodzą mnie delikatne dreszcze.

— Nie wiem, czy wiesz, ale jestem na ciebie wkurwiona — oznajmiam twardo.

Śmieje się z moich słów i niebывale mnie to rozjusza. Co jest zabawnego w tym, że zostawił mnie dla jakiejś Ginger? Wyszedł ją opierdolić i nie wrócił. Czy to jest, kurwa, w ogóle sprawiedliwe? Nie wydaje mi się. Frustrujący dupek.

— Nie przeklinaj — wzdycha. — Miałem małą awarię w pracy, to nie jest istotne.

— Istotne jest to, że mnie zostawiłeś, a ja nie mam zamiaru ci tego odpuścić. Wyjeżdżam — oznajmiam śmiertelnie poważnie, a jego oddech zamiera.

Chcę parsknąć śmiechem, ale nie mogę, bo się wsypię. Muszę być poważna.

— Nie testuj moich granic — warczy.

To ten głos, przez który mogłabym mieć w przyszłości koszmary. Jak można być takim dupkiem? Zaczyna od słodkiego głosu, a gdy powiem jedno złe słowo, już się wkurwia. To ja byłam zła i nadal jestem. To on mnie wystawił dla jakiejś wywłoki!

— Ty moje przetestowałaś i mam zamiar cię za to ukarać.

— Emerald...

— Nie emeralduj mi — przerywam. — Myślisz, że to fajne zostawić kogoś w takim momencie? Nie, kochanie, to nie jest fajne. To jest chujowe i powinieneś zostać za to ukarany.

— Od kiedy ja się zgodziłem na bycie twoim dzieckiem? Nie będziesz mnie karać, Emerald, to ty należysz do mnie.

Zamieram w niedowierzaniu.

— Jaja sobie robisz, Vincent? — pryham. — Co robisz? Należę? A czy ja jestem nabytym przedmiotem?

— Jesteś moja, interpretuj to, jak chcesz, gównie mnie to obchodzi. Jeśli będzie z tobą chociaż jeden problem, nigdzie cię ze sobą nie zabiorę. Już poprzednio nadszarpnęłaś moje zaufanie, teraz

możesz nie otrzymać ani odrobiny. Myślisz, że to jest tego warte? Odpowiem ci: nie jest.

— Te groźby możesz sobie wsadzić głęboko w buty, mój drogi.

— Tak samo jak ty swoje fochy.

— Nie rozumiem, po co do ciebie dzwonię, skoro tylko mnie wkurwiasz — warczę. — Jesteś frustrującym dupkiem i nie mam zamiaru więcej z tobą rozmawiać. Cześć.

Rozłączam się ze złością i odkładam telefon na poduszkę obok siebie. Jestem wkurwiona i niech go chuj strzeli na tym wyjeździe. Mam ochotę dać mu w twarz.

Podnoszę się z miejsca z najbardziej wkurzoną miną, na jaką mnie stać, i kieruję się do łazienki, w której biorę szybki prysznic. Następnie zakładam dresy i krótką koszulkę i opuszczam swój pokój. Idę do kuchni, jednak zatrzymuję się w połowie drogi, słysząc przejęty głos Stanleya.

— Nie, ja nie rozumiem go jeszcze bardziej — stwierdza. — Odkąd ją tutaj w końcu przywiózł, jest nie do zniesienia. Zawsze był nadpobudliwy i popieprzony, ale teraz przechodzi samego siebie. To nie jest zdrowe. Zwłaszcza teraz, gdy chce się dla niej uporać z tym gównem.

— To prawda, jednak widać doskonale, ile radości sprawia mu spędzanie z nią czasu. Jest rozluźniony i bywa miłszy, jeśli wiesz, o co mi chodzi — odpowiada spokojnie Aviana.

— Jest rozluźniony i póki się nie pokłóca, jest spokojniejszy. Tyle że z nią jest jak z miną: nie wiadomo, kiedy nadepniesz nie tam, gdzie trzeba. Vincent jest beznadziejny w relacjach międzyludzkich. To choleryk, a obsesja wcale mu nie pomaga.

Krzywię się na słowo *obsesja*.

— No tak, ale zobacz, ostatnio zaczął się nawet głupkowato uśmiechać sam do siebie. To dzięki niej.

— Wiem, ale dzięki niej również zmienia zdanie, co nie jest dobre. Miał być na bankiecie w przyszłą niedzielę i stwierdził, że nie pójdzie, bo chce z nią lecieć do Denver. To dobrze, ale Vincent i zmiana planów? I jeszcze do tego dochodzi Ginger, która wszystko pierdoli jednym skinieniem palca.

— Była tutaj wczoraj, prawda? Valeria wie?

— Nie mam pojęcia, ale nie wolno mi z nią o tym rozmawiać. Ginger jest delikatnym i szalenie wkurwiającym tematem, myślałem, że ją wczoraj uduszę. Rządzi się jak u siebie, bo doskonale wie, jaka przepaść jest między nią a Valerią.

Och, to... zakłuło.

— Tak, nigdy jej nie lubiłam. Szydliła z moich potraw.

A jednak nie zakłuło.

— Vincent za to szydził z wszystkiego, co w ogóle robiła, więc to nie jest powód do zamartwiania się. Wszyscy doskonale wiedzą, że nie ma lepszej gospodyni domowej od ciebie.

— Dziękuję, to miłe. — Aviana chichocze. — Myślisz, że jeśli poproszę Valerię o jakieś ciasto, to upiecze? Mam taką okropną ochotę na marchewkowe z kremem, że aż mnie rozsadza!

— Nie wiem, musisz zapytać.

Odprężam się na te ich słowa i ruszam do kuchni. Wchodzę do pomieszczenia. Stanley odwraca się do mnie z lekkim uśmiechem, a Aviana przekłada jajecznicę na talerz obok kilku pomidorków koktajlowych. W kubku paruje gorąca kawa z mlekiem, na ten widok mój uśmiech się poszerza.

— Dzień dobry, Cukierku — wita się Stanley. — Wypałaś się?

— Tak, czuję się nad wyraz wypoczęta — oznajmiam. — A ty?

— Również. Jakie plany na dzisiaj?

Aviana podaje mi talerz i szepcze ciche „smacznego”, na co uśmiecham się jeszcze szerzej. Uwielbiam ludzi, którzy robią mi jedzenie.

— Nie wiem, chyba nie mam planów. Może ty mi coś zaproponujesz?

— Mogę zaproponować wycieczkę do centrum handlowego, bo potrzebuję kupić krawat. Chcesz mi towarzyszyć?

— Jasne. — Uśmiecham się radośnie na myśl o wybrzydzeniu podczas wybierania krawatu. — Jest Troy?

— Nie, poleciał z Vincentem.

— Okej.

Zaczynam jeść. Śniadanie jest pyszne, a ja jestem bardzo głodna. W połowie mojego posiłku Stanley postanawia zabrać głos.

— Cukierku?

— Tak?

— Zastanawialiśmy się, czy nie miałabyś ochoty nam czegoś upiec.

— A o czym myślicie?

— Ciasto marchewkowe z kremem? — jęczy kobieta. — Zabiłabym za nie, przysięgam.

— Serio? — Parskam śmiechem. — Mogę upiec.

— Moje wybawienie!

W odpowiedzi przesyłam jej uśmiech.

Po skończonym posiłku organizuję sobie miejsce pracy i leniwie zabieram się za pieczenie. Zajmuje mi to około godziny, łącznie ze zrobieniem kremu, który wraz z ciastem musi się trochę ochłodzić. Towarzyszy mi przy tym wszystkim kot, który leży na stołku barowym i cicho mruczy.

— Więc jak będzie? Jedziesz ze mną? — pyta Stanley, pojawiając się nagle, na co podskakuję z piskiem.

Nie widziałam go, nie spodziewałam się go i, cholera, znów prawie dostałam zawału przez to pieprzone skradanie się. Co to za moda na udawanie cienia?!

— Nie strasz mnie, do cholery — warczę. — I tak, jadę, tylko daj mi chwilę, bo muszę się ogarnąć.

— Bez pośpiechu, słońce. — Puszczam oczko.

Uśmiecham się miło i idę prosto do swojego pokoju. Wybieram strój uniwersalny, czyli jasne jeansy i zwykłą, szarą bluzę z kilkoma nadrukowanymi kwiatami na środku. Na nogi wsuwam wysokie trampki. Jeszcze tylko lekki makijaż i gdy stwierdzam, że moje odbicie jest w miarę satysfakcjonujące, kieruję się do wyjścia. Zatrzymuję się jednak w połowie schodów, bo telefon, który trzymam w dłoni, wydaje dźwięk powiadomienia. Od razu otwieram wiadomość wysłaną przez Vincenta.

Nie igraj ze mną, Emerald. Cały czas mam Cię na oku x

Przewracam oczami i jedynie wzdycham. Nie odpisuję, bo nie zasłużył na moją uwagę. Zostanie ukarany milczeniem. Niech zatęskni i zrozumie swój błąd. Następnym razem nie przerwie mi na początku zabawy.

Docieram do drzwi, przed którymi z nosem w telefonie stoi Stanley, i uśmiecham się. Ma na sobie czarne jeansy i tego samego koloru koszulkę oraz skórzaną kurtkę. Mógłby zagrać w jakimś filmie o mafii.

— Vincent głowi się nad tym, dlaczego nie odpisujesz na jego wiadomość — mówi.

Przewracam oczami.

— Możesz mu przekazać, że nakładam na niego karę milczenia i ma się pieprzyć.

Parska śmiechem i podnosi powoli wzrok z telefonu na moją twarz. Jest szczerze rozbawiony, a ja śmiertelnie poważna, co nie uchodzi jego uwadze. Przystaje się śmiać, ale wesołe ogniki tańczą w jego oczach. Co za ludzie!

— Myślę, że ignorowanie Vincenta nie jest dobrym pomysłem, Cukierku.

— Nie interesuje mnie to, musi zostać ukarany. Jeśli nie kara milczenia, to ucieczka. Co według ciebie jest lepsze? Myślę, że jednak milczenie.

— Według mnie nic nie jest odpowiednie w stosunku do Vincenta. Jego po prostu należy słuchać. — Krzywi się.

— Tylko że ja nie jestem w tym dobra — pryham. — Możemy jechać? Chciałabym już pochodzić po sklepach bez celu i po prostu się wyluzować.

— Oczywiście, ale proszę: nie uciekaj mi. Masz ode mnie kredyt zaufania, nie spraw, bym żałował, dobrze?

— Stanley. — Łapię go za ramię, na co widocznie się spina, i spoglądam mu w oczy. — Lubię cię i nie mam zamiaru sprawiać ci kłopotów. Wiem, że Vincent jest psycholem, i nie będę cię wciągać

w naszą kłótnię.

— Doceniam. W takim razie zapraszam. — Wskazuje drzwi.

Opuszczamy posiadłość i wsiadamy do bentleya, który stoi zaraz przed wejściem. Cieszę się, że mogę wyjść do ludzi z kimś, kto mnie nie frustruje. Stanley jest świetnym towarzyszem i czasem mam wrażenie, że mnie rozumie.

— Dzwoni Vincent — oznajmia, gdy wsiadam do samochodu.

— To odbierz.

— Dobrze, daj mi chwilę.

Opiera się o moje drzwi i ze zboląłą miną przesuwa palcem po ekranie, a następnie przykłada urządzenie do ucha. Wyraz jego twarzy zmienia się z wesołego na zdystansowany i mam ochotę parsknąć przez to śmiechem. Dlaczego nawet Stanley nie ma ochoty z nim gadać?

— Słucham, szefie — rzuca obojętnie. — Tak, jedziemy do galerii handlowej. Tak, jasne. Tak, nie ma nawet takiej opcji. — Spogląda na mnie ostrzegawczo. — Będzie grzeczna, ale nie chce z tobą rozmawiać. — Uśmiecha się głupio. — Tak, Vincent, mówi, że to jest kara milczenia. Albo to, albo próba uciezki. Tak, też tak sądzę. Okej, przekażę. Do zobaczenia.

Kończy połączenie i spogląda na mnie porozumiewawczo. Uśmiechamy się do siebie.

— Co tam? — pytam.

— Jest rozbawiony i zdruzgotany twoją karą — przyznaje, powstrzymując śmiech. — Kazał ci przekazać, że jesteś wariatką.

— Dupek — pryham.

— I że żałuje, że nie jesteś w tej chwili przy nim.

Och, no cóż. Nie przywykłam do odczuwania buzującej chmary motyli w brzuchu.

Rozdział 18

Marzec

Południe ma to do siebie, że szalenie mi się dłuży. Ranek zawsze leci szybko, wieczór jeszcze prędzej, a południe ciągnie się jak smoła. Dzisiejsze nie jest odstępstwem — po spakowaniu walizki na wyjazd i długim prysznicu jestem dziwnie wzburzona.

— Cukierku! — krzyczy z dołu Stanley, na co od razu się podnoszę.

Mam na sobie bluzę Vincenta i zwykle szare jeansy, które podkreślają mój nijaki humor. Chyba brakuje mi uwagi ze strony pewnego irytującego człowieka. A raczej na pewno, bo na samą myśl o nim robi mi się dziwnie. Chcę na niego nakrzyczeć, a później się przytulić.

— Co jest? — wrzeszczę, gdy wychodzę z pokoju z kotem na rękach.

— Miałem cię powiadomić, gdy minie czas pieczenia twoich ciastek!

O cholera. No tak! Piekę kokosanki, ale miałam ochotę na kąpiel, więc Stanley zaproponował, że się nimi zajmie. No cóż, mam nadzieję, że wyciągnął je z pieca, a ja nie będę płakać z powodu porażki. Kokosanki są zbyt pyszne, by skrzywdzić je spaleniżną.

Docieram do kuchni w ekspresowym tempie i stawiam kota podłódze — jak zwykle ucieka do salonu. Stanley stoi nad blachą z niezidentyfikowaną miną, więc natychmiast do niego podchodzę. Oddycham z ulgą — ciastka mają idealny kolor.

— Chyba je wyciągnąłem w odpowiednim momencie — stwierdza z dumą mężczyzna.

— Tak, myślę, że ci się udało.

Uśmiecham się na jego prychnięcie i delikatnie podnoszę jedno z ciastek, by sprawdzić spód. Jest lekko brązowy, a zapach, który dochodzi do mych nozdrzy, od razu uruchamia moje ślinianki. Kocham zapach kokosu i kocham te kokosanki, bo są według autorskiego przepisu mojej babci.

— Vincent powinien przyjechać za jakieś trzy godziny — oznajmia mi stąd, ni zowąd Stanley. — Jest w złym humorze, bo ktoś pokrzyżował mu plany, więc byłby szczęśliwy, gdybyś przerwała swoją karę milczenia chociaż na jeden krótki telefon.

— Myślisz, że zasłużył? — wzdycham dramatycznie, kładąc dłoń na piersi.

— Myślę, że tak. Uszanował twoje milczenie i nie zmusił nikogo do tego, by siłą docisnąć twoją głowę do telefonu.

Przewracam oczami.

— No dobrze, jeden krótki telefon nie zaszkodzi — stwierdzam.

Wyciągam aparat z kieszeni i dzwonię pod numer, który zajmuje pierwsze miejsce mojej szybkiej listy wybierania.

— Będę niedaleko — oznajmia Stanley i odchodzi do salonu.

Słucham sygnału łączenia — po trzecim odzywa się Vincent.

— Emerald.

— Dotarły do mnie informacje, że jesteś zdruzgotany i stęskniony — rzucam obojętnie.

— Mniej więcej. Czy jest szansa, że zdejmiesz ze mnie karę milczenia?

Słyszę w jego niskim głosie zmęczenie i przyznaję, trochę mnie to zmiękcza. Nie zasłużył jednak na moje współczucie, bo zostawił mnie w kulminacyjnym momencie naszej zabawy i zniknął bez wyjaśnień. Nie lubię się tak bawić. Zdecydowanie bardzo nie lubię.

— Nie wiem. A czy zasłużyłeś na moją łaskę?

— Nie mam pojęcia, Emerald, to twoja decyzja. Zasłużyłem?

— A jak bardzo za mną tęsknisz? — droczę się.

— Tak bardzo, jak porywacz mógłby tęsknić za swoją uroczą ofiarą. — Śmieje się.

— Jesteś głupi — stwierdzam. — Kiedy przyjedziesz?

— Powinienem być do trzech godzin, ale nie obiecuję. Może się przeciągnąć do czterech.

— Będę na plaży, przy tym domku, i planuję obejrzeć jakiś film.

— Jeśli właśnie na to masz ochotę, kochanie — wzdycha. — Laptop jest w bibliotece na moim biurku.

— Dobrze. — Przygryzam wargę na myśl, że niedługo wróci. — W takim razie: do zobaczenia?

— Nie, jeszcze się nie rozłączaj. Opowiedz mi, co robiłaś.

— Nic szczególnego. — Krzywię się, wzruszając ramionami. — Upiekłam kokosanki. Lubisz kokos?

— Nic do niego nie mam. Dobrze się czujesz?

— Tak? To znaczy wiesz... — Uśmiecham się głupio. — Tak, jak może się czuć księżniczka zamknięta w wieży.

— Która tęskni za swoim smokiem.

— Może trochę? — przyznaję.

To żenujące, że za nim tęsknię. Nie dość, że mnie porwał, to jeszcze porzucił podczas gry wstępnej. Dlaczego za nim tęsknię?!

— Lubię słuchać, jak się śmiejesz — mówi delikatnym głosem. — I cieszę się na nasz wspólny weekend.

— Ja też się cieszę. Mam nadzieję, że nie uciekniesz w kulminacyjnym momencie — wzdycham. — To byłoby bardzo niemiłe.

— Wybacz, postąpiłem gównianie — przyznaje ze skruchą. — Postaram się wynagrodzić moje zachowanie w jak najlepszy sposób.

— Trzymam cię za słowo, a teraz idę poszperać w twoich rzeczach i znaleźć jakiś film, który wypełni mój wolny czas.

— No dobrze, do zobaczenia, Emerald.

— Do zobaczenia, Vincent. — Gryzę wargę, chcąc powstrzymać głupi uśmiech.

Kończę połączenie i odchylam głowę w tył, bo to beznadziejne uczucie w środku jest ciężące. W moim brzuchu wariują idiotyczne endorfiny i wcale mi się to nie podoba. Nie chcę tego czuć. Zwłaszcza do Vincenta.

— To słodkie widzieć, jak kolejna kretyńska zakochuje się w kimś, kto nie ma uczuć i serca — wzdycha kobiecy głos za mną.

Podskakuję z przerażeniem w miejscu i gwałtownie się odwracam. Przede mną, za wysepką kuchenną siedzi niezwykle urodziwa brunetka o zimnym spojrzeniu. Ma idealnie nałożony makijaż i jest ubrana w obcisłą czarną sukienkę na grubych ramiączkach. Cóż, jest bardzo... zdzirowata? Ale i piękna, co przyznaję niechętnie.

— Powinnaś wiedzieć, kim jesteś? — pytam obojętnie, ignorując miano kretyńki, którym mnie uraczyła.

Staram się być niewzruszona, ale chyba mi to nie wychodzi. Jej paskudny uśmiech potęguje moją frustrację.

— Mam na imię Ginger, Valerio. — Uśmiecha się wrednie i leniwie przesuwając językiem po górnej wardze. — Jestem jedyną kobietą, która zajmuje miejsce u boku Vincenta. Od jedenastu lat.

Och. To jest ta Ginger? No cóż. Jednak jesteś wstrętna, suko.

— Okej — pry cham znużonym tonem, co wyraźnie jej nie odpowiada.

Przez chwilę przygląda mi się uważnie, po czym kręci głową z niedowierzaniem.

— Myślałam, że jesteś ładniejsza — wzdycha zniesmaczonym tonem.

Uśmiecham się zwycięsko na jej marną próbę zdołowania mnie. To było wyjątkowo złe posunięcie z jej strony. Jest żałośnie zazdrosna o Vincenta.

— Bawi cię to? — Krzywi się. — Więc rzeczywiście jesteś kretynką? Zabójcze połączenie. Ile masz lat, Valerio? — Uśmiecha się z wyższością, pewna swojej wygranej.

— Wystarczająco dużo, by widzieć, jak sfrustrowana i zdesperowana jesteś — szepczę, uśmiechając się złośliwie. — Coś jeszcze chciałabyś mi powiedzieć? Poza tym, że jestem brzydka i głupia?

— Tak: że twoja naiwność jest zabawna.

— Zapewniam cię, że nie tak bardzo, jak twoja desperacja — ripostuję. — Myślisz, że po twoich słowach coś w mojej relacji z Vincentem się zmieni?

Jedynie w jej marzeniach.

— Nie obchodzi mnie to. Jesteś tylko kolejną głupiutką dziewczynką z zielonymi oczami, która

stanęła na jego drodze. Wiesz, ile zielonookich kretynek przeszło przez ten dom? Mnóstwo. Wiesz, ile w nim zostało? Żadna, tylko ja nadal tutaj jestem, Valerio. Jeśli masz choć odrobinę zdrowego rozsądku, uciekaj. — Po raz kolejny oblizuje górną wargę i pochyla się ku mnie, jakby chciała zdradzić mi jakiś niezmiernie ważny sekret. — Uciekaj, póki możesz.

— Dlaczego?

Uciekam wręcz w podskokach.

— Ponieważ Vincent nie jest dobrą osobą i kiedy już się dowiesz, czym się zajmuje, sama będziesz chciała uciec, tylko że wtedy będzie za późno. Będziesz się bała, a on w pewnym momencie da ci ultimatum: albo zginąć, albo stracić wszystko łącznie z samą sobą. Twoja egzystencja sprowadzi się do niego, staniesz się zależna od jego słów i zachcianek. A kiedy mu się w końcu znudzisz, zapłaczesz się na śmierć w kąciu swojego pokoiku. To takie typowe i normalne w jego świecie. Przeleciał cię, więc nie licz, że nadal będzie się bawił w czułe słówka i tego typu pierdoły.

Jej dumna postawa zaczyna mnie wkurwiać.

— Nie przespałam się z nim — pryham, choć to nie jej sprawa, co z Vincentem robiłam, a czego nie. — I nie mam ochoty słuchać twojego gadania, jesteś zazdrosna.

— Więc to dlatego ciągle chce, bym go zaspokajała? Cholera, młoda, długo go trzymasz.

Co ona właśnie powiedziała? Że co mu robi? Zastygam w miejscu i nie wiem, czy nie jest to informacja, przez którą uderzę ją w twarz.

— Co? — Marszczy czoło z niedowierzaniem. — Nie myślałaś chyba, że w ciągu tych tygodni trzymał kutasa w spodniach? To Vincent, kochana, on nie jest zwykłym mężczyzną. On jak chce, to musi mieć, a jeśli ty mu nie dajesz, to chodzi do kogoś innego. On nie rozumie słowa *nie*.

— A ty jesteś na tyle zdesperowana, że kiedy on mówi: „Rozłóż nogi”, to je rozkładasz? Bardzo dojrzałe i godne podziwu, naprawdę jestem pod wrażeniem — pryham. — Ma jakiś przycisk do rozchylania twoich nóg czy dajesz się niezobowiązująco ruchać każdemu facetowi?

Jestem wkurwiona, i to nie na żarty, a ona już wie, że ma mnie w garści.

— Ja go kocham, Valerio — oznajmia.

Cóż, to mnie wkurwia jeszcze bardziej. Zaciskam dłonie w pięści i już chcę się odciąć czymś wrednym, gdy na horyzoncie pojawia się Stanley z morderczym wyrazem twarzy.

— Tylko że on nie kocha ciebie — warczy. — Nie chcę ci nic podpowiadać, ale mieszanie jej w głowie skończy się dla ciebie naprawdę tragicznie, Ginger.

Ton jego głosu jest tak pusty i obcy, że nie mam pewności, czy patrzę na mężczyznę, który pomaga mi piec ciasteczka i miesza kremy.

— Vincent nie kocha nikogo. Jest bezuczuciową kreaturą, która jak chce, to musi mieć. Teraz chce jej, jutro może zechcieć innej. To nic nowego, ale nie zapominaj, że zawsze, bez względu na wszystko, ja jestem obok. I on z tego korzysta. — Patrzy mi prosto w oczy z wyższością. — To doskonały kochanek. Pieprzy się jak nieokrzesany jaskiniowiec i doprowadza mnie do ekstazy. Zawsze, mała, zielonooka naiwniaczko.

Czy odczuwam ból? Tak. Czy jestem wściekła? Tak. Czy uderzenie jej blachówką pełną ciastek kokosowych byłoby odpowiednie? Zapewne tak, ale szkoda mi ciastek na taką cholerną szmatę.

— Jeśli satysfakcjonuje cię bycie jego dziwką na telefon, to gratuluję, dopięłaś swego. Czy coś jeszcze chciałabyś dodać, zanim wyjdiesz z tego domu?

Niech lepiej nic nie dodaje.

— Nie zapominaj, że mam do tego domu większe prawa niż ty.

Jej pewność siebie naprawdę poważnie mnie wkurwia.

— Jedyne prawo, jakie masz, to prawo milczenia — prycha Stanley. — Nie zbliżaj się do niej nigdy więcej.

— Valeria z chęcią posłucha, jaki jest Vincent, prawda? — Ginger uśmiecha się wrednie.

Parskam śmiechem i zgarniam kilka kokosanek w dłoń, a następnie odwracam się do wyjścia. Idąc, unoszę wolną rękę w górę i wystawiam jej środkowy palec. Nie mam zamiaru słuchać jej przepełnionego zazdrością pieprzenia. Potrzebuję resetu.

Idę prosto na plażę. Mijam po drodze ochroniarzy, którzy pilnują wejścia, ale nie odzywam się

do nich, bo nie mam na to najmniejszej ochoty. Oni chyba również — jedynie spoglądają w moim kierunku i kiwają do siebie głowami. Mam to gdzieś.

Docieram do swojej kryjówki i zajmuję miejsce na schodach. Ciastka kładę sobie na kolanach i opieram głowę o drewnianą barierkę. Jestem w dziwnym momencie swojego życia. Z jednej strony czuję zazdrość, bo ta Ginger jest naprawdę piękna i ma z Vincentem długoletnią relację, ale z drugiej... co mnie to obchodzi? My tak naprawdę nie jesteśmy nawet razem. Tkwiemy w toksycznej relacji, w której ja jak jakaś porwana idiotka po prostu się na niego napaliłam. Bo jak inaczej to nazwać? On mnie porwał i teraz mną manipuluje, a ja daję się w to wciągnąć. Pragnę go i bywa, że wydaje mi się wręcz idealny, ale... czy ja naprawdę się zakochuję? Po kilku tygodniach znajomości? Nie sędzę. To jest mocne zauroczenie i syndrom sztokholmski, który miesza mi w głowie.

A Ginger? Ginger to zupełnie inny temat do rozważań. Bo skoro jest mu bliska, to co ja mam na to poradzić? Vincent nie należy do mnie. A przynajmniej, gdy nie jestem zaślepiona pożądaniem, to go sobie nie przywłaszczam, bo myślę trzeźwo. Tworzymy tylko toksyczną relację pomiędzy porywaczem a jego ofiarą. Czyli innymi słowy: jestem popierdolona, a on doskonale potrafi to wykorzystać. Tyle, cała filozofia. Nawet nie czuję z tego powodu smutku. To tylko przygoda. Nic więcej.

Sposób, w jaki woda obmywa moje nagie stopy, bardzo mnie relaksuje. Jestem odprężona, spokojna i niezmiernie zadowolona. Kokosanki robią swoje, jak zawsze. Kończę drugą, gdy niespodziewanie nogi odziane w garniturowe spodnie wyciągają się obok moich. Na stopach Vincenta lśnią wypolerowane buty. Na ten widok cicho parskam śmiechem. Mógł je zdjąć, zanim wszedł na piasek.

— Cześć — odzywam się jako pierwsza.

Uśmiecham się i leniwie przenoszę wzrok na jego twarz. Ma dłuższy zarost, nieprzeciętnie zmęczone i zaczerwienione oczy, a w dodatku dwie krwawe szramy na policzku. Cholera. Unoszę gwałtownie dłoń do jego ran i przesuwam po nich palcami.

— Co się stało? — pytam, krzywiąc się.

Vincent wzdycha nostalgicznie i zamiast cokolwiek odpowiedzieć, ujmuje moją dłoń i przykłada do swoich rozgrzanych, miękkich ust. Całuje moje palce, jeden po drugim, i nieznacznie się uśmiecha. Nie rozumiem jego zachowania. Nie rozumiem milczenia. Nie rozumiem tak naprawdę niczego z naszej chorej relacji i bardzo mnie to frustruje. Ale tylko momentami.

— Mała awaria, nic wartego twojej uwagi — oznajmia cicho, a jego głos brzmi nad wyraz słabo. Widzę, że jest bardzo wyczerpany tym czymś, przez co musiał zniknąć.

— Chcesz ciasteczko?

Chwytam niewielką kokosankę, która spoczywa na moich udach, i podaję mu. Nie reaguje niczym poza ponownym ucałowaniem moich palców. To troszkę dziwaczne.

— Ty jesteś moim ciasteczkiem, Emerald — mruczy po chwili.

— Dotąd byłam twoją cukierniczką. — Przewracam oczami. — Teraz nawet i ciastkiem?

— Ciasteczkiem — poprawia mnie. — Cukierniczki są wykonywane z różnych materiałów, na przykład ze szkła, a ciasteczko mogę zjeść.

— To jest jakaś brudna propozycja? — Parskam śmiechem.

— Ja i brudne propozycje? O co mnie posądzasz, księżniczko?

— O bycie zboczonym smokiem — mówię z pełną powagą.

On natomiast komentuje to cichym śmiechem, który trochę mnie rozczula. Vincent bywa momentami aż nadto uroczy, a gdy się śmieje, mam wrażenie, że czas przestaje płynąć. On naprawdę rzadko kiedy jest naprawdę wesoły. Tylko wkurwienie i nadmierne podniecenie wprawiają go w jakieś uczuciowe fazy. Bez nich przypomina kamiennego popierdoleńca.

— Jeśli jestem zboczonym smokiem, powinienem w końcu zostać zaspokojony, nie uważasz?

— Myślę, że masz już kogoś, kto cię zaspokaja — pryham, a mój humor natychmiast się rozwiewa. — Słyszałam plotki, że jak chcesz, to musisz mieć, więc wątpię, by twój penis siedział grzecznie w spodniach po tych kilku momentach, w których go poruszyłam.

- Ja słyszałem plotki, że pewne małe ciasteczko miało słowną potyczkę z kawałkiem imbiru.
- Ten imbir był nieźle nakręcony na pewnego ciemnookiego przystojniaka.
- Ciemnooki przystojniak jest nieźle nakręcony na pewne małe ciasteczko.
- Musi się zadowolić imbirem — wzdycham.
- Nie dodawaj do mojego życia więcej goryczy, Emerald.

Wydyma wargę, przyglądając się emocjom szalejącym na mojej twarzy, i nieznacznie się przysuwa. Chcę być na niego zła, ale nie mam pewności, czy Ginger mówiła mi prawdę. Równie dobrze mogła kłamać nawet na temat tego, jak długo się znają.

Jednak nie zmienia to faktu, że jestem wkurzona z powodu ich tajemniczej dla mnie znajomości.

— Przepraszam, Vincent, nie chcę po prostu stawać na drodze komuś, kto jest ode mnie lepszy — ironizuję.

— A w czym to ten ktoś jest lepszy od mojej cukierniczki?

— Doszły do mnie słuchy, że nie dość, że jestem brzydka, to jeszcze głupia. A ten imbir jest niestety niezwykle urodziwy.

— Słyszałaś, kochanie, że jest coś takiego jak gusta i guściki?

— Oczywiście. Co w związku z tym?

— To, że piękno jest pojęciem względnym, a moje małe ciasteczko jest dla mnie kanonem piękna. Możesz mnie już pocałować i zakończyć tę rozmowę?

— Nie, wysił się bardziej i popieść moje ego. W końcu jestem brzydka i głupia.

— Mogę popieścić coś innego — mruczy i przyciąga mnie bliżej siebie. — Nawet tutaj, jeśli masz taką fantazję, maleńka.

Śmieje się bardzo delikatnie i nagle bez ostrzeżenia przysysa się do mojej szyi. Robi to mocno, a ja nie umiem nie zareagować! Piszczę i gwałtownie przyciskam policzek do jego głowy. Cholerne łaskotki doprowadzą mnie kiedyś do zawału! Albo czegoś gorszego.

— Nie rób mi tak — jęczę i próbuję go odepchnąć, ale nie mam szans. Jest za silny i za mocno się we mnie wgryza. — Proszę, Vincent! Mam łaskotki!

— Wiem. Dlatego to robię — szepcze.

— To jest molestowanie!

— Pomówienia! — przedrzeźnia mnie i odsuwa się na niewielką odległość. Jest wyluzowany. — Zwykle pomówienia!

— Idiota.

Przewracam oczami, bo nie umiem się oprzeć jego urokowi. Chcę, ale nie potrafię, gdy krzyżuje ze mną spojrzenie i po prostu się uśmiecha. Tak pusto, ale i delikatnie. Nie wiem, jak to określić... Może po prostu, że jest piękny?

— Lubię cię — wypalam. — Bardzo cię lubię.

— Bardzo?

— Bardzo — przyznaję.

Nie tracąc więcej czasu, po prostu przywieram do jego ciepłych warg, inicjując długi, przyjemny pocałunek. Ignoruję ciastka, które spoczywają na moich nogach, i niezdarnie wdrapuję się na kolana mojego oprawcy. Wsuwam palce w jego ciemne włosy i uśmiecham się, nie mogąc powstrzymać wybuchu przyjemności i szczęścia. Czuję te gówniane motylki, które z każdym jego ruchem coraz mocniej trzepoczą w moim wnętrzu.

— Każda chwila — mruczy pomiędzy pocałunkami — w której jesteś daleko ode mnie, jest zmarnowana. — Odsuwa się, by na mnie spojrzeć, i wkłada palce pod materiał bluzy, żeby mnie objąć i mocno do siebie przytulić. — Wybaczysz mi?

Marszczę brwi, nie rozumiejąc pytania, i przechylam głowę. Jego rozmarzony wzrok przyprawia mnie o dreszcze i skłania do zrobienia kolejnego kroku w naszej chorej relacji.

O zgrozo, dlaczego ja go tak pragnę?

— Co mam ci wybaczyć?

— To, że z powodu komplikacji musiałem zostawić cię bez słowa. A tak bardzo chciałaś się zabawić z moim...

Przerywam jego komentarz pocałunkiem, który zamienia się w nasz śmiech. Nie mogę z tym człowiekiem. Dlaczego gdy jest blisko, chcę, by był jeszcze bliżej, a gdy go nie ma, ciągle wmawiam sobie, że wcale go nie chcę? To jest popieprzone!

— Zrozumiałem przekaz — mruczy. — Idziemy do środka?

— Mhm.

— Wezmę cię na barana, co ty na to?

Parskam śmiechem, zgadzając się na tę propozycję, i odsuwam się, a następnie wstaję. Moje serce nieznacznie pęka z powodu kokosanek, które wpadły do piasku, ale trzymam się. To tylko dwa ciastka. Zjedzą je jakieś ptaszki, nie zmarnują się. Prawda?

Vincent wstaje bardziej ociężałe niż ja, ale gdy jest już wyprostowany, odwraca się do mnie plecami i pochyla do przodu. Nie tracąc czasu, wskakuję mu na plecy, szczelnie oplatając ręce wokół jego szyi. Brodę układam na czubku jego głowy i uśmiecham się szeroko.

Mój humor potrzebuje terapeuty.

Ruszamy przed siebie i gdy docieramy do domu, Vince stawia mnie na ziemi. Od razu obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie. Wolną ręką łapie moją brodę i unosi ją w górę, bym spojrzała w jego iskrzące się oczy.

— Mamy samolot za trzy godziny — mówi. — Na co masz ochotę?

— Myślę, że to idealny czas, żebyś odpoczął przed drugim lotem.

— Więc proponujesz mi łóżko? — Zaczepnie porusza brwiami i pochyla się, by złożyć na moich ustach szybkiego buziaka.

Jestem żałośnie pochłonięta jego osobą.

— Nie, myślałam raczej o wannie i bardzo długiej, gorącej kąpieli — przyznaję. — Co ty na to?

— Jeśli będziesz tam ze mną, jestem jak najbardziej za.

— Oczywiście, że będę — mruczę, przygryzając wargę. — Gorąca woda dobrze nam zrobi.

— Świetnie. Nie jesteś głodna?

Prostuje się i puszcza moją twarz, ale nadal ciasno oplata mnie w pasie. Przyglądam mu się przez chwilę w lepszym świetle. Jest widocznie zmęczony, a ten rozciąty policzek dodatkowo potęguje mój niepokój. Dlaczego ostatnio coraz częściej ma na swoim ciele jakieś ślady?

— Nie, a ty? Jesteś po podróży.

— Nie — wzdycha. — Mam ochotę tylko na ciebie, Emerald.

— Emerald? — pyta głos, którego miałam nadzieję już nigdy więcej nie usłyszeć.

Szczęka Vincenta zaciska się niebezpiecznie, a jego oczy tracą jakikolwiek wyraz. Przez to, jak bardzo jest zły, sprawia wrażenie większego i bardziej niebezpiecznego. Cholera.

— Co ty tu, do chuja, robisz? — warczy morderczym głosem, przez co mój kręgosłup oblewa się lodem.

Odwraca twarz w kierunku Ginger i mocno zaciska szczękę. Czuję, jak bardzo spięte jest jego ciało.

— Jest dla ciebie aż tak nieznacząca, że nie pamiętasz jej imienia? — prycha prześmiewczo kobieta.

A mnie coś ściska w środku. Bo przecież... mówiła wcześniej, że nie jestem pierwszą zielonooką kobietą, którą przyprowadził do tego domu. A co, jeśli do wszystkich wcześniejszych zwracał się „Emerald”, bo po prostu żadna nic dla niego nie znaczyła? Nie pamiętał ich imion i teraz mojego też nie pamięta? Czy ja, do kurwy, naprawdę jestem po prostu kolejną zachcianką z zielonymi oczami!?

— Nie poddasz się, co? — wścieka się mój prześladowca. — Będziesz mieszać jej w głowie, aż odpuści, tak? Aż zrobisz ze mnie potwora i skurwiela?

— Ja tylko ją uświadamiam — wzdycha znudzonym głosem. — Jest jedynie kolejnym pionkiem w twoich dłoniach.

— Emerald nie jest pionkiem — syczy. — I nie życzę sobie, byś z nią rozmawiała. Nie zbliżaj się do niej, ostrzegam cię po raz ostatni.

Puszcza mnie i robi kilka kroków w stronę Ginger, więc obejmuję się ramionami. Jeśli coś mnie w życiu przeraża bardziej niż pająki, to jest to ta barwa jego głosu. Niska, ostrzegawcza i tak cholernie

przerażająca, że włos się jeży. Nienawidzę tego, co ze mną robi.

— Nie boję się ciebie, Vincent. Nic mi nie zrobisz, a ona ucieknie, jak każda.

Jej pewność siebie jest godna podziwu. Gdyby to do mnie zwracał się w tak morderczy sposób, zemdlałabym z przerażenia.

— Żadna nie była na jej miejscu.

— Żadna również nie będzie na moim.

— Wiesz, jaka jest różnica między tobą a Emerald?

— No jaka? — Ginger śmieje się wrednie.

— Ona jest na swoim miejscu dlatego, że ja jej na nim chcę, a ty jesteś na swoim, bo jesteś pierdoloną wariatką — cedzi.

Kobieta przez chwilę nic nie mówi. Zaraz jednak unosi dłoń i niespodziewanie uderza Vincenta w twarz. Jego głowa odskakuje w bok za sprawą mocy, której Ginger użyła, i... kurwa. Jestem zdezorientowana, przerażona i nie wiem, co jeszcze! Cała drzę z emocji, które bombardują mnie od środka, i nie mogę się ruszyć. Chcę uciec i nie musiec na to patrzeć, ale wrosłam w podłogę! To jakiś pieprzony koszmar. Ta upiorna cisza po uderzeniu jest jak czekanie na wyrok śmierci. Przeraża mnie to.

— Wyjdź, Ginger — warczy morderczo brunet. — Wyjdź, póki mam nad sobą jakąkolwiek kontrolę.

Jeśli ten wcześniejszy głos mnie przerażał, to ten zabija. Bolesne szpilki wbijają się w mój kręgosłup i powodują drżenie w całym ciele. Łzy napływają mi do oczu, ale usilnie staram się je powstrzymać. To mnie przerasta. Dwukrotnie.

— Powiedziałam, że się ciebie nie boję! — krzyczy bez opamiętania kobieta. — Jesteś zaślepiiony jakimś przestarzałym gównem i próbujesz sobie wmówić, że to właśnie ona jest wystarczająca, ale doskonale wiesz, że tak nie jest.

— Zamknij się, Ginger, i wyjdź.

— Przebolełam wszystkie twoje dziwki, przeboleję również tę — oświadcza.

Vincent traci nad sobą panowanie i gwałtownie do niej doskakuje. Łapie ją za szyję i z mocą przyciska jej ciało do ściany. Chcę krzyczeć, ale nie daję rady. Jestem sparaliżowana. Sparaliżowana strachem, że to ja mogłabym kiedykolwiek znaleźć się na jej miejscu.

— Jesteś aż tak zdesperowana? — syczy nisko. — Czy może jednak widzisz, że to nie jest tylko zwykła zielonooka dziewczyna, która mi się spodobała? Czujesz się zagrożona? Tak?

— P-puść — jęczy.

Ale on nie puszcza. Napina się bardziej, przez co jego plecy wydają mi się jeszcze szersze niż normalnie. Stoi do mnie tyłem w znacznej już teraz odległości, a ja i tak czuję to, jak przerażający i władczy jest. Swoją wściekłością i gniewem wypełnia całe pomieszczenie, a ono jest, kurwa, ogromne!

— Vincent! — krzyczy przerażony Stanley, który nagle wyłania się zza ściany. — Kurwa, Vincent, opanuj się!

Łapie go za ramię i gwałtownie odciąga, przez co ciało Ginger bezwładnie osuwa się po ścianie. Zamieram. Moje serce gwałtownie przyspiesza, a płuca nie są w stanie nabrać jakiegokolwiek, nawet najdrobniejszej dawki powietrza. Obraz mi się zamazuje. Czarne plamy tańczą przed moimi oczami i chyba się duszę.

— Cholera, Cukierku — krzyczy Stanley. Jego głos dochodzi jak zza mgły.

Ktoś łapie mnie mocno za ramiona, gdy nogi odmawiają mi posłuszeństwa, i... robi się ciemno. Serce wybija rytm w każdej części mojego ciała, a odgłosy, które wirują wokół mnie, mieszają się w jeden niezidentyfikowany wrzask. Nie mogę otworzyć oczu. I nie mogę też, kurwa, zemdleć!

— Emerald — odzywa się Vincent delikatnym głosem i ujmuje moje policzki. — Emerald, oddychaj, maleńka.

— Cała drży — zauważa Troy. — Valeria, młoda, nie strasz nas i otwieraj te oczyska!

Któryś z nich potrząsa moim ciałem i dzięki temu gwałtownie wciągam powietrze. Oddycham nerwowo, nie mogąc się nasycić, i czuję, jak po moich rozgrzanych policzkach cieką łzy bezsilności. Vincent jest przerażającym cholerykiem, który na moich oczach... zabił Ginger?!

— Nie dotykaj jej już — warczy brunet. Czuję jego palce na policzku.

Głaszczcie mnie dłonią, którą przed chwilą udusił swoją byłą dziewczynę. Kurwa, to jest przerażające! Chcę się od niego odsunąć, ale nie mogę się ruszyć.

— Skarbie, otwórz oczy — szepcze subtelnym głosem. — Nie chciałem cię przestraszyć.

Kładzie policzek na mojej klatce piersiowej i nie przestaje głaszczyć mojej twarzy. Jest tak delikatny, jak chyba jeszcze nigdy wcześniej, i nie mam pojęcia, co o nim myśleć. Z bezwzględnego, nieugiętego skurwiela stał się łagodny i wręcz przerażony! Czy on, do cholery, jest bipolarny?

— Powiedz coś.

— Zabiłeś ją? — Przełykam gulę, która uniemożliwiła mi oddychanie, i zaciskam powieki mocniej.

Nie jestem pewna, czy chcę znać odpowiedź na to pytanie, ale to jedyne, co przychodzi mi do głowy. Jeśli byłam świadkiem morderstwa, to...

— Nie — ucina moje przerażające myśli. — Nie, oczywiście, że nie.

— Ale upadła — szepczę najciszej, jak potrafię.

— Straciła przytomność. — Jest taki niewzruszony jej stanem. — Nie bój się mnie.

— Jesteś tak cholernie przerażający — mówię niepewnie. — Tak wielki i przerażający...

— Ginger uderza w moje słabe punkty i wie, co zrobić, żebym stracił nad sobą panowanie. Chce, żebyś się mnie bała, i wiem, że posunie się do wszystkiego — prycha. — Jest cholerną masochistką.

— Powiedziała mi, że cię kocha — szepczę.

— Szczerze mówiąc: gównu mnie to obchodzi.

Otwieram gwałtownie oczy i wbijam spojrzenie w jego twarz. Uśmiecha się nieszczercze, choć bardzo przekonująco, gdy nasze spojrzenia się krzyżują, i po raz kolejny przebiega palcami po moim policzku. Jest tak delikatny i jednocześnie bezwzględny, że nie wiem, jak to możliwe. Jak można połączyć delikatność z pierdoloną bezwzględnością?! No jak?!

— Znacie się jedenaście lat — zauważam. Zaczynam się gubić w tym gównie. — Byliście razem i teraz nie obchodzą cię jej uczucia?

— Znam ją jedenaście lat i nigdy nie była mi bliska.

— Ale...

— Nie ma „ale”, Emerald. Ginger jest niewartą uwagi wariatką. Podobnie jak jej pojebana rodzina. Narobiła tak wiele szkód w moim otoczeniu, że powinna, kurwa, zapaść się pod ziemię.

Wściekłość, która przysłania jego oczy, zmusza mnie do porzucenia tematu.

— Dlaczego nie mówisz do mnie po imieniu?

— Nie powiem ci — przewraca oczami i zaciska szczękę — ale jeśli w jakikolwiek sposób twoja podświadomość próbuje ci wmówić, że Ginger mówi prawdę, to proszę, zapytaj mnie wprost o to, co cię gnębi, zamiast wysnuwać niepoparte faktami wnioski.

— Jestem tylko kolejną naiwną dziewczyną z zielonymi oczami?

To boli, mimo że nie powinno.

— Jesteś Emerald — szepcze delikatnie. — Twoje tęczęwki nie są zielone, one są szmaragdowe.

— I co w związku z tym?

— To, że nigdy nie będziesz kolejną zielonooką dziewczyną. Jesteś Emerald.

— Nigdy wcześniej nie mówiłeś tak do nikogo?

— Nie, nigdy nie patrzyłem w tak szmaragdowe oczy jak twoje.

Przygryzam wargę. Odsuwa się, prostując plecy, i jest tak cholernie wyluzowany, że to przechodzi ludzkie pojęcie! On jest, kurwa, przerażająco nieobliczalny. Jak ja mam żyć obok niego? Jak długo jeszcze? Co, do chuja, dzieje się z moim życiem?! Kim on jest?

— Nie oddalaj się ode mnie — mówi.

— Dlaczego mnie porwałś? — Kręcę głową i podnoszę się do siadu.

Jestem słaba i beznadziejnie zagubiona, co wywołuje we mnie płacz. Nie chcę się mazgaić, ale niby jak mam się czuć dobrze po takiej akcji? Wiem, że mnie porwał i był przerażający. Jednak nigdy nie zrobił niczego złego mnie!

— Już ci mówiłem.

— Więc powiedz jeszcze raz.

Pochyla się do mnie i ujmuje moją mokrą od łez twarz. Patrzy mi w rozżalone oczy z niewyobrażalnie mocnym uczuciem i nieznacznie głaszcze moje policzki. Jego ruchy są tak subtelne i przyjemne, że drzę.

— Uśmiechnij się — mruczy. — Nie chcę twoich łez.

— To wszystko zaczyna mnie przerastać — przyznaję. — Już mnie przerosło i nie wiem, jak sobie z tym poradzić. — Kręcę głową i znów zaczynam drżeć. — Jesteś nieobliczalny.

— Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy, Emerald.

— A jeśli kiedyś trafię w twój czuły punkt? Co wtedy?

— Ty jesteś moim czułym punktem — szepcze i zaciska szczękę.

Jego twarz robi się bardziej surowa i widzę, że próbuje tym stworzyć dystans między nami. Nie chce się przede mną otworzyć. Nie chce, ale robi to.

— Dlaczego? Co takiego w sobie mam, że jestem twoim czułym punktem? Znamy się ledwo miesiąc.

— Już sześć tygodni, Emerald.

— Liczysz? — Unoszę brew i... Okej, uśmiecham się lekko.

To jest słodkie, przyznaję.

Znowu moje uczucia względem niego się zmieniają! Dlaczego?!

— Nie. — Przewraca oczami, próbując się nie uśmiechnąć. — Po prostu wiem.

— Tak, jasne. — Krzywię się. — Zaznaczasz je w kalendarzu.

— Cicho — syczy, mrużąc oczy. — To miała być tajemnica, paplo.

— Jesteś taki popierdolony... — Kręcę głową. — To nieprawdopodobne. Twój humor jest jak kolejka górską i mój przez to jest identyczny.

— Nie chciałem cię przestraszyć, to ostatnie, czego bym chciał. — Uśmiecha się lekko i ściera moje łzy z policzków. — Jesteś moim słodkim ciasteczkiem i jedyne, czego pragnę, to twoje bezpieczeństwo.

— Coś mi grozi?

— Nie, przy mnie zawsze jesteś bezpieczna. — Przygryza wargę. — Przepraszam.

— W porządku.

Wzruszam ramionami, mimo że nie wiem, za co konkretnie mnie przeprasza. Bo za swój wyskok raczej nie mnie należałyby się przeprosiny.

— Pocałujesz mnie? — pyta z nadzieją.

Przewracam oczami. Czy on nie jest za bardzo dwubiegunowy? Albo kilkubiegunowy?! Czy on właśnie udaje zawstydzonego? To jest niepokojące, do cholery. Bardzo niepokojące.

A ja jestem głupia. Bardzo, bardzo, bardzo turbogłupia. Bo pochylałam się bezmyślnie i przywieram do jego słodkich ust swoimi. Inicjuję delikatny pocałunek, ale on oczekuje czegoś innego. Dodaje temu drapieżności i smaku. Jest mi całkowicie oddany i naprawdę to czuję. W każdym jego ruchu. Nawet tym najdrobniejszym, jak głaskanie mojego policzka.

— Nigdy nie daj sobie wmówić, że jesteś tylko kolejną zachcianką, Emerald — szepcze prosto w moje wargi. — Nigdy. Bo *od zawsze to byłaś ty*. Tylko ty, moja mała księżniczko.

— Przytul mnie — mruczę, uśmiechając się, i delikatnie skubię zębami jego dolną wargę.

Reaguje lekkim spięciem, ale to nie trwa długo. Niepewnie przesuwa dłonie z moich policzków na talię i obejmuje mnie. A ja obejmuję jego i mocno przyciskam nos do jego pachnącej szyi. Dopiero po chwili moje ciało zaczyna się rozluźniać, a przerażenie odpuszcza. Zastępuje je dziwne poczucie bezpieczeństwa, którego nie rozumiem. Jak mogę czuć się bezpiecznie w ramionach kogoś, kto z zimną krwią odbiera drugiej osobie oddech?

— Kąpiel? — pyta po chwili, pocierając moje ramię.

— Mhm.

Odsuwam się niechętnie, ale zanim zdążę się podnieść, Vincent już trzyma mnie w ramionach i niesie na górę, do swojego pokoju, a w nim do dużej łazienki, w której stoi moja ulubiona wanna. Jest ogromna i nieziemsko wygodna, dlatego często wkradam się i relaksuję właśnie tutaj. Można się w niej poczuć trochę jak na basenie.

Vincent stawia mnie na zimnych płytkach i nie czekając na pozwolenie bądź cokolwiek innego, wpija się w moje wargi. Nie jest już delikatny i spokojny, ale spragniony — najlepiej świadczą o tym jego zdecydowane ruchy. Nie umiem oprzeć się temu żarowi, jaki pomiędzy nami wybucha. Pragnę go.

Znów moja głowa paruje od liczby zakrętów na trasie tej „górskiej kolejki”.

— Twoje słodkie usta stają się moją zgubą — stwierdza Vincent. — Są lekiem na wszystko, Emerald. Ty jesteś lekiem na wszystko. Nie umiem bez ciebie funkcjonować. Nigdy nie umiałem.

— Stęskniłeś się za mną czy co? — Parskam śmiechem i delikatnie odsuwam się od jego pokierszowanej twarzy.

Dopiero teraz zauważam, że Ginger uderzyła go w policzek, na którym ma szramy, i lekko się przez to otworzyły. Na szczęście nie poleciało z nich dużo krwi. Ścieram ją delikatnie kciukiem i uśmiecham się do niego. Jest naprawdę cholernie wykończony.

— Może wolisz się położyć? Jesteś zmęczony.

— Nie, chcę tylko ciebie — zapewnia. — Rozbierzesz się czy wolisz, żebym ja to zrobił?

— Mogę się rozebrać. Chyba że masz fantazję, by się tym samemu zająć...

— Mogę sam rozpakować swój prezent? — droczy się. — To byłby przedwczesny prezent od zajączka wielkanocnego. Albo spóźniony pod choinkę... — Marszczy brwi. — Tak czy inaczej jestem bardziej niż chętny.

— Więc jestem cała twoja. — Szczerzę się głupkowato i rozkładam ramiona.

— Cała moja? — powtarza, jakby nie docierała do niego moja odpowiedź.

A może wziął to zbyt poważnie? Nie uprzedmiotawiam się!

— No tak, możesz mnie rozebrać i ewentualnie sobie pomacać. Coś nie tak?

— Nie, wszystko w jak najlepszym porządku, Emerald. Po prostu nie wiem, od czego zacząć — przyznaje, a jego oczy aż iskrzą się z ekscytacji. — Rozpakowywanie prezentów zawsze jest pełne napięcia, a przy tobie czuję zdecydowany nadmiar emocji. Możesz przestać być taka pociągająca? — Uśmiecha się łobuzersko, przez co wydaje się bardziej chłopiący. — Rozpraszasz mnie.

— Wybacz, taki mój urok — kpię.

Cała zła aura zniknęła i zastąpiło ją pożądanie. Pierwotne, zwierzęce pożądanie, które tli się w jego ciemnych oczach i tylko czeka, aż przekroczy granicę. Pragnie mnie. Tak szaleńczo mnie pragnie i nawet nie stara się tego ukryć. Ja pragnę go tak samo.

— Twój urok doprowadza mnie do szału, Emerald. Może jednak sama się rozbierzesz? Nie chcę zniszczyć twoich ubrań, a na myśl o tobie puszczają mi hamulce.

— Mam na sobie tylko twoją bluzę i jeansy. O swoje ubrania się martwisz! — Śmieję się.

— Więc to moja bluza? — Przygląda się uważnie. — Racja, jest na ciebie o wiele za duża. — Uśmiecha się rozbrajająco. — Nawet tego nie zauważyłem, widzisz, co ze mną robisz? To niezdrowe.

— Przepraszam. Nie chciałam, to wyszło samo z siebie. Może jednak powinieneś mi pomóc?

Unoszę dłonie w górę i niewinnie spoglądam w jego ciemne tęczęwki. Jest na granicy wytrzymałości, a jego oczy płoną. Między nami zaczyna się coś bardzo prawdziwego i intensywnego. Zbyt kuszącego, bym mogła się temu oprzeć.

Vincent podchodzi do mnie powoli i równie wolno łapie dół mojej bluzy. Podciąga ją w tym samym nieznośnym tempie i nawet nie kryje się z takim sadyzmem! Wręcz przeciwnie: nie dość, że dobrze się bawi, to jeszcze beczelnie to okazuje! Ten wredny uśmieszek ani na sekundę nie schodzi mu z twarzy. Nawet gdy stoję już naga od pasa w górę... on nie odpuszcza!

— Pragniesz mnie, Emerald — stwierdza z wyczuwalną wyższością w głosie.

— Dziwi cię to? Jesteś pieprzonym manipulantem!

— Przepraszam, chyba mówiłem, że prezenty rozpakowuję z nienaganną dokładnością, gdy jestem podekscytowany? Nie? Oj... — kpi.

— Nie prowokuj mnie — szepczę ostrzegawczo, gdy sunie dłońmi po moich żebrach, wywołując dreszcze. Opieszale przesuwają ręce w dół, na moje biodra, i powoli dobiera się do guzika szarych jeansów. Pod nimi mam tylko czerwone koronkowe majtki. Cholera, chyba je zaraz zmoczę.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że cała drżysz? — szepcze.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że zaraz będę mieć mokre majtki? — wypalam.

O mój Boże, nie chciałam tego za żadne skarby powiedzieć! Jego wzrok twardnieje i śmiem przypuszczać, że penis również. Spina się nie na żarty i... zaciska powieki. Z jego ciała emanuje niesamowite gorąco, które uderza w moje najczulsze punkty. Ja naprawdę, wręcz boleśnie, go pragnę.

Co za ironia.

— Doprowadzasz mnie do ostateczności, Emerald — cedzi przez zaciśnięte zęby. — Wiesz?

— Wiem — przyznaję śmiało. — Ale ty działasz na mnie podobnie.

Kładę dłonie na jego ramionach i przesuwam nimi pod szyję, na pierwszy guzik koszuli, która jeszcze broni mi dostępu do jego nieskazitelnego torsu. Odpinam go spokojnie i kieruję się coraz niżej. Vince w tym samym czasie rozpinam moje spodnie. Najpierw guzik, a potem zamek. Gdy kończy, pochyla się i szarpie jeansy w dół, do kolan. Szybko całuje mnie w usta. Jest to zaledwie muśnięcie, które wywołuje w moim ciele wstrząs. Uwielbiam jego pocałunki, zawsze zostawiają po sobie niedosyt. Cholera.

— To napięcie zaraz rozsadzi mi spodnie — wzdycha.

Wzruszam tylko ramionami i wracam do swojej zabawy. Po chwili zdejmuję mu koszulę, po czym z uśmiechem wpatruję się w jego umięśniony, wytatuowany tors, po którym delikatnie przejeżdżam palcami. Czuję gdzieś wybrzuszenia, które są pamiątkami po jakichś ranach, i od razu marszczę czoło. Gdy zauważam opatrunek na jego brzuchu, spinam się jeszcze bardziej.

— Dlaczego po każdej dłuższej nieobecności wracasz z kolejnymi ranami? — szepczę i nie mogąc się powstrzymać, przytulam policzek do jego rozgrzanej skóry.

Zapach, który mnie otacza, przypomina o dreszcze i dodatkowo wywołuje ciepło w dole mojego brzucha. Jestem pewna, że Vincent czuje, jak na mnie działa.

— Czasem życie komplikuje moje sprawy bardziej, niż powinno — mówi.

— Życie to suka — stwierdzam.

Całuję jego skórę, kierując się coraz niżej. Składam mokre, bardzo subtelne, choć obiecujące pocałunki na jego ciele i zatrzymuję się dopiero nad pępkiem. Klękam, łapię guzik od jego garniturowych spodni i unoszę wzrok prosto na jego rozpaloną pożądaniami twarz. Gdy odwzajemnia moje spojrzenie, rozpinam jego spodnie. Uśmiecham się z obietnicą, na którą w jego oczach pojawia się błysk, i jednym ruchem szarpie materiał w dół. Spodnie wraz z bokserkami w małe kaczuszki lądują na ziemi, sztywny penis wyskakuje przed moje oczy, a ja... wybucham śmiechem.

— Czy ty naprawdę nosisz bokserki w kaczuszki?! — jęczę i odchylam się.

Komizm tej sytuacji mnie przerasta. Dlaczego, do cholery, akurat kaczuszki?!

— Bawi cię to, Emerald? — pyta, powstrzymując cisnący mu się na wargi uśmiech. — Chciałem dodać do swojego życia odrobinę słodyczy, nie oceniał mnie.

— Przepraszam, są piękne — przyznaję szczerze i kręcę głową. — Jesteś dziwakiem.

— Musisz z tym żyć, przykro mi. — Unosi brew. — I co teraz?

Cóż. Skupiam się na części jego ciała, która kusząco pręży się tuż przed moją twarzą, i... łapię ją mocno w garść. Szczeka Vincenta napina się niebezpiecznie, a ja czuję chęć, by zrobić mu dobrze. Chcę, by poczuł spełnienie właśnie dzięki mnie. Dzięki moim wargom i językowi.

— Teraz pozwolisz, że urządzę sobie degustację — mruczę, oblizując wargi.

Patrząc prosto w jego ogromne, iskrzące pożądaniami oczy, pochylam się, by złapać główkę jego penisa w usta, i mocno ją zasysam. Tak mocno, że mój partner syczy i gwałtownie odchyła głowę.

— Emerald.

— Hm? — Unoszę brew, gdy jego twarz znów jest zwrócona ku mnie.

Z jego perspektywy, z penisem w ustach, muszę wyglądać naprawdę zabawnie. Albo seksownie, bo faceci podobno lubią ten widok.

— Jesteś jedyna w swoim rodzaju.

— Dlaczego?

Odsuwam się i wprawiam dłoń w lekki, rytmiczny ruch, uśmiechając się szeroko. Szczerze mówiąc, Vince cholernie mnie pociąga, gdy z takim namacalnym wręcz pożądaniami patrzy w moje oczy. Żyła na jego szyi staje się bardziej widoczna, a mięśnie mocno się napinają. Jego ciało wprawia mnie w zachwyt. No, może poza bliznami i tą zaklejoną raną na boku.

— Bo tak — ucina.

Czuję, że nie ma ochoty o tym rozmawiać w chwili, gdy mogę mu ulżyć, więc odpuszczam. Ponownie biorę penisa w usta i nie przerywając pracy ręką, mocno zasysam żołądź. Prowokuję tym niski pomruk, który opuszcza słodkie wargi mojego kochanka. Podoba mi się to, jak jego mięśnie grają w rytm moich ruchów. Po chwili pochylam się niżej, połykając więcej, i dodatkowo ujmuję w dłoń jego jądra. Manewruję językiem po jego członku i patrzę mu prosto w oczy, starając się wytrzymać jak najdłużej. Ma duży sprzęt, ale udaje mi się objąć go w całości. Gdy nogi Vincenta zaczynają drżeć, cofam gwałtownie głowę i znów mocno zasysam główkę. Robię to tak mocno, że oczy odlatują mu w głąb czaszki. Jest taki seksowny...

— Emerald... — warczy i wplątuje palce w moje roztrzepane włosy. Jego czarne z pożądania oczy patrzą na mnie z intensywnością, której jeszcze u niego nie widziałam. — Kurwa. Tak, kochanie.

Napiera na moją głowę, przez co ponownie połykam go niemal do podstawy. Ściskam jego jądra i nie mija sekunda, jak nadchodzi orgazm i obfite soki rozlewają się po moim gardle. Cofam się momentalnie, by nie ryzykować odruchu wymiotnego, i powoli, z rozluźnionym gardłem połykam całość jego nasienia. Nie czuję żadnego smaku, więc od razu, gdy jestem pewna, że to koniec, oblizuję główkę i odsuwam się. Dłonią przecieram usta i szeroko się uśmiecham. Oczy mężczyzny błyszczą zadowoleniem.

— No, skoro obiecałam lody, to proszę bardzo. — Uśmiecham się promiennie. — Dotrzytałam słowa.

Kręci głową z rozbijającym wyrazem twarzy i podaje mi dłoń. Wstaję na równe nogi i nim zdążę otworzyć usta, on już mnie całuje. Mocno, pewnie i z czymś dziwnie nieznanym, co powoduje drżenie moich nóg. Jestem szczerze zachwycona.

— Z każdą chwilą zaskakujesz mnie coraz bardziej — mruczy. — Zdejmij majtki i wejdź do wanny — dodaje.

Odsuwa się ode mnie na krok i wypuszcza długi oddech. Nie rozumiem jego zachowania, ale nie komentuję. Zdejmuję swoje spodnie wraz z czerwonymi majtkami i wchodzę do wanny pełnej wody i piany. Nie mam pojęcia, kiedy i kto mógł ją napełnić, ale nie wnikam. Układam się wygodnie i odchylam głowę. Moje ciało relaksuje się w gorącej wodzie. Wszystkie złe emocje znikają i zastępuje je euforia. Czuję się niesamowicie dobrze.

— Lubisz moją wannę — stwierdza z rozbawieniem Vincent, który wchodzi do wody.

Łapie mnie za kolana i rozchyła je szeroko, by wygodnie się między nimi ulokować. Jego dłonie zaciskają się na moich biodrach, a usta momentalnie przysysają się do szyi. Mruczę na znak, że jest mi dobrze, i jedną ręką obejmuję jego szyję.

— Kocham twoją wannę. Jest jak mały basen.

— Staralem się zaprojektować to mieszkanie tak, by miało wszystko, co najlepsze. — Śmieje się. — Wiedziałem, że pewnego dnia będzie uprzyjemniać życie nie tylko mnie.

— Cieszę się, że to właśnie ja zostałam wybrana. — Przygryzam wargę.

— Nigdy nie myślałam o nikim innym — mruczy.

Spoglądam na niego ze szczerym uśmiechem i nie muszę długo czekać na jego usta. Unosi się nade mnie i łączy swoje słodkie wargi z moimi. Porusza się leniwie, ale oczywiście jest w tym nutka drapieżności. Jego dłoń powoli przesuwa się z mojego biodra między uda. Vincent zwiększa tempo pocałunku w chwili, gdy długimi palcami dociera do mojego najczulszego punktu i delikatnie nimi porusza. Pieści moją łechtaczkę najpierw po okręgu, potem rytmicznie ją pociera, a gdy unoszę biodra, domagając się więcej, decyduje się na głębszą zabawę: dwa palce kieruje w moje wejście, a kciukiem naciska nabrzmiąły pączek, wywołując we mnie dreszcze. Jęczę, czując, jak buduje we mnie napięcie, i jeszcze mocniej wypycham ku niemu biodra. Chcę więcej, a on mi tego nie daje. Jego długie palce zastygają w mojej spragnionej cipce i nic nie robią. Vince drażni się ze mną w perfidny sposób, a gdy zaczynam się niecierpliwie wiercić, gryzie mój język!

— Vincent — bełkoczę. — Proszę cię.

— O co mnie prosisz, Emerald?

— Pieprz mnie.

Parska krótkim śmiechem i kręcąc głową, wprawia palce w ruch. Najpierw wsuwa się i wysuwa bardzo powoli i złośliwie. Potem przyspiesza, aż w końcu pieprzy mnie mocno. Podkurczam palce u stóp i delikatnie odchylam głowę, gdy napięcie na nowo zaczyna narastać w dole mojego brzucha. Z moich ust wychodzą krótkie jęki, które Vincent od czasu do czasu tłumi pocałunkami. Wplątam jedną dłoń w jego włosy, a drugą chwytam się wanny, bo wyginam się, tracąc panowanie nad ciałem. To jest takie dobre... Takie idealne... Jestem zachwycona.

— Patrz mi w oczy — mówi.

Czuję, że zaraz zwariuję, i z trudem spoglądam na jego przystojną, ociekającą wodą twarz. Jest poważny, roztacza aurę, która doprowadza mnie do szaleństwa, i ani na moment nie zwalnia pracy palcami.

— Już nie mogę się doczekać, aż w końcu w ciebie wejdem — szepcze.

Pochyla się i przygryza moje ucho, przez co odpływam. Dochodzę z jękiem, a moje biedne ciało wygina się w konwulsjach niesamowitej rozkoszy. Moje serce szaleje wraz z oddechem, który nie chce prawidłowo dotrzeć do płuc. Kurwa, a Vincent nagle zsuwa twarz na moją klatkę piersiową i wciąga w usta twardą brodawkę. Pastwi się nade mną, przeciągając tę rozbrajającą chwilę przyjemności, i mruczy z aprobatą.

— Jesteś taka piękna, Emerald... — mówi tuż przy mojej skórze. — Tak piękna i niesamowita.

— Już dość — jęczę. — Zostaw mojego cycka w spokoju.

— Nie, nie mogę, jest za słodki. — Śmieje się wrednie, okrążając brodawkę końcówką języka.

— Jak cała ty.

— Mam nadwrażliwe sutki, przestań! — Prostuję się gwałtownie i łapię jego twarz w dłonie.

Nie wytrzymam dłużej. Potrzebuję normalnego oddechu, a on nie chce mi odpuścić. Cholera jasna. To była tylko palcówka!

— Wrażliwe sutki, łaskotki na szyi i co jeszcze? Jeszcze jakieś czułe punkty? — droczy się, prezentując piękny, szczerzy uśmiech.

Bardzo leniwie pochyla się nad moją twarzą i muska swoim mokrym nosem mój. Jest... nie wiem. To cholerne ciepło, które bije z jego ciała, ogłupia mnie. Jest zdecydowanie zbyt pociągający. Obejmuję go za szyję i przyciągam, by zacząć go całować, długo i namiętnie. Rozkoszuję się jego bliskością, słodyczą i przeświadczeniem, że jest dla mnie idealny.

Jestem spełniona. Spełniona i... beznadziejnie zauroczona.

Rozdział 19

Mokre pocałunki, które Vincent składa na mojej szyi, powodują drzenie w całym ciele. Uśmiecham się, czując, jak powoli odpływa ode mnie sen, i mruczę, dając mu większy dostęp do swoich czułych punktów. Wykorzystuje to od razu, wgrzając się w moją skórę.

— Nie! — jęczę przez śmiech. — Nie tak, nie!

Wiercę się, ale nic to nie daje. On śmiejąc się, nadal mnie prześladowuje. Jego śmiech mnie rozczula, jest uroczy i tak rzadko go słyszę, że na moment zapiera mi dech.

— Nie rzucaj się tak, Emerald — mówi cicho Vince. — I tak zrobię ci malinkę. A raczej już zrobiłem.

— No dziękuję — pryham. — Dlaczego jestem w łóżku?

Ostatnie, co pamiętam, to samolot. Jak mogłam przegapić wyjście z niego i dotarcie do łóżka? To trochę niepokojące, że aż tak mocno spałam.

— Spałaś, a ja jestem delikatny, więc przeniosłem cię do hotelu, a ty się nie obudziłaś. — Spoglądam na jego rozluźnioną twarz i marszczę brwi. — To znaczy przebudziłaś się, ale najprawdopodobniej nie pamiętasz tego, bo tylko coś mruczałaś pod nosem.

— Mruczałam? Nie słuchałeś mnie po prostu, przyznaj się.

— Próbowałem zrozumieć, ale naprawdę to były tylko pomruki — protestuje twardo.

Składa na mojej szyi jeszcze jeden pocałunek i zaraz kładzie się na mnie. Twarzą łąduje między moimi piersiami, a dłonie umieszcza po obu stronach mojego ciała. Delikatnie gładzi kciukami moje boki i wzdycha. Tak nostalgicznie.

— Lubię twój zapach — mówi. — Uwielbiam wręcz.

— Przez ciebie nie mam nawet swoich ulubionych perfum — zauważam. — Pachnę żelem, który mi kupujesz.

— Idealnie komponuje się z twoją słodką skórą, Emerald.

— Cieszę się, że jesteś zadowolony. — Parskam śmiechem i wplatom palce w jego wilgotne włosy. — Jaki jest plan na dzisiaj?

— Pojadę na spotkanie, załatwię, co trzeba, i zabiorę cię na wycieczkę. W czasie mojej nieobecności posiedzisz z Troyem, bo Stanley musi jechać ze mną.

— I znów wrócisz z jakimiś krwawymi pamiątkami?

— Nie, raczej nie. — Śmieje się. — Nie przejmuj się tym, to tylko lekkie draśnięcia.

— Twoja rana na boku nie wygląda na draśnięcie — zauważam kąśliwie, przesuwając palcami po jego skórze. — Dlaczego tak często zdarza ci się być rannym? Co, jeśli kiedyś ktoś ci zrobi coś gorszego? A ja nie będę nawet wiedziała, co się stało i gdzie jesteś?

— Martwisz się o mnie? — szepcze.

Jego głos wydaje się dziwnie obcy. Jakby stał za ścianą i nie dowierzał, że mogę... się o niego martwić? A ja naprawdę nie chcę, żeby coś mu się stało. Albo żeby się ze mną pożegnał, bo coś może pójść nie po jego myśli. Polubiłam go... Tak szczerze i bardzo mocno.

— Nie chciałabym, żebyś kiedyś zniknął — mówię cicho. — Naprawdę nie chciałabym.

— Dlaczego? Przecież cię porwałem i odebrałem ci wolność, więc powinnaś mnie nienawidzić.

— Czuję raczej coś w rodzaju tęsknoty, bo przez te kilka tygodni trochę się do ciebie przywiązałam — przyznaję, gryząc wargę. — Lubię cię i nie chciałabym nagle zderzyć się z rzeczywistością, w której cię nie ma.

— Naprawdę?

Unosi się powoli nade mną i delikatnie łączy nas czołami. Zamykam oczy, a on przesuwa nosem po moim nosie i zaraz składa krótki pocałunek na środku moich ust. Jest niepewny, a we mnie dziwnie to uderza. Zależy mu na tym, co czuję?

— Naprawdę — mówię szczerze. — Nie chcę, żebyś nagle mnie zostawił.

Uważnie spoglądam na jego rozespaną twarz. Patrzy na mnie lekko przekrwionymi oczami, które mruży w słodki sposób. Jeśli ktoś zapytałby mnie o najbardziej uroczy widok w życiu, to odpowiedziałabym, że jest to zaspana twarz Vincenta. Z roztrzepanymi włosami. Cholera, zachowuję się

jak zauroczona kretyńka! Powinnam się opamiętać. To niezdrowe i głupie. Popieprzone wręcz. Ale jest taki... intensywny.

— Nie mam pojęcia, co tobą kieruje — szepcze — ale jeśli czułem kiedyś zadowolenie z jednej z nielegalnych rzeczy, które zrobiłem, to było to porwanie ciebie i zamknięcie w tym cholernym Miami.

— Cóż, mogłeś mnie poderwać w jakiś standardowy sposób, ale okej. — Wzruszam ramionami, uśmiechając się głupkowato. — Tak też może być. Przynajmniej dostarczyłeś mi trochę adrenaliny.

— Kto by pomyślał, że to właśnie dzięki tortowi spotkam moje upragnione szmaragdowe oczy? — szepcze. — Jesteś piękna.

— Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo mieszasz tą słodką gadką w mojej otępiełej głowie — przyznaję z lekkim wyrzutem. — Chyba zrobiłabym dla ciebie wszystko.

Zanim z jego ust wypłyną jakiegokolwiek słowa, obejmuję go za szyję i przyciągam, zmuszając do mocnego pocałunku. Nie ograniczam się, nie jestem nieśmiała. Jestem szczerze spragniona jego bliskości, która maści w mojej głowie jak łyżka w kotle pełnym pułapek. Bo Vincent jest niebezpieczeństwem. Górą niebezpieczeństwa, której szczerze pragnę. Całkowicie i bezapelacyjnie.

Odbija mi.

Prowadzę pocałunek powoli, drażniąc się z nim, jak tylko mogę, i czuję, że z każdym moim ruchem jego cierpliwość topnieje. Jego samokontrola powoli się kończy, a ręce, które miarowo zaciska na mojej talii, sugerują, że naprawdę nie może się doczekać. I ja też nie mogę. Chcę go. Chcę go w całości i tylko dla siebie.

— Pragnę cię — szepcze niskim głosem. — Tak cholernie cię pragnę, Emerald... Nie masz pojęcia.

— Chcę być tylko twoja, Vincent — mówię całkowicie poważnie.

Odsuwa się ode mnie gwałtownie i czarnymi, pełnymi pożądania oczami patrzy prosto w moje zielone tęczówki. Spogląda uważnie, z niebywałą dokładnością szukając potwierdzenia. Widzi je z pewnością, bo pragnę go od dawna i z każdą chwilą coraz bardziej.

— Chcesz być moja? — pyta tak, jakby naprawdę nie mógł w to uwierzyć. — Tylko moja?

— Tak — szepczę i uśmiecham się szeroko. — Chcę.

Unoszę się na łokciach i po raz kolejny łączę nasze wargi. Całuję go tak, jak nie całowałam jeszcze nikogo. Bo jeszcze nikogo nie chciałam tak, jak chcę jego. Bez względu na wszystko: jego zachowanie, interesy czy cokolwiek innego, co mogłoby stanąć na naszej drodze, chcę go. To zaszło już zdecydowanie za daleko, bym mogła się zatrzymać.

Całuje mnie po raz ostatni i przesuwa się w dół, na szyję, po której przejeżdża mokrym językiem. Drżę z powodu łaskotek, ale nie ruszam się. Moje ciało trzęsie się od pragnienia, które wypełnia mnie od czubka głowy aż po palce u stóp. I jest to tak dobre, tak po prostu dobre, że nie mogę! Nawet łaskotki przeboleję, byle był bliżej. Byle był tylko mój.

— Powiedz to jeszcze raz — mruczy i całuje bolesny ślad, który właśnie na mnie zostawił. — Powiedz, że jesteś moja, Emerald. Tylko moja.

— Jestem twoja — szepczę. — Tylko twoja. Bezapelacyjnie.

— Chyba zwariowałem...

I to jego ostatnie słowa. Gwałtownie ze mnie schodzi i jednym mocnym ruchem zdziera prześcieradło, którym jestem okryta. Oboje jesteśmy nadszy i... wcale mnie to nie dziwi. Rozkładam nogi i unoszę się na łokciach z wyczekującym uśmiechem. Odwzajemnia go, ale nie walczy ze mną na spojrzenia. On walczy sam ze sobą i jest to tak kurewsko gorące, że nie mogę! Jest pieprzonym manipulantem.

— Jeszcze raz, Emerald. — Uśmiecha się.

Przewracam oczami i nie mogąc się powstrzymać, podnoszę się do klęku, a następnie śmiało napieram na niego rękami. Robię to na tyle szybko, że pada na materac, a ja na niego całą sobą.

— Jestem twoja, Vinnie — szepczę, patrząc mu w oczy. — To najdziwniejsza relacja, w jakiej byłam. I wiesz co? Bardzo sprawnie zakręciłeś mi w głowie.

— Staralem się.

Chwyta mnie w talii i szeroko się uśmiecha, ukazując rząd idealnie prostych zębów. Jest słodki...

Jest tak cholernie słodki i dodatkowo to zaspanie działa na jego korzyść!

Kręcę głową, by odgonić niechciane myśli, i gdy jego dłonie przesuwają się na moje pośladki... jęczę. Uwielbiam jego duże, męskie dłonie i kocham sposób, w jaki moje ciało na niego reaguje. To istna rozkosz.

— Podnieś się trochę — mruczy. — Będziesz na gorze.

— Czyli to ja mam cię przelecieć?

— Zdecydowanie tak, skarbie — szepcze obiecująco.

Podnoszę pośladki, a on sprawnie wsuwa dłoń między nasze nagie ciała i nakierowuje główkę swojego penisa na moje wejście. Jestem lekko wilgotna, ale gdy obiecująco ociera się o moją cipkę, wybucha we mnie gorąco. Podkurczam palce u stóp i wbijam wzrok w jego ciemne, pełne uwielbienia oczy.

— Nie mam prezerwatyw — mówi.

— Po prostu to zrób — szepczę.

Nie do końca przekonany wsuwa się na kilka milimetrów, ale ja już tracę cierpliwość. Prostuję się gwałtownie i na nim siadam, przez co jego gruby członek wchodzi we mnie po samą podstawę. Niespiesznie nabieram w płuca powietrza i odchylam głowę. To, jak dobrze jest mieć go w sobie, wydaje się nieprawdopodobne. Jestem wypełniona po sam brzeg i nie mogę się ruszyć. Moje ciało drży z przyjemności i bólu, bo wprowadziłam go w siebie zdecydowanie za szybko. Moje ciasne, wyposzczone ścianki zaciskają się miarowo i dopiero gdy biorę w dłonie swoje piersi i szczypię sutki, zaczynam czuć więcej przyjemności. Jest jeszcze większy, niż sądziłam.

Dopiero po chwili decyduję się na ruch. Niepewnie poruszam się w przód, a potem do tyłu, i spoglądam na jego rozanieloną twarz. Oczy płoną mu pożądaniem i widzę, że niewiele potrzebuje, by skończyć. Odnoszę wrażenie, że mógłby dojść od samego patrzenia na mnie. Widzę to w jego oczach.

— Jesteś cholernie ciasna — mruczy, przez co moje policzki oblewa gorąco.

Kręcę głową na ten niepotrzebny komentarz i bardzo powoli pochylam się, by się na nim położyć. Obejmuję go za szyję i nabieram w płuca dwa pełne oddechy.

— Jednak chcę na dole — szepczę. — Tak na pierwszy raz wołałabym, żebyś to ty zrobił mi dobrze.

— Wszystko, czego zapragniesz, Emerald — mruczy. — Ale nie wstydz się mnie, skarbie. Jesteś piękna.

Obejmuje mnie w pasie i ostrożnie przekręca nas tak, że to ja jestem pod nim. Łapię go za policzki i uśmiecham się nieśmiało, co od razu odwzajemnia. Jest delikatny i bardzo mi się to podoba.

— Boli cię? — pyta.

— Nie, jest w porządku.

Wpłatom palce w jego gęste włosy i mocno pociągam za kilka pasm. Bierze to za zachętę i powoli się wycofuje, by zaraz ponownie wejść. Reaguję jękiem i drżeniem nóg. Jego członek jest duży, a nawet trochę za duży, i jest to chwilowo niekomfortowe, aczkolwiek bardzo mi się podoba. Lubię, gdy z seksem łączy się odrobina bólu.

— Pocałuj mnie — szepczę.

Spełnia moją prośbę od razu i uśmiecha się szeroko. Dodatkowo przyjmuje miarowe tempo, dzięki któremu moje serce przyspiesza, a ciało się rozluźnia. Wchodzi we mnie coraz szybciej, ale nie brutalnie, i wydaje się to wręcz idealne. Czuję coraz większą przyjemność, potęgowaną przez jego słodkie pocałunki. Jest mi dobrze. Cholernie dobrze. Moje ruchy zgrywają się z jego i powstaje harmonia, której nie umiem się oprzeć. To jest tak dobre... Tak mi, kurwa, po prostu dobrze.

— W porządku? — mruczy, gryząc moją dolną wargę.

Pociąga ją w swoją stronę i lekko przyspiesza. Czuję rosnący ucisk w dole brzucha i powoli zaczyna mi brakować tchu. Jestem coraz bliżej, a on coraz bardziej przyspiesza. Jęczę, wyginając się z przyjemności, i w końcu rozkładam nogi szerzej. Przez ten ruch wchodzi we mnie jeszcze głębiej. Znów podkurczam palce u stóp.

— Tak — dyszę i przesuwam dłonie na jego ramiona. — Nie przestawaj.

— Nie mam zamiaru, kochanie.

Wbijam paznokcie w jego rozgrzaną skórę i uśmiecham się szeroko. Czuję to. Kurwa, coraz mocniej to czuję. Jego zapach ogarnia mnie z każdej strony, a ten nieustępliwy wzrok, który wbija w moje podniecone oczy... Cholera. To aż za mocne.

— Drżysz, Emerald — warczy.

Żyła na jego szyi pulsuje, a na czole pojawiają się krople potu. Napięcie spowodowane wzbierającym orgazmem zaczyna być nie do zniesienia.

— Ty też drżysz — zauważam i lekko wyginam plecy. — Twój penis drży.

— Tak długo na ciebie czekałem, że sam fakt bycia w tobie doprowadza mnie do orgazmu. Jesteś taka ciasna... Kurwa, to niesamowite — sapie.

Przyspiesza, gniotąc mnie swoim natarczywym spojrzeniem, i...

— Vincent! — jęczę, dochodząc w spazmach targających moim biednym ciałem.

Nie mogę złapać tchu i nie potrafię oderwać wzroku od jego oczu, które płoną. Patrzy prosto na mnie i nawet nie mruga. Jest skupiony i porusza się jednostajnie, z mocą, przez którą nie mogę zaczerpnąć powietrza. Już chcę krzyknąć, że zaraz odleczę, gdy nagle gwałtownie wychodzi ze mnie i obficie kończy na moim brzuchu. Oddycha szybko, urywanie i pompuje swojego penisa do ostatniej kropli, która osiada na moim ciele. Wygląda doskonale, unosząc się nade mną z tym potężnym, lśniącym od potu torsem. Jego napięte mięśnie i imponującej wielkości kutas... to wszystko tylko dla mnie. Cały on należący tylko do mnie.

Duszę się od nadmiaru uczuć.

— Warto było czekać — oznajmia zachrypniętym głosem i odchyła głowę. Puszczając swojego penisa i oddycha kilkakrotnie, ocierając czoło przedramieniem. — Jesteś niezemska, a to dopiero początek naszej przygody.

Cholera.

Rozdział 20

Leżę na łóżku z pełnym brzuchem i jedyne, czego pragnę, to sen. Jestem zmęczona siedzeniem w apartamencie, a fakt, że Troy wcisnął we mnie ogromną porcję makaronu, nie pomaga. Czuję się, jakbym miała eksplodować, i nie mogę się ruszyć. Ani ruszyć, ani zasnąć, co jest cholernie męczące.

— Valeria... — mruczy szatyn.

Siedzi na fotelu naprzeciwko mnie i również cierpi po obfitym posiłku. Nie dość, że napasł mnie, to jeszcze siebie. Idiota.

— Idziemy się przejść? Jakies zakupy albo coś? Vincent wróci dopiero wieczorem — jęczy. — Muszę spalić to, co pochłonałem — dramatyzuje.

— Trzeba było zamówić o połowę mniejsze porcje!

— Vincent powiedział, że jesteś wychudzona i mam cię nakarmić — protestuje. — Sorry, kurczaczku, ale to nie moja wina, ja tylko spełniam polecenia mojego szefa.

— Jak się w ogóle poznaliście z Vincentem? — pytam, zmieniając temat.

Troy jest jedyną osobą, która potrafi przez przypadek chlapnąć coś, o czym nie powinnam wiedzieć. Dotąd nie mieliśmy jeszcze okazji rozmawiać sam na sam. Jak mogłabym nie wykorzystać takiej szansy?

Podnoszę się powoli do siadu i opieram plecy o poduszki, wyciągając przed siebie nogi. Ręce układam na wydętym brzuchu, który wygląda jak co najmniej czwarty miesiąc ciąży.

— Miałem trochę kłopotów, a dzięki Vincentowi i jego koledze udało mi się ich pozbyć. Później się okazało, że potrzebował kogoś, kto mógłby go zabezpieczać, i oto jestem. — Uśmiecha się serdecznie, przechylając głowę na bok. — Znamy się bardzo długo i szczerze mówiąc, i jego, i Stanleya traktuję jak braci.

— Vincent jest z Miami? Czy z Denver? Czy w sumie skąd?

Ma posiadłość w Denver, gdzie były jego urodziny, na których się poznaliśmy, ma dom w Miami, ale czy to jest wszystko? Cholera, nic o nim nie wiem. Nie dość, że przespałam się z porywaczem, który mnie pociąga, to na domiar złego kompletnie nic o nim nie wiem. Rany, czasem jestem turboidiotką.

Ale pod wpływem chwili i z powodu nadmiernej dawki bliskości... mam wrażenie, że się w nim zakochuję.

— Myślisz, że skoro jesteśmy sami, wyciągniesz ode mnie jakieś informacje? — Troy wzdycha, a w jego oczach można wyczytać lekko oskarżycielski cień. — Nie powiem ci niczego, co sprowadziłoby na mnie gniew Vincenta.

— To tajemnica, skąd pochodzi? I czy ma więcej domów?

— Po co chcesz wiedzieć, jaki jest jego majątek? — prychna, mrużąc oczy.

To pytanie uderza we mnie jak policzek. Czy on śmiał pomyśleć, że zależy mi na pieniądzach Vincenta? Na tym, ile kasy ma mężczyzna, który zmusił mnie do swojego towarzystwa? Który mnie *porwał*? Naprawdę?!

— Jeśli dobrze się domyślam tego, co ci chodzi po głowie, to cholernie mnie to zabolalo — warczę ze złością. — Nie obchodzi mnie, ile Vincent ma pieniędzy! Sam stwierdził, że jest obrzydliwie bogaty. A ja z tych bogactw nie mam zamiaru korzystać. Zresztą przypomnij sobie, w jaki sposób się tu znalazłam. Zostałam przez was porwana, więc nie pojawiałam się tutaj po to, żeby go oskubać!

Jestem zła. A raczej wkurwiona! Jak śmiał tak w ogóle pomyśleć?

Splatam dłonie na piersiach i zaciskam szczękę, by się uspokoić. Nie jestem pieprzoną materialistką i nie pisałam się na takie rarytasy, jakie otrzymuję od mojego porywacza. Vincent wpakował mnie do swojego luksusowego życia, nie licząc się z moim zdaniem. Kurwa mać.

— Ojej, Valerio, nie gniewaj się na mnie. — Troy wydaje się skruszony, gdy to mówi. — Nie chciałem cię urazić. Po prostu...

Wstaje z miejsca i niepewnie podchodzi do mnie z miną zbitego psa. Siada na krańcu łóżka i delikatnie łapie mnie za łydkę, którą pociera w geście przeprosin. Nie rusza mnie to. W tym momencie jestem na niego zła i jest mi przykro.

— Vincent napotkał bardzo dużo przeszkód w życiu — mówi przez zaciśnięte gardło. —

Przeszedł przez kilka bagien, zanim znalazł się tutaj, gdzie jest, bo ma pewne zobowiązania przez swoje nazwisko. Ginger jest przy nim prawie tyle, ile ja i Stanley, ale ona jest tutaj tylko ze względu na jego pozycję i pieniądze, bo kiedyś ktoś wyżej postawiony od Vincenta obiecał coś ojcu tej parszywej suki. Nie uważam cię za materialistkę, jesteś najśłodszy stworzeniem na świecie i widzę, jak dużo szczęścia dajesz Vincentowi.

Zamieram. Odwracam się gwałtownie w jego stronę i przygryzam wargę. Daję szczęście Vincentowi? Ja? Co, do cholery?! Jak mogę mu dawać szczęście? Przecież... O mój Panie.

— Widzisz? — jęczy szatyn i chowa twarz w dłoniach. — Mam przy tobie niebywałą lekkość w paplaniu o rzeczach, o których nie powinienem mówić. Nie chcę, żebyś ode mnie dowiedziała się czegoś, co powinien powiedzieć ci Visser. To niebezpieczne i dla mnie, i dla ciebie. — Pada na materac z długim jękiem frustracji i zwraca głowę w moim kierunku. — Gdyby wiedział, że jestem tak blisko ciebie i w dodatku mówię o nim, oderwałby mi łeb.

— Jestem pewna, że dramatyzujesz — pryham.

— To dobrze, że tak uważasz. To znaczy, że jeszcze cię nie przestraszył tak, żebyś odpuściła — wzdycha, po czym gwałtownie się prostuje i zasłania usta ręką.

— Co masz na myśli?

Jest wyraźnie zestresowany, co zaczyna mnie poważnie bawić.

— Vincent urodził się w Miami, tam jest jego rodzinny dom, ten, w którym mieszkasz — mówi zdawkowo. — Ma domy w Denver, Miami, Londynie, Nowym Jorku, Los Angeles i Vancouver.

Otwieram usta, by skomentować jego zmianę tematu, ale słysząc nazwy miast, od razu się zamykam. Vincent ma sześć posiadłości? I każda jest tak wielka i bogata jak ta, w której mieszkam?! Do cholery, kim on jest? Pieprzonym królem Ameryki!?

— Vincent ma bardzo dużo pieniędzy, których nie potrzebuje. Między innymi dlatego bez zająknięcia kupił ci tyle biżuterii ze szmaragdami. Te kilkanaście tysięcy dolarów było dla niego jak dla kogoś innego zakupy spożywcze w supermarkecie. On nie ma żadnych granic, Val, zwłaszcza gdy chodzi o ciebie.

Troy wzdycha, jakby czuł się pokonany, i znów kładzie się na materacu.

— Kim on jest? — chcę wiedzieć.

Moja głowa nie przyswaja takiej prawdy. On nie powinien wydawać na mnie pieniędzy, mimo że ma ich zdecydowany nadmiar. Kiedyś może mu się powinąć noga i będzie ich potrzebował. A mnie na co one? Mogę pracować w cukierni i żyć normalnie, a nie jak w jakiejś bajce, która może się skończyć w każdej chwili. Bo skąd mam wiedzieć, jak i kiedy się skończy?

— Vincent jest w pewnym sensie biznesmenem — odpowiada powoli. — Bardzo utalentowanym biznesmenem, który przejął kilka rzeczy po swoim dziadku. Powiedzmy, że prowadzi rodzinny interes, który przez wcześniejsze pokolenia wyrósł do dziwnej rangi.

— Ma jakieś rodzeństwo?

— Dlaczego pytasz o to mnie, a nie jego?

— Bo jego ciągle nie ma — fukam. To pytanie wytrąca mnie z równowagi. To prawda, że powinnam rozmawiać o Vincencie z nim samym, ale... to nie działa. — Kiedy jest blisko, to zbyt pochłania mnie jego obecność i nie mam głowy do tego, by o cokolwiek pytać. Nie wiem o nim nic. Tak samo jak o was i mimo to ufam wam jak ślepa idiotka. Naiwnie wierzę, że na końcu naszej historii nie zostanę z niczym. Był z Ginger tyle lat i co? I wyrzucił ją ze swojego życia jak zużytą gumkę.

Obrzydliwe porównanie, ale taka jest prawda. Przykra prawda.

— Nie porównuj siebie do Ginger, Val. Nie jesteście na równi i nigdy nie będziecie.

Pryham. Więc nigdy nie będę tak...

— Ona nigdy nie będzie tam, gdzie jesteś ty — dodaje mrocznym głosem. — Nie draż tego, po prostu uwierz, że jesteś od niej o wiele lepsza i o wiele bliższa Vincentowi. Ginger jest tylko marionetką w jego rękach, a raczej była, bo już nie jest jej nic winny. To, co ich łączyło, zostało zastąpione czymś innym. Jego ciężar zdjął Zena. — Zaciska powieki, jakby odczuwał ból. — To jeszcze większe bagno. Kurwa, za dużo gadam. — Kręci głową. — Ginger to cholerna zużyta gumka, niepotrzebna...

— A do czego jej potrzebował?

— Do interesów i spuszczenia ciśnienia — ucina. — Mogę ci powiedzieć, co chcesz, ale nie wchodź na tematy związane z biznesem i jego uczuciami. O tym nie mogę ci nic rzec.

— No dobrze — wzdycham. — Ma rodzeństwo?

— Nie. Jest jedynakiem.

— O co chodzi z tymi zielonymi oczami? I tym, że mówi do mnie *Emerald* zamiast po imieniu?

Troy przewraca oczami, spogląda na mnie z ukosa i uśmiecha się w lekko przerażający sposób. Zupełnie jakby krył przede mną jakąś szatańską tajemnicę. Cholera no, już sama nie wiem, co o nim myślę. O nich wszystkich!

— Powiedzmy, że Vincent ma słabość do szmaragdów.

— Dlatego kupił mi tyle biżuterii?

— Dlatego cię porwał. Byłoby fajnie, gdyby to był koniec przesłuchania, skarbie.

Podnosi się z miejsca i przeciąga rozleniwione mięśnie, by chwilę później podejść i pochylić się nade mną.

— Lubisz Vincenta? Tak naprawdę?

— Lubię.

— To dobrze, Valerio, to wręcz zajebicie.

Nie komentuję.

Godzinę później stoję przed ogromnym hotelem, czekając, aż mój towarzysz podjedzie po mnie samochodem. Widzę w oddali mój wymarzony Golden Gate i aż drzę z ekscytacji! Od zawsze chciałam stanąć na tym moście, a dzisiaj jestem tego tak bliska, że aż nie dowierzam. To niesamowite: móc spełnić marzenie. Cholera, ono jest przede mną. Na wyciągnięcie ręki!

— Halo! — krzyczy Troy. — Wsiadasz, księżniczko?

Parskam śmiechem na jego słowa i kręcę głową, by wrócić do rzeczywistości. Podchodzę do samochodu, tym razem to jakiś obrzydliwie drogo wyglądający kabriolet. Nie mam pojęcia, jaka to marka, ale jest krwistoczerwony. A ja lubię czerwony kolor, bo dobrze mi się kojarzy. Na przykład z Golden Gate.

Zajmuję miejsce pasażera i zapinam pas, a mój kierowca rusza z piskiem opon. Jestem pewna, że robi przedstawienie tylko dlatego, że wozi się czymś tak luksusowym. Troy jest dużym dzieckiem i nawet nie próbuje się z tym kryć.

— Dokąd jedziemy? — pytam po kilkunastu minutach jazdy w całkowitej ciszy.

— Musimy kupić ci sukienkę na wieczór, bo Vincent chciałby cię zabrać na wycieczkę.

— Mam przecież jakąś sukienkę w bagażu. — Krzywię się na myśl o zakupach z Troyem. — Nie potrzebuję kolejnej, zapewnił mi garderobę na całe życie, po co więcej?

— Zapytaj Vincenta! Ja, jak już mówiłem, jedynie wykonuję rozkazy, kochanie.

No cóż. Z rezygnacją wyciągam telefon i od razu wybieram numer Vincenta. W zasadzie mam ochotę usłyszeć jego kojący głos. Pytanie o sukienkę jest tylko pretekstem.

— Emerald — mówi po pierwszym sygnale. — Wszystko w porządku?

— Tak, w jak najlepszym — przyznaję zgodnie z prawdą i głupio się uśmiecham. — Chciałam zapytać, po co mi sukienka na wieczór.

— Po prostu chciałbym, żebyś miała na sobie sukienkę, Troy wie jaką.

Przewracam oczami na tę gównianą odpowiedź.

— Mam sukienkę w bagażu, nie musisz mi kupować kolejnej.

— Ale chcę, żebyś miała tę konkretną, którą kupisz dzisiaj, to dla mnie ważne — oznajmia poważnym głosem. — Możesz to dla mnie zrobić, Emerald?

— Mogę. Ale nie powinienesz wydawać na mnie tyle pieniędzy — zauważam lekko kąśliwie, na co Troy obok mnie przewraca oczami. — Kiedy wrócisz?

— Jak skończę, myślę, że do czterech godzin będę przy tobie.

— No dobrze — wzdycham. — W takim razie do zobaczenia.

— Nie — mruczy zachęcająco. — Jeszcze się nie rozłączaj. Rozmawiaj ze mną. Jak się czujesz?

Wiem, że nawiązuje do sytuacji z rana, i jest to co najmniej krępujące. Uprawialiśmy seks, było świetnie i po tym jeszcze lepiej, ale, do cholery, dlaczego mam z nim o tym rozmawiać przy Troyu? Tym bardziej, że nie potrafię kłamać i nie umiem powstrzymać rumieńców, które wpychają się na moje cholerne policzki.

— Jest świetnie, Vinnie — wzdycham. — A ty jak się czujesz?

— Wyśmienicie, zwłaszcza teraz, gdy wiem, że akurat się zarumieniłaś, kochanie.

Triumf w jego głosie jest jak mentalny rozbieg i uderzenie czołem w ścianę. Moje zażenowanie właśnie osiągnęło nowy poziom i jest to cholernie głupie. A uśmiezek Troya już w ogóle mnie powala na pieprzone łopatki!

— Nie lubię cię — buczę.

— Wiem, bo mnie uwielbiasz. — Parska śmiechem.

Mimo że naprawdę chcę być poirytowana, jego śmiech odbija się echem od mojego serca i całkowicie psuje mi humor. Uśmiej się jak kretyńka, zamiast się stawiać, i odchylam głowę. Cholerny Vincent. Z cholernym śmiechem.

— Chyba ty mnie.

— Zdecydowanie jest to prawda. Jesteś moim małym promykiem słońca, Emerald — mówi poważnie. — Jedyną radością w moim pochmurnym życiu.

Okej, zamieram. Patrę przed siebie i nie mam pojęcia, jak to skomentować. Co on sobie, do cholery, wyobraża, żeby tak mieszać w mojej biednej głowie? To jest, kurwa, niezdrowe!

— Powiedz coś.

— Nie mam pojęcia co — przyznaję. — Zaskoczyłeś mnie tym wyznaniem.

— Jesteś rozkoszna. Mój rozmówca wrócił, więc muszę cię jeszcze na chwilę zostawić z Troyem. Jego głos robi się matowy, przez co ja również spadam z szczęśliwego obłoczka na ziemię.

— Skoro musisz — wzdycham. — W takim razie do zobaczenia.

— Do później, kochanie.

Rozłączam się, nie mając nic więcej do dodania, i zaciskam powieki. Ten ciemnooki czubek za bardzo mnie do siebie przyciąga i zdecydowanie za bardzo mnie rozpieszcza. To, co się dzieje w moim życiu od chwili, gdy się pojawił, jest jak równoległa rzeczywistość. Mam pieprzone wszystko na wyciągnięcie ręki. Łącznie z szaleńczym, nieokiełznanym uczuciem, do którego zaczynam zmierzać. Gęsia skórka, czerwone policzki i to szarżujące serce w mojej klatce piersiowej... To jest szalone i nie skończy się dobrze, bo takie miłości nigdy nie kończą się dobrze.

Kochać niegrzecznego chłopca to jedno, ale... kochać niegrzecznego, dojrzałego mężczyznę — to zupełnie inna bajka.

Zakupy z Troyem są jak stanie pośrodku szalejącego żywiołu. Jeśli kiedykolwiek ktokolwiek powiedziałby mi, że porywacz może mieć takiego bzika na punkcie mody, wyśmiałabym go. Troy jest jak dzieciak z ADHD, nie wiadomo, jak się z nim obchodzić i co zrobić, żeby go zatrzymać. Ekscytacja i szalejący w nim żywioł są niepokojące.

Kupiłam dwa zestawy zielonej bielizny, którą musiałam mierzyć, ale nie wolno mi było się pokazać nikomu, łącznie z ekspedientką. Poza tym wysokie szmaragdowe szpilki na szklanym słupku, w którym gdzieś przebijają się niewielkie szmaragdy, oraz długą sukienkę z cienkiego tiulu w kolorze — niespodzianka! — szmaragdowym, którą przeplatają niewielkie różyczki. Od pasa w górę materiał jest cienki i zdobią go naszyte różyczki, które maskują piersi. Rękawy ma długie i cóż więcej mogę powiedzieć? Jest przepiękna, delikatna i cholernie niesamowita. Jej cena przekroczyła moje najśmielsze oczekiwania i nadal, siedząc od dłuższej chwili w kawiarni, nie mogę dojść do siebie. W ciągu trzech godzin Troy wydał około dwustu tysięcy dolarów. Pieprzone dwieście tysięcy! Nie mieści mi się to w głowie.

— Valerio, wszystko w porządku? Powiedziałem coś nie tak? — pyta Troy i kuca przede mną.

Musi to wyglądać dziwnie, bo jesteśmy w kawiarni wśród ludzi, a on kuca przede mną z przejętą miną, pocierając moje kolano.

— To bardzo prawdopodobne, że wydałeś dzisiaj więcej niż ja przez całe swoje życie — mówię ostrożnie. — Po co ta sukienka i buty ze szmaragdami? Przecież to jest niedorzeczne!

— Vincent ma obsesję na punkcie szmaragdów. — Uśmiecha się głupkowato, przez co piorunuję go wzrokiem. — Przecież wiesz, że te kamienie są dla niego ważniejsze niż ważne.

Przewracam oczami na jego wytłumaczenie i wbijam się mocniej w fotel. Jestem skonsternowana z powodu tej dziwnej wariacji u Vincenta. Dlaczego ma taką obsesję na punkcie tych kamieni? To głupie, do jasnej cholery!

— Valerio, nie ruszaj się — rzuca nagle spiętym głosem Troy. — Nie patrz nikomu w oczy.

— Co? — Krzywię się. — O czym ty gadasz, Troy?

— Za nami siedzi gość, który ma z Vincentem porachunki, a ty możesz się stać idealnym narzędziem zemsty. Nie patrz w oczy nikomu poza mną i nie odzywaj się do nikogo.

— Przecież siedzisz naprzeciwko mnie, więc o co ta afera, co? — jęczę. — Nikt mi nic nie robi, skoro tutaj jesteś. Prawda?

Przyciągam kubek bliżej siebie i przygryzam wargę. Nie rozumiem, co się dzieje, i nie wiem, czy chcę to zrozumieć.

— Kurwa, idzie tutaj — warczy Troy i gwałtownie wstaje.

Zasłania mnie całym swoim ciałem i spina się, przez co jego ramiona robią się większe. Jedna z jego dłoni drży, a druga zaciska się na moim fotelu. Do cholery, co się dzieje?! Spoglądam na niego, ale on jest wpatrzony w punkt za mną.

— Troy! — odzywa się ktoś z entuzjazmem. — Kopę lat, mój drogi.

— Nie taką znów kopę — prychna zimno, przez co wytrzeszczam oczy. — Masz jakiś interes do Vincenta? Jak widzisz, nie ma go.

— Interes? Nie, skądże. Chciałem po prostu zobaczyć małą istotę, którą chowasz w fotelu obok siebie. Może się do was dosięgnę, co? Na pewno nie będzie miała nic przeciwko. Utrzymam dystans, bo obaj wiemy, że nie warto zadzierać z Visserem i jego nieobliczalnym przyjacielem. Bywają szaleni — wzdycha.

— Nie zaczynaj, Milo. Nie komplikuj sobie niepotrzebnie życia, nie wolno ci się do niej zbliżać.

— Vincent powiedział, że nikt nie może dotykać tego, co jest jego, ale nie było mowy o rozmowie — śmieje się upiornie. — Przecież nic jej nie zrobię, uspokój się. Jesteśmy na ścieżce pokoju, prawda?

— Myślę, że Troy wyraził się wystarczająco jasno, by dotarło nawet do ciebie, Milo — warczy napiętym głosem sam Vincent.

Pojawia się obok mnie, po drugiej stronie fotela i śmiało, bez jednego spojrzenia łapie mnie za ramię. Za cholerę nie wiem, o co chodzi, a fakt, że ludzie wcale a wcale nie zwracają na nas uwagi, jest niemożliwie niepokojący. Trzech barczystych facetów mierzy się spojrzeniami i nikt nie reaguje! To jest dziwne.

— Vincent! Myślałem, że już przegapiłem twoją wizytę, a tu proszę, spotykamy się na kawie! Czy to nie jest dar od losu? Z pewnością jest. Przedstaw mi swoją przyjaciółkę, wszyscy chcą w końcu móc z nią porozmawiać.

— Jestem przekonany, że wyraziłem się dość jasno ostatnim razem. Każda próba kontaktu z nią może pozbawić was głów — prychna Vince. — Nikt nie może się zbliżać.

Jego mrozący krew w żyłach głos bardzo mocno kontrastuje z ciepłem, jakie wydziela jego dłoń na moim ramieniu.

— Jest bardzo ładna — stwierdza nieznany mi mężczyzna. — Z daleka naprawdę imponująca, pozwól mi przyjrzeć się jej z bliska, na pewno mnie również oczaruje swoim pięknem. Szef z chęcią posłucha o księżniczce, którą w końcu upolowałeś.

— Nie testuj moich granic, Finley — warczy morderczo. — Doskonale zdajesz sobie sprawę z faktu, że ich nie mam. A Emerald jest nietykalna.

— Nie będę jej dotykał — prychna. — Jeszcze mi życie miłe.

— I nie będziesz z nią rozmawiał ani na nią patrzył — postanawia Vincent.

Kieruje swój ciemny wzrok na mnie, a ja krzywię się, bo nie mam pojęcia, co się tu dzieje. Kim jest ten mężczyzna i co w tej układance robię ja? Nie rozumiem i cholernie mnie to wkurwia. Vincent

uśmiecha się do mnie bez cienia radości i delikatnie przesuwając kciukiem po mojej szczęce. Jego spojrzenie łagodnieje.

— Jak się czujesz? — pyta.

— Skonsternowana? — Krzywię się. — Nie rozumiem, co jest grane.

— Nie kłopotz się tym — mruczy. Troy rusza w kierunku naszego niezapowiedzianego gościa i po krótkiej wymianie warknięć odchodzą. Vincent w tym czasie nie przerywa ze mną kontaktu wzrokowego. — Zabiorę cię do hotelu i pójdziemy pod prysznic, a na dwudziestą jesteśmy zaproszeni na bankiet charytatywny. Zechcesz mi towarzyszyć?

— Więc to na bankiet zamierzasz mnie tak wystroić? — Marszczę nos. — Co to za bankiet?

— Będzie zbiórka pieniędzy, a do kupienia będą przedmioty ze szmaragdami. Stanley ma przyjaciela, który załatwił specjalne wejściówki — mówi, próbując ukryć figlarny uśmieszek, który ciśnie mu się na usta. — Chciałbym przekazać pieniądze na fundację i przy okazji kupić ci coś ładnego. Znowu?!

— Zdajesz sobie sprawę z tego, ile pieniędzy wydał dzisiaj na mnie Troy? Trochę jakby dużo — prydam. — Nie chcę kolejnych wydatków, niczego nie potrzebuję.

Podnoszę się powoli z fotela i mrużę oczy. Po co te wydatki?

— Nie analizuj tego, Emerald. — Przewraca oczami. — Mam tyle pieniędzy, że mógłbym ci kupić gwiazdozbiór.

Tym razem uśmiecha się jak typowy cwaniak i delikatnie zniża się do mojego poziomu. Jego czarne oczy są wbite w moje z mocą, przez którą wszystko nagle znika. Jest tylko on i to, że się uśmiecha, a jego tęczęwki się iskrzą. Czy on mnie właśnie czaruje?!

— Chciałabyś gwiazdozbiór? — szepcze.

— Jesteś idiotą — komentuję. — I w ogóle cię nie rozumiem.

Odwracam się w stronę, w którą uciekł Troy i moje potencjonalne zagrożenie, ale nigdzie ich nie ma. W kawiarni jest spokój i nikt, dosłownie nikt nie zwraca na nas uwagi.

— Gdzie się podział Troy? — pytam i wracam spojrzeniem do Vincenta. — I ten koleś?

— A czy to ważne? — Przygryza wargę. Co za cholerny manipulant. — Jestem ja, to niewystarczające?

Zniecierpliwiona podnoszę wzrok do nieba. Za dużo próbuje przede mną zataić.

— Żądam wyjaśnień.

— A ja požądam ciebie — mruczy i ujmuje mnie za policzki. — Cały czas o tobie myślę, wiesz?

Uśmiecha się rozbijając i zamyka mi usta długim pocałunkiem. Jego wargi poruszają się powoli, wręcz leniwie, i beczelnie mieszają mi w głowie. Łapię materiał jego ciemnej koszuli w palce lewej dłoni i uśmiecham się. Kocham sposób, w jaki jego słodkie wargi łączą się z moimi. A przede wszystkim kocham to, jak wiele uczuć wkłada w tę pieszczotę. Przekazuje mi niewiarygodnie dużo swojego ciepła.

— Cholera — mruczy. — Stop, bo zaraz cię pożrę. — Śmieje się.

Odsuwa się niechętnie i na zakończenie całuje mnie w czoło. Moje serce reaguje na niego zdecydowanie za mocno i za szybko.

— Jesteś głodna?

— Nie, nadal trawię makaron, który wcisnął we mnie Troy.

— Mówiłem mu, że ma cię przypilnować z jedzeniem. Jesteś bardzo chuda.

— Nie jestem chuda, jestem szczupła. — Przewracam oczami. — Ty też nie wyglądasz jak fan dużej ilości jedzenia.

— Ja muszę trzymać formę, żeby zawsze zdążyć na czas. Na każdym kroku czai się jakiś przygłup, który będzie do ciebie startował, a moim zadaniem jest ich unieszkodliwiać. — Uśmiecha się tajemniczo. — W końcu sama stwierdziłaś, że jesteś moja.

Wsuwa pasemko moich włosów za ucho i delikatnie muska ugiętymi palcami mój policzek. Zbyt mocno na mnie działa, gdy patrzy w tak rozmarzony sposób.

— To transakcja wiązana, więc oczekuję ciebie w zamian — wypalam.

Jego spojrzenie maści mi w głowie.

— Skarbie, jestem tylko twój od chwili, gdy *pierwszy raz* spojrzałaś mi w oczy — mruczy. — Od tamtego momentu pożerasz wszystkie moje myśli i chwile.

— To dlatego mnie porwałś? Jednak nie chodzi o ciasta? — Parskam śmiechem. — Tylko o zauroczenie?

— Nazywaj to, jak chcesz. — Nonszalancko wzrusza ramionami. — Zerwiemy się z bankietu, gdy zrobi się nudno, i pójdziemy na spacer przez Golden Gate. Co ty na to?

— Jeśli w grę wchodzi Golden Gate, biorę w ciemno.

— Doskonale, skarbie.

Puszcza mi figlarnie oczko, mocno całuje mnie w policzek i odsuwa się, a następnie wskazuje wyjście.

Czy to wszystko nie wydaje się zbyt piękne i nierealne?

Rozdział 21

Piętnaście po piątej idę do łazienki i biorę zimny prysznic, który boleśnie mrozi moją skórę. Piszczę pod wpływem szoku termicznego i zaraz zaczynam się śmiać. Mimo wszystko nie zmieniam temperatury. Potrzebuję się otrząsnąć, bo Vincent trafia do mojego serca zdecydowanie za szybko i za mocno. Gdy jest blisko, całkowicie głupieję i tracę zdrowy rozsądek. Zamykam się w świetle, w którym rządzi jego imię, i nawet nie umiem spytać o nurtujące mnie rzeczy! Cholerny Troy miał rację, mówiąc, że powinnam zadawać pytania Vincentowi, a nie jemu.

— Emerald? — odzywa się zza szyby mój prześladowca.

— Tak?

Wyłączam wodę i głośno wzdycham, bo, cholera, jest mi kurewsko zimno. Drzwi do kabiny otwierają się powoli i staje przede mną nagi brunet z bardzo wymownym spojrzeniem.

— Mogę dołączyć? — pyta.

Mierzy mnie wzrokiem, beczelnie zatrzymując głodne spojrzenie na moich zakolczykowanych piersiach. Jego penis rośnie z każdą sekundą i pragnę się uderzyć za to, że nie umiem oderwać od niego wzroku. Moje myśli stają się zdecydowanie za bardzo sprośne. Powinnam patrzeć mu w oczy, a nie na genitalia.

— Możesz? Nie wiem. — Kręcę głową, by jakoś się opamiętać. — Chyba to będzie niebezpieczne.

— Dlaczego?

Wprasza się do środka i zamyka kabinę, przez co czuję się jak w klatce. Moje zmysły wrzeszczą, że go pragnę, ciało aż się rwie do niego, a mózg walczy z pożądaniem i... przegrywa z kretesem. Cholerny Visser z cholernym penisem na wolności. I z tym swoim błyszczącym spojrzeniem. Nożeż kurde.

— Bo im ciaśniej, tym bardziej cię pragnę. — Zamykam oczy i odchylam głowę.

— Pragniesz mnie, Emerald?

Jego zaskoczony ton nijak się ma do gwałtowności, z jaką przysuwa się i przyciska moje ciało do zimnej szyby. Twardy penis wbija się w mój brzuch, a gorące dłonie odnajdują moje pośladki i ściskają je boleśnie. Przegrałam.

— Przeraza mnie to, jak szybko tracę dla ciebie głowę — mówię i zaciskam powieki. — Przeraza mnie to, jak bardzo się uzależniam od twojej obecności, i przede wszystkim przeraza mnie to, że masz jakieś szemrane interesy i możesz kiedyś za bardzo oberwać. Nic o tobie nie wiem, a zaczynam się głupio za...

Nie kończę. Vincent gwałtownie łączy nasze wargi i podnosi mnie. Jestem zmuszona opleść go nogami w pasie, przez co jego sztywny penis dotyka mojej waginy. Czuję w swoim najwrażliwszym miejscu, jak drży, i nie umiem powiedzieć sobie „stop”.

Oplatam dłonie wokół jego szyi i pogłębiam pocałunek, nadając mu jeszcze szybszego tempa. Wszystko dzieje się jak za mgłą. Każdy mój ruch jest wołaniem o uwagę Vincenta. Chcę go mieć jak najbliżej siebie i jak najwięcej. Chcę go całego. Tylko dla mnie.

— Mój mały promyczku słońca — mruczy w moje wargi, gryząc je brutalnie. — Mogę w ciebie wejść?

Wsuwa między nas dłoń i kieruje swojego twardego członka prosto w moje ociekające pożądaniem wejście. Kiwam głową na tak, bo nie potrafię wydobyć z siebie głosu. Moje wargi przywierają do jego, gdy jednym mocnym ruchem zatapia się w moim spragnionym wnętrzu. Jęczę z przyjemności, która obezwładnia mnie wraz z uczuciem wypełnienia, i wplatam palce prawej ręki w jego miękkie włosy.

— Zrób to mocno — szepczę i wciągam w usta jego dolną wargę. Ssę ją, momentami lekko przygryzając, i uśmiecham się, gdy w końcu zaczyna się poruszać. Cofa się, by tkwiła we mnie jedynie jego żołądź, i zaraz wbija się mocno i szybko, aż po samą podstawę. — O tak — sapię, gdy nieprzerwanie powtarza swoje ruchy. — Właśnie tak.

— Jesteś całym moim światem, Emerald — mruczy, nie zatrzymując się nawet na moment.

Nie analizuję jego słów, bo przyjemność, którą mi daje, jest zbyt rozpraszająca. Uwielbiam to, z jaką łatwością moje ciało go przyjmuje. Jego penis jest duży, większy niż u mojego poprzedniego partnera, a mimo to wchodzi bez najmniejszego problemu. Jestem tak mokra i podniecona, że bardziej się, kurwa, po prostu nie da.

Poruszamy się w doskonałej harmonii i tym razem kończymy równocześnie.

Wychodzę z łazienki w pełnym makijażu, z włosami wystylizowanymi na tak zwany artystyczny rozpiardol i wzdycham pełną piersią. Mam dziwne przeczucie, że dzisiejszy dzień skończy się jakoś źle. Nie wiem, skąd mi się to bierze, i bardzo mnie to frustruje.

Wchodzę do sypialni i zastaję w niej Vincenta w białych bokserkach w czerwone serduszka. Leży z rękami założonymi za głowę i ma zamknięte oczy, przez co wygląda niemożliwie słodko i apetycznie. Opieram się o framugę i patrzę. A raczej bezczelnie się gapię. Na jego włosy roztrzepane po całej głowie, gęste brwi i wachlarze czarnych rzęs, prosty nos i ten lekki zarost, który szczerze uwielbiam. Cholera, jeszcze te miękkie malinowe wargi. A po wargach szyja, tors i brzuch. Całe jego ciało. Cały on. Kurwa, Val, ogarnij się.

— Emerald, czuję, że się na mnie gapisz — wzdycha z rozbawieniem. — Nie musisz tylko patrzeć, możesz dotykać, nie krępuj się.

— Nie mam czasu na zabawę, muszę się ubrać i ty też powinienesz — zauważam kąśliwie, chcąc zatuszować swój humor. — Jest już późno.

— Możemy wejść, kiedy chcemy. To, co zamierzam wylicytować, będzie prezentowane jako ostatnie, więc nie musimy się spieszyć.

— A co chcesz wylicytować?

— Nie powiem ci.

Otwiera leniwie oczy i przesyła mi szeroki uśmiech, od którego miękną mi kolana. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje. Nie wiem, gdzie się podziały moja stanowczość i niezależność, gdzie moje cholerne własne zdanie i gdzie cokolwiek z tej mnie sprzed kilku tygodni. Vincent skutecznie robi mi pranie mózgu, a ja nie umiem tego zatrzymać, bo jest mi z nim zdecydowanie za dobrze. Rozpieszcza mnie, przyciąga do siebie i daje tak wiele ciepła i przyjemności, że moje szare komórki wyjeżdżają na urlop. To wszystko jest chore. My jesteśmy chorzy.

— Nad czym tak intensywnie myślisz, Emerald? — pyta po dłuższej chwili.

— Zastanawiam się nad swoim życiem — przyznaję, wzruszając ramionami. — Jestem straszną kluchą przy tobie, wiesz?

— W jakim sensie?

Przechyla głowę i marszczy czoło w niezrozumieniu. W sumie nie wiem, czy to dobry pomysł, by poruszać ten temat akurat z nim. Ale z drugiej strony rozmowa z Vincentem może być pomocna w zrozumieniu... naszej relacji?

— No w sensie, że ja nic nie robię — tłumaczę. — Siedzę w domu i się lenię albo siedzimy razem i lenimy się razem. Teraz jest bankiet, na którym mam być tylko twoją ozdobą czy czymś. To wszystko jest takie jakieś... dziwne.

— Przytłaczam cię?

— Nie wiem — wzdycham. Odpycham się od ściany i powoli kieruję się w jego stronę. Okryłam się ręcznikiem, pod którym mam jedynie koronkowe majtki. — Chyba trochę tak jest. Nic o tobie nie wiem.

— Nie potrzebujesz mojej przeszłości, by być moją przyszłością — mówi z pewnością siebie, uśmiechając się w rozbrajający sposób.

Staję przed nim z miną wyrażającą zaskoczenie i nie wiem, co powiedzieć. O co mu chodzi z tą *przyszłością*? Czy on naprawdę chce budować ją właśnie ze mną? Ma względem nas tak dalekie plany? Czuję się... zagubiona.

— Potrzebuję twojej przeszłości, żeby cię poznać. — Krzywię się, gdy jego mina tężeje. — Jak mogę cię poznać, skoro nic o sobie nie mówisz? Znamy się kilka tygodni, przywiązujemy się do siebie,

a przynajmniej ja od ciebie, i tak naprawdę nic o tobie nie wiem, Vincent. Jesteś dla mnie zamkniętą księgą i dodatkowo robisz jakieś nielegalne rzeczy, które czasem odbijają się na twoim zdrowiu. To są ważne szczegóły w twoim życiu, o których powinnam być poinformowana. Nawet nie wiem, co lubisz robić w wolnym czasie!

— Patrzeć na ciebie. — Unosi wyzywająco brew.

Idiota. Przewracam oczami, mierząc go nieustępliwym spojrzeniem.

— Usiądź obok mnie i pytaj, o co tylko chcesz, Emerald. Daję ci dziesięć pytań, każde za odrobinę przyjemności — mruczy. — Do dzieła.

Niepewnie zajmuję miejsce obok niego i pochylam się, mrużąc podejrzliwie oczy. Jest zrelaksowany i w ogóle nie wydaje się przerażony tym, że chcę wyciągnąć z niego informacje. W zasadzie wygląda, jakby bardzo chciał się przede mną odsłonić.

— Czym się zajmujesz?

— Mam spore udziały w kopalni szmaragdów, które odziedziczyłem po dziadku. Jestem też biznesmenem handlującym różnymi rzeczami wraz z przyjacielem, a poza tym od śmierci dziadka zajmuję się czymś niestandardowym. Poznasz moją niecodzienną profesję, kiedy pojedziemy do Denver i zobaczysz mojego kota.

Uśmiecha się przebiegle, lekko upiornie i klepie się palcem po policzku. Żąda zapłaty za informacje i szczerze mnie to bawi. Całuję go krótko i śmieję się, bo momentami jest naprawdę uroczy. Bardzo go lubię. Naprawdę bardzo go lubię.

— Twoje ulubione miejsce na ziemi? Mówiłeś, że dużo podróżowałaś.

— Najbardziej urzekła mnie Tikehau.

— Gdzie to jest? To wyspa?

— To atol, czyli płaska wyspa koralowa. Tikehau jest jedną z najpiękniejszych w Polinezji Francuskiej. — Na moment uśmiecha się szeroko, po czym jego oczy robią się niepokojąco puste. — Byłem tam trzy miesiące i szczerze mówiąc, to był najlepszy, a zarazem najtrudniejszy okres w moim życiu.

— Najtrudniejszy?

— Byłem tam po śmierci dziadka.

— Musiał być dla ciebie ważny — szepczę.

Kładę się delikatnie obok niego i przytulam policzek do jego torsu. Serce bije mu szalenie szybko i dziwnie mnie uspokaja. Jego zapach i tajemnicza aura sprawiają, że czuję się przy nim naprawdę dobrze. Wiem, że mnie nie skrzywdzi. A przynajmniej takie odnoszę wrażenie.

— Był dla mnie wszystkim — dodaje spiętym głosem. — Dosłownie wszystkim.

— Dla mnie babcia jest wszystkim. — Uśmiecham się na myśl o staruszce w tym jej ukochanym fartuchu w stokrotki. — Nie znam mojego ojca i nie pamiętam za bardzo mamy. Zmarła, gdy miałam sześć lat. Wychowała mnie babcia.

Vince obejmuje mnie ramieniem i ciężko wzdycha.

— Mnie wychowywali dziadek i matka. Ojca nigdy nie widywałem, zwykle siedział w biurze, a gdy był w domu, nawet ze mną nie rozmawiał. Zginął rok temu w wypadku samochodowym — wzdycha.

— Nie chciałam wyciągać przykrych wspomnień — szepczę. — Przepraszam.

— Nic się nie stało. — Śmieje się bez entuzjazmu. — Jeśli chcesz mnie poznać, powinnaś wiedzieć takie rzeczy. Kiedyś wyciągniesz ze mnie wszystko, to nieuniknione, jeśli nie postanowisz ode mnie uciec.

— Dlaczego wracasz po swoich podróżach z ranami na ciele?

— Bo poza byciem biznesmenem z ogromnym majątkiem jestem również mściwym i bezwzględny potworem. — Chichocze. — Mam dużo za uszami i bardzo bym chciał, żebyś nigdy nie musiała konfrontować się z konsekwencjami mojej przeszłości. Zależy mi na twoim zaufaniu.

— Ufam ci.

— Oboje wiemy, że jest to wymuszone, Emerald. Może i mnie trochę lubisz, ale zapewne ten nieszczęsny syndrom sztokholmski najmocniej miesza ci w głowie. Nie chciałbym, żebyś się mnie bała.

— Musiałbyś mnie wypuścić i zniknąć na kilka dni, żebym mogła jednoznacznie określić, czy

naprawdę jest to syndrom, czy po prostu... cię lubię.

— Chcesz tego? — Spina się.

Jego ciało kamienieje, a bicie serca przybiera na prędkości niczym wyścigówka. Boi się? Czy Vincent Visser się boi, że go zostawię!? Cholera.

— Chciałabym wrócić do pracy i do znajomych. Spędzać czas z przyjaciółką i przede wszystkim z babcią, bo jest trochę chorowita. — Wzdycham. — Ale z drugiej strony tak mnie rozleniwileś, że nie chce mi się nic, kompletnie nic, i to jest naprawdę przerażające.

— Nie chcesz mnie w swoim życiu — stwierdza beznamiętnie.

Krzywię się i powoli unoszę, by spojrzeć na niego jak na skończonego kretyna. On... naprawdę jest zawiedziony. Albo smutny? Albo zły? Trudno określić po jego obliczu.

— Skąd ten głupi wniosek?

— Nie wymieniłaś mnie w zachciankach.

Jego głos jest obrażony. Co za kretyn.

— Myślałam, że to oczywiste, że będziemy się spotykać — mówię jak do upartego dziecka i uśmiecham się szeroko. — Tak normalnie, jak ludzie w naszym wieku... Mógłbyś zapraszać mnie na randki i czasem u mnie nocować, wiesz... — Przygryzam wargę. — Jakieś głupie podchody i teksty na podryw typu: „Gdybyś była kanapką w McDonald’s, to nazywałabyś się McBeauty”.

Parskam śmiechem, a Vincent razem ze mną. Jego humor się poprawia, więc podnoszę się, rozwiązuję ręcznik i ciskam na podłogę, a potem przerzucam nogę nad jego udami i siadam. Pochylam się, układając dłonie na poduszce po obu stronach jego głowy, i wbijam wzrok w jego błyszczące oczy.

— To było bardzo głupie, Emerald — mruczy.

— Ale cię rozbawiło. W jaki sposób zagadałbyś do mnie na przykład na imprezie? — pytam z autentycznym zaciekawieniem.

Jego wzrok na moment przenosi się na moje zakolczykowane piersi, ale nim zdążę go upomnieć, już patrzy mi w oczy. Pociemniały mu tęczęwki.

— Jestem słaby w takich rzeczach. Zmusiłbym cię do wypicia drinka, a później zrobiłbym to samo, co już raz zrobiłem. Przyszedłbym do twojej pracy, zabrałbym cię na stek, a na koniec wywiózłbym do Miami. To był mój plan od chwili, gdy cię znalazłem.

— O co chodzi ze szmaragdami?

— Odpowiedziałem na tyle pytań i żadnej nagrody? No nieee... — Kręci głową. — Tak się nie bawimy, skarbie.

Parskam śmiechem i pochylam się, by złożyć na jego ustach krótki pocałunek. Jeden to za mało, więc cmokam go trzy razy i dopiero się prostuję.

— Twoje oczy są jak najprawdziwsze szmaragdy. W zależności od emocji, jakie odczuwasz, przez twoje tęczęwki przechodzi każdy znany mi odcień tego kamienia. Jesteś jedyną osobą, u której widziałem coś tak pięknego.

— Ale tak ogółem ta twoja obsesja to skąd się wzięła?

Uśmiecha się tajemniczo, przechylając głowę, i łapie mnie w tali.

— Mój dziadek miał kopalnię i te kamienie były całym jego życiem, dopóki nie spotkał swojej miłości. Opisy jej oczu *pasują* do twoich. Był w tej kobiecie zakochany tak bardzo, że pozwolił jej odejść, byle była bezpieczna. Te kamienie pojawiają się w moim życiu bezustannie, są moją... bezpieczną przystanią? Chyba mogę tak stwierdzić. Mają dla mnie ogromną wartość sentymentalną.

— A ja w tym wszystkim jestem...

— Jesteś...

Znów się spina, a jego serce gwałtownie przyspiesza. Dodatkowo zaciska powieki i odwraca ode mnie głowę. Nie wiem, jak to zinterpretować, więc pochylam się nad jego szyją i lekko całuję rozgrzaną skórę. Bardzo lekko i czule, co na pewno do niego przemawia. Chcę dać mu trochę mojego ciepła i zrozumienia, bo doceniam jego szczerść. Ale on się dystansuje.

— Zbieraj się, Emerald, musimy jechać — oznajmia obojętnie.

Zrzuca mnie z siebie i podnosi się, a następnie schodzi z łóżka i kieruje się do łazienki. Jestem tak skonsternowana, że nie wiem, jak zareagować. Co tym razem mu odwaliło?!

Rozdział 22

Bal, na który przyszedliśmy, jest ogromną imprezą charytatywną na rzecz chorych dzieci. Ludzi jest mnóstwo, a mój partner, gdy tylko wszedł na salę i zobaczył Stanleya, zniknął. Rozpłynął się w powietrzu i skazał mnie na swojego goryla, który ma dziwny humor. Bo w ogóle się do mnie nie odzywa. A ja nie wiem, dlaczego.

Siedzę przy czteroosobowym stoliku z brunetem i popijam wino — tylko tyle mogę zrobić. Obserwowanie ludzi mnie nie kręci, są tutaj same szychy i nikogo nie kojarzę. Licytują przedmiot za przedmiotem, a ja nawet w to nie mogę się włączyć, ponieważ nie mam pieniędzy. Jestem zmuszona siedzieć jak kretynka i cieszyć się, że Stanley mnie nie zostawił. Wkurza mnie ta gówniana sytuacja.

— Gdzie jest Vincent? — pytam zirytowana.

— Na tego typu imprezach jest zawsze z Zeną — odpowiada mi obojętnie Stanley.

— Bo?

— Bo załatwiają interesy, szukają inwestorów i świetnie się bawią, obserwując jak jastrzębie każdego, kto może zagrozić ich sprawom. — Spogląda na mnie znudzonym wzrokiem. — Nie podobają mi się te licytowane przedmioty.

Mnie się podobały kolczyki, ale jakaś pani wylicytowała je za dwadzieścia tysięcy dolarów. Nie miałabym z nią szans i przede wszystkim nie dałabym tyle za ozdobę do ucha.

— Zena jest przyjacielem Vincenta dłużej niż ty?

Naprawdę się nudzę.

— Tak, znają się od dziecka, mają wspólne bagno i nawzajem się w nim topią, by za chwilę podać sobie rękę.

Krzywię się, bo nie rozumiem tego porównania.

— Nie powiem ci — wyprzedza mnie. — To długa historia i każdy z nich musi opowiedzieć swoją część, bo i jeden, i drugi ma za sobą ciąg nieprzemysłanych, przykrych oraz złych doświadczeń, Val.

— A ktoś w końcu powie mi, po co ja tutaj tak właściwie jestem?

Irytuję się nie na żarty. Nie dość, że przyjechałam na tę licytację tylko po to, by na niej siedzieć, pijąc wino, to jeszcze nie wiem, o co, do cholery, znów poszło Vincentowi!

— Na licytacji czy w jego życiu?

Zaczepna nuta w głosie mojego towarzysza jest jak zapalnik. Mrużę oczy, chcąc wykrzyknąć swoją frustrację, ale nagle gasną wszystkie światła. Na podest, na którym cały czas stała osoba licytująca przedmioty, wychodzi siwowłosy staruszek o przemiłym uśmiechu. Starannie przystrzyżona broda i włosy zaczesane w tył wyglądają nienagannie. Jest ubrany w granatowy garnitur.

— Moi najdrożsi! — odzywa się. — Nadszedł wyczekiwany przez wielu z was moment, mianowicie ostatnia, najważniejsza licytacja na rzecz chorych.

Odstawiam kieliszek na stolik i zaplatam dłonie na piersiach, by podkreślić swoją frustrację. Stanley niestety ma to w głębokim poważaniu, bo jedynie złośliwie puszcza mi oczko. Ku mojemu nieszczęściu w końcu pojawia się Vincent. Znikąd tak właściwie. Siada na miejscu obok mnie z kamienną, niewzruszoną miną i bez słowa kładzie dłoń na moim udzie. Nie powiem, zaskakuje mnie to, ale nie przerywam milczenia. Nie ja je zapoczątkowałam.

— Ostatnią rzeczą, którą dziś prezentujemy do licytacji, jest wyspa Nananu-i-cake na Fidżi — mówi mężczyzna i odslania tablicę po swojej prawej.

Na sztaludze widnieje ogromne zdjęcie przedstawiające wyspę, a mnie zasycha w gardle. Vincent ściska moje udo mocniej i nie wiem, jak to interpretować. Nadal milczę. Zaczynam odczuwać niepokój.

— Nananu-i-cake jest wyspą jedyną w swoim rodzaju! — ekscytuje się prowadzący. — Mimo oddalenia od cywilizacji ma dostęp do internetu, telewizję satelitarną, generatory prądu oraz zbiornik wody pitnej o wielkości sześciuset tysięcy litrów. Ponadto oferuje pięć plaż, luksusową rezydencję z basenem i molo oraz domki dla gości. Cena wywoławcza to pięć milionów dolarów.

Kwota ścina mnie z nóg, mimo że to cholerna wyspa. Pięć milionów dolarów to suma, która nie mieści mi się w głowie.

— Sześć milionów — odzywa się pierwszy głos z sali.

No dobrze, jak widać tylko ja jestem biedna.

— Sześć i pół — dodaje kolejny.

— Osiem! — krzyczy jakaś kobieta.

Przekrzykują się zażarcie co sto tysięcy dolarów, aż mężczyzna z samego przodu podsumowuje ich szesnastoma milionami. Szczęka spada mi do podłogi.

— Szesnaście po raz pierwszy — mówi prowadzący. — Po raz drugi. Po raz...

— Dwadzieścia milionów — odzywa się Vincent i wstaje leniwie z miejsca.

Wzrok każdego z obecnych na sali, łącznie z rozczarowanym i wściekłym poprzednikiem, łąduje na naszym stoliku. Ja... już nawet nie wiem, co się dzieje. Prowadzący marszczy czoło, ale uderza po raz pierwszy, poprzedzając to słowami:

— Dwadzieścia po raz pierwszy. Dwadzieścia po raz drugi. Dwadzieścia po raz...

— Dwadzieścia pięć! — wcina się kolejny mężczyzna.

Vincent prycha pod nosem i przesuwając wzrokiem w lewo, na osobę, którą okazuje się barczysty szatyn. Wbija wzrok w mojego partnera i uśmiecha się wrednie. Po chwili jednak skupia się na mnie, ale nie trwa to długo. Vincent zasłania mnie swoim ciałem i bez cienia zawahania odzywa się głębokim głosem, zanim prowadzący zaczyna odliczanie:

— Trzydzieści milionów.

— Trzydzieści po raz pierwszy! Trzydzieści po raz dru...

— Trzydzieści jeden — znów odzywa się mężczyzna z lewej.

— Trzydzieści pięć — przebija go Vincent.

— Trzydzieści pięć po raz pierwszy! Trzydzieści pięć po raz drugi! Trzydzieści pięć po raz trzeci!

— krzyczy prowadzący. — Sprzedane! Brawa!

Oklaski rozbrzmiewają momentalnie, a mnie mdli. Vincent wydał właśnie trzydzieści pięć milionów dolarów na wyspę i... zrobił to bez zastanowienia.

— Panie Visser, zapraszam na scenę.

Brunet prycha i spogląda na Stanleya, nie zwracając uwagi na mnie i moją szeroko otwartą buzię. Zapewne wyglądam jak idiotka z takim wyrazem zaskoczenia na twarzy, ale nie mogę na to nic poradzić! Trzydzieści pięć milionów to inna, kurwa, galaktyka.

— Zero kontaktu — warczy Vince morderczym głosem, który stawia mi włoski dęba.

Stanley kiwa głową i zostajemy sami. Vincent idzie z wysoko uniesioną głową do sceny, wychodzi na nią i podaje dłoń prowadzącemu. Nie jestem w stanie się pozbierać. Ilość pieniędzy mnie przytłacza, a nawet powiedziałabym, że przeraża. Skąd on je, do chuja, ma?!

— Chciałem jedynie podziękować za zaproszenie — oznajmia mój ciemnooki mężczyzna do mikrofonu i kieruje intensywne spojrzenie prosto na mnie. Zamieram. — Znalazłem się tutaj z kimś, kto jest dla mnie wyjątkowo ważny, wręcz najważniejszy, więc od dnia dzisiejszego wyspa Nananu-i-cake nosi nazwę Emerald. — Uśmiecha się pusto. — Należy nie do mnie, a do kobiety, która od kilku tygodni sprawia, że moje życie znów ma jakikolwiek cel i sens. Dziękuję — mruga do mnie — za każdą sekundę, kochanie.

Jeśli byłam kiedyś skonsternowana, to nie mam pieprzonego pojęcia, co czuję obecnie. Drżę, nie mogę oderwać od niego wzroku, mam problem z oddychaniem. Cholerny Vincent kupił cholerną wyspę za cholerne trzydzieści pięć milionów dolarów i oznajmił, że jest ona dla mnie. I dobra, to jest rozpierdalające, mówiąc brzydtko. Ale reszta jego wypowiedzi, czyli to, że nadaje jego życiu sens, to po prostu jakiś kosmos. Nie mam pojęcia, co powinnam zrobić. Nie mam pojęcia, jak się chociaż uśmiechnąć. Jestem tak rozbita, że chciałabym się rozplakać. I nie wiem, jak sobie pomóc. Pragnę, żeby ten ciemnooki psychopata do mnie przyszedł i wytłumaczył mi, co właśnie zrobił, ale nie mam takiej możliwości, bo on schodzi ze sceny i nie zmierza do mnie, lecz w zupełnie innym kierunku. Chcę wstać i zacząć na niego wrzeszczeć, jednak nie mogę się ruszyć.

Spoglądam na Stanleya, ale on wydaje się równie mocno zaskoczony.

— Co, do kurwy? — warczę, bo naprawdę mam dość.

Stanley wybudza się z transu i spogląda na mnie skonsternowany.

— Nie przeklinaj — upomina mnie.

— Naprawdę? — warczę ostrzegawczo. — Naprawdę mówisz mi, że mam nie przeklinać?! W tym momencie?!

— Nie unos się, Cukierku. Co cię frustruje?

Otwieram usta i zamykam je od razu. Później znów otwieram i zamykam. I tak kilka razy, bo wręcz mnie zatyka.

— Czy on kupił już jakąś wyspę i rzucił takim wyznaniem ze sceny, że ciebie to nie zaskoczyło w żaden sposób? — Krzywię się.

— Nie, dotąd nie kupił nikomu wyspy.

— Czy ty ze mnie kpisz w tym momencie? — Zaciskam pięści i jedną z nich unoszę przed jego coraz bardziej rozbawioną twarz.

— Nie, dlaczego?

— Ten kretyn właśnie kupił mi wyspę za trzydzieści pięć MILIONÓW dolarów — jęczę. — I powiedział, że nadaje jego życiu sens! — Drzę, kiedy uświadamiam sobie, co znaczą te słowa. — Co, do cholery, się właśnie dzieje?! Stanley, do kurwy nędzy!

— Przecież wiesz, że jesteś dla niego ważna. — Przewraca oczami, jakbym to ja zachowywała się nienormalnie.

— Ale nie aż tak, kretynie!

— Dramatyzujesz — wzdycha.

— Gdzie on poszedł?

— Sfinalizować zakup, zmienić nazwę wyspy oraz ubijać interesy do zakazanego pokoju, w którym będzie pił wraz z Zeną.

— Aha?

— Te interesy są bardzo alkoholowe, więc będziesz musiała spędzić ze mną jeszcze trochę czasu. Przykro mi, że nie jesteś z tego powodu zadowolona.

Wydyma wargę, a ja się krzywię. Czy oni mają jakieś problemy psychiczne? Na pewno mają!

— Nie odzywałeś się do mnie prawie w ogóle przez cały ten czas, jak tutaj byliśmy!

— Bo nie mogłem. Vincent jest strasznie spięty, odkąd tutaj jesteśmy. Nie wiem, co się między wami wydarzyło, ale to niepokojąco na niego wpłynęło. Jest nadgorliwy w kwestiach bezpieczeństwa i wręcz grozi wszystkim, że jeśli spadnie ci z głowy włos, wybije nas bez litości.

Uderzam płaską dłońią w czoło, ale nic to nie daje. On jest pojebany.

— Pogubiłam się w nim.

— A on w tobie. — Uśmiecha się lekko. — I to już dawno.

— Jesteście pieprzonymi dziwakami — podsumowuję, nie rozdrabniając się.

— Dzięki.

Łapię swoje wino i dopijam jednym haustem. Jestem wykończona psychicznie.

Dwie i pół godziny później mój humor jest porównywalny z pustą butelką szampana. A raczej identyczny, bo wlałam w siebie siedemset mililitrów moëta. Cudownie się czuję, wręcz przebosko.

— Nie wiem, ale mam wrażenie, że się za chwilę porzygasz — komentuje rozbawiony Troy ze szklanką szkockiej w dłoni.

Jest w wyśmienitym humorze, tak samo jak Stanley. Obaj raczą się alkoholem, a małe ilości wypijanych trunków rekompensują sobie słodkościami, które mamy na stole. Zjedli wszystkie możliwe ciasta z tac, zostawiając dla mnie jedynie kawałek tortu, który mi nie zasmakował. Cóż, życie bywa niejednokrotnie przebiegłą suką.

Rozglądam się wokół i wzdycham z wyraźną sugestią, którą moi towarzysze chamsko lekceważą. Jestem zmęczona tym dniem i mam za sobą o wiele za dużo emocji jak na tak krótki czas. Pragnę iść do łóżka i zapomnieć, bo jestem przytłoczona.

— Valerio, widzisz tego gościa? — pyta szatyn i wskazuje mężczyznę w szarym garniturze, który niebezpiecznie szybko idzie w naszym kierunku.

— Widzę.

— Nie wolno ci spojrzeć w jego oczy — warczy Stanley.

A ja głupieję jeszcze bardziej.

Posłusznie spuszczam wzrok na swoje paznokcie pomalowane przezroczystym lakierem z drobinami i wzdycham. Potrzebuję od nich odpocząć.

— Vincent prosi, bym przyprowadził jego skarb do pokoju — oznajmia głęboki głos, a ja poznaję w nim tego, kto licytował się na końcu z moim partnerem.

— Nie wydaje mi się — odpowiada mu brunet po mojej lewej. — Przyszedłby sam.

— Jest kompletnie pijany — prycha.

— Więc Troy pójdzie z tobą i go przyprowadzicie.

Mężczyzna prycha, ale nie kontynuuje. Odchodzi wraz z Troyem, a ja unoszę wzrok i napotykam spojrzenie samego Vincenta, który trzyma kołnierz swojego rywała. Spotkali się w połowie drogi. Troy od razu ich rozdziela, a ja nie wiem, jak powinnam zareagować. Krzyczeć? Piszcząć? A może wstać i uciekać? Trudny wybór.

— O matko — jęczy zaintrygowany Stanley. — Zaczyna się kabarecik.

Parskam śmiechem, bo to ostatnie, czego bym się spodziewała. Nie powinien biec im na ratunek? Wbijam w niego niedowierzający wzrok i zaczynam się śmiać. Przy tych idiotach powoli odchodzę od zmysłów.

— No co? — furczy. — Patrz, jak się zapalił. Chce go zajebać wzrokiem.

— Przestań! — krzyczę. — To nie jest zabawne! Za chwilę się pobiją, a ty z niego kpisz.

— No sorry, ale Vincent jest nadpobudliwy! Dobra, idę tam — postanawia i patrzy na mnie twardo. — Siedź tu i się nie ruszaj, tak?

— No. — Przewracam oczami.

Brunet wstaje i odchodzi w stronę trójki mężczyzn, którzy robią niepotrzebne zamieszanie, a ja skupiam się na swoim telefonie. Mam kilka wiadomości, ale ich nie sprawdzam, za to wchodzę na Pinteresta. Lubię przeglądać obrazki, gdy nie wiem, co się dzieje. Odstresowuje mnie to, więc wpisuję w wyszukiwarkę *couple* i roztkliwiam się nad słodkimi zdjęciami zakochanych. Dziewięćdziesiąt procent zdjęć jest pozowanych, ale kogo to obchodzi? Wyglądają uroczo.

Chwilę później nie jestem już sama.

— Co robisz? — dociera do mnie głos Vincenta.

Jest dziwnie pobudzony. Unoszę głowę w górę i odchylam ją w tył, bo stoi za mną. Naprawdę jest pod wpływem. To trochę niepokojące, bo jeszcze nie widziałam go tak pijanego. Jego brązowe oczy są mętne, ale i ładnie się błyszczą. Generalnie jest bardzo wyluzowany.

— Oglądałam zdjęcia na Pinterescie.

— Zakochanych? — Krzywi się z niesmakiem.

— Tak, pozowana miłość jest zabawna — komentuję.

— Raczej żalosa.

— Oj tam, przynajmniej wychodzą ładne zdjęcia. — Uśmiecham się, coraz mocniej rozbawiona jego nieporadnością. — Jesteś pijany, wiesz?

— A ty oglądasz gówniane zdjęcia. — Wzrusza ramionami i pochyla się do mojej twarzy. — Zatańczysz ze mną?

Jego usta stykają się na moment z moim nosem, ale trwa to na tyle krótko, że nie czuję żadnej przyjemności. Jest to suche i niewystarczające po tych kilku godzinach beczynnego siedzenia. Nie mam jednak zamiaru odparzać sobie tyłka ani sekundy dłużej.

— Wow, w końcu mogę wstać — mruczę pod nosem.

Prostuję się, odkładam telefon i wstaję, a Vincent od razu łapie mnie w talii i obraca w swoją stronę. Patrzy mi prosto w oczy i przygryza wargę. Jest... dziwny? Ale to już raczej norma w jego przypadku.

— Wszystko w porządku? — pytam.

Zamiast odpowiedzieć, mocno przywiera do moich warg. Tak mocno, że zapiera mi dech w piersi. Obejmuję go za szyję, wplatając palce w jego gęste włosy, i całkowicie oddaję się chwili.

Rozkoszuję się jego niechlujnymi, choć pełnymi czułości ruchami i nie uśmiecham się. Czuję się doskonale w jego ramionach, z jego wargami na swoich. Gdy jego ciepłe ciało do mnie przywiera, czuję się bezpiecznie.

Kiedy w końcu się odsuwa, jestem niepoczyszona. Chcę więcej, ale wiem, że muszę się zachowywać. Jesteśmy w miejscu publicznym i, jak się okazuje, wszyscy patrzą na nas zaszokowani. Vince jednak kompletnie ich ignoruje i prowadzi mnie na środek parkietu. Leci cicha, spokojna piosenka, gdy jego dłonie obejmują moją talię. Przytulam się do niego tak ciasno, że muszę ułożyć policzek i dłoń na jego klatce piersiowej. Jego serce bije z zawrotną prędkością.

— Emerald... — mruczy, pochylając się do mojego ucha, do którego przywiera wargami. — Oddałbym wszystko, bylebyś była przy mnie już na zawsze — szepcze.

Delikatnie przygryza małżowinę mojego ucha, a ja nie wiem, co powiedzieć. To... wywołuje we mnie zbyt wiele emocji. Moje serce dorównuje prędkości jego serca.

— Planujesz ze mną przyszłość? — pytam cicho, zamykając oczy.

— Nigdy nie było innej kandydatki, księżniczko.

Chyba się beznadziejnie zakochałam.

Rozdział 23

Godzina druga nad ranem powinna się nazywać godziną zgonu. Alkoholowego zgonu, rzecz jasna.

Wchodzę do pokoju hotelowego za Stanleyem, który asekuruje Vincenta, i chichoczę pod nosem, bo mnie asekuruje Troy. Idzie bardzo blisko i łapie przedmioty, które strącam przez przypadek. Na przykład wazon w holu głównym. Na szczęście przeżył!

— Gdzie jest moja szmaragdowa księżniczka? — jęczy Vincent, gdy zatrzymujemy się przed sypialnią.

Opiera głowę o drzwi i mamrocze pod nosem jakieś serenady, których nie rozumiem. Muszą być komiczne, bo Stanley nie może przestać się śmiać. No cóż, ja niczego nie łapię i szczerze nad tym ubolewam.

— Stoi za tobą — wzdycha brunet. — Potrzebujesz wody lub czegoś, co cię trochę ocuci?

Vincent parska śmiechem w drzwi i kładzie na nich płasko dłonie. Jest rozbawiony, odkąd zaczęliśmy razem pić wódkę. W sumie ja też. To było ekscytujące doświadczenie: wlać w siebie tyle alkoholu i co chwilę być przedstawianą jakimś szychom w garniturach. Czułam się niemal sławna, niestety jedyną osobą, którą pamiętam, jest Zena i to jego przerażająco jasne spojrzenie. Ale co ja tam wiem.

— Potrzebuję mojej słodkiej zakładniczki — szepcze Vincent. — Przyprowadzisz mi ją do pokoju? Chyba się za nią stęskniłem. Jest taka słodka i malutka, Stanley, nie uwierzyłybyś. — Kręci głową, jakby sam nie dowierzał. — A jakie ma oczy... Moje piękne, szmaragdowe oczy... Potrzebuję jej.

Odsuwa się gwałtownie od drzwi, przez co lekko się zatacza i odwraca się przodem do nas. Ja stoję na własnych nogach, ale jest to trudne, mimo że mam na stopach trampki, które założył mi Troy. Jestem zbyt pijana.

— Emerald — znów odzywa się Vince, wbijając we mnie spojrzenie. — Gdzie byłaś?

— Cały czas za tobą — melduję z rozbawieniem.

— Śledzisz mnie? — Marszczy brwi.

— Wywęszyłam cię.

Podchodzę krok bliżej i kładę dłonie na jego twardym torsie. Spina się, a jego tęczęwki ciemnieją, co odbieram jako dobry znak. Podniecony Vincent to fajny Vincent. A podniecony i pijany? Ostre połączenie, którego nie znam, ale z chęcią poznam.

— Cholera. — Uśmiecha się czarująco i opiera plecy o drzwi. — Co teraz? Naślesz na mnie policję? Albo mnie zabijesz?

— To zbyt proste — pryham i przewracam oczami. — Myślę, że... najlepiej będzie, jak popchnę cię na łóżko. Co ty na to?

— Chyba jestem za.

Przygryza wargę, przez co mój wzrok automatycznie do niej wędruje. Uwielbiam jego usta.

Spokój, Val.

— Świetnie, dotrzesz tam sam czy Stanley musi cię zaprowadzić?

— Dam radę — bełkocze.

Odsuwamy się od drzwi lekko chwiejnie i Vincent zwraca się do nich przodem. Następnie łapie za klamkę i otwiera nasz pokój na oścież. Śmieje się z czegoś pod nosem i chwyta mnie za dłoń. Splata nasze palce razem, wskutek czego przechodzi mnie lekki dreszcz, i ruszamy w kierunku łóżka. Przysiada na jego skraju i łapie mnie za biodra, a następnie sadza na swoich kolanach. Siadam na nich okrakiem, bo sukienka mi na to pozwala, ale nie jestem co do tej pozycji przekonana. W końcu zapłacił za szmaragdową sukienkę mnóstwo pieniędzy. Ale w sumie przy wyspie to raczej są to drobne.

— Będziesz jeszcze czegoś potrzebował, Vincent? — pyta Stanley od drzwi.

Odwracam się w jego stronę z szerokim uśmiechem, a on go odwzajemnia. I jest mi przez to naprawdę miło. Co jak co, ale Stanley jest kochany! Dzięki niemu czuję się pewnie.

— Nie, mam już wszystko, czego potrzebuję — odpowiada stanowczo Vince, ściskając mnie.

— Jasne.

Stanley puszcza nam oczko i zamyka drzwi do naszego pokoju.

Wracam spojrzeniem do Vincenta i przechylam głowę w prawo. Jest tak skupiony na mojej twarzy, że zaczynam czuć się nieswojo. Czego tak nieustępliwie we mnie szuka?

— Lubisz Stanleya? — pyta w końcu.

— Jasne, że tak. Jest opiekuńczy i pomaga mi piec.

— A Troya?

Odnoszę wrażenie, że nie wie do końca, jak zareagować. Nie potrafi odpowiedzieć sobie na pytanie, czy powinnam ich lubić, czy nie. To popieprzone.

— Też, chociaż czasem mnie irytuje. Jest jak duże dziecko — zauważam. — Ale się o mnie troszczy.

— Aviana?

— Jest super. — Parskam śmiechem, bo jego skupienie wygląda komicznie.

— Więc kogo najbardziej lubisz z naszego domu? — Uśmiecha się niepewnie.

— Kogo najbardziej lubię? — Marszczę nos. — Chyba... ciebie.

— Chyba?

Pochyla się do mnie nieznacznie i przesuwam spojrzenie w dół, na moje wargi. Serce bije mi z każdym wdechem coraz szybciej i... cholera, Vincent jest absorbujący. I słodki, gdy jest pijany. Jego natarcywe spojrzenie doprowadza mnie do szału.

— Na pewno — szepczę.

Uśmiech, którym mnie raczy, jest najśłodszym, jaki w życiu widziałam. Uwielbiam to, że z tego przerażającego, władczego mężczyzny potrafi zmienić się w kogoś tak uroczonego i opiekuńczego.

— Każda chwila z tobą jest najcenniejsza — szepcze. — Do końca życia nie będę potrafił odpowiednio podziękować Troyowi za ten cholerny tort, dzięki któremu cię znalazłem. — Uśmiecha się szeroko i zamyka oczy. — Zrobiłbym dla ciebie wszystko — dodaje bezgłośnie.

— Wszystko?

Mój oddech ginie, a dłonie, które unoszę do jego policzków, drżą. Jestem skonsternowana, ale i... szczęśliwa? Podniecona? Pijana! Cholera, co za facet!

— Dosłownie wszystko. — Kręci głową i znów wraca intensywnym spojrzeniem do moich oczu. — Jesteś taka piękna, Emerald... Nie potrafię opisać tego, jak piękna jesteś. Jak piękne są twoje ogromne, szmaragdowe oczy.

— Twoje mi się podobają zdecydowanie bardziej.

Przesuwam palcami po jego policzkach i pochylam się, żeby go pocałować, ale dostrzegam w jego tęczęwkach jakiś cień niepokoju.

— Obiecuj, że mnie nie zostawisz — szepcze. — A jeśli coś mi się stanie i będziesz musiała wyjechać... nie zapomnisz o mnie. Choćbyś miała mnie nienawidzić za to, co ci zrobiłem, obiecuj, że nigdy o mnie nie zapomnisz.

— Czy ty się ze mną żegnasz? — szepczę z niedowierzaniem.

Mój oddech zwalnia. Drzę, a on doskonale to widzi. Kurwa, przecież nie może się ze mną żegnać. Nie teraz, nie dzisiaj i nie-kurwa-wcale! Nie teraz, gdy jestem go tak spragniona i chcę więcej. Nie w chwili, gdy moje uczucia stają się coraz jaśniejsze.

— Nie. Nie, cholera, nie. — Kręci głową, uśmiechając się szczerze. — Po prostu przyszłość może być różna, a ja jestem pijany. — Krzywi się. — Cholera, jestem najebany, a nie pijany.

— Jesteś słodki — przyznaję z sercem bijącym jak oszalałe. — Ale nie stresuj mnie tak. Nie mów do mnie takich rzeczy, Vinnie. Nigdy mnie tak nie strasz.

Przesuwam palcami po jego policzkach i prowadzę je na szyję, a następnie prosto na guzik od koszuli. Skupiam swoją uwagę na rozpinaniu jego ubrania i usilnie próbuję zignorować jego spojrzenie. Patrzy na mnie w pałacy sposób i ani myśli przestać. Zaskoczyłam go swoją reakcją czy co?

— Valerio — mruczy i pewnym ruchem dociska mnie do swojego ciała. — Skarbie, spójrz na mnie.

Dopiero po chwili dociera do mnie fakt, że użył mojego imienia. Kurwa mać, co się dzieje!?

Gwałtownie unoszę na niego oczy. Dlaczego się do mnie tak zwrócił? Co, do chuja, się zmieniło!?

— Rozmawiaj ze mną. — Uśmiecha się słodko, ściskając mnie. — Chcę słuchać twojego głosu.

— Pierwszy raz powiedziałeś moje imię — szepczę. — Dlaczego?

— Nie wiem, chciałem je powiedzieć.

Wzrusza ramionami i pochyla się do mojej twarzy. Składa jeden delikatny pocałunek na moich wargach i kieruje się na szyję. Na niej zostawia trzy pocałunki. Rozluźniam się, chcąc więcej, ale wciąż gnębi mnie jedna cholerna myśl.

— Dlaczego mówisz do mnie Emerald zamiast po imieniu?

— Bo tylko ty zasługujesz na bycie tak nazywaną. Czekałem na ciebie tak długo, Emerald. I przysłałaś do mnie sama. — Kręci głową. — Przestraszona, niezdarna i taka piękna... — Przygryza wargę, wbijając pełne uczuć oczy w moje. — Od tamtej chwili nie opuściłaś moich myśli ani na sekundę. Zawsze jesteś w mojej głowie.

— A Ginger?

— Co Ginger? — Parska prześmiewczym śmiechem. — Nie bój się jej. Jesteś nietykalna, nikt cię nie skrzywdzi.

— Kim ona była dla ciebie?

— Nikim. — Krzywi się z obrzydzeniem. — Tylko ty, Emerald. Tylko ty, skarbie, od zawsze.

Mówiąc to, mocno, choć lekko chaotycznie mnie całuje. Porusza się powoli, czule i słodko, ale jest to uroczo niezdarne. Nie pozostaje mu dłużna. Uwielbiam go całować i kocham, gdy jest taki pełen emocji. Smakuje wtedy jeszcze lepiej. Jakby należał do mnie.

— Nie nienawidź mnie — szepcze nagle.

Nie rozumiem. Całuję go po raz ostatni i odsuwam się na kilka centymetrów, by mu się przyjrzeć. Nasze oddechy odbijają się od siebie i są jedynym dźwiękiem, jaki teraz słyszeć. Patrzę na niego, on na mnie i nic więcej nie istnieje. Tylko jego ciepłe i pełne uczuć spojrzenie, które zapiera mi dech w piersi. On...

— Dlaczego myślisz, że cię nienawidzę? — pytam, byle sobie nie dopowiedzieć czegoś niemożliwego.

— Odebrałem ci wolność, zmusiłem cię do siedzenia przy mnie i nie dałem ci żadnego wyboru. Chciałbym cię przeprosić, ale nie mogę. Gdybym miał porwać cię drugi raz, zrobiłbym to bez wahania. — Zaciska powieki. — Jesteś moim skarbem, Emerald. Dajesz mi szczęście, sprawiasz, że czuję się żywy. Kurwa, Valerio... Czy ja naprawdę tak bardzo cię kocham?

O. Mój. Boże. O. Mój...

— C-co?

— Jeśli od tak dawna nie potrafię przestać o tobie myśleć, jeśli sprawiasz, że czuję to wszystko, co czuję, to co to jest? — Uśmiecha się nieśmiało, przekrzywiając głowę. — To znaczy, że cię kocham? Co to znaczy kochać?

— Nie wiem, Vinnie — przyznaję niepewnie. Jego wyznanie zmiotło mnie z nóg. — Jeśli kochasz, to wiesz, że kochasz, po prostu.

Jakim cudem dotarłam do tego miejsca?

— Dam ci cały świat i nigdy cię nie zdradzę — deklaruje bez cienia zawahania. — Jestem pewny, że będziesz ze mną szczęśliwa. Najszczęśliwsza na świecie. — Uśmiecha się rozbijając. — Już na zawsze będę tylko twój, Emerald. — Pochyla się do mojego ucha i całuje mnie w skroń. — Wiesz, że nocne furie zakochują się raz na całe życie? I to od pierwszego wejrzenia?

— Ty oglądasz bajki? — parskam śmiechem.

Czuję za dużo na raz. Zdecydowanie za dużo i źle to na mnie wpływa.

— Nie, ja jestem taką nocną furią — mruczy, po czym wybucha szczerym śmiechem. Przyciska nos do mojej szyi. Dopiero po kilku dłużących się chwilach dodaje: — Ja pierdołę, jestem tak beznadziejnie pijany.

— Nie będziesz pamiętał tego, co mówiłeś, i gdy zapytam, kim dla ciebie jestem, znów się przede mną zamkniesz — wzdygam.

— Jesteś moim szczęściem, promyczkiem słońca, kolorem w szarości. Jesteś moim drogocennym

szmaragdem i oddałbym ci wszystko, co mam, byle otrzymać ciebie w zamian. — Prostuje się gwałtownie i kręci głową. — Chciałbym ciebie. Tylko ciebie i nic więcej. Będę grzeczny. Rzucę wszystko, żebyś tylko była moja, skarbie.

— Przecież jestem twoja.

— Będziesz moja, jeśli mnie prawdziwie pokochasz. No i kiedy mnie zapragniesz, tak szczerze. I kiedy nie będziesz się mnie bała.

— Czasem jesteś przerażający — przyznaję.

— Bo nie mogę cię stracić! Mój dziadek stracił swoją szansę, a ja na to sobie nie pozwolę. Nie mogę.

— Skąd wiesz, że to właśnie ja jestem twoją szansą?

Cholera, powinnam przestać tak drzeć.

— Bo zawsze chciałem tych twoich wielkich, szmaragdowych oczu.

Kręcę głową niedowierzająco, bo jego obsesja na punkcie moich tęczyówek jest zabijająco urocza. Ujmuję w dłonie jego policzki. Uśmiecha się nieśmiało, czym już kompletnie mnie rozbraja.

— Wiesz... Boję się, że jutro się na mnie zamkniesz — przyznaję, wydymając wargę. — Bądź taki szczerzy cały czas, a ja będę twoja i też będę szczerą.

Przytakuje i wbija we mnie bezbronny, pełen miłości wzrok. Znow to czuję. To dziwne przekonanie, że jest mi tak cholernie bliski. Jakbym miała *déjà vu*.

— Jeśli powiem, że cię kocham, stwierdzisz, że jestem idiotą? — pyta niewinnie.

— Nie, stwierdzę, że jesteś najśłodszy na świecie.

— Dobrze, w takim razie pocałuj mnie, Emerald.

Spełniam jego prośbę z cichym śmiechem, całując te słodkie, miękkie wargi, i obejmuję go za szyję, przylegając całym ciałem do jego gorącego torsu. Czuję moc i prędkość bicia jego serca i uśmiecham się z satysfakcją, bo wariuje tak przeze mnie. Jest mój.

Motyle panoszą się w moim brzuchu, doprowadzają całe moje ciało do drżenia i gęsiej skórki. Jest mi dobrze, szalenie dobrze w ramionach mężczyzny, który mnie porwał, bo zakochał się w moich cholernych zielonych oczach. Uwielbiam go.

— Kocham cię, Emerald — mruczy, przygryzając moją wargę. — Może to przez alkohol, a może przez to, że jesteś perfekcyjna w każdym calu... Nie wiem, ale kocham cię, skarbie. Kocham cię tak kurewsko mocno, Valerio. Zżera mnie to.

— To bardzo szybka miłość, Vinnie. — Śmieję się, gładząc jego policzki. — Niecałe dwa miesiące, a ty już mnie kochasz? Kochliwy jesteś.

— To najdłuższe *dwa miesiące* mojego życia — mruczy z tajemniczą nutką w głosie.

— Może to miłość od pierwszego wejrzenia?

— No właśnie, maleńka.

Całuje mnie po raz kolejny. Potem kolejny. I jeszcze raz, a w każdym z tych pocałunków czuć niezmacone szczęście mojego mężczyzny.

Pobudka, odklejenie się od Vincenta, prysznic i założenie na siebie majtek i koszuli przysparza mi tylu mdłości, że pragnę umrzeć. Jestem zmęczona, jest mi duszno i dodatkowo niedobrze. Głowa pęka, a wspomnienia z nocy mieszają się w niejednorodną papkę. Jestem wrakiem i doskonale to widzę w lustrze, które wisi na ścianie obok łóżka. Vincent nadal cicho chrapie. Ma otwarte usta, spokojną twarz i rozczochrane włosy, co lekko poprawia mój stosunek do świata.

Wychodzę z pokoju najciszej, jak mogę, by nie obudzić mojego mężczyzny, i kieruję się prosto do salonu, skąd dochodzi mnie śmiech Troya. W przeciwieństwie do nas Troy i Stanley ostrożnie spożywali alkohol.

— Oooo — jęczy Troy, gdy siadam obok niego. — Wstałaś, szmaragdowa księżniczko?

Krzywię się. Szmaragdowa księżniczka? Coś mnie ominęło?

— Chodź, Cukierku, do kuchni, dam ci coś magicznego i poczujesz się lepiej — dodaje Stanley. Podnosi się ze swojego miejsca i rusza ze szczerym rozbawieniem. Ja też od razu się zrywam i

idę za nim, bo jeśli ma coś na kaca, to, cholera, kocham go całym sercem!

Siadam na wysokim krześle i opieram twarz na dłoniach. Brunet krząta się po szafkach i z jednej wyciąga drewnianą skrzynkę, która wygląda jak schowek na grube pieniądze lub broń. Z ciekawości chętnie spytałabym, co tam ma, ale odpuszczam sobie. Mam to w nosie, gdy głowa mi pęka. Chcę być w pełni sił.

— Mieszanie musującego alkoholu z wódką to głupota, Cukierku — karci mnie mężczyzna. — Wymiotowałaś?

— Nie, chyba że nie pamiętam.

— A co się działo, jak zostawiliśmy was z Vincentem samych w pokoju? — Uśmiecha się głupkowato.

— Rozmawialiśmy. Chyba do niczego nie doszło, ale nie mam pewności. Pamiętam wszystko jak przez mgłę — przyznaję. — Nie wiem, czy to, co mówił, to była prawda, czy mi się śniło. — Uśmiecham się nieśmiało na kilka wspomnień, które wracają do mojej podświadomości. — Ale nie powiem, przyjemnie było.

— A co takiego mówił?

— Na przykład, że dam ci szczęście.

— Pijany Vincent to wylewny Vincent — stwierdza. — A on?

— Co on?

— Sprawia ci radość? — Mruży nieufnie oczy.

Podsuka mi pod nos pół szklanki wody z kolorową szumionką i wzrokiem wierci w mojej twarzy dziurę. Jest tak nachalny w tym spojrzeniu, że zaczynam czuć presję. I stres!

— Dobrze się przy nim czuję i lubię spędzać z nim czas — przyznaję. — Jest słodki.

— Słodki? — Krzywi się.

No tak, dla nich Vincent nie za bardzo wydaje się słodki. Ale dla mnie owszem. I to nawet często, bo chce mi się dobrać do majtek.

— No słodki, jest słodki. Taki... No słodki, jak mam ci to wytłumaczyć?

Wypijam mieszankę, która ma paskudny smak, i wzdrygam się z obrzydzenia, ale wierzę, że naprawdę pomoże. Zwykle to, co jest ohydne w smaku, dobrze działa.

— Nie no, proszę cię, Cukierku, powiedz mi, jak wygląda słodycz w wydaniu Vincenta, bo mnie rozjebie — prycha. — On potrafi być uczuciowy? Kurwa, to przerażające.

— Przecież to normalny facet. — Przewracam oczami. — Taki trochę nadopiekuńczy, ale ogólnie to fajny. W sensie: jest naprawdę w porządku, podoba mi się to, w jaki sposób się ze mną obchodzi. Póki nie próbuje zamordować mnie wzrokiem.

— Ma problemy z panowaniem nad sobą, jeśli chodzi o ciebie — przyznaje. — Ale to wszystko dla twojego dobra.

— Wiem, wiem. Zależy mu na mnie. — Uśmiecham się lekko. — Działa dość szybko z tym wszystkim, ale odpowiada mi to. Lubię z nim przebywać, jest słodki.

— Znów to słowo, a ja nie wiem, co powiedzieć — wzdycha. — Zostaniesz z nim?

— A mam jakieś inne wyjście? — Parskam śmiechem, bo... czy jest jakaś inna opcja niż zostanie przy nim? Wypuści mnie? Chyba nie, więc co to za pytanie?

— Więc nie chcesz z nim być?

— Chcę, żeby był w moim życiu, ale nie wiem, czy ta prędkość nie doprowadzi nas do czegoś niepożądanego — mamrocę i przygryzam wargę. — W sensie: nie wiem. Wolałabym mieszkać u siebie i mieć znajomych, wiesz, o co mi chodzi. Nie narzekam na wasze towarzystwo, bo jesteście naprawdę fajni jak na porywaczy, ale... no... potrzebuję przestrzeni. A Vincent mi jej nie daje i z tego powodu nie wiem, co do niego czuję. Bo to trochę skomplikowane, gdy znamy się tak krótko, a on jest tak zaangażowany, że kupuje wyspę za trzydzieści milionów i obwieszcza ludziom, że to dla mnie. Jakby... to przytłaczające.

— Pieniądze są przytłaczające, a on po prostu chce ci po swojemu pokazać, że jesteś dla niego ważna.

— Chyba jestem bardziej niż ważna, skoro kupił wyspę. To nie biżuteria czy nawet samochód.

To wyspa!

— A Troy mówił, że sukienka cię przytłoczyła — parska śmiechem. — Musisz się przyzwyczaić do bogactwa. On rzyga pieniędzmi. Raz, że je odziedziczył, a dwa, że jest skuteczny. Sama widzisz: zapragnął ciebie i czy chcesz, czy nie, ty również go pragniesz. To już coś.

— No właśnie! Ale mam wrażenie, że on mi nie ufa.

— Wszyscy cię uwielbiamy, ale nikt ci nie ufa, Valerio — przyznaje niechętnie. — Nie wiemy, co czujesz i co myślisz. Możesz mieć syndrom i próbować nas wykiwać przez uległe zachowanie. W najlepszym razie naprawdę go lubisz za to, jaki jest, ale wiesz... To trochę pojebane, bo jednak... zostałaś porwana.

— Zostałam porwana, bo naprawdę aż tak mu się spodobałam?

— Jeśli ci powiem, że możesz teraz wyjść i nie wrócić, a on cię nie znajdzie, wyszłabyś?

— Nie. — Krzywię się. — Zabiłby was chyba.

— No widzisz, boisz się konsekwencji. Tak?

— Nie chcę go zostawiać.

— Bo?

— Bo go lubię. — Uśmiecham się i zamykam oczy. — Nikt nigdy nie był dla mnie taki, jak on. Nikt nigdy tak na mnie nie patrzył. To takie ciepłe spojrzenie, mimo że jego oczy są zimne. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale widzę w jego spojrzeniu coś znajomego, coś, co sprawia, że się go nie boję. Chciałabym się z nim spotykać jak normalna dziewczyna.

— Więc w jakiś sposób zal...

— Stanley! — wtrąca Troy i wbiega do kuchni. Wygląda na przerażonego. — Czerwony — warczy.

Brunet prostuje się gwałtownie i cały luz nagle go opuszcza. Jego oczy robią się przerażająco chłodne i zdystansowane, a ostrzeżenie, które mi wysłał, aż paraliżuje. Nie rozumiem tego komunikatu, ale nie mam zamiaru zadawać pytania, bo wiem, że nie otrzymam odpowiedzi.

— Nie ruszaj się stąd — instruuje mnie Stanley.

Kiwam głową. Mężczyźni wychodzą z pomieszczenia szybkim krokiem. Czuję się nieswojo. Bardzo nieswojo.

Godzinę i jabłko później czuję się o niebo lepiej. Nie boli mnie już głowa. Przepelnia mnie jedynie niepokój z powodu nagłego alarmu.

Przeglądam Instagram i zauważam z nieznacznym smutkiem, że ominęło mnie kilka imprez z przyjaciółką, ale ogólnie chyba nic się w Denver nie pozmiało. Na zdjęciach wszystko wydaje się normalne.

— Myślałem, że zniknęłaś — szepcze mi do ucha Vincent i zdecydowanie obejmuje mnie w talii.

Mój pisk powinien rozwalić mu bębenki, ale chyba w ogóle go to nie rusza. Przytula się do mnie z ulgą, której ja w tym momencie nie czuję — moje serce bije jak popierdalone gdzieś mniej więcej w przeloty. Nienawidzę tego ich cholernego skradania się.

— Chyba właśnie przechodzę zawał — mówię drżącym głosem. — Jesteś idiotą, Vincent.

— Przepraszam, obserwowałem cię przez chwilę, żeby się uspokoić.

Przyciska mnie do siebie mocniej i chowa nos w moich włosach. Trzyma mnie tak ciasno, że to odbiera mi oddech. Dodatkowo wyraźnie czuję, jak pędzi jego serce, i w porządku, moje przy tym jedynie truchta.

— Dlaczego twoje serce bije tak gwałtownie? — pytam, gdy moje nerwy wracają na właściwy tor.

— Nie pamiętam połowy nocy — szepcze. — Nie było cię obok i myślałem, że...

— Uciekłam?

— Tak.

— Musiałam się odświeżyć i Stanley dał mi jakieś ohydztwo na kaca, bo pękała mi głowa — tłumaczę. — Nie uciekłam od ciebie w obcym mieście. — Krzywię się. — W ogóle bym od ciebie nie

uciekła.

Zaskakujące, ale prawdziwe. Naprawdę go lubię.

— Chciałbym w to wierzyć, Emerald.

— Więc uwierz! — Śmieję się i przewracam oczami. — W ogóle to jesteś naprawdę popieprzony, wiesz? Kupiłeś wyspę za trzydzieści pięć milionów dolarów i odniosłam wrażenie, że wcale cię to nie ruszyło.

Opieram głowę o jego twarde ramię i zamykam oczy otulona jego uzależniającym zapachem.

— Bo nie ruszyło. Dziesięć minut później zleciłem remont willi za kolejne miliony — mruczy. — I załatwiłem kontrakt na następne kilka lat, w których majątek będzie się powiększał i powiększał, a ja nie będę musiał nic robić poza kilkoma wylotami do Azji w ciągu roku. Pieniądze nie mają żadnego znaczenia, Emerald.

— Gdybyś ich nie miał, wcale byś tak nie mówił — zauważam. — Co ty robisz? Bo w moim świecie wydać trzydzieści milionów ot tak to trochę nierealne.

— Nie ma twojego świata, Emerald — mruczy i kręci głowę, drażniąc mnie za uchem swoim nosem. — Jest już tylko nasz.

— Nadal to dla mnie nierealne.

— My?

— Te pieniądze! — jęczę.

— A my?

Odsuwa się ode mnie nagle i obraca na krześle w swoją stronę. Jego oczy są czarne, a mięśnie napięte. Wow, bipolarny Vincent powrócił? Chyba nie tęskniłam. Słodki podoba mi się niemal tak bardzo, że zapominam o porwaniu.

— Jesteśmy tutaj. — Wskazuję przestrzeń wokół nas.

Uśmiecham się lekko, choć wydaje mi się, że jest to nieśmiało, i kładę dłonie na jego brzuchu. Spina się mocno, nie wiem, czy na pokaz, czy rzeczywiście jest sfrustrowany, i wzdycha. Sposepniał, co wcale mi się nie podoba.

— Powiedziałem coś głupiego w nocy? — Zmienia gładko temat i wydyma wargę, pochylając się do mojego poziomu.

Patrzy mi w oczy, a ja to odwzajemniam i jestem świadkiem czegoś niemożliwego. Mianowicie widzę, jak barwa jego tęczy robi się jaśniejsza. Jak rozświetlają je iskierki.

Może jednak lubię tę jego bipolarność?

— Nie wiem, co to znaczy „głupie” dla ciebie — przyznaję. — I nie jestem pewna, co mówiłeś, a co mi się tylko śniło.

— Więc co pamiętasz?

Unoszę dłonie do jego policzków i lekko je pocieram. Ma dość długi zarost i nie powiem, dla mnie to cholernie przyjemne. Uwielbiam jego szorstką twarz.

— Zostawię to dla siebie. — Uśmiecham się szeroko. — To będzie moja słodka tajemnica.

— Emerald. — Krzywi się. — Nie rób mi tak.

— Jak?

— Ty wiesz. — Kręci głowę z rozbawieniem. — Tak się nie bawimy.

— To ja ustalam zasady — stwierdzam i unoszę brew. — Moja przyjaciółka mówi, że kto ma cycki, ten ma władzę. Wprowadzimy to do naszego życia, co?

— Teoretycznie rzecz biorąc, ja też mam cycki — protestuje.

Podoba mi się jego poczucie humoru.

— Ale ja mam większe — pryham, prowokująco wypinając klatkę piersiową. Przyglądam się jego łagodnej twarzy i marszczę brwi. — Masz gumki do włosów?

— Mam inne gumki — mruczy. — Masz ochotę je użyć?

— Chciałabym zapleść ci warkoczyki — proponuję niewinnie. — Masz idealną długość włosów, a ja mam wenę twórczą. Najpierw moje gumki, a później twoje, hm?

— To nie tak, że tylko dziewczyny robią sobie warkocze? — Krzywi się.

— Będziesz wyglądał świetnie, gwarantuję ci to!

— Emerald... — jęczy.

— No proszę cię! Zrób to dla mnie... — Przechylam głowę. — Proooszę!

Przyciągam go do siebie i uśmiecham się szeroko, patrząc prosto w jego oczy. Wytrzymuje moje spojrzenie przez chwilę, ale poddaje się i finalnie zaciska powieki.

— Nie patrz tak na mnie.

— No proszę cię — szepczę.

Przyciskam usta do jego apetycznych warg, inicjując lekki pocałunek, który od razu odwzajemnia. Dodatkowo szeroko się uśmiecha i mruczy! No i jak nie nazwać go słodkim?

— No dobra. — Przygryza moją wargę. — Ale tylko dlatego, że powiedziałaś, żebym zrobił to dla ciebie, Emerald.

— Jesteś uroczy — komentuję. — Zasłużyłeś na nagrodę.

— Jaką?

— Jaką tylko zapragniesz. — Chichoczę.

— Więc pragnę ciebie.

— Więc jestem cała twoja — deklaruję.

A on jeszcze raz mnie całuje, tyle że o wiele zachłanniej. Łapie mnie za pośladki i przyciska do siebie, a potem unosi moje ciało, przez co muszę opleść go nogami w pasie.

Splatam na głowie Vincenta cztery cienkie, francuskie warkocze i nie powiem, bawię się świetnie. Zaczynając od tego, że leniwie opieram się o zagłówek łóżka, a kończąc na tym, że męzczyzna leży między moimi nogami. Ja zajmuję się jego miękkimi włosami, a on łaskocze moje stopy, drapie skórę i gdzieś tam szczypie. Jest cholernie zaczepny, ale to dobre zaczepianie. Drażni się ze mną w przyjazny sposób, by przypomnieć mi o swojej obecności.

— Golisz nogi czy depilujesz? — pyta zniecierpliwiona.

Kładzie głowę na moich piersiach i odchyła ją tak, by na mnie spojrzeć, a palce lekko wbija w moje łydki. Uśmiecham się do niego szeroko. Czuję, że powstała między nami jakaś nowa więź po tej nocy, i nie mogę jej jednoznacznie określić. Wszystko wydaje mi się jakieś prostsze i miłsze. Jakbyśmy przeszli kolejny etap tej szalonej, trochę chorej relacji.

— Mam depilator, więc depiluję.

— Mnie nie chciałoby się tego robić — przyznaje. — Dobrze, że nie muszę.

— A jeśli ja nie lubiłabym owłosienia na twoim ciele, to co? — Unoszę brew. — Nie goliłbyś?

— Jeśli miałabyś mnie przez to zostawić, to pewnie bym się golił raz na jakiś czas. — Krzywi się. — Lubisz czy nie lubisz?

— Czy owłosiony, czy gładki, byłbyś tak samo pociągający.

— Cieszę się — mruczy. — A zarost?

— Zarost ma być. — Klepię go przyjacielsko po policzku. — Kocham cię z zarostem — wypalam.

Po tych słowach Vincent cały się spina, podobnie jak ja, i nie wiem, co robić. Idiotka. IDIOTKA. Kretyńska. Mamo, pomocy. Nie o to mi chodziło!

— To bez zarostu mnie nie kochasz? — Uśmiecha się niepewnie.

Kiwam przecząco głową i parskam, by wybrnąć z sytuacji. Nie udaje mi się to niestety, bo Vincent wyraźnie się na mnie zamyka. Kurwa mać. Pochylam się nad nim i łączę nasze usta. Najpierw składam na nich kilka mokrych pocałunków, a potem skubię zębami jego górną wargę, przez co minimalnie topnieje.

— Jesteś tak samo seksowny z zarostem, jak i bez, ale tak między nami — szepczę — to jak masz zarost, jestem łatwiejsza.

— Zapamiętam to. I korzystając z tematu, chciałbym cię o coś zapytać — dodaje ciszej.

— Tak?

Odsuwam się, by spojrzeć na jego poważną twarz, i obejmuję go za szyję, układając dłonie płasko na jego rozgrzanym torsie.

— Jakie jest prawdopodobieństwo, że mi wybaczysz to porwanie?

Krzywię się. Bo... co?

— Nie chowam do ciebie urazy, Vinnie. — Śmieję się. — Nie mam ci czego wybaczać.

— To niemożliwe, przecież cię porwałem! — prycha.

Patrzę na niego przez moment, lecz widząc, że nie żartuje, zaczynam się denerwować. Czy nie mogę go po prostu lubić? Przecież jest dla mnie dobry. Zachowuje się względem mnie w porządku, momentami nawet uroczo. Dodatkowo jest cholernie przystojny i tracę dla niego głowę. I jeszcze mówił, że mnie kocha!

— Wiesz, co jest niemożliwe? — zaczynam ze złością. — Twoje słowa z nocy. Znamy się kilka tygodni, nic o sobie nie wiemy, a ty powiedziałeś, że mnie kochasz — wypalam.

To, jak teraz jego oczy ciemnieją, odgradzając nas od siebie murem, sprawia, że od razu żałuję swoich słów. Vincent zamyka się na mnie i chce wstać, ale zaciskam ramiona mocniej, by mi nie uciekł. Nie możemy, do jasnej cholery, robić kroku do przodu, by zaraz cofać się o pięć!

— Byłem pijany — warczy, chcąc mi się wyrwać.

Zaraz go uduszę tymi rękami.

— Wiem. Co nie zmienia faktu, że naprawdę mnie to ruszyło — przyznaję ostrożnie. — Porozmawiaj ze mną.

— Zapomnij o tym głównie — prycha.

Łapie mnie za ramiona i odciąga od swojego ciała, a następnie gwałtownie wstaje i od razu kieruje się do wyjścia. W mojej głowie huczą przeróżne myśli. W końcu uznaję, że on się po prostu boi... Gdyby to, co powiedział, nie było w jakimś stopniu prawdą, nie zareagowałby tak gwałtownie! Coś jest, kurwa, na rzeczy. I tym razem nie dam się zbyć.

— Miałeś odwagę, by mnie porwać, a nie masz odwagi powiedzieć, co czujesz? — krzyczę ze złością. — Jesteś dorosłym mężczyzną, a zachowujesz się jak gówniarz za każdym razem, gdy przez przypadek trochę się przede mną otworzysz. To jest chujowe, więc nie bądź pieprzonym tchórzem, Visser!

Zatrzymuje się w otwartych drzwiach i napina się, przez co jego imponująca sylwetka robi się przerażająco wielka. Gdyby nie fakt, że mu ufam, przeraziłabym się.

— Nie przeklinaj — warczy.

A ja po prostu... Ugh! Chwytam w dłonie poduszkę i rzucam z całej siły w tył jego głowy. Niestety nie przewraca się ani nie drgnie. Jestem słaba, a pierze nie robi krzywdy twardzielom. Trudno.

— Jesteś idiotą, kretynem i kompletnym czubkiem, Vincent — pryчам. — I tchórzem jesteś! Po prostu tchórzem.

— Zamknij się, Emerald.

Zaciska pięści.

— Siedziałam cicho przez cały czas i teraz mam zamiar mówić. — Podnoszę się gwałtownie i wymierzam w niego oskarżycielsko palec. — Co jest prawdą, a co fikcją i złudzeniem? Czego ode mnie chcesz? Po co mnie porwałeś? Dlaczego jesteś taki zaborczy? Dlaczego nie mówisz do mnie po imieniu? Dlaczego moje oczy są dla ciebie takie wyjątkowe i przede wszystkim: dlaczego znów się zamykasz? Powiedz mi w końcu prawdę, do cholery! Jak mam cię do siebie dopuścić, skoro ty nie chcesz dopuścić mnie do siebie?!

Jestem taka wkurwiona!

— Szykuj się, zabiorę cię na most — podsumowuje nonszalancko.

Wychodzi, głośno zamykając za sobą drzwi. Niech go chuj, że odpuszczę! Nie tym razem.

Schodzę z łóżka i biegiem ruszam do drzwi. Wparowuję do salonu w samej koszulce, która należy do tego dwubiegunowego debila, i zatrzymuję się dopiero przed nim. Siedzi na sofie z pustym wyrazem twarzy i zaciska szczękę, gapiąc się przed siebie.

— Mam gdzieś ten most i wszystko, co próbujesz we mnie wcisnąć, Vincent — oznajmiam twardo. — Powiedz mi prawdę — dodaję głośniejszym głosem.

Nie reaguje.

— Vincent, do cholery! — krzyczę i łapię w dłonie jego twarz. — Nie zamykaj się przede mną!

Prycha. Noże kurwa.

— Jeśli chcesz stworzyć między nami więź, to musisz ze mną rozmawiać — zauważam ze złością. — Porwałeś mnie, zmanipulowałeś i przyciągnąłeś do siebie, a teraz, kiedy wszystko między nami zaczyna być klarowne, ty się zamykasz. To tak nie działa, do cholery!

Puszczam jego twarz, by zaraz odepchnąć go na oparcie sofy, i siadam na nim okrakiem. Przez to, że on jest w samych bokserkach, a ja w samej koszulce i majtkach, robi mi się ciepło.

Odrzucam brudne myśli na bok i ponownie łapię go za policzki. Wlepiam swój zdeterminowany wzrok prosto w jego czarne oczy i odzywam się ponownie:

— To już nie jest czas, w którym jesteś dla mnie obcy.

— Nic o mnie nie wiesz.

— Bo nic nie chcesz mi powiedzieć — warczę. — Ale to nie zmienia faktu, że zrobiłeś za dużo kroków do przodu, by mnie teraz tak bezdusznie odpychać. Vincent, to już nie jest nieznaczące. Ani dla mnie, ani dla ciebie. Rozmawiaj ze mną.

Kręci głową. Doskonale widzę, że wcale mu się to wszystko nie podoba. No cóż, pech. Mam serdecznie dość tej gównianej niepewności. On mnie, kurwa, doprowadza do szału.

— Vincent... — mówię twardo, wręcz z reprimendą. — Nie bądź takim zimnym dupkiem. Przecież nie zrobiłam niczego, co mogło cię zboleć. Jestem tutaj z tobą i nie chcę być gdzieś indziej. Nie odpychaj mnie, bo ja cię nie odpycham. Ani jeden cholerny raz cię nie odepchnęłam, a powinnam. Więc nie bądź takim pieprzonym dupkiem i powiedz mi prawdę.

Patrzę w jego chłodne oczy, nie zwracając uwagi na to, jak zły i jednocześnie zagubiony się robi. Miał odwagę mnie porwać i manipulować wszystkimi dookoła, to niech zbierze się do kupy i w końcu powie to, co powinno być powiedziane już od samego cholernego początku tej popierdolonej znajomości.

— Jestem złym człowiekiem — zaczyna, zaciskając powieki. — Jestem bezduszny, bezwzględny i zagubiłem się w pewnym momencie życia. — Obejmuje mnie ciasno w talii i opiera czoło o moją brodę. Jego ciało emanuje gorącem. — Pozwoliłem, by nic się dla mnie nie liczyło, bo nie miałem odwagi sięgnąć po to, co od zawsze było moje. Zrobiłem to, co zrobił mój dziadek, ale zrobiłem to w bezpiecznym dla mnie czasie i było dobrze. Pogodziłem się z tym, ale potem mój dziadek został zamordowany, a mi odpiardoliło i cały plan poszedł się jebać. Gdyby nie Zena, nie wiem, co by się ze mną, z *nami*, stało. — Kręci głową. — Do dnia moich ostatnich urodzin byłem pewien, że dobrze wybrałem. Do momentu, w którym przyjechał mój tort, byłem pogodzony z tym, na co sam się pisałem. Do ostatniej sekundy, zanim na mnie pierwszy raz spojrziałaś, mogłem bez ciebie żyć. Ale ty po prostu się pojawiłaś i zburzyłaś mój świat jednym uśmiechem. Zrzućnowałaś mnie swoim urokiem. To po prostu... uderzyło.

Śmieje się mrocznie i odchyła głowę, by uciec ode mnie spojrzeniem. Pozwalam mu na to. Nie do końca rozumiem jego zaszyfrowany język, ale... chyba mu na mnie zależy, tak?

— Co cię tak zainteresowało? — pytam i uśmiecham się nieśmiało.

Wzdycha i powoli wraca do mnie. Jego oczy już nie są tak przerażająco puste.

— Ty. Po prostu ty. Od zawsze to byłaś tylko ty.

Od zawsze?

— Więc... zależy ci na mnie?

Prycha, kręcąc głową.

— Zrobiłbym dla ciebie wszystko i to nie są żarty ani puste słowa. Jeżeli coś będzie ci grozić, zniszczę to. Jeżeli coś sprawi ci przykrość, zniszczę to. Jeżeli stanie między nami, zniszczę ze zdwojonym okrucieństwem. Jesteś moja. Zawsze byłaś wyłącznie moja. *Zawsze*.

— Skąd ta zaborczość?

Obejmuję go za szyję, wplatając palce w jego miękkie włosy.

— Jesteś moim epicentrum, Emerald. Jakkolwiek absurdalnie to brzmi, tak po prostu jest. Pragnę cię, potrzebuję i nie mogę znieść myśli, że znacząca część twoich uczuć do mnie to pierdolony syndrom sztokholmski. I proszę, nie zaprzeczaj — prycha.

— Nawet jeśli to jest moje pragnienie przetrwania, to i tak chcę cię poznać i zaakceptować. Nie boję się ciebie i wiem, że nigdy byś mnie nie skrzywdził. Czuję to w każdym twoim ruchu. Dlaczego mi

nie ufasz?

— Chciałaś ode mnie uciec — zauważa trafnie.

— Chciałam dać ci nauczkę, bo potrzebowałam się przytulić, a ty to zlekceważyłeś. Schowałam się na plaży i to w dodatku kilka metrów od twojego domu.

Może i na początku wmawiałam sobie, że jeśli będę grzeczna, on nie zrobi mi krzywdy, ale... czy poza tym, że zmienił moje miejsce zamieszkania, zrobił cokolwiek, bym się go obawiała? Krzyczał tylko wtedy, gdy mógł mnie stracić. Złościł się tylko wtedy, gdy był pewny, że go zostawiłam. Pozwalał mi na wszystko, poza opuszczeniem go.

Powiedział mi po pijaku, że mnie kocha. A teraz z jego wypowiedzi wynika, że *od zawsze* chciał tylko mnie.

— To nasz dom — wypala, przerywając moje myśli. — Wszystko, co moje, należy równocześnie do ciebie.

— To twoje dziedzictwo i praca, nic mi do tego. — Parskam śmiechem.

— Mój dziadek pozwolił odejść kobiecie, która była dla niego całym światem, a ja nie mogę sobie na to pozwolić, Valerio. Nie mogę cię stracić tak, jak on stracił swoją kobietę. Nie poradzę sobie z tym. Dzięki tobie znów mam nadzieję. Sprawiasz, że mam ochotę budzić się każdego ranka. Dajesz mi powody do radości, Emerald. W twoim mniemaniu jesteś w moim życiu zdecydowanie za krótko, bym mógł cię kochać, ale... to trochę nieprawda. Jestem w tobie kompletnie zatracony i nie umiem tego powstrzymać, mimo że naprawdę próbuję nie zachowywać się jak zaborczy, zakochany kretyn. Oddałbym ci wszystko, co mam, bylebyś już zawsze przy mnie była — szepcze. — Ludzie mojego pokroju są bardzo zaborczy, ale i bardzo stali w uczuciach. Bo od chwili, gdy pojawiłaś się tak blisko, nic nie ma dla mnie znaczenia. Nic, oprócz ciebie, i to się *nigdy* nie zmieni.

— Zaskoczyłeś mnie teraz — przyznaje, a mój głos jest ledwo słyszalny, bo emocje ściskają mi gardło.

— Przepraszam.

Nie wiem, za co mnie przeprasza, ale w dziwny sposób to jedno słowo uspokoja każdą moją krzyżącą myśl. Vincent ma lekkiego bzika na moim punkcie i po prostu jest... zakochany. Czyli nic złego, do cholery, się nie stało. To... miłość od pierwszego wejrzenia?

— Porwałeś mnie, bo od razu chciałeś mnie mieć przy sobie?

— Tak. Musiałem wracać do Miami, a nie mogłem się pogodzić z marnowaniem czasu i pragnąłem zbliżyć się do ciebie od razu. Odpuszczenie po raz kolejny nie wchodziło w grę.

— Więc zakochałeś się we mnie — podsumowuję gładko.

Odsuwam się od niego i łapię jego policzki. Patrzą mu w oczy i doskonale widzę chłód, którym maskuje swoje prawdziwe uczucia. Ale nawet mimo tego zimna dostrzegam burzę emocji. Vincent nie kłamie.

— Tak — przyznaje i uśmiecha się.

— Nie odpychaj tego od siebie — szepcze. — Może nie mogę odpowiedzieć ci tym samym, ale chcę tu być. Chcę być w twoich ramionach, czuć twoje ciepło i wiedzieć, że jesteś. Zależy mi na tobie.

— Naprawdę? — Promienieje od razu.

— Zależy mi — powtarzam dosadnie. — Naprawdę mi zależy.

Głaszczę delikatnie jego policzki i umacniam swoje słowa pocałunkiem, który leniwie inicjuję. Jestem delikatna, spokojna. Chcę się napawać każdym doznaniem, liźnięciem i przygryzieniem. Kocham jego słodkie wargi. Kocham go całować. Jego bliskość sprawia mi przyjemność i daje poczucie bezpieczeństwa.

Chcę go.

— Powiedz, że jesteś moja — mruczy.

— Będiesz wtedy szczęśliwszy?

— Będę najszczęśliwszy na świecie — szepcze niemal bezgłośnie.

— Tylko twoja. — Przygryzam jego wargę. — A ty?

— Od zawsze i na zawsze, skarbie.

O mój Boże.

Rozdział 24

Uczucia Vincenta w połączeniu z Golden Gate... magia. Magia, czary i wręcz najpiękniejsze chwile mojego życia. Musiałabym być idiotką, gdybym nie doceniła tego, jak wiele mi daje. Nawet to porwanie wobec jego oddania jest niczym.

Tylko... czy ja naprawdę mam syndrom sztokholmski? Czy gdyby chodziło tylko o strach, mogłabym tak bardzo się do niego zbliżyć? Chcieć go i doceniać jego starania? Czy to na tym polega? Naprawdę?

— Emerald?

Vincent szturcha mnie łokciem, gdy z zachwytem wpatruję się w dal. Kocham ten most i kocham chwile, w których mój porywacz daje mi poczucie bezpieczeństwa. To niesamowite i wręcz rozpalające od wewnątrz.

— Tak? — pytam, wciąż spoglądając w przestrzeń rozciągającą się aż po horyzont.

— O czym myślisz? W ogóle się nie odzywasz od jakichś dwudziestu minut.

— Jestem zachwycona faktem, że stoję w tym miejscu, na tym moście. — Uśmiecham się i zerkam na niego. — Z tobą. Spełniłeś moje największe marzenie.

— Jesteś szczęśliwa? — Szczerzy się jak szalony.

— Jestem. I nie mogę się napatrzeć na ciebie w tych warkoczach — przyznaję. — Stanley i Troy na pewno będą zachwyceni swoim szefem. Wyglądasz niezmiernie.

— Nabijasz się ze mnie?

Jego zaczepny uśmiech i łagodność w oczach to jedno z najlepszych połączeń, jakie widziałam w życiu. To, co rozwija się między nami, jest uzależniające.

— Nie, próbuję ci przekazać, że bardzo mi się podobasz w tej fryzurze. Zrobimy sobie zdjęcie? Ustawię sobie na tapetę. Jesteś cholernie pociągający, więc niech mój telefon przypomina mi o tym, gdy cię nie ma.

— Czy ty próbujesz mnie uwieść? — mruczy zaczepnie.

— Chyba tak. — Wzruszam ramionami. — Działa?

Odwracam się do niego przodem i chwytam w dłonie materiał jego koszuli. Przyciągam go do siebie i całuję, chcąc przekazać moje oddanie i całkowitą akceptację tego, do czego doszliśmy. Bo wiem, że jest dla mnie ważny i nawet jeśli kieruje mną instynkt samozachowawczy, to ten facet niemożliwie mnie pociąga. Ma w sobie mnóstwo ciepła, którym obdarowuje mnie każdego dnia. Pragnę go.

— Jesteś niemożliwa — mruczy w moje usta.

— Za to mnie kochasz. — Śmieję się.

Przygryzam jego wargę i odsuwam się, by wyciągnąć telefon i uwiecznić ten moment na wieki. Ujmuję jego policzek prawą ręką i przytulam się do jego szyi, byśmy byli jak najbliżej siebie. Na pierwszym zdjęciu śmieję się do obiektywu, na drugim całuję go w policzek, a na trzecim to on całuje mnie w skroń. Wypełnia mnie euforia i czuję w brzuchu buzujące motyle, gdy patrzę na nasze twarze razem. Jestem w fazie całkowitego zauroczenia. Rozpiera mnie poczucie szczęścia.

— Wiesz, że będziesz musiała przedstawić mnie swojej babci?

— Wiem. Na pewno się ucieszy, że mój facet jest takim przystojniakiem. — Parskam śmiechem. Babcia zawsze miała słabość do brunetów o ładnych oczach.

— Jestem twoim facetem? — pyta ze szczerym niedowierzaniem.

Odsuwa się ode mnie, by spojrzeć krytycznie na moją twarz, więc wybucham śmiechem. Czasem jest rozbijająco uroczy.

— No a nie?

— Jeśli tylko chcesz, mogę być nawet twoim mężem, Emerald. — Uśmiecha się szeroko. To zabawne, ale wiem, że mówi serio.

— Na męża to trochę za wcześnie — przyznaję nieśmiało. — Będzie w porządku, jeśli pójdziemy po kolei. Najpierw mój mężczyzna, a potem inne statusy.

— Już nie mogę się doczekać — mruczy.

Całuje mnie po raz kolejny, a ja zastanawiam się, czy on naprawdę czuje do mnie coś tak

mocnego, by swobodnie rozmawiać o kolejnych etapach?

Wracamy do hotelu przed osiemnastą pełni pozytywnej energii, szczęścia i wszystkiego, co miłe. Vincent jest rozanielony i nawet nie próbuje tego ukryć, a ja jestem w podobnym stanie. Buzuje we mnie euforia i coraz silniejsze zauroczenie.

— Muszę gdzieś zadzwonić — mruczy mi do ucha, gdy wchodzimy do salonu. — Zaraz do ciebie wrócę, skarbie.

Całuje mnie w policzek i oddala się, a ja spoglądam na Stanleya i Troya, którzy gapią się na mojego faceta jak na kosmitę. Chyba nie byli przygotowani na ten widok.

Siadam obok nich w przestrzeni kuchennej i szczerzę się jak idiotka.

— Vincent Visser ma zaplecione warkocze na głowie — jęczy Stanley, gdy brunet znika za drzwiami. — Co, do chuja, mu zrobiłaś, Cukierku? Vincent w warkoczach?!

— To był najdziwniejszy widok w moim życiu! — wybucha Troy. — Rozjechało mi mózg.

Bawi mnie ich zaskoczenie.

— E tam. — Przewracam oczami. — Przyznajcie, że wygląda nieziemsko!

— Widok zdecydowanie zapiera dech w piersi — prycha Stanley. — Ale to, jak bije od niego szczęście, już z lekka mnie przeraża. Czy ty mu dosypałaś jakichś narkotyków?

— Nie, oficjalnie jesteśmy razem — orzekam z dumą.

— Stanley — szepcze Troy pełnym przerażenia głosem. — Stanley, chyba mam zawał. Vincent jest w związku z Valerią.

— Zachowujesz się jak idiota — wzdycha brunet.

— Nie mogę się nie zgodzić — przyznaję z rozbawieniem. — Czy to jest coś nienormalnego, że on jest ze mną? W sensie: nie o to mu chodziło, kiedy mnie porwał?

— No tak, ale, kurwa mać, nie spodziewałem się, że to się skończy w ten sposób — jęczy. — Vincent jest psycholem z dużymi problemami, a ty jesteś słodka i delikatna, więc... — gwałtownie milknie.

Spogląda z przerażeniem na Stanleya, który morduje go wzrokiem, i zatyka usta ręką. *Psychol z dużymi problemami?* Naprawdę?!

— Jakimi problemami?

— Kilka osób jest zazdrosnych o to, że Vincent ma dużo pieniędzy. Poza tym brał udział w pewnym... złym wydarzeniu, więc raz na jakiś czas robią coś głupiego, żeby mu zaszkodzić. To po prostu z lekka brudny świat, nic wartego twojego zamartwiania się, Cukierku.

Niedoczekanie.

— Troy wygląda, jakby miał zwymiotować, więc śmiem twierdzić, że trochę mnie okłamujesz, Stanley. Dlaczego?

— Mówię prawdę — broni się. — Vincent ma różne interesy i kiedy przyjdzie odpowiedni czas, o wszystkim się dowiesz.

— Aha? — pryham. — Chcę wiedzieć teraz.

— Co chcesz wiedzieć? — pyta, pojawiając się znikąd, mój brunet.

Podchodzi do mnie wolnym krokiem. Jestem zła, a on na pewno doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Co się dzieje, do cholery? Co on przede mną ukrył?! Akurat w momencie, gdy to wszystko w końcu najechało na właściwy tor? Gdy poczułam się szczęśliwa!

— Jakie masz interesy — warczę. — Okłamujecie mnie cały czas?!

— Cokolwiek powiedział ten półmózg — wskazuje na Troya — nie wierz mu. Jest idiotą — dodaje z rosnącą w głosie wściekłością. — Co tym razem?

— Troy chciał przekazać, że jesteś szalony, a Valeria jest delikatna, więc razem tworzycie niecodzienne połączenie. — Stanley próbuje załagodzić sytuację, ale coś mu nie wychodzi. — To wszystko.

Widzę w spojrzeniu Troya błaganie i niech mnie cholera weźmie, ale nie umiem rzucić mu pod nogi kłody. Cholerny idiota zawsze coś wypapla. I ja muszę na tym cierpieć, bo chcę wiedzieć, a oni nie

chęć mi nic powiedzieć. Pieprzone wzory dyskrecji.

— Cokolwiek by ci powiedział ten idiota, jesteś bezpieczna — szepcze Vincent do mojego ucha. Obejmuje mnie ciasno, przytulając się. — Przy mnie zawsze jesteś bezpieczna i nikt nie zrobi ci krzywdy.

Jego bliskość jest kojąca, ale to wszystko w połączeniu z moim niepohamowanym szczęściem sprzed kilku chwil sprawia, że nie mogę się powstrzymać. Wkurwia mnie ta popierdolona sytuacja.

— Możesz mnie oświecić, czym tak naprawdę się zajmujesz? Dlaczego zwykle wracasz z wyjazdów z ranami? Dlaczego on mówi, że masz duże problemy? Kurwa mać! — wybucham. — Vincent, nie okłamuj mnie w momencie, w którym zaczynam czuć się bezpieczna i szczęśliwa! To jest paskudne.

— Emerald. Po pierwsze, nie okłamuję cię i zawsze cię chronię przed ciągnącym się za mną głównem, o którym nie musisz na razie wiedzieć, po drugie, nie krzycz na mnie, bo nic się nie dzieje, i po trzecie, prosiłem cię: nie przeklinaj!

Jak on mnie wkurwia z tym upominaniem!

— Co wy macie z tym przeklinaniem?!

— Nie lubię, jak moja kobieta przeklina — oznajmia. — Denerwuje mnie to.

— A mnie denerwuje robienie ze mnie idiotki.

— Nikt nie robi z ciebie idiotki — prycha. — Troy po prostu nie umie uszanować mojego polecenia i jest jebanym debilem! — warczy. — Prosiłem, by nie wspominać o interesach i nie straszyć. I co? I gównie, bo Troy, mimo bycia skutecznym pomocnikiem, jest też durniem!

Odsuwa się ode mnie gwałtownie i obrzuca Troya morderczym wzrokiem. To, jak szatyn kurczy się pod mocą spojrzenia Vincenta, przyprawia mnie o ciarki. Gdyby Vince kiedykolwiek patrzył na mnie tym wzrokiem, nie zasnęłabym do końca życia, bojąc się, że zabije mnie we śnie.

— Nie możesz, jak normalny człowiek, powiedzieć mi, o co chodzi?

Staram się zapanować nad emocjami, ale nie potrafię. Chcę wiedzieć i koniec.

— Nie. — Zaciska zęby, przez co linia jego szczęki mocno się uwydatnia.

— Bo?

— Bo nie wierzę, że po tym, czego się dowiesz, nadal będziesz przy mnie.

— A co za różnica, kiedy mi powiesz?! — pryham.

— Ogromna, skarbie — wzdycha i spogląda na mnie z zatrwającą delikatnością. — Jeśli będziesz mnie kochać, nie zostawisz mnie po usłyszeniu o tym gównie — dodaje szeptem.

Zapada niezręczna, napięta cisza i... Jak ja mam być zdrowa?! No, kurwa mać, jak?!

— Jeśli masz zamiar mnie okłamywać, nie licz na to, że kiedykolwiek przyjdzie moment, w którym uznasz, że jestem gotowa — oznajmiam poważnie. — Jestem ciepłą kluchą, przyznaję się bez bicia, ale jeśli masz zamiar grać takiego dupka, to ja się wypisuję!

— Jakiego dupka?

— Kłamliwego! — krzyczę. — Kim ty jesteś, Vincent?!

Moje słowa trafiają w punkt. Widzę, jak napięcie zajmuje całą jego twarz, a maska obojętności pęka na pół, ujawniając jego strach. Strach, że go znienawidzę. Że się go boję i nie chcę przy nim być.

— Emerald... — Kręci głową. — To nie jest takie proste, jak myślisz.

— Więc mi wytłumacz.

— Daj mi czas — szepcze błagalnie i zamyka oczy. — Potrzebuję czasu, żeby zamknąć pewien rozdział w swoim życiu i oddać ci wszystko, co mam, bez niepotrzebnego rozlewu krwi.

— Rozlewu krwi? — pytam zszokowana.

— Do cholery, Valerio — syczy nieprzyjemnie. — Przestań naciskać i łapać mnie za słówka. Nic ci nie powiem, więc odpuść!

Kulę się pod wpływem tonu, jakiego używa, i zaciskam zęby. Jeśli myśli, że krzykiem rozwiąże ten problem, to się grubo myli!

— Nie jestem, nie byłem i zapewne nie będę dobrym człowiekiem, a ty musisz zaakceptować fakt, że wszystkiego wiedzieć nie będziesz. Zależy mi na tobie bardziej, niż możesz się tego spodziewać, i nie mam zamiaru narażać cię na niebezpieczeństwo z powodu moich problemów. Jesteś nietykalna i to, co niebezpieczne, dotyczy tylko mnie. Nie wolno ci się w to mieszać i to jest moje ostatnie słowo na ten

temat. Wychodzę, nie wiem, na jak długo, ale kiedy wrócę, masz być spakowana do wyjazdu — warczy.

Patrzy na mnie przez chwilę uporczywie, po czym wychodzi, zostawiając mnie samą z Troyem i Stanleyem. Cóż, chyba się nie na żarty wściekłam.

— Co on robi?! — wrzeszczę.

A oni spoglądają na siebie i nerwowo mrugają, przekazując sobie jakiś szyfr. Trwa to może pół minuty, po czym wstają i kompletnie mnie ignorując, wychodzą z pomieszczenia. Jestem na granicy wybuchu, więc zostaje mi tylko jedno.

Upić się.

Nienawidzę smaku whisky, ale nie mam wyboru, więc w ciągu dwóch godzin zeruję półlitrową butelkę. Doprowadzam się tym do ostatecznej granicy mojej alkoholowej wytrzymałości i wybucham płaczem, gdy w drzwiach pojawia się mój porywacz. Widzę go trochę niewyraźnie przez łzy i alkohol, który buzuje mi we krwi. Czuję się fatalnie i mam serdecznie dość tej popierdolonej karuzeli uczuć.

— Dlaczego płaczesz?! — pyta przerażonym głosem i podbiega do mnie. — Emerald, do cholery, ile ty wypiłaś?!

— Pół litra.

— Kurwa mać, dlaczego? — warczy swoim karcącym głosem. — Zaraz zwymiotujesz.

— Na ciebie chyba — pryham. — Zasłużyłeś na bycie obrzyganym, Vincent!

Zaciska powieki, by nie parsknąć śmiechem, więc uderzam go w ramię, bo nie ma prawa się ze mnie śmiać. Pieprzony nadęty pan i władca z tajemnicami! Mam w dupie jego tajemnice!

— Jesteś bucem, Visser — oznajmiam ze złością. — Wcale cię nie lubię.

— Skoro tak uważasz. — Wzrusza ramionami. — Nie jest ci niedobrze?

— Nie.

Odpycham go od siebie i wstaję na równe nogi, by być wyżej. Wbijam w niego palec pełen frustracji i pochylam się, by dokładnie widział moją przepitą twarz.

— Masz się mnie bać. — Mrużę oczy.

— Cały aż drzę.

— Chcę znać prawdę i zdecydować, czy moje uczucia nie zostaną zbezczeszczone — bełkoczę.

— Jakie uczucia? — Marszczy czoło. — Czujesz coś do mnie?

Nie, kurwa, wcale.

— Jak możesz nazywać półgłówkiem Troya, skoro sam jesteś debilem? Oczywiście, że czuję, idioto!

— Jak to? — Uśmiecha się szeroko.

Co za cholerny kretyn.

— Tak to, idioto!

Wybucha śmiechem, co trochę mnie rozczula. Jego śmiech jest uroczy, a ja kocham, gdy czuje się szczęśliwy. Nienawidzę tego gówna, które zaprzęta moją głowę. Sama już nie wiem, o co chodzi w tym chorym pierdolniku. Przerasta mnie siła jego uczuć, moich uczuć i tej przygniatającej mnie z każdej strony niewiedzy.

— Dobra. — Kręci głową. — Chodź tu.

Łapie mnie w tali i mocno do siebie przyciąga, przez co tracę równowagę i spadamy na materac. Moje czoło opiera się o jego wibrującą klatkę piersiową, a jego dłonie ściskają moje pośladki. Cholera, no.

— Zakochałam się w tobie — przyznaję przez zaciśnięte gardło. — A ty mnie okłamujesz.

— Nie okłamałam cię ani razu — szepcze. — Nie mówię ci wszystkiego, co nie oznacza, że kłamię, kochanie.

— Dlaczego nie mówisz mi wszystkiego?

— Bo się boję, że gdy poznasz moje drugie oblicze, to uciekniesz z krzykiem. Nie chcę cię stracić, Emerald, nie zniosę myśli, że się mnie boisz. Nie zniosę życia bez ciebie. Próbowałem, ale nie umiem dłużej bez ciebie żyć.

— Nie boję się ciebie — pryham, a moje pędzące serce topnieje na jego wyznanie. — Wkurzasz mnie.

— Jesteś rozkoszna — komentuje, na co podnoszę się do siadu. — Jesteś moim największym skarbem i wszystko ci opowiem, ale muszę być na to odpowiednio przygotowany.

— Co to jest, że tak bardzo nie chcesz mi powiedzieć?

— To moja przeszłość, przed którą do końca życia będę musiał cię chronić. Moje nazwisko i moje obowiązki. To wszystko, do czego zostałem zmuszony i do czego później sam się doprowadziłem.

— Podpadłeś komuś? — Krzywię się.

— Nie, to ktoś podpadł mnie, a ja muszę to wreszcie załatwić. Muszę zakończyć pewną sprawę, która zaczyna mnie doganiać. Czas mi się wyczerpuje, więc nie odpychaj mnie od siebie, skarbie... — Jego oczy robią się bezbronne, przez co moje serce zaczyna wariować. — Chcę się tobą nacieszyć tak bardzo, jak tylko jest to możliwe. Proszę...

— Nie rozumiem — przyznaję.

— Zaufaj mi, Emerald, i pozwól mi zadziałać po mojemu.

— Twoje tajemnice mnie przerastają.

— Powiem ci wszystko, ale jeszcze nie teraz. Najpierw muszę się uporać z gównem, które na siebie nałożyliśmy z Zeną. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, zdradzę ci każdy szczegół już niedługo.

— A jeśli nie pójdzie po twojej myśli?

— Staram się nie brać tego pod uwagę. — Podnosi się do siadu i ujmuje moje policzki. Jego smutny uśmiech łamie mi serce. — Kocham cię, skarbie.

— Vinnie...

— Prześpij się — szepcze, całując mnie niespiesznie. — Jesteś zmęczona i pijana.

Obejmuję go szczelnie za szyję i zamykam oczy.

Pogubiłam się.

Budzi mnie delikatny dotyk na policzku, który przenosi się na szczękę, a z niej na ramię. W końcu ktoś mną potrząsa. Czuję pulsujący ból w okolicy szyi i niechętnie uchylam powieki, by ujrzeć sprawcę mojego przebudzenia. Vincent pochyla się nade mną z lekkim uśmiechem i oczami pełnymi obawy. Krzywię się, widząc te emocje, ale nie komentuję. Unoszę dłoń, by pogłaskać go po policzku, i w końcu zdobywam się na pytanie:

— Gdzie jesteśmy?

— W Denver.

Robię grymas, bo kompletnie się tego nie spodziewałam. Myślałam, że polecimy za tydzień.

— Jesteś zły? — pytam, widząc ból w jego oczach.

— Nie, po prostu to Denver. — Zaciska powieki. — Twój dom i twoi znajomi.

— Twój dom też tutaj jest — zauważam. — Ale tak właściwie... dlaczego jesteśmy w Denver? Nie mieliśmy lecieć za tydzień?

— Mieliśmy. — Przygryza wargę, wbijając we mnie pełen emocji wzrok. — Po prostu w nocy dotarli do mnie pewne wieści. Postanowiłem przyspieszyć swoje działania, bo nie chcę dłużej trzymać cię w tej gównianej niepewności.

— Opowiesz mi wszystko?

— Tak. — Mruży oczy, a na jego obliczu znów maluje się cierpienie. Przyciągam go do siebie i przytulam, chcąc dodać mu wsparcia. — Możemy na chwilę zapomnieć o wszystkim, co gówniane? Żebyś jeszcze przez jakiś czas była nieświadoma i przekonana, że się we mnie zakochałaś?

Spinam się, ale... to cholerna prawda, więc dlaczego miałabym kłamać?

— Niech będzie. — Całuję go przeciągle w szyję i zaraz się odsuwam. — Czego się tak boisz?

— Niczego — wzdycha. — Po prostu to miasto ma według mnie złe wibracje. Wychodzimy?

— Dokąd? — jęczę.

Chcę pospać jeszcze chwilę, bo kac boleśnie wbija szpilki w moją głowę i niewiele ogarniam.

Zdecydowanie przesadziłam z tym bursztynowym ohydztwem. Whisky nie jest dla mnie.

— Emerald, siedzimy w samolocie. — Przewraca oczami. — Jesteś rozkojarzona.

— Rozespana — poprawiam go. — Bądź znów słodki, proszę.

Wydymam wargę, by złagodzić jego humor, i ponownie łapię go za policzki. Przesuwam po nich kciukami i gdy nie widzę poprawy w jego minie, przyciągam go do pocałunku, który odwzajemnia. Nie jest jakoś szczególnie zainteresowany, ale nie odsuwa się. Coś wyraźnie go gryzie.

— Przestań być taki dziwny — mruczę w jego wargi. — Powiedziałam ci coś złego w nocy?

— Mówiłaś różne rzeczy — wzdycha. Całuje mnie po raz ostatni i prostuje się, by następnie wyciągnąć w moim kierunku dłoń. — Raczej były to dobre rzeczy, poza tym, że zażądałaś, bym się ciebie bał.

— W sensie? — Parskam śmiechem.

Podaję mu dłoń i wstaję. Nie wiem, co się działo, kiedy skończyłam butelkę, ale jestem pewna, że nie zrobiłam niczego złego. Zwykle najgorsze momenty zostają w mojej głowie, przynajmniej w prześlaskach. A teraz mam czystą głowę z kilkoma myślami dotyczącymi naszej rozmowy.

— Powiedziałas, że mam się ciebie bać.

— I co? — Marszczę czoło. — Boisz się?

— W dalszym ciągu cały aż drzę. — Uśmiecha się lekko. — Chciałbym być w stosunku do ciebie fair i wszystko ci opowiedzieć, żebyśmy mogli być razem... — Zamyka oczy. — Ale prawda może cię przygnieść, a ja nie chcę marnować czasu na samotność, skoro cię mam. Nie umiem sobie wyobrazić życia, w którym nie jesteś przy mnie.

Jego uczucia przyprowadzają mnie o dreszcze. Jest taki... oddany?

— Przecież nie wiesz, jak zareaguję.

— Twoje uczucia do mnie są mieszanką strachu i ekscytacji, co w konsekwencji daje mi niewielkie szanse na twoją przychylność, gdy ci powiem, co robię. Nie przywykłaś do takiego życia.

— Zaufaj mi. — Uśmiecham się ciepło, gładząc jego policzki. — Nie wariuj.

— Pierwszy raz w życiu przeraża mnie fakt, że jestem w tym mieście, Emerald. To nie jest zabawne.

— Ale dlaczego? Boisz się mojej babci? — Wykrzywiam się z rozbawieniem. — Jest czasem trochę zaborcza, ale bez przesady. To słodka staruszka.

— Powiedziałem ci, że gdy poznasz mojego kota, to dowiesz się, czym się zajmuję. — Kręci głową. — Dzisiaj będziemy spać w domu, w którym się poznaliśmy, a tam jest mój kot.

O mój Boże.

— Więc dzisiaj powiesz mi prawdę?

— Wolałbym tego uniknąć — przyznaje. — Potrzebuję więcej czasu, bo inaczej sprawy mogą się skomplikować, ale... to, czego tak bardzo potrzebowałem, już mam, więc powinienem zrobić kolejny krok. Z myślą, że coś do mnie czujesz, będzie mi łatwiej.

Uśmiecha się z rozbrajającą czułością i obejmuje mnie w pasie. Jest zagubiony, co trochę mnie martwi. Wiem jednak, że potrzebujemy tego kroku z jego strony, byśmy mogli stworzyć coś trwałego i prawdziwego.

Chcę z nim stworzyć coś trwałego i prawdziwego.

— Im szybciej mi powiesz, tym szybciej się przekonasz, jaka będzie moja reakcja. Denerwuje mnie to, że twoi ludzie wypalają z jakimś tekstem, a później, gdy się okazuje, że to była tajemnica, od razu zamierają, a ja niczego się nie dowiaduję i żyję wściekła z tej niewiedzy. To cholernie frustrujące.

— Przepraszam. — Zaciska wargi. — Chciałbym być normalnym gościem z normalną robotą, ale nie jestem i nigdy nie będę, a moja przeszłość nie zniknie.

— Dramatyzujesz tak samo jak Stanley i Troy — wzdycham. — Lepiej chodźmy coś zjeść. Wrócimy do tej rozmowy później.

— Jak sobie życzysz, moja pani — kpi.

A ja się cieszę z poprawy jego humoru.

Kilka minut po piętnastej stajemy na ganku domku mojej babci. Temperatura nie rozpieszcza, ale bliskość Vincenta daje mi wystarczająco dużo ciepła i satysfakcji, by przeżyć.

Mocno pukam do drzwi i odsuwam się o krok, by oprzeć głowę na torsie mojego mężczyzny. Reaguje cichym śmiechem, który wpada prosto w moje ucho moment przed tym, gdy całuje mnie w policzek.

— Chyba się stresuję — mruczy.

— A ja nie, moja babcia jest kochana.

Kończę zdanie, gdy drzwi otwierają się powoli i ukazują się najważniejsza kobieta w moim życiu. Jest ubrana w zielony sweter, który podbija głębię jej oczu. Wgapia się w Vincenta, jakby zobaczyła ducha, a z jej twarzy powoli zaczynają odpływać kolory. Cholera.

— Bab... — zaczynam, ale przerywa mi drżącym z emocji głosem.

— Vincent Visser.

Serce mi staje, a mięśnie mojego towarzysza tężeją. Drżymy oboje, a babcia naprawdę wygląda, jakby miała zaraz zejść na zawał. Jej oczy wypełniają się miłością, która kontrastuje z papierowym kolorem jej skóry. To... niepokojące.

— Skąd wiesz, jak on się nazywa? — Marszczę brwi. — I dlaczego tak zbladłaś?

Kręci głową, jakby chciała zaprzeczyć widokowi, który ma przed twarzą, i niepewnie wyciąga dłoń w stronę mężczyzny. Strasznie drżąca. Spoglądam na Vincenta i kiwam, żeby ją złapał, a on od razu wykonuje moją niemą prośbę. Ujmuje dłoń mojej babci, a z jej oczu wypływają łzy. Co się, do cholery, dzieje?

— Babciu? — pytam po chwili, a ona nie reaguje.

Wpatruje się w Vincenta, jakby był jedynym człowiekiem na ziemi. To przerażające i dziwne.

— Ja pierdołę — komentuje kobieta w końcu i napełnia płuca powietrzem.

Nie potrafię się powstrzymać, usłyszawszy to słowo, i wybucham śmiechem. Nie pamiętam, żeby moja babcia kiedykolwiek użyła wulgaryzmu. Przez dwadzieścia trzy lata nie słyszałam żadnego cholernego przekleństwa z jej ust.

— Muszę usiąść — mówi i kręci głową.

Odwraca się powoli w stronę mieszkania i nie puszczając Vincenta, rusza do środka. Kieruję się za nimi i już po chwili siedzę obok nich na fotelu. Kobieta bawi się palcami mojego towarzysza, a ja naprawdę, kurwa, niczego nie rozumiem. I on również nie rozumie, co wnioskuje z jego twarzy. Choć rozbawienie tańczące w jego mieniących się oczach jest trochę zaskakujące.

— Dobrze, już jest w porządku.

Babcia ociera łzy wolną ręką i w końcu spogląda na mnie. Przez chwilę odnoszę wrażenie, że ma ochotę parsknąć śmiechem, ale zaraz wraca do miny mówiącej, że jej serce może stanąć w każdym momencie. Zerka na mojego towarzysza, uśmiecha się rozbijając i znów patrzy na mnie.

Pogubiłam się.

— Ten chłopiec jest wnukiem Vincenta Vissera? — pyta.

— Jesteś? — pytam go.

— Mój dziadek nazywał się Vincent Visser — przyznaje mój porywacz z zaskoczeniem. Ale cały czas mam wrażenie, że jest rozbawiony. — Ale skąd pani go zna? — pyta babci.

— Poznałam Vincenta, mając osiemnaście lat. Był ode mnie starszy o sześć lat i jak zawsze mówił, pokochał mnie od pierwszego wejrzenia — szepcze. — Wyglądał dokładnie tak jak ty.

Jej pełen miłości wzrok od razu mnie otrzeźwia.

— Czeka! — Podnoszę się gwałtownie. — Chcesz powiedzieć, że *mój* Vincent jest wnukiem *twojego* Vincenta? Tego mężczyzny, który zostawił cię po pięciu latach bycia razem?

— Tak.

— O mój Boże — jęczę i opadam na kanapę. — Pieprzone życie.

— Vincent był miłością mojego życia.

— Pani ma na imię Louise? — pyta Vincent i otwiera szeroko oczy na potakiwanie mojej babci.

A ja mam wrażenie, że moje życie właśnie staje naprzeciwko mnie i śmieje mi się prosto w twarz. I to tak kpiąco i wrednie się śmieje!

— Więc twoja babcia jest kobietą, dla której mój dziadek zrezygnował ze szczęścia — mówi cicho.

Babcia wzdycha, przenosząc się myślami do przeszłości, i po chwili zaczyna opowieść:

— Vincent wraz z dwojgiem przyjaciół prowadził życie, które przerosło moje oczekiwania. Jego wrogowie chcieli go zniszczyć, krzywdząc mnie, bo wiedzieli, że jako jedyna dotarłam do tego miejsca w jego sercu, do którego nie miał dostępu nikt. Kilka razy otarłam się o śmierć, a on zdecydował, że moje bezpieczeństwo jest ważniejsze niż ciągły stres wynikający z naszego wspólnego życia.

— A czym on się zajmował? — pytam, patrząc prosto w przeprasające oczy Vincenta.

Boi się. On naprawdę się boi! A babcia nadal głaska jego dłoń. Chyba jestem w jakiejś innej rzeczywistości, bez jaj.

— Vincent... odpowiadał za przemyt broni i handel narkotykami z Ameryki na inne kontynenty. Miał wysoką pozycję w półświatku Miami, przez co jego głowa była jedną z najcenniejszych do zdobycia. Moja, przez fakt, że szaleńczo mnie kochał, była zaraz po nim. Dopóki nie sprawił sobie potomka, znajdowałam się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

— Pogubiłam się.

— Pewna część półświatka Miami działa w schematyczny sposób, który ustaliło trzech szaleńców — zaczyna Vincent. — Jeśli członek rodziny spłodzi potomka, ma obowiązek trwać przy kobiecie, która dała mu dziecko. Bez względu na wszystko. Zdrada lub odsunięcie od siebie tej kobiety są równoznaczne ze śmiercią. W ten sposób każdy z członków mafii ma okazać szacunek kobiecie, która nosi jego dziecko.

To... dziwne.

— Vincent zrobił dziecko innej, bym ja była bezpieczna — dodaje moja babcia.

To z kolei jest jeszcze dziwniejsze. Mój mózg zaczyna wrzeć. Nie przygotowałam się na takie informacje i zdecydowanie nie sądziłam, że to może być jakiś cholerny półświatek! Co to w ogóle za pojebane zasady?

— Tak po prostu? I dali ci spokój tylko dlatego, że inna miała urodzić mu dziecko?

— Tak, spotykaliśmy się potajemnie, ale już nigdy nie było to tym, czego pragnęłam. Nie miałam do niego żadnych praw, więc wyszłam za twojego dziadka. — Wzrusza ramionami z widocznym na twarzy żalem. — Pierścionek od Vincenta noszę do dzisiaj. — Unosi przed twarz naznaczoną wiekiem dłoń i spogląda na pierścionek z wielkim szmaragdem, który nosi, odkąd pamiętam. — Przypomina mi o mężczyźnie, który zdobył, zdominował i doszczętnie zmiotł moje serce.

Zamieram. Moje oczy kierują się na twarz Vincenta, ale on nie patrzy na mnie. Patrzy na pierścionek na serdecznym palcu mojej babci. Jasna cholera.

— Jak się poznaliście?

— Siedziałam w parku z przyjaciółką, a on biegał z przyjacielem. — Babcia zamyka oczy, a na jej twarzy pojawia się bolesny uśmiech. — Miał na sobie czarny dres i włosy wykręcone w każdą możliwą stronę. Spojrzał na mnie, ponieważ wybuchłam śmiechem, usłyszawszy komentarz przyjaciółki. I odkąd wtedy spojrział, jego oczy zostały w mojej głowie do tej pory. Najpiękniejsze brązowe oczy, w jakie patrzyłam. Jedyne, jakie pokochałam. I jedyne, jakie będę wspominać w chwili śmierci.

Zawsze opowiadała mi o tajemniczym mężczyźnie, który wkradł się do jej serca i nigdy go nie opuścił, ale... nie spodziewałam się, że do mojego wkradnie się jego cholerny wnuk!

— Pozwoliłaś mu odjeść?

— Nie dał mi wyboru. — Jej głos się łamie. — Przepraszam, muszę się położyć — dodaje szeptem.

Wstaje z miejsca i kieruje się do pokoju, nadal trzymając dłoń Vincenta w swojej. Chcę pójść za nimi, ale powstrzymuję się i idę do kuchni, by zrobić nam coś do picia. Drzemki stresowe babci trwają zazwyczaj dwadzieścia pięć minut. Włączam wodę na herbatę, wsypuję do kubków mieszankę suszonych liści, które kocha moja staruszka, i opieram się o blat dłońmi. Jestem przepełniona napięciem i nie mam pojęcia, jak sobie pomóc. Moja głowa wręcz się gotuje, bo nigdy bym nie przypuszczała, że życie może zatoczyć takie koło.

Słyszę kroki Vincenta i spinam się na samą myśl o rozmowie, jaka nas czeka. Gdy podchodzi, obejmuje mnie mocno w talii i przywiera do moich pleców. Jest zdenerwowany.

— Przepraszam — szepcze mi do ucha. — Przepraszam, Valerio.

— Za co?

— Za to, że ja nie będę potrafił dać ci odejść.

Cholera. Zaciskam powieki, nie wiedząc, co powiedzieć, i odchylam głowę, opierając ją na jego ramieniu. Przytula nos do mojej szyi, przez co czuję lekkie łaskotki. Nie reaguję na nie. Potrzebuję chwili spokoju, który odnajduję w jego ciepłych ramionach.

Po kilku głębokich oddechach otwieram oczy i spoglądam na kubki, w których parzy się nasza herbata. Śledzę ślad dymu przez dłuższą chwilę i nie umiem odsunąć się od Vincenta, który obejmuje mnie z ujmującą potrzebą bliskości. Jest tak samo skołowany jak ja, doskonale to czuję w sile jego uścisku.

— Wiedziałem, że moje życie będzie odbiciem losów mojego dziadka, ale nigdy bym nie pomyślał, że to podobieństwo dotknie także ciebie — mówi po długiej ciszy.

— Masz coś wspólnego... z mafią? — pytam wprost.

Jeśli coś mnie niepokoi i jednocześnie ciekawi, to właśnie to.

— W pewnym sensie tak — przyznaje. Puszczając mnie niechętnie, więc powoli odwracam się do niego przodem. — Mam do czynienia z czymś, co można określić mafią.

— To czym się zajmujesz?

— Jestem konsekwentny i zawsze dotrzymuję słowa, więc powiem ci dopiero, gdy poznasz mojego kota. — Zamyka oczy. — Proszę, nie patrz na mnie z tym zawodem, bo nie mogę tego wytrzymać.

Nie patrzę na niego z zawodem! A raczej: nie wydaje mi się, bym tak patrzyła. Czuję się skołowana, ale nie zawiedziona. Mogłam się domyślić, że robi coś nielegalnego, jednak byłam tak pochłonięta nim samym, że nawet nie próbowałam tego analizować. Po prostu dałam się omotać uczuciom.

— Czy ja jestem przez ciebie w niebezpieczeństwie? — pytam niepewnie.

— Nie — odpowiada od razu. W jego oczach wybucha coś rozbijająco mocnego. — Jesteś bezpieczna. Gdy jesteś przy mnie bądź z moimi ludźmi, nic ci nie zagraża. Nie pozwolę ci skrzywdzić. Nikomu. Nigdy.

Uśmiecham się nieznacznie. To... naprawdę przyjemne wiedzieć, że tak bardzo mu zależy.

— Czy jest ktoś, kto chce się mnie pozbyć?

— Ciebie? — Marszczy czoło i znów na mnie spogląda. — Nie, nie wydaje mi się. Chyba że Ginger, ale ona jest nieszkodliwa. Jej ojciec otrzymał to, czego chciał, i sam się przejechał na konsekwencjach. — Krzywi się. — W zasadzie ja też przez to nieźle dostałem po gębie. Ale to nieważne. Ginger może być jedynie złośliwa.

— Jedna rzecz nie daje mi spokoju — mówię. — Dlaczego tak bardzo boisz się mojej reakcji na to, co robisz, skoro i tak bez względu na moje zdanie nie chcesz mnie wypuścić?

— Nie chcę widzieć w twoich oczach strachu. Chcę być twoim schronieniem, a nie powodem koszmarów. Chcę być z tobą i kochać cię tak, jak na to zasługujesz, i... chcę, żebyś mnie potrzebowała. Ale to wszystko jest ostro popaprane — wzdycha. — Przepraszam.

— Cóż, nie mogę się nie zgodzić. — Uśmiecham się lekko i tym razem to ja obejmuję go w pasie. — Ale to nie zmienia faktu, że bardzo cię lubię i chcę, byś był obok mnie. Może tak właśnie miało być? Może powinniśmy dokończyć to, co zaczęli nasi dziadkowie?

Chyba mi odbija.

— To znaczy, że naprawdę chcesz ze mną być? — pyta niepewnie, a jego twarz rozświecila tak rozbijająca nadzieja i szczęście, że nawet gdybym go nie chciała, nie potrafiłabym tego powiedzieć. — Naprawdę? — dodaje szeptem.

Wygląda, jakby wygrał los na loterii, a ja mam ochotę go przytulić. Chcę z nim być i brać wszystko, co mi daje, w zamian za obecność i wsparcie. Nie minęło wiele czasu, ale zdążyłam polubić go znacznie bardziej, niż powinnam. I naprawdę nie chcę, by zniknął z mojego życia. Zwłaszcza teraz,

gdy jego obecność wydaje mi się czymś, co *miałam od zawsze*. Skoro moja babcia wciąż kochała jego dziadka mimo rozstania z nim, to można uznać, że i my od zawsze byliśmy ze sobą związani.

— Chcę być z tobą i obok ciebie — oznajmiam z pewnością w głosie. — A ty od dzisiaj masz mi mówić wszystko. Dosłownie wszystko, Vincent, oczekuję pełnej szczerości.

— Dobrze. — Szczęrzy się. — Zrobię, co tylko chcesz.

— Wystarczy, że będziesz szczerzy — podsumowuję. — I będziesz mnie często przytulał — dodaję z uśmiechem. — Możesz zacząć już teraz.

— Jesteś najśłodsza — jęczy z rozbawieniem.

Obejmuje mnie ramionami i wciska nos w moją szyję. Jest ciepły i delikatnie drży, co wydaje mi się urocze. W ogóle odkąd zobaczył się z moją babcią, jest niepewny i delikatny. Podobają mi się to. Bardzo mi się podoba.

— Chciałbym zabrać cię na wyspę w niedalekiej przyszłości — mruczy przy mojej skórze. — A tam chciałbym ci podarować coś, co jest dla mnie bardzo ważne.

— Rozleniwiasz mnie i rozpieszczasz — wzdycham. — Powinnam iść do pracy i tak dalej.

— Nie, powinnaś być przy mnie i tylko to.

— I być zależną od ciebie na każdym kroku? Nie chcę tak.

Odsuwa się ode mnie i spogląda w moje oczy z naburmuszoną miną. Jest wyraźnie nieusatisfakcjonowany moim pragnieniem samodzielności.

— Nie dąsaj się. — Parskam śmiechem.

Łapię go za szlufki w spodniach i ciągnę do siebie, by był bliżej z tym swoim minifochem. Unoszę głowę, by spojrzeć w te wielkie brązowe oczy, które mienią się pięknym blaskiem, i szeroko się uśmiecham. Ma niewzruszoną minę, ale widzę, jak wiele uczuć skrywają jego oczy.

— Vinnie — jęczę. — Daj mi buziaka, co?

— Nie dam — droczy się, unosząc wysoko głowę.

— Dupek!

— Który bardzo cię lubi. — Przygryza wargę.

— Tylko lubi? — Krzywię się nieusatisfakcjonowana. — Myślałam, że coś więcej.

Parska cichym śmiechem. Pochyla się nade mną z błyszczącymi oczami i nim się orientuję, jego słodkie wargi pieczą moje w lekkim pocałunku. Porusza się spokojnie, co chwila muska moją wargę i głaszcze policzki. Jest tak rozbrajająco czuły w swoich ruchach, że nie mogę znieść intensywności szarzy motyli w moim brzuchu.

— O wiele więcej, Emerald — mruczy.

— Wiele?

— Myślę, że bardziej się już nie da. — Śmieje się. — Mam ochotę...

— Valerio? — przerywa mu zniecka babcia.

Odsuwam się delikatnie od Vincenta i szybko przenoszę na nią wzrok. Stoi oparta o ścianę, a jej zielone oczy błyszczą łzami. Ale nie jest smutna, wręcz przeciwnie. Wygląda na szczęśliwą.

— Chciałbym, żebyś wiedziała, że miłość to poświęcenie — mówi z westchnieniem. — Ja pozwoliłam zdecydować rozsądkowi, a zignorowałam serce, ale ty tego nie rób. Nie warto — dodaje ciszej. — Nawet jeśli coś cię przerasta... pamiętaj, że miłość jest warta naprawę wiele. A on cię kocha.

O mój Boże.

— Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? — pytam, kątem oka spoglądając na Vincenta.

— Tak, to spontaniczna miłość, która spotyka tylko wyjątkowe osoby.

— Ale jesteś skromna. — Parskam śmiechem, co wyraźnie ją rozluźnia.

— Wiem. Nie mam niestety siły z wami posiedzieć po nawale wspomnień, więc przepraszam, ale wracam do pokoju — informuje z żalem. — Przyjedźcie do mnie jutro, dobrze? Chciałbym sobie poukładać kilka rzeczy i wtedy na spokojnie porozmawiamy.

Po tych słowach wychodzi, a ja przygryzam wargę.

Czy to możliwe, że życie miało dla nas tak pokopany plan? Byśmy zakończyli to, co rozpoczęli nasi dziadkowie? Byśmy się spotkali i byli razem, bo oni nie mogli? To dziwne. Lekko pokręcone. Odrobinę przerażające. Ale przede wszystkim po prostu niesamowite.

— Twoja babcia jest słodka — komentuje mój partner.

A ja parskam śmiechem, bo zdecydowanie za dużo tego słowa ostatnio w moim życiu. Zaczynając od Vincenta, a na mnie i babci kończąc. To niepokojąco ekscytujące i nie wiem, czy jestem gotowa na więcej. Cholerka.

Jestem... szczęśliwa?

Rozdział 25

O osiemnastej dwadzieścia, z pełnymi brzuchami i dobrym humorem, stajemy przed willą, w której po raz pierwszy się spotkaliśmy. Mam mieszane uczucia. Zaczyna się coś, czego zapewne nie chcę. Albo chcę, ale to mnie nie usatysfakcjonuje i zniszczy jakąś część naszego chwilowego szczęścia.

— Zanim przekroczysz próg tego domu — zaczyna Vincent, łapiąc mnie za rękę — chcę, żebyś wiedziała, że jestem skłonny oddać wszystko i z miejsca zrezygnować ze swojej pracy. Jeśli zostaniesz i nie będziesz się mnie bać, obiecuję, że spełnię wszystkie twoje marzenia. Przysięgam na wszystko, co dla mnie ważne, że wystarczy tylko jedno twoje słowo, a rzucę to gówno i nigdy do niego nie wrócę.

Zamieram. Moje dłonie i nogi drętwieją, a oddech chwilowo się zatrzymuje. Nic nie rozumiem. O mój Panie, kurwa, nie rozumiem.

— Stresujesz mnie — przyznaję, ale nie mam odwagi spojrzeć na jego twarz.

— Po prostu... to może być trudne do zaakceptowania. Chciałbym cię przygotować na to, z jak dużym ciężarem będziesz się mierzyć, bo... musisz poznać prawdę. — Opiera czoło o tył mojej głowy i obejmuje mnie za ramiona. Jest rozbijająco zestresowany. — Dostałem informację, że mogę zakończyć największe gówno, które się za mną ciągnie. Zanim to zrobię, chcę, żebyś wiedziała o mnie wszystko.

Brzmi niepokojąco.

— To... może miejmy to po prostu za sobą, co? — proponuję niepewnie.

Ta niewiedza i jego ostrzeżenia mnie wykańczają. Chcę już wiedzieć. Chcę znać prawdę i spróbować się z tym pogodzić.

— No dobrze — wzdycha.

Puszcza mnie i niechętnie podchodzi do drzwi, by zaraz otworzyć je kluczem. W środku jest bardzo cicho i spokojnie, co w dziwny sposób mnie odpręża. Zapach również taki jest. Wszystko wydaje się sprzyjające, mimo że atmosfera z sekundy na sekundę coraz bardziej gęstnieje. Widzę, jak emocje przejmują kontrolę nad ciałem Vincenta.

Gestem ręki zaprasza mnie do środka, więc wchodzę i natychmiast odwracam się w jego stronę. Jest całkowicie poważny i tworzy między nami dystans, który teraz jest naprawdę cholernie niepotrzebny.

— Wychował mnie dziadek — mówi. — W tym domu mieszkałem z nim od dwunastego roku życia i uczyłem się, jak być silnym mężczyzną i pokonywać wszelkie przeszkody. Uczyłem się być twardym i nieugiętym, by móc przejąć jego część w tym cholernym półświatku. Brudne interesy, śmierć i zło od zawsze zajmowały wiele miejsca w moim życiu, ale nigdy nie doświadczyłem tego na własnej skórze, bo dziadek bardzo mnie kochał. — Uśmiecha się lekko, zapewne na wspomnienie o krewnym. — Niestety nie każdy miał tyle szczęścia co ja. — Posępnieje, przez co jego oczy ciemnieją. — Tak czy inaczej moi rodzice mieli gdzieś to, na czym mój dziadek zbudował swoje imperium, i mieli też gdzieś mnie, więc oddali mnie pod jego opiekę. Miałem zostać przygotowany do brutalnego życia, w którym musiałem sobie poradzić bez względu na wszystko. Radziłem sobie i słuchołem o szmaragdach. O kobiecie o szmaragdowych oczach. O miłości życia mojego dziadka, której pozwolił odejść.

Podchodzi do mnie powoli i z niebywałą czułością ujmuje moją twarz. Gładzi moje policzki, uparcie wpatrując mi się w oczy, i drży, czego zapewne nie jest świadomy.

— Opowiadał mi o Louise, którą obsesyjnie kochał, ale dał jej wolność i bezpieczeństwo. To była boleśnie długa i ciągnąca się opowieść, ale lubiłem o tym słuchać, bo jego miłość była naprawdę silna, wręcz wyczuwalna. Znałem jej oczy i pewnie dlatego te cholerne szmaragdy są też moją obsesją. — Zaciska powieki. — Była dla niego całym światem, a on był moim światem.

— Ale pozwolił jej odejść — zauważam szeptem.

— Wiedział, że jego życie jest dla niej zbyt niebezpieczne, i bał się, że ją straci. Wolał, by była bezpieczna i żywa z kimś innym niż zagrożona, ale przy nim — wzdycha. — Gdy zmarł... odwaliło mi. Nie chciałem mieć do czynienia z niczym, co przyczyniło się do jego śmierci, więc zostawiłem wszystko jego współnikom. Miałem okropny czas i moim jedynym celem było odnalezienie tego skurwiela, który go zabił. Ale nie mogłem go dorwać, bo był sprytniejszy, niż sądziłem. Przez to wszystko... robiłem okropne rzeczy. Z żalu, frustracji i potrzeby zniszczenia wszystkiego, co przypominało mi o mojej

stracie...

— Co było później? — szepczę, a moje serce pędzi jak szalone.

— Rodzina Ginger zawsze była powiązana z interesami mojego dziadka. Miałem się z nią ożenić, żeby przypieczętować umowę, ale gdy zginął dziadek, nie mogłem tego zrobić. Moje obowiązki przeszły na kogoś innego, na Zenę, który przez to teraz kurewsko cierpi. Jednak Ginger nie odpuszczała, przez nią... zabiłem kogoś. Wykradła teczki z poufnymi informacjami swojego ojca i dałem się omotać pragnieniem zemsty. Zacząłem likwidować ludzi, którzy zagrażali jej ojcu, bo obiecał mi, że pomoże mi znaleźć skurwiela, który zamordował mojego dziadka. Wywiązał się z obietnicy, więc przyjmowałem zlecenia na zabójstwa i nigdy się nie wahałem przed pociągnięciem za spust. Likwidowałem ich jak maszyna, którą się stałem. — Kręci głową i niepewnie spogląda w moje przerażone oczy. — Potem zaczęły do mnie wracać wspomnienia szmaragdowych oczu. Ta miłość, którą zawsze czułem obok siebie, to obsesyjne pragnienie zatrzymania przy sobie tej jednej osoby o takim kolorze oczu. — Zaciska powieki. — Próbowałem znaleźć to coś u kobiet o zielonych oczach. Szukałem oczu, w których się zatracę tak jak on. Ale każda kolejna dziewczyna doprowadzała mnie do obłędu. Żadna nie była *ta właściwą*. Niszczyłem je, wykorzystywałem, by sobie ulżyć, a potem kazałem im wypierdalać. Ginger... Ona przekazywała je dalej, nie wiedziałem, co robi, nie obchodziło mnie to. Każdą wyprowadzała z mojego domu i ślad po nich znikał. Okazało się, że miała kontakty i sprzedawała je, czego do niedawna nie byłem świadomy. Nienawidziła i nienawidzi każdej dziewczyny o zielonych oczach, bo zna moją obsesję. Mściła się na nich z mojego powodu. — Nabiera w płuca powietrza i powoli otwiera oczy, spoglądając na moją twarz. — Żyłem tak przez długi czas, po czym Zenie konkretnie odpiardoliło i znów wszystko się posypało. Ja musiałem się pozbierać, bo on się rozsypał. Długo zajęło mi, nam wszystkim w zasadzie, odzyskanie względnej normalności. Wróciłem do Denver, bo tylko tutaj mój dziadek zawsze odczuwał spokój, dzięki twojej babci. Na tę okazję zamówili mi tort, pojawiłaś się ty... Moje upragnione szmaragdowe oczy...

Spina się, przenosząc wzrok z mojego czoła na oczy, i zagryza wargę. Patrzy na mnie czule i nagle nie widzę już nic. Bo całuje mnie zachłannie, jakby chciał przekazać to, co czuje. Jakby to miał być ostatni pocałunek. Jakby, kurwa, wiedział, że to cholerny koniec. Oddaję pieszczotę, kompletnie skołowana i przytłoczona informacjami.

Nie mam pojęcia, co myśleć. To wszystko...

— Nie umiem opisać słowami tego, jak bardzo cię kocham — szepcze. — Ale z każdym dniem czuję to mocniej i nie chcę cię stracić. Tak bardzo nie chcę cię stracić, Emerald.

Jego głos drży, a ja nie rozumiem. Jego słowa mieszają się w mojej głowie i tworzą w niej papkę. Kim on w końcu jest?

— Ja... — zaczynam, ale nie kończę.

Do moich uszu dociera miauczenie kota, a Vincent klnie pod nosem i zaciska powieki.

— Spójrz na niego — cedzi przez zęby.

Moja głowa dosłownie pęka. Niczego nie rozumiem, nic się nie łączy. To mnie, kurwa, frustruje!

Odwracam się powoli i dostrzegam czarnego, dostojnie siedzącego futrzaka z ogromnymi, żółtymi ślepiami. Spinam się, gdy twarz Vincenta pojawia się obok mojej, i wręcz czuję, jak uchodzi ze mnie życie, gdy jego cichy szepc dociera do mojego ucha:

— Nazywa się *Morderca*.

Powietrze zatrzymuje się w moim gardle i nie chce przejść ani o milimetr dalej, by nasycić moje płuca. Patrzę na niewinnie wyglądające zwierzę jak na nadnaturalne stworzenie i nie wiem, naprawdę, do cholery, nie wiem, co myśleć. Nie mam pieprzonego pojęcia, czego właśnie się dowiedziałam. On... zabijał ludzi. Ale...

— Co to tak właściwie znaczy? — szepczę.

— To znaczy, że jestem potworem. Jestem mordercą na zlecenie, zabiłem mnóstwo złych ludzi i nieświadomie zniszczyłem życie wielu dziewczynom z zielonymi oczami.

Zamieram. Serce staje mi w miejscu, a dłonie się trzęsą. Prawda zaczyna docierać do mojego zamroczonego umysłu i wypalać w nim dziury. Vincent jest mordercą. Mordercą, który pozbawił życia ludzi. Skazał ich na śmierć, odebrał im oddech.

O mój Boże.

— Przepraszam, Emerald — mówi wprost w moje ucho. — Przepraszam.

— Za co mnie przepraszasz?

Mój głos drży, przez co nie jestem pewna, czy w ogóle mnie zrozumiał. Jego dotyk na moich ramionach, mimo ubrania, cholernie pali. Czuję ból i pragnę, żeby jego słowa były pieprzonym kłamstwem. Żeby nie był niebezpieczny. Żeby nie miał na sumieniu niewinnych ludzi. Żeby... Cholera.

— Przepraszam, że musiałaś się o tym dowiedzieć.

— Zabijałaś niewinnych ludzi?

— Nie byli niewinni — wzdycha. — To byli ludzie, którzy krzywdzili więcej osób, niż myślisz. Nie uśmierciłem nikogo z własnego powodu. Tylko Tristana Scotta, który zabił mojego dziadka. Wbiłem mu nóż w serce tak, jak on wbił w serce mojego dziadka. Na moich oczach zamordował mężczyznę, którego kochałem nad życie, Valerio. Zabił go, patrząc mi w oczy. Zrujnował mój świat doszczętnie i zrobił to z uśmiechem, który widzę każdego dnia przed przebudzeniem. A raczej widziałem, bo odkąd cię mam, widzę tylko ciebie. Prostujesz mój świat, Emerald, budujesz go od fundamentów i sprawiasz, że nie chcę strzelić sobie w głowę z tej pieprzonej goryczy. Jesteś promieniem słońca w mojej wewnętrznej burzy.

— Muszę usiąść — szepczę.

Odsuwam się od niego i ruszam przed siebie. Mijam kota, który beznamyślnie na mnie patrzy i nawet nie raczy się ruszyć, gdy prawie trącam go nogą. Idę jak w amoku, nie mam pojęcia gdzie, bo nigdy nie byłam w tym miejscu. Nie wiem, gdzie jestem. Nie pamiętam, jak weszłam tutaj za pierwszym razem. Jak przyprowadził mnie Stanley. Kurwa mać, to jest takie popieprzone! Skręcam w pierwsze drzwi i trafiam do ogromnego salonu, w którym na szczęście stoi sofa. Siadam na niej i momentalnie chowam twarz w dłoniach. Nie chciałam się dowiedzieć takich rzeczy. Nie chciałam. Naprawdę, kurwa, nie chciałam!

— Emerald, nie nienawidź mnie — szepcze Vincent, który klęka przede mną.

Kładzie dłonie na moich udach i gładzi je w geście pocieszenia, ale to do mnie nie dociera. Moje ciało drży, tak samo jak wnętrze, i choćbym bardzo chciała się uspokoić, nie mogę. Wszystko legło w gruzach. Wszystko się posypało. Wszystko, do cholery, straciło swoją siłę! Vincent jest mordercą.

— Odkąd cię mam, nikomu nie zrobiłem krzywdy — mówi. — Odkąd tylko pojawiłaś się w moim życiu.

— Stąd masz tyle pieniędzy? Cały twój majątek jest za morderstwa? Które wykonywałaś bez zająknięcia?! Kurwa mać, Vincent! — krzyczę.

Zamiast uczuć kłębi się we mnie coś w rodzaju ogromnej kupy szajsu, który przepływa przez cały mój organizm. Pragnę rwać sobie włosy z głowy, ale nie mogę się ruszyć. Tkwią z twarzą w dłoniach i staram się oddychać, by nie odlecieć. Jak ja mam spojrzeć mu w oczy? Jak, do cholery?!

— Odziedziczyłem majątek po dziadku, który stał wysoko w półświatku Miami. Pieniądze pochodzą z różnych etapów mojego życia, a od kilku lat jestem biznesmenem, mam kilka działalności. Nie jestem tylko mordercą na zlecenie. Emerald, skarbie, spójrz na mnie.

Wciąż gładzi moje uda, momentami lekko ściskając, ale ja nie mogę. Nie umiem i nie chcę patrzeć na jego twarz. Nie mogę po prostu tego wszystkiego pojąć. To dla mnie za dużo.

— Chcę stąd iść — mówię cicho. — Chcę jechać do domu. Chcę pobyć sama.

— Nie — zaprzecza momentalnie. — Nie, nie pozwolę ci siedzieć teraz samej. Nie możesz.

— Nie chcę tu być — jęczę. — Chcę być w swoim domu. Chcę, żeby moja przyjaciółka przyjechała i mocno mnie przytuliła. Chcę tego wszystkiego nie wiedzieć!

— Valerio, to nie jest tak, jak myślisz. Ja nie jestem zwykłym facetem z ulicy, któremu możesz powiedzieć „żegnaj”. Jestem niebezpieczny i doskonale o tym wiedziałaś! — Podnosi głos. — Nie zostawisz mnie teraz, nie w chwili, gdy jesteś wszystkim, co może mi pomóc. Nie i koniec.

— Porwałeś mnie, masz krew na rękach i nie chcesz mnie wypuścić! To jest chore! Ty jesteś chory! — krzyczę i w końcu zbieram w sobie odwagę, by spojrzeć na jego twarz. Jest przerażony i zły. — Myślałam, że zakochałeś się we mnie i dostaliśmy szansę, by zakończyć to, co zaczęli nasi dziadkowie, ale ty jesteś... mordercą. Jesteś cholernym mordercą, Vincent. To koniec. Chcę stąd iść i

pomyśleć. Chcę pobyć sama.

— Nie. — Zaciska szczękę.

Patrzę w jego ciemne, zdeterminowane oczy i nie widzę niczego poza uporem. Nie pozwoli mi odejść i daje mi to do zrozumienia samym cholernym spojrzeniem.

Jestem zamknięta w wieży i nic mnie nie uratuje? Naprawdę?!

— Kocham cię — mówi bez najdrobniejszego cienia zawahania, a ja otwieram szeroko usta, bo w końcu to do mnie dociera. — Kocham cię, Valerio, kocham, rozumiesz? I nie pozwolę ci mnie zostawić. Nie w chwili, gdy jesteś dla mnie tak ważna. Nie w momencie, gdy wiem, że jesteś jedyną osobą na świecie, która będzie mi tak bliska. Nie, odkąd wiem, że jesteś wnuczką miłości mojego dziadka. Nie.

Odsuwa się ode mnie i staje na równe nogi. Mój wzrok podąża za nim, bardzo leniwie skanując jego napiętą sylwetkę, i zatrzymuje się dopiero na twarzy. Vincent próbuje ukryć ból, który odczuwa, i ciska we mnie piorunami. Jednak to na mnie nie działa. Widzę, że jest wobec mnie bezbronny i nic nie może na to poradzić. Nie skrzywdzi mnie, bo jego uczucia są zbyt mocne. Ja... jestem tego pewna.

— Jak możesz mnie kochać? — Kręcę głową, czując narastającą histerię. To wszystko jest dla mnie niepojęte. — Ile my się znamy, Vincent? Miesiąc? Dwa? To popieprzone i doskonale wiesz, że nie możesz mnie tak po prostu kochać. Znudzę ci się tak samo jak inne dziewczyny przede mną i co?! Co się z nimi stało? Tak konkretnie? O czym mówiła Ginger? Co?

— Chcesz wiedzieć wszystko? Od samego początku aż po sam koniec? — pyta ze śmiertelną powagą, przez co czuję się mała. Mała, bezbronna i uderzona o ścianę. To nie miało tak być. — Chcesz?!

— Chcę — mówię z pewnością siebie. — Pokaż mi prawdziwego siebie. Pokaż mi wszystko, bo to gównie nie mieści się w mojej głowie.

— Jestem prawdziwy tylko przy tobie — warczy.

Moje oczy są mokre od łez, które spływają mi po policzkach, a on jedynie siedzi i mówi to wszystko bez jakiegokolwiek emocji. Ten, który przede mną klęczy, jest wrakiem człowieka. Mam w głowie tak bolesny mętlik, że nie mam pojęcia, co robić. Przerasta mnie to.

— Moje wyjazdy z Troyem i Stanleyem są przeważnie spotkaniami z ludźmi, którzy kupują od nas broń i narkotyki. Załatwiamy sprawę polubownie lub siłą, stąd moje obrażenia.

— Aviana powiedziała mi, że raz się z tobą żegnała — mówię cicho. — Mogłeś zginąć?

— Za każdym razem mogę zginąć. To brudny świat, Val.

— Ale nie żegnałeś się ze mną. — Marszczę brwi, kompletnie skonsternowana.

— Bo odkąd cię mam, nie było przypadku, którym bym się przejął. Wszystkie są niebezpieczne, ale nie było tak źle, bym się bał, że z tego nie wyjdę.

— A wtedy z Avianą? Co to było za zlecenie?

— Musiałem zabić kogoś, kto chciał zabić mnie. Kula przeszła wtedy przez mój bark, niewiele brakowało, żebym to przegrał. — Zaciska wargi, a jego oczy przecina bolesny błysk. — Chociaż w sumie wtedy nie musiałabyś patrzeć na mnie z tym zawodem, z którym patrzysz w tej chwili.

— Nie możesz oczekiwać ode mnie akceptacji — szepczę. — To nie mieści się w mojej głowie. Nie umiem tego pojąć. Nie umiem pojąć morderstwa, Vincent! To ponad moje możliwości. — Kręcę głową. — Przepraszam. Skąd mam wiedzieć, że nie skończę jak kolejna zielonooka ofiara?

— Co? — Vincent wstaje na równe nogi. — Co powiedziałaś?

Wyrasta nade mną taki wielki i wściekły, a jego oczy zachodzą mgłą. Jest pusty i wkurwiony i jest to najtrudniejszy, najgorszy i najbardziej bolesny widok w moim życiu. Spinam się, bo przerażenie zaczyna przejmować kontrolę nad moim ciałem i głową.

— Powtórz to, Emerald — cedzi przez zaciśnięte zęby i pochyla się nade mną. — Powtórz, bo nie uwierzę, że naprawdę to powiedziałaś.

Jego twarz zatrzymuje się na poziomie moich oczu i zamieram. W jego spojrzeniu nie ma nic. Kompletna pustka, która próbuje mnie wciągnąć. Wygląda upiornie.

— Ja... — zaczynam, ale nie mogę powiedzieć ani słowa więcej.

Moje serce przechodzi jakąś cholerną palpację.

— Myślisz, że mógłbym cię skrzywdzić? Oddać na stracenie? Myślisz tak? Naprawdę? —

warczy nieprzyjemnie. — Tak? — dodaje szeptem.

Szeptem pełnym bólu i goryczy. Kurwa mać.

— Vincent, nie patrz tak na mnie. — Kręcę głową, a moje oczy ponownie zachodzą łzami. — To za dużo. To dla mnie za dużo, a ty jeszcze dokładasz!

— Nic dla ciebie nie znaczę?

— Znaczysz! Po prostu nie wiem! Jesteś...

— ...potworem? — kończy za mnie, a ja nie mam odwagi zaprzeczyć.

Nie odzywam się i jako pierwsza odpuszczam to bolesne spojrzenie. Zaciskam powieki, z których wypływają łzy, i zanoszę się szlochem.

— Tak myślałem — prycha z żalem.

Nie reaguję. Nie potrafię, nie mogę i nie chcę. Nie otwieram oczu. Trwam w tej beznadziei przez kilkanaście minut i jedyne, co słyszę, to jego kroki.

— Kocham cię, Valerio — mówi z dużej odległości. — Wychodzę stąd z przeświadczeniem, że powiedziałem to, co powinienem, byś się zastanowiła i zdecydowała, czy dasz mi szansę.

Po tych słowach drzwi głośno się zamykają.

Jestem sama. Z natłokiem bolesnych informacji. W obcym domu. I z kotem, który nazywa się Morderca.

Rozdział 26

Noc w domu Vincenta minęła mi cholernie ciężko. Płacz, złość, konsternacja, ból i strach to jedyne, co odczuwam do tej pory. Czyli od wieczora, siedząc jak kretynka na sofie, na której mnie zostawił. Gapię się w ścianę, na obraz przedstawiający zachód słońca, i jedyne, czego naprawdę pragnę, to dowiedzieć się, co to, do cholery, wszystko ma znaczyć. Dlaczego w chwili, gdy nasza historia ma szansę się doskonale potoczyć, czemu sprzyja lekko bajkowy wątek miłości naszych dziadków, on okazuje się potworem? To nie jest normalne, by, kurwa, dowiedzieć się o kimś czegoś takiego! Gdyby był tylko dilerem, handlarzem broni czy, nie wiem, ścigał się w nielegalnych wyścigach albo bił nielegalnie w klatce, to okej, jestem w stanie to przetrwać bez większych problemów. Ale morderca na zlecenie? Handel ludźmi? Kobietami takimi jak ja? Z pieprzonymi zielonymi oczami? To jest, kurwa, normalne? Nie. Nie jest i nie będzie. I teraz nie wiem, co mam zrobić. Mogę wyjść, bo nikt mnie nie pilnuje, lub mogę zostać i czekać, aż wróci. Kurwa mać.

Wzdrygam się, gdy nagle trzaskają drzwi frontowe, i zaciskam pięści, bo jestem na niego zła. Nie miał prawa mieć do mnie pretensji o to, jak zareagowałam. Nie mogłam zareagować inaczej, do cholery. To nie jest normalne: dowiadywać się, że porywacz, którego darzysz jakimś uczuciem, okazuje się tak niebezpieczny i popieprzony!

— Valerio? — odzywa się Stanley gorączkowo. — Valerio, kochanie, jesteś tu? Proszę, kurwa, żebyś tylko nie uciekła — jęczy. — Zabiję się wtedy. Valerio?

— Jestem w salonie — burczę.

— Dzięki-kurwa-kuję — krzyczy z ekscytacją.

Rozanielony wpada do salonu i patrzy na mnie z mieniącymi się szczęściem oczami. Czy on jest popierdolony?

— Z czego się cieszysz, kretynie?! — warczę. — Gdzie jest ten pojebaniec?! Dlaczego ja tu nadal, kurwa, jestem, co?!

Moja frustracja zaczyna boleć. Co ja, do chuja, mam począć z tym wszystkim?! Dlaczego stąd nie uciekłam? Dlaczego na niego czekam, mimo że nie chcę go widzieć? A może chcę? Ja pierdołę.

— Nie sądziłem, że tutaj będziesz. Vincent wysłał swoich ludzi na poszukiwania, a ja stwierdziłem, że jest głupi. Co on ci powiedział? I co ty mu powiedziałaś? Był tak rozstrojony, że bałem się do niego podejść.

— Poinformował mnie, że zabija ludzi. — Uśmiecham się sztucznie. — I opowiedział o tym, jak zginął jego dziadek, a następnie dowiedziałam się, że również zielonookie dziewczyny, które mu nie wystarczały, porzucały i nie wiadomo było, co z nimi dalej. I nie uwierzysz, ale zaskoczyło mnie to, więc, kurwa, nie zareagowałam przytuleniem go! — krzyczę. — Kurwa jebana mać, Stanley! Kurwa mać!

— No... — Przewraca oczami. — Już? Wyklęłaś się?

— Podejdz, a tak ci jebnę, że nie wstaniesz do Bożego Narodzenia — warczę. — To jest chore! Wy jesteście chorzy, a on już w ogóle. Skąd mam wiedzieć, że nie skończę w burdelu w jakiejś, kurwa, Kanadzie?! Albo cholera wie gdzie?!

Jestem na niego taka wściekła.

— Bo on cię kocha — wyjaśnia Stanley. — Dobrze wiesz. — Uśmiecha się lekko. — No weź, Cukierku, przecież on zrobiłby dla ciebie wszystko. Nie znudzisz mu się, z każdym dniem patrzy na ciebie z coraz większym uczuciem, nie widzisz tego? Naprawdę?

— Tutaj nie chodzi o to, jak on na mnie patrzy, co mi daje ani jaki jest, do cholery — pryham. — Tutaj nie o to chodzi, Stanley. Nie o to! On jest mordercą i handlował ludźmi, kobietami takimi jak ja, bo nie sprostały jego oczekiwaniom! Zrobię mu źle loda i co? I rozplnę się w powietrzu?! To jest chore. On jest chory. Jego pierdolona przeszłość jest chora, a ja zostałam porwana! Raz mam wrażenie, że się zakochałam, a raz myślę, że to wszystko jest fikcją. Że on nie jest realny, że trafiłam do jakiegoś marnego filmu i wszystko chuj strzeli. I zaczęłam przez was przeklinać!

— O tak, to straszne — pokpiwa. — Nie rozumiem twojej frustracji. Porwał cię, więc skąd pomyśł, że będzie normalny? To samo w sobie było chore.

No uderzę go w ten łeb, jebnę tak, że obróci się dookoła.

— Powiedziałaś mi kiedyś, że nigdy nie porwaliście nikogo z takiego powodu, dla jakiego porwaliście mnie. Więc dlaczego porywaliście innych? A dlaczego mnie?

— Porywaliśmy zielonookie dziewczyny, żeby znalazł swoją bezpieczną przystań, przy której w końcu się uspokoi. Możesz mi wierzyć na słowo, że ten mężczyzna, którego znasz, jest aniołem w porównaniu z tym, jaki był przed waszym pierwszym spotkaniem. Porywaliśmy ładne młode dziewczyny, żeby mu pomogły, ale żadna nie umiała. Każda z nich była z nim około miesiąca i w tym czasie każdą w sobie rozkochał. Nie chciał tego, ale jak wszyscy wiedzą, niektóre kobiety lubią pojebanych i niedostępnych chłopców. On taki jest i był. Później wypuszczaliśmy je, ale nie chciały mu dać spokoju. Więc wkraczała Ginger i jej cholerny tatusiek. Nie wiedzieliśmy dokładnie, jak te dziewczyny kończą, ale to już nie był nasz problem.

— Oddawaliście je ot tak? Po prostu? — wściekam się. — Do burdeli, żeby je tam rozwalili na pół w jakichś pieprzonych gangbangach?! Ja pierdolę, Stanley. To jest jeszcze bardziej chore.

— Nie zaprzeczam — wzdycha. — To brudny świat, skarbie. Nikt nie mówił, że będzie łatwo.

— Ja nie znam takiego świata. To dla mnie trudne — szepczę.

— Wiem, dlatego jestem dla ciebie miły. — Parska śmiechem. Podchodzi do mnie i obejmuje mnie ramieniem, co lekko mnie uspokaja. — On naprawdę bardzo cię potrzebuje.

— To wszystko jest chore.

— No tak, a ty możesz mieć syndrom sztokholmski. — Śmieje się. — Ale to nic złego, on ci nie zrobi krzywdy i jestem przekonany, że będziesz szczęśliwa.

— Porwał mnie, bo mam zielone oczy? — pytam niepewnie, przygryzając wargę.

— Oj, Cukierku — wzdycha. — Jak cię zobaczyłem wtedy w cukierni, pomyślałem, że jesteś strasznie słodka. Wiesz, nie dość, że ładna, to jeszcze piecze ciasta, więc słodczy do potęgi. Pomyślałem, że jesteś idealna, i nadal tak twierdzą, bo piękna z ciebie kobieta, o uroczym charakterze. I każdy z nas się o tym przekonał. Jednak Vincent jest popierdolony i kiedy zobaczył, jak weszliście z tym tortem, zastygł. Stałem obok niego i czułem, jak ulatują z niego emocje. Jak po prostu kamienieje. A kiedy spojrzeliście sobie w oczy, wiedziałem już, że to w końcu TO. Że to ty uderzysz go najmocniej. Dasz mu nadzieję i nie pozwolisz upaść jeszcze niżej. I to nie zaskoczenie, że właśnie tak się stało. Gdy cię odwiozłem, przypuszczałem, że niewiele czasu minie, a będę musiał po ciebie wrócić. I tak było. Vincent mówił o tobie z fascynacją, jakimś dziwym pożądaniem i uwielbieniem. Widział cię raz, jak kroisz ciasto i pijesz z nim po szocie, a zachowywał się, jakby *znał cię całe życie*. Zamieniliście kilka zdań, a on po prostu zwariował na twoim punkcie. Ja nie chcę startować do ciebie z gównem pod tytułem przeznaczenie i tak dalej, bo z całym szacunkiem, nie wierzę w takie rzeczy, ale wiem, że dla niego to istotne. Jesteś jego nadzieją i nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo podniosłaś już go z jego ruin. A pieprzony fakt jest taki, że odkąd jesteś z nim w Miami, odrzucił wszystkie zlecenia.

— Powiedział, że mnie kocha — szepczę.

Te informacje wcale mi nie pomagają. Sprawiają, że jestem bardziej zagubiona, i cholernie mnie to frustruje. Chcę wiedzieć wszystko i jednocześnie nie chcę niczego więcej. To rozdzierające uczucie.

— Więc pewnie tak jest.

— Ale jak mógł mnie pokochać w tak krótkim czasie? Przecież to jest jakieś irracjonalne.

— Nie wszystko musi być racjonalne, Val, Vincent nigdy nie był. Skoro dla ciebie zrezygnował z poprzedniego stylu życia, to znaczy, że bardzo mu zależy. Vincent nie jest zwykłym facetem, to skrzywdzony człowiek, który w tobie widzi nadzieję, i nie możesz go za to winić. Możesz się wściekać i bić go po głowie, ale oboje wiemy, że nie odpuści i choćby miał zrobić to siłą, zatrzyma cię przy sobie. — Uśmiecha się pocieszająco i pociera moje ramię. — Mogę cię zapewnić, że są gorsi od niego.

Nie no, bosko wiedzieć, że jest więcej obsesyjnych morderców. Zajebicie.

— Gdzie on jest w tej chwili?

— Nie wiem, pewnie pakuje się w jakieś gówno, żeby odciąć od ciebie myśli. — Parska śmiechem.

— No zabawne, nie powiem — pryham. — Znajdę tutaj jakieś ubrania na zmianę? Chciałabym się przebrać i porozmawiać z nim o tym całym bałaganie. Jestem zmęczona. Nie spałam za dużo i mam w głowie chaos. Potrzebuję się odświeżyć.

— Oczywiście. Łazienka jest na końcu korytarza, zaraz przyniosę ci ubrania.

Odsuwa się i głaszcze moje ramię w akcie pocieszenia. Doceniam jego gest, ale wcale nie czuję się przez to lepiej. Nadal jest chujowo i niestabilnie, a ja potrzebuję psychicznie odpocząć.

Prysznic wydaje się dobrym rozwiązaniem, więc kieruję się prosto do łazienki.

O osiemnastej mam serdecznie dość czekania na Vincenta i za zgodą Stanleya wybieram się do babci. Mężczyzna odwozi mnie pod jej dom i bez słowa odjeżdża, a ja nie mam zamiaru narzekać. Pukam w drzwi i cierpliwie czekam, aż babcia otworzy, co nie trwa długo. Wita mnie lekkim uśmiechem, ale widzę, że jest po nocy pełnej łez i rozgoryczenia. Cóż, zawsze miała problem z zaakceptowaniem tego, jak skończyła się jej młodzieńcza miłość.

— Gdzie jest Vincent? — pyta z lekkim zawodem.

— Pokłóciliśmy się trochę i postanowiliśmy od siebie odpocząć.

Kiwa głową ze zrozumieniem i odsuwa się, bym mogła wejść do środka. Kieruję się od razu do kuchni, gdzie zajmuję miejsce przy wyspie kuchennej, a staruszka zabiera się za robienie herbaty. Jest wycofana. To nie wróży niczego dobrego.

— Więc jak się poznaliście? — pyta po chwili ciężkiej ciszy, a ja przygryzam wargę.

— Wiesz, że to jakaś popaprana mafia, tak?

— Tak — wzdycha beznamiętnie.

Zaskakujące, że nie robi to na niej najmniejszego wrażenia.

— Robiłam tort na jego urodziny i tak mu wpadłam w oko, gdy go kroiłam, że postanowił mnie porwać i zamknąć w swoim domu w Miami.

— Och — parska. — To ciekawe.

Przewracam oczami wobec jej obojętności i zaciskam powieki.

— Taka jest twoja reakcja?

— Czujesz coś do niego? — pyta wprost.

Odwraca się do mnie przodem, a jej oczy lśnią od łez. Jest rozedrgana w sposób, którego nie znam. Ona coś wie albo jest tak przytłoczona nawrotem uczuć, że sama się już w tym wszystkim gubi.

— Nie wiem. Nie jestem pewna — jęczę. — On jest seryjnym mordercą i sprzedawał dziewczyny do burdeli — wyrzucam z siebie. — To popieprzone.

— Skrzywdził cię?

— Nie. Ale nie mogę jasno stwierdzić, czy to wszystko, co przy nim czuję, jest prawdziwe. Czy ja się zakochałam, czy nie. Czy to jest normalne? Przecież nie jest!

— Wiesz, kochanie, czasem, żeby kogoś naprawić, musimy poświęcić siebie. Vincent, którego ja kochałam, poświęcił swoje szczęście dla mojego bezpieczeństwa i możesz mi wierzyć na słowo, że szczerze go za to nienawidzę. Poświęcając swoje szczęście, poświęcił również moje, a ja tego nie chciałam. Pragnęłam być z nim, żeby czuć się spełnioną, tymczasem on zdecydował beze mnie. — Jej oczy wypełniają się cierpieniem, które łamie mi serce. — Zaakceptowałabym jego brutalny świat i zasady, bo pragnęłam jego.

— Ale on chciał cię ochronić.

— No i co mi z tej ochrony? — prychna, a jej głos drży. — Co mi z tego bezpieczeństwa, skoro tylko przy nim czułam się dobrze? Skoro tylko on sprawiał, że chciało mi się żyć i uśmiechać? To wszystko poszło w zapomnienie, gdy postanowił zrobić innej dziecko, tym samym wiążąc się z nią na wieki. Te ich żelazne zasady są cholernym bagnem, Valerio.

— Więc co ja mam zrobić z tym fantem? Mój Vincent jest mordercą i handlował ludźmi. A ja mam to zignorować?

— Jeśli dzięki temu go naprawisz...

Spogląda w moje oczy z żalem i mnóstwem bólu, który nosi w sobie, i zaciska usta. Wygląda na słabą, mam wrażenie, że zaraz zemdleje z tych emocji. Dużo ją kosztuje to, że myśli o swojej dawnej miłości. Jak bardzo musiała kochać mężczyznę, który dla jej bezpieczeństwa skazał ją na życie bez niego?

Nie wierzę w stwierdzenie, że aby kogoś naprawić, trzeba poświęcić siebie. Życie tak się nie toczy, ludzie tak nie działają. O coś jeszcze musiało chodzić, coś musiało się wydarzyć. Przecież to nie jest, kurwa, normalne! A czy ja potrafię wybaczyć Vincentowi to, kim jest? W zamian za jego miłość i oddanie? Nie wiem.

— Co? — prychnął głos, który wywołuje w moim ciele dreszcz przerażenia. — Co, do cholery?!

Odwracam się gwałtownie w stronę przyjaciółki, której nie widziałam od tych kilku tygodni, i... Kurwa mać! Otwieram usta, by się odezwać, ale jej miazdzące spojrzenie skutecznie mnie ucisza. Anna stoi w progu z miną mówiącą jedynie, że zaraz mnie rozszarpie. Jej oskarżycielski wzrok zabija.

— Porwał cię jakiś chory psychopata, a ty się zastanawiasz nad tym, co masz zrobić?! — wrzeszczy histerycznie, na co momentalnie kulę się w sobie.

Przecież Anna nie zna Vincenta. Nie wie, co przy nim przeżyłam ani jak wyglądało nasze wspólne życie. Ona nic nie wie. Ale jest cholerną realistką i sprowadzi mnie bujającą w obłokach na ziemię.

— Ja... — zaczynam, ale głos więźnie w moim gardle.

— Okłamałaś mnie. Powiedziałaś, że to spotkanie, szkolenie czy chuj wie co, że jesteś bezpieczna, a teraz się okazuje, że ktoś cię porwał? I ty tak po prostu o tym mówisz?! O morderstwach i handlu żywym towarem?! Co, do chuja, się z tobą stało, Valerio! — wrzeszczy.

Spoglądam spanikowana na babcie i nie wiem, co robić. Ona też, ale widzę, że mi nie pomoże. Nie ma zamiaru wtajemniczać w historię swojej miłości Anny, a ja nie umiem się bronić przed przyjaciółką. Co za pieprzone bagno.

— Kocham cię, Val, ale nie chcę w tym uczestniczyć — oznajmia babcia. — Idę się położyć, a ty pamiętaj, że jeśli on cię kocha, to jest to boleśnie szczerze i prawdziwe.

Głaszce mnie po policzku w akcie jakiegoś desperackiego pocieszenia i odchodzi, a ja jestem zmuszona spojrzeć w twarz przyjaciółki. Anna piorunuje mnie wzrokiem i aż jestem w stanie usłyszeć, jak wściekłość gotuje jej się w głowie. Jest rozczarowana i wkurwiona.

— Tłumacz się, Avada, bo przysięgam, że zrobię ci krzywdę, ty cholerna idiotko!

Łapie mnie za ramiona i potrząsa mną, sprawiając mi ból. Jest ode mnie wyższa i silniejsza.

— Porwał cię!?

— Tak. Dosypał mi czegoś do wina i tak wyszło, że znalazłam się w Miami.

Przygryza wargę.

— Skrzywdził cię? Zmusił do czegoś?

— Nie — zaprzeczam. — Po prostu nie pozwolił mi odejść. Był dla mnie dobry, opiekuńczy i kochany.

— Kurwa mać — prychnął. — Jest coś między wami?

— To znaczy? Powiedział, że mnie kocha — przyznaję nieśmiało. — Jesteśmy... naprawdę blisko.

— Uprawiałaś z nim seks? — szepcze, a jej głos staje się wręcz szorstki. — Zmusił cię do tego?

— Nie! Ja chciałam! — Zamykam oczy z zażenowania. — Chciałam wszystkiego, co między nami jest.

— Jest? Czujesz coś do niego?

— Chyba ta...

— Syndrom! O mój Boże, kurwa, masz syndrom sztokholmski!

Krzywię się. To nieprawda.

Prawda?

— To nie tak, jak myślisz — zaczynam, ale...

Nie jestem w stanie dokończyć, ponieważ drzwi do domu otwierają się gwałtownie i zaraz staje przede mną Stanley. Jego oczy są puste, a twarz wykrzywiają dziwne emocje. Wygląda przerażająco.

Wygląda, jakby stało się coś złego.

— Stanley? — pytam niepewnie.

— Zostajesz tutaj — mówi. — Będziemy w kontakcie. Dopóki nie wrócę, nie myśl o powrocie do Miami. — Zaciska pięści, a jego głos drży. Zaczynam panikować. — Odpocznij.

Zamyka oczy, nabiera powietrza w płuca i odwraca się gwałtownie, chcąc wyjść. Nie rozumiem jego zachowania, więc szybko rzucam się za nim. Łapię go w drzwiach za ramię i odwracam do siebie mocnym szarpnięciem. Jest zagubiony i wcale tego nie kryje. Z bliska widzę przerażenie i ból w jego oczach.

— Gdzie jest Vincent? — pytam bez zastanowienia.

— W Miami. — Zaciska powieki.

Coś się stało.

— Jak w Miami? Poleciał beze mnie?

— Tak, wypadło mu coś... Coś, co nie mogło czekać ani chwili, więc poleciał.

— Ale jak to? Kurwa, zostawił mnie tutaj?

— Masz czas, by sobie wszystko przemyśleć. — Odsuwa się ode mnie z najsmutniejszym wyrazem twarzy, jaki kiedykolwiek u niego widziałam. — Zapomnij o tym wszystkim na jakiś czas i przemyśl swoje uczucia. Jak... wszystko będzie w porządku, wrócimy po ciebie.

Odwraca się ode mnie i szybko odchodzi, zostawiając mnie w kompletnej konsternacji. Moje serce bije jak oszalałe, a informacje w ogóle nie są przejrzyste. Nie rozumiem niczego. Co się, do chuja, stało w ciągu dwudziestu czterech godzin?! Jakim pieprzonym prawem ten niestabilny psychicznie skurwiel śmiał mnie zostawić?! Jak śmiał!?

— Valerio? — odzywa się Anna. — Val, to był on?

Odwracam się do niej z twarzą wykrzywioną w niezrozumieniu i chcę odpowiedzieć, ale mój telefon sygnalizuje wiadomość. Wyciągam go pospiesznie z kieszeni i nie zwracając uwagi na przyjaciółkę, czytam.

Kocham Cię, Emerald, nigdy o tym nie zapominaj.

Nie. Łapię gwałtownie powietrze i odwracam się w stronę Stanleya, ale jego już nie ma. Ulica jest pusta, a moje serce bije z prędkością, która uniemożliwia mi oddychanie. Ściskam telefon i cała się trzęsę, bo nie mam pojęcia, co się dzieje. Zostawił mnie.

Zostawił mnie.

Przychodzi kolejna wiadomość.

Nigdy, Emerald, nawet jeśli mnie nienawidzisz.

Vincent się ze mną... żegna.

Rozdział 27

Siedem dni. Sto sześćdziesiąt osiem godzin. Dziesięć tysięcy osiemdziesiąt minut. Sześćset cztery tysiące osiemset sekund. Dokładnie tyle mija, odkąd ostatni raz widziałam Vincenta. Czas, w którym go nie ma, wydaje się ciągnąć jak smoła, a ja się w niej topię. Moje myśli krążą wokół porywacza, który zmusił mnie do swojego towarzystwa, rozpałił jakimś chorym ogniem uczuć i zostawił, gdy coś poszło nie tak, jak chciał. Gdy zareagowałam źle na jego wyznanie. Gdy się go przestraszyłam. Gdy po prostu moja tarcza obronna okazała się za słaba na jego występki.

Czy jestem smutna? Zdecydowanie. Zła? Odrobinę. Zagubiona? Jak cholera. Moje uczucia są nieprawdopodobnie pomieszane. Czuję w sobie wszystko, łącznie ze strachem przed moim mężczyzną.

Żal spowodowany stratą wypala mi płuca. Tęsknota przyćmiewa mój mózg. A świadomość, że moje uczucia są chore, rozszarpuje serce. Moje zakochanie, zauroczenie, fascynacja — jakkolwiek mogłabym to określić... jest zła.

— Valerio, słońce — zaczyna Anna, która siedzi obok mnie od czterdziestu minut. — Rozumiem, że jest ci ciężko, ale nie możesz się zamykać.

— No właśnie — dodaje Jerry, mój szef. — Myślę, że Vincent dał ci czas na przemyślenie wszystkiego w samotności.

— Przestraszył się pieprzonych konsekwencji! — Oburzona Anna wstaje i łapie mnie za ramiona, które lekko masuje. Jestem spięta. — On zniknął, Valerio, a ty jesteś w końcu bezpieczna i możesz być z ludźmi, których kochasz.

— Byłam tam przez wiele dni — szepczę. — A on mówił, że nie pozwoli mi odejść. Że nie ucieknę, bo znajdzie mnie nawet na końcu świata.

Do moich oczu napływają łzy, a żal wypełnia całe ciało. Jest mi cholernie ciężko. Źle. Wręcz chujowo, bo nie potrafię sobie poradzić z tęsknotą. Brakuje mi jego głosu. Jego spojrzenia. Dotyku. Brakuje mi jego całego i nie mogę sobie, do cholery, z tym poradzić!

— Wiedziałam, że mnie znajdziecie bądź jakoś tutaj wrócę — odzywam się po chwili. — Ale przyzwyczaiłam się do bycia z nim. Do jego dziwnych zachowań, do uśmiechu i czułości. Do tego, jak na mnie patrzył i jak mnie dotykał. To wszystko jest popierdolone. — Zaciskam powieki. — Ale chcę, żeby wrócił i znów mówił, że mnie kocha.

— Valerio, ty potrzebujesz psychologa — stwierdza beznamiętnie Anna. — Ten koleś cię porwał i przetrzymywał w domu — dodaje cierpko. — To jest, kurwa, chore! Plus jest jakimś pojebanym psychopata z krwią na rękach!

— A może ja go kocham? — Spoglądam na nią pusto. — Może to wszystko to po prostu miłość? Może ja też go kocham od pierwszego wejrzenia? Może ja się go nie bałam dlatego, że od razu był dla mnie ważny? Może, kurwa, to właśnie jest prawda, co?! — krzyczę.

Zwracam tym na siebie uwagę ludzi w cukierni, więc od razu zaciskam pięści. Nie mogę siedzieć beczynn timer, gdy ktoś, kto jest dla mnie wyjątkowy, nie daje znaku życia. Nie mogę, kurwa, wysiedzieć! Mam dość tego mieszania mi w głowie przez Annę. Ona nic nie wie. Nie zna Vincenta i z góry zakłada, że mnie krzywdził. A on tego, kurwa, nie robił.

— Powiedziałam to już milion razy w ciągu ostatnich dni, więc powiem milion pierwszy — warczy Anna. — Twój mózg nastawił się ugodowo na porwanie, poddałaś się dla własnego bezpieczeństwa, a później przez to wszystko złapałaś beznadziejny syndrom sztokholmski i to jest, kurwa, chore! Musisz iść do lekarza i pozwolić sobie pomóc. Jego już nie ma. Odszedł i dał ci wolność, Valerio. Rozumiesz? Dał ci spokój, zwrócił ci pieprzoną wolność!

To. Jest. Gówno. Prawda.

— Vincent jest tym mężczyzną, który trzymał moją dłoń jak skarb i mówił o moich oczach, jakby były najbardziej wyjątkowym cudem świata. Mogłam być przy nim sobą. Czułam uwielbienie i szczerłość, gdy mnie dotykał, gdy mnie widział, gdy był obok, to się, kurwa, czuje! Porwał mnie i zamknął w swoim domu, dobra, to pojebane! — pryham. — Ale przy tym dał mi wszystko, o czym mogłabym zamarzyć. Dał mi siebie, on jest tym, który wywoływał wszystkie emocje. Przerazał i jednocześnie sprawiał, że czułam się wyjątkowa i piękna. A babcia? Babcia powiedziała, że skoro się

spotkaliśmy, to właśnie tak miało być! Miałam otrzymać miłość, którą jej odebrano, rozumiesz?! On miał być moją bezpieczną przystanią, moją nadzieją. On miał być moim wszystkim — szepczę, a mój głos drży. — Miałam dokończyć to, co ona zaczęła, ale stchórzyłam! A przecież Vincent powiedział, że wystarczy jedno moje słowo, a rzuci to wszystko i będzie ze mną. Że ja daję mu ukojenie i spokój. Że jestem jego nadzieją! To nic dla ciebie nie znaczy?

— To jest syndrom sztokholmski, wiesz, co to? — prycha.

Mam jej dość. Chwytam w dłoń szklankę po mojej kawie i z całą złością, bólem i goryczą rzuca ją w ścianę naprzeciwko nas. Szkło rozpada się na milion kawałków, tak samo jak ja z tej pierdolonej niewiedzy! Zaczynam wariować.

— Valerio! — krzyczy Jerry. — Tutaj są ludzie i dzieci, opamiętaj się!

— To wy się opamiętajcie! Chcę jechać do Miami i go zobaczyć!

— Nie! — dodaje Anna. — Idziesz do psychologa!

— Może sama do niego pójdziesz? — odzywa się inny głos.

Moje dłonie drętwieją, a oddech chwilowo zamiera. Nie mogę się opanować. Jest tutaj. Przyjechał po mnie.

— Cukierku? — szepcze Stanley, łapiąc za moje ramię.

Wybucham. Łzy gromadzą się w kącikach moich oczu, a szloch wstrząsa całym ciałem. Stanley po mnie wrócił! W końcu po mnie wrócił. Żeby mnie zabrać do Vincenta.

Odwracam się gwałtownie i bez wahania rzuca się mu na szyję. Przytulam się do niego z całej siły i nie mam zamiaru przestać nawet w chwili, gdy jego ciało sztywnieje. Obejmuję go ciasno, napawając się bezpieczeństwem, które czuję przez to, że jest związany z Vincentem. Jest przy mnie.

— Valerio, przyjechałem, żeby ci coś dać od Vincenta — szepcze pustym głosem.

— Nie zabierzesz mnie do niego? — pytam skonsternowana.

Odsuwam się gwałtownie z szybko bijącym sercem i patrzę na jego obojętną twarz. Nic w niej nie ma, kompletnie nic, i to łamie mi serce.

Znów czuję to palące coś, co wrzeszczy, że stało się coś strasznego.

— Nie, Cukierku, nie zabiorę cię.

— Dlaczego?

— Vincent nie chciałby, żebyś teraz przy nim była — mówi. — Mam dla ciebie list od niego.

— List? — Krzywię się. — Nie może do mnie zadzwonić i powiedzieć tego prosto z mostu?

Zaciskam dłonie w pięści. To nie może się tak skończyć.

— To nie chodzi o to, co Vincent może lub czego nie może, Cukierku. To skomplikowane i nie wolno ci teraz wracać do Miami, to śmiertelnie niebezpieczne. Rozumiesz?

— Nie!

— To trudno.

Co za pierdolony skurwiel.

— Nie bądź chujem! — krzyczę, a moje oczy ponownie zachodzą łzami. — Chcę z nim porozmawiać! Muszę!

— Nie możesz.

— Stanley.

Kręci głową i wyciąga w moim kierunku dużą zieloną kopertę. Na środku jest duży napis *Emerald*. Wcisną ją w moje dłonie i nim się orientuję, składa na moim czole czuły pocałunek. Jestem zdezorientowana jego zachowaniem.

— Dziękuję za wszystko, Cukierku — mówi cicho. — Żegnaj.

Szybko się odwraca, a następnie odchodzi. Nie potrafię się ruszyć, by biec za nim i krzyczeć, że nie może mnie zostawić. Gapię się na jego szerokie plecy i powalam bezsilności przejąć kontrolę nad moim ciałem. Łzy kapią z moich policzków na ziemię i uderzają o nią z przeraźliwym dźwiękiem. Dźwiękiem mojego pękającego serca.

Nic nie rozumiem.

Żegnaj.

— Valerio? — odzywa się Anna. — Val, oddychasz?

— Żegnaj? — szepczę. — Żegnaj?! Jakże żegnaj!?! Stanley! — dodaję głośniejszym głosem, wręcz wrzeszczę.
— Stanley! Stanley, kurwa, wracaj!
Rzucam się w jego kierunku, ale nie mogę zrobić ani kroku, bo Jerry mocno łapie mnie w pasie. Wrywam się, jednak to nic nie daje. Nie mam siły mu uciec. Nie mam siły walczyć.
Mogę tylko płakać z tej obrzydliwej niewiedzy i frustracji.
— To koniec tego koszmaru — szepcze mi do ucha Jerry. — To koniec, uspokój się.
To koniec?

Godzinę później, z kawą w jednej dłoni i listem od Vincenta w drugiej, siedzę w swoim miejscu pracy na podłodze. Oddycham głęboko, śródki uspokajające wypełniają moje żyły, a kawa przyjemnie drażni nos. Jestem spokojna.

Jestem spokojna.

Odstawiam kubek i drżącymi dłońmi otwieram niezaklejoną kopertę. W środku znajdują się list i pierścienek z niewielkim szmaragdem, który jest oczkiem kwiatu o okrągłych diamentowych płatkach. Wsuwam go na palec i uśmiecham się lekko. Jest przepiękny i doskonale pasuje do mojego palca. Jakby to zawsze było jego miejsce, bo podarował go Vincent.

Dalej w środku znajduję kartę kredytową z moim nazwiskiem i akt własności wyspy. Kartę i akt wkładam z powrotem do koperty, a list otwieram i bardzo powoli zaczynam czytać.

Valerio,

jeśli trzymasz w swoich małych dłoniach ten list, to znaczy, że wszystko się spierdoliło.

A skoro się spierdoliło, to znaczy, że w końcu mogę Ci wyznać całą prawdę.

Pozwól, że zacznę od najważniejszego — jesteś całym moim światem, odkąd tylko sięgam pamięcią. Kłamałem, mówiąc, że pierwszy raz zobaczyłem Cię na swoich ostatnich urodzinach. To było paskudne kłamstwo, bo znam Cię od dziecka. Znam Twoje piękne, szmaragdowe oczy od bardzo, bardzo dawna. Znam również Twoją babcie, bo mój dziadek zabierał mnie do niej, kiedy byłem mały. Obserwowałem Cię od wielu lat, pragnąłem Cię od wielu lat i kochałem Twoje spojrzenie, odkąd pierwszy raz zobaczyłem Twoje przepiękne oczy.

Chciałem wtargnąć do Twojego świata kilkanaście razy, ale wiedziałem, że nie jestem wystarczająco dobry, by Cię ochronić przed rzeczywistością, w której żyję. Wszystko, co wiesz o mojej pracy, jest prawdą. Jestem płatnym mordercą i wykorzystywałem zielonookie dziewczyny do egoistycznych celów, a potem oddawałem je w ręce Ginger i jej ojca, skazując je na pewną, okrutną śmierć. Żadna nie mogła się z Tobą równać, więc miałem gdzieś to, co się z nimi działo. Były niczym w porównaniu z Tobą i tym, co we mnie wzbudzasz. Były marnym zielonym prochem, podczas gdy Ty jesteś moją szmaragdową księżniczką. Zawsze nią byłaś.

Kocham Cię, Emerald, kocham Cię tak bardzo, jak mój dziadek kochał Twoją babcie. Albo i bardziej. Kocham Cię tak już ponad dwadzieścia lat.

Nie chciałem burzyć Twojego świata przez swoje gówniane życie, więc obserwowałem Cię i karmiłem się Twoim widokiem. Wystarczało mi to, bo nie chciałem Cię narażać. Byłaś bezpieczna i szczęśliwa beze mnie.

Wszystko było w porządku, oczywiście do czasu.

Mój dziadek został zamordowany, gdy miałem dwadzieścia lat. Jego śmierć spustoszyła moje życie i sprawiła, że odwróciłem się od bliskich. Dałem się omotać Ginger i jej ojcu, bo mój dziadek obiecał im umowę, która połączy ich biznes z naszym biznesem. Po jego śmierci nie mogłem wypełnić umowy, więc Zena postanowił się dla mnie poświęcić. Dał mi czas na naprawienie siebie i poręczył za nasze dziedzictwo. Moje zapomnienie trwało cztery lata, w tym czasie robiłem te wszystkie okropne rzeczy, przed którymi chciałem Cię ochronić. Naraziłem się wtedy komuś, kto od dawna czekał na potknięcie z naszej strony. Ojciec Ginger w zamian za pomoc zażądał wypełnienia obowiązków, których się podjęliśmy względem niego, więc je wypełniliśmy. Współpraca była dobra, zacząłem wracać do siebie i przede wszystkim byliśmy pod ochroną, bo prowadziliśmy wspólne interesy. Ten spokój trwał kolejne trzy lata. Wracałem do Ciebie myślami, spotykałem się potajemnie z Twoją babcie i cieszyłem się, że

jesteś bezpieczna. Było stabilnie, dopóki Zenie kompletnie nie odpiardoliło. Kontrakty się posypały, my straciliśmy ochronę i znów staliśmy się celem. Ginger była i jest jedynym powodem, dla którego jej ojciec nie wykonał na nas egzekucji. To było rok temu, Val. Przez ten rok straciłem nadzieję na to, czy kiedykolwiek będę mógł Cię mieć bez strachu, że zaraz mnie ktoś sprzątnie.

Przez ten czas uznałem, że nie mogę umrzeć bez choćby chwili z Tobą u mojego boku. Musiałem Cię poznać, pocałować i dotknąć, póki mogłem. To ja kazałem zamówić tort w waszej cukierni, kazałem Cię przywieźć i kazałem Cię zmusić do podania mi tego tortu. Porwałem Cię, by spędzić z Tobą choć kilka chwil. By Cię poznać chociaż w minimalnym stopniu. By poczuć się szczęśliwym chociaż przez moment w życiu, które z góry zostało zaplanowane.

Przepraszam za to, że zburzyłem Twój świat. Przepraszam, że Cię porwałem. Przepraszam, że zmusiłem Cię do swojego towarzystwa i wymagałem od Ciebie uczuć. Przepraszam za to, Emerald. Przepraszam za każdą przykrość i każde złe słowo. Za wszystko tak bardzo Cię przepraszam, Skarbie.

Przepraszam.

Chciałem jednak poprosić Cię o coś bardzo ważnego. Mianowicie... nie zapominaj o mnie bez względu na to, co się ze mną teraz dzieje. Nie zapominaj o moich uczuciach. Nie zapominaj o dotyku. Nie zapominaj o tym, co Ci mówiłem. Nie zapominaj, że kocham Cię jak szalenię, którym... jestem.

Następnie chciałbym, żebyś poleciała na swoją wyspę i cieszyła się nią tak, jak ja cieszyłem się każdą chwilą spędzoną z Tobą. I chciałbym, żebyś kiedyś odwiedziła cukiernię, którą dla Ciebie wybudowałem w Miami — miała być Twoim bezpiecznym miejscem, w którym spełniałabyś się, robiąc to, co kochasz.

Wydawaj pieniądze z karty, bo należą do Ciebie i tylko do Ciebie. Korzystaj z wszystkiego, co Ci dałem, i ciesz się wolnością, którą Ci zwracam, Skarbie. Jesteś wolna i bezpieczna. A ja będę się Tobą opiekował, jak umiem.

Żegnaj, Szmaragdowa Księżniczko.

Kocham Cię całym sobą, bardziej niż mogłabyś sobie wyobrazić.

Twój na zawsze

Vincent

Rozdział 28

Pięćset milionów dolarów to dość spora suma jak na jedno konto bankowe. Jestem przerażona liczbą zer i tą z kosmosu wyciągniętą kwotą. Jestem również przerażona sytuacją, w której się znalazłam. Ale nie mam skrupułów, więc bez wahania zamawiam bilet na prywatny lot do Miami, następnie wynajmuję samochód i w ramach pakowania zabieram jedynie portfel, klucze od mieszkania i telefon. Jestem wyplakana, zła, częściowo nawet wkurwiona. Mam zamiar nawrzeszczyć na Vincenta, spoliczkować go i to w zasadzie tyle.

Czekałam kolejny tydzień. Jałowy tydzień, bo nikt się do mnie nie odezwał.

Gdy stoję przed domem, w którym mnie przetrzymywano, wszystko się pieprzy. Serce bije mi jak szalone, łzy stają w kącikach oczu, a głowa pęka od przeróżnych teorii.

Jego list był pożegnalny, Stanley się pożegnał... Zatem czy to oznacza ostateczny koniec?

— Valeria? — dociera do mnie cichy głos.

Odwracam się w stronę Troya. Wygląda na przerażonego, złego, kompletnie zrezygnowanego. Pierwszy raz widzę, że Troy... jest smutny.

— Troy, gdzie jest Vincent? — pytam niepewnie.

On nie chce, bym tutaj była. Widzę to w jego ruchach, pustym spojrzeniu i zaciśniętych pięściach, ale ja nie mogę tak po prostu odpuścić. Wytrzymałam dwa tygodnie bez mojego porywacza i, kurwa, dłużej nie mogę. Może mam syndrom sztokholmski, może jestem zakochana, a może po prostu popierdolona, nie obchodzi mnie to. Muszę się zobaczyć z Vincentem i usłyszeć od niego osobiście, że to wszystko właśnie się skończyło. Nie zgadzam się, kurwa, na koniec bez konfrontacji twarzą w twarz.

— Gdzie jest Vincent? — powtarzam, a mój głos jest nad wyraz mocny.

Jestem galareta owiniętą we wściekłość. Chcę się w końcu dowiedzieć wszystkiego.

— Trudno powiedzieć, gdzie jest — wzdycha. — Trochę tu, trochę tam.

— Co to, kurwa, znaczy?

Nie mam humoru na zabawę w podchody. Ten czas się skończył.

— Interpretuj to jak chcesz, Valerio. Nie powinno cię tutaj być. Miałaś zostać w domu i odpocząć od nas. A ty musiałaś postąpić po swojemu i to jest chujowe!

Jego złość nie robi na mnie wrażenia.

— Dwa tygodnie rekonwalescencji mi wystarczą — oznajmiam poważnie. — Gdzie on jest?

— Mam powtórzyć? Powiedziałem, że trochę tu i trochę tam.

— Idiota — pryham.

Odwracam się do niego tyłem i ruszam w kierunku wejścia. Stoją przed nim ochroniarze, ale nie wyglądają na groźnych dla mnie. Nawet grzecznie otwierają mi drzwi, gdy stoję metr przed nimi. Są bezuczuciowi, jak zawsze, ale czego miałabym się spodziewać? Oni mnie nie znają, a ja nie znam ich. Wiedzą tylko tyle, że jak mnie skrzywdzą, to Vincent ich zabije. To wszystko.

Wchodzę w głąb domu i robię zaledwie dwa kroki, gdy Troy gwałtownie łapie mnie za rękę i przyciąga do siebie, zamykając w szczelnym uścisku silnych ramion.

— Przepraszam — szepcze mi do ucha. — Przepraszam, Valerio, zawsze byłaś taka słodka i wróciłaś, kurwa. To tak bardzo mnie niszczy, że nie masz pojęcia.

Jego głos się łamie, przez co czuję narastającą we mnie panikę. O co mu, kurwa, chodzi?! O co chodzi im wszystkim?! Dlaczego to, co się dzieje z Vincentem, jest taką pieprzoną tajemnicą?!

— Powiedz mi, co jest grane — szepczę drżącym głosem. — Proszę cię, Troy.

— Co, do chuja, tutaj robisz, Cukierku?! — krzyczy Stanley, którego dostrzegam na schodach.

Ma na sobie dresowe spodnie i koszulkę. Jego twarz jest czerwona, a oczy pełne żalu i łez. Łzy i Stanley — to mnie przerasta.

— Co się stało, Stanley?! — Wrywam się z uścisku Troya i biegnę w stronę schodów. — Dlaczego płaczesz?! Gdzie, do chuja, jest Vinnie?!

— Nie wiem, kurwa, jak ci to wytłumaczyć. — Zaciska powieki. — Nie umiem. To do mnie, kurwa, nie chce nawet dotrzeć! — krzyczy.

— Gdzie jest Aviana?

— Na górze, ale teraz nie możesz do niej iść. Nikt nie może iść na górę.

— Vincent jest na górze?

— Nie wiem, kurwa — warczy. — Nie wiem!

— Co się stało? — szepczę.

Podchodzę do niego i niepewnie ujmuję jego twarz, ale nie pozwala mi spojrzeć w oczy. Zaciska je bardzo mocno, podobnie jak szczękę. Świetnie.

— Wiesz, co się stało, zielonooka pokrako?

Kolejny cholerny głos znikąd. Skrzekliwy ton Ginger dociera do moich uszu i po prostu mnie miażdży. Ona jest w domu Vincenta. Przy nim. W chwili, gdy mnie od siebie odseparował. Zajebicie.

— Dwa tygodnie temu ktoś zły postanowił sprzątnąć Vincenta, a Vincent jego. Niestety był rozkojarzony przez pewną dziewczynę i wszystko się posypało — prycha. — Tamten nie żyje, a Vincent balansuje na granicy życia i śmierci. Przez chwilę był martwy, a czy teraz jest żywy? Nie wiadomo, skarbie. To tyle. Możesz wracać do domku i cieszyć się wyłudzonymi od niego pieniędzmi. Nikt cię tutaj nie potrzebuje.

— C-co? — szepczę i wbijam niedowierzający wzrok w Stanleya. — Co ona powiedziała, Stanley?!

— Jeśli się wybudzi, co z każdym dniem zaczyna graniczyć z cudem, to i tak jest koniec was — parska śmiechem kobieta. — Jestem w ciąży, a ty się już nie liczysz. Przykro mi tak bardzo, że aż wcale, więc możesz wyjść. A najlepiej wypierdalać.

— Co?! — krzyczę. — Co?! Stanley!

Zaczynam tracić zdrowy rozsądek. Wszystko się sypie. Wszystko na mnie spada.

Wszystko mnie dusi.

A najbardziej to, że *mój* Vincent zrobił dziecko innej.

— Valerio, ja... — Mężczyzna kręci głową. — Nie wiem, co ci powiedzieć po tym wszystkim.

— Vincent ledwo trzyma się przy życiu, a ty mi dałeś jakiś pierdolony list pożegnalny! — krzyczę, a moje oczy zaczynają łzawić. — Przyjechałeś się ze mną pożegnać. Wiedziałeś, że on jest w takim stanie, i nic mi nie powiedziałeś?! Tylko ten pierdolony list i pierdyliard dolarów?! Kurwa, Stanley! Nie zgadzam się! Nie po tym wszystkim! NIE!

— Uspokój się — szepcze i łapie mnie za ramiona. — Nie mogłem ci powiedzieć. Zakazał nam o tym mówić. Kazał ci to dać, gdy będę uważał, że to koniec, więc to, kurwa, zrobiłem.

Kręcę głową, nie pozwalając tym chujowym myślom zgnieść mojego serca. Nie teraz. Nie.

— Jaki koniec, Stanley? To nie może być koniec.

— Nawet jeśli się wybudzi — spogląda na mnie, ale zaraz przenosi spojrzenie na osobę za mną — to Ginger jest w ciąży. — Zaciska zęby. — Więc ona ma prawo zostać z Vincentem.

— Nie wierzę wam, Vincent mnie kocha!

— Znasz go dwa miesiące — syczy kobieta.

Nie zwracam na nią jednak w ogóle uwagi, bo jej domniemana ciąża jest moim najmniejszym pieprzonym problemem w chwili, gdy *mój* Vincent walczy o życie. Nie mogę go stracić. Nawet jeśli moje przywiązanie miałoby być pieprzonym syndromem sztokholmskim, chcę być z nim. Chcę go w swoim życiu. Z całym bagażem, jaki niesie. Babcia ma rację. Babcia zawsze ma pieprzoną rację!

— Chcę go zobaczyć — mówię z przekonaniem.

Próbuję przejść obok Stanleya, ale ten zamiast się odsunąć, łapie mnie w ramiona i mocno przytula. Nie wiem, jak zareagować, więc po prostu to odwzajemniam, a potem pozwalam nieść się do salonu, w którym siada na sofie, a mnie zrzuca na miejsce obok siebie. Drży z emocji i jest to pierwszy cholerny raz, gdy widzę go w tak tragicznym stanie. Nie chcę, by był taki smutny. Nie chcę żeby moja relacja z nimi skończyła się w taki sposób. Nie, gdy wiem tak dużo, i przede wszystkim nie, gdy rozstałam się z Vincentem w tak chujowy sposób!

— Kiedy wyszedł z domu w Denver, był rozkojarzony i załamany — mówi cicho. — Nie wiedział, co ma robić, bo od dawna był przygotowany na snajpera, który będzie na niego polował, by raz na zawsze skończyć z jego życiem. Był jedyną osobą w Miami, która nie pudłowała. Wiele razy udało mu się ocalić kogoś, kto nie zasługiwał na śmierć. Postanowił, że skoro już wiesz najgorsze, to nie

ma na co czekać i los mu da odpowiedź na pytanie, czy możecie być razem. Pojechał do twojej babci i siedział tam bardzo długo, mniej więcej do chwili, gdy ja miałem cię szukać, a znalazłem w jego domu. To były sekundy, kiedy zdecydował, że leci z Troyem do Miami i kończy z tym gównem, byś mogła być z nim bezpieczna. — Przekręca głowę w moją stronę i uśmiecha się pusto. — Wszystko się spierdoliło, a ja zastałem na stoliku kopertę dla ciebie i karteczkę, na której napisał, że jeśli uznam, że to koniec, mam do ciebie jechać i wręczyć ci kopertę. Plus zająć się wszystkim później i przelewać ci pieniądze, gdy posprzedają jego majątek.

— Jak mogliście tak grać? — Kręcę głową, a moje serce powoli nie wyrabia.

— Gdybyś miała bardziej otwarty umysł i wszystko działa się bez porwania, zauważyłabyś, że traktowaliśmy cię jak jedną ze swoich, a Vincent był niezwykle spokojny i dobry. Wybuchał tylko w chwilach, gdy mogłaś mu zniknąć, a tego nie chciał. Ten czas, w którym tutaj byłaś, był najszcześniejszym, jaki miał, i mówię to z pełną powagą. Przez ten dom przeszło tyle dziewczyn, które mogłyby cię przypominać, ale żadna nie dawała mu wewnętrznego spokoju. Z tobą jest inaczej. I to jest kurewsko przykre, że to ja muszę ci to mówić, bo on nie da rady.

— Co mu się konkretnie stało? — szepczę.

— Od niespełna dwóch tygodni jest w śpiączce. Jego ciało nie reaguje na żadne bodźce, ale regeneruje się, co daje jakiś procent szans, że się wybudzi. Został postrzelony dwukrotnie i stracił sporo krwi. Jest też poobijany, bo spadł z niewielkiej wysokości. Jego stan jest bardzo ciężki, ale walczy. Dla ciebie, bo praktycznie od urodzenia czekał, by cię mieć.

Kręcę głową, nie mogąc sobie z tym poradzić. To mnie wypala od środka.

— To jest ostro popierdolone, Stanley. A ja nie mogę bez niego wysiedzieć. Nie, gdy coś jest nie tak, a my rozstaliśmy się w tak chujowy sposób.

— Tak czy inaczej — wzdycha i zaciska pięści tak mocno, że kostki mu bieleją — Ginger jest w ciąży, więc ty nie możesz z nim być i choćbyś nie wiem jak chciała, musisz się z tym pogodzić, Cukierku.

— Nie. — Kręcę głową, a mój głos staje się spanikowany. — Nie.

Moje ciało drży i czuję, jakby w mózg wbijały mi się przerażająco mocne szpilki. Kurwa, nie. Historia nie może się powtórzyć! Nie, gdy znam pierdolony schemat! Nie, kurwa. Nie zgadzam się.

— Muszę do niego iść — szepczę, ale zanim wstaję, dociera do mnie cichy głos:

— Stanley, ja nie widzę żadnej poprawy.

Aviana pojawia się w niedalekiej odległości, a jej słowa miażdżą moje serce. To nie może się tak skończyć. Nie może!

— Lekarz mówi, że rany zrastają się bardzo wolno, a on jest coraz słabszy. — Jej głos się łamie.

Wybucha płaczem, a ja nie mogę już wytrzymać. Wstaję gwałtownie i po prostu biegnę przed siebie, na schody. Mijam zszokowaną Avianę, ale nie odzywam się ani nie zatrzymuję. Biegnę prosto do jego pokoju. Wpadam do niego z hukiem, a gdy widzę mnóstwo aparatury wokół łóżka i lekarza, który nachyla się nad ciałem, padam na kolana. Płuca mnie palą, a oczy zasnuwa mgła i łzy. Jestem na granicy świadomości. Moje serce... po prostu łamie się na pół.

— Vinnie — szepczę, ale nie mogę się podnieść.

Widzę lekarza, który przekręca coś w aparaturze, do której jest podpięty *mój* Vincent, i płaczę. Nie histeryzuję, nie krzyczę, a po prostu płaczę. Wylewam łzy, które kapią z mojej szczęki na dłoń i spodnie. Nawet się z nim nie pogodziłam. Nie powiedziałam ani słowa. Nie dałam mu szansy, by się porządnie wytłumaczył, i co najgorsze — nie zatrzymałam go, gdy wychodził. Nie zrobiłam, kurwa, nic.

Nie powiedziałam, że go kocham.

— Pacjent wrócił — mówi lekarz. — Ponownie straciliśmy go na kilkanaście sekund, ale już jest w porządku. Jego organizm nadal walczy.

Odwraca się do mnie i momentalnie zamiera.

— Kim pani jest?

— Jestem... — zaczynam, ale nie umiem skończyć.

— Jest dla niego wszystkim. Niech pan da jej chwilę — odzywa się Stanley. — Ona *musi się pożegnać*.

Głos Stanleya się łamie. Łamie, kurwa!

— Dobrze, proszę tylko nie dotykać aparatury, ponieważ w każdej chwili może dojść do... najgorszego.

Uśmiecha się do mnie smutno i wychodzi razem ze Stanleyem. Drzwi się zamykają, a ja zostaję z Vincentem sama. Nie mam pojęcia, jak długo gapię się na niego z podłogi, ale kiedy wstaję, moje nogi nie chcą współpracować. Wlokę się do niego niczym skazaniec na szafot i zamieram, gdy dostrzegam siniaki na jego twarzy. Ma dłuższe włosy i zgolony zarost, przez co widać mnóstwo zadrapań. Siadam na krześle dostawionym do specjalnego łóżka i niepewnie chwytam jego dłoń, do której podpięta jest cienka rurka. Czuję znajome ciepło, które nadal od niego bije, ale fakt, że jest bezwładny, zabija mnie.

Ma tak wiele ran, tak wiele kabli i tak mało życia w sobie, że wręcz słyszę, jak moje serce pęka. Słyszę to doskonale, bo ten przekłety dźwięk rozsada mi czaszkę.

— Vinnie — szepczę drżącym głosem. — Przepraszam, że przeze mnie byłeś rozkojarzony. To wszystko okazało się dla mnie za trudne, a przez to, że chciałam znać prawdę, ty teraz jesteś tutaj.

Unoszę dłoń do jego policzka i najdelikatniej, jak mogę, przesuwam po nim ugiętymi palcami. Chcę zobaczyć jeszcze chociaż raz jego piękne oczy, ale on naprawdę na nic nie reaguje. Jest ze mną ciałem, jednak nie wiadomo, gdzie może być duchem.

Już rozumiem, o czym mówił Troy.

— Bez względu na wszystkie przeciwności losu chcę, żebyś wiedział, że jesteś dla mnie ważny. Może naprawdę mam syndrom... A może po prostu ja też cię kocham. — Kręcę głową, czując coraz większy ból. — Cokolwiek by to było... dziękuję, że dałeś mi tyle radości i tak wiele ciepła. Dziękuję za każdy dzień, w którym byłeś dla mnie dobry. Dziękuję za każdy uśmiech, który traktowałam zawsze wyjątkowo. Dziękuję za to, że odważyłeś się po mnie sięgnąć. Dziękuję, że przez moment... mogłam poczuć twoją miłość.

Podnoszę się z miejsca mechanicznie i bardzo ostrożnie pochylam się nad jego ciałem. Całuję jego ramię, szyję i policzek, bo ust niestety nie mogę z powodu aparatury. Przez moment napawam się znikomą resztką jego charakterystycznego zapachu i staram się zapamiętać go jak najlepiej. Zapachu miłości i bezpieczeństwa. Mężczyzny, który kochał mnie przez całe moje życie, będąc moim cieniem.

— Będę na ciebie czekać — szepczę mu do ucha. — Bardzo za tobą tęsknię, Vinnie.

Odsuwam się od niego, wkładając w to całą swoją siłę, i *ostatni raz* przesuwam palcami po jego policzku. Wstaję i odwracam się, a następnie wychodzę z pokoju. Idę przed siebie spokojnym krokiem i nie widzę nic. Kompletnie nic. Ignoruję każdy dźwięk, ruch i osobę. Wszystko.

Coś we mnie umiera.

Dopiero gdy siadam w samochodzie, ze wszystkich sił uderzam dłońmi o kierownicę i wrzeszczę na całe gardło. Wrzeszczę jak kompletna wariatka i wymachuję rękami, bo nie mogę się pogodzić z tym, że rozstaliśmy się w taki sposób. Że on teraz walczy o każdą minutę, a ja nie mogę nic z tym zrobić. Że to prawdopodobnie pierdolony koniec, na który nie jestem gotowa.

— Kurwa! — Uderzam pięściami o kierownicę jeszcze raz. — Kurwa, kurwa, kurwa!

Gwałtownie odpalam silnik i z mgłą na oczach ruszam spod jego posiadłości prosto do bramy. A gdy wyjeżdżam z niej, nie widzę kompletnie nic. Płaczę, zanosząc się, i nie mogę przestać. Moje płuca palą, serce nie nadąża z emocjami, a mózg wysyła projekcje wszystkich naszych wspólnych chwil. Pierwszego spotkania, dotyku, mojej śmiałości pod prysznicem, tych słodkich pocałunków i zbliżeń, które dawały mi tak wiele ciepła, i jego oddania. Wszystko do mnie wraca i jednocześnie wypływa ze łzami, które odbierają mi widok. Pamiętam jego dłonie, którymi pieścił moje ciało. Jego czułe słowa. Jego przepiękny, wyjątkowy uśmiech. Jego *kocham cię, Emerald*.

Po prostu jego.

Ale nagle dociera do mnie ogłuszający dźwięk. Szarpnięcie, wrzask, który bezwiednie opuszcza moje usta, i pustka.

Ciemność i nicość.

Rozdział 29

Kwiecień

Rzeczywistość, w której się znajduję, jest biała. Moje ręce nie reagują. Moje nogi nie reagują. Nawet usta nie chcą współpracować. Pragnę krzyknąć na całe gardło, że niczego nie czuję, ale nie dam rady. Jestem w hibernacji, gdzieś między bielą a oślepiającym światłem, które razi mnie w oczy. Walczę z przeciwnościami, jak mogę, ale dopiero gdy chcę wrzasnąć z całych sił, wracam na ziemię. Mój głuchy krzyk odbija się od ścian niczym bumerang i wraca. Wraca, rozbijając moją czaszkę na milion małych kawałków, które tępią słuch i wszystko, co znajduje się wokół.

Nie mam pojęcia, gdzie jestem.

— Valerio! — dociera do mnie jak zza mgły. — Valerio, słyszysz mnie?!

— Słyszę — mówię słabym głosem, który zdziera moje wyschnięte gardło.

Zaczynam kaszleć, ale wtedy od razu w moich ustach pojawia się rurka, z której pociągam zimną wodę. Piję, ile tylko mogę, by złagodzić to potworne pieczenie.

Oddycham normalnie. Żyję. Wszystko jest w porządku.

Obok mnie siedzi Anna.

— Co cię boli?

— Nic — odpowiadam od razu. — Trochę gardło.

— Co się stało? — Mruży podejrzliwie oczy. — Co pamiętasz?

Krzywię się na wspomnienia, których... nie mogę dostrzec. W mojej głowie jest czarna dziura i nie pamiętam niczego. Jakim sposobem znalazłam się w szpitalu? Spanikowana spoglądam w oczy przyjaciółki, a ona oddycha z wyraźną ulgą, której nie rozumiem. Moja głowa jest pustą kartką. Ostatnie, co pamiętam, to pieczenie ciastek w kształcie reniferów.

— Jaki jest miesiąc? Grudzień, prawda?

— Jest początek kwietnia, Val.

W jej oczach wybuchają iskry. Dlaczego ona się cieszy? Gdzie się podziały moje wspomnienia... z czterech miesięcy?!

O mój Boże. Niedobrze.

— Znaleźliśmy cię w Miami — szepcze. — Miałaś wypadek, gdy uciekałaś przed porywaczami. Uderzyłaś w drzewo.

Zamykam oczy, by przypomnieć sobie cokolwiek, ale widzę pustkę. Cholerną, kurwa, pustą pustkę. Nic.

— Uciekałam? — pytam po chwili. — Porywacze?

— Zostałaś porwana przez seryjnego mordercę. — Kręci głową i przygryza wargę. — Przetrzyśmy cię ponad miesiąc i udało ci się uciec. Niestety z tych wszystkich emocji straciłaś panowanie nad samochodem i uderzyłaś w drzewo. Miałaś szczęście, że policja jechała na patrol, znaleźli cię.

Zostałam porwana przez seryjnego mordercę.

— Uderzyłaś głową w szybę, która cała się potłukła — kontynuuje Anna. — Przetransportowaliśmy cię do Denver wczoraj, byłaś w śpiączce farmakologicznej przez tydzień. Nikt nie chciał ryzykować trwałych zmian w mózgu i...

— Panno Avada — odzywa się nieznanym mi głosem. — Wróciła pani do nas.

Przenoszę wzrok na mężczyznę w kitlu i marszczę brwi. Nic nie rozumiem. Kiedy tutaj wszedł?

— Co pamiętasz jako ostatnie? — pyta.

A ja się niespokojnie wiercę, bo naprawdę mam w głowie czarną dziurę. Nic mi się nie przypomina. Widzę ciastka bożonarodzeniowe, do cholery.

— Uratowaliśmy twoją... — Lekarz przerywa gwałtownie, spoglądając na Annę. Ta z kolei piorunuje go wzrokiem i mocno zaciska szczękę.

— Uratowaliśmy twoje życie — kończy moja przyjaciółka. — Już jesteś bezpieczna. Wszystko w porządku, nic ci nie zagraża, słońce.

Lekarz kręci zrezygnowany głową, ale nie domawia swojego zdania. Jest zirytowany moją

przyjaciółką, a ja naprawdę niczego nie rozumiem i co gorsza, nie pamiętam. Frustruje mnie to. Tak cholernie mnie frustruje, że zaciskam powieki, by się nie rozpląkać. Zostałam porwana przez seryjnego mordercę? I żyję?!

— Musi pani zostać w szpitalu kilka dni na obserwacji, a później wypuszczę panią do domu, gdzie przez jakiś czas trzeba będzie odpoczywać. Miała pani poważny wstrząs mózgu, a stłuczenia mogą długo dokuczać. Najbardziej żebra, które jakimś niewyjaśnionym cudem nie są połamane. Proszę odpoczywać, przyjdę wieczorem.

Nie odpowiadam mu. Leżę z zaciśniętymi powiekami i całą sobą staram się nie rozpląkać. Ta pustka wydaje się bolesna. Chcę się podnieść z tego stanu, ale ani ciało, ani głowa nie zamierzają współpracować. Jestem otępiała i zagubiona.

— Skoczę po kawę i zaraz porozmawiamy — oznajmia Anna.

Wstaje i szybkim krokiem zmierza do wyjścia. Po chwili zostaję sama. Jestem odrętwiała, a obraz w głowie nadal nie powraca.

Zaciskam powieki, chcąc zebrać się w sobie, ale przeszkadza mi nagłe poruszenie za drzwiami.

— Muszę z nią porozmawiać! — dociera do mnie. — Muszę jej powiedzieć, że Vincent się nadal nie obudził — warczy głos, który znam. Znam, ale nie pamiętam.

Jednak to imię! Ono wydaje się znajome, wywołuje dreszcz w moim ciele. Przed oczami stają mi ciemne tęczówki, które patrzą na mnie jak na kogoś wyjątkowego, długie rzęsy i ciepłe, pełne miłości spojrzenie.

— Vincent! — krzyczę i gwałtownie otwieram oczy. — Vincent! Kim jest Vincent?

Do mojej sali wpada szatyn, którego twarz widzę po raz pierwszy.

— Valerio? — Podchodzi do mnie powoli. — Co ty, kurwa? Valerio, nie wiesz, kim jest Vincent?!

Jego nienaturalnie wielkie, bolesnie znajome oczy pojawiają się nade mną, a ja nie mam pojęcia, kim on jest. Znam go, ale nie wiem skąd.

— Valerio, nie pamiętasz mnie? — szepcze, a jego oczy robią się jeszcze większe. — Val, to ja, Troy, nie pierdol, że mnie nie poznajesz! — jęczy.

Wpatruję się w niego tępo i naprawdę nie wiem, skąd znam jego twarz. Kręcę głową i czuję, jak niszczy jego nadzieję. Jest załamany i doskonale to widzę w jego oczach. Ale nie pamiętam go.

— Cukierku? — przemawia kolejny głos.

— No pewnie! Wszyscy! — krzyczy Anna. — Wypierdalać!

Jest wściekła.

— Cukierku, pamiętasz mnie? — znów ten głos.

Obok szatyna, który wgapia się we mnie, jakby chciał natchnąć mnie wiedzą, pojawia się brunet. Brunet, który był w cukierni...

— Stanley! — Podnoszę się gwałtownie.

Wrywam przy tym jakieś kable, a aparatura zaczyna piszczeć. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Głowa zaczyna mi pękać od nadmiaru pustych wspomnień, które przelatują przez nią. Widzę mnóstwo nakładających się na siebie klisz, które są, kurwa, puste! Widzę tort i mężczyznę z dużymi brązowymi oczami. Widzę mężczyznę, który się we mnie wpatruje, jakbym właśnie złamała mu serce. Widzę go i nic nie słyszę, bo moja głowa eksploduje. Pojawiają się jacyś ludzie ubrani na biało i znów wszystko pochłania biel. Nie widzę nikogo. Ani Anny, ani Stanleya. Znów jest... pusto.

Po raz drugi otwieram oczy i spotykam się z bielą. Dłonie mi drżą, a serce bije bardzo szybko. Wszystko się kręci jak wskazówki zegara, który wisi na ścianie przede mną. Znajduję się w białym pomieszczeniu. Obok mnie jest aparatura i twarz Anny, której spływają po policzkach gorzkie łzy. Nie ma dwóch mężczyzn, którzy przywołali puste wspomnienia.

— W styczniu miałaś zamówienie na tort urodzinowy dla jakiejś wielkiej szychy — odzywa się zachrypniętym głosem kobieta. — Przyjechał po ciebie Stanley, którego rozpoznałaś, i wraz z tym drugim, Troyem, zawieźli cię do Vincenta. Na imprezie kroilaś mu tort, a niedługo po tym piłaś z nim

kawę w cukierni. Zabrał cię na randkę, uspił winem i wywiózł do Miami.

Zamykam oczy, by zobaczyć to, co mówi, ale naprawdę nic nie widzę. Pieprzona pustka.

— Porwał cię i uwięził, a pilnowali cię dwaj sługusi, którzy tutaj byli. Znęcał się nad tobą psychicznie, nie wypuszczał z domu i odciął na prawie dwa miesiące od rodziny i babci, która miała problemy z sercem. Szukaliśmy cię od pierwszego dnia, gdy nie wróciłaś.

— Vincent? — pytam.

Znów te brązowe oczy. Takie prawdziwe i wręcz namacalne. Takie piękne.

— Tak, to imię lub pseudonim najgorszego seryjnego mordercy Miami. Koleś porywa dziewczyny z zielonymi oczami, gwałci je i wykorzystuje, a następnie przy ich pomocy pozbywa się ludzi, którzy mu zagrażają. Później te dziewczyny sprzedaje do burdeli. Valerio, cudem uszłaś z życiem. Nie wiemy, jak to się stało, że mu uciekłaś, ale jesteś już bezpieczna. Gdyby nie ten wypadek i amnezja... Nie chcę sobie nawet wyobrażać, co ten zwyrodnialec mógłby z tobą zrobić — szepcze. — Jesteś taka krucha i delikatna, Val.

Jej głos się łamie, a dłoń, którą zaciska na moim nadgarstku, drży. W mojej głowie pojawiają się obrazy wysokiego, barczystego mężczyzny o pięknym spojrzeniu. Widzę go wyraźnie i czuję, jak zimny pot spływa po moim kręgosłupie.

Ja... nie boję się go.

— Zabrał cię na jakieś nielegalne licytacje, a później kupił wyspę, gdzie chciał cię wywieźć wraz z kolejnymi zielonookimi dziewczynami, z których zamierzał zrobić prostytutki. Kurwa, Val, miałaś tak nieprzeciętne szczęście, że ta policja jechała! — jęczy. — Mogłam cię już nigdy więcej nie zobaczyć... To tak cholernie przerażające.

— Vincent mnie porwał i chciał sprzedać? — Marszczę brwi.

— Tak — szepcze. — Zmanipulował cię, twoją babcię i wszystkich innych, by cię zniszczyć. Drzę. To naprawdę cholernie przerażające.

— Zostałaś kilkakrotnie zgwałcona — dodaje, a jej głos się łamie.

Zamieram na te słowa i już nic, kurwa, nie widzę. To niemożliwe.

— Valerio, no i... Jesteś w ciąży z tym zwyrodnialcem.

O mój Boże. Wyrwam dłoń z jej uścisku i niepewnie odkrywam prześcieradło, które spoczywa na moim ciele. Jestem ubrana w koszulkę i spodenki, więc powoli podciągam w górę koszulkę i układam dłonie na brzuchu. Zamykam oczy, chcąc przywołać do głowy chwilę, w której ktoś mnie skrzywdził, ale nie widzę niczego. Niczego nie pamiętam. Tylko ciepłe, brązowe tęczęwki.

Po moich policzkach spływają łzy, a ciałem wstrząsa dreszcz. Niczego nie rozumiem. Nic nie jest jasne.

Zostanę... matką.

W mieszkaniu Anny panuje przytłaczająca cisza. Leżę na łóżku w pokoju gościnnym i jedyne, co robię od kilku dni, to śpię, płaczę albo jem. Mam mdłości. Bolą mnie zębra. Często boli mnie też głowa. Wszystkie zadrapania i siniaki również dokuczają.

Najbardziej jednak boli mnie serce. Czuję, że straciłam ogromną część siebie, i nie mogę przeboleć tej niezrozumiałej dla mnie straty. Czuję się samotna. Zagubiona. Przytłoczona moją przyjaciółką, która tylko mówi i mówi. Ciągłe opowiada o tym, jak bardzo zostałam skrzywdzona, mimo że lekarz przekonywał, że nie mam żadnych wewnętrznych obrażeń świadczących o gwałcie. Jestem w ciąży. Jestem samotną kobietą czekającą na dziecko.

Jestem samotną matką. A raczej będę, jeśli urodzę zdrowego dzidziusia.

Słyszę dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, potem kroki i znów moja przyjaciółka pojawia się przy mnie. Jest radosna, szeroko się uśmiecha, a jej oczy błyszczą. Jest taka nienaturalnie szczęśliwa, odkąd ją zobaczyłam w szpitalu, że zaczynam się jej obawiać.

— Jak tam, słoneczko? — pyta wesoło.

— Czuję się tak samo jak każdego dnia. Możesz dać mi mój telefon?

— Mówiłam ci, że został zniszczony w wypadku.

Posępniej, co po raz kolejny wydaje mi się dziwne. Wszystko, co mogłoby przypomnieć mi Vincenta, nagle zostało zniszczone! Wszechświat chciał, żebym zapomniała o swojej traumie? I tak o niej zapomniałam. Ale niestety jestem w ciąży i nie mogę, do cholery, odpuścić tego tematu. Chcę chociaż wiedzieć, jak wyglądał ojciec mojego dziecka. Albo dowiedzieć się, co teraz robi i dlaczego nie siedzi w więzieniu! Jednak Anna nie pozwala nikomu do mnie dotrzeć. Nikt się ze mną nie kontaktuje. Nawet nie mogę iść do babci, bo jest w jakimś sanatorium. To wszystko zaczyna mnie przytłaczać. I wkurwiać.

Tak, zdecydowanie najbardziej mnie to po prostu wkurwia.

— Jak wygląda Vincent?

— Nie wiem, nie widziałam go.

— Babcia na pewno wie — sugeruję. — Chcę z nią porozmawiać.

— Jest w sanatorium, nie będzie jej przez najbliższych kilka tygodni.

— Gdzie jest teraz Vincent?

— Boże, co cię to obchodzi?! To twój cholerny oprawca! Porwał cię, zgwałcił i chciał sprzedać, czy ty tego, kurwa, nie rozumiesz, Valerio?

Jej policzki czerwienieją ze złości. Doprowadza mnie do szału!

Podnoszę się do siadu i mrużę oczy. Ona mruży swoje i zabijamy się tak wzrokiem przez kilka chwil.

Anna odpuszcza jako pierwsza. Wzdycha i siada na łóżku obok, układając dłoń na moim udzie.

— Co się dzieje, Val?

— Mam dziurę w głowie — mówię powoli. — Umknęły mi prawie cztery miesiące mojego życia. Jestem w ciąży z mężczyzną, którego nie pamiętam. Lekarz nie uważa, że zostałam skrzywdzona. Stanley dobrze mi się kojarzy. A ty ciągle tylko powtarzasz, że mam za sobą traumę, i nikomu nie pozwalasz ze mną porozmawiać. Skoro mnie skrzywdził, porwał i zgwałcił, to dlaczego nie posłaś z tym na policję? Nic z tym nie robisz, tylko mówisz i mówisz, i mówisz, jak to bardzo mnie skrzywdził.

— Potrzebujesz psychiatry, Val, leki na pewno ci pomogą — szepcze, głaszcząc moją nogę w pocieszającym geście, jakbym naprawdę potrzebowała pomocy. — Wszystko będzie dobrze.

— Nie będzie! — krzyczę. — Nie czuję się skrzywdzona, nie czuję strachu, moje ciało nie jest mi obce i nie jest zbrukane, nie czuję tego. Chcę poznać prawdę, bo ty mnie okłamujesz, więc daj mi cholerny telefon, a najlepiej pozwól mi bez scen wrócić do mieszkania.

— Nie możesz być sama. Potrzebujesz pomocy i musisz na siebie uważać.

Jej ton twardnieje.

— Chcę zadzwonić do Stanleya.

— Nie mam do niego numeru.

— Chcę zadzwonić do babci.

— Nie można jej przeszkadzać.

Nożeż kurwa, nie wytrzymam.

Wrywam rękę z jej uścisku i szybko wstaję z łóżka. Wsuwam nogi w balerinki, które leżą obok szafki nocnej, i sięgam po bluzę. Ubieram się, nie zwracając uwagi na wściekającą się Annę, i gdy jestem gotowa, udaję się do wyjścia. Moja przyjaciółka dobiega do mnie, gdy łapię za klamkę drzwi wyjściowych. Jest spanikowana.

— Val, nie mogę cię stracić.

— Przejdę się do cukierni.

— Pójdę z tobą.

Niechętnie się godzę. Niech idzie dla świętego spokoju. Przytłacza mnie, ale... W cukierni zawsze było mi najlepiej.

Chcę wrócić do mojej pracy, bo nic innego mi nie zostaje.

Wychodzimy z domu w ciszy i całą drogę do cukierni również pokonujemy w milczeniu. Napawam się wiosenną, przyjemną pogodą i uspokajam, bo moja przyjaciółka w końcu ma zamkniętą buzię. Staram się przypomnieć sobie mężczyznę, który mnie porwał, ale jak za każdym razem: na samą myśl o nim widzę jedynie ciemne, brązowe oczy okolone grubymi rzęsami. To wszystko, co wiem na

jego temat, bo ten szczegół nie umknął mojej pamięci.

Docieramy do cukierni po półgodzinnym marszu. Jestem spokojna i odprężona, gdy przechodzę przez próg lokalu. Jednak gdy dostrzegam przy ladzie barczystego bruneta, mój spokój mija.

— Stanley! — wołam radośnie.

Natychmiast odwraca się w moim kierunku i posyła mi najszerszy uśmiech, jaki w życiu widziałam. Rozkłada ręce, więc ignoruję Annę i podbiegam do mężczyzny. Przytula mnie do siebie mocno, z tęsknotą i kołysze nas na boki. Czuję się bezpiecznie w jego ramionach.

— Już się bałem, że nigdy nie wydostaniesz się z jej sideł — szepcze mi do ucha. — Nie słuchaj jej. Nie wierz w ani jedno jej słowo, Cukierku.

Przytakuję, nie odrywając się od niego, i upajam się chwilą czystej radości.

Gdy się odsuwam, twarz Stanleya nadal jest wesoła. Wskazuje mi krzesło obok siebie, więc od razu na nim siadam. Anna zajmuje kolejne przy nas. Jest naburmuszona, ale nic nie mówi. Jestem jej za to wdzięczna.

— Ładnie wyglądasz — mówi Stanley. — Nabrałaś kolorów.

— Czuję się dobrze. — Oddycham spokojnie, zbierając się w sobie, i łapię go za rękę. — Powiedz mi prawdę, Stanley. Chcę wiedzieć, skąd cię znam.

— Niczego nie pamiętasz? — Krzywi się, wyraźnie niepokieszony.

— Pamiętam duże, brązowe oczy.

Na jego twarz wkrada się lekki uśmiech.

— Ale nie ich właściciela?

Kręcę głową, ale nie ukrywam szczerego rozbawienia. Przy nim nie czuję się oszukiwana.

— Dwudziestego stycznia Vincent skończył dwadzieścia osiem lat i wyprawił przyjęcie. Przyjechaliśmy z Troyem do waszej cukierni, żebyś upiekła mu tort — mówi spokojnie. — Poprosiliśmy, żebyś go podała na przyjęciu, i zrobiłaś to. Wtedy poznałaś Vincenta. Potem przyszliśmy do ciebie do kawiarni, a on powiedział, że zabierze cię ze sobą do domu, tak po prostu. Następnie wybraliśmy się na kolację, na której dosypał ci do wina środków usypiających. — Krzywię się, na co on niewinnie się uśmiecha. — Vincent jest dziwakiem, czego zdążyłaś wiele razy doświadczyć. Zabraliśmy cię do Miami i tam przez prawie dwa miesiące żyłaś z nami, piekłaś nam pyszne ciasta i poznawałaś się z moim pokręconym szefem. Nie bałaś się go, bo nie dawaliśmy ci powodu do strachu. Byliśmy dla ciebie dobrzy. — Słyszę, jak głowa mojej przyjaciółki gotuje się za moimi plecami, ale ignoruję ją. Muszę mieć więcej wersji tych zapomnianych miesięcy. — Byliśmy razem w Nowym Jorku i San Francisco. Potem przyjechaliśmy do Denver i przedstawiłaś Vincenta swojej babci. Następnie powiedział ci, że zajmuje się nielegalnymi rzeczami, i trochę się przez to posprzeczałiście. On podjął pochopną decyzję i teraz... — Zaciska powieki, a jego twarz posępnieje. — Teraz Vince jest w śpiączce, bo chciał skończyć ze swoim przestępczym życiem, żebyś była bezpieczna. Jego stan jest... — Oddycha głęboko i odwraca ode mnie wzrok. — Jego stan jest zły. Przyjechałaś do nas, żeby go zobaczyć, i gdy... go pożegnałaś, wybiegłaś z domu, wsiadłaś do samochodu i ruszyłaś przed siebie. Potem uderzyłaś w drzewo i dzisiaj jesteśmy w tym miejscu.

— Czyli... nie skrzywdziliście mnie?

Vincent jest w śpiączce, bo chciał skończyć dla mnie ze swoim przestępczym życiem.

— Oczywiście, że nie...

— Valerio, do cholery, wierzysz mu? — syczy Anna.

I znowu!

Odwracam się w jej kierunku, żeby ją w końcu uciszyć, ale zanim otwieram usta, telefon Stanleya zaczyna dzwonić. Wracam do niego wzrokiem i widzę, jak jego twarz robi się biała. Zanim odbiera telefon, obejmuje mnie ramieniem i całuje w czoło.

— Będę cię odwiedzał, kiedy tylko będę mógł. Pamiętaj, że nigdy nie chcieliśmy dla ciebie źle. Do zobaczenia³, Cukierku.

Całuje mnie na do widzenia w skroń i zrywa się z miejsca, a potem wybiega z cukierni.

Czuję się bezradna. Kto mówi mi prawdę?

Rozdział 30

Czerwiec

Krojenie ciasta marchewkowego przychodzi mi z wielką trudnością. Nie wiem, czy to wina noża, czy jednak mojego nieprzeciętnego braku siły. Jestem osłabiona, dziecko wysysa ze mnie energię, a siedzenie w domu z Anną w dalszym ciągu doprowadza mnie jedynie do kurwicy. Nie mogę słuchać o Vincencie, który mnie skrzywdził, mając świadomość, że zdanie Stanleya różni się od zdania Anny. Nie mogę tego słuchać i nie mogę też nienawidzić dziecka, które prawidłowo rozwija się w moim brzuchu. Rośnie powoli, słucha, gdy do niego mówię, i odpowiada bardzo szybko. Bo często doprowadza mnie do wymiotów.

— Val, pokroiłaś już to ciasto? — pyta Jerry, gdy odkładam nóż i zaciskam pięści na blacie.

Jest mi ciepło, bo pogodę mamy słoneczną, i mam serdecznie dość. Chcę jechać do babci, ale nie mogę, bo nadal jest w sanatorium, które zafundowała jej Anna. Nie mam z kim porozmawiać i szczerze mówiąc, już mnie to po prostu wkurwia. Chcę, żeby przyjechał do mnie Stanley, ale nie przyjeżdża. Potrzebuję moich wspomnień, a nie mam ich.

— Nie, nie pokroiłam i nie pokroję — oznajmiam drżącym głosem. — Nie mogę sobie poradzić z tym nożem albo nie mam siły, nie wiem. Pomóż mi. — Spoglądam na niego błagalnie.

Patrzy na mnie z lekkim uśmiechem i kręci głową. Jest niepewny przy każdej naszej rozmowie, a gdy pojawia się Anna, cichnie jak makiem zasiał. Nie podoba mi się to, jak bardzo Anna ingeruje w moje życie.

— Chcesz wrócić do domu?

— Nie, chcę, żebyś ze mną porozmawiał. Czy możesz powiedzieć mi prawdę? Jak to było? Kto ma rację?

Jego oczy stają się rozbiegane, a ja już doskonale wiem, co to oznacza. Zamyka się przede mną. Znów, bo boi się Anny. Co, do cholery, jest nie tak z moją przyjaciółką?

— Proszę, Jerry, potrzebuję prawdy, a Anna coś kręci — szepczę.

Podchodzę do niego na lekko wacianych nogach i kładę policzek na jego torsie, w miejscu serca. Bije zastrasząco szybko.

— Ja nie wiem za wiele, Val — wzdycha i mocno mnie obejmuje. — A Anna przekazała mi wersję, którą znasz od niej. Jednak... znam też trochę Troya i od niego także coś słyszałem. Plus codziennie do mnie dzwoni i pyta, jak się czujesz. Oni nie wiedzą, że jesteś w ciąży.

— Oni, czyli kto? — krzywię się.

— Stanley, on i Aviana. No i Vincent, ale on nie ogarnia niczego, bo... nadal jest w śpiączce.

Troy codziennie kontaktuje się z moim szefem.

— Na samo wspomnienie o Vincencie robi mi się cieplej w środku — przyznaję szczerze. — To nie jest normalne, jeśli przeżyłam przy nim traumę. Nawet nie wiem, jak wygląda! Nie pamiętam jego twarzy, a mimo to czuję, że za nim tęsknię. Jak długo tam byłam?

— Około dwóch miesięcy. Naprawdę zostałaś porwana, ale z wersji Troya wynika, że Stanley mówił prawdę i nikt nie traktował cię źle. Kilkakrotnie cię przestraszyli, ale nigdy nie było to w złej wierze. W sensie... kurwa, nie wiem. Po prostu zrobiłaś coś, co doprowadziło Vincenta do paniki, w której reagował nadmiernym troszczeniem się o ciebie? Cholera, nie wiem, jak to określić. Tak mówił Troy.

— To jest dziwne — wzdycham. — Myślisz, że naprawdę chciał mnie sprzedać? I gwałcił mnie? Nie czuję się skrzywdzona. Nie powinnam się czuć skrzywdzona?

— Nie było mnie tam, nie wiem, jak było, ale wiem, że gdy był w twoim towarzystwie, zachowywał się dziwnie. Zupełnie jakby wiedział o tobie wszystko, a przecież tylko pokroiłaś mu tort i napiłaś się wódki. To śmieszne, a Anna jest cholernie przewrażliwiona. Nie wiem, co mam o tym myśleć, bo byłaś autentycznie porwana.

Odsuwam się od niego z głośnym westchnieniem. Nadal mam pusto w głowie. Jerry nic nie wie.

— A nie masz jakiegoś jego zdjęcia? — pytam, bo to jedyne, co przychodzi mi do głowy od kilkunastu dni. — Anna nie chce mi go pokazać, bo nie chce wywołać jakiegoś szoku pourazowego czy

jak to tam, kurwa, nazwała.

— Nie mam. — Zaciska szczękę, a jego oczy zalewa poczucie winy. — Ale twoja babcia ma twój telefon, bo zwinąłem go Annie, gdy odbieraliśmy cię ze szpitala. Anna jest pewna, że go zgubiła.

— A kiedy babcia wróci z tego sanatorium?

— Wróciła tydzień temu — szepcze, a jego głos lekko drży.

Robię krok w tył i po prostu piorunuję go wzrokiem. Dlaczego to przede mną ukryli?!

— Jak to!? — krzyczę. — Jak, do cholery?! Dlaczego?!

— Anna chce, żebyś zapomniała. To ona jest twoją przyjaciółką i zna cię całe życie, ja nie mam prawa decydować o tym, co dla ciebie dobre. Przepraszam, Val, po prostu ona zachowuje się jak przewrażliwiona dziewczynka i uważa, że twoja babcia została zmanipulowana przez Vincenta.

— To ty jesteś zmanipulowany przez tę idiotkę — warczy głos, który dobiega zza mojego szefa.

Spoglądam w tamtą stronę, nad ramieniem Jerry'ego, i widzę wysokiego bruneta w czarnym garniturze. Wygląda na wykończonego, a ja znów czuję coś znajomego. Ciepło rozlewa się po moim ciele, gdy skanuje moją sylwetkę krytycznym okiem. Mam na sobie zwiewną, workowatą sukienkę w małe stokrotki, więc nie widzi mojego delikatnie odznaczającego się brzuszka.

— Stanley — mówię. — Przyjechałeś do mnie?

— Tak, Cukierku, i przywiozłem kogoś, kto w końcu powie ci prawdę.

Jego głos jest wyprany z jakichkolwiek emocji, a oczy wydają się puste. Podchodzę do niego powoli, chcąc... Nie wiem? Przytulić go?

— Kogo przywiozłeś? — pytam, gdy stoję naprzeciwko niego.

Dokładnie krok dzieli mnie od jego spiętego ciała. Jest tak wysoki i barczysty, że zapewnia poczucie bezpieczeństwa samą swoją obecnością. I to najprawdopodobniej jest zapalnik. Moje oczy zachodzą łzami, które moment później wylewają się na jego błękitną koszulę. Przywieram do niego całą sobą i wybucham szlochem, który kumuluje się we mnie od rana. Mam dość życia w tej nieświadomości. Chcę poznać każdy, nawet najbrutalniejszy szczegół tej układanki.

— Cukierku... — szepcze prawie niesłyszalnie i mnie obejmuje. — Jesteś taka malutka.

Ściska mnie, przekazując ciepło, którego mi brakuje, i delikatnie głaszcze moje plecy. Jest szczerzy w tym dotyku i po prostu czuję, że to, co przekazuje, jest tęsknotą. Ja też za nim tęskniłam.

— Powiedz, że jej nie wierzysz — mówi po chwili prosto w moje ucho. — To wszystko są bzdury, żaden z nas nigdy nie chciał cię skrzywdzić. Powiedziałem ci ostatnio prawdę, okrojoną, ale prawdę. Bo to wszystko było zaplanowane od cholernie dawna.

— Stanley... — zaciskam powieki, zbierając się w sobie. — Jestem w ciąży.

Sztywnieje. Jego serce na moment przestaje bić, a ja nie wiem, jak to interpretować. Co to znaczy? Co to znaczy dla mnie, co to znaczy dla niego? Cholera, Stanley zaczyna drżeć i mocniej przyciska mnie do siebie. Jest jak żelazna klatka wokół mojego ciała.

— W ciąży? — powtarza po mnie szeptem pełnym emocji. — Z Vincentem? Naprawdę?

— Tak, Anna mówi, że mnie gwałcił. — Przygryzam wargę. — Czy ja...

— Nie — warczy, odsuwając się gwałtownie o krok. — Nie! Nie, rozumiesz? Nie. Kurwa, nie. Nigdy nie chciał ci zrobić krzywdy i nigdy jej nie zrobił. On cię tak kurewsko kocha, Valerio! A Anna tego nie pojmuje. Nikt tego nie pojmuje. Nawet ty i ja. On oddał ci wszystko. Oddał siebie i to lata temu.

— Co? — Krzywię się, jeszcze bardziej zagubiona. — Jak to lata? Przecież poznał mnie w styczeniu! Na swoich urodzinach!

— Nieprawda, Valerio. To ty go wtedy oficjalnie poznałaś, ale on cię zna od dziecka.

Zamieram. Moja głowa zaczyna pulsować, a przed oczami pojawiają się plamy. Łapię się za skronie i pocieram z dużą mocą, by ta tępota, którą odczuwam, odeszła. Wszystko się rozmazuje. Nie rozumiem już kompletnie, kurwa, nic.

— Reece zrób dwie kawy mrożone i jedną herbatę — odzywa się ponownie brunet. — Do tego pokrój to ciasto i przynieś na górę. Koniec tego jebanego teatryku. Valeria zasługuje na prawdę, a nie jakieś kręactwa idiotki, która kompletnie nic nie rozumie.

— Jasne.

Stanley obejmuje mnie ramieniem i delikatnie prowadzi do wyjścia z kuchni, a następnie na

schody i na górę. W pokoju widzę moją babcię, która szeroko się uśmiecha, mimo że jej oczy są smutne.

— Skarbie — mówi i wstaje, a ja nie czekając na nic więcej, rzucam się jej na szyję.

Przytulam ją z całych sił, przekazując wszystko, co czuję, w tym jednym uścisku. Drzę i nie mogę wyrazić swojego szczęścia na jej widok. W końcu jest przy mnie. W końcu ją widzę. W końcu mam przy sobie kogoś, kto nigdy mnie nie okłamał i nie okłamie.

— Twoja przyjaciółka popadła w obłąd, Valerio — mówi babcia. — Ten chłopiec nigdy nie chciał dla ciebie źle. Rozegrał to w głupi sposób, ale jego zdaniem to było najlepsze rozwiązanie. Byłaś z nim bezpieczna.

Odsuwam się od niej, kiwając głową, i siadamy razem przy stoliku. Babcia siada naprzeciwko, a Stanley obok mnie. Patrzą na mnie nieodgadzionym wzrokiem, ale u babci dostrzegam wyraźną ulgę.

— Pamiętasz Vincenta, o którym ci opowiadałam, jak byłaś mała? Mężczyznę, którego kochałam nad życie, ale musiałam się z nim rozstać? — zaczyna babcia.

Kiwam głową na potwierdzenie, bo nie mogłabym zapomnieć o miłości jej życia. Nadal jednak nie wiem, dlaczego zerwali. To bez sensu.

— Vincent Visser był miłością mojego życia, ale ponieważ jako człowiek działający w półświatku był dla mnie zagrożeniem, zostawił mnie. Według zasad, które ustalił ze swoimi współnikami i z członkami innych grup, jeśli mężczyzna zapłodni kobietę, musi przy niej trwać. Specjalnie zrobił dziecko innej, żebym ja była bezpieczna. Jednak nigdy sobie tak naprawdę nie wybaczył, a ja nigdy nie przestałam go kochać. Mieliśmy ciągły kontakt, uwielbiał cię i od pierwszych dni twojego życia był tobą zachwycony, bo pozostawałaś pod moją opieką. Kochał cię jak swoje dziecko, mimo że nie było między wami żadnego powiązania, nie licząc mnie. Do piątego roku życia widywałeś się z Vincentem i jego wnukiem, który również był wpatrzony w ciebie jak w obrazek. — Uśmiecha się lekko. — Ten chłopiec traktował cię jak najcenniejszy skarb, mimo że miał zaledwie kilka lat. Twoje spojrzenie hipnotyzowało go, odkąd tylko uchyliłaś po raz pierwszy powieki. Kochałam patrzeć na jego szczęście, gdy niczego nieświadoma uśmiechałaś się do niego jako niemowlę, i kochałam każdy rok z tych pięciu, w których był przy tobie.

— Dlaczego tego nie pamiętam? — wtrącam się. — Nie pamiętam go.

— Byłaś mała i nie widywałaś go aż tak często. — Wzrusza ramionami. — Później musieliśmy się rozstać. Vincent wyjechał do Miami, odcinając nas od siebie aż do swojej śmierci. Wtedy znów się spotkaliśmy z jego wnukiem, na pogrzebie mojego ukochanego z lat młodości, i odtąd twój Vincent zaczął cię obserwować. Wpadł w złe towarzystwo, które bezlitośnie wykorzystało wcześniejsze kontrakty, i nadepnął na odcisk komuś, komu nie powinien. Później zaczął się staczać, bo stracił dziadka, który jako jedyny dawał mu miłość. Został płatnym zabójcą i działał z zimną krwią. Wiedział, że nie może po prostu wparować do twojego życia, więc próbował sobie ciebie zastąpić. — Zamyka oczy.

Oddycha głęboko, jakby chciała zebrać myśli, i nie odzywa się przez dłuższą chwilę. W tym czasie Stanley obejmuje mnie ramieniem i lekko całuje w skroń, czym mnie zaskakuje. Jestem cholernie ciekawa dalszego ciągu opowieści, ale pojawia się Jerry, który stawia zamówienie na stoliku.

— Anna kończy pracę za dwadzieścia minut i na pewno tutaj przyjedzie sprawdzić, jak się czujesz — oznajmia. — Co mam zrobić? — kieruje pytanie do Stanleya.

— Wysłać ją do centrum handlowego i powiedzieć, że Valeria szuka nowej sukienki. Zresztą powiedz cokolwiek, byle tutaj nie weszła — warczy. — Zrób tak, żeby było dobrze, Reece. I nie spierdol roboty, bo mam serdecznie dość tej głównianej sytuacji. Vincent... jest w złym stanie, a ona nic nie wie. — Zaciska szczękę.

Kładę dłoń na jego rozłożonych na blacie palcach i zaciskam powieki. Vincent... umiera.

— Jasne — odpowiada Jerry. — Przepraszam za wszystkie kłamstwa — wraca wzrokiem do mnie. — Nie chciałem decydować o twojej wiedzy, bo nie miałem do tego żadnego prawa i sam też nie miałem o wielu rzeczach pojęcia.

— Chciałeś mnie chronić, rozumiem to. — Uśmiecham się blado.

— Zawsze możesz na mnie liczyć — dodaje.

Następnie odwraca się i odchodzi. Spoglądam na babcię, która słodzi herbatę, i lekko uśmiecham się pod nosem, gdy Stanley rozpoczyna pałaszowanie mojego ciasta. Wydaje się niezmiernie szczęśliwy.

Aż nie mogę się opanować i cicho chichoczę, mimo że sytuacja wcale nie skłania do śmiechu.

— Teraz niech ci Stanley powie, co się działo — mówi w końcu babcia. — Ja muszę zjeść to cudo, bo sanatorium ograniczyło mi cukier do minimum.

— Poznałem Vincenta i Zenę dawno temu i razem z Troyem uczestniczyliśmy we wszystkich ich akcjach. Gdy Vince się posypał, zostaliśmy przy nim, nie podważając jego zdania. Byliśmy jego ludźmi. Porywaliśmy zielonookie dziewczyny, które miały być tobą, ale żadna nie okazała się dla niego odpowiednia. Porywał je, próbował się zakochać i ciągle gównem z tego wychodziło, bo cały czas tylko ty siedziałaś w jego głowie. Niezmiennie, odkąd cię pamięta.

— W przyptywie goryczy związał się umową z kimś, kto miał interesy z jego dziadkiem, i przez to te dziewczyny trafiały do burdeli. Głównie za sprawą Ginger, córki tego mężczyzny, który współpracował z dziadkiem Vincenta. Vinnie dostawał wypłaty za morderstwa i za sprzedane kobiety, nie będąc nawet świadomym, że pieniądze płyną także z handlu żywym towarem. Ta cała Ginger ma obsesję na punkcie zielonookich dziewczyn, bo Vincent zawsze chciał zielonookiej kobiety, a nie jej. — Babcia wzdycha. — W tamtym czasie był tak rozgoryczony, że nawet nie zauważył, w co się zamieszał. Myślał, że dziewczyny wracają, skąd przyszły. A później już wszystko było mu obojętne. Zaszedł za skórę komuś, kto tylko na to czekał, więc po kilku komplikacjach postanowił choć na moment wejść w twoje życie.

— Wiedziałam, że cię porwał, i wyraziłam na to zgodę, bo miałam stuprocentową pewność, że nie zrobi ci krzywdy — wtrąca babcia. — Widziałam, jak iskrzą mu się oczy, gdy o tobie mówił, jak się słodko denerwuje, gdy go podpuszczałam, i jak się boi, że wszystko pójdzie źle, a ty go znienawidzisz. Jednak potrzebował choć przez moment pobyc z tobą. Udawaliśmy, że się nie znamy, chciałam, żeby rozegrał to tak, jak mu odpowiada, bo wiedziałam, że na to zasługuje.

Głos babci łamie się przy ostatnim słowie, a moje serce gwałtownie przyspiesza. Spoglądam w jej załzawione oczy i czuję, że to najgorszy moment tej pokręconej, aczkolwiek na swój sposób romantycznej historii. Na samą myśl mam mrowienie w kończynach. To cholernie niesamowite.

— Po jakimś czasie, odkąd cię porwał, przyjechaliście do mnie, a wtedy opowiedziałam wam o mojej miłości i o tym, jak się skończyła. Natomiast Vincent powiedział ci prawdę o tym, co robi. Zareagowałaś prawidłowo: przestraszyłaś się, bo wcześniej nie miałaś pojęcia, że masz do czynienia z człowiekiem, który ma na rękach krew. Jednak wiedziałam, że to przetrawisz, bo bardzo go polubiłaś, może nawet się zakochałaś... Widziałam, jak cię uszczęśliwia. Niefortunnie jego wróg zadał mu cios, zanim się pogodziliście — finalizuje.

Opiera się o krzesło i zamyka oczy, chcąc powstrzymać drżenie dolnej wargi. Jest szczerze przybita tą sytuacją i wiem, że mówi mi tylko prawdę.

— Vincent stwierdził, że doświadczył tyle szczęścia, na ile zasługiwał — odzywa się Stanley. — Miał cię tak, jak tego pragnął, usłyszał z twoich ust pozwolenie i mógł nazwać cię swoją, bo tego chciałaś. Poczł się spełniony. Ale wtedy dostaliśmy od Ginger cynk. Podśluchiwała rozmowę swojego ojca z mężczyzną, który polował na Vincenta. Dogadywali się, bo ojciec Ginger chciał sprzątnąć Zenę, a tamten drugi chciał obu głów. Vincent uznał, że pora zakończyć tę grę, jak to określił: „albo teraz się od tego uwolni, albo nigdy nie będzie na ciebie zasługiwał”. Pojechał, zabił swojego wroga, ale sam odniósł tak wielkie obrażenia, że zapadł w śpiączkę. — Przerywa, a ja nie rozumiem, dlaczego nie patrzy na mnie i na babcię. — Przyjechałaś do niego, pożegnałaś się z nim i wybiegłaś z domu. Nie zdążyłem cię zatrzymać. Pojechałem zaraz za tobą, bo bałem się, że coś ci się stanie, i to była słuszna intuicja, bo uderzyłaś w cholernie drzewo. Od razu zabraliśmy cię z Troyem do szpitala. Miałaś wstrząs mózgu i w śpiączce potem zostałaś przewieziona do Denver, a tutaj pojawiła się ta twoja popierdolona przyjaciółka, która wkręciła sobie, że cię krzywdziliśmy.

— Anna nie wie o wszystkim, więc nie możesz jej winić — karci go babcia. — Uważa, że Valerię porwał seryjny morderca.

— Nie musiała kłamać, że Vincent gwałcił Val.

— Nie musiała, lecz zrobiła to, by ją do niego zniechęcić. To idiotyzm, ale nie wolno nam jej winić, Stanley, ona chce dobrze.

Mężczyzna przewraca oczami, ale nie zabiera ponownie głosu. Odpuszcza, a babcia patrzy mi w

oczy z żalem i jednoczesną ulgą.

— Chcę, żebyś wiedziała, że to, co cię spotkało, nie było w żadnym wypadku złe. Nikt cię nie skrzywdził i mimo że nie pamiętasz, byłaś naprawdę szczęśliwa przy jego boku. A to, że pod twoim sercem rozwija się jego dziecko, jest tylko błogosławieństwem. Pomożemy ci, jeśli stan Vincenta się nie poprawi. Stanley i Troy się tobą zaopiekują i możesz być pewna, że są do tego idealnie przygotowani. Masz zapewnione wszystko.

— Poza ojcem dla dziecka — odzywam się w końcu.

— On jest przy tobie cały czas, Val, nie zostawił cię ani na moment. Opiekuje się tobą z miejsca, w którym się znajduje, jestem pewna.

— Jakie jest prawdopodobieństwo, że się wybudzi? — pytam, spoglądając na Stanleya.

Jego szczeka zaciska się mocno, co odbieram jako zły znak.

— Trudno powiedzieć.

— Czyli... nikłe? — Przygryzam wargę.

Moje ciało zaczyna drżeć, ale nie mam sił, by płakać. Czuję się pusta, ale wiem w końcu, co się ze mną dzieje. To zdecydowanie lepsze niż żyć w zakłamaniu. Jest mi lżej, mimo że moje serce pęka na pół z głośnym trzaskiem.

— Cóż, nie chcę tego mówić. — Stanley spogląda prosto w moje oczy. — Ale chyba muszę, Cukierku.

No tak. Więc... to koniec.

Rozdział 31

Lipiec

Piąty miesiąc ciąży sprawia, że wyciągnęłam już kilka wniosków. Po pierwsze, jestem samotną matką. Po drugie, moja przyjaciółka ma obsesję na punkcie mojego dziecka. Po trzecie, mam kochaną babcię, cudownego przyjaciela i jestem kurewsko nieszczęśliwa. Moje wspomnienia są papką, zlepkiem słabych, niewyraźnych obrazów, które nie mają sensu. Wszystko się zlewa, ale nie mogę powiedzieć, że nie pamiętam ojca mojego dziecka. Bo pamiętam go, poznaję na zdjęciach jego przystojną twarz i czuję ciepło, gdy go widzę. Mogę śmiało stwierdzić, że po czwarte, jestem na dobrej drodze do całkowitej akceptacji swojego położenia. Czyli do bycia samotną matką, którą bolą plecy i stopy. Z każdym dniem coraz mocniej, ale Stanley jest wspaniałym masażystą. Przyjeżdża do mnie dwa razy w tygodniu. Za to Troy i Jerry są ze mną bezustannie.

— Valerio! — dochodzi do mnie głos Anny, która wbiega przez drzwi cukierni z kartką w kolorze zieleni. — Masz zamówienie na orzechowy tort z ferrero rocher.

Kładzie kartkę na blacie przede mną i uśmiecha się szeroko, gdy widzi moją wypełnioną biszkoptami buzię. Tak, siedzę przy ladzie, pochłaniając biszkopty. Tak, jestem z tego dumna, bo jestem w ciąży i mi wolno. W końcu sama je sobie upiekłam. Z tym wystającym brzuchem, więc zasłużyłam!

— Na kiedy? — pytam znudzonym głosem.

Nie mam siły wstać, ale chce mi się pracować, a to trochę trudne do pogodzenia.

— Na wieczór. Jest po dwunastej, więc spokojnie zdążysz — stwierdza z uśmiechem. — Dobrze się czujesz? Na zewnątrz jest kurewsko gorąco, a ty masz już konkretne obciążenie.

Przytyłam kilka kilogramów, ale żeby od razu *konkretne obciążenie*...

— Czuję się tak jak każda samotna matka na tym świecie. — Wzruszam ramionami. — Czyli samotnie, ale jest stabilnie. Maluch nie kopie i nie wierci się, więc najprawdopodobniej śpi. A ja korzystam z tego stanu, bo strasznie bolą mnie stopy.

— Czyli jest dobrze? — szczerzy się jak głupia.

— Tak, a twój entuzjizm skąd się bierze?

— A nieważne, fajna okazja na tort po prostu. — Wzrusza ramionami. — Więc skoro wszystko jest okej, to lecę na górę pozbierać naczynia i posprzątać, a potem do swojej roboty. Jerry jest na zapleczu?

— Tak, zastępuję go tutaj od godziny, bo nie może wygrzebać ze sterty papierów jakichś umów z pobliskim hotelem. Wiesz, tym, dla którego rano piekę ciastka korzenne.

— Czaję, to do pracy, stara! — krzyczy.

Odwraca się i biegnie na schody, a potem prosto na górę. Jej entuzjizm mnie przeraża, ale olewam to, bo szczerze mówiąc, nie mam humoru. Bolą mnie stopy, więc przeżywam wewnętrzną tragedię, której nikt nigdy nie pojmie. Tyle.

Pięć i pół godziny później przekładam nasączone olejkami biszkopty trzema rodzajami kremu — orzechowym, alkoholowym i czekoladowym. Idzie mi to świetnie, podobnie jak podżeranie masy z miski palcem. Nic nie poradzę na swój apetyt, a fakt, że pracuję w cukierni, jedynie go pogłębia. Nie jem bitej śmietany z ogórkami kiszonymi, za to ciągle faszeruję się świeżymi ciasteczkami i aksamitnymi masami. Uważam, że to lepsze wyjście!

— Cześć, Cukierku — dociera do mnie wesoły głos Stanleya. — Jak się masz? — pyta i staje obok mnie.

Spoglądam na niego z boku z lekkim uśmiechem i przytulam policzek do jego ramienia, bo cholernie się do niego przywiązałam przez ten czas. Jest dla mnie cudowny.

— Bolą mnie stopy — marudzę. — I nie podniosę ostatniego biszkopta, więc możesz to zrobić za mnie.

— Jasne, Cukierku, tylko skoczę umyć ręce i zdejmę garnitur. Ty w tym czasie rozsmaruj ostatnią warstwę kremu — rządzi się.

Całuje mnie lekko w skroń i zaraz wychodzi, a ja nie mogę zrozumieć jego humoru. Od jakiegoś czasu jest żywszy i częściej się śmieje. Chyba w końcu... pogodził się ze stratą przyjaciela. Cóż, ja nie do końca.

Jednak nie skupiam się na tym, bo doskonale wiem, do czego mnie to doprowadzi. Do żalu i łez bezsilności, a nie mam na to ani czasu, ani ochoty. Nie chcę, żeby moje dziecko urodziło się marudne i smutne, tylko dlatego że mi jest źle. Muszę się więcej cieszyć. Dam radę, prawda?

Nabieram na długi nóż orzechowej masy i leniwie rozsmarowuję ją na ostatnim biszkopcie. Staram się robić to równo i świetnie mi to wychodzi. Jak zawsze proporcje wymierzyłam idealnie, więc została jedynie masa do posmarowania boków tortu. Odkładam nóż na blat i oddycham głęboko, bo czuję, że robi mi się nienaturalnie gorąco.

Zamykam oczy i dopiero po chwili orientuję się, że ktoś opiera dłonie na blacie po obu stronach moich bioder. Spoglądam na długie, zadbane palce z ładnymi paznokciami i przesuwam wzrok dalej, na dłón z wyraźnie odznaczającymi się żyłami. Moje serce gwałtownie przyspiesza, gdy stojący za mną osobnik wsuwa nos w moje włosy. Zaciąga się moim zapachem i głośno wzdycha, czym cholernie mnie przeraża. Nie wiem, co się dzieje, a nie mogę się przybliżyć do blatu, bo zrobię krzywdę dziecku. Jestem w potrzasku.

— Pachniesz, jak wszystko, co kocham — szepcze, a moje serce na moment staje.

— Czyli jak? — pytam drżącym głosem.

— Jak ty, *Emerald*.

Sztywnięję. Moje ciało robi się po prostu jak z kamienia, a głowę boleśnie atakują szpilki. Ten głos. Ten niski, pociągający, pełen uczuć głos. I przede wszystkim to jedno słowo. *Emerald*. Moje serce zatrzymuje się, by zaraz rozpocząć gwałtowny maraton, pełen przerażająco silnych uczuć. Głowę wypełniają mi obrazy.

O mój Boże.

— Vincent — mówię słabym, łamiącym się głosem i pękam.

Odwracam się gwałtownie w jego stronę i to wystarcza. Wybucham płaczem, gdy wszystkie wspomnienia przelatują przez moją poharataną głowę jak film na przyspieszeniu. Moje ciało drży razem z duszą. On żyje. Vincent Visser... żyje. Stoi osłupiały, wgapiając się w mój wystający brzuch, i bardzo głęboko oddycha. Ma na sobie zieloną koszulę i garniturowe spodnie. Jego włosy są roztrzepane, zarost idealnie przystrzyżony, a usta szeroko otwarte. Jest przygarbiony i oniemiały. A ja razem z nim, bo na nowo czuję, że przez moje żyły płynie gorąca krew.

— Vinnie... — szepczę i unoszę dłoń do jego twarzy, ale... czar pryska.

Mężczyzna odsuwa się ode mnie gwałtownie, a jego twarz zalewa przerażająca pustka. Oczy stają się obojętne, a ja ponownie sztywnięję.

— Jesteś w ciąży — cedzi przez zęby głosem, który prowokuje mnie do cofnięcia się o krok.

Jest tak zimny i wyprany z emocji, że autentycznie mrozi krew w moich żyłach. Łapię się za brzuch i przygryzam wargę. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Moją głowę nadal bombardują wspomnienia chwil, które wspólnie przeżyliśmy, i robi mi się niedobrze.

Otwieram usta, by w końcu coś powiedzieć, ale przerywa mi dobrze znany głos Anny:

— Dobra, Val, ja skończyłam!

Wbiega do pomieszczenia z tacą pełną wysokich szklanek i talerzy i gwałtownie się zatrzymuje, gdy dostrzega mężczyznę stojącego przede mną. Srebrna taca leci jej z rąk, a wraz z nią całe szkło, które tłucze się na drobne kawałki, powodując mój jęk. Vincent zaciska pięści.

— Co?! — krzyczy Anna i wymierza palec w ciało bruneta. — CO?! — wręcz wrzeszczy. — Nie! Nie, kurwa! Nie! Miałaś zdechnąć!

Zamieram.

— Wy podstępni... — warczy dalej, ale przerywa jej kolejna osoba, która pojawia się w pomieszczeniu, czyli Stanley. — Ty! — dodaje kobieta, patrząc na niego. — Ty podstępny skurwielu! Powiedziałeś, że ten pierdolony tort jest na stypę! Że w końcu tego skurwysyna szlag trafił!

Obejmuję ciasniej mój wypukły brzuch, w którym czuję ruchy dziecka, i opieram się plecami o blat, bo tracę oddech. Moje serce wali w piersi jak młot, a obraz powoli zanika. Jestem tak cholernie

przerażona... Vincent wygląda, jakbym dała mu w twarz.

— Cukierku! — dociera do mnie spanikowany głos Stanleya. — Valerio, oddychaj! — krzyczy.

Podbiega i chwytam w dłonie moją twarz, głaszcząc moje policzki, na co po raz kolejny wybucham płaczem. Mam problem z łapaniem powietrza, ale jego ciało mnie uspokaja. Stanley ciągnie mnie w swoje ramiona i przytula, przez co na nowo zaczynam oddychać. Robię to bardzo łapczywie, dławiąc się szlochem, bo znów niczego, kurwa, nie rozumiem. To jakiś pieprzony obłąd.

— Oddychaj, kochanie — szepcze mi do ucha i delikatnie nami kołysze. — Oddychaj, jestem tutaj.

Staram się uspokoić, więc obejmuję go za szyję i posłusznie zwalniam. Łapię powietrze pełnymi haustami i dopiero po długiej chwili wypełnionej kołysaniem ponownie mam pewność, że żyję. Uspokajam się stopniowo, chłonąc bliskość jedynej osoby, której w tej chwili ufam.

— Już? — pyta mnie cicho, na co kiwam twierdząco głową.

Odsuwa się, choć w dalszym ciągu mnie obejmuje. Spoglądam na Vincenta, który zaciska pięści i szczękę, a potem patrzę na Annę. Jest równie wściekła jak Visser. Oboje wyglądają, jakby właśnie zawalił im się świat.

— Obiecałeś mi, Stanley — szepcze Vincent. — Obiecałeś mi, że zaopiekujesz się nią i nie pozwolisz nikomu jej dotknąć! — dodaje głośnie.

— To twoje dziecko — odpowiada mu spokojnie mój wybawca.

To wystarczy. Z twarzy bruneta odpływają wszystkie kolory, a oczy robią się dwukrotnie większe. Łapie się jedną dłonią za serce, a drugą za twarz, zasłaniając usta, i nic nie mówi. Nie porusza się i nie reaguje na nic. Ani drgnie, nawet gdy moja przyjaciółka rusza w jego kierunku z zaciśniętymi pięściami. Zatrzymuje się jednak, najprawdopodobniej przez warknięcie Stanleya.

— Zabiję was — odgraża się Anna, jednak ignoruję to.

Bo Vincent podchodzi do mnie powoli i po prostu pada na kolana. Delikatnie łapie mnie za biodra i łączy czoło z moim wypukłym brzuchem, cicho szepcząc:

— Moje dziecko.

Po krótkiej chwili całuje mój brzuch i kładzie na nim dłonie. Cały drży, a ja nie mogę się powstrzymać i wplątam palce w jego ciemne włosy. Nie umiem powstrzymać płaczu. Dotykam go. Żywego, całego i zdrowego.

Mój Vincent wrócił.

— Emerald — szepcze po chwili. — Skarbie... Tak bardzo cię przepraszam.

Odsuwa się ode mnie i unosi głowę, patrząc na mnie iskrzącymi się oczami. Jego twarz jest pełna emocji, łez i szczerej miłości, która uderza mnie prosto w serce. To mężczyzna, którego kocham. Na którego czekałam. Który jednym słowem oddał mi moje wspomnienia i szczęście.

— Żyjesz... — mówię drżącym głosem. — Vinnie... żyjesz.

Odsuwam się całkowicie od Stanleya i pochylam się gwałtownie, łapiąc Vincenta za szyję. Przytulam się do jego pachnącego ciała i głęboko oddycham, chłonąc bezpieczeństwo, którym emanuje mój mężczyzna. Oddaje mi uścisk i ciągnie na swoje kolana, przez co obejmuję go również nogami w pasie. Moje ciało łączy się z nim w jedno i dociera do mnie, że w końcu jestem tam, gdzie powinnam być od bardzo dawna.

— Jak to możliwe? — szepczę po chwili w jego szyję.

Chcę się rozkoszować jego bliskością i biciem serca, jednak boję się, że to tylko sen, a on zaraz po prostu zniknie. Jak za każdym razem, gdy widywałam go w snach. On jednak nie odpowiada. Tuli mnie mocniej, jakby chciał mnie schować przed całym światem.

Niestety nie trwa to długo.

— Co, do chuja, jest grane? — odzywa się zniecierpliwiona Anna. — Mówiliście, że jest z nim coraz gorzej, a nie, że się, kurwa, wybudził i zbiera siły, żeby znów ją krzywdzić! — krzyczy.

Ciałem Vincenta wstrząsa dreszcz i powoli się ode mnie odsuwa. Patrzy na mnie pustym wzrokiem, ale za chwilę jego oczy wypełniają się bezgraniczną miłością, która mnie uderza. Uśmiecham się delikatnie i ujmuję jego policzek, a on odwzajemnia mój uśmiech. Jest taki piękny...

— Emerald... — mruczy. — Tak bardzo cię kocham, skarbie.

Jego słowa są prawdziwe. Nie odpowiadam na nie. Nie odpowiadam, bo nie mogę się powstrzymać i łączę nasze usta w pełnym tęsknoty pocałunku, który ostatecznie sprawia, że wszystko wraca na swoje miejsce. Pamiętam go. Pamiętam wszystko, każde słowo, czyn, dotyk i emocję. Jestem pełna wspomnień. Pełna uczuć. W końcu jestem pełna.

— Kocham cię — szepcze. — Kocham cię, kocham cię, kurwa, po prostu kocham, Emerald. Nad życie, nad śmierć, nad wszystko, moja Szmaragdowa Księżniczko.

— Bałam się, że już nigdy tego nie usłyszę — mówię cichym głosem. — Że już nigdy cię nie zobaczę. Że nie wrócisz i mnie zostawisz.

— Nigdy cię nie zostawię — oświadcza z pełnym przekonaniem. — Nic nas nie rozłączy. Jestem wyłącznie twój. Już na zawsze i przepraszam cię za wszystko, Emerald. — Kręci głową. — Za porwanie, przetrzymywanie, moją przeszłość, każdy błąd i moment, w którym czułaś się z mojego powodu źle. Przepraszam.

— Kocham cię, Vinnie. — Uśmiecham się szeroko, patrząc w jego iskrzące się miłością tęczówki. — I będziemy mieć dzidziusia.

— Valerio! — krzyczy po raz kolejny zniecierpliwiona Anna. — Do kurwy jebanej nędzy, opamiętaj się!

Zamykam oczy. Mój spokój chwilowo odplywa, ale nie czuję niczego negatywnego. Czuję Vincenta, który czule mnie obejmuje i po prostu jest. Ciepło jego ciała, spokojny oddech i zapach. On cały. Żywy.

— Jestem miłym złym facetem — zaczyna w końcu Stanley. — Uwielbiam Valerię, opiekuję się nią jak własnym dzieckiem i przychyliłbym jej nieba, bo jest cudownym Cukierkiem. Ale ciebie mam ochotę rozszarpać i zakopać żywcem! — dodaje głośniejszym głosem. — Musisz wpierdalać swoje niepotrzebne dwa słowa?! Dawałem ci fałszywe informacje i wcisnąłem kit z tortem, żebyś nic nie spierdoliła. Zamówiliśmy tort, który doprowadził do ich *pierwszego spotkania*. Vincent żyje, ma się dobrze, rehabilitacja idzie świetnie, a Valeria jest szczęśliwa. Cukierku, przypomniałaś sobie Vincenta?

— Tak. — Uśmiecham się. — W chwili, gdy powiedział do mnie *Emerald*.

Mój przyjaciel odwzajemnia uśmiech.

— Vincent nigdy nie zrobił czegoś wbrew woli twojej przyjaciółki, nie skrzywdził jej i nie pomyślał nawet, by to zrobić — ciągnie Stanley. — Czuwa nad nią od lat i nie zniszczysz ani nie zmienisz tego, idiotko. Odpierdol się, bo osobiście zadbam o to, byś już nigdy więcej nie zobaczyła Cukierka. Niczego nie zmienisz. Żadnym sposobem.

— Policja się wami zajmie — prycha.

A ja tracę cierpliwość, odsuwam się od Vincenta i powoli, przy jego pomocy wstaję na równe nogi. Jestem rozgoryczona, mimo że moje serce wypełnia szczęście. Wymierzam palec w klatkę piersiową przyjaciółki i oświadczam:

— Wykorzystałaś mój wypadek do tego, by odciągnąć mnie od Vincenta. Kłamałaś w żywe oczy, mówiąc, jak źle byłam traktowana i że moje dziecko jest wynikiem gwałtu. Robiłaś to bez zająknięcia. Oszukałaś mnie w każdej sprawie i teraz, gdy wszystko powoli sobie układam w głowie, masz czelność straszyć nas policją?! Jak śmiesz?!

— Jesteś zaślepiona — krzyczy. — Zostałaś porwana! To pieprzony syndrom sztokholmski.

— To nigdy nie był syndrom! — wrzeszczy. — Jestem w ciąży z Vincentem i musisz to uszanować. — Zniżam ton, bo nie chcę się niepotrzebnie nakręcać. — Kocham i jego, i nasze dziecko, które wychowamy razem. Jako pełna rodzina. Prawda? — Spoglądam na niego z dołu.

Mężczyzna uśmiecha się do mnie szeroko i kiwa twierdząco głową, a następnie pochyla się i składa na moich ustach czuły pocałunek.

— Kocham cię — mruczy w moje wargi. — Od dziecka, Emerald.

Obejmuję go za szyję, chcąc mieć go jeszcze bliżej, i pogłębiam pocałunek. Szczęście, jakie czuję, jest uzależniające i wręcz mnie pali. Nigdy nie czułam czegoś tak silnego i niesamowitego.

— Tęskniłam za moim smokiem — szepcze.

Parska cichym śmiechem, przerywając pocałunek, i prostuje się, by spojrzeć na moją twarz.

— Wiesz, skąd się wzięło nawiązanie do smoka? — Zaprzeczam ruchem głowy. — Kiedy miałaś

trzy lata, rzuciłaś mi w twarz plastikowego smoka, którego dostałem od twojej babci. Nabiłaś mi śliwę pod okiem. — Ujmuję moją twarz w dłonie i uśmiecha się rozbijając. — Powiedziałaś mi wtedy, że jestem taki sam jak ten smok, bo byłem od ciebie o wiele większy.

— Nadal jesteś.

— I nadal cię kocham. Zarówno wtedy, jak i dzisiaj — mruczy.

Moje serce topnieje, a w kąciakach oczu zbierają się łzy.

Nie jestem samotna.

Dwadzieścia minut później siedzimy na balkonie kawiarni z napojami i ciastem, które dokończył za mnie Stanley. Siedzę niespokojnie, a Vincent bada każdy milimetr mojej twarzy i głupkowato się uśmiecha. Jest szczęśliwy, ale widzę również, że coś jest nie tak. Upijam łyk owocowej, mrożonej herbaty i wzdycham. Dopiero po chwili unoszę wzrok na mętne oczy mojego partnera.

— Więc? — pytam. — Opowiedz mi wszystko.

— To znaczy co?

Przechyliła głowę w prawo i wystawia w moim kierunku dłoń. Kładę na niej swoją i uśmiecham się lekko, gdy czuję kopnięcie prądem. Jego skóra jest ciepła i przyjemna.

— Wszystko, Vincent. — Zamykam oczy. — Od chwili, w której zostawiłaś mnie samą w swoim domu z kotem, który nazywa się Morderca.

— Nie mam za dużo do powiedzenia w tej sprawie — oznajmia, a ja natychmiast na niego spoglądam. — Mam luki w pamięci. Mogę ci opowiedzieć, jak wygląda moje życie od trzech miesięcy, od dnia, gdy otworzyłem oczy.

Zamieram. Czuję nieprzyjemne dreszcze. On jest chyba niepoważny.

— Trzech miesięcy? — pytam z niedowierzaniem. — Trzy miesiące?!

Trzęsę się ze złości.

— Spokojnie. — Podnosi się gwałtownie. — Spokojnie, Emerald. Nie denerwuj się.

Obchodzi stolik i siada tuż obok mnie. Obejmuje mnie ramieniem, jednak w dalszym ciągu mam ochotę zrobić mu jakąś krzywdę. Trzy miesiące temu odzyskał świadomość! A ja nic nie wiedziałam.

— Po śpiączce byłem niesprawny, nie mogłem chodzić, poruszać rękami ani normalnie jeść. Mam silny organizm, jednak leżałem wystarczająco długo, by wszystko się posypało. Stanley mówił, że mnie potrzebujesz, że jesteś zdrowa, ale miałaś wypadek. Że jesteś przybita. Że tęsknisz za mną — mówi cicho. — Walczyłem z niemocą, by wrócić do ciebie w pełni sił.

Zwracam twarz w jego stronę i prawą ręką dotykam jego policzka. Gładzę go czule, uśmiechając się nieśmiało, i dopiero po chwili obejmuję go i przyciągam do siebie. Łączę nasze wargi w długim, wyczekany pocałunku i uśmiecham się, bo Vincent go odwzajemnia. Jest spokojny i opanowany, ale czuję, że ledwo nad sobą panuje. Chce mnie bardziej, jednak się powstrzymuje, bo jesteśmy w miejscu publicznym.

— Ciężko pracowałem, byle znów stanąć samodzielnie na nogach i w końcu cię zobaczyć.

Podgryza moją dolną wargę i odsuwa się, by ująć moją twarz w obie dłonie. Głaszcze mnie po policzkach, walcząc ze mną na spojrzenia, i uśmiecha się jak szczęśliwy idiota. Jest piękny. A jego szczęście otwiera dla mnie raj. Mój osobisty raj, w którym nie ma nikogo poza nami i naszą małą dzidzią.

— Będziemy mieć dzidziusia — szepczę i przygryzam wargę. — Nie wiem, czy chłopca, czy dziewczynkę — przyznaję. — Ale nie chcę wiedzieć. Chcę niespodziankę.

— Najważniejsze, żeby było zdrowe. — Uśmiecha się. — I żebyś ty była szczęśliwa.

— Właśnie teraz jestem.

Przyciągam go na jeszcze jeden pocałunek i mocno wtulam się w jego ciepłe ciało. Czuję emanujące od niego ciepło i automatycznie zamykam oczy. Jego serce bije spokojnie, a ja nie potrzebuję niczego więcej do szczęścia. Jest ze mną, cały i zdrowy.

— Już nic ci nie grozi? — pytam po chwili.

— Nie, już wszystko jest w porządku — wzdycha. — Chyba że Ginger na mnie poluje, bo jeśli chodzi o pieniądze, jest strasznie chciwa.

Cholera. Odsuwam się od niego gwałtownie i wytrzeszczam oczy, gdy dociera do mnie jedno bardzo znaczące, przerażające zdanie. Nie. Nie, nie, nie!

— Ona jest w ciąży! — mówię głośno. — Ona jest...

Zatrzymuję się, tracąc chwilowo oddech, a na twarzy Vincenta maluje się panika. Jego oczy zachodzą mgłą, a dłonie, którymi otula moją twarz, drżą. Jest zagubiony i nie wie, co zrobić, a ja czuję, jak się duszę z przerażenia. On nie może mnie zostawić. Nie może!

— Nie, nie jest. — Kręci głową. — Oddychaj, kochanie, Ginger nie jest w ciąży. Spokojnie, oddychaj — prosi, patrząc mi w oczy. — Oddychaj, Emerald, zaraz zemdlejesz!

Zaciskam powieki, nabierając powietrza, i dopiero gdy mną potrząsa, tlen dociera do moich płuc. Cała się trzęsę, a z oczu lecą mi łzy, których nie umiem powstrzymać. Znow ogarnia mnie panika, a on nie wie, co robić.

— Ginger nie jest w ciąży, to było kłamstwo, skarbie — szepcze, głaszcząc moje policzki. — Nie denerwuj się, oddychaj spokojnie, jesteś w ciąży.

— Jestem w ciąży — powtarzam po nim, łkając. — Jestem z tobą w ciąży.

— Tak, więc należę do ciebie, bo nosisz pod sercem moje dziecko — mówi powoli. — Jestem twój, tylko twój, Emerald, oddychaj. Nikt nie może nas rozdzielić.

Kręcę głową, nie wiedząc, co się dzieje, i ponownie mocno przytulam się do jego ciała. Oddycham głęboko, starając się opanować szloch, i prawą ręką łapię dłoń Vincenta, by położyć ją na moim okrągłym brzuchu. Układam ją na nim i przyciskam nos do jego szyi. Jestem całkowicie rozedrgana wydarzeniami dzisiejszego dnia.

— Jesteś mój — powtarzam. — Mój.

— Tylko twój — szepcze. — Kocham cię, skarbie.

Porusza delikatnie palcami po moim brzuchu i kołysze nami, pomagając mi się uspokoić. Nadal czuję przerażenie i kompletnie nie wiem, o co chodzi. Ale Vincent jest przy mnie. To jest najważniejsze.

Oddycham spokojnie, lekko się uśmiechając, i czerpię siłę z dłoni, którą głaszcze mój brzusek. Jest bardzo delikatny, a świadomość, że wszystko znajduje się na swoim miejscu, przynosi mi spokój. W końcu czuję ten upragniony wewnętrzny spokój.

— Kocham cię — mówię po chwili.

Czuję, jak jego serce gwałtownie przyspiesza, a dłoń na moim brzuchu drży, co wywołuje mój szeroki uśmiech. Całuję go w szyję i dopiero po mocnym zassaniu jego skóry odsuwam się. Patrzy na mnie i po prostu się szczyrzy. Jak głupi.

— Ja też cię kocham — mruczy, pochylając się do moich ust. — Kocham cię bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

Całuje mnie mocno, wpraszając się z językiem w głąb ust, i mruczy pod nosem.

— Wyjdiesz za mnie? — szepcze, gryząc moją wargę. — Chcę, byś nosiła moje nazwisko. Żebyś był chociaż krok dalej niż mój dziadek.

— Będziesz miał ze mną dziecko, to już jest krok dalej. — Śmieję się.

Odsuwam się i przechylam głowę. Jest taki piękny!

— Chcę iść jeszcze dalej — niecierpliwi się. — Chcę, żebyś była moja.

— Jestem twoja — zapewniam go.

Nie mogę przestać cicho chichotać. Wygląda uroczo, gdy w jego oczach wybuchają iskierki miłości. Cały jest uroczy, gdy patrzy na mnie z tak wielką i szczerą miłością.

— Chcę, żebyś była jeszcze bardziej — burczy.

— Więc ja chcę się pobrać w Las Vegas — wypalam.

— Jutro — postanawia. — Jutro polecimy z rana i pobierzemy się wieczorem. Kupię ci zieloną sukienkę. — Szczyrzy się. — A sobie kupię zielony garnitur.

— Vinnie...

— A może pobierzemy się na wyspie? Może tam wszystko zorganizuję?

— To... dobry pomysł — mruczę. Nie byłam tam i z chęcią rozpocznę naszą wspólną przygodę na wyspie o nazwie Emerald. — Chcę na wyspie.

Przyciąga mnie na kolejny pocałunek i zaraz mocno mnie do siebie przytula. Czuję, jak drży z

tych emocji, i nie mogę się nim nasycić. To takie słodkie i niesamowite, że jest taki szczęśliwy.

— Powiedz, że za mnie wyjdiesz — nalega cichym, rozczulającym głosem.

— Wyjdę za ciebie, Vincent. — Śmieję się. — Nawet jutro, ale chcę białą sukienkę, jak prawdziwa panna młoda — oznajmiam. — Mogę założyć pod nią zieloną bieliznę.

— Co tylko sobie życzysz, księżniczko. — Całuje mnie w czoło. — Kocham cię.

— A ja kocham ciebie.

Mój Vinnie.

Rozdział 32

Sierpień

Jestem podekscytowana nadchodzącym czasem. Postanowiliśmy z Vincentem odrobinę zwolnić i dać sobie kilka dni na ponowne przyzwyczajenie się do siebie.

Czuję się naprawdę w porządku, mimo że wyglądam już powoli, jakbym połknęła arbuza. Jestem w dwudziestym czwartym tygodniu ciąży, a mój brzuszek przybiera na wielkości z każdym dniem, co jest ultraocze. Nie mogę się na siebie napatrzeć w lustrze. Cięża jest tak cudownym czasem! Moje piersi są o wiele większe, niż były, policzki bez przerwy mam zarumienione, a ten brzuszek po prostu mnie rozczula. Patrzę na niego i zaraz mam ochotę się rozplakać, bo wiem, że już niewiele zostało do chwili, w której moje maleństwo pierwszy raz spojrzy mi w oczy.

Oczywiście nie jest kolorowo bez przerwy. Ból pleców, stóp i czasem piersi nie sprzyja mojemu samopoczuciu. Dodatkowo zdarza mi się... popuścić, gdy za dużo się śmieję. Ale mimo wszystko cięża to naprawdę niesamowicie ciekawy czas w życiu.

Wychodzę z pokoju, który jest moim przedślubnym azylem, i kieruję się korytarzem prosto do wielkiego salonu, w którym od kilku dni tętni życie. Od tygodnia przebywamy na wyspie całą gromadą: ja, Vincent, babcia, Stanley i Troy oraz Zena z dziadkiem i ochroniarzami — Ronem i Sethem. Jestem całkowicie zakochana w Ronie, ma świetne poczucie humoru, za to Seth jest mrukliwy. Najciekawszą osobą jest jednak dziadek Zeny, Konstantin. Nie odzywa się za często, przez cały czas pozostaje poważny niczym jego wnuk i nie widać po nim żadnej emocji. Ma osiemdziesiąt sześć lat i naprawdę wygląda jak boss z półświatka. Ma idealnie przystrzyżone śnieżnobiałe włosy, zaczesane do tyłu, perfekcyjnie przycięty zarost i oczy tak jasnoniebieskie jak Zena. Mimo wszystko jest bardzo miły i widzę, że bardzo się lubią z moją babcią. Często znikają, by pójść razem na spacer i porozmawiać o starych czasach.

Zastaję mojego mężczyznę w kuchni, która po remontach wygląda bardzo pięknie i nowocześnie. Lubię w niej to, że jest dużo drewnianych elementów. Na przykład ogromna wyspa kuchenna, przy której siadam. Zena i Vincent stoją przy blacie w samych krótkich spodenkach.

— Dzień dobry — odzywa się Zena.

Uśmiecham się do niego szeroko, czego oczywiście nie odwzajemnia, ale jestem zadowolona, że zaszczycił mnie choćby jednym słowem. Zwykle nie ma ochoty na rozmowę bądź jest rozdrażniony. Ale lubię go, bo nie traktuje mnie jak wrzodu na tyłku, mimo że często proszę go, by coś mi podał. Jest opiekuńczy i nigdy na mnie nie krzyczy ani nie okazuje, że ma mnie serdecznie dość, gdy zadaję mu masę pytań.

— Cześć — mówię w końcu. — O czym rozmawiamy?

— Właśnie mówiłem Zenie o tym, jak się posikałaś, gdy opowiadałem ci historię z naszych młodszych lat — wyjaśnia poważnie Vincent, przez co wytrzeszczam oczy z przerażeniem i spoglądam na niego niedowierzająco. — No co? Spokojnie, Val, każdemu może się zdarzyć, prawda?

Nie wierzę, że słyszę coś przypominającego rozbawienie w jego głosie.

— Nie każdy ma tyle szczęścia, by wchodząc na drzewo, zawisnąć na gałęzi na majtkach — burczę, czując rosnącą potrzebę wybuchnięcia śmiechem. — Chociaż przyznaję, że najbardziej bawi mnie to, że miałeś na sobie tylko bieliznę.

Parskam śmiechem, wyobrażając sobie tę scenę, i odchylam się do tyłu. W ciąży wszystko przeżywam ze zdwojoną mocą. Jak się śmieję, to do upadłego.

Vincent podchodzi i obejmuje mnie od tyłu, bym przypadkiem nie upadła na podłogę. Gdy mój napad śmiechu się kończy, spoglądam na Zenę, który przewraca oczami. Lubię ten jego wisielczy nastrój.

— Zdecydowałaś w końcu, którą sukienkę założysz? — pyta Zena znudzonym tonem.

— Tak! Wszystkie, które przywiozłaś, są piękne, ale wybieram tę, którą zasugerowałaś.

Przytakuje, puszczając mi oczko, i przenosi wzrok na Vincenta, który stoi za mną.

— Do roboty, Visser. Pojutrze muszę wszystko, co jest potrzebne do zorganizowania szybkiego ślubu, sprowadzić na wyspę, więc dogadajcie się z Valerią.

— Jasne.

Zena odwraca się i bez słowa wychodzi. Widzę na jego plecach ogromną bliznę ciągnącą się

przez niemal całą długość korpusu. Wydaje się dość świeża.

Gdy zostaję z Vincentem sama, odchylam głowę, by mnie pocałował. Spogląda na mnie iskrzącymi się oczami i uśmiecha się w rozbrajający sposób. Jego brązowe oczy są ciepłe i pełne miłości, a mnie na ten widok chce się płakać ze szczęścia. W dodatku dzidzius w moim brzuszku zaczyna się ruszać — pewnie wyczuł nasze emocje.

— No nie mów, że znów będziesz płakać — mruczy mój narzeczony, pochylając się. — Jesteś jak tykająca bomba: jeśli akurat nie wybuchasz dzikim śmiechem, to się wzruszasz. Co za niestabilna kobieta mi się trafiła — droczy się. Ale zaraz dodaje: — Kocham cię, Emerald.

Całuje mnie niespiesznie, z całą gamą uczuć, jakie do mnie żywi. Jestem taka szczęśliwa... Nigdy bym nie pomyślała, że poczuję się tak przy mężczyźnie, który mnie porwał. Nigdy bym nie pomyślała, że znam tego mężczyznę całe życie. Że moja babcia kochała jego dziadka. Że byliśmy sobie przeznaczeni, by zakończyć to, co rozpoczęło się dwa pokolenia wcześniej.

— Vinnie... — szepczę. — Dzidzia jest głodna, wiesz?

Parska śmiechem w moje wargi i odsuwa się. Klęka przede mną, by jego twarz była naprzeciwko mojego brzuszka. Mam na sobie zwiewną koszulkę z falbankami, która jest o dwa rozmiary za duża, i krótkie szorty. Vince podnosi koszulkę nad mój wystający brzusek i przytula się do niego policzkiem. Prawą rękę układa zaraz obok swojej twarzy i głaszcze moją skórę.

— Na co ma ochotę moje maleństwo? — pyta cichym głosem, a mnie ściska się serce. — Owoce? Warzywa? A może zapiekanekę od prababci?

Czuję ruch malucha i zaraz Vincent również jest tego świadkiem, bo dziecko napiera na mój brzuch w okolicy jego policzka. Śmieje się i obcałowuje miejsce, w którym przed chwilą odznaczyła się kończyzna naszego dziecka.

— Oczywiście, że to musi być zapiekanka od prababci — mruczy Vince.

— Lubimy jedzenie babci — przyznaję, wplatając palce w jego miękkie włosy. — Ale najbardziej lubimy, gdy karmi nas tatuś.

Uśmiecham się niewinnie, bo uwielbiam widzieć w jego oczach dumę spowodowaną tym, jak bardzo go potrzebuję. Podnosi się w górę, zahaczając ustami o moje wargi w szybkim pocałunku, i staje na równych nogach. Jest szczęśliwy.

— Halo, halo — dociera do mnie głos Rona. — Czy można wejść do kuchni bez zastania przyszłych rodziców w intymnej sytuacji?

Wybucham śmiechem, a Vincent przewraca oczami. Zasłania mój brzusek koszulką i kieruje się do lodówki, tymczasem Ron wchodzi do pomieszczenia z szerokim uśmiechem i puszcza mi oczko.

— Co tam? — pytam, ignorując jego wcześniejszą zaczepkę.

— Szef kazał się dogadać odnośnie do dekoracji na przyjęcie. Vincent upiera się przy zielonym, ale Zena nie chce załatwiać barwionych, zielonych róż, bo uważa, że blad różowe będą ładniej wyglądać w łuku, który dla was zrobiliśmy na uroczystość — tłumaczy Ron, który siada obok mnie i mierzwi moje włosy w geście sympatii.

— Jeśli ja mam obsesję na punkcie zielonego, to on ma hopla na jasny róż — rzuca oskarżycielsko mój narzeczony.

— Błdy róż, mój drogi, idealnie skomponuje się z zielenią, którą zastosowałeś dosłownie wszędzie. Masz przygotowany ciemnozielony garnitur i ledwo przekonaliśmy cię do białej koszuli — obrusza się Ron.

— To nie moja wina — broni się mój Vince. — Spójrz w jej oczy i powiedz, że nie są uzależniające.

Ron pochyła się, żeby zerknąć, i uśmiecha się rozbrajająco, po raz kolejny mierzwiąc mi włosy.

— Są piękne, jak cała panna młoda — oznajmia. — Nie zmienia to faktu, że powiem Zenie, że przejmujemy pałeczkę, ponieważ ty najchętniej pobrałbyś się na drzewie, bo jest tam pełno zieleni. — Wystawia w moim kierunku dłoń, którą łapię, a on mocno ją ściska. — Valeria podjęła decyzję, więc idę się zająć dodatkami, które NIE będą w kolorze zieleni.

Parskam śmiechem, gdy szybko schodzi z krzesła i ulatnia się z kuchni. Vincent nie ma czasu na reakcję — nie ukrywa swojego niezadowolenia z tego powodu. Wsuwa moją porcję makaronowej

zapiiekanki do piekarnika i z naburmuszoną miną zajmuje miejsce, na którym przed chwilą siedział Ron.

— Mam obsesję? — pyta niewinnie, jakby odpowiedź nie była oczywista.

— Oczywiście, że nie, kochanie — kłamię.

— Tylko ty mnie rozumiesz — wzdycha z udawaną ulgą.

Pochyla się ku mnie i składa na moich ustach słodki pocałunek.

Wieczór jest dziwnie nerwowy. Vincent zniknął mi gdzieś koło osiemnastej i jestem skazana na towarzystwo Anny, która w dalszym ciągu nie wierzy w miłość mojego partnera. Jej niechęć męczy mnie już, dlatego jednym uchem słucham, a drugim od razu to wypuszczam.

— Valerio? — Głos Zeny jest niczym zbawienie.

Spoglądam na mężczyznę, który pojawił się w drzwiach salonu, i uśmiecham się tak szeroko, że na jego obliczu maluje się konsternacja. Potem dostrzega Annę, która skanuje go wzrokiem, i dociera do niego, dlaczego cieszę się z jego przybycia.

— Chodź, mam ci coś do pokazania.

Kiwa głową, bym przeszła w kierunku, który wskazuje, i rusza jako pierwszy. Podnoszę się powoli, ignorując moją przyjaciółkę, i szybko zmierzam do wyjścia. Zena czeka na mnie w drzwiach prowadzących na taras. W ręce ma opaskę i palcem pokazuje, żebym się odwróciła. Robię to, a on zawiązuje mi na oczach materiał. W kolorze zielonym oczywiście.

Nie widzę kompletnie niczego, gdy jego dłoń zaciska się delikatnie na moim przedramieniu. Rusza na zewnątrz, prowadząc mnie ostrożnie, i nic nie mówi, a ja zaczynam się śmiać.

— Wiesz? Nie mogę się doczekać, aż znajdziesz sobie dziewczynę i ona stanie się moją najlepszą przyjaciółką — mówię, na co wzdycha.

— Powinnaś wiedzieć, że nie każdego czeka szczęśliwe życie — mówi ponuro.

Nie zniechęcam się, bo zdążyłam się przekonać, że zawsze jest zdystansowany i burkliwy. Wiem, że mnie lubi, bo mi to powiedział, a on nigdy nie kłamię.

— Myślę, że to nieprawda — oznajmiam z pewnością siebie. — Znajdziesz jakąś miłą dziewczynę.

— Potem ją porwę, co ty na to? — prycha.

— Będziemy miały o czym dyskutować, jeśli to zrobisz.

Znow się śmieję. Jego powaga jest trochę przerażająca. Cały taki jest, prawdę mówiąc.

Zatrzymujemy się nagle, bo Zena staje w miejscu i powoli zdejmuje mi z głowy opaskę. Mrugam przez moment, by wyostrzyć sobie obraz, i... Widzę łuk stworzony z kwiatów, który jest ozdobą naszego ślubnego kobierca. Przestrzeń przed domem została idealnie wykoszona, stoliki i ławki są już ustawione i mnóstwo lampek oraz balonów wisi na drzewach, które nas okalają. Wszystko wygląda pięknie i bardzo klimatycznie, ale traci na znaczeniu, gdy spoglądam w dół. Mój mężczyzna klęczy przede mną na jednym kolanie. Ma na sobie krótkie spodenki w czarnym kolorze i zieloną koszulę, której kolor jest niemal identyczny z barwą moich oczu w słoneczne dni. Trzyma zielone pudełeczko, które powoli otwiera, ukazując mi pierścionek z dużym szmaragdowym oczkiem. Do kamienia po obu stronach dodane są po trzy listki z diamentów. Błyskotka wygląda trochę jak szmaragd ze skrzydełkami i jest tak piękna, że zapiera mi dech w piersi.

— Wiesz, że cię kocham — mówi Vincent. — Każdego dnia sprawiasz, że czuję się potrzebny, i każdego dnia kocham cię odrobinę bardziej niż dzień wcześniej. Wiem, że jutro staniesz się moją żoną... Ale dzisiaj chciałbym, żebyś była narzeczoną. Więc... Wyjdiesz za mnie?

Zakrywam twarz dłońmi, tupiąc w miejscu i piszcząc, by się nie rozpląkać, a gdy przegrywam, bo łzy wytryskują z moich oczu niczym strumienie, wyciągam w jego kierunku dłoń. Wsuwa pierścionek na serdeczny palec i wstaje, a potem mocno mnie obejmuje.

— Płaczek — mruczy mi do ucha.

— Zamknij się — szepczę. — Jestem wzruszona.

— To ostatni pierścionek, jaki własnoręcznie wykonał mój dziadek. Był zrobiony specjalnie dla ciebie, bo dziadek wierzył, że kiedyś uda mi się zebrać w sobie i poprosić cię o rękę.

Kręcę głową, by odgonić od siebie te cholerne łzy, ale nie mogę. On mnie specjalnie dobija!
— Kocham cię — szepczę. — I myślę, że dziadek jest z ciebie dumny.
— Też tak myślę. Jutro w końcu twoja babcia stanie się częścią jego rodziny, jak zawsze pragnął.
— Ooo! — jęczę i odsuwam się od niego.
Jestem taka szczęśliwa!

Przygotowanie się do ceremonii zajmuje mi cztery godziny. W tym czasie zaliczam prysznic, fryzjera, makijaż oraz stylistę, którym jest Stanley. Pomaga mi założyć sukienkę oraz buty, z którymi mam problem, gdyż niełatwo mi się schylać. Gdy jestem w pełni gotowa, nie mogę uwierzyć w to, że w lustrze odbija się kobieta, którą jestem. Mam bardzo prostą fryzurę: wszystkie włosy zostały zebrane w luźnego kłosa, który przyozdobiono zielonymi różami. Była to, rzecz jasna, inicjatywa Vincenta, a ja nie miałam śmiałości podważyć jego zdania. To, że zgodził się na dodatki zakupione przez Rona, i tak jest sukcesem, więc wolałam nie nadużywać jego „łaskawości”.

Makijaż mam delikatny, bo jedynie oczy podkreślone złotym cieniem i zieloną kreską na powiece. Usta zostały muśnięte błyszczkiem, a policzki rozświetlaczem. Moja sukienka jest urocza. Ma długie rękawy wykonane z subtelnej koronki, która sięga aż pod biust. Bardzo głęboki dekolot ukazuje część moich sporych już piersi. Od biustu materiał jest gładki, spływa po ciężowym brzuszku, nieznacznie go maskując. Sukienka sięga aż do samej ziemi. Z tyłu i po bokach doszyty jest tiul połączony z koronką z rękawów. Wygląda to mniej więcej tak, jakby ta koronka została rozcięta na brzuchu, by to on był na pierwszym planie. Podoba mi się to.

— Wyglądasz pięknie, Cukierku — komentuje Stanley, który stoi w rogu pomieszczenia.

Towarzyszy mi przez cały dzisiejszy dzień, bo dziadek Zeny zarządził, że państwo młodzi mają się nie widzieć aż do samej ceremonii. Zgodziłam się na to o wiele szybciej niż mój narzeczony, który najbardziej ubolewał nad faktem, że noc przed ślubem musi spędzić w samotności. Ja spałam sobie grzecznie w pokoju z babcią, która po raz kolejny opowiadała mi o swoim Vincencie.

— Myślisz, że możemy już iść? — pytam.

— O tak, pan młody jest beznadziejnie niecierpliwy. — Stanley śmieje się i podchodzi do mnie. Na jego twarzy maluje się szczęście. — Jesteś najpiękniejszą panną młodą, jaką w życiu widziałem.

Uderzam go w ramię i odbieram bukiet, który trzyma w dłoniach. Składa się z bladoróżowych różyczek i mnóstwa zieleni. Jest subtelny i piękny, a gdy zaciągam się jego zapachem, szeroko się uśmiecham.

Jestem gotowa.

Ujmuję wystawiony w moim kierunku łokieć Stanleya i oddycham głęboko dwa razy, zanim wychodzimy z mojego pokoju. Idziemy spokojnie, rozkoszując się przyjemną muzyką, która dochodzi z każdego zakamarka domu. Wszystko jest udekorowane zielonymi balonikami, wstążkami i masą kwiatów. Jest przepięknie.

Wychodzimy na zewnątrz, prosto na zielony, długi dywan, który prowadzi przez całe podwórko aż do naszego prowizorycznego ołtarza okolonego różami. Vincent stoi na środku podwyższenia w ciemnozielonym garniturze. Uśmiecha się rozbrajająco i nerwowo przekłada palce, na co stojący obok niego Zena kręci głową. Widzę, że mój narzeczony się stresuje, ale dostrzegam też to, jak bardzo jest szczęśliwy. Skanuje mój ubiór od stóp do głów i nie może się napatrzeć. Jego piękne oczy aż świecą.

— Już czas — mówi Stanley prosto w moje ucho.

Przytakuję z szerokim uśmiechem i powoli ruszam przed siebie. Idę bez pośpiechu, delikatnie stawiając każdy krok, i cieszę się na widok wszystkich naszych gości. Moja babcia stoi u boku Konstantina w pierwszym rzędzie. Za nimi są Troy z Ronem i Sethem oraz Anna, która ma niepokojoną minę, ale gdy mnie dostrzeża, uśmiecha się nieznacznie. Puszczam jej oczko, by w końcu zrozumiała, jak bardzo jestem szczęśliwa, i potem patrzę już tylko na mojego mężczyznę.

Każdy krok zbliża mnie do życia na zawsze z Vincentem i jest to co najmniej niesamowite. Nawet dzisiaj zaczyna się poruszać. Ma idealne wyczucie, jak zawsze.

Zatrzymuję się obok pana młodego i podaję mu dłoń. Ścisną moje palce z ulgą. Widzę, jak w

jego oczach rozbłyскуje szczęście. Nic więcej nie ma znaczenia.

— Moi najdrożsi! — odzywa się głos, w którym brzmi rozbawienie.

Spoglądam na mężczyznę, który wychodzi zza kwiatowego łuku za nami, i przewracam oczami, bo Vincent jest po prostu nienormalny. Nasz urzędnik ma zielony pas materiału przewieszony na szyi. Staje pomiędzy nami na podwyższeniu i szeroko rozkłada ramiona. Wygląda na szczerze zachwyconego.

— Moi najukochańsi! — zaczyna po raz drugi. — Serdecznie was witam! Tym serdeczniej, że jestem tutaj za sprawą szybkiego biletu lotniczego aż z samego Vegas — oznajmia z szerokim uśmiechem.

Robi ku nam krok i najpierw całuje w policzek mnie, a następnie Vincenta. Śmieję się z jego entuzjazmu i mocniej ściskam jego palce. Chciałam ślubu w Vegas, to go mam, Zena potrafi chyba wszystko.

Urzędnik odsuwa się od nas, zdejmując szarfę z szyi i wskazuje na nasze dłonie, które splatamy i wyciągamy w jego kierunku. Zaciska je mocniej, jakby to miało wpłynąć na trwałość więzów naszego małżeństwa, i owija wokół nich zielony pas. Robi to bardzo dokładnie, po czym prostuje się i znów uśmiecha.

— Zebraliśmy się tutaj dzisiaj, by połączyć węzłem małżeńskim Valerię i Vincenta — ogłasza. — Jak dobrze wiemy, spodziewają się oni dziecka, które rozwija się pod sercem panny młodej. Jest to więc wyjątkowa ceremonia. — Śmieje się. — Na mocy udzielonej mi w urzędzie stanu cywilnego w Las Vegas chcę was prosić o złożenie przysięgi własnymi słowami.

Zamieram. Momentalnie robi mi się gorąco, a pot oblewa moje plecy. Nikt mnie nie powiadomił, że sama mam sobie wymyślić przysięgę! Cholera. Cholera, cholera, cholera!

— Myślę, że pan młody rozpocznie — dodaje urzędnik, widząc moje przerażenie.

Vince delikatnie wolną ręką ujmuje moją brodę. Jego brązowe oczy lśnią szczęściem i miłością, przez co od razu się rozluźniam. Przesuwa kciukiem po mojej dolnej wardze i głęboko oddycha.

— Emerald — odzywa się. — Wiem, że sposób, jaki wybrałem, byś mnie poznała, był zły, dziwny, nielegalny i popieprzony. Spiskowałem z twoją babcią i obserwowałem cię przez wiele lat, zastanawiając się, jak to będzie stanąć przed tobą i powiedzieć choćby głupie *cześć*. Byłem potworem, brutalnym, okrutnym potworem, i robiłem okropne rzeczy. Jednak gdy tylko pojawiłaś się obok mnie, zniknęły wszystkie męczące mnie koszmary, demony przeszłości i strachu. Porwałem cię i zakochałem się w tobie jak wariat, a dziś z pełną szczerością mogę oznajmić, że każdy dzień w twoim towarzystwie był, jest i już po sam mój koniec będzie dla mnie bezcennym darem. Kocham cię, kochałem i będę kochał aż po śmierć, z którą zdążyłem przywitać się już dwukrotnie. — Oddycha spokojnie, z uśmiechem, i pochyła się do poziomu moich oczu. — Z pełną świadomością ślubuję ci miłość, wierność, szczerłość oraz bezgraniczne oddanie. Bo kocham cię całym sobą i już niebawem będę najszczęśliwszym mężczyzną na świecie.

Urzędnik kładzie dłoń na ramieniu Vincenta i uśmiecha się. Ja natomiast całą sobą staram się trzymać łzy na wodzy, ale polegam. Wypływają z moich oczu kaskadami. Zrzucam to na ciężową huśtawkę nastrojów.

— Teraz panna młoda — odzywa się urzędnik, gdy jedynie gapię się na moją mężczyznę jak zaczarowana.

Oddycham głęboko i wolną ręką ocieram łzy.

— Nie wiedziałam, że będę musiała wymyślić kreatywną przysięgę, więc ci jej nie złożę — mówię na wstępie. — Powiem tylko tyle, że bez względu na wszystko dziękuję ci, że się odważyłeś i tym swoim kompletnie popapranym sposobem zbliżyłeś się do mnie. Kocham cię i ślubuję ci miłość, wierność, oddanie i całą siebie, bo każda cząstka mnie należy wyłącznie do ciebie. Jesteś moim początkiem i końcem, Vincent. — Parskam śmiechem. — Wiem, że właśnie zerznęłam to z jakiegoś słabego filmu miłosnego, ale brzmi fajnie i tak właśnie jest. Bo przed tobą byłam tylko Valerią. Ty wymyśliłeś dla mnie imię Emerald, a to taki piękny kamień i zarówno dla ciebie, jak i dla mnie ma ogromną wartość. Kocham cię, Vinnie.

Urzędnik klepie nasze złączone dłonie i szeroko się uśmiecha.

— Na mocy udzielonej mi w urzędzie ogłaszam was mężem i żoną — mówi.

Rozwiązuje nam dłonie i podaje poduszkę z obrączkami. Spoglądam na pierścionki i po prostu... dech mi zapiera. Są to dwie identyczne obrączki ze złota ozdobione szmaragdami. Są przepiękne. Minimalistyczne i przepiękne. Biorę w palce większy, a Vince mniejszy, po czym mój mężczyzna mówi:
— Emerald, przyjmij tę obrączkę jako znak mojej miłości i wierności. Niech za każdym razem, gdy będziemy daleko od siebie, przypomina ci o mnie i mojej obsesji na twoim punkcie.

Wsuwa przepiękny pierścionek na serdeczny palec mojej lewej ręki, a następnie unosi ją do ust i delikatnie całuje.

— Vinnie — zaczynam, przyciągając jego dłoń. — Przyjmij tę obrączkę jako znak mojej miłości i wierności. Żebyś zawsze pamiętał, że jestem, byłam i będę już wyłącznie twoja.

Wsuwam pierścionek na jego palec i także całuję jego dłoń. Śmieję się przy tym, bo, cholera, to naprawdę się wydarzyło!

— MOI DRODZY! OGŁASZAM WAS MĘŻEM I ŻONĄ! Możecie się pocałować.
Więc się całujemy. Mocno. Głęboko. Z pasją cholernych nowożeńców!

Epilog

Kwiecień

Krzywię się boleśnie, gdy do mojej twarzy docierają promienie słoneczne. Jestem wykończona. Obracam się na plecy i rozkładam delikatnie ręce, szukając mojego męża, ale pościel jest zimna. W domu panuje spokój, co oznacza tylko tyle, że wszyscy zajmują się naszym małym światem. Raz w tygodniu Vincent daje z siebie wszystko i zabiera ode mnie krzyczącego bobasa, zanim się obudzę. W ten sposób jestem w stanie funkcjonować jak w miarę normalna osoba.

Podnoszę się leniwie do siadu i w mojej mamusiowej piżamce kieruję się do łazienki. Po porannej toalecie zmierzam do kuchni, by przywitać się z Avianą, ale zamiast niej zastaję tam Troya. Siedzi oparty o blat z głupim uśmiechem i pisze coś na telefonie. Jest tak skupiony na tym, co robi, że w ogóle mnie nie zauważa.

— Dzień dobry — odzywam się w końcu.

— Cześć — mówi od razu, chowając telefon do kieszeni. — Aviana poszła się napić na Vincenta, a ja miałem zrobić ci śniadanie, ale za cholerę nie wiem, na co możesz mieć ochotę.

— Na jajecznicę na bekonie — jęczę. — Pragnę tego.

— Okej! — Szczerzy się wesoło. — Mówisz i masz.

Podchodzi do mnie, składa krótki pocałunek na moim czole i zabiera się do pracy. Korzystając z okazji, idę do salonu, by zerknąć na naszą małą rodzinę. Opieram się o ścianę, skąd mam doskonały widok na męża i córeczkę, i uśmiecham się z rozczuleniem. Vincent późnie na swoim ulubionym bujanym fotelu z zamkniętymi oczami, a Macey śpi na nim. Jest ułożona na brzuszku z rączkami obok buzi. Ma uchylone usta i całe czerwone policzki.

Moja mała córeczka ma pełno czarnych jak smoła włosów, które lekko się podwijają, ogromne zielone oczka okolone grubymi rzęsami, mała noska i perfekcyjnie wykrojone wargi. Jest piękna, najpiękniejsza na świecie i kocham ją nad życie. Mięwa swoje humorki, a najspokojniej śpi na torsie tatusia, ale i tak nie jestem zazdrosna. Kocham to, że Vince jest z nią tak blisko, że nie muszę biegać za nią co minutę, by na przykład nie stresować się, czy mała nie chodzi z niespodzianką w pieluszce. Mój mąż zajmuje się nią wzorowo.

— Nadal w to nie wierzę — szepcze Stanley w moje ucho, na co podskakuję z cichym jękiem. — Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć.

Spoglądam na niego z uśmiechem, bo nadal nie przywykłam do tego, że pojawiają się i znikają niczym cholerni ninja.

— Obserwuję moje śpiące dzieci — szepczę. — Jedno duże, drugie małe, a oboje kochają moje cucky.

— Valeria — jęczy brunet, śmiejąc się cicho. — Dobrze, że masz dwa: jeden dla Vincenta, a drugi dla Macey.

— Oj tak, gdyby nie to, zapewne by się bili o dostęp.

Parskam śmiechem po raz kolejny i budzę tym Vincenta. Otwiera leniwie oczy i od razu przenosi spojrzenie na mnie. Uśmiecha się delikatnie, a potem spogląda na naszą córeczkę. Kładzie dłoń na jej plecach i delikatnie pociera, szczerząc się jeszcze bardziej. Kocham patrzeć na jego rodzicielską miłość.

— Długo śpi? — pytam go.

— Jakieś czterdzieści minut.

— Kiedy się obudziła?

— O siódmej — wzdycha. — Ale nie płakała. Od razu, jak ją wziąłem, zrobiła się szczęśliwym dzidziusiem.

No tak, moje dziecko już pierwszego dnia wybrało sobie ulubionego rodzica.

Podchodzę do Vincenta powoli i gdy jestem wystarczająco blisko, pochylam się i bez ostrzeżenia składam na jego słodkich wargach mokry pocałunek.

— Dziękuję za kolejny poranek, kiedy mogłam odpocząć — mruczę.

— Dziękuję za bycie miłością mojego życia.

— Ty to jak coś wypalisz... — Parskam śmiechem. — Kocham cię bardzo, bardzo.

— Och, Emerald, uwierz mi na słowo, że ja kocham cię jeszcze bardziej.

— Nawet nie śmiem tego podważać, panie Visser.

— I bardzo dobrze, pani Visser.

Czy mogło być lepiej?

Oczywiście, że tak! Bo Macey się porusza i stęka, a sekundy po tym otwiera swoje ogromne, szmaragdowe oczęta i patrzy prosto na mnie. Krzywi się, ale ręka Vincenta, która głaszcze jej malutkie plecki, skutecznie ją uspokaja. Macey mlaszcze, by dać mi znać, na co przyszła pora. Na cycka.

— Mama przerwała nam spanko — komentuje Vince dziecięcym, słodkim głosem. — Więc jak miemam, czas na jedzonko, hm?

Patrzy na malutką wielkimi, pełnymi szczęścia oczami, a ona uśmiecha się w swój niemowlęcy sposób, przez co mnie ściska coś w piersi. Jest piękna. I moja, tak samo jak Vincent.

— Tak, czas na jedzonko — szepczę.

Unoszę dłoń i delikatnie głaszczę moją córeczkę po główce. Przekręca ją w moim kierunku i znów się uśmiecha. Ma dzisiaj dobry humor, więc wiem, że i ja będę dzisiaj szczęśliwa.

Chociaż szczerze mówiąc, jestem szczęśliwa nawet wtedy, gdy budzi mnie w środku nocy, domagając się jedzenia. Jestem szczęśliwa każdego dnia, bo spędzam go w gronie osób, które kocham i które kochają mnie. W moim bezpiecznym miejscu.

Kwiecień, dwa lata później

Nie potrafię przestać się śmiać z miny mojego męża, który z niedowierzaniem patrzy na nasze dwuipółletnie dziecko. Vincent siedzi na puchatym dywanie w pokoju Macey, a naszą córkę ma przed sobą, i patrzy na nią ze zdumieniem. Patrzy na nią inaczej niż ja, bo... sama ją nauczyłam słowa, które właśnie mu powiedziała, rzucając w niego lalką, o którą się z nią spierał.

— Nie powiedziałaś tego — mówi z przerażeniem w głosie.

Stoję w drzwiach, powstrzymując parsknięcie śmiechem, i ledwo się trzymam. Macey siedzi przed Vincentem z naburmuszoną miną. Ma dwa urocze kucyki na główce i tiulową, zieloną, przepiękną sukienkę, którą zaprojektował dla niej wujek Zena. Wprawdzie Zena nigdy małej nie widział, ale pamięta o jej urodzinach oraz o każdym dniu, w którym może jej coś sprezentować. Nadal nie rozumiem jego dystansu.

— Żono... — Moje myśli przerywa Vince. — Czy moje dziecko właśnie rzuciło we mnie lalką i powiedziało słowo na „d”?

Zakrywam usta dłonią i kiwam twierdząco głową, na co on znów wytrzeszcza oczy. Jego zdumienie mnie przerasta, nie umiem się z niego nie śmiać.

— Macey.

— Tata, lala, nie — mówi moja dziewczynka. — Lala, ja, tak.

— Słuchaj. — Vincent obniża głos, chcąc ją przestraszyć, i pochyla się do niej z wyciągniętym w jej stronę palcem. Kocham ich kłótnie. — To ja kupiłem lalę, więc ja chcę się nią dzisiaj pobawić.

— Dupa — odpowiada mu Macey. — Lala, tata, *nie*.

Odwraca główkę w kierunku ściany, na co mój mąż zaciska usta. Tracę samokontrolę i tym razem wybucham histerycznym śmiechem, na co nawet Macey zaczyna cicho chichotać.

— Macey, słoneczko moje — zaczynam, podchodząc do nich. Klękam pomiędzy nimi i oboje łapię za ręce. — Tata chce się z tobą pobawić lalką.

— Lala, tata, nie — mówi ze złością. — Lala, ja, tak.

— Wiem, że to twoja lala, ale przecież możesz mu ją pożyczyć, prawda?

— Nie.

Przewracam oczami na jej upór i przenoszę wzrok na Vincenta, który ma tę samą nieustępliwość w oczach. Są tak samo uparci.

— Przykro mi, skarbie, ale twoja córka nie pozwoli ci pobawić się jej nową lalczką. Musisz wybrać jakąś inną — tłumaczę, jakby miał tyle samo lat co nasza dziewczynka. — Rozumiesz?

— Mam trzydzieści jeden lat, Emerald, nie musisz mówić do mnie jak do Macey. — Pochyla się ku mnie i ujmuje za policzki. Ściska je do środka, tworząc z moich ust rybkę. — Mam szczerą nadzieję, że moje drugie dziecko będzie podobne do ciebie i z chęcią podzieli się zabawkami z ojcem.

Po tym całuje mnie mocno w usta i cicho parska śmiechem.

— Kto nauczył Macey słowa na „d”?

— Mama — oznajmia moja córka.

Co za wredny mały kabel.

Vincent odsuwa się ode mnie z reprimendą w spojrzeniu. Łapię go za rękę i przykładam do rosnącego brzucha, by się uspokoił. Moja ciąża tłumaczy wszystko. Nawet uczenie dziecka brzydkich słów.

— Masz szczęście, że cię kocham — oznajmia mój mąż i przenosi wzrok na Macey. — I ty też, więc się nie obrażam za to, że nie umiesz się podzielić lalką.

— Tata, lala, nie. — Macey ciągnie dalej swoje.

Przytula lalkę do policzka i pokazuje Vincentowi język, co znów doprowadza mnie do śmiechu. Nie mogę z nimi wytrzymać!

— Nie wolno pokazywać tacie jęzora — gani ją. — Bo złapię i nie oddam.

Grozi jej palcem, na co Macey mruży oczka i zakrywa buzię rączką, by nie ukradł jej języka.

Jego reakcja jest taka sama jak moja, czyli wybucha śmiechem.

— Jesteś złośliwcem — mówi mój mąż do córki. — Proszę dać tacie buziaka na przeprosiny.

Pochyla się ku niej, na co Macey niechętnie całuje go, a potem, ku memu zaskoczeniu, mocno się przytula. Szepcze mu coś do ucha i zaraz odsuwa się i szybko wybiega z pokoju.

— Co ci powiedziała?

— *Tata, lala, nie* — przedrzeźnia ją.

Przewraca oczami i wyciąga z kieszeni swój telefon, który od razu odblokowuje i spogląda na ekran. Krzywi się i stuka coś, a potem przykładą urządzenie do ucha.

— Otrzymałem wiadomość od Rona — mówi. — Oczywiście. Życzę powodzenia w Nowym Jorku, ja się zajmę szczegółami z planu. Wszystko będzie gotowe na połowę czerwca. — Spogląda na mnie, słuchając swojego rozmówcy. — Jak zawsze, powodzenia — dodaje.

Kończy połączenie, a ja unoszę pytająco brew.

— Interesy, żono, interesy.

— Czyli Zena.

— Czyli jak zwykle masz rację, moja Szmaragdowa Księżniczko.

Kręcę głową i pochylam się ku niemu, układając dłonie na jego twardych udach.

— Kocham cię — szepcze.

— A ja kocham ciebie — odpowiadam.

I będę kochać już na zawsze.

Playlista

Anson Seabra — *Emerald Eyes*
One Direction — *Stockholm Syndrome*
ZAYN — *Connexion*
Machine Gun Kelly, Camila Cabello — *Bad Things*
Cigarettes After Sex — *Sweet*
Bea Miller — *Like That*
Michael Schulte — *Falling Apart*
Arctic Monkeys — *R U Mine?*
Machine Gun Kelly — *Why Are You Here*
ZAYN — *Like I Would*
RHODES — *Your Soul*
Chase Atlantic — *Devilish*
Fleurie — *Hurts Like Hell*
Partynextdoor — *Wus Good / Curious*
Bishop Briggs — *The Fire*
Justin Bieber — *Never Let You Go*

Podziękowania

Zaczęłam pisać dla zabawy, jako licealistka, która potrzebowała swojego miejsca. Przelewałam myśli na strony w Wordzie i odcinałam się, regenerując mózg i serce, by stawiać czoła światu. Za nic w świecie nie jestem tak wdzięczna jak za to, że postanowiłam spróbować swoich sił i opublikować książkę na Wattpadzie. Pamiętam pierwszą czytelniczkę, która w mojej głowie już na zawsze pozostanie „Cassie”. To ona motywowała mnie do pisania swoimi komentarzami, więc dzisiaj pierwsze i najważniejsze „dziękuję” trafia właśnie do niej. Dziękuję za każde słowo wsparcia i wiarę we mnie — spełniam również daną lata temu obietnicę o tym, że jeśli kiedyś zdarzy się cud i uda mi się wydać książkę, wspomnę o Tobie, Cassie.

Wielkie podziękowania należą się moim czytelnikom z Wattpada i wszystkim, którzy obserwują mnie na Twitterze. Bez Was, nie byłoby mnie w tym miejscu. Dziękuję z całego serducha. Dzięki Wam każdego dnia podciągam się o szczebelek wyżej po mojej drabinie marzeń. Pierwsze większe właśnie się spełnia: wydajemy książkę!

Dziękuję Paulinie, która była moim największym wsparciem podczas pisania pierwszej wersji „Emerald”. Dziękuję Oldze, która każdego dnia daje mi siłę i dawkę wyderka — naszych ukochanych zwierzątek. Przekraczanie barier jest o wiele ciekawsze z przyjacielem takim jak Ty.

Dziękuję każdemu, kto złapał ze mną kontakt dzięki mojej twórczości i wraz ze mną brnie przez tę przygodę.

Dziękuję mojej babci, która zawsze, mimo wszystkiemu i wszystkim, twardo we mnie wierzy. Choćbym podpaliła świat, Ty nigdy we mnie nie wątpisz i mimo że czasem marudzę, że mnie gloryfikujesz, jesteś ogromnym kawałkiem mojej duszy.

Dziękuję rodzicom i bratu, którzy nie bali się pomóc mi iść za marzeniami. Za wiarę, cierpliwość i przewracanie oczami, że znów siedzę przed tym komputerem i stukam w klawiaturę jak najęta.

No i na koniec... Największe podziękowania dla wydawcy i każdego, kto został zaangażowany w przeniesienie historii Valerii i Vincenta na papier. Jestem przeogromnie wdzięczna za szansę, którą otrzymałam. A podpisanie umowy w dniu urodzin to wręcz fajerwerki wybuchające w moim wnętrzu! Dziękuję, dziękuję i jeszcze raz dziękuję!